



Klatwa tygrysa

COLLEEN HOUCK

Magnetyczne oczy tygrysa.



Pradawna klątwa, którą zdjąć może tylko ona.



Namiętność silniejsza niż strach.



Razem muszą stawić czoła mrocznym siłom.



Czy poświęcą wszystko w imię miłości?

Sama J.K. Rowling chciałaby napisać tę książkę. Warta akcja, świetna fabuła, poezja, miłość i magia, a przy tym zawrotne tempo zdarzeń.

„Romantic Times”

Klątwa tygrysa pochłonęła mnie bez reszty. Co chwila wstrzymywałam oddech i piszczalam z zachwytu. To magiczna książka.

Becca Fitzpatrick, autorka bestsellerowej serii *Szeptem*

Partnerzy:



DEMOTYWATORY.PL



Patroni medialni:



lubimyczytać.pl
Twoja internetowa biblioteczka

Fantasy Book

ksiazkimlodziejowe.
fora.pl



METROMEDIA



Cena detal. 32,90 zł

ISBN 978-83-7515-205-0



www.otwarte.eu

COLLEEN HOUCK

Kłatwa tygrysa



tłumaczenie Martyna Tomczak

WYDAWNICTWO
otwarte

Kraków 2012

*Dla Lindy i Lindy.
Jedna motywuje mnie do pisania,
druga daje mi na to czas.
Obie nazywam siostrami.*

William Blake

Tygrys

Tygrysie! Łuną dzikiej mocy
W ogromnych świecisz borach nocy!
Twą przeraźliwa piękność jakież
Stworzyły ręce, jakież oczy?

W jakich głębinach czy niebiosach
Zażęła się twych ślepi siła?
Jaka ją burza tu przyniosła?
Jaka ją śmiałość pochyciła?

Czyja to sztuka, czyje dzieło,
Potworne mięśni twoich sploty?
Kiedy twe serce bić zaczęło,
Jakie tam pracowały młoty?

Jakie przeżyły się powrozy?
Jakie tam piece ogniem ziały,
Gdy mózg śmiertelnej pełen grozy
Straszliwe palce kształtowały?

Włócznie gwiazd kiedy spadły Bożych
I płacz gwiazdzisty skrzył się w niebie,
Czy On polubił cię? On stworzył
Jagnię! Czy stworzył także ciebie?

Tygrysie! Łuną dzikiej mocy
W ogromnych świecisz borach nocy!
Tę straszną piękność jakież śmiały
Kształtować ręce, jakież oczy?

tłum. Zygmunt Kubiak

PROLOG

KLĄTWA



Więzień stał z rękoma związanymi z przodu, zmęczony, poobijany i brudny, ale wyprostowany dumnie jak przystało na potomka królewskiego rodu Indii. Lokesh spoglądał na niego z wyższością z bogato zdobionego, złoconego tronu. Wysokie białe kolumny podpieraly sufit, rozmieszczone wokół komnaty niczym strażnicy. Przezroczystych kotar nie poruszał nawet najmniejszy podmuch wiatru z dżungli. Jedynym dźwiękiem, jaki dochodził do uszu więźnia, było miarowe postukiwanie wysadzanych klejnotami pierścieni na palcach Lokesha o złocony tron. Nikczemny władca spojrzal na pojmanego zmrużonymi oczyma, pełnymi pogardy i triumfu.

Więzień był księciem indyjskiego królestwa Mudżulain. Technicznie rzecz biorąc, jego obecny tytuł brzmiał: Książę i Najwyższy Protektor Imperium Mudżulain, ale on wolał myśleć o sobie po prostu jako o synu swojego ojca.

To, że Lokesh, radża niewielkiego sąsiedniego królestwa Bhri-nam, zdołał pojmać księcia, nie było aż tak wstrząsające jak to, kto siedział w tej chwili u boku okrutnego władcy: byli to Yesubai, córka radży oraz narzeczona księcia, a także młodszy brat więźnia — Kishan. Pojmany bacznie przyglądał się każdemu z nich, ale tylko Lokesh odwzajemnił jego śmiałe spojrzenie. Na piersi, pod koszulą, książę czuł chłodny dotyk kamiennego amuletu, a jego ciało opanowywał gniew.

Więzień przemówił pierwszy, z trudem powstrzymując w głosie gorycz zdrady.

— Czemu ty, mój przyszły ojciec, traktujesz mnie tak... niegościnnie?

Na twarz Lokesha powoli wypłynął lekceważący, prowokacyjny uśmiech.

— Mój drogi książę, masz coś, czego pożądam.

— Nic, czego możesz pragnąć, nie usprawiedliwia twego czynu. Czyż nasze królestwa nie mają się wkrótce połączyć? Wszystko, co mam, jest do twojej dyspozycji. Wystarczyło tylko poprosić. Czemu tak postępujesz?

Lokesh potarł dłonią podbródek, a jego oczy zaślnily.

— Plany się zmieniają. Wygląda na to, że twój brat chciałby wziąć moją córkę za żonę. Złożył mi pewne obietnice w zamian za pomoc w osiągnięciu tego celu.

Książę przeniósł wzrok na Yesubai, która, z płonącymi policzkami, przyjęła skromną, pełną uległości pozę i skłoniła głowę. Ich zaaranżowane małżeństwo miało zagwarantować trwały pokój między dwoma królestwami. Książę przez ostatnie cztery miesiące nadzorował operacje militarne na drugim końcu imperium i na straży królestwa pozostawił brata.

Najwyraźniej Kishan miał oko na coś więcej niż tylko królestwo.

Więzień śmiało wystąpił naprzód, stanął przed Lokeshem i zawołał:

— Oszukałeś nas wszystkich! Jesteś jak zwinięta kobra, która czeka na właściwy moment, by zaatakować. — Obrzucił wzrokiem brata i narzeczoną. — Nie rozumiecie? Wasze działanie uwolniło węża, który pokąsał nas wszystkich. Jego jad krąży w naszych żyłach i niszczy wszystko, co napotka na swej drodze.

Lokesh roześmiał się z pogardą, po czym przemówił:

— Jeśli zgodzisz się oddać swój kawałek amuletu Damona, być może pozwolę ci żyć.

— Żyć? Sądziłem, że stawką jest moja narzeczoną.

— Obawiam się, że twoje prawa jako przyszłego małżonka zawłaszczyl kto inny. Być może nie wyraziłem się jasno. Twój brat dostanie Yesubai.

Więzień zacisnął zęby, po czym spokojnym tonem odrzekł:

— Armia mojego ojca zniszczy cię, jeśli mnie zabijesz.

Lokesh parsknął śmiechem.

— Twój ojciec nie zaatakowałby nowej rodziny Kishana. Bądź pewien, że ugłaszczemy twego drogiego rodziciela, wmawiając mu, iż

padłeś ofiarą nieszczęśliwego wypadku. — Poglądził się po krótkiej, szorstkiej brodzie, po czym dodał, tonem wyjaśnienia: — Rozumiesz oczywiście, że nawet jeśli pozwolę ci żyć, to ja przejmę władzę nad obydwoma królestwami. — Lokesh uśmiechnął się. — Jeżeli mi się sprzeciwisz, twój fragment amuletu odbiorę ci siłą.

Kishan nachylił się ku Lokeshowi i chłodnym tonem zaprotestował:

— Myślałem, że zawarliśmy umowę. Przyprowadziłem ci mojego brata, ponieważ przysiągłeś, że go nie zabijesz! Miałeś tylko zabrać amulet. To wszystko.

Ręka Lokesha wystrzelila w powietrze szybko jak wąż i chwyciła nadgarstek Kishana.

— Powinieneś był się już domyślić, że biorę to, na co mam ochotę. Jeżeli wolisz spoglądać na mnie z tego samego miejsca, co twój brat, z radością ci w tym pomogę.

Kishan poruszył się na swoim tronie, ale zachował milczenie.

Lokesh mówił dalej.

— Nie? To znakomicie, właśnie zmieniłem warunki naszej umowy. Twój brat zginie, jeśli nie postąpi wedle mojej woli, a ty nie poślubisz mojej córki, jeżeli nie oddasz mi również swojej części amuletu. Nasz prywatny kontrakt można łatwo anulować, a ja zawsze mogę oddać Yesubai innemu mężczyźnie, którego sam wybiorę. Być może jakiś stary sultan ochłodzi jej gorącą krew. Jeśli pragniesz pozostać blisko Yesubai, będziesz mi posłuszny.

Lokesh ścisnął nadgarstek Kishana, aż rozległ się chrzęst. Kishan nawet nie mrugnął.

Rozciągając palce i powoli kręcąc dłonią, Kishan odchylił się na tronie i dotknął rzeźbionego fragmentu amuletu ukrytego pod koszulą, po czym porozumiał się wzrokiem z bratem.

Porachunki między sobą zalatwią później. To, co zrobił Lokesh, oznaczało wojnę, a dobro królestwa było dla obu braci priorytetem.

Obsesja tętniła w szyi Lokesha, pulsowała w jego skroniach i wyglądała z czarnych oczu, podobnych do ślepi węża. Te właśnie oczy sondowały teraz twarz więźnia, usiłując wylapać słabe punkty. Przepelniony gniewem, Lokesh skoczył na równe nogi.

— A więc niech tak będzie!

Dobyl z fald swej szaty lśniący nóż z wysadzaną klejnotami rękocięcią i brutalnie podciągnął rękaw brudnej, niegdyś białej kurty pojmanego. Sznur zacisnął się wokół nadgarstka księcia, który jęknął z bólu, gdy Lokesh przejechał ostrzem po jego przedramieniu.

Rozcięcie było na tyle głębokie, że natychmiast wypełniło się krwią, która rozlala się poza krawędź rany i spłynęła na kafle podłogi.

Lokesh zerwał z szyi drewniany talizman i umieścił go pod ramieniem więźnia. Krew spłynęła z noża na amulet, a rzeźbiony symbol rozbłysnął ognistą czerwienią, po czym zaczął pulsować nienaturalnym białym światłem.

Jasny promień wystrzelił, przeszył pierś księcia i objął go całego swoimi mackami. Mimo swej siły pojmany nie był gotowy na tak wielki ból. Gdy jego ciało ogarnął palący żar, książę krzyknął i upadł.

Obronnym gestem wyciągnął przed siebie ręce, ale jedynie przejechał słabo palcami po zimnych, białych kafłach. Pozostało mu tylko bezradnie przyglądać się bratu i Yesubai, którzy skoczyli w stronę Lokesha. Władca odepchnął ich brutalnie. Yesubai upadła i mocno uderzyła głową o kamienny podest. Książę widział rozpacz Kishana, gdy życie uciekało z wątłego ciała jego ukochanej. A potem nie czuł już nic prócz bólu.

KELSEY



Stałam na krawędzi. Dokładniej rzecz biorąc, była to kolejka do pośredniaka w Oregonie, ale czułam się jak nad przepaścią. Dzieciństwo, szkołę średnią i iluzję, że życie jest dobre, a czasy są łatwe, pozostawiłam za sobą. Przede mną majaczyła przyszłość: studia, rozmaite wakacyjne prace, które pomogą opłacić czesne, oraz prawdopodobieństwo spędzenia dorosłego życia w samotności.

Ogonek powoli posuwał się do przodu. Zdawało mi się, że czekam tu już od wielu godzin, usiłując znaleźć wakacyjne zajęcie. Gdy w końcu nadeszła moja kolej, znudzona kobieta za biurkiem rozmawiała przez telefon. Przywołała mnie gestem i wskazała mi krzesło. Gdy odłożyła słuchawkę, wręczyłam jej swoje formularze, a ona mechanicznym tonem rozpoczęła wywiad.

— Imię i nazwisko, proszę.

— Kelsey. Kelsey Hayes.

— Wiek?

— Siedemnaście, prawie osiemnaście. Niedługo mam urodziny. Kobieta podstemplowała formularze.

— Skończyła pani szkołę średnią?

— Tali, kilka tygodni temu. Jesienią mam zamiar zacząć studia w Chemeketa.

— Imiona rodziców?

— Madison i Joshua Hayes, ale moimi opiekunami są Sara i Michael Neilson.

— Opiekunami?

Znów się zaczyna, pomyślałam. Jakimś cudem tłumaczenie się ze swojego życia z czasem wcale nie staje się prostsze.

— Tak. Moi rodzice... zmarli. Zginęli w wypadku samochodowym, gdy byłam w pierwszej klasie liceum.

Kobieta za biurkiem pochyliła się nad papierami i długo coś notowała. Skrzywiłam się, myśląc, co takiego pisze, że zajmuje jej to tyle czasu.

— Panno Hayes, czy lubi pani zwierzęta?

— Jasne. Hmm, wiem, jak je karmić... — Widzieliście kiedyś większą frajerkę? Po takich słowach na pewno mnie nie zatrudnią. Odchrząknęłam. — Jasne, uwielbiam zwierzęta.

Kobieta nie zwróciła szczególnej uwagi na moją odpowiedź i wręczyła mi ogłoszenie.

POSZUKIWANY PRACOWNIK NA DWA TYGODNIE

ZAKRES OBOWIĄZKÓW:

**SPRZEDAŻ BILETÓW, KARMIENIE ZWIERZĄT
I SPRZĄTANIE PO WYSTĘPACH.**

Ponieważ tygrys i psy potrzebują całodobowej opieki,
zapewniamy zakwaterowanie oraz wyżywienie.

Ogłoszenie dał niewielki rodzinny Cyrk Maurizio. Przypomniało mi się, jak w spożywczaku dostałam kupon na bilet i nawet pomyślałam, że zabiorę na występ dzieci moich przybranych rodziców, sześciolletnią Rebeke i czteroletniego Samuela, żeby Sara i Mike mogli mieć chwilę dla siebie. Ale w końcu zgubiłam kupon i o wszystkim zapomniałam.

— Chce pani tę pracę czy nie? — rzuciła kobieta niecierpliwie.

Jeszcze raz przywołałam w myślach treść ogłoszenia.

— Tygrys, co? Brzmi ciekawie! A czy są tam też słonie? Bo mimo wszystko nie mam zamiaru sprzątać sloniowych kup. — Cicho zachotałam z własnego dowcipu, ale kobieta za biurkiem nawet się nie uśmiechnęła. A ponieważ nie miałam żadnych innych możliwości, powiedziałam jej, że biorę tę pracę. Dała mi kartkę z adresem i poinstruowała, bym zjawiała się na miejscu jutro o szóstej rano.

Zmarszczyłam nos.

— Potrzebują mnie już od szóstej rano?

Kobieta tylko na mnie spojrzała, po czym zawołała: „Następny!”, w stronę niecierpliwie wiercącej się za moimi plecami kolejki.

W co ja się wpakowałam? pomyślałam, wsiadając do samochodu, który pożyczyłam od Sary, po czym ruszyłam w stronę domu. Westchnęłam. Mogło być gorzej. Mogłabym od jutra przewracać hamburgery na patelni. Cyrki są zabawne. Mam tylko nadzieję, że nie będzie słoni.



Życie w domu Sary i Mike'a było całkiem niezłe. Dawali mi o wiele więcej wolności, niż rodzice większości moich rówieśników dawali swoim dzieciom, i myślę, że mamy do siebie nawzajem zdrowy szacunek — oni w każdym razie szanowali mnie na tyle, na ile dorośli ludzie mogą szanować siedemnastolatkę. Pomagałam w opiece nad ich dziećmi i nigdy nie wpadałam w kłopoty. Nie udało im się w pełni zastąpić mi rodziców, ale w pewien sposób stanowiliśmy rodzinę.

Starannie zaparkowałam samochód w garażu i weszłam do domu, gdzie zastałam Sarę atakującą dużą miskę za pomocą drewnianej łyżki. Rzuciłam torbę na krzesło i nalalam sobie szklankę wody.

— Widzę, że znów robisz wegańskie ciasteczka. Co to za okazja? — spytałam.

Sara zaczęła wbijać łyżkę w gęste ciasto, jakby to był szpikulec do lodu.

— Jutro kolej Sammy'ego, żeby przynieść przekąski do przedszkola. Udałam, że odkasłuję, by zdusić drwiący chichot.

Sara spojrzała na mnie przenikliwie.

— Kelsey Hayes, to, że twoja matka piekla najlepsze ciasteczka na świecie, nie znaczy, że ja sobie nie poradzę.

— Nie wątpię w twoje umiejętności, tylko w twoje składniki — odparłam, podnosząc jeden ze słoików. — Substytut masła orzechowego, siemię lniane, białko w proszku, agawa i serwatka. Dziwię się, że nie dorzuciłaś papieru z recyklingu. A gdzie czekolada?

— Czasem używam karobu.

— Karob to nie czekolada. Smakuje jak brązowa kreda. Jeśli pieczesz ciasteczka, to powinnaś zrobić...

— Wiem, wiem. Dyniowo-czekoladowe albo orzechowe z podwójną czekoladą. Takie rzeczy są naprawdę szkodliwe, Kelsey — odparła Sara z westchnieniem.

— Ale tak dobrze smakują...

Patrzyłam, jak oblizuje palec, po czym oznajmiłam:

— A tak w ogóle, to mam pracę. Będę karmić zwierzęta i sprzątać w cyrku.

— Wspaniale! To może być dla ciebie świetne doświadczenie — ożywiła się Sara. — O jakie zwierzęta chodzi?

— Ee, głównie psy. No i zdaje się, że jest jeszcze tygrys. Ale nie sędzę, żebym musiała robić coś niebezpiecznego. Na pewno mają specjalnych opiekunów dla tygrysa. W każdym razie zaczynam bardzo wcześnie rano i będę tam spać przez najbliższe dwa tygodnie.

— Hmm — zadumała się Sara. — Cóż, gdybyś nas potrzebowała, zawsze możesz zadzwonić. Czy mogłabyś wyjąć zapiekankę brukselkowaną *a'la* „gazeta z recyklingu” z piekarnika?

Ustawiłam podejrzanie pachnącą zapiekankę na środku stołu, a Sara włożyła blachę z ciastkami do piekarnika i zawołała dzieci na kolację. Do kuchni wszedł Mike, odłożył teczkę i ucałował żonę w policzek.

— Co to za... woń? — zapytał nieufnie.

— Zapiekanka brukselkowa — odpowiedziałam, zdziwiona, że zapragnął poznać źródło nieciekawego zapachu.

— Zrobiłam też ciasteczka dla Sammy'ego do przedszkola — oznajmiła Sara z dumą. — Najlepsze zostawię dla ciebie.

Mike rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie. Niestety, Sara to zauważyła. Trzepnęła go ścierką w udo.

— Jeśli ty i Kelsey macie zamiar tak się zachowywać, to dziś zmywacie.

— Och, kochanie, nie gniewaj się. — Mike pocałował Sarę i objął ją, robiąc wszystko, by wymigać się od uciążliwego obowiązku.

Uznałam, że to dobry moment, żeby wyjść z kuchni. Już za progiem doszedł do mnie chichot Sary. Uśmiechnęłam się i pomyślałam, że chciałabym, żeby kiedyś jakiś facet wymigiwał się w podobny sposób od zmywania, które ja mu zadalam.

Najwyraźniej Mike okazał się zdolnym negocjatorem, ponieważ przypadło mu w udziale położenie dzieciaków spać, a ja zostałam z naczyniami sama. Nie przeszkadzało mi to, ale kiedy tylko skończyłam, postanowiłam, że i ja pójdę już do łóżka. Szósta rano to bardzo wczesna pora.

Po cichu wspięłam się po schodach do swojego pokoju. Był mały i przytulny, z prostym łóżkiem, toaletką z lustrem, biurkiem do

odrabiania lekcji, na którym stał komputer, koszykiem różnobarwnych wstążek do włosów i pikowanym pledem mojej babci.

Babcia uszyła go, gdy byłam małą, ale i tak pamiętam, jak nad nim pracowała, zawsze z tym samym metalowym napastrkiem na palcu. Przesuwając palcem po motyłu wyhaftowanym na moim zużyтым pledzie o postrzępionych krawędziach, przypominałam sobie, jak pewnej nocy wykradłam tamten napastrzek z pudełka babci tylko po to, żeby poczuć jej bliskość. Choć jestem już nastolatką, nadal co noc śpię pod pikowanym pledem mojej babci.

Przebrałam się w piżamę, potrząsnęłam głową, by uwolnić włosy z warkocza, i rozczesalam je, wspominając, jak robiła to za mnie mama i jak przy tym rozmawialiśmy.

Wśliznęłam się pod ciepły pled i nastawiłam budzik na uff... w pół do piątej rano. Zastanawiałam się przy tym, co, na Boga, można o tak wczesnej porze zrobić z tygrysem i jak poradzę sobie w tym cyrku, który nagle wkroczył w moje życie. Zaburczało mi w brzuchu.

Zerknęłam na dwa zdjęcia ustawione na komódce przy łóżku. Pierwsze przedstawiało całą naszą trójkę — mamę, tatę i dwunastoletnią mnie — świętującą Nowy Rok. Pamiętałam, że tamtego dnia mama zakręciła moje długie brązowe włosy, ale na fotografii są już przyklepane, ponieważ awanturowałam się, że nie chcę używać lakieru. Na zdjęciu byłam szeroko uśmiechnięta, chociaż na zębach lśnił mi srebrzysty aparat. Teraz jestem wdzięczna za swoje proste zęby, ale wtedy z całego serca go nienawidziłam.

Dotknęłam szklanej szybki, muskając kciukiem własną bladą dwunastoletnią twarz. Zawsze chciałam być smukłą, jasnowłosa, opalona i błękitnooka, ale miałam piwne oczy swego ojca i skłonność do tycia odziedziczoną po matce.

Drugie zdjęcie pochodziło ze ślubu rodziców, zrobione było zniekacka, nieupozowane. W tle widać przepiękną fontannę, a mama i ojciec są na nim młodzi, szczęśliwi i uśmiechają się do siebie. Pragnęłam kiedyś być częścią takiej sceny, chciałam, żeby w przyszłości ktoś patrzył na mnie w ten sam sposób.

Przewróciłam się na brzuch, wcisnęłam poduszkę pod policzek i już wkrótce odplynęłam w sen, myśląc o ciasteczkach mojej mamy.

Tamtej nocy śniłam, że ktoś ściga mnie przez dżunglę, a gdy się obejrzałam, ze zdumieniem ujrzałam wielkiego tygrysa.

Kelsey ze snu roześmiała się, obróciła do przodu i pobięła jeszcze szybciej, cały czas słysząc za sobą delikatny, stłumiony odgłos kocich kroków, rozbrzmiewający w tym samym rytmie, co bicie jej serca.

2

CYRK



Budzik wyrwał mnie z głębokiego snu o wpół do piątej rano. Wszystko wskazywało na to, że na dworze było ciepło, ale nie za gorąco. W Oregonie nigdy nie jest zbyt gorąco. Gubernator stanu chyba już dawno, dawno temu ustanowił prawo, że będą tu zawsze umiarkowane temperatury.

Świtało. Słońce nie wyloniło się jeszcze sponad gór, ale niebo rozjaśniało się, nadając chmurom nad wschodnim horyzontem wygląd różowej waty cukrowej. W nocy musiało padać, ponieważ czułam w powietrzu cudowny zapach mokrej trawy i sosnowych igieł.

Wyskoczyłam z łóżka, odkręciłam prysznic, poczekałam, aż łazienka będzie ciepła i zaparowana, po czym wskoczyłam pod strumień gorącej wody, który bębnił mi po plecach, budząc do życia rozespane mięśnie.

Jak powinna wyglądać pracownica cyrku? Nie wiedziałam, jaki strój będzie odpowiedni, wciągnęłam więc na siebie koszulkę z krótkimi rękawami i robocze dżinsy. Stopy wsunęłam w tenisówki, wytarłam włosy ręcznikiem, zaplotłam je szybko w dobiegający warkocz i związałam błękitną wstążką. Nałożyłam błyszczący na usta i *voilà*, cyrkowy *image* gotowy.

Czas się spakować. Stwierdziłam, że nie muszę brać ze sobą wiele, tylko kilka podstawowych rzeczy, w końcu będę w cyrku zaledwie dwa tygodnie i zawsze mogę wpaść do domu. Wyciągnęłam z szafy trzy zestawy strojów, które wisiały tam starannie rozmieszczone według koloru, a potem otworzyłam szufladę komody. Chwyciłam

kilka zwiniętych par skarpetek, również uporządkowanych kolorystycznie, i wcisnęłam wszystko do swojego wiernego szkolnego plecaka. Dorzuciłam jeszcze kilka kosmetyków i książek, pamiętnik, pióro, ołówek i parę kredek, portfel i zdjęcia rodziny. Zwinęłam w rulon babciny pled, wetknęłam na sam wierzch i z pewnym wysiłkiem zaciągnęłam zamek.

Przewiesiłam plecak przez ramię i zbiegłam na dół. Sara i Miko już nie spali, jedli w kuchni śniadanie. Każdego ranka zrywali się o absurdalnie wczesnej porze i szli biegać. Wariactwo. O wpół do piątej rano codzienną przebieżkę mieli już za sobą.

— Hej, dzień dobry — wymamrotałam.

— Hej, dzień dobry — odpowiedział Mike. — Gotowa zacząć nową pracę?

— Aha. Będę przez dwa tygodnie sprzedawać bilety i kumplować się z tygrysem. Świetnie, co?

Mike zachichotał.

— Brzmi super. W każdym razie lepsze to niż praca na budowie. Podwieźć cię? Mam po drodze.

Uśmiechnęłam się do niego.

— Jasne. Dzięki, Mike. Bardzo chętnie — powiedziałam.

Obiecałam co parę dni dzwonić do Sary, chwyciłam batonik z ziarnami i lykając szybko, zmusiłam się do wypicia połowy szklanki mleka sojowego — z trudnością powstrzymując odruch wymiotny — po czym wraz z Mikiem skierowaliśmy się do wyjścia.

Gdy dojechaliliśmy na miejsce, naszym oczom ukazał się wielki niebieski szyld zapowiadający nadchodzące atrakcje.



No to zaczynamy. Westchnęłam i ruszyłam żwirową ścieżką w stronę głównego budynku. Zabudowania placu wyglądały jak lotnisko albo wojskowy bunkier. Popękana farba miejscami odpadała ze ścian, a okna były brudne. Duża amerykańska flaga trzepotała na

wietrze, a łańcuch, do którego była przymocowana, z lekkim brzękiem obijał się o metalowy maszt.

Teren, na którym rozstawił się cyrk, był dziwnym zbiorowiskiem starych budynków z parkingiem i niewyasfaltowaną ścieżką, która wiała się w głębi i naokoło placu. Dwie ciężarówki z płaskimi platformami zaparkowały obok kilku namiotów z białego płótna. Afisze cyrkowe wisiały wszędzie; przynajmniej po jednym na każdym budynku. Niektóre przedstawiały akrobatów, inne zonglerów. Na żadnym afiszu nie dostrzegłam słonia, odetchnęłam więc z ulgą. Gdyby były tu jakieś słonie, z pewnością już bym je poczuła.

Rozdarty afisz łopotał na wietrze. Złapałam naderwaną krawędź i przyłożyłam ją do słupa, na którym wisiał. Na plakacie widniało zdjęcie białego tygrysa. Proszę, proszę, pomyślałam. Witaj, mam nadzieję, że nie ma was więcej... i że pożeranie nastolatek nie sprawia ci szczególnej przyjemności.

Otworzyłam drzwi do głównego budynku i weszłam do środka. Ujrzałam przed sobą cyrkową arenę. Wyblakłe czerwone krzeselka ustawione były jedne na drugich pod ścianami. W kącie rozmawiało ze sobą dwoje ludzi. Wyroki mężczyzna, który wyglądał na szefa, stał z boku, notując coś i sprawdzając zawartość pudeł leżących nieopodal. Ruszyłam w jego stronę po czarnej, gumowej podłodze i przedstawiłam się.

— Dzień dobry, jestem Kelsey, wasza pracownica na najbliższe dwa tygodnie.

Mężczyzna zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, żując coś jednocześnie, po czym splunął na podłogę.

— Wyjdź tylnymi drzwiami i skreć w lewo. Kieruj się w stronę czarno-srebrnej przyczepej.

— Dzięki! — Spluwanie tytoniem napawało mnie obrzydzeniem, ale mimo to udało mi się uśmiechnąć do nieznanego. Wyszłam z budynku, odnalazłam przyczepej i zapukałam do drzwi.

— Moment! — rozległ się donośny męski głos. Drzwi otworzyły się nadszpedzowanie szybko, a ja aż odskoczyłam, zdumiona. Stojący nade mną mężczyzna w ozdobnej szacie zaśmiewał się serdecznie z mojej reakcji. Był bardzo wysoki. Ze swoim metrem siedemdziesiąt wyglądał przy nim jak krasnal. Miał okrągły brzuch, jego głowę pokrywały kręcone czarne włosy o lekko cofniętej linii. Z uśmiechem podniósł rękę i poprawił tupecik. Nad górną wargą sterczał mu cienki czarny wąsik z nawoskowanymi końcówkami. Mężczyzna miał również niewielką kocią brodkę.

— Ty się nie bój mój wygląd — rzucił na wstępie.

Spuściłam oczy i zaczerwieniłam się.

— Nie boję się. Po prostu przyszłam chyba w złym momencie.

Przepraszam, jeśli pana obudziłam.

Nieznamy rozeźmiał się.

— Lubię *le sorprese*. Dzięki nim jestem młody i bardzo przystojny.

Zachichotałam, ale zaraz umilkłam, gdyż przypomniałam sobie, że najprawdopodobniej rozmawiam ze swoim szefem. Kurze łapki okalały jego lśniące błękitne oczy. Ciemna karnacja podkreślała biel szerokiego uśmiechu. Wydał mi się typem człowieka, który przez cały czas śmieje się z jakiegoś zrozumiałego tylko dla siebie żartu. W końcu zapytał gromkim, teatralnym głosem z silnym włoskim akcentem:

— A pani to kto, młoda damo?

Uśmiechnęłam się nerwowo.

— Dzień dobry. Jestem Kelsey. Mam tu pracować przez najbliższe parę tygodni.

Mężczyzna nachylił się i uściśnął mi rękę. Jego wielka łapa całkowicie pochłonęła moją dłoń, którą potrzasał tak entuzjastycznie, że aż zadzwonił mi zęby.

— *Aa, fantastico!* Bardzo udatnie! Witaj w Cyrku Maurizio! Mamy, jak to mówią, pewne braki w personel i potrzebna nam *assistenza*, póki zostajemy w waszym *magnifica citta*, he? *Splendido*, że jesteś! Zaczynajmy *immediatamente*.

Spojrzał na przechodzącą obok ładną jasnowłosą dziewczynkę, na oko czternastoletnią.

— Cathleen, weź *giovane donna* do Matta i *injormare* go, że ja *desido...* chcę, żeby razem pracowali. Będzie ją dzisiaj uczył. — Znow zwrócił się do mnie. — Miło cię poznac, Kelsey. Mam nadzieję, że ty *piaci*, ee, że będzie się tobie podobac praca w nasza *piccola tenda di circo!*

— Dziękuję. Mnie też miło pana poznać — powiedziałam.

Mężczyzna puścił do mnie oko, po czym odwrócił się i zniknął w przyczepie, zamknąwszy za sobą drzwi. Cathleen uśmiechnęła się i poprowadziła mnie tyłem głównego budynku w stronę cyrkowych sypialni.

— Witaj w naszym wielkim... hmm, no dobrze, niewielkim cyrku. Chodź za mną. Jeśli chcesz, możesz spać w moim namiocie. Mamy kilka wolnych łóżek. Mieszkam razem z mamą i ciocią. Podróżujemy z cyrkiem. Moja mama jest akrobatką, ciocia też. W naszym

namiecie jest miło, tylko musisz się przyzwyczaić do kostiumów, które wiszą wszędzie.

Zaprowadziła mnie do przestronnego namiotu i wskazała wolne miejsce. Wetknęłam plecak pod łóżko i rozejrzałam się dookoła. Miała rację co do kostiumów. Były wszędzie. Koronki, cekiny, pióra i lycra pokrywały każdy kąt namiotu. Poza tym dostrzegłam oświetlony stolik z lustrem. Przybory do makijażu, szczotki do włosów, zapinki i lokówki zagracaly każdy centymetr kwadratowy blatu.

Następnie odnalazłyśmy Matta. Wyglądał na jakieś czternaście—piętnaście lat. Miał brązowe włosy, obcięte krótko jak to u chłopaka, piwne oczy i beztroski uśmiech. Usiłował właśnie samodzielnie ustawić budkę biletową — i nie wychodziło mu to ani trochę.

— Cześć, Matt — powiedziała Cathleen, gdy chwyciłyśmy dolną część budki, by mu pomóc.

Zaczerwieniła się. Urocze.

— Hmm, to jest Kelsey — mówiła dalej. — Będzie z nami przez najbliższe dwa tygodnie. Masz jej pokazać co i jak.

— Nie ma sprawy — odparł Matt. — Na razie, Cath!

— Na razie! — Uśmiechnęła się i już jej nie było.

— No to, Kelsey, będziesz dziś moją pomocnicą. Zobaczysz, spodboba ci się — powiedział Matt przekornym tonem. — Moja działka to sprzedaż biletów, budka z pamiątkami, sprzątanie śmieci i nadzór nad rekwizytami. Czyli generalnie jestem chłopcem do wszystkiego. Mój tata jest tu treserem.

— Fajna praca — odparłam, po czym dodałam żartem: — Brzmi lepiej niż sprzątanie śmieci.

Matt roześmiał się.

— W takim razie do roboty — powiedział.

Następne kilka godzin spędziłyśmy, dźwigając pudła, ustawiając budkę z przekąskami i przygotowując wszystko na przybycie publiczności. Ech, brak mi kondycji, pomyślałam, gdy po jakimś czasie moje mięśnie jakby sprzysięgły się przeciwko mnie. Tata zawsze mówił: „ciężka praca sprawia, że stąpasz twardo po ziemi”, gdy tylko mama wymyślała nam jakieś ambitne zadanie, na przykład sadzenie kwiatów w ogródku. Był bezgranicznie cierpliwy, a gdy narzekałam na dodatkową pracę, uśmiechał się tylko i powtarzał: „Kells, kiedy kogoś kochasz, uczysz się dawać i brać. Któregoś dnia się o tym przekonasz”.

To chyba jednak nie była tego typu sytuacja.

Gdy wszystko było już gotowe, Matt wysłał mnie do Cathleen z poleceniem przebrania się w cyrkowy kostium, który okazał się

złoty i błyszczący. Na co dzień nie dotknęłabym czegoś podobnego trzymetrowym kijem.

— Lepiej, żeby ta robota była tego warta — wymamrotałam pod nosem, wciągając przez głowę polyskliwą szatkę.

Odziana w nowy mieniący się strój, ruszyłam w stronę budki z biletami. Matt wywiesił już cennik i czekał na mnie z instrukcjami, kasetką na pieniądze oraz stosem biletów. Przyniósł mi również papierową torebkę z lunchem.

— Przedstawienie czas zacząć. Zajądaj szybko, kolonijne autokary są już w drodze.

Zanim skończyłam jeść, dzieciaki obskoczyły mnie hałaśliwą, gwałtowną chmurą drobnych ciał. Poczulałam się jak tratowana przez rozpędzone stado miniaturowych bizonów. Mój „zawodowy” uśmiech prawdopodobnie przypominał bardziej wystraszony grymas. Nie miałam dokąd uciec. Dzieci były wszędzie i każde z nich krzykliwie domagało się mojej uwagi.

Do budki podeszli opiekunowie, więc z nadzieją w głosie spytałam:

— Czy płacą państwo razem czy osobno?

Jeden z nauczycieli powiedział:

— Ach, nie. Postanowiliśmy, że każde dziecko będzie mogło samo kupić sobie bilet.

— Świetnie — wymamrotałam ze sztucznym uśmiechem.

Zaczęłam sprzedawać bilety i wkrótce dołączyła do mnie Cathleen, aż w końcu usłyszałyśmy pierwsze takty muzyki dobiegające z namiotu. Posiedziałam w budce jeszcze dwadzieścia minut, ale nikt więcej się nie zjawił, zamknęłam więc na klucz kasetkę z pieniędzmi i weszłam do namiotu. Przy wejściu zastałam Matta, który przypatrywał się spektaklowi.

Mężczyzna, którego poznałam rano, był konferansjerem.

— Jak on się nazywa? — szepnęłam do Matta.

— Agostino Maurizio — odpowiedział. — Jest właścicielem cyrku, a wszyscy akrobaci to członkowie jego rodziny.

Pan Maurizio wprowadzał na scenę klaunów, akrobatów i żonglerów, a ja odkryłam, że dobrze się bawię, oglądając przedstawienie. Jednak już wkrótce Matt szturchnął mnie łokciem i powiódł w stronę budki z pamiątkami. Niedługo miał zacząć się antrakt.

Razem nadmuchialiśmy helem dziesiątki kolorowych balonów. Dzieciaki oszalały! Biegały od budki do budki i wylizwały monety tak, żeby je wydać co do centa. Z baloników największym powodze-

niem zdawały się cieszyć czerwone. Matt przyjmował pieniądze, a ja nadmuchiwałam balony. Nigdy wcześniej tego nie robiłam, więc kilka pękło, co na początku przstraszyło maluchy. Starłam się obrócić głowę trzask w żart, krzycząc „Ojoj!” z każdym pęknięciem. Wkrótce dzieciarnia wołała już „Ojoj!” razem ze mną.

Znów rozbrzmiała muzyka i dzieci szybko wróciły na miejsca, ściskając w ramionach swoje zdobycze. Kilkoro z nich kupiło świecące plastikowe miecze i machały nimi teraz w ciemnościach, z uciechą strasząc się nawzajem.

Gdy i my zajęliśmy miejsca, na arenie pojawił się ojciec Matta ze swoimi psami. Po nim ponownie wyszli klauni i wciągnęli do sztuczek osoby z widowni. Jeden z nich obrzucił dzieciaki wiadrzem konfetti. Wybornie! Zapewne to mnie przypadnie w udziale sprzątanie.

Na arenie znów pojawił się pan Maurizio. Rozbrzmiała dramatyczna muzyka rodem z safari, a światła zgasły tak szybko, jakby zostały w tajemniczy sposób zdmuchnięte. Światło punktowego reflektora padło na konferansjera na środku areny.

— A teraz... główny punkt programu! Wyrwany z brutalnej, dzikiej indyjskiej *giungla* i przywieziony tu, do Ameryki. Zawzięty myśliwy, *cacciatore bianco*, który wszśród dziczy tropi swą ofiarę, zachajony czeka na właściwy moment, aż wreście... daje susa! *Movimentol*

Gdy pan Maurizio mówił, kilku mężczyzn wniosło na arenę dużą, okrągłą klatkę. Miała kształt wielkiej miski ustawionej do góry dnem, a z boku przymocowany był tunel z metalowej siatki. Mężczyźni ustawili klatkę w centrum areny i przykuli ją do metalowych obręczy zatopionych w blokach cementu.

Pan Maurizio cały czas przemawiał. Zaryczał do mikrofonu, aż wszystkie dzieci podskoczyły na swoich miejscach. Śmieszyła mnie jego teatralna maniera. Ryl zdolnym gawędziarzem.

— Nasz *tigre* to jeden z najbardziej *pericoloso*... niebezpiecznych drapieżców na całym świecie! — oznajmił. — Patrzcie państwo uważnie, jak nasz treser ryzykuje życie, by przedstawić wam... Dhirena! — Zarzucił głową w prawą stronę, po czym wybiegł z areny, a tymczasem światło reflektora powędrowało ku tylnej części namiotu. Dwóch mężczyzn wciągało do środka staromodną klatkę na kołach. Wyglądała jak pojazd wymalowany na stylizowanym na retro pudelku herbatników. Miała biały, lekko wypukły dach ze złożonymi krawędziami oraz czarne koła z białymi obwódkami

i ozdobnie rzeźbionymi szprychami, pomalowanymi na złoty kolor. Czarne metalowe pręty na górze wygięte były w luk.

Mężczyźni przynieśli rampę i jeden koniec przymocowali do klatki, drugi zaś — do tunelu z siatki. Do klatki wszedł ojciec Matta i rozstawił trzy stolki. Miał na sobie efektowny złoty kostium i potrząsał krótkim pejcem.

— Wypuścić tygrysa! — zakomenderował.

Drzwi klatki się otworzyły i stojący obok mężczyzna szturchnął kijem ukryte w środku zwierzę. Wstrzymałam oddech na widok ogromnego białego tygrysa, który wyłonił się z pojazdu, zszedł po rampie i wkroczył do tunelu z siatki. Chwilę później był już z ojcem Matta w wielkiej klatce pośrodku areny. Rozległ się trzask bata i tygrys wskoczył na stół. Kolejny trzask i zwierzę stał na tylnych łapach, a przednimi, uzbrojonymi w pazury, przebierał w powietrzu. Na widowni wywołało to aplauz.

Tygrys skakał po stołkach, które ojciec Matta rozsuwał coraz szerzej. Przy ostatnim skoku wstrzymałam oddech. Nie byłam pewna, czy zwierzę doskoczy do taboretu, ale treser wykonał zachęcający gest. Tygrys zebrał się w sobie, skulił, ostrożnie ocenił odległość i w końcu dał susa. Przez kilka chwil całe jego rozciągnięte ciało płynęło w powietrzu. Był niesamowity. Dosięgnąwszy stołka łapami, przeniósł ciężar ciała do przodu i z gracją wylądował na tylnych nogach. Z łatwością obrócił swoje ogromne cielsko na stosunkowo niewielkim stołku i usiadł przodem do tresera.

Długo bilam brawo, zachwycona tą niezwykłą bestią. Tygrys zarzącał na komendę, stanął na tylnych łapach i zaczął mlócić pazurami powietrze. Ojciec Matta wykrzyknął kolejny rozkaz. Drapieżnik zeskoczył ze stołka i puścił się biegiem dookoła klatki. Treser podązał za nim, ze wzrokiem utkwionym w zwierzęciu. Trzymał pejcz tuż za ogonem tygrysa, motywując go, by nie zwalniał kroku.

Następnie młody asystent podał mu przez pręty klatki dużą obręcz. Tygrys przeskoczył przez nią, po czym szybko się odwrócił i wykonał skok w drugą stronę, i jeszcze raz, i jeszcze. Ostatnim numerem tresera było wsadzenie głowy do tygryskiej paszczy. Przez widownię przeszedł szmer. Matt zeszywniał. Tygrys otworzył paszczę niemożliwie szeroko. Dostrzegłam jego ostre zęby i ze zdenerwowania aż wychyliłam się do przodu. Ojciec Matta powoli zbliżył głowę do pyska bestii. Tygrys zamrugał oczami, ale się nie poruszył, a jego mocne szczęki rozwarły się jeszcze szerzej. Ojciec Matta wsunął mu głowę do paszczy tak głęboko, jak się tylko dało. Wystarczyłoby

jedno kłapnięcie. W końcu powoli wyciągnął głowę. Gdy był już poza zasięgiem ostrych zębisk, odsunął się, a publiczność wybuchła hulaśliwym aplauzem. Treser uklonił się kilka razy. Wokół pojawili się pomocnicy, by rozmontować klatkę.

Nie mogłam oderwać wzroku od tygrysa, który siedział teraz na jednym ze stolków. Patrzyłam, jak się oblizuje. Marszczył pysk, zupełnie jakby poczuł jakiś dziwny zapach. Wyglądał prawie jak kot, który usiłuje wykrztusić kłaczek sierści. Po chwili otrząsnął się i dalej siedział już spokojnie.

Ojciec Matta uniósł ręce do góry. Widownia klaskała i wznosiła okrzyki. Znów rozległ się trzask bicia i tygrys szybko zeskoczył ze stolka, ruszył tunelem i zniknął w mobilnej klatce. Ojciec Matta zbiegł ze sceny i ukrył się za płócienną zasłoną.

Pan Maurizio zakrzyknął dramatycznym głosem:

— Brawo Dhiren! *Mille grazie!* Dziękujemy za przybiczko do Cyrku Maurizio!

Gdy klatka z tygrysem przetaczała się obok mnie, nagle zapragnęłam pogłaskać zwierzę po głowie i pocieszyć je. Nie wiedziałam, czy tygrysy okazują emocje, ale zdawało mi się, że w jakiś dziwny sposób wyczuwam jego nastrój. Sprawiał wrażenie smutnego.

W tej właśnie chwili owiał mnie delikatny wietrzyk, niosący zapach jaśminu i drzewa sandalowego, który całkowicie stłumił unoszącą się w namiocie silną woń prażonej kukurydzy z masłem i waty cukrowej.

Serce zabiło mi szybciej, a ramiona pokryły się gęsią skórką. Ale cudowny zapach zniknął równie szybko, jak się pojawił, a ja z jakiegoś tajemniczego powodu poczułam pustą, czarną dziurę na samym dnie żołądka.

Zapalono światła. Dzieci pędem ruszyły do wyjścia. Ja wciąż jeszcze do końca się nie otrząsnęłam. Powoli wstałam, obróciłam się i wbiłam wzrok w zasłonę, za którą zniknął tygrys. Nadal czułam niezrozumiały niepokój i leciutki zapach drzewa sandalowego w powietrzu. Uff! Chyba cierpię na nadwrażliwość.

Przedstawienie się skończyło, a ja najwyraźniej zwariowałam.

TYGRYS



Dzieciaki z halasem wybiegły z cyrku. Autobus na parkingu odpalił silnik i obudził się do życia, warcząc, sycząc i sapiąc z rury wydechowej. Matt wstał i przeciągnął się.

— Gotowa na prawdziwą pracę?

Jęknęłam. Już teraz bolą mnie mięśnie ramion.

— Jasne, do roboty.

Matt zaczął sprzątać śmieci z siedzeń, a ja szłam za nim i ustawiałam krzeselka pod ścianą. Gdy skończyliśmy, Matt podał mi miotłę.

— Musimy pozamiatać cały namiot i zapakować wszystko do pudeł, które później schowamy. Zacznij tutaj, a ja zaniosę kasetki z pieniędzmi panu Maurizio.

— Nie ma sprawy.

Zaczęłam powoli i systematycznie przesuwając miotłą po podłodze. Przemieszczałam się po sali tam i z powrotem, jak pływaczka w basenie. Myślami wróciłam do spektaklu. Najbardziej podobały mi się psy, ale to w tygrysie było coś przyciągającego. Nie mogłam przestać o nim myśleć.

Ciekawe, jaki jest z bliska. I czemu pachnie drzewem sandalowym?

Na temat tygrysów nie wiedziałam nic prócz tego, co widywałam czasem późnym wieczorem na Nature Channel, a także w starych numerach National Geographic. Wprawdzie nigdy wcześniej nie interesowałam się zbytnio wielkimi kotami, ale i nigdy wcześniej nie pracowałam w cyrku.

Gdy wrócił Matt, właśnie kończyłam zamiatać. Schylił się i pomógł mi znieść wielką górę śmieci na szufelkę, po czym spędziliśmy dobrą godzinę, pakując pudła i dźwigając je na zaplecze.

Kiedy skończyliśmy, Matt oświadczył, że mogę zrobić sobie godzinę lub dwie przerwy przed kolacją. Z radością powitalam myśl o chwili tylko dla siebie i od razu pobiegłam do namiotu. Przebrałam się, umościłam w miarę wygodnie na łóżku i wyciągnęłam pamiętnik. Gryząc długopis, wróciłam myślami do ciekawych ludzi, których dziś poznałam. Widać było, że traktują się nawzajem jak rodzinę. Kilka razy zauważyłam, jak sobie pomagali, nawet jeśli nie należało to do ich obowiązków. Napisałam również co nieco o tygrysie. Tygrys mnie naprawdę zainteresował. Pomyślałam, że może powinnam zająć się pracą ze zwierzętami i iść na studia w tym kierunku. Zaraz jednak przypominałam sobie, jak straszliwie nie lubię biologii, więc na tym polu z pewnością nie zasłabym daleko.

Był już prawie czas kolacji. Smakowite zapachy dochodzące z głównego budynku sprawiły, że pociekła mi ślinka. W niczym nie przypominały woni wegańskich ciasteczek Sary. Nie, miały domowy aromat babcinych herbatników i sosu do pieczenia.

Gdy weszłam do środka, Matt ustawiał krzesła przy ośmiu długich składanych stolach. Jeden z nich był zastawiony włoskim jedzeniem na wynos. Wyglądało fantastycznie. Zaproponowałam Matto pomocy, ale on odprawił mnie machnięciem ręki.

— Ciężko dziś pracowałaś, Kelsey. Odpocznij, poradzę sobie — powiedział.

Cathleen przywołała mnie ruchem dłoni.

— Chodź, usiądź koło mnie. Nie możemy zacząć, zanim pan Maurizio nie wygłosi wieczornej przemowy.

Rzeczywiście, gdy tylko wszyscy usiedliśmy, pan Maurizio teatralnym krokiem wszedł do budynku.

— Moi drodzy, *favoloso* przedstawienie! Zwłaszcza nasza nowa biuleterka wykonała *eccellente* robotę, he? Dzisiaj szwientujemy! *Mangiate*. Napelnijcie talerze, *mia famiglia!*

Roześmiałam się. Najwidoczniej pan Maurizio odgrywał swoją rolę również poza areną.

Obróciłam się do Cathleen.

— To chyba znaczy, że dobrze się spisaliśmy?

— Aha. Jedzmy! — odparła.

Wyczekałyśmy na swoją kolej, po czym wzięłam ze stołu papierowy talerz i nałożyłam na niego salatkę włoską, dużą porcję makaro-

nowych muszelek nadziewanych szpinakiem oraz serem i polanych sosem pomidorowym, a także kurczaka z parmezanem. Ponieważ na talerzu zabrakło już miejsca, wsadziłam w zęby ciepłą bagietkę, potem chwyciłam butelkę wody i usiadłam. Na stole zauważyłam również przewidziany na deser wielki czekoladowy sernik, nie byłam jednak nawet w stanie dokończyć tego, co już miałam na talerzu. Z ciężkim westchnieniem zrezygnowałam ze słodkości.

Po kolacji schroniłam się w cichym kącie budynku, żeby zadzwonić do Sary i Mike'a. Gdy się rozłączyłam, podeszłam do Matta, który chował do lodówki resztki kolacji.

— Nie widziałam przy stole twojego taty. Nie jada o tej porze?

— Zaniósłem mu talerz. Był zajęty tygrysem.

— Jak długo twój tata z nim pracuje? — zapytałam, chętna by dowiedzieć się jak najwięcej o imponującym zwierzęciu. — Z tego, co było napisane w ogłoszeniu, wynika, że mam jakoś mu przy nim pomagać.

Matt przesunął do połowy pustą butelkę soku pomarańczowego, wcisnął obok pudełko z jedzeniem i zamknął lodówkę.

— Tata pracuje z tygrysem od jakichś pięciu lat. Pan Maurizio kupił zwierza od innego cyrku, a oni z kolei kupili go od jeszcze innego. Właściwie nie znamy jego historii. Tata mówi, że tygrys wykonuje tylko standardowe sztuczki i nie chce uczyć się niczego nowego, ale za to nie sprawia problemów. Jest bardzo spokojny, wręcz łagodny, w każdym razie jak na tygrysa.

— A co ja mam z nim robić? Czy naprawdę mam **go** karmić?

— Nie martw się. To nie takie trudne, oczywiście o ile będziesz unikać jego ostrych zębów — odparł Matt. — Żartowałem. Będziesz po prostu przynosić mu jedzenie z innego budynku. Idź jutro do mojego taty. On ci wszystko wyjaśni.

— Dzięki, Matt!

Stwierdziłam, że wprawdzie na dworze będzie jasno jeszcze przez jakąś godzinę, ale jutro znów muszę wstać wcześniej. Wzięłam prysznic, umyłam zęby i włożyłam ciepłą flanelową piżamę oraz kapcie. Pobieglam do namiotu i umościłam się wygodnie na łóżku pod babcinym pledem. Po przeczytaniu rozdziału książki, którą wzięłam ze sobą, poczułam, że ogarnia mnie znużenie, i szybko zapadłam w głęboki sen.



Następnego ranka po śniadaniu pobiegłam do psiej przyczepy i zastałam tatę Matta bawiącego się ze swymi podopiecznymi. Jego syn był bardzo do niego podobny — miał te same brązowe włosy i piwne oczy. Gdy podchodziłam, treser obrócił się w moją stronę i powiedział:

— Witaj. Nazywasz się Kelsey, prawda? Podobno masz być dzisiaj moją asystentką.

— Zgadza się, proszę pana.

Ciepło uściśnął mi dłoń i uśmiechnął się.

— Mów do mnie Andrew albo panie Davis, jeśli wolisz bardziej oficjalną formę. Po pierwsze musimy zabrać te wesole potworki na spacer.

— To chyba nic trudnego.

Ojciec Matta roześmiał się.

— Zobaczymy.

Pan Davis wręczył mi pięć smyczy. Psy stanowiły interesującą zbieraninę. Pierwszy był biglem, drugi mieszkańcem charta z czymś innym, trzeci buldogiem, czwarty dogiem, a piąty małym czarnym pudelkiem. Zwierzaki skakały na wszystkie strony, oplatając smyczami siebie nawzajem — i mnie. Gdy pan Davis pomógł mi je rozplątać, wyruszyliśmy.

Był piękny poranek. Zarośla pachniały świeżością, a psy skakały radośnie, ciągnąc mnie we wszelkich możliwych kierunkach z wyjątkiem tego, w którym chciałam iść. Rozkopywały suche igły i liście, obwąchując każdy centymetr kwadratowy ziemi. Odplątawszy jedną ze smyczy, zamotaną wokół drzewa, odezwałam się do tresera:

— Czy mogę zadać panu kilka pytań na temat tygrysa?

— Jasne. Pytaj.

— Matt powiedział, że nie znacie jego historii. Jak się tu znalazł?

Pan Davis podrapał się po zarośniętym podbródku i odparł:

— Pojawił się u nas, kiedy pan Maurizio kupił go od innego małego cyrku. Chciał ożywić nasze spektakle. Stwierdził, że skoro dobrze sobie radzę z innymi zwierzętami, to pewnie poradzę sobie z tygrysem. Ryliśmy bardzo naiwni. Zazwyczaj praca z dużymi kotami wymaga nauki i przygotowania. Ale pan Maurizio nalegał, bym spróbował, i na szczęście dla mnie nasz tygrys okazał się bardzo posłuszny.

Byłem kompletnie nieprzygotowany do opieki nad zwierzęciem tych rozmiarów, mimo że przez krótki czas podróżowałem z tamtym cyrkiem. Ich treser nauczył mnie, jak obchodzić się z tygrysem i jak

się nim zajmować. Nie sędzę jednak, bym potrafił objąć pieczę nad dzikim kotem innym niż Dhiren. Próbowali mnie również zainteresować bardzo agresywną tygrysią syberyjską, ale szybko uświadomiłem sobie, że nie takiego zwierza nam potrzeba. Zamiast niej wynegocjowałem tego tutaj. Był spokojniejszy i odniosłem wrażenie, że lubi ze mną pracować. Teraz, szczerze mówiąc, przez większość czasu wydaje mi się, że go nudzę.

Przez chwilę trawiłam te informacje. Kroczyliśmy ścieżką w milczeniu. Po chwili, odplątując psy od kolejnego drzewa, zapytałam:

— Czy białe tygrysy pochodzą z Indii? Myślałam, że mieszkają na Syberii.

Pan Davis uśmiechnął się.

— Wielu ludzi myśli, że białe tygrysy pochodzą z Rosji, ponieważ jasne futro zlewa się z barwą śniegu, ale tygrysy syberyjskie są większe, a ich futro ma rudą barwę. Nasz kot to tygrys bengalski, zwany też indyjskim. — Przez chwilę patrzył na mnie w zamyśleniu, po czym spytał: — Gotowa do pomocy? Klatki mają zabezpieczenia, a ja przez cały czas będę cię nadzorował.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie słodkiej woni jaśminu i drzewa sandalowego pod koniec wczorajszego występu. Jeden z psów zaczął biegać wokół moich nóg, oplątując mnie smyczą i wrywając z rozmarzenia.

— Bardzo chętnie, dziękuję — odpowiedziałam.

Po spacerze odprowadziliśmy podopiecznych do psiarni i daliśmy im jeść. Pan Davis napełnił koryto wodą z zielonego gumowego węża. Spojrzał przez ramię i rzekł:

— Czy wiesz, że w ciągu najbliższych dziesięciu lat tygrysy mogą całkowicie zniknąć z powierzchni ziemi? W Indiach uchwalono już prawo zabraniające ich zabijania. Zazwyczaj winni są kłusownicy i wieśniacy. Tygrysy raczej unikają ludzi, ale i tak mają na sumieniu wiele ofiar rocznie i czasem okoliczni mieszkańcy biorą sprawy w swoje ręce.

Następnie pan Davis dał znak, bym poszła za nim. Skręciliśmy w stronę dużej bialo-niebieskiej stodoly. Pan Davis otworzył szerokie wrota. Do środka wpadły jasne promienie słońca, ogrzewając wnętrze i prześwietlając unoszące się w powietrzu drobinki kurzu. Zdziwiła mnie ilość światła w tym wielkim budynku, w którym były tylko dwa wysokie okna. Drewniane belki podtrzymywały dach szerokimi lukami. Wzdłuż ścian w zagrodach przeznaczonych pierwotnie dla zwierząt tkwiły bele siana, ułożone w stosy aż pod sufit.

Szłam za panem Davisem, aż stanęliśmy przy pięknej klatce na kochach, która brała udział we wczorajszym spektaklu.

Ojciec Matta podniósł z podłogi pojemnik z preparatem witaminowym w płynie i powiedział:

— Kelsey, oto Dhiren. Podejdź, coś ci pokażę.

Zbliżyliśmy się do klatki. Tygrys, wyrwany z drzemki, uniósł łeb i przyglądał mi się z ciekawością jasnymi błękitnymi oczyma.

Te oczy. Były hipnotyzujące. Wpatrywały się wprost we mnie, prawie jakby tygrys chciał zajrzeć w moją duszę.

Poczułam się bardzo samotnie, ale jakoś udało mi się zepchnąć to uczucie w najdalszy, ciemny kącik serca. Przelknęłam ślinę i ode-rwałam wzrok od oczu zwierzęcia.

Pan Davis pociągnął za dźwignię z boku klatki. Opadła krata, od-dzielająca obszar klatki tuż za drzwiami od tygrysa. Treser otworzył drzwi, napełnił miskę wodą, dodał jedną czwartą szklanki preparatu witaminowego i z powrotem zamknął drzwi. Następnie pociągnął dźwignię, na nowo podnosząc kratę.

— Zajmę się teraz papierami. Chciałbym, żebyś przyniosła tygry-sowi śniadanie — polecił. — Wróć do głównego budynku. Za pudłami znajdziesz lodówkę. Weź ze sobą ten czerwony wózek i przywieź na nim mięso z lodówki. Gdy tam będziesz, wyjmij kolejne opakowanie z zamrażalnika i włóż do lodówki, żeby się rozmroziło. Kiedy wrócisz, zostaw mięso w klatce, tak jak ja zostawiłem wodę. Pamiętaj, żeby najpierw spuścić kratę. Dasz radę?

Złapałam za uchwyt wózka.

— Nie ma sprawy — rzuciłam przez ramię, ruszając w stronę drzwi. Szybko znalazłam mięso i po paru minutach byłam z powrotem.

Mam nadzieję, że krata trzyma mocno, inaczej to ja będę jego śniadaniem, pomyślałam, ciągnąc za dźwignię, wykładając mięso do dużej miski i ostrożnie wsuwając ją do klatki. Przez cały czas bacznie obserwowałam tygrysa, który jednak siedział spokojnie i tylko mi się przyglądał.

— Panie Davis, Dhiren to męskie imię, prawda? To samiec? A może jednak samica?

Z klatki dobiegł głęboki pomruk wprost z tygryskiej piersi.

— A ty czemu na mnie warczysz?

Ojciec Matta roześmiał się.

— Ach, obraziłaś go. Jest bardzo wrażliwy. Odpowiadając na two-je pytanie, on jest samcem.

— Hmm.



Gdy tygrys zjadł, pan Davis zaproponował, żebym popatrzyła, jak ćwiczę przed spektaklem. Zamknęliśmy drzwi stodoly, zasuważąc je drewnianą belką, by się upewnić, że zwierze nie ucieknie. Następnie wzięłam drabinę i wspierałam się na poddasze, by stamtąd wszystko obserwować. Gdyby cokolwiek poszło nie tak, miałam wydostać się przez okno i wrócić z panem Maurizio. Ojciec Matta podszedł do klatki, otworzył drzwi i wywołał Dhirena. Kot spojrzął na niego i, wciąż zaspany, z powrotem ułożył głowę na łapach. Pan Davis zawołał jeszcze raz:

- Chodź!

Tygrysia paszcza otworzyła się na całą szerokość i wydobyło się z niej gigantyczne ziewnięcie. Zadrżałam, spoglądając na ogromne zębiska. Zwierzak wstał i przeciągnął najpierw przednie, a potem — jedną po drugiej — tylne łapy. Zaśmiałam się w kulak, bo złapałam się na tym, że porównuję tego wielkiego drapieżnika do zasnętego domowego mruczka. Tygrys obrócił się i podreptał po rampie w dół.

Pan Davis ustawił taboret i trzasnął z bicia, nakazując Dhirenowi wskoczyć na stół. Wyciągnął obręcz i tygrys przez kilka minut przeskakiwał przez nią w tę i w tę. Wszystkie numery zdawał się wykonywać bez najmniejszego wysiłku. Widziałam, jak pod czarno-białym przęgowanym futrem pracują mocne, twarde mięśnie.

Pan Davis wyglądał na dobrego tresera, ale zauważyłam kilka sytuacji, które tygrys mógłby wykorzystać — a jednak tego nie zrobił. W pewnym momencie twarz pana Davisa znalazła się bardzo blisko wyciągniętych tygrysiich pazurów i wystarczyłoby mu jedno machnięcie, zwierze jednak odsunął po prostu łapę. Innym razem mogłabym przysiąc, że treser nadepnął mu na ogon, ale Dhiren wydał tylko łagodny pomruk i przesunął ogon w drugą stronę. Było to bardzo dziwne i sprawiło, że poczułam jeszcze większą fascynację tym pięknym zwierzęciem, zastanawiając się, jak by to było go dotknąć.

Pan Davis poccił się z wysiłku w dusznej stodole. Nakazał tygrysowi wrócić na stół, po czym rozstawił obok trzy kolejne i zaczął ćwiczyć ze swym podopiecznym przeskakiwanie z jednego na drugi. W końcu poprowadził tygrysa do klatki, poczęstował go w nagrodę smakołykiem i gestem dłoni polecił, bym zeszła na dół.

— Kelsey, leć teraz pomóc Mattowi w przygotowaniach do spektaklu. Przyjeżdża dziś grupa z lokalnego kółka emerytów.

Zeszłam po drabinie.

— Czy mogłabym czasem przychodzić tu ze swoim pamiętnikiem? Chciałabym narysować Dhirena.

— W porządku. Tylko nie podchodź zbyt blisko.

Wybiegłam ze stodoly, pomachałam mu i krzyknęłam:

— Dziękuję, że pozwolił mi pan patrzeć. Było naprawdę super!

Pośpieszyłam pomagać Mattowi. Pierwszy autokar wjeżdżał właśnie na parking. Ten dzień był całkowitym przeciwieństwem poprzedniego. Przewodniczka wycieczki kupiła bilety dla wszystkich, co znacznie ułatwiło mi pracę, po czym widzowie powoli podreptali do namiotu, odnaleźli swoje miejsca i natychmiast zapadli w drzemkę.

Jak mogą spać w tym hałasie? Podczas antraktu nie mieliśmy wiele do roboty. Połowa publiczności wciąż drzemiała, druga zaś ustawiła się w kolejce do toalety. Nikt nic nie kupował.

Po występie Matt i ja szybko posprzątałyśmy, dzięki czemu miałam dobrych kilka godzin tylko dla siebie. Pobiegłam do swojego kącika, wyciągnęłam pamiętnik, pióro, ołówek oraz babciny pled i udałam się do stodoly. Z trudem otworzyłam ciężkie drzwi i zapaliłam światło.

Zbliżywszy się do klatki z tygrysem, zastałam go ułożonego wygodnie z głową na łapach. Dwie bele siana znakomicie zastąpiły mi fotel, a pled grzał nogi. Otworzyłam pamiętnik.

Po napisaniu kilku akapitów zabrałam się do szkicowania. W szkole średniej wzięłam kilka lekcji, więc rysowanie z natury szło mi całkiem nieźle. Chwyciłam ołówek i spojrzałam na swojego modela. Patrzył prosto na mnie — ale nie tak, jakby miał ochotę mnie zjeść, bardziej jakby... chciał mi coś powiedzieć.

— Hej, mój panie. Na co się tak gapisz? — Uśmiechnęłam się.

Zaczęłam rysować. Okrągłe oczy tygrysa były szeroko rozstawione i intensywnie błękitne. Miał długie, czarne rzęsy i różowy nos. Jego futro było miękkie, kremowobiałe z czarnymi pręgami rozchodzącymi się promieniście od pyska aż po ogon. Krótkie, pokryte puszystą sierścią uszy były nastawione w moim kierunku, a głowa leniwie spoczywała na łapach. Obserwując mnie, tygrys niespiesznie wymachiwał ogonem.

Wiele czasu zajęło mi dokładne oddanie układu pręg, gdyż dowiedziałam się od pana Davisa, że nie istnieją dwa tygrysy, u których jest on taki sam. Okazało się, że tygrysie pręgi są znakiem rozpoznawczym w tym samym stopniu, co u ludzi odciski palców.

Rysując, cały czas przemawiałam do zwierzaka:

— Jak ty masz na imię? A, no tak, Dhiren. Ale będę cię nazywać Ren. Nie masz chyba nic przeciwko? Jak ci mija dzień? Mam nadzieję, że śniadanie było smaczne. Wiesz, masz bardzo przyjemny pysk jak na stworzenie, które mogłoby mnie pożreć.

Po chwili ciszy, którą przerywało tylko skrobanie ołówka po papierze i głęboki, rytmiczny oddech leżącego przede mną wielkiego zwierzęcia, zapętałam:

— Lubisz życie w cyrku? Wyobrażam sobie, że wieczne tkwienie w klatce nie jest dla ciebie zbyt ekscytujące. M n i e z pewnością by się nie podobało.

Zamilkłam na chwilę i przygryzając wargę, naszkicowałam cię padający na prążki na tygrysim pysku.

— Lubisz poezję? Przyniosę kiedyś tomik i trochę ci poczytam. Jest tam chyba jeden wiersz o kocie, który mógłby przypaść ci do gustu.

Uniosłam wzrok znad rysunku i z zaskoczeniem stwierdziłam, że tygrys zmienił pozycję. Siedział teraz z głową nachyloną w moją stronę i bacznie mi się przyglądał. Ogarnęło mnie lekkie zdenerwowanie. Wielki dziki kot o tak intensywnym spojrzeniu z pewnością nie zwiastuje nic dobrego.

W tym momencie do stodoły wszedł ojciec Matta. Tygrys zwałił się na bok, ale głowę miał wciąż zwróconą w moją stronę i przypatrywał mi się przenikliwie błękitnymi oczami.

— Hej mała, jak sobie radzisz?

— Hmm, dobrze. Mam do pana pytanie. Czy on nie czuje się tu samotny? Próbowaliście, no wie pan, znaleźć mu dziewczynę?

Pan Davis wybuchnął śmiechem.

— Nic z tego. Ten okaz lubi samotność. W poprzednim cyrku powiedzieli, że próbowali go połączyć z białą samicą z zoo, która akurat miała ruję. Nie dał się. Przestał jeść, więc go stamtąd wyciągnęli. Najwidoczniej woli stan kawalerski.

— Ach, tak. Pójdę lepiej do Matta i pomogę mu z kolacją. — Zamknęłam pamiętnik i zebrałam swoje rzeczy.

Idąc w stronę głównego budynku, myślami wciąż pozostawałam przy tygrysie. Biedak. Sam jeden bez tygryscy ani tygrysiątek. Żadnego jelenia do upolowania. Zamknięty w niewoli. Było mi go szkoda.

Po kolacji znów pomogłam ojcu Matta wyprowadzić psy, po czym ułożyłam się do snu. Leżąc z rękami pod głową, wpatrywałam się w sufit namiotu i nadal rozmyślałam o tygrysie. Po jakichś dwudziestu minutach bezsenno przewracania się z boku na bok postano-

wiłam jeszcze raz odwiedzić stodołę. Gdy do niej weszłam, zapaliłam światło przy samej klatce, pozostałe pozostawiwszy zgaszone. Usadowiłam się pod babcinym pledem na stercie siana, a ponieważ ogarnęła mnie romantyczna tęsknota, przyniosłam ze sobą egzemplarz *Romea i Julii* w miękkiej oprawie.

— Cześć, Ren. Czy mogę ci chwilę poczytać? Wprawdzie w historii Romea i Julii nie ma tygrysów, ale Romeo wspina się na balkon, możesz sobie więc wyobrazić siebie wspinającego się na drzewo, dobrze? Poczekaj minutę. Najpierw stworzymy właściwą scenę.

Była pełnia, wyłączyłam więc lampę. Do czytania wystarczyło światło księżyca, wpadające przez dwa wysokie okna.

Tygrys uderzył ogonem w drewnianą podłogę klatki. Ułożyłam się na boku, uklepałam ze słotny prowizoryczną poduszkę i zaczęłam czytać na głos. W półmroku dostrzegałam jego profil i błyszczące oczy. W końcu poczułam zmęczenie i westchnęłam.

— Ach. Nie ma już takich mężczyzn jak Romeo. Może nigdy nie było. Z wyjątkiem tu obecnych, rzecz jasna. Nie wątpię, że jesteś bardzo romantycznym tygrysem. Cudowni byli ci faceci u Szekspira, prawda?

Zamknęłam oczy, by dać im chwilę odpocząć, i obudziłam się dopiero następnego ranka.



Od tamtej nocy spędzałam cały wolny czas w stodole z tygrysem Renem. Wyglądało na to, że lubi moje towarzystwo, bo zawsze nadstawiał uszu, gdy zaczynałam mu czytać. Tak często zadreżczałam ojca Matta pytaniami o tygrysie zwyczajnie, że w końcu zaczął mnie unikać. Mimo to doceniał moją pracę.

Co dzień wstawalam wcześniej, by zająć się zwierzętami, a każdego popołudnia siadałam z pamiętnikiem przy klatce Rena. Wieczorami przynosiłam ze sobą pled i książkę. Czasami wybierałam jakiś wiersz i odczytywałam go na głos. Innym razem po prostu przemawiałam do tygrysa.



Pewnego dnia, mniej więcej tydzień po rozpoczęciu pracy w cyrku, jak zwykle oglądałam z Mattem spektakl. Gdy nadszedł czas występu Rena, zwierzak zachowywał się jakby inaczej niż zwykle.

Przez tunel z metalowej siatki wszedł na arenę i zaczął biegać w kółko, a potem kilka razy przemierzył klatkę tam i z powrotem. Przez cały czas rozglądał się po widowni, zupełnie jakby czegoś szukał.

W końcu zamarł niczym posąg i wbił wzrok prosto we mnie. Jego spojrzenie spotkało się z moim, a ja nie mogłam odwrócić głowy. Usłyszałam kilka trzaśnień bata, ale tygrys wciąż patrzył tylko na mnie. Matt szturchnął mnie łokciem. Oderwałam oczy od zwierzęcia.

— To naprawdę dziwne — stwierdził chłopak.

— Co się dzieje? — spytałam. — Czemu on na nas patrzy?

Matt wzruszył ramionami.

— To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Nie wiem.

Ren w końcu odwrócił się i rozpoczął normalny występ.

Po przedstawieniu i skończonej pracy poszłam odwiedzić Rena, który chodził po klatce tam i z powrotem. Gdy mnie zobaczył, usiadł, a potem ułożył się wygodnie i oparł leb na łapach. Podeszłam do klatki.

— Hej, Ren. Co się z tobą dzisiaj dzieje, kolego? Martwię się o ciebie. Mam nadzieję, że nie jesteś chory.

Tygrys leżał spokojnie, ale cały czas na mnie patrzył, śledząc każdy mój ruch. Powoli zbliżyłam się do prętów klatki. Czulałam jakieś przyciąganie, bardzo silny, niebezpieczny wewnętrzny przymus, któremu nie potrafiłam się oprzeć. Był niemal fizycznie wyczuwalny. Ryć może wziął się z tego, że oboje byliśmy samotni, a może z tego, że Ren był takim pięknym stworzeniem. Nie wiem czemu, ale zapragnęłam — *m u s i a l a m* — go dotknąć.

Wiedziałam, że to ryzykowne, ale nie bałam się. W jakiś dziwny sposób czulałam, że mnie nie skrzywdzi, zignorowałam więc sygnały alarmowe, które rozdzwoniły się w mojej głowie. Serce zaczęło mi bić bardzo szybko. Zrobiłam kolejny krok w stronę klatki i drżąc, zatrzymałam się tuż przy prętach. Ren się nie ruszał. Patrzył na mnie tylko spokojnie swoimi pełnymi życia błękitnymi oczami.

Powoli wyciągnęłam rękę i samymi opuszkami palców dotknęłam miękkiego, białego futra na jego łapie. Tygrys westchnął głęboko, ale nie poruszył się. Ośmielona, położyłam całą dłoń na jego łapie, pogłaskałam ją i przesunęłam palcem po czarnym prążku. Ani się spostrzegłam, jak jego leb zbliżył się do mojej ręki. Zanim zdążyłam odsunąć dłoń, on ją polizal. Poczulałam laskotanie.

Szybko cofnęłam rękę.

— Ren! Przestraszyłeś mnie! Myślałam, że odgryziesz mi palce! -
Z wahaniem znów zbliżyłam dłoń do klatki, a jego różowy język wy-
lonił się spomiędzy prętów i znów ją polizal. Pozwoliłam mu zrobić
to jeszcze kilka razy, po czym ruszyłam w stronę zlewu, żeby zmyć
tygrysią ślinę.

Powróciwszy na swoje ulubione miejsce przy stercie siana, po-
wiedziałam:

— Dzięki, że mnie nie zjadłeś.

Tygrys cicho sapnął w odpowiedzi.

— Co masz ochotę dziś poczytać? Może ten wiersz o kocie, który
ci obiecałam?

Usiadłam, otworzyłam tomik poezji i odnalazłam właściwą stronę.

— Dobrze, więc słuchaj:

To ja, kot autorstwa Leili Usher

W Egipcie składano mi cześć.

To ja, kot.

Bo nie zginam karku przed wolą człowieka.

Mówią o mnie: tajemnica.

Kiedy bawię się złapaną myszą,

Nazywają mnie okrutnym —

Ci sami, co inne zwierzęta

Trzymają za kratami,

By gapić się na nie.

Myślą, że wszystkie zwierzęta istnieją dla ich przyjemności,

Po to, by być ich niewolnikami.

Ja zabijam, bo muszę,

Oni — dla przyjemności, władzy i złota.

A mają się za lepszych!

Czemu miałbym ich kochać?

Ja, kot, którego przodkowie

Dumnie przemierzali dżungłę,

Nieposkromieni przez człowieka.

Ach, czy oni wiedzą,

Że ta sama nieśmiertelna dłoń,

Co ich stworzyła, i we mnie tchnęła życie?

Ale ja jestem samotny i wolny.

To ja, KOT.

Zamknęłam książkę i spojrzałam na tygrysa w zamyśleniu. Wyobraziłam go sobie, jak szlachetny i dumny przemierza dziką gęstwinę. Nagle zrobiło mi się go bardzo, bardzo żal. To nie może być dobre życie, takie występy w cyrku, nawet z najlepszym treserem. Tygrys to nie zwierzę domowe. Powinien być na wolności.

Wstałam i znów do niego podeszłam. Z wahaniem wyciągnęłam rękę i jeszcze raz pogłaskałam go po łapie. Różowy język natychmiast wysunął się do przodu i polizal moją dłoń. Wybuchnęłam śmiechem, ale już za chwilę spoważniałam. Powoli przesunęłam dłoń w stronę jego pyska i pogładziłam miękkie futro. Następnie, ośmielona, podrapałam go za uchem. W tygrysim gardle rozbrzmiał głęboki, wibrujący dźwięk i zrozumiałam, że mruczy. Uśmiechnęłam się i znów go podrapałam.

— Podoba ci się, co?

Powoli wyciągnęłam rękę z klatki i przez chwilę przyglądałam się zwierzęciu, rozmyślając nad tym, co się stało. Na tygrysim pysku malowała się niemal ludzka mina, pełna melancholii. Jeśli tygrysy mają dusze, a mają na pewno, jego dusza musi być samotna i smutna.

Spojrzałam w jego wielkie błękitne oczy i wyszeptalam:

— Chciałabym, żebyś był wolny.

NIEZNAJOMY



Dwa dni później, gdy weszłam do stodoly, obok klatki Rena zastałam wysokiego, eleganckiego mężczyznę w drogim, czarnym garniturze. Jego włosy były gęste, białe i krótkie, a wąsy oraz bródka — starannie przystrzyżone. Miał ciemnobrązowe, prawie czarne oczy, długi orli nos i oliwkową cerę. Mężczyzna był sam, przemawiał do tygrysa cichym, łagodnym głosem i zdecydowanie nie pasował do scenerii stodoly.

— Dzień dobry. Mogę w czymś pomóc? — zapytałam.

Nieznamy natychmiast obrócił się w moją stronę, uśmiechnął i odpowiedział:

— Witam! Panna Kelsey, jak mniemam. Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Anik Kadam. Bardzo mi przyjemnie panią poznać. — Złożył dłonie jak do modlitwy i uklonił się.

A mówią, że nie ma już prawdziwych džentelmenów.

— Rzeczywiście, mam na imię Kelsey. Czy mogę jakoś panu pomóc?

— Być może. — Mężczyzna uśmiechnął się ciepło i wyjaśnił: — Chciałbym porozmawiać z właścicielem cyrku o tym tu wspaniałym zwierzęciu.

Skonfundowana, odparłam:

— Oczywiście, pan Maurizio mieszka w czarnej przyczepie, na tyłach głównego budynku. Zaprowadzić pana?

— Proszę się nie kłopotać, moja droga. Ale pięknie dziękuję za propozycję. Natychmiast pójdę się z nim zobaczyć.

Obróciwszy się na pięcie, pan Kadam opuścił stodołę, cicho zamykając za sobą drzwi.

Sprawdziłam, czy z Renem wszystko w porządku, i powiedziałam:

— Dziwna sprawa. Ciekawe, czego chciał. Może lubi tygrysy. — Zawahałam się przez chwilę, po czym wsunęłam dłoń między pręty klatki. Zdziwiona własną brawurą, szybko poglaskałam tygrysią łapę i zaczęłam przygotowywać Renowi śniadanie.

— Nie co dzień widuje się równie przystojnego tygrysa — rzuciłam przez ramię. — Pan Kadam zapewne chce po prostu pochwalić twoje zdolności.

Ren tylko sapnął w odpowiedzi.

Postanowiłam sama coś przekąsić i ruszyłam w stronę głównego budynku, gdzie zastałam niespotykany zwykle harmider. Ludzie plotkowali, zbici w male, porozrzucane po całej sali grupki. Chwyliłam czekoladową babeczkę oraz butelkę zimnego mleka i podeszłam do Matta.

— Co się dzieje? — wymamrotałam z buzią pełną ciasta.

— Właściwie to nie wiem. Mój tata i pan Maurizio mają ważne spotkanie z jakimś facetem. Kazali nam przerwać pracę i poczekać tutaj. Wszyscy zastanawiają się, o co chodzi.

— Hmm. — Usiadłam i dokończyłam babeczkę, przysłuchując się niestworzonym teoriom i spekulacjom członków zespołu. Nie musieliśmy długo czekać. Kilka minut później pan Maurizio, pan Davis i pan Kadam, mężczyzna, którego poznałam w stodole, wkroczyli do budynku.

— *Sedersi*, przyjaciele. Siadajcie. Siadajcie! — powiedział pan Maurizio, uśmiechając się od ucha do ucha. — Ten oto jegomoszcz, pan Kadam, uczynił ze mnie szczęśliwego człowieka. Zaproponował, że kupi naszego ukochanego *tigre*, Dhirena.

Przez salę przetoczyły się stłumione okrzyki zdziwienia. Ludzie tręcali się nawzajem łokciami i szeptem wymieniali jakieś uwagi.

Pan Maurizio ciągnął:

— No *jate silenzio*. Cśś, *amici miei*. Dajcie mi skończyc! Pan Kadam chce zabracz naszego *tigre* do Narodowego Parku Ranthambore w Indiach, wielkiego rezerwatu tygrysów. Jego *denaro* starczą, by utrzymacz zespół przez najbliższe dwa lata! Pan Davis zgadza się ze mną i również uważa, że *tigre* z pewnością będzie tam szczęśliwszy.

Zerknęłam na pana Davisa, który gorliwie kiwał głową.

— Umówiliśmy się, że skończymy spektakle na ten tidžen, a potem *tigre* poleci z panem Kadamem *con l'aereo*, samolotem, do Indii, my zaś ruszimy do kolejne miasto. Dhiren zostaje z nami do końca tidżodnia, aż do *grandioso* finału w najbliższą sobotę! — zakończył przemówienie pan Maurizio, po czym głośno poklepał pana Kadama po plecach. Następnie obaj opuścili salę.

Nagle wszyscy zaczęli biegać w kółko i wymieniać opinie. Patrzyłam po cichu, jak śmigają tam i z powrotem pomiędzy grupkami, jak stado kur w porze karmienia, raz po raz wyskakując z tłumu, by dziobnąć kolejny okruch informacji lub plotek. Rozmawiali tonem pełnym podniecenia i klepali się nawzajem po plecach, z ożywieniem gratulując sobie ściszonymi głosami tego, że mają zapewnioną placę na najbliższe dwa lata.

Zadowoleni byli wszyscy oprócz mnie. Siedziałam na swoim miejscu, trzymając pozostałość babeczki w osłabłej dłoni. Wciąż miałam otwartą buzię i czułam, jakbym przymarzła do krzesła. W końcu wzięłam się w garść i zwróciłam się do Matta.

— Co to oznacza dla twojego taty?

Chłopak wzruszył ramionami.

— Wciąż ma swoje psy, poza tym zawsze interesowała go praca z kucykami. Teraz, kiedy cyrk ma więcej pieniędzy, być może pan Maurizio zgodzi się kilka kupić.

Matt oddalił się, a ja zaczęłam rozmyślać nad pytaniem: co to wszystko oznacza dla mnie? Czułam... niepokój. Wiedziałam, że praca w cyrku i tak wkrótce się dla mnie skończy, ale dotąd starałam się nad tym nie zastanawiać. Będę naprawdę tęsknić za Renem. Do tej chwili nie zdawałam sobie z tego sprawy. Mimo to cieszyłam się jego szczęściem. Westchnęłam i skarciłam się w myślach za to, że pozwoliłam sobie na zbyt duże zaangażowanie. Choć wiedziałam, że tygrysowi będzie lepiej, martwiło mnie to, że nie będę mogła go odwiedzać ani do niego przemawiać. Do końca dnia wynajdywałam sobie zajęcia, żeby zbyt dużo o tym nie myśleć. Matt i ja pracowaliśmy całe popołudnie i dopiero po kolacji znalazłam czas na wizytę u Rena.

Pośpieszyłam do namiotu, chwyciłam babciny pled oraz książkę i pobiegłam do stodoly. Usadowiłam się w ulubionym miejscu, z nogami wyciągniętymi do przodu.

— Hej, Ren. Ale nowina, co? Wracasz do Indii! Naprawdę mam nadzieję, że będziesz tam szczęśliwy. Może znajdziesz sobie jakąś ładną tygrysięcę.

Z klatki dobiegło mnie głośnie „hrrmpff”. Pomyślałam przez chwilę, po czym powiedziałam:

— Hej, mam nadzieję, że pamiętasz, jak się poluje i tak dalej. Cóż, w rezerwacie pewnie będą mieli na ciebie oko i nie dadzą ci zginąć.

Usłyszałam jakiś odgłos dochodzący z tyłu sali, a gdy się odwróciłam, ujrzałam pana Kadama. Usiadłam prosto. Nieco mnie zawstydziło to, że mnie przyłapano na przemawianiu do tygrysa.

— Przepraszam, że przeszkadzam — odezwał się pan Kadam. — Widzę, że... darzy pani uczuciem tego tygrysa. Czy mam rację?

Bez zastanowienia odparłam:

— Owszem, lubię z nim spędzać czas. A więc podróżuje pan, ratując tygrysy z niewoli? To musi być ciekawa praca.

Pan Kadam uśmiechnął się.

— Och, nie jest to moje główne zajęcie. Tak naprawdę zarządzam dużą posiadłością. Tygrys jest przedmiotem zainteresowania mojego chlebodawcy, i to właśnie on złożył propozycję panu Maurizio. — Pan Kadam znalazł stólek, postawił go naprzeciwko mnie i usiadł, mimo swego imponującego wzrostu balansując na niskim siedzisku z naturalną łatwością, której nie spodziewałabym się po mężczyźnie w jego wieku. Spytałam:

— A pan też pochodzi z Indii?

— Tak — odpowiedział. — Tam się wiele lat temu urodziłem i tam dorastałem. Główna część majątku, którym zarządzam, również tam się znajduje.

Podniosłam z ziemi źdźbło słomy i owinęłam je sobie wokół palca.

— Czemu ten człowiek interesuje się Benem?

Pan Kadam zerknął przelotnie na tygrysa i oczy mu załśniły. Potem zapytał:

— Czy zna pani historię wspaniałego księcia Dhirena?

Pokręciłam głową.

— Nie znam.

— Dhiren, imię waszego tygrysa, w moim języku oznacza „silyn”. — Pan Kadam przekrzywił głowę i spojrzał na mnie w zamyśleniu. — Tak samo nazywał się pewien słynny indyjski książę, którego historia jest niezwykle ciekawa.

Uśmiechnęłam się szeroko.

— Unika pan odpowiedzi na moje pytanie, i to całkiem udatnie. Ale uwielbiam ciekawe opowieści. Pamięta pan, co się wydarzyło?

Pan Kadam wbil wzrok w jakiś punkt w oddali i uśmiechnął się.

— Myślę, że tak. - Jego głos się zmienił. Utracił swą żywą intonację, przybierając za to miękki, melodyjny ton. - Dawno temu był sobie potężny władca, który miał dwóch synów. Jednemu dał na imię Dhiren. Obaj bracia otrzymali najlepsze wykształcenie oraz pobrali naukę rzemiosła wojennego. Matka nauczyła ich miłości do ojczyzny i wszystkich zamieszkujących ją ludzi. Często pozwalała chłopcom bawić się z dziećmi z biedniejszych rodzin, gdyż pragnęła, by poznali potrzeby swoich poddanych. Nauczyło ich to również pokory i wdzięczności za otrzymane od losu przywileje. Ich ojciec dawał im przykład, jak mądrze rządzić królestwem. Zwłaszcza Dhiren wyrósł na odważnego, nieustraszonego przywódcę, a zarazem rozsądnego zarządcę. Jego brat również był odważny, silny i inteligentny. Kochał Dhirena, ale od czasu do czasu serce przeszywało mu ostre ukłucie zazdrości, gdyż mimo własnych sukcesów na wszystkich polach wiedział, że to Dhiren zostanie w przyszłości królem. W jego sytuacji podobne odczucia były czymś naturalnym. Dhiren potrafił robić na ludziach wrażenie swoją bystrością, inteligencją i siłą charakteru. Cechujące go rzadkie połączenie uroku i skromności sprawiło, że wyrósł na wybitnego polityka. Jako człowiek pełen sprzecznosci, był wielkim wojownikiem, a zarazem uznanym poetą. Ludzie kochali rodzinę królewską i z radością witali myśl o wielu szczęśliwych, spokojnych latach pod panowaniem Dhirena.

Zafascynowana opowieścią pokiwałam głową, po czym spytałam:

— Jak się potoczyły losy braci? Czy walczyli między sobą o tron?

Niemal niezauważalnie zmieniawszy pozycję na stolku, pan Kadam ciągnął:

— Król Rajaram, ojciec Dhirena, zaaranżował małżeństwo pomiędzy nim a córką władcy sąsiedniego królestwa. Od wieków te dwa kraje żyły ze sobą w zgodzie, ale ostatnio wzdłuż granic coraz częściej dochodziło do starć. Dhiren cieszył się z sojuszu nie tylko dlatego, że dziewczyna, która miała na imię Yesubai, była bardzo piękna, ale i dlatego że był na tyle mądry, by wiedzieć, iż małżeństwo przyniesie pokój jego ziemiom. Oficjalne zaręczyny ogłoszono, gdy Dhiren przeprowadzał inspekcję oddziałów wojska w innej części królestwa. Podczas nieobecności księcia jego brat zaczął spędzać czas z Yesubai i wkrótce młodzi zakochali się w sobie.

Tygrys prychnął głośno i kilka razy uderzył ogonem w drewnianą podłogę klatki. Zerknęłam na niego z troską, lecz wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

— Cśś, Ren — upomniałam go. — Daj panu Kadamowi dokończyć.

Tygrys ułożył leb na łapach. Pan Kadam mówił dalej.

— Brat zdradził Dhirena, by zdobyć kobietę, którą kochał. Doga-
dał się z potężnym, złym człowiekiem, który schwytał Dhirena, gdy
ten powracał do domu. Jako więźnia politycznego Dhirena ciągnięto
za wielbłądem i obwożono po mieście wroga, gdzie ludzie rzucali
w niego kamieniami, błotem i wielbłądzim łajnem. Torturowano
go, wylupiono mu oczy, ogolono głowę, a w końcu rozerwano jego
ciało na kawałki, które wrzucono do rzeki.

Wydalam stłumiony okrzyk.

— Jakie to okropne!

Oszolomiona opowieścią, miałam ochotę zasypać pana Kadama
gradem pytań, powstrzymałam się jednak, by dać mu dokończyć.
Przybysz z Indii skoncentrował spojrzenie na mojej twarzy, po czym
ciągnął poważnym tonem:

— Gdy poddani księcia dowiedzieli się, co się stało, wielki smutek
padł na całe królestwo. Są tacy, którzy twierdzą, że ludzie poszli nad
rzekę i wyciągnęli z niej poszarpane szczątki Dhirena, by urządzić
mu zasłużony pogrzeb. Inni mówią, że ciała nigdy nie znaleziono.
Gdy król i królowa usłyszeli o śmierci ukochanego syna, pogrążyli
się w żalu i głębokiej rozpacz. Wkrótce oboje odeszli z tego świa-
ta. Brat Dhirena uciekł, okryty hańbą. Yesubai odebrała sobie życie.
Imperium Mudżulain ogarnął chaos. Gdy zabrakło silnego głosu ro-
dziny królewskiej, władzę przejęło wojsko. W końcu tron objął zły
człowiek, który zabił Dhirena, ale doszło do tego dopiero po pięć-
dziesięciu latach straszliwych wojen i rozlewu krwi.

Pan Kadam skończył mówić i zapadła niemal namacalna cisza.
Z zamyślenia wyrwał mnie szelest tygrysiego ogona.

— Co za historia. Ale czy on ją kochał?

— O kim pani mówi?

— Czy Dhiren kochał Yesubai?

Pan Kadam zamrugał.

— Hm... nie wiem. W tamtych czasach często aranżowano mał-
żeństwa i rzadko kiedy myślano o miłości.

— To bardzo smutna historia. Żal mi wszystkich bohaterów, rzecz
jasna z wyjątkiem tego wstrętnego typu. Wspaniała opowieść, cho-
ciaż trochę krwawa. Indyjska tragedia. Przypomina mi Szekspira.
Mógłby napisać na jej podstawie genialną sztukę. Czy w takim razie
Rena nazwano na cześć tamtego księcia?

Pan Kadam uniósł brwi i uśmiechnął się.

— Na to wygląda.

Spojrzałam na tygrysa z uśmiechem.

— Widzisz, Ren? Jesteś bohaterem! Stoisz po stronie dobra! — Ren nastawił uszu i zamrugał, wpatrując się we mnie. — Dziękuję, że opowiedział mi pan tę historię. Z pewnością opisze ją w pamiętniku — obiecałam, po czym wróciłam do swojego pierwszego pytania. — Jednak pańska opowieść nie tłumaczy, czemu pana pracodawca interesuje się tygrysami.

Pan Kadam odchrząknął, po czym zamilkł na chwilę, przypatrując mi się z ukosa. Jak na kogoś tak elokwentnego, bardzo dziwnie się zaczął, wypowiadając następujące słowa:

— Mojego chlebodawcę łączy wyjątkowy związek z tym oto białym tygrysem. Widzi pani, on wini się za to, że Dhiren znalazł się w niewoli... nie, to zbyt mocne słowo... za to, że go schwytano. Mój chlebodawca wbrew woli znalazł się w sytuacji, która doprowadziła do tego, że tygrysa zamknięto w klatce i sprzedano. Podążał za nim przez ostatnie kilka lat, a teraz w końcu zyskał możliwość naprawienia swego błędu.

— Ha. To bardzo ciekawe. A więc to była jego wina, że Rena złapano? To bardzo mile z jego strony, że tak troszczy się o los zwierzęcia. Proszę mu podziękować za to, co robi dla Rena.

Pan Kadam uprzejmie skłonił głowę, po czym z wahaniem spojrział na mnie poważnym wzrokiem i powiedział:

— Panno Kelsey, mam nadzieję, że nie poczyna mi pani tego za impertyncję, ale potrzeba nam kogoś, kto towarzyszyłby tygrysowi w podróży do Indii. Nie będę miał możliwości zajmować się nim na co dzień, ani nawet pozostać przy nim przez całą drogę. Pytałem już pana Davisa, czy nie mógłby pojechać z Dhirenem, ale okazuje się, że musi zostać w cyrku.

Pan Kadam wstał się ze swego stolka i delikatnie gestykułując, oznajmiał:

— Chciałbym pani zaproponować to zadanie. Czy byłaby pani zainteresowana?

Przez chwilę wpatrywałam się w jego dłonie z myślą, że mężczyzna tego pokroju powinien mieć długie, wypielęgnowane, starannie przypilowane na okrągło paznokcie, podczas gdy on miał mocne, szerokie, pokryte odciskami palce człowieka przywykłego do ciężkiej fizycznej pracy.

Pan Kadam nachylił się w moją stronę.

— Tygrys już się do pani przyzwyczail, a ja mogę pani zagwarantować sowite wynagrodzenie. Pan Davis polecił panią jako właściwą

kandydatkę i wspomniał, że pani czasowe zatrudnienie tutaj dobiega właśnie końca. Jeśli przyjmie pani moją propozycję, mogę zapewnić, że mój chlebodawca doceni obecność kogoś, kto zaopiekuje się tygrysem lepiej, niż ja bym to zrobił. Cała podróż powinna zająć mniej więcej tydzień, ale poinstruowano mnie, bym zapłacił pani za całe lato. Wiem, że spełnienie mojej prośby oznacza dla pani rozłąkę z rodziną i opóźnienie w poszukiwaniach nowego stanowiska, więc zostanie to pani należycie zrekompensowane.

— Co właściwie miałabym robić? Czy nie będę potrzebowała paszportu i innych papierów? — zapytałam.

Pan Kadam skinął głową.

— Oczywiście jestem w stanie zadbać o wszelkie przygotowania do podróży. We trójkę polecimy do Mumbaju, znanego pani być może wciąż pod nazwą Bombaj. Po przybyciu na miejsce będę musiał pozostać tam w interesach, pani zaś będzie dalej towarzyszyć tygrynowi w drodze do rezerwatu. Wynajmę kierowców oraz tragarzy, którzy pomogą pani w podróży. Zasadniczym pani zadaniem będzie opieka nad Renem, karmienie go i zapewnienie mu komfortu.

— A potem...?

— Podróż przez Indie zajmie jakieś dziesięć do dwunastu godzin w jedną stronę. Gdy dotrzecie do rezerwatu, zostanie pani tam jeszcze kilka dni, by upewnić się, że Dhiren zaaklimatyzował się w nowym środowisku i przyzwyczaił do... hmm... wolności. Zakupię dla pani bilet na samolot z Dżajpuru, tak by mogła pani autobusem wycieczkowym udać się z rezerwatu na lotnisko, polecieć do Mumbaju, a stamtąd do domu, dzięki czemu podróż z powrotem będzie odrobinę krótsza.

— Tak więc w sumie wszystko powinno zająć mniej więcej tydzień? — spytałam.

— Może pani zdecydować się na natychmiastowy powrót lub, gdyby pani zechciała, może pani zostać na kilka dni wakacji w Indiach i pozwedzać co nieco, zanim polecą pani do domu. Oczywiście pokryję wszelkie koszty.

Zamrugalam i jękając się, odparłam:

— To bardzo hojna propozycja. Owszem, moja praca tu, w cyrku, dobiega końca i wkrótce powinnam zacząć rozglądać się za nową.

Przygryzłam wargę i zaczęłam chodzić tam i z powrotem, mamrocząc w niezdecydowaniu, bardziej do siebie niż do niego.

— Indie są bardzo daleko. Nigdy wcześniej nie byłam za granicą, więc ta myśl jest jednocześnie ekscytująca i przerażająca. Czy mogę

się zastanowić i dać panu znać? Do kiedy może pan poczekać na odpowiedź?

— Im wcześniej się pani zgodzi, tym szybciej będę mógł załatwić niezbędne formalności.

— Dobrze. W takim razie muszę zadzwonić do moich przybranych rodziców i porozmawiać z panem Davisem, by się przekonać, co oni o tym wszystkim myślą. Potem dam panu znać, co postanowiłam.

Pan Kadam pokiwał głową i napomknął, że pan Maurizio wie, gdzie go znaleźć, gdy będę gotowa powiadomić go o swojej decyzji. Dodał również, że resztę popołudnia spędzi na terenie cyrku, dopełniając formalności.

Z mętlikiem w głowie, chwyciłam swoje rzeczy i ruszyłam w stronę głównego budynku. Indie? Nigdy wcześniej nie byłam w obcym kraju. A co jeśli nie będę umiała się z nikim porozumieć? Albo jeśli coś się stanie Renowi w czasie, kiedy będzie pod moją opieką?

Pomimo wszystkich wątpliwości, które hulały mi po głowie, rozważałam bardzo poważnie propozycję pana Kadama. Wizja spędzenia nieco dłuższego czasu z Renem była kusząca, poza tym zawsze chciałam pojechać za granicę. Mogłabym zrobić sobie miniwakacje, i to za darmo. W dodatku pan Kadam nie sprawiał wrażenia śliskiego typu o złych zamiarach. Przeciwnie, wydawał się godny zaufania. Przypominał mi mojego dziadka.

Postanowiłam zapytać o zdanie pana Davisa i odnalazłam go trenującego z psami nowe sztuczki. Potwierdził, że pan Kadam zaproponował mu to samo, a on nie bez żalu odrzucił ofertę.

— Myślę, że będzie to dla ciebie świetne doświadczenie. Masz znakomite podejście do zwierząt, a zwłaszcza do Rena. Jeśli planujesz w przyszłości pracę ze zwierzętami, powinnaś rozważyć tę propozycję. Taka praca dobrze wyglądałaby w twoim CV.

Podziękowałam mu i zadzwoniłam do Sary i Mike'a, którzy oznajmili, że chcą poznać pana Kadama, sprawdzić jego referencje i dowiedzieć się, jakie środki ostrożności ma zamiar podjąć. Zaproponowali, że urządują mi spontaniczne przyjęcie urodzinowe w cyrku.

Po dłuższych rozmyślaniach na temat wad i zalet propozycji pana Kadama poczułam, że podniecenie bierze górę nad strachem. Naprawdę chciałabym pojechać do Indii i zobaczyć, jak Ren urządzi się w rezerwacie. Taka szansa nigdy więcej się nie powtórzy.

Wróciłam do stodoły i zastałam tam pana Kadama. Był sam i znów cicho przemawiał do tygrysa.

Najwyraźniej lubi to tak samo jak ja.

Po przekroczeniu progu zatrzymałam się w pół kroku.

— Panie Kadam, moi przybrani rodzice chcieliby pana poznać i prosili, żebym pana zaprosiła na moje przyjęcie urodzinowe dziś wieczorem. Będą lody i tort. Przyjdzie pan?

Jego twarz rozjaśnił promienny, pełen zachwytu uśmiech.

— Cudownie! Z wielką przyjemnością zjawię się na pani przyjęciu!

— Proszę nie oczekiwać zbyt wiele. Moi rodzice zaserwują najprawdopodobniej lody z mleka sojowego i bezglutenowe babeczki bez cukru — zaśmiałam się.

Po rozmowie z panem Kadamem zadzwoniłam do domu, by potwierdzić plany na wieczór.



Sara, Mike i dzieciaki przyjechali wcześniej, żeby obejrzeć przedstawienie, i byli pod wielkim wrażeniem występu Rena. Wszyscy w cyrku niezmiernie przypadli im do gustu. Pan Kadam był uprzejmy i czarujący, i oznajmił im, że w żaden sposób nie zdoła wypełnić swej misji bez mojej pomocy.

— Zapewniam państwa, że będziemy w stałym kontakcie i Kelsey będzie mogła do państwa zadzwonić w każdej chwili — powiedział.

Chwilę później pan Davis dorzucił swoje trzy grosze:

— Kelsey jak mało kto nadaje się do tego zadania. Będzie robić mniej więcej to samo, co przez ostatnie dwa tygodnie robiła w cyrku. Poza tym przeżyje wspaniałą przygodę. Żałuję, że sam nie mogę pojechać.

Wszyscy cudownie się bawiliśmy. Świetnie było urządzać urodziny w cyrku. Sara przywiozła nawet normalne babeczki i moje ulubione lody. Być może nie była to typowa osiemnastka, ale mi całkowicie wystarczyło towarzystwo przybranej rodziny, nowych znajomych i pudełka ukochanych lodów czekoladowych Tillamook Mudslide.

Po skończonej zabawie Sara i Mike wzięli mnie na bok i przypomnieli, żebym często dzwoniła do nich w trakcie wyprawy do Indii. Wyczytali z mojej twarzy, że bardzo chcę pojechać, poza tym natychmiast poczuli się w towarzystwie pana Kadama równie swobodnie jak ja. Uściskałam ich radośnie i pobiegłam ogłosić dobre nowiny.

Pan Kadam uśmiechnął się promiennie:

— A więc, panno Kelsey, zorganizowanie transportu zajmie mi mniej więcej tydzień, będę również potrzebował od państwa Neil-

sonów kopii pani aktu urodzenia, by załatwić dokumenty podróżne dla pani i tygrysa. Mam zamiar opuścić cyrk jutro rano i wrócić, gdy tylko zdobędę niezbędne papiery.

Później, zbierając się do wyjścia, pan Kadam podszedł i uściskał mi dłoń. Przytrzymał ją przez chwilę i powiedział:

— Bardzo pani dziękuję za pomoc. Uśmierzyła pani mój lęk i dała nadzieję staremu, rozczarowanemu światem człowiekowi, który oczekiwał już tylko niedoli i rozczarowań. — Ścisnął moją rękę, potem lekko ją poklepał i szybkim krokiem opuścił salę.

Po tym pełnym wrażeń dniu postanowiłam jeszcze odwiedzić Rena.

— Masz. Schowałam dla ciebie babeczkę. Pewnie nie jest to to, co tygrysy lubią najbardziej, ale i tobie należy się dziś uroczysty poczęstunek, prawda?

Tygrys delikatnie chwycił zębami babeczkę, połknął ją w całości i zaczął zlizywać lukier z moich palców. Zachichotałam i poszłam umyć rękę.

— Ciekawa jestem, o co chodziło panu Kadamowi. Niedola? Rozczarowania? Bywa nieco egzaltowany, nie sądzisz?

Ziewnęłam i podrapałam Rena za uchem. Uśmiechnęłam się, gdy poczułam, jak napiera łbem na moją dłoń.

— No dobrze. Późno już. Idę do łóżka. Fajnie będzie razem podróżować, prawda?

Tłumiąc kolejne ziewnięcie, sprawdziłam, czy tygrys ma wystarczająco dużo wody, po czym zgasiłam światła, zamknęłam drzwi i poszłam spać.



Następnego ranka wstałam wcześniej, by zajrzeć do Rena. Otworzyłam drzwi stodoły i podeszłam do klatki, lecz zastałam ją otwartą. Była pusta!

— Ren? Gdzie jesteś?

Usłyszałam jakiś odgłos za plecami, a gdy się odwróciłam, ujrzałam tygrysa leżącego na stercie siana.

— Ren! Jak się wydostałeś? Pan Davis mnie zabije! Jestem pewna, że wczoraj wieczorem zamknęłam drzwi na klódkę!

Tygrys wstał, otrząsnął się z siana i podszedł do mnie leniwym krokiem. Wtedy właśnie uświadomiłam sobie, że jestem sama z dzikim zwierzęciem. Ogarnęło mnie przerażenie, ale było za

późno, żeby się wycofać. Pan Davis nauczył mnie, by nigdy nie odwracać się do dzikich kotów plecami, wysunęłam więc brodeę do przodu, ujęłam się pod boki i zdecydowanym tonem nakazałam mu wrócić do klatki. Co dziwne, tygrys zdawał się rozumieć, czego od niego chce. Minął mnie, ocierając się bokiem o moją nogę, po czym... posłuchał! Wolnym krokiem podreptał w stronę rampy, popatrzył na mnie, zamiatając ogonem po ziemi, po czym dworna susami znalazł się w klatce. Podbiegłam do niej, zamknęłam drzwi i odetchnęłam głęboko. Wstawiłam mu do klatki wodę i jedzenie, a następnie ruszyłam na poszukiwanie pana Davisa, by wszystko mu opowiedzieć.

Treser przyjął moje rewelacje całkiem nieźle, biorąc pod uwagę, że w cyrku przez jakiś czas znajdował się tygrys na wolności. Zdziwiło go jedynie, że bardziej troszczyłam się o bezpieczeństwo Rena niż swoje. Zapewnił mnie, że zachowałam się właściwie, wręcz zaimponowało mu moje opanowanie. Obiecałam, że w przyszłości będę ostrożniejsza i zawsze będę sprawdzać, czy klatka jest starannie zamknięta. Mimo to byłam pewna, że wczoraj nie zostawiłam jej otwartej.

Kolejny weekend minął w mgnieniu oka. Pan Kadam nie pojawił się ponownie aż do ostatniego występu Rena. Tego wieczoru podszedł do mnie i zapytał, czy możemy się spotkać po kolacji.

— Jasne, do zobaczenia przy deserze — odparłam.

Przy stole panował świąteczny nastrój. Gdy dostrzegłam pana Kadama, chwyciłam papier, ołówek oraz dwie porcje lodów i usiadłam naprzeciwko niego.

Zaczął od podsunięcia mi rozmaitych dokumentów do podpisu.

— Stąd na lotnisko w Portland pojedziemy z tygrysem ciężarówką. Tam wsiądziemy do samolotu towarowego i polecimy do Nowego Jorku, nad Atlantykiem i dalej do Mumbaju. Gdy znajdziemy się na miejscu, na kilka dni zostawię Rena pod pani opieką i załatwię w tym czasie kilka spraw w mieście.

Załatwiłem ciężarówkę, która wyjedzie po nas na lotnisko w Mumbaju. Razem będziemy nadzorować ludzi, którzy załadują Rena z samolotu do ciężarówki. Potem kierowca zawiezie was do rezerwatu. Pozostanie tam pani przez kilka dni, wszystko już zostało zorganizowane. Po upływie tego czasu może pani powrócić do Mumbaju w dogodnym dla siebie momencie i przygotować się na powrót do domu. Otrzyma pani ode mnie pieniądze na podróż, tyle, by wystarczyło na wszelkie nieprzewidziane wydatki.

Gorączkowo robiłam notatki, starając się słowo w słowo zapisać wszystkie jego instrukcje.

— Pan Davis pomoże nam przygotować Rena i jutro rano załaduje go do ciężarówki. Radzę, by spakowała pani wszystkie osobiste rzeczy, które chce pani ze sobą zabrać. Będę tu dziś nocował, może więc pani pożyczyć mój wynajęty samochód i pojechać do domu po wszystko, co się pani przyda, proszę tylko być z powrotem wczesnym rankiem. Jakież pytania?

— Co najmniej milion, ale większość może poczekać do jutra. Lepiej od razu pojadę do domu się spakować.

Pan Kadam uśmiechnął się ciepło i położył mi na dłoni kluczyki do samochodu.

— Jeszcze raz dziękuję, panno Kelsey. Cieszę się na naszą wspólną podróż. Do zobaczenia rano.

Odwzajemniłam jego uśmiech i pożegnałam się. Wróciłam do namiotu, zebrałam swoje rzeczy i złożyłam po krótkiej wizycie Mattowi, Cathleen, panu Davisowi i panu Maurizio. Chodź byłam w cyrku tak krótko, zdążyłam ich wszystkich naprawdę polubić.

Zyczyłam im szczęścia i pożegnałam się, po czym wstąpiłam do stodoly, by powiedzieć dobranoc Renowi. Spał już, więc zostawiłam go w spokoju i wyszłam na parking.

Stał tam tylko jeden samochód — piękny srebrny kabriolet. Spojrzałam na kluczyki i przeczytałam napis: *Bentley GTC Convertible*. O holender! To chyba żart. Ten samochód musi być wart fortunę! Pan Kadam naprawdę chce mi go powierzyć?

Nieśmiało podeszłam do auta i przycisnęłam guzik na kluczyku. Mrugnęły przednie światła. Otworzyłam drzwi i wśliznęłam się na miękkie skórzane siedzenie. Przesunęłam dłonią po eleganckim, mocnym szwie. Srebrna metaliczna deska rozdzielcza wyglądała elegancko i ultranowocześnie. Był to najbardziej luksusowy samochód, jaki kiedykolwiek widziałam.

Zapaliłam silnik i aż podskoczyłam, gdy uruchomił się z rykiem. Nawet ja, samochodowy laik, potrafiłam stwierdzić, że to szybkie auto. Westchnęłam z radości, gdy uświadomiłam sobie, że ma również podgrzewane siedzenia z masażem. W ciągu kilku krótkich minut znalazłam się w domu, jęcząc z niezadowolenia, że mieszkam tak blisko cyrku.

Mike nalegał, aby bentleya zaparkować w garażu. Gorliwie przestawił swojego sedana na ulicę, obok śmietników. Biedne,

niezawodne autko wyrzucono z domu jak starego kota, podczas gdy nowe kocie ułożono na miękkiej poduszce.

Tego wieczoru Mike spędził dobrych kilka godzin w garażu, szczeniąc i pieszcząc kabriolet. Ja z kolei zastanawiałam się, co zabrać ze sobą do Indii. Zrobiłam pranie, spakowałam dużą torbę podróżną i spędziłam trochę czasu z przybraną rodziną. Dzieciaki, Rebeka i Sammy, chciały dowiedzieć się wszystkiego o moich dwóch tygodniach w cyrku. Rozmawialiśmy też o ciekawych rzeczach, które być może zobaczą lub zrobią w Indiach.

Neilsonowie byli dobrymi ludźmi i zgodną rodziną, bardzo się o mnie troszczyli. Pożegnanie było trudne, mimo że rozstawaliśmy się tylko na jakiś czas. Teoretycznie byłam dorosła, ale i tak niepokoiła mnie wizja tak dalekiej samotnej podróży. Przytuliłam i ucałowałam dzieci. Mike rzeczowo podał mi dłoń, po czym wymieniliśmy coś w rodzaju półścisku. Następnie zwróciłam się do Sary, która mocno mnie objęła. Obu nam zaszkliły się oczy, ale zapewniła mnie, że gdziekolwiek się znajdę, wystarczy jeden telefon.

Tej nocy szybko zapadłam w głęboki sen i śniłam o przystojnym indyjskim księciu, który przypadkiem był właścicielem oswojonego tygrysa.

5

SAMOLOT



Następnego ranka obudziłam się pełna energii i rozentuzjasmowana podróżą. Po prysznicu i szybkim śniadaniu chwyciłam torbę, jeszcze raz uściskałam Sarę, która jako jedyna już nie spała, i pobiegłam do garażu. Wśliznęłam się do bentleya z równą przyjemnością co poprzedniego wieczoru.

Zaparkowałam przy cyrku, obok średniej wielkości ciężarówki. Pojazd miał grubą przednią szybę, bardzo duże koła i niewielkie drzwiczki, do których trzeba się wspiąć po stopniu. Za szoferką znajdowała się naczepa obudowana stalową ramą, przykrytą szarą plandeką.

Z tyłu naczepy przystawiona była rampa. Pan Davis wraz z Mattem mocno ściskali długi łańcuch, przymocowany do szerokiej obroży na szyi Rena. Tygrys zachowywał się bardzo spokojnie pomimo otaczającego go chaosu. Patrzył na mnie przez chwilę, jednocześnie cierpliwie czekając, aż mężczyźni przygotowują ciężarówkę. Gdy w końcu byli gotowi, na komendę pana Davisa Ren jednym susem wskoczył do klatki.

Pan Kadam wziął moją torbę i zarzucił ją sobie na ramię.

— Panno Kelsey, czy woli pani pojechać ze mną, czy ciężarówką, obok kierowcy?

Spojrzałam na wielki, kanciasty pojazd i szybko podjęłam decyzję.

— Wolę z panem. Nigdy nie wybrałabym takiego potwora, mając do dyspozycji zgrabny kabriołek.

Pan Kadam ze śmiechem zgodził się ze mną, po czym schował moją torbę do bagażnika bentleya. Wiedziałam, że na nas już czas, pomachałam więc na pożegnanie panu Davisowi i Mattowi, wsiadłam do samochodu i zapięłam pas.

Zanim się spostrzegłam, mknęliśmy autostradą międzystanową numer 5. Powietrze za oknem tak hałasowało, że trudno było rozmawiać, oparłam więc głowę o miękki, ciepły skórzany zagłówek i obserwowałam migający za oknem krajobraz. Właściwie nie jechaliśmy tak szybko — niecałą dziewięćdziesiątką, szesnaście kilometrów na godzinę poniżej dozwolonego maksimum. Ciekawscy kierowcy zwalniali, by przyjrzeć się naszemu małemu konwojowi. Nieopodal Wilsonville na drodze zrobiło się tłoczniej, tak że dogoniliśmy porannych podróżnych, którzy minęli nas wcześniej.

Lotnisko leżało trzydzieści parę kilometrów dalej, przy drodze numer 205, która na mapie przylegała do międzystanowej jak uszko do filiżanki. Ciężarówka skręciła na główny asfaltowy pas, a potem zatrzymała się przy jednej z bocznych ulic pomiędzy hangarami. Na pasie startowym ładowano właśnie bagaże do samolotów. Pan Kadam, manewrując pomiędzy ludźmi i sprzętem, dotarł do prywatnej maszyny z napisem Linie Lotnicze Skrzydlaty Tygrys, obok którego wymalowany był obrazek przedstawiający tygrysa w biegu.

Zwróciwszy się do pana Kadama, skinęłam głową w stronę samolotu.

— Skąd ta nazwa?

Mój towarzysz uśmiechnął się.

— To długa historia, panno Kelsey. Opowiem ją pani na pokładzie.

Wyciągnąwszy z bagażnika moją torbę, wręczył kluczyki stojącemu obok człowiekowi, który bez zwłoki wsiadł do pięknego pojazdu i zjechał nim z asfaltowego pasa.

Oboje przyglądaliśmy się, jak kilku roslych mężczyzn za pomocą wózka widłowego uniosło tygrysią klatkę i wprawnie przetransportowało ją do samolotu.

Upewniliśmy się, że tygrys jest bezpieczny i jest mu wygodnie, po czym wspięliśmy się na pokład po przystawionych schodkach.

Przepych wnętrza samolotu wprawił mnie w istny zachwyt. Kabina pasażerska była czarno-biała z chromowanymi dodatkami, dzięki czemu prezentowała się elegancko i nowocześnie. Czarne skórzane fotele wyglądały na wyjątkowo wygodne i przytulne, w niczym nie przypominały siedzeń w zwykłym samolocie i można je było całkowicie rozłożyć!

Ładna stewardesa z długimi, ciemnymi włosami wskazała mi fotel i przedstawiła się:

— Mam na imię Nilima. Proszę zająć miejsce, panno Kelsey. — Miała akcent podobny do akcentu pana Kadama.

— Czy pani również pochodzi z Indii? — spytałam.

Nilima skinęła głową i uśmiechnęła się do mnie, poprawiając poduszkę za moją głową. Po chwili przyniosła mi koc i wybór rozmaitych czasopism. Pan Kadam zajął szeroki fotel naprzeciwko mnie. Gestem dłoni odprawił stewardesę, a potem zapiał pas, zrezygnowawszy z poduszki i pledu.

Dotąd zaledwie parę razy w życiu leciałam samolotem na wakacje z rodziną. Zazwyczaj podczas lotu byłam całkiem spokojna, ale starty i lądowania znosiłam z nerwowym napięciem. Chyba najbardziej przeszkadzał mi odgłos silników — złowieszczy ryk maszyny budzącej się do życia — a uczucie wbicia w fotel, gdy samolot odrywał się od ziemi, zawsze przyprawiało mnie o zawrót głowy. Lądowania również nie należały do przyjemności, ale zazwyczaj tak się cieszyłam, że za chwilę wysiądę i będę mogła zacząć swobodnie się poruszać, że jedyne, czego pragnęłam, to mieć to już za sobą.

Ten samolot był jednak zupełnie inny. Luksusowy, przestronny, z mnóstwem miejsca na nogi i wygodnymi rozkładanymi fotelami. Było to o wiele miłsze niż podróż w klasie turystycznej. Porównywanie naszego samolotu do tych, którymi dotąd latałam, byłoby jak porównanie wilgotnej, zwietrzalej frytki znalezionej za siedzeniem samochodu do wielkiego pieczonego ziemniaka natartego solą i podanego ze śmietaną, chrupkim bekonem, masłem, tartym serem oraz świeżo zmielonym pieprzem. O tak, niczego naszemu samolotowi nie brakowało.

Cały ten luksus, a także wspomnienie pięknego kabrioletu sprawiły, że zaczęłam myśleć o pracodawcy pana Kadama. Musiał być w Indiach kimś bardzo bogatym i wpływowym. Zaczęłam się zastanawiać, kim może być, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Może to jeden z tych hollywoodzkich aktorów. Ciekawe, ile oni zarabiają. Nie, niemożliwe. Pan Kadam pracuje dla niego od wielu lat, więc człowiek ów jest już prawdopodobnie bardzo stary.

Samolot nabrał szybkości i wystartował, ale ja nawet tego nie zauważyłam, myśląc o tajemniczym szefie pana Kadama. Może to dlatego że podczas wlotu zapadłam się wygodnie w miękki fotel, a może dlatego że pilot spisał się wprost znakomicie. Wyrzalam przez okno i patrzyłam, jak rzeka Kolumbia robi się mniejsza

i mniejsza, aż wzniesiliśmy się ponad warstwę chmur i ziemia całym znikła mi z oczu.

Po mniej więcej półtorej godziny, gdy rozwiązałam już wszystkie krzyżówki oraz lamigłówki sudoku, odłożyłam magazyn i spojrzałam na pana Kadama. Nie chciałam mu się narzucać, ale miałam całą masę pytań.

Odchrząknęłam. Mój towarzysz uśmiechnął się do mnie spoud gazety. Oczywiście pierwszym, co mi przyszło do głowy, było to, co interesowało mnie najmniej:

— A więc proszę mi opowiedzieć o Liniach Lotniczych Skrzydlaty Tygrys.

Starszy pan zamknął gazetę i odłożył ją na stolik.

— Hmm. Od czego by tu zacząć? Mój chlebodawca był kiedyś właścicielem Towarowych Linii Lotniczych Skrzydlaty Tygrys, a ja byłem ich dyrektorem. Był to największy transatlantycki przewoźnik w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Oferowaliśmy połączenia z niemal każdym kontynentem na świecie.

— Skąd wzięła się nazwa Skrzydlaty Tygrys?

Pan Kadam niemal niedostrzegalnie poruszył się w fotelu.

— Wie pani już, że mój chlebodawca ma słabość do tygrysów, poza tym kilku naszych pierwszych pilotów w czasie drugiej wojny światowej latało „tygrysami”. Jak pani być może pamięta, były to samoloty, które, dla zyskania groźnego efektu, malowano tak, by przypominały rekiny tygrysię. We wczesnych latach osiemdziesiątych mój chlebodawca postanowił sprzedać firmę. Ale zatrzymał na swój prywatny użytek jeden samolot, właśnie ten, którym lecimy.

— Jak się nazywa pański szef? Czy go poznam?

Oczy mego rozmówcy zaśmiał się.

— Z całkowitą pewnością. Mój pracodawca przedstawi się pani, gdy wylądujemy w Indiach. Jestem przekonany, że zechce z panią rozmawiać. — Pan Kadam na chwilę przeniósł wzrok na tył samolotu, po czym znowu spojrzał na mnie. Uśmiechnął się i z zachęcającą miną dodał: — Ma pani jeszcze jakieś pytania?

— Więc pan jest takim jakby wiceprezesem?

Indyjski dżentelmen roześmiał się.

— Powiedzmy, że mój chlebodawca jest bardzo bogatym człowiekiem, który ma do mnie całkowite zaufanie w sprawach interesów.

— Ach, więc jest pan dla niego mniej więcej tym, czym pan Smithers dla pana Burnsa.

Pan Kadam uniósł brwi.

— Obawiam się, że nie rozumiem.

Zaczerwieniałam się i machnąłam ręką.

— Nieważne. To postacie z *Simpsonów*. Pewnie nigdy pan tego nie oglądał.

— Niestety nie. Przykro mi, panno Kelsey. — Pan Kadam zdawał się popadać w lekki dyskomfort, a może zdenerwowanie, gdy mówił o swoim pracodawcy, jednak opowiadanie o samolotach sprawiało mu wyraźną przyjemność, zachęciłam go więc, by kontynuował. Usadowiłam się wygodnie w fotelu. Dwoma kopnięciami pozbyłam się butów, usiadłam po turecku i spytałam:

— Jakie towary przewoziliście?

Starszy pan wyraźnie się rozluźnił.

— Przez te wszystkie lata mieliśmy do czynienia z różnymi ciekawymi zleceniami. Wygraliśmy na przykład przetarg na transport słynnej orki z delfinarium Aquatic World, a także pochodni Statuy Wolności. Zazwyczaj jednak przewoziliśmy zupełnie zwykłe towary: żywność w puszkach, tekstylia, paczki. Wszystkiego po trochu.

— Jak, na Boga, zdołaliście władować orkę do samolotu?

— Pletwa za pletwą, panno Kelsey. Pletwa za pletwą.

Pan Kadam zachował powagę. Ja zaś wybuchnęłam głośnym śmiechem. Ocierając łzę z kącika oka, upewniłam się:

— Więc to pan zarządzał firmą?

— Tak, spędziłem wiele czasu, pracując nad rozwojem Skrzydłatego Tygrysa. Lotnictwo szalenie mnie interesuje. — Wskazał na samolot. — W tej chwili lecimy maszyną o nazwie MD-11, McDonnell Douglas. To samolot dalekiego zasięgu, niezbędny do podróży przez ocean. Kabina pasażerska jest przestronna i wygodna, jak pewnie pani zauważyła. Pod skrzydłami znajdują się dwa silniki, trzeci jest umieszczony z tyłu, u podstawy stabilizatora. Oczywiście wewnątrz zostało zaprojektowane z myślą o wygodzie i odpoczynku. Zatrudniamy pilota, personel naziemny oraz resztę obsługi.

— Hmm, brzmi... solidnie.

Pan Kadam lekko wychylił się z fotela i pełnym entuzjazmu tonem wyjaśnił:

— Chociaż ten samolot to starszy model, zapewnia szybką podróż. — Zaczął odliczać na palcach. — Ma wydłużony kadłub, szerokie skrzydła, nowoczesne, sprawne płaty nośne oraz nowiutkie silniki. Kabina pilotów jest wyposażona w najlepszy sprzęt: elektroniczny pulpit sterowniczy, podwójny system zarządzania lotem, GPS oraz

funkcję automatycznego lądowania w złych warunkach pogodowych. Oczywiście zachowaliśmy również oryginalne logo naszej firmy, które zauważyła pani z boku samolotu, gdy wsiadaliśmy na pokład.

Podczas tych technicznych dywagacji mój rozmówca niezwykle się ożywił. Z pewnością wszystkie te terminy coś dla niego znaczyły, co jednak dokładnie — nie miałam pojęcia. Zrozumiałam jedynie, że był to cholernie dobry samolot oraz że miał trzy silniki.

Pan Kadam najwyraźniej domyślił się, iż nie mam bladego pojęcia, o czym mówi, ponieważ zerknął na moją zdumioną minę i zachichotał:

— Może lepiej zmieńmy temat, co pani na to? A może opowiedziałbym pani kilka hinduskich mitów o tygrysach?

Z entuzjazmem pokiwałam głową. Podciągnęłam nogi na bok, przykryłam się kocem aż po brodę i oparłam głowę na poduszce.

Gdy pan Kadam rozpoczął swą opowieść, jego intonacja nagle się zmieniła. Angielska wymowa ustąpiła mocniejszemu, bardziej melodyjnemu akcentowi. Z przyjemnością wsłuchiwałam się w jego rytmiczny głos.

— W Indiach tygrys jest uważany za potężnego obrońcę dżungli. Według mitów posiada wielką moc. Odważnie walczy ze smokami, ale i pomaga prostym rolnikom. Jednym z jego wielu zadań jest przeciąganie ogonem deszczowych chmur, by zakończyć suszę i ulżyć ubogim rolnikom.

— Bardzo interesuje mnie mitologia. Czy hindusi nadal wierzą w te historie?

— Owszem, zwłaszcza na wsiach. Ale wyznawców dawnych mitów można znaleźć we wszystkich częściach kraju, nawet wśród osób, które uważają się za obywateli nowoczesnego świata. Czy wiedziała pani, że zdaniem niektórych mruczenie tygrysa odgania nocne kosmary?

— Pan Davis mówił, że tygrysy nie mruczą. Powiedział, że duże koty warczą i ryczą, ale nie potrafią mruścić, ale ja mogłabym przyjąć, że słyszałam mrużącego Rena.

— Ach, ma pani rację. Współcześni naukowcy twierdzą, że tygrys nie jest w stanie wydać z siebie odgłosu określanego jako mruczenie. Istnieją gatunki zdolne do wytwarzania pulsujących dźwięków, ale to nie to samo, co mruczenie kota domowego. A jednak są mity głoszące, że tygrysy mruczą. Mówi się również, że ciało tygrysa ma niespotykane właściwości lecznicze. Między innymi z tego powodu tygrysy regularnie się zabija, a ich ciała okalecza i sprzedaje

poszczególne ich części. — Pan Kadam odchylił się w swym fotelu. — Wyznawcy islamu wierzą, że Allah ześle tygrysa, by ten bronił i chronił tych, którzy są mu wierni, ale i ukarał tych, których uważa za zdrajców.

— Hmm, gdybym była muzułmanką, zapewne trzymałabym się z daleka od każdego tygrysa, tak na wszelki wypadek. Nie wiedziałabym, czy przybył mnie ukarać, czy chronić.

Mój towarzysz się roześmiał.

— Tak, byłoby to bardzo mądre posunięcie. Muszę przyznać, że podzielałem fascynację mego chlebodawcy. Przestudiowałem w życiu wiele tekstów na temat mitologii, zwłaszcza tej dotyczącej indyjskiego tygrysa.

Pan Kadam zamilkł na chwilę, zatopiony w myślach. Oczy mu się zaszkliły. Palcem wskazującym pocierał punkt tuż nad rozpiętym kołnierzykiem. Zauważyłam, że na szyi nosi nieduży trójkątny amulet, do połowy schowany pod koszulą.

Popatrzył na mnie, szybko opuścił dłoń na kolano i ciągnął:

— Tygrys jest również symbolem władzy i nieśmiertelności. Legendy głoszą, że różnymi sposobami potrafi pokonać złe moce. Bywa nazywany dawcą życia, strażnikiem, opiekunem i obrońcą.

Wyprostowałam nogi i znów oparłam głowę na poduszce.

— A czy istnieją jakieś mity o tygrysach ratujących z opresji piękne damy?

Pan Kadam zastanowił się przez chwilę.

— Hmm, owszem. Co więcej, jedna z moich ulubionych historii opowiada o skrzydlatym tygrysie, który ratuje ukochaną księżniczkę przed okrutnym losem. Gdy niesie ją na swym grzbiecie, oboje porzucają swoje cielesne formy i stają się pojedynczą białą smugą, która leci ku niebu i zamienia się w jedną z gwiazd Drogi Mlecznej. Razem żyją wiecznie, czuwając nad mieszkańcami ziemi.

Ogarnęła mnie senność. Ziewnęłam.

— To bardzo piękna historia. Myślę, że będzie również moją ulubioną.

Miękki, melodyjny głos mego rozmówcy odprężył mnie i choć bardzo się starałam słuchać dalej, poczułam, że odpływam w objęcia Morfeusza. Pan Kadam ciągnął jednostajnym tonem:

— W Nagalandzie wierzą, że tygrys i człowiek są braćmi. Jeden z mitów zaczyna się tak: Matka Ziemia wydała na świat tygrysa, a także człowieka. Kiedyś obaj bracia byli szczęśliwi, kochali się i żyli w harmonii. Ale pokłócili się o kobietę. Brat Tygrys i Brat Człowiek

walczyli tak zaciekle, że Matka Ziemia nie mogła już znieść ich konfliktu i musiała odesłać ich obu. Brat Tygrys i Brat Człowiek opuścili swój ziemski dom i przemierzali niezwykle długi, ciemny korytarz wewnątrz ziemi, zwany kryjówką pangolina. Przebywając wspólnie **pod** ziemią, bracia nadal codziennie ze sobą walczyli, aż w końcu uznali, że lepiej będzie zacząć żyć oddzielnie. Brat Tygrys udał się na południe, by polować w dżungli, Brat Człowiek zaś na północ, uprawiać ziemię w dolinie. Dopóki trzymali się od siebie z daleka, dopóty byli zadowoleni. Jednak jeśli jeden z nich naruszył terytorium drugiego, walka rozpoczynała się na nowo. Wiele pokoleń później legenda nadal się sprawdza. O ile potomkowie Brata Człowieka pozostawią w spokoju dżunglę, Brat Tygrys również pozostawi nas w spokoju. A jednak tygrysy są z nami spokrewnione i mówi się, że spoglądając wystarczająco długo w tygrysie oczy, można rozpoznać bratnią duszę.

Śluchając opowieści, walczyłam ze snem. Pragnęłam spytać pana Kadama, czym jest kryjówka pangolina, ale nie miałam siły poruszyć ustami, a powieki były zbyt ciężkie. W ostatniej próbie zwalczania senności zmieniłam pozycję w fotelu i zmusiłam się do otwarcia oczu.

Pan Kadam spozjrzał na mnie uważnie.

— Zwłaszcza białe tygrysy są wyjątkowe. Nieuchronnie lgną do osoby, zwłaszcza kobiety, o silnym charakterze. Taka kobieta ma wielką wewnętrzną siłę, potrafi odróżniać dobro od zła i jest zdolna pokonywać przeszkody. Ta, która zostanie towarzyszką tygrysa...

Zapadłam w sen.



Gdy się obudziłam, fotel naprzeciwko mnie był pusty. Wyprostowałam się i rozejrzałam dookoła, ale nigdzie nie dostrzegłam pana Kadama. Odpięłam pas i ruszyłam na poszukiwanie toalety. Otworzyły się przesuwane drzwi, znalazłam się w zaskakująco dużej łazience. W niczym nie przypominała ciasnej klitki w zwykłym samolocie. Lampy rozmieszczone we wnękach na ścianach miękko oświetlały wnętrze, utrzymane w kremowych i miedzianych barwach, co znacznie bardziej odpowiadało mojemu gustowi niż nowoczesny, surowy wystrój kabiny pasażerskiej.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, był prysznic! Otworzyłam szklane drzwi i zajrzałam do środka. Piękne rdzawo-kremowe ka-

felki ułożone były w prześliczne wzory. Na półeczce stały butelki z szamponem i odżywką oraz mydło. Miedziana główka prysznicza była odczepiana i działała na zasadzie spryskiwacza. Domyśliłam się, że to po to, by zużywać mniej wody, której na pokładzie samolotu z pewnością nie ma w nadmiarze. Na pięknej, wyłożonej kafkami podłodze leżał gruby kremowy dywanik. Z boku, na wbudowanych w ścianę półkach ułożono miękkie ręczniki w pastelowych kolorach, na miedzianym drążku wisiał lekki, jedwabisty kaszmirowy szlafrok a pod nim stała para bamboszy z tej samej tkaniny. Nad głęboką, prostokątną umywalką po obu stronach miedzianego kranu przymocowane były pojemniki z kremowym mydłem oraz mleczkiem do ciała o słodkim lawendowym zapachu.

Dokończywszy ablucję, niemal z przykrością opuściłam łazienkę i wróciłam na swój wygodny fotel. Naprzeciwko zastałam pana Kadama, a stewardesa Nilima przyniosła nam cudownie pachnący lunch. Ustawiła pomiędzy nami stolik i nakryła go dla dwóch osób. Delikatne wgłębienia na powierzchni stolika utrzymywały na swoim miejscu sztućce, talerze i szklanki, a nawet ustawiony pośrodku blatu wazonik pełen żółtych różyczek.

Nilima uniosła przykrycia znad talerzy, uwalniając smakowity zapach ryby, i powiedziała:

— Dziś serwujemy halibuta w chrupkiej orzechowej panierce oraz szparagi z masłem i puree ziemniaczane doprawione czosnkiem, a na deser tartę cytrynową. Czego się państwo napiją?

— Poproszę wodę z cytryną — odparłam.

— Dla mnie to samo — poprosił pan Kadam.

Wspólny lunch był bardzo przyjemny. Pan Kadam zadawał mi wiele pytań o Oregon. Okazał się człowiekiem o niezaspokojonym pragnieniu wiedzy i pytał mnie o wszystko, od sportu, o którym nie wiedziałam prawie nic, przez politykę, o której nie miałam pojęcia, aż po oregońską florę i faunę, o których wiedziałam dużo.

Rozmawialiśmy o szkole, o tym, co się działo w cyrku, i o moim rodzinnym miasteczku: o wędrówkach lososi, uprawach choinek, targowiskach warzywno-kwiatowych oraz krzakach jeżyn, które występowały u nas tak powszechnie, że niektórzy ludzie uważali je wręcz za chwasty. Łatwo mi się z nim rozmawiało, był świetnym słuchaczem i czułam się przy nim swobodnie. Przeszło mi przez myśl, że byłby wspaniałym dziadkiem. Nigdy nie poznałam żadnego ze swoich dziadków. Umarli, zanim się urodziłam, podobnie jak moja druga babcia.

Gdy skończyliśmy jeść, Nilima wróciła, by sprzątnąć talerze. Nacisnęła mały guziczek i rozległ się cichy szum, a prostokątny, pozabawiony nóg stolik uniósł się i zrównał ze ścianą, po czym zniknął za panelem. Po chwili poleciała, byśmy zapięli pasy, ponieważ już wkrótce wylądujemy w Nowym Jorku.

Łądowanie przebiegło równie gładko co start, więc gdy znaleźliśmy się już na ziemi, nalegałam, by poznać pilota, po czym poznałam go, że jest niezwykle utalentowany. Pan Kadam musiał tłumaczyć, gdyż pilot nie znał angielskiego poza kilkoma podstawowymi zwrotami z dziedziny awiacji. Podczas gdy załoga uzupełniała paliwo na podróż do Mumbaju, ja poszłam sprawdzić co z Renem.

Kiedy już się upewniłam, że ma co jeść i pić, usiadłam na podłodze przy jego klatce. Tygrys zbliżył się i leżał na ziemi tuż przy mnie. Leżał rozciągnięty na całą szerokość klatki, a pręgowane futro wystawało spomiędzy prętów, laskocząc mnie w nogi. Tygrysi pysk znajdował się tuż obok mojej dłoni.

Roześmiałam się, pogłaskałam futro na jego grzbiecie i powtórzyłam mu kilka mitów, które opowiedział mi pan Kadam. Tygrys machał ogonem, który to wylaniał się, to zniknął za prętami klatki.

Czas minął szybko i wkrótce samolot był gotowy do odlotu. Pan Kadam zapinał już pasy, szybko poklepałam więc Rena po grzbiecie i wróciłam na swój fotel.

Wystartowaliśmy. Pan Kadam ostrzegł mnie, że czeka nas długi lot, jakieś szesnaście godzin, oraz że z powodu zmiany czasu stracę jeden dzień. Gdy osiągnęliśmy właściwą wysokość, mój towarzysz zaproponował, byśmy obejrżeli film. Nilima wręczyła mi listę wszystkich tytułów, jakie mieli na pokładzie, a ja wybrałam najdłuższy możliwy film: *Przeminęło z wiatrem*. Stewardesa nacisnęła guzik w ścianie, z której cicho wysunął się duży biały ekran. Bez trudu przekręciłam fotel tak, by wszystko dobrze widzieć. Okazało się, że wyposażony jest nawet w podnóżek, usadowiłam się więc wygodnie, by spędzić najbliższe godziny w towarzystwie Scarlett i Rhetta.

Gdy rozległy się słowa: „w końcu jutro też jest dzień”, wstałam i przeciągnęłam się. Wyjrzałam przez okienko. Na zewnątrz było całkiem ciemno. Wydawało mi się, że jest zaledwie piąta, domyśliłam się jednak, że w obecnej strefie czasowej dochodzi zapewne dziewiąta wieczorem.

Nilima podeszła żwawym krokiem i schowała ekran, po czym znów zaczęła nakrywać do stołu.

— Bardzo panu dziękuję za przepyszne jedzenie i wspaniałą obsługę — powiedziałam z uznaniem.

— Tak, dziękujemy ci, Nilimo. — Pan Kadam puścił do niej oko, a ona lekko skłoniła głowę i wyszła.

Kolacja z panem Kadamem upłynęła w przyjemnej atmosferze. Tym razem rozmawialiśmy o jego kraju. Opowiedział mi wiele interesujących rzeczy i opisał kilka niezwykle fascynujących miejsc. Zastanawiałam się, czy starczy mi czasu, by cokolwiek zobaczyć. Mój towarzysz opowiadał o starożytnych wojownikach, wspaniałych fortcach, najeźdźcach z Azji i straszliwych bitwach. Rozmawiając z nim, czułam się zupełnie, jakbym tam była i wszystko to oglądała na własne oczy.

Na kolację Nilima podała faszerowanego kurczaka w marsali z pieczarkami i śmietaną, opiekaną cukinię i salatkę. Poczulałam się lekko rozgrzeszona, ponieważ danie zawierało dużo warzyw, ale gdy na stół wjechały ciastka z czekoladową polewą, westchnęłam ciężko.

— Czemu wszystko co niezdrowe musi zawsze tak cudownie smakować?

Pan Kadam roześmiał się.

— Czy poczuje się pani lepiej, jeśli podzielimy się jednym ciastkiem?

— Jasne. — Uśmiechnęłam się, przekroiłam swoje ciastko na pół i położyłam jego część na czystym talerzyku, przyniesionym przez Nilimę.

Zlizalam z łyżeczki ciepłą, płynną czekoladową masę. Życie... cóż, przynajmniej dziś wyglądało dobrze. Bardzo dobrze. Bez trudu mogłabym się przyzwyczaić do takich luksusów.



Przez następnych parę godzin rozmawialiśmy o naszych ulubionych książkach. Pan Kadam, podobnie jak ja, był zwolennikiem klasyki i z radością przypominaliśmy sobie naszych ulubionych bohaterów: Hamleta, kapitana Ahaba, doktora Frankensteina, Robinsona Crusoe, Jeana Valjeana, Jagona, Hester Prymie i pana Darcy'ego. Pan Kadam zapoznał mnie również z kilkoma ciekawymi postaciami z literatury indyjskiej, takimi jak Ardżuna czy Sakuntala, a także z japońskim księciem Genji.

Tłumiąc ziewnięcie, jeszcze raz poszłam zajrzeć do Rena. Sięgnęłam przez pręty klatki i poglaskalam go po głowie, a potem po drapałam za uchem.

Pan Kadam przyglądał mi się przez chwilę, po czym zapytał:

— Panno Kelsey, czy pani się go nie boi? Nie sądzi pani, że może panią skrzywdzić?

— Myślę, że owszem, może, ale tego nie zrobi. Trudno to wyjaśnić, ale czuję się przy nim bezpieczna, prawie jakby był moim przyjacielem, a nie dzikim zwierzęciem.

Pan Kadam nie okazywał niepokoju, lecz raczej ciekawość. Przez chwilę cichym głosem mówił coś do Nilimy.

Stewardesa podeszła do mnie i zapytała:

— Chciałaby pani teraz trochę się przespać?

Skinęłam głową a ona pokazała mi, gdzie jest schowana moja torba. Wzięłam swoje rzeczy i ruszyłam do łazienki. Choć nie siedziałam tam długo, Nilima najwyraźniej nie marnowała czasu.

Gdy wyszłam, wewnątrz samolotu przedzielala zasłona. Stewardesa przysunęła rozkładaną kanapę, która zmieniła się w wygodne łóżko z satynową pościelą i dużymi, miękkimi poduszkami. Tuż obok do ściany przymocowana była lampka z wyłącznikiem.

Wewnątrz samolotu panował półmrok. Nilima poinformowała mnie, że w razie gdybym czegoś potrzebowała, pan Kadam jest po drugiej stronie zasłony.

Szybko zajrzałam do tygrysa. Zwierzak obserwował mnie spod półprzymkniętych sennie powiek, z łbem ułożonym na łapach.

— Dobranoc, Ren. Do zobaczenia jutro w Indiach.

Zbyt zmęczona by czytać, wśliznęłam się pod miękką, jedwabistą koldrę, wyłączyłam światło i pozwoliłam, by szum silnika ukolysał mnie do snu.



Obudził mnie zapach bekonu. Odchyliłam zasłonę i ujrzałam pana Kadama w fotelu, z gazetą. Przed nim na stoliku stała szklanka soku jabłkowego. Popatrzył na mnie sponad gazety. Dostrzegłam, że ma lekko wilgotne włosy i jest już ubrany.

- Radzę się szykować, panno Kelsey. Wkrótce lądujemy.

Chwyciłam torbę i ruszyłam do luksusowej łazienki. Wzięłam szybko prysznic, wcierając we włosy pachnący różami szampon. Gdy skończyłam, owinęłam głowę grubym ręcznikiem i włożyłam

kaszmirowy szlafrok. Westchnęłam głęboko, ciesząc się przez chwilę miękkim dotykiem tkaniny i zastanawiając, w co się ubrać. Wybrałam czerwoną bluzkę i džinsy, a włosy uczesałam w koński ogon i związałam czerwoną wstążką. W pośpiechu wróciłam do pana Kadama i opadłam na skórzany fotel, a tymczasem Nilima przyniosła mi jajka na bekonie i grzanekę. Zjadłam jajka, ugryzłam kawałek tosta, ale bekon postanowiłam zachować dla Rena. Gdy Nilima sprzątała łóżko oraz stolik po śniadaniu, podeszłam do klatki, dzierżąc w dłoni smakolyk.

Zachęcającym gestem wsunęłam kawałek bekonu między pręty. Tygrys podszedł, bardzo delikatnie chwycił zębami krawędź plasterka, wyciągnął go z mojej dłoni, po czym połknął w całości.

Roześmiałam się.

— O rany, Ren, musisz najpierw pogryźć. Chwileczkę, czy tygrysy w ogóle żują? Tak czy inaczej przynajmniej zacznij jeść trochę wolniej. Pewnie nigdy nie zdarzają ci się takie smakolyki. — Po kolei wyciągnęłam w jego stronę trzy następne kawałki. Połknął je wszystkie, a potem różowy język wystrzelił spomiędzy prętów i polizal moje palce. Zaśmiałam się cicho i poszłam umyć ręce. Następnie sprzątnęłam swoje rzeczy i wcisnęłam torbę do schowka nad głową.

Właśnie skończyłam, gdy podszedł do mnie pan Kadam. Wskazał na okno i powiedział:

— Panno Kelsey, witamy w Indiach.

6

MUMBAJ



Minęliśmy ocean i leciliśmy w kierunku miasta. Wyrzalam przez okno. Chyba tak naprawdę nie spodziewalam się nowoczesnej metropolii i zadziwiły mnie setki wysokich, białych, podobnych do siebie budynków widocznych pod nami. Samolot wysunął podwozie, krążąc nad wielkim lotniskiem w kształcie półksiężyca. Opuścił się w dół, dwa razy odbił od pasa i zgrabnie wylądował.

Obróciłam się w fotelu, by zerknąć, co z Renem. Stał podekscytowany, ale poza tym wszystko było w normie. Poczulałam przyływ radosnej energii, gdy samolot coraz wolniej toczył się po pasie startowym.

— Gotowa, panno Kelsey?

— Jasne. Tylko wezmę torbę.

Zarzuciłam bagaż na ramię, wysiadłam z samolotu i zbiegłam po schodkach na ziemię. Wciągnęłam w płuca gorące, wilgotne powietrze. Zdziwił mnie szary kolor nieba. Było ciepło i wilgotno, ale całkiem znośnie.

— Proszę pana, czy w Indiach nie jest zazwyczaj upalnie i słonecznie?

— Mamy sezon monsunowy. Tu prawie nigdy nie jest zimno, ale w lipcu i sierpniu od czasu do czasu pada, zdarzają się również cyklony.

Wręczyłam mu swoją torbę i podeszłam do tragarzy, którzy usiłowali przetransportować Rena z samolotu do ciężarówki. Operacja ta wyglądała tutaj całkiem inaczej niż w Stanach. Dwóch mężczyzn

przymocowało do tygryskiej obroży długie łańcuchy, trzeci zaś przysunął rampę do tylnej części ciężarówki. Bez trudu wydostali Rena z samolotu, lecz mężczyzna, który znajdował się najbliżej, zbyt mocno ciągnął za łańcuch. Tygrys zareagował błyskawicznie. Zarzyczał gniewnie i jakby od niechcenia zamachnął się na niego łapą.

Wiedziałam, że niebezpiecznie jest się do nich zbliżać, ale jakaś wewnętrzna siła popchnęła mnie do przodu. Myśląc tylko o wygodzie Bena, podeszłam do przestraszonego mężczyzny, zabrałam mu łańcuch i gestem pokazałam, żeby się odsunął. Wyglądał na wdzięcznego, że uwolniłam go od obowiązku. Zaczęłam przemawiać do Rena łagodnie i poklepałam go po grzbiecie, zachęcając, by szedł za mną do ciężarówki.

Tygrysnatychmiast posłuchał i ruszył za mną jak pokorne jaginiątko, ciągnąc za sobą po ziemi ciężkie łańcuchy. Tuż przy rampie zatrzymał się i otarł o moją nogę, a potem wskoczył do samochodu, szybko obrócił się przodem do mnie i polizal mnie w rękę.

Z uczuciem pogłaskałam go po barku i przemówiłam do niego łagodnym, uspokajającym tonem, odpinając jednocześnie ciężkie łańcuchy od jego obroży. Ren spojrzał na tragarzy, którzy wciąż stali w tym samym miejscu zastygli w bezruchu, ze zdumieniem wymalowanym na twarzach. Prychnął na nich z pogardą i wydal z siebie cichy pomruk. Gdy nalewałam mu wody, ocierał się łbem o moją rękę i nie spuszczał wzroku z mężczyzn, całkiem jakby był moim psem obronnym. Tragarze zaczęli wymieniać jakieś szybkie uwagi w hindi.

Zamknęłam klatkę, a tymczasem pan Kadam podszedł do tragarzy i przez chwilę mówił coś do nich cichym głosem. Nie wyglądał na zaskoczonego tym, co się stało.

Cokolwiek powiedział, uspokoiło to tragarzy, którzy już wkrótce zaczęli się krzątać, starannie omijając tygrysa szerokim łukiem. Prędko zebrali sprzęt i pokierowali pilota do pobliskiego hangaru.

Gdy Ren był już bezpieczny w ciężarówce, pan Kadam przedstawił mnie kierowcy, który wydawał się miły, ale był bardzo młody, młodszy nawet ode mnie. Wyjaśniwszy mi, gdzie schował moją torbę, pan Kadam wskazał na duży czarny plecak z przegródkami, który dla mnie kupił, i odpiął kilka zamków, by pokazać mi, co schował w przegródkach. W czarnej, zapinanej na suwak kieszeni znajdowała się znaczna ilość indyjskiej waluty. W kolejnej — dokumenty podróżne dla mnie i Rena. W innej kieszonce znalazłam kompas i zapalniczkę. Główna przegroda plecaka kryła w sobie zapas batonów energetycznych, map i butelek z wodą.

— Hmm, proszę pana, czemu włożył pan do plecaka zapalniczkę i kompas, nie mówiąc już o całej reszcie?

Pan Kadam uśmiechnął się i wzruszył ramionami, po czym popapinal wszystkie kieszonki i położył plecak na przednim siedzeniu.

— Nigdy nie wiadomo, co się przyda podczas podróży. Chciałem mieć pewność, że będzie pani przygotowana na wszystko, panno Kelsey. Ma tam pani również słownik hindi-angielski. Pouczyłem kierowcę, jak ma jechać, ale on niezbyt dobrze mówi po angielsku. A teraz muszę panią opuścić. — Uśmiechnął się i ścisnął mnie za ramię.

Nagle ogarnął mnie strach. Dalsza podróż bez pana Kadama napawała mnie niepokojem. Czulałam się tak samo jak pierwszego dnia w liceum — oczywiście zakładając, że moje liceum można porównać do jednego z największych krajów na świecie, w którym wszyscy mówią w obcym języku. Cóż, zostałam sama. Czas zacząć zachowywać się jak dorosła. Staralam się nabrać pewności siebie, ale lęk przed nieznanym zżerał mnie od środka.

Błagalnym tonem spytałam:

— Na pewno nie może pan zmienić planów i pojechać z nami?

— Niestety, to niemożliwe. — Pan Kadam uśmiechnął się krzepiąco. — Proszę się nie bać, panno Kelsey. Doskonale sobie pani poradzi z opieką nad tygrysem, a ja starannie zaaranżowałem każdy etap pani podróży. Wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Uśmiechnęłam się słabo, a on na moment ujął moją rękę obiema dłońmi i powiedział:

— Proszę mi zaufać, panno Kelsey. Wszystko będzie dobrze. — Mrugnął do mnie z błyskiem w oku i się oddalił. Spojrzałam na Rena.

— No to zostaliśmy tylko ty i ja.

Zniecierpliwiony kierowca, który chciał szybko zacząć podróż i szybko ją skończyć, zawołał na mnie z soferki:

— My jechać!?

— Tak, jechać — odpowiedziałam z westchnieniem.

Gdy wdrapałam się do kabiny, kierowca wcisnął pedał gazu i od tej chwili nie odrywał już od niego stopy. Pędem wyjechał z lotniska i po niecałych dwóch minutach z zatrważającą prędkością przedzierał się już przez ruch uliczny. Chwyciłam się jedną ręką drzwi, a drugą tablicy rozdzielczej. Mój sofer nie był jedynym szalonym kierowcą na drodze. Najwyraźniej wszystkim tutaj wydawało się, że sto trzydzieści kilometrów na godzinę w zatłoczonym mieście, w otoczeniu setek

przechodniów, to niewystarczająca prędkość. Za oknem samochodu przesuwali się w tę i wewtę hordy ludzi odzianych w jaskrawe, żywe kolory. Ulice były wypełnione najrozmaitsze mi pojazdami: autobusami, niedużymi autami i jakimiś dziwnymi małymi, kanciastymi samochodzikami bez drzwi i na trzech kołach — uznałam, że to tu tejsze taksówki, ponieważ było ich całe mnóstwo. Mijaliśmy również niezliczone ilości motocykli, rowerów oraz pieszych. Dostrzegłam nawet ciągnięte przez zwierzęta wozy pełne ludzi oraz plodów rolnych. Domyśliłam się, że teoretycznie powinniśmy jechać lewą stroną drogi, ale nikt tu chyba nie przejmował się przepisami, nie było nawet białych linii wyznaczających granice pasów. Jak na lekarstwo było również światel, znaków drogowych czy drogowskazów. Samochody skręcały po prostu w lewo albo w prawo tam, gdzie się dało, a czasem nawet wtedy, gdy się nie dało. W pewnym momencie jakieś auto wyjechało prosto na nas, skręciło w ostatniej chwili. Kierowca ciężarówki śmiał się ze mnie, i lekko wydawałam stłumiony okrzyk przerażenia.

Z biegiem czasu uodpornałam się nieco na te wrażenia i zaczęłam z ciekawością obserwować przemykającą za oknem scenę. Dostrzegłam niezliczone wielokolorowe targowiska i ludzi handlujących eklektyczną mieszanką przeróżnych towarów. Sprzedawcy wychylali się zza szafków na kółkach lub okien niewielkich budynków, zachwalając marionetki, biżuterię, dywaniki, pamiątki, przyprawy, orzechy, a także wszelkiego rodzaju owoce oraz warzywa. Miałam wrażenie, że na każdym kroku ktoś tu czymś handluje. Na billboardach widniały reklamy kart do tarota, wróżb z dłoni, egzotycznych tatuaży, piercingu oraz malunków henną. Całe miasto stanowiło pozostającą w wiecznym ruchu, dziką, kolorową panoramę ludzi wszelakiej proweniencji. Najwyraźniej nie było tu ani jednego centymetra wolnej przestrzeni.

Po męczącej przeprawie przez zatłoczoną metropolię dotarliśmy wreszcie do autostrady. W końcu mogłam odrobinę rozluźnić mięśnie - nie dlatego że kierowca zwolnił tempo, co to, to nie, przyspieszył wręcz - ale dlatego że znacznie zmniejszył się ruch. Starałam się śledzić na mapie, dokąd jedziemy, jednak przeszkadzał mi w tym brak znaków drogowych. Mimo to zauważyłam, że kierowca przeoczył ważny skręt na autostradę, która prowadziła do tygrysiego rezerwatu.

- Tędy! Skręć w lewo! - Pokazałam palcem.

Chłopak wzruszył ramionami i machnął ręką, całkowicie ignorując moją sugestię.

Chwyciłam słownik i zaczęłam gorączkowo szukać zwrotów „w lewo” i „nie tędy”. W końcu znalazłam słowa *kbarab rah*, które znaczyły „zła strona” lub „niewłaściwa ścieżka”. Kierowca wskazał palcem na ulicę i powiedział „szybka droga”. Poddalam się i pozwoliłam mu robić, co chce. W końcu to jego kraj. Doszłam do wniosku, że zapewne lepiej niż ja zna tutejsze trasy.

Po jakichś trzech godzinach jazdy zatrzymaliśmy się w małym miasteczku o nazwie Ramkola. Właściwie określanie tego miejsca mianem miasteczka było pewną przesadą, mogło się ono bowiem poszczycić jedynie sklepem, stacją benzynową oraz pięcioma domami. Osada graniczyła z dżunglą i tam właśnie dostrzegłam wreszcie drogowskaz.

REZERWAT DZIKIEJ PRZYRODY JAWAL PAKSZIŚALA JAWAL 4 KM

Kierowca wysiadł z ciężarówki i zabrał się do tankowania. Wskazał mi sklep po drugiej stronie ulicy i powiedział:

— Jeść. Dobre jedzenie.

Chwyciłam plecak i zajrzałam na tył ciężarówki, by sprawdzić, co u Rena. Leżał rozciągnięty na podłodze klatki. Gdy się zbliżyłam, otworzył oczy i ziewnął, ale nie ruszył się z miejsca.

Podeszłam do sklepiku i otworzyłam odrapane, skrzypiące drzwi. Nad moją głową zadzwonił mały dzwoneczek. Z zaplecza wyłoniła się Induska ubrana w tradycyjne sari i uśmiechnęła się do mnie.

— *Namaste*. Pani lubi jeść? Coś zjeść?

— Och! Mówi pani po angielsku? Tak, chętnie zjadłabym lunch.

— Pani siedzieć. Ja zrobić.

Choć dla mnie była pora lunchu, oni prawdopodobnie myśleli już o kolacji, ponieważ słońce schodziło coraz niżej po niebie. Kobieta gestem zaprosiła mnie do ustawionego przy oknie małego stolika z dwoma krzesłami, po czym zniknęła.

Sklepek był niewielkim, prostokątnym pomieszczeniem, pełnym warzyw i owoców, pamiątek z pobliskiego rezerwatu oraz przedmiotów, takich jak zapalki czy narzędzia. W tle cicho grała indyjska muzyka. Rozpoznałam dźwięk sitara, słyszałam również dzwonki, ale nie potrafiłam zidentyfikować pozostałych instrumentów. Zerknęłam w stronę drzwi, za którymi zniknęła kobieta, i doszedł mnie brzęk garnków z kuchni. Wyglądało na to, że sklep urządzone we

frontowym pomieszczeniu większego budynku, z tyłu zaś znajdowało się mieszkanie właścicieli.

Kobieta wróciła zaskakująco szybko, balansując z czterema miskami jedzenia. Za nią weszła jakaś dziewczynka z kolejną porcją pełnych naczyń. Dania pachniały egzotycznymi przyprawami.

— Proszę jeść. Smacznego — zachęcała kobieta.

Gospodyni zniknęła za drzwiami, dziewczynka zaś zaczęła porządkować sklepowe półki. Nie przyniosły mi sztuców, jadłam więc palcami, pamiętając, by zgodnie z indyjską tradycją używać tylko prawej dłoni. Całe szczęście, że pan Kadam wspomniał o tym w samolocie.

Rozpoznałam ryż basmati, chleb nan i kurczaka tanduri, ale pozostałe trzy dania widziałam na oczy po raz pierwszy. Spojrzałam na dziewczynkę, skinęłam głową i spytałam:

— Mówisz po angielsku?

Młoda Induska pokiwała głową i podeszła. Gestykulując, powiedziała:

— Trochę po angielsku.

Wskazałam na trójkątny pasztecik wypełniony aromatycznie przyprawionymi warzywami.

— Jak to się nazywa?

— To samosa.

— A to i to?

— Rasmalai i baigan bharta.

Dziewczynka uśmiechnęła się nieśmiało i wróciła do krzątania się przy półkach. Z tego, co zdołałam zgadnąć, rasmalai były to kuleczki z koziego sera w słodkim śmietanowym sosie, zaś baigan bharta wyglądało na danie z bakłażana z groszkiem, cebulą i pomidorami. Wszystko bardzo mi smakowało, było tego jednak odrobinę za dużo. Gdy skończyłam jeść, gospodyni przyniosła mi koktajl z mango, jogurtu i koziego mleka.

Podziękowałam jej. Gdy sączyłam koktajl, od niechcenia skierowałam wzrok na scenę rozgrywającą się na zewnątrz. Za oknem nie rozciągał się specjalnie ciekawy widok. Jedyne, co dostrzegłam, to stacja benzynowa i dwóch mężczyzn, którzy stali przy ciężarówce i rozmawiali. Jeden z nich był bardzo przystojnym młodzieńcem ubranym na biało. Stał przodem do sklepu. Jego rozmówca, odwrócony do mnie plecami, był starszy i wyglądał jak pan Kadam. Mężczyźni najwyraźniej się kłócili. Im dłużej ich obserwowałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że ten drugi to rzeczywiście

pan Kadam. Klócił się jednak z młodszym zawzięcie, a ja nie potrafiłam uwierzyć, że pan Kadam mógłby być tak rozgniewany.

Hmm, to ci dopiero, pomyślałam i wyczęłam słuch, by przez otwarte okno wylać choćby kilka słów. Starszy mężczyzna często powtarzał **nahin mahodaja**, młodszy zaś co chwilę wypowiadał słowo *awaśjak* lub coś podobnego. Zaczęłam przerzucać kartki słownika i z łatwością odnalazłam zwrot **nahin mahodaja**. Oznaczał „nie ma mowy” lub „nie, proszę pana”. Ze słowem **awaśjak** miałam większy problem, ponieważ musiałam odgadnąć, jak się je pisze, w końcu jednak je odszukałam. Znaczyło „konieczne” lub „niezbędne”, coś, co „musi być” lub „musi się wydarzyć”.

Zbliżyłam się do okna, by mieć lepszy widok. W tym momencie młodzieniec w bieli podniósł wzrok i mnie dostrzegł. Natychmiast przerwał rozmowę i zniknął mi z oczu, chowając się za ciężarówką. Zawstydzona tym, że nakryto mnie na podglądactwie, ale nieodparcie zaciekawiona, minęłam labirynt pólek i podeszłam do drzwi. Musiałam się dowiedzieć, czy ten starszy mężczyzna to naprawdę pan Kadam.

Chwyciłam obłuzowaną klamkę i nacisnęłam ją. Zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy. Przemierzywszy piaszczystą ścieżkę, dotarłam do ciężarówki, ale nikogo nie dostrzegłam. Obeszłam pojazd wokół, zatrzymałam się przy pacy i zauważyłam, że Ren czujnie przygląda mi się spoza prętów kratki. Ale obaj mężczyźni oraz kierowca zniknęli. Zajrzałam do szoferki. Była pusta.

Poczułam konsternację, ale w tym momencie przypomniałam sobie, że nie zapłaciłam za jedzenie, wróciłam więc do sklepu. Dziewczynka sprzątnęła już ze stołu. Wyciągnęłam z plecaka kilka banknotów i spytałam:

— Ile płacę?

— Sto rupii.

Pan Kadam poradził mi, by przeliczać walutę, dzieląc sumę przez czterdzieści. Szybko obliczyłam, że dziewczyna prosi mnie o dwa dolary i pięćdziesiąt centów. Uśmiechnęłam się do siebie na wspomnienie mojego taty miłośnika matematyki, który, gdy byłam jeszcze dzieckiem, nauczył mnie szybkiego dzielenia w pamięci. Wręczyłam dziewczynce dwieście rupii, na co ta odpowiedziała radosnym uśmiechem.

Podziękowałam jej za przepyszne jedzenie. Chwyciłam plecak, otworzyłam skrzypiące drzwi i wyszłam na zewnątrz.

Ciężarówka zniknęła.

7

DŻUNGLA



Jak to możliwe?

Dobiegłam do stacji benzynowej i rozejrzałam się w prawo i w lewo.

Nic. Na drodze ani chmurki pyłu. Nikogo. Pusto.

Może kierowca o mnie zapomniał? Może musiał po coś pojechać i wróci? Może ktoś ukradł ciężarówkę, a kierowca wciąż gdzieś tu jest? Wiedziałam, że żaden z tych scenariuszy nie jest zbyt prawdopodobny, daly mi jednak nadzieję — choćby na minutę.

Przeszłam na drugą stronę stacji i znalazłam swój czarny plecak na środku piaszczystej drogi. Podbiegłam do niego, podniosłam z ziemi i zajrzałam do środka. Wyglądało na to, że wszystko jest na swoim miejscu.

Nagle usłyszałam za plecami jakiś dźwięk, obróciłam się i ujrzałam Rena, siedzącego na poboczu. Obserwował mnie, wymachując ogonem to w przód, to w tył. Wyglądał jak wielkie porzucone szczepienie, które merda ogonkiem w nadziei, że ktoś je przygarnie i weźmie do domu.

— No nie! Po prostu świetnie — wymamrotałam. — A pan Kadam twierdził, że „wszystko pójdzie zgodnie z planem”. Kierowca musiał ukraść ciężarówkę i cię wypuścić. Co ja mam teraz zrobić?

Zmęczona, wystraszona i samotna, przypominałam sobie rady swojej mamy: „nawet dobrym ludziom przytrafia się czasem coś złego”. „Klucz do szczęścia to starać się wykorzystać to, co przyniesie los, i być za to wdzięcznym”. No i jej ulubione powiedzenie: „kiedy

życie wręcza ci cytrynę, upiecz ciasto cytrynowe". W przeszłości moja mama starała się o dziecko i właściwie już prawie się poddała, kiedy pojawiłam się ja. Zawsze mawiała, że nigdy nie wiadomo, co czeka na nas za zakrętem.

Skupiłam się więc na pozytywach. Po pierwsze, mam wszystkie swoje ubrania. Po drugie — dokumenty podrózne i plecak pełen pieniędzy. To dobre wiadomości. Zła jest taka, że ciężarówka odjechała i zostałam sama z tygrysem na wolności. Postanowiłam, że najważniejsza sprawa to zabezpieczyć jakoś Rena. Wróciłam do sklepu i kupiłam kilka pasków suszonego mięsa oraz długą linę.

Wyszłam na zewnątrz z nowo nabytą jaskrawożółtą liną i zamiarem sklonienia tygrysa do współpracy. W tym czasie Ren ruszył się ze swego miejsca na poboczu i kroczył już w stronę dżungli. Pobiegłam za nim.

Rozsądniej byłoby wrócić do sklepu, pożyczyć telefon i zadzwonić do pana Kadama, żeby przysłał mi profesjonalnych pomocników, którzy pomogliby mi złapać tygrysa. W tamtej chwili nie myślałam jednak rozsądnie. Bałam się o Rena. Wiedziałam, że nic mi nie zrobi, ale co jeśli jacyś napotkani ludzie spanikują i użyją broni? Martwiłam się też o to, że nawet gdyby udało mu się uciec, mógłby nie przeżyć w dżungli. Nie był przyzwyczajony do polowania. Wiedziałam, że to głupi pomysł, ale postanowiłam pójść za moim tygrysem.

Błagalnym tonem zawołałam:

— Ben, wracaj! Musimy poszukać pomocy! To nie jest twój rezerwat. No chodź, dostaniesz coś dobrego! — Pomachałam w powietrzu paskiem mięsa, ale Ben szedł dalej. Ciężyły mi moja torba i plecak od pana Kadama. Mogłam nadażyć za tygrysem, ale dodatkowy ciężar nie pozwalał mi go przegonić.

Ren nie poruszał się bardzo szybko, ale przez cały czas był kilka metrów przede mną. Nagle dał susa i zniknął w dżungli. Pobiegłam za nim, a plecak podskakiwał mi na ramionach.

Po jakichś piętnastu minutach pościgu po twarzy splotywał mi pot, ubranie kleiło się do ciała i powłóczyłam nogami, jakby mi ktoś do nich przywiązał kamienie.

Zwolniłam tempo i jeszcze raz poprosiłam:

— Ren, błagam cię, wróć. Musimy iść z powrotem do miasteczka. Niedługo się ściemni.

Tygrys nie zwrócił na mnie uwagi i zaczął kluczyć między drzewami. Co jakiś czas zatrzymywał się, by na mnie spojrzeć. Za każdym razem, gdy wydawało mi się, że za chwilę go dogonię, on

przyspieszał i puszczal się do przodu, przez co znów musiałam za nim biec. Wyglądało to zupełnie tak, jakby prowadził ze mną jakąś grę. Przez cały czas był tuż poza moim zasięgiem. Po kolejnych piętnastu minutach bezowocnego pościgu postanowiłam zrobić sobie przerwę. Wiedziałam, że jestem już daleko od miasteczka. Powoli zapadał zmierzch. Zgubiłam się na amen.

Ren musiał zauważyć, że przestałam za nim biec, ponieważ w końcu zwolnił, odwrócił się i przydreptał do mnie z poczuciem winy wypisanym na pysku. Rzuciłam mu gniewne spojrzenie.

— Proszę, proszę. Wystarczyło się zatrzymać, a już przybiegasz z powrotem. Mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolony.

Przywiązałam sznur do jego obroży i uważnie rozejrzałam się wokół, usiłując zorientować się, gdzie jestem.

Weszliśmy głęboko w dżunglę. Kluczyliśmy pomiędzy drzewami i wiele razy zmienialiśmy kierunek. Z rozpaczą stwierdziłam, że całkowicie straciłam orientację. Zmierzchało, a gęste korony drzew zasłaniały resztki słońca. Ogarnął mnie dławiący strach, a po plecach przeszedł zimny dreszcz, który rozprzestrzenił się po całym ciele, aż dostałam gęsiej skórki.

Nerwowo skręcałam linę w dłoniach.

— Wielkie dzięki, mój panie! — mruknęłam do tygrysa. — Gdzie ja jestem? Co ja wyprawiam? Utknęłam Bóg wie gdzie w indyjskiej dżungli, nocą, z tygrysem na sznurku.

Ren cicho usiadł obok mnie.

Przez chwilę strach mnie przytłoczył. Miałam wrażenie, jakby dżungla zamykała się wokół mnie, jakbym zaraz miała się udusić. Wszystkie dźwięki zlały się w jeden jazgot, który zwałił mi się na głowę. Wyobraziłam sobie groźne stworzenia, obserwujące mnie szklistymi, wrogimi ślepiami i gotujące się do skoku. Uniosłam wzrok i ujrzałam wściekle monsunowe chmury, które przewalały się po wieczornym niebie, pożerając je z zachłanną prędkością. Ostry wiatr hulal w koronach drzew i ze świstem okrążał moje zeszywniałe ciało.

Po kilku chwilach Ren wstał i ruszył naprzód, delikatnie pociągając mnie za sobą. Z trudem ruszyłam za nim. Na moment wybuchnęłam nerwowym, szaleńczym śmiechem, ponieważ uświadomiłam sobie, że pozwalam, by tygrys prowadził mnie przez dżunglę. Stwierdziłam jednak, że jeszcze większym oblędem byłoby, gdybym to ja jego prowadziła. Nie miałam pojęcia, gdzie się znajduję. Ren maszerował jakąś niewidzialną ścieżką, ciągnąc mnie za sobą. Straciłam

poczucie czasu, mogłam się tylko domyślać, że wędrujemy już tak przez dżunglę od godziny, może dwóch. Zrobiło się bardzo ciemno. Byłam zmęczona i spragniona. Przypomniałam sobie, że pan Kadam spakował do plecaka wodę. Odpięłam suwak i zaczęłam macać w kieszonce w poszukiwaniu butelki. Moja dłoń otarła się o coś zimnego i metalowego. Latarka! Włączyłam ją i promień światła przecinający ciemność przyniósł mi nieco ulgi.

Po zmroku gęstwina dżungli wydała mi się jeszcze bardziej groźna i złowieszcza, a marny promyk światła latarki nie sięgał zbyt daleko, co tylko pogorszyło sytuację.

Wkrótce na niebie pojawił się wąski księżyc i przeświecił gęste, ciemne korony drzew nad moją głową, a futro Rena zalśniło w miejscach, gdzie padały na nie srebrzyste smugi.

Wyteżając wzrok, spoglądałam przed siebie, na lśniące przeblyski tygryziej sierści pośród migotliwych plam światła. Gdy księżyc schował się za chmurami, Ren całkowicie zniknął mi z oczu. Skierowałam na niego latarkę i dostrzegłam cierniste zarośla drapiące jego srebrnobiałe futro. Tygrys brutalnie odpychał od siebie kolczaste gałązki, zupełnie jakby wytyczał dla mnie ścieżkę.

W końcu, po długim marszu, zaciągnął mnie w bambusowy zagajnik obok wielkiego drzewa tekowego. Uniósł nos, węsząc nie wiadomo za czym, a potem podreptał w stronę niewielkiej polanki i położył się na trawie.

— Cóż, najwyraźniej to tutaj będziemy dzisiaj spali. — Potrząsnęłam ramionami, uwalniając się od plecaka, i dodałam z wyrzutem: — Świetnie. Nie, naprawdę. Urocze miejsce. Dałabym mu cztery gwiazdki, gdyby tylko ktoś zostawił mi miętówkę na poduszce.

Odwiązałam sznur od obroży Rena, bo doszłam do wniosku, że dalsze próby powstrzymania go od ucieczki nie mają sensu, po czym kucnęłam i otworzyłam plecak. Wyciągnęłam z niego ciepłą bluzę, którą zawiązałam wokół talii, oraz dwie butelki wody i trzy batony energetyczne. Dwa z nich odwinęłam z opakowań i podałam Renowi.

Tygrys ostrożnie wyjął mi z dłoni pierwszy batonik i polknął go w całości.

— Czy tygrysy powinny jeść takie rzeczy? Pewnie przydałoby ci się więcej białka, a jedyne jego źródło w pobliżu to ja, ale nawet o tym nie myśl. Zapewniam cię, że okropnie smakuje.

Ren przekrzywił łeb, zupełnie jakby wziął moje słowa na poważnie, po czym szybko polknął drugi batonik. Sama otworzyłam trzeci i zaczęłam skubać go powoli. Odpięłam kolejną kieszeń, w której

znalazłam zapalniczkę, i postanowiłam rozniecić ognisko. Po krótkich poszukiwaniach z latarką z zaskoczeniem stwierdziłam, że wokół mnie znajduje się całkiem sporo drewna.

Przypominając sobie swoje skautowskie czasy, zabrałam się do układania niewielkiego stosika. Pierwsze dwa płomienie zdmuchnął wiatr, ale trzecia próba się powiodła i już wkrótce ognisko trzeszczało cicho i krzepiąco.

Zadowolona z osiągnięcia, ułożyłam obok zapas drewnienek, po czym przesunęłam bagaże bliżej ognia. W plecaku znalazłam plastikową torbę. Podniosłam z ziemi zaokrąglony kawał kory i wyłożyłam środek foliówką. Nalałam wody i zaniiosłam tę prowizoryczną miskę Renowi. Tygrys wychleptał wodę do dna i dalej lizal plastik, wlałam więc do miseczki dragą butelkę wody. Wypił wszystko lappczywie.

Wróciłam do ogniska i aż podskoczyłam, usłyszawszy gdzieś w pobliżu złowieszczy skowyt. Ren zerwał się natychmiast i błyskawicznie zniknął w ciemności. Doszedł mnie głęboki pomruk, a potem usłyszałam wściekle warknięcie. Ponuro wpatrywałam się w mrok pomiędzy drzewami, tam gdzie zniknął Ren, który jednak już po chwili wrócił bez szwanku i zaczął ocierać się o pień drzewa tekowego. Zadowolony, podszedł do kolejnego, i kolejnego, aż wtarł swoje futro we wszystkie otaczające nas drzewa.

— Jejku, Ren. Ale musiało cię swędzieć. — Zostawiłam go w spokoju, przetrzepałam miękką torbę, w której trzymałam ubrania, by zrobić z niej poduszkę, i włożyłam bluzę. Wyciągnęłam babciny pled. Nie chciałam go ubrudzić, ale desperacko pragnęłam ciepła i pocieszenia, przykryłam więc nogi tą rodzinną pamiątką. Potem ułożyłam się na boku, oparłam policzek na dłoń i wypatrywałam się w ogień, podczas gdy po twarzy splywały mi wielkie łzy.

Zacząłam nasłuchiwać otaczających mnie niesamowitych odgłosów. Wszędzie wokół słyszałam dziwne stukanie, gwizdy, pyknięcia i trzaski. Zacząłam wyobrażać sobie wstrętne, pelzające istoty, myszkujące w moich włosach i wlażące mi do skarpetek.

Otrząsnęłam się i usiadłam, by ciaśniej owinąć się pledem. Okrywał teraz moje całe ciało. Z powrotem ułożyłam się na ziemi, otulona jak mumia.

Poczułam się lepiej, ale już za chwilę wyobraziłam sobie dzikie zwierzęta czające się na mnie z tyłu. Już miałam przewrócić się na plecy, kiedy Ren położył się tuż obok mnie, przytulił się do mnie grzbietem i zaczął mruzczyć.

Z wdzięcznością otarłam lzy z policzków. Nocne odgłosy zagłuszyło tygrysie mruczenie, które wkrótce przeszło w głęboki, rytmiczny oddech. Przynalęłam się bliżej jego grzbietu, ze zdumieniem stwierdzając, że w dżungli jednali da się spać.



Jasny promień słońca padł na moje zamknięte powieki. Otworzyłam je powoli. Przez chwilę nie pamiętałam, gdzie się znajduję. Przeciągnęłam się i skrzywiłam się z bólu, przejechawszy plecami po twardej ziemi. Coś ciężkiego leżało mi na nodze. Spojrzałam w dół i dostrzegłam Rena, śpiącego z lbem i jedną łapą na mojej lydce.

— Ren. Obudź się — szepnęłam. — Noga mi zdrtwiała.

Tygrys ani drgnął.

Usiadłam i szturchnęłam go lekko.

— No dalej, Ren. Rusz się!

Zamruczał cicho, ale spał dalej.

— Ren! Poważnie mówię! Ruusz się! — Potrząsnęłam nogą, szturchając go mocniej.

W końcu zamrugał oczami, ziewnął szeroko, pokazując wszystkie zęby, i przeturlał się na bok, uwalniając moją nogę.

Wstałam, wytrzepałam pled, złożyłam go i wetknęłam do torby. Przydeptałam również pozostałości ogniska, by mieć pewność, że nic się już nie pali.

— A tak na przyszłość wiedz, że nienawidzę spania pod gołym niebem — poskarżyłam się głośno. — I wcale mi się nie podobają, że nie ma tu łazienki. Sikanie w krzakach podczas przeprawy przez dżunglę jest na liście moich najmniej ulubionych zajęć. Wy, tygrysy, i w ogóle faceci, macie znacznie łatwiej niż my, dziewczyny.

Zebrałam puste butelki oraz opakowania po batonach i schowałam je do plecaka. Na końcu wzięłam do ręki żółty sznur. Tygrys siedział i patrzył na mnie. Postanowiłam zrezygnować z udawania, że to ja go prowadzę, i wetknęłam sznur do plecaka.

— No dobrze, Ren. Jestem gotowa. Dokąd dziś idziemy?

Tygrys odwrócił się i zniknął w gęstwinie. Kluczył pomiędzy drzewami, przeskakując kamienie i wąskie strumyczki. Nie wyglądał na kogoś, kto się spieszy, co jakiś czas zatrzymywał się nawet, zupełnie jakby wiedział, że potrzebuję odpoczynku. Słońce było już

wysoko na niebie i w dżungli zrobiło się parno, zdjęłam więc bluzę i zawiązałam ją wokół talii.

Dżungla była intensywnie zielona, a w powietrzu unosił się ostry, pieprzowy zapach, zupełnie inny niż w lasach Oregonu. Ogromne drzewa liściaste rosły dość rzadko i miały długie, wysmukłe gałęzie. Liście były barwy oliwkowej, innej niż ciemna zieleń iglaków, do których przywykłam. Ciemnoszara i szorstka w dotyku kora miejscami odpadała cienkimi płatkami.

Małe, podobne do wiewiórek zwierzątka skakały z drzewa na drzewo. Co jakiś czas zdarzało nam się sploszyć pasące się jelenie. Wyczuwszy tygrysa, umykały w podskokach na zwinnych nogach. Obserwowałam reakcje Rena, ale nie zwracał na nie uwagi. Zauważyłam kolejny często tu spotykany gatunek drzewa. Było nieco mniejsze i również miało cienką, przypominającą papier korę. W miejscach, gdzie odpadała, po pniu kapala lepiała się, gumowata żywica. Po tym jak oparłam się o jedno z tych drzew, żeby wytrześć kamyk z buta, spędziłam kolejną godzinę, usiłując oczyścić palce z kleistej mazi.

Właśnie mi się to udało, gdy przemierzając szczególnie gęstą kępę wysokich traw i pędów bambusa, wystraszyliśmy stado kolorowych ptaków, które gwałtownie poderwały się do lotu. Zaskoczona, cofnęłam się i weszłam prosto na kolejne ociekające żywicą drzewo, przez co ubrudziłam sobie całe ramię.

Ren zatrzymał się przy wąskim strumieniu. Wyciągnęłam z plecaka butelkę wody i wypiłam ją do dna. Dobrze było mieć odrobinę lżejszy bagaż, ale zaczynałam się martwić o to, skąd wezmę wodę, gdy skończą mi się zapasy. Mogłabym pewnie pić z tego samego strumyka co Ren, wołałam jednak, by ta konieczność nastąpiła jak najpóźniej, gdyż mój organizm z pewnością nie zniósłby tego równie dobrze.

Usiadłam na kamieniu i wyłowiałam z plecaka kolejny batonik. Zjadłam połowę, a drugą oddałam Renowi, wraz z jeszcze jednym całym batonem. Wiedziałam, że mnie taka ilość kalorii wystarczy, byłam jednak pewna, że nie wystarczy Renowi. Niedługo będzie musiał zapolować.

Wyciągnęłam kompas i wcisnęłam go do kieszeni džinsów. W plecaku nadal tkwiły pieniądze, papiery podróżne, butelki z wodą, apteczka, spray na owady, świeczka i szczyrzyk, nie było jednak telefonu komórkowego. Swoją własny telefon zgubiłam gdzieś po drodze.

Dziwne. Czy pan Kadam mógł wiedzieć, że skończę w dżungli? Pomyślałam o mężczyźnie, który wyglądał zupełnie jak on i stał koło ciężarówki tuż przed tym, jak ją skradziono.

— Czyżby on o chciał, żeby się tu zgubiła? — zastanowiłam się na głos.

Ren usiadł obok mnie.

— Nie — odpowiedziałam sama sobie, zaglądając w błękitne oczy zwierzęcia. — To też nie ma sensu. Niby dlaczego miałby sprowadzić mnie aż do Indii tylko po to, by zgubić mnie w dżungli? Nie mógł wiedzieć, że mnie tu przyprowadzisz ani że ja za tobą pójdę. Zresztą nie jest typem kłamcy ani naciągacza.

Ren spuścił wzrok, zupełnie jakby to on czuł się winny.

— Zapewne pan Kadam jest po prostu jak skaut przygotowany na każdą okoliczność.

Po krótkim odpoczynku Ren wstał, oddalił się o kilka kroków i odwrócił do mnie wyczekująco. Zwlokłam się z kamienia i narzekając, poszłam za moim przewodnikiem. Wyjęłam środek na owady i spryskałam siebie oraz Rena. Roześmiałam się, kiedy zmarszczył nos i jego ciałem wstrząsnęło potężne tygrysy kichnięcie.

— To dokąd my właściwie idziemy? Zachowujesz się, jakbyś zmierzzał do jakiegoś konkretnego *celu*. Osobiście wolałabym wrócić do cywilizacji. Gdybyś przypadkiem znalazł nam jakieś miasteczko, byłabym ci dozgonnie wdzięczna.

Ren dalej prowadził mnie sobie tylko znanym szlakiem. Minął poranek i nastalo wczesne popołudnie.

Często spoglądałam na kompas i zdołałam ustalić, że kierujemy się na wschód. Usiłowałam właśnie wyliczyć, ile przeszliśmy kilometrów, gdy Ren zniknął wśród krzaków. Podążyłam za nim. Po drugiej stronie gęstwiny natknęliśmy się na niewielką polanę.

Z ogromną ulgą dojrzałam na środku polany niedużą chatkę o półkolistym dachu z trzciny. Ściany stanowiły bambusowe tyczki powiązane mocnym włóknem zamotanym w misterne supły, zaś szczeliny zatykały sucha trawa oraz glina.

Chatkę otaczał niski, mniej więcej półmetrowej wysokości murek ułożony z kamieni pokrytych grubym, zielonym mchem. Do frontowej ściany domku przymocowane były cienkie kamienne tabliczki, pokryte tajemniczymi symbolami oraz kształtami. Drzwi były tak małe, że osoba średniego wzrostu musiałaby się schylić, żeby wejść do środka. Wywieszzone pranie trzepotało na wietrze, a z boku chatki znajdował się niewielki ogródek pełen kwiatów.

Zbliżyliśmy się do kamiennego murku. Właśnie miałam przez niego przejść, gdy Ren przeskoczył przez barierę tuż obok mnie.

— Ren! Ale mnie wystraszyłeś! Następnym razem uprzedź mnie jakoś z łaski swojej.

Podeszliśmy do chatki. Zebrałam się na odwagę, by zapukać do maleńkich drzwi, ale w ostatniej chwili zawahałam się i spojrzałam na Rena.

— Musimy najpierw coś z tobą zrobić. — Wyjęłam z plecaka złoty sznurek i podeszłam do drzewa na uboczu polany. Ren szedł za mną niechętnie. Gestem pokazałam mu, by się zbliżył. Przełożyłam sznurek przez jego obrożę, a drugi koniec przywiązałam do drzewa. Tygrys nie wyglądał na szczególnie zadowolonego.

— Wybacz, Ren, ale nie możesz chodzić sobie teraz swobodnie. Przestraszyłbyś gospodarzy. Obiecuję wrócić najszybciej, jak się da.

Ruszyłam w stronę domku, ale nagle znieruchomiałam w pół kroku, gdy usłyszałam za plecami cichy męski głos:

— Czy to naprawdę konieczne?

Obróciłam się powoli i ujrzałam przystojnego młodzieńca. Wyglądał na dwadzieścia parę lat. Przewyższał mnie o głowę i miał silne, pięknie wyrzeźbione ciało. Odziany był w luźne białe bawelniane szaty. Spod wypuszczonej na wierzch, niedbale zapiętej koszuli widać było gładką, kształtną klatkę piersiową w kolorze złocistego brązu. Cienkie spodnie, zawinięte nad kostkami, przyciągały wzrok do jego bosych stóp. Lśniące czarne włosy były zgarnięte do tyłu i kręciły się lekko na karku.

Jednak największe wrażenie zrobiły na mnie jego oczy. Były to oczy mojego tygrysa, w tym samym odcieniu kobaltowego błękitu.

Nieznajomy wyciągnął rękę i powiedział:

— Witaj, Kelsey. To ja, Ren.

8

WYJAŚNIENIE



Mężczyzna zbliżył się ostrożnie z wyciągniętymi ramionami i powtórzył:

— Kelsey, to ja, Ren.

Nie wyglądał na groźnego, ale i tak zeszytniałam z napięcia. Nie wiedząc, co dalej robić, wyciągnęłam rękę w bezwzględnej próbie powstrzymania go.

— Co? Co pan powiedział?

Nieznajomy podszedł bliżej, położył dłoń na muskularnym torsie i powoli rzekł:

— Nie uciekaj, Kelsey. To ja, Ren. Twój tygrys.

Obrócił dłoń spodem do góry. Trzymał w niej obrożę Rena wraz z żółtym sznurkiem. Spojrzałam za niego i, tak jak się spodziewałam, nie dostrzegłam białego tygrysa. Cofnęłam się o kilka kroków, by zwiększyć trochę dystans między nami. Mężczyzna zauważył to i natychmiast znieruchomiał. Łydkami uderzyłam w kamienny murek. Zatrzymałam się i zamrugalam, cały czas nie rozumiejąc, co właściwie nieznajomy do mnie mówi.

— Gdzie Ren? Nic nie rozumiem. Czy pan coś mu zrobił?

— Nie. Ja jestem Ren.

Zmów ruszył w moją stronę. Potrząsnęłam głową.

— To niemożliwe.

Spróbowałam zrobić kolejny krok do tyłu i niemal przeleciałam przez murek.

Nieznajomy znalazł się przy mnie w mgnieniu oka i podtrzymał mnie w pasie.

— Wszystko w porządku? — zapytał uprzejmie.

— Nie! — Wciąż mnie trzymał. Wpatrywałam się w jego rękę, wyobrażając sobie tygrysią łapę.

— Kelsey? — Podniosłam wzrok i spojrzałam w jego piękne błękitne oczy. — To ja jestem twoim tygrysem.

— Nie. Nie! — szepnęłam. — To niemożliwe. Jakim cudem?

Jego cichy głos koił mój strach.

— Proszę cię, wejdźmy do domu. Właściciela w tej chwili nie ma. Będziesz mogła usiąść i się uspokoić, a ja spróbuję wszystko ci wyjaśnić.

Byłam zbyt oszołomiona, by protestować, pozwoliłam więc, żeby poprowadził mnie w stronę chatki. Mocno chwycił mnie za rękę, jakby się bał, że ucieknę z powrotem do dżungli. Nie miałam w zwyczaj podążać za obcymi mężczyznami, ale było w nim coś, co sprawiało, że czułam się bezpieczna. Byłam pewna, że mnie nie skrzywdzi. To samo silne poczucie miałam w stosunku do tygrysa.

Mężczyzna pochylił głowę, by przejść przez drzwi, i przestąpił próg chatki, ciągnąc mnie za sobą.

Wewnątrz była tylko jedna izba z niedużym łóżkiem w kącie, małym okienkiem w bocznej ścianie oraz stołem i dwoma krzesłami w przeciwległym rogu. Za odsuniętą zasłonką znajdowała się niewielka wanna. Funkcję kuchni pełniły zlew z pompką wodną, niski blat i kilka półek, na których stały puszki z jedzeniem oraz przyprawy. Pod sufitem wisiały suszone zioła, wypełniając powietrze słodkim zapachem.

Mężczyzna wskazał mi miejsce na łóżku, sam zaś oparł się o ścianę i w ciszy poczekał, aż wygodnie się usadowię.

Otrząsnęłam się z początkowego szoku i spróbowałam jakoś ogarnąć sytuację. Ten nieznajomy to Ben, mój tygrys. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie nawzajem i wiedziałam, po prostu wiedziałam, że mówi prawdę. Miał te same oczy.

Poczułam, jak opuszcza mnie strach, a pozostała po nim pustkę wypełnia nowe uczucie: gniew. Pomimo całego tego wspólnie spędzonego czasu on postanowił nie zdradzać mi swojej tajemnicy. Przewadził mnie przez dżunglę, najwyraźniej celowo, i pozwolił myśleć, że się zgubiłam w obcym kraju, w dżicy, całkiem sama.

Wiedziałam, że nigdy by mnie nie skrzywdził. Był... moim przyjacielem i ufalam mu, czemu więc on nie ufał mnie? Wiele razy

miał okazję, by podzielić się ze mną tą osobliwą nowiną, a jednak tego nie zrobił.

Spojrzałam na niego podejrzliwie i, poirytowana, zapytałam:

— To czym ty właściwie jesteś? Człowiekiem, który stał się tygrysem, czy tygrysem, który zmienił się w człowieka? A może jesteś jak wilkolak? Czy gdybyś mnie ugryzł, ja też zmieniałabym się w tygrysa?

Młodzieniec przekrzywił głowę z nierozumiejącym wyrazem twarzy, ale nic nie odpowiedział. Patrzył na mnie tymi samymi co u tygrysa intensywnie błękitnymi oczami, które zupełnie zbijały mnie z tropu.

— Eee, Ren? Chyba poczułabym się trochę lepiej, gdybyś odrobinę się ode mnie odsunął.

Ren westchnął i spokojnie przesunął się w kąt, usiadł na krześle i oparł się o ścianę, balansując na tylnych nogach siedziska.

— Kelsey, odpowiem na wszystkie twoje pytania. Proszę cię jednak o odrobinę cierpliwości i chwilę na wyjaśnienia.

— Dobrze. Słucham.

Gdy zbierał myśli, uważnie mu się przyglądałam. Nie mogłam uwierzyć, że to mój tygrys — że tygrys, który tyle dla mnie znaczył, był tym mężczyzną. Poza oczami w niczym nie przypominał tygrysa. Miał pełne usta, kwadratową szczękę i arystokratyczny nos. Nie był podobny do żadnego znanego mi mężczyzny. Nie potrafiłam tego określić, ale było w nim coś innego, wyglądał na człowieka wyjątkowo kulturalnego i wykształconego. Emanował pewnością siebie, siłą i szlachetnością. Nawet boso i w zwykłym ubraniu wyglądał jak człowiek potężny i władczy. I nawet gdyby nie był przystojny — a był niezwykle przystojny — i tak przyciągnąłby moją uwagę. Może chodziło o tygrysią część jego osobowości. Tygrysy zawsze miały dla mnie w sobie coś majestatycznego. Lubiałam na nie patrzeć. Ren okazał się równie piękny jako człowiek, co jako tygrys.

Ufałam mojemu tygrysowi, ale czy mogłam zaufać temu mężczyźnie? Obserwowałam go podejrzliwie z rozklekotanego łóżka. Ren cierpliwie pozwalał, bym mu się przyglądała, wydawało mi się wręcz, że go to lekko bawi, zupełnie jakby potrafił czytać w moich myślach.

W końcu przerwałam milczenie.

— No i co, Ren? Słucham cię.

Ścisnął grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym, a potem przeczesał dłonią jedwabiste czarne włosy, pozostawiając je lekko

zmiernione, co wydało mi się niezwykle atrakcyjne. Położył rękę na kolanie i w zamyśleniu spojrzal na mnie spod gęstych rzęs.

— Ach, Kelsey. Tyle ci muszę opowiedzieć, a nawet nie wiem, od czego zacząć.

Miał cichy, wytworny, łagodny głos, którym bardzo szybko mnie zaczarował. Po angielsku mówił bardzo dobrze, z niemal niesłyszalnym akcentem. Jego głos był melodyjny i pełen słodczy — taki, który sprawia, że dziewczyna pogrąża się w tęsknych marzeniach.

Otrząsnęłam się i zauważyłam, że Ren obserwuje mnie swoimi oczami barwy kobaltowego błękitu.

Ryła między nami jakaś wyraźnie wyczuwalna więź. Nie wiem, czy chodziło o zwykle zauroczenie, czy może o coś więcej. Jego obecność niepokoiła mnie i wyprowadzała z równowagi. Usiłowałam na niego nie patrzeć, żeby trochę się opanować, ale skończyło się na tym, że wykręcając palce, spuściłam wzrok i nerwowo postukiwałam stopą w podłogę. Gdy znów spojrzalam mu w twarz, dostrzegłam półuśmieszek i kpiarskie spojrzenie spod uniesionych brwi.

Odchrząknęłam cicho.

— Przepraszam. Co mówiłeś?

— Czy tak trudno usiąść spokojnie i posłuchać?

— Nie. Po prostu wyprowadzasz mnie z równowagi, to wszystko.

— Wcześniej cię nie denerwowałem.

— Cóż, wyglądasz teraz trochę inaczej niż wcześniej. Nie możesz ode mnie wymagać, żebym cię tak samo traktowała.

— Kelsey, spróbuj się odprężyć. Nigdy bym cię nie skrzywdził.

— Dobrze. Usiądę na rękach. Tak lepiej?

Roześmiał się.

Nieźle. Nawet jego śmiech jest magnetyczny.

— Jako tygrys musiałem nauczyć się panować nad sobą. Tygrys musi spędzać dużo czasu, leżąc bez ruchu. Wymaga to cierpliwości, podobnie jak moje wyjaśnienia.

Rozprostował swoje umięśnione ramiona, a potem chwycił taśmę fartucha wiszącego na haczyku. Bezwiednie zaczął okręcać ją między palcami.

— Muszę załatwić to dość szybko. Ludzką postać mogę przybrać na zaledwie kilka chwil dziennie, a mówiąc ściślej: dwadzieścia cztery minuty na każde dwadzieścia cztery godziny. Jako że wkrótce znów zmienię się w tygrysa, chciałbym maksymalnie wykorzystać czas, który jest nam dany. Czy podarujesz mi tych kilkanaście minut?

Wzięłam głęboki oddech.

— Tak. Chcę wysłuchać, co masz do powiedzenia. Proszę, mów.

— Czy pamiętasz historię księcia Dhirena, którą pan Kadam opowiedział ci w cyrku?

— Owszem, pamiętam. Poczekaj. Czy masz na myśli, że...

— Historia ta była w większości prawdziwa. To ja jestem Dhiren. Byłem księciem Imperium Mudżulain. Mój brat Kishan oraz moja narzeczona rzeczywiście mnie zdradzili, ale zakończenie opowieści pana Kadama zostało zmyślane. Nie zabito mnie, jak to wmówiono wielu, wielu ludziom. Na mojego brata i na mnie rzucono klątwę, która zmieniła nas w tygrysy. Pan Kadam wiernie strzegł naszej tajemnicy przez wiele stuleci. Proszę, nie wiń go o to, że cię tutaj przywiózł. To moja wina. Widzisz, ja... potrzebuję cię, Kelsey.

Nagle zaschło mi w ustach i uświadomiłam sobie, że zbyt mocno wychyłam się do przodu i za chwilę spadnę z łóżka. Szybko odchrząknęłam i wyprostowałam się z nadzieją, że Ben nic nie zauważył.

— Ee... co to znaczy, że mnie potrzebujesz?

— Pan Kadam i ja wierzymy, że to ty jesteś osobą, która będzie w stanie zdjąć klątwę. W końcu w pewnym sensie już wyrwałaś mnie z niewoli.

— Ale ja nic nie zrobiłam. To pan Kadam kupił twoją wolność.

— Nie. Pan Kadam nie potrafił tego zrobić. Kiedy mnie schwytano, straciłem zdolność przybierania ludzkiej postaci i nie mogłem odzyskać wolności, dopóki nie zdarzyło się coś wyjątkowego, a raczej: dopóki nie pojawił się ktoś wyjątkowy. Tym kimś okazałaś się ty.

Owinął tasiemkę fartucha wokół palca. Patrzyłam, jak bawi się nią bezwiednie. Znowu spojrzałam na jego twarz. Była zwrócona do okna. Wydawał się spokojny i pogodny, ale w jego oczach dostrzegłam cień smutku. Słońce wpadało przez okno, zasłona poruszała się lekko na wietrze, na twarzy Rena światło tańczyło z cieniem.

Zapytałam niepewnie:

— No dobrze, do czego jestem ci potrzebna? Co mam zrobić?

Znowu popatrzył na mnie i mówił dalej.

— Przybyliśmy do tej chatki nie bez powodu. Człowiek, który tu mieszka, jest szamanem, mnichem, i to on wyjaśni ci twoją rolę w całej tej historii. Nie chciał nam nic więcej powiedzieć, dopóki cię nie znajdziemy i nie przyprowadzimy tutaj. Nawet ja nie wiem, czemu to ty jesteś tą wybraną. Szaman nalegał również, by porozmawiać z nami sam na sam. To dlatego pan Kadam nie mógł nam towarzyszyć. — Ren nachylił się w moją stronę. — Czy zostaniesz tu ze mną do powrotu gospodarza, żeby przynajmniej wysłuchać, co

ma do powiedzenia? Jeżeli potem stwierdzisz, że chcesz wracać do domu, pan Kadam wszystko załatwi.

Wbiłam wzrok w podłogę.

—Dhirenie...

— Proszę, mów mi Ren.

Zaczerwieniłam się i spojrzałam mu w oczy.

— Dobrze, Ren. Twoje wyjaśnienia są dość przytłaczające. Nie wiem, co powiedzieć.

Na jego przystojnej twarzy malowały się sprzeczne emocje.

Kim ja właściwie jestem, żeby odrzucać przystojnego mężczyznę... to znaczy tygrysa? Westchnęłam.

— W porządku. Zaczekam na twojego mnicha, ale jestem spocona, zmęczona, potrzebuję porządnej kąpieli i szczerze mówiąc, nie wiem nawet, czy mogę ci ufać. Mimo to nie zniósłabym chyba kolejnej nocy w dżungli.

Ren westchnął z ulgą i uśmiechnął się do mnie. Tak jakby promienie słońca przebiły się przez burzową chmurę. Jego uśmiech nappełnił mnie złocistym, jasnym, radosnym ciepłem. Miałam ochotę zamknąć oczy i upajać się jego blaskiem.

— Dziękuję ci — powiedział. — Przykro mi, że ta część podróży była dla ciebie uciążliwa. Pokłóciliśmy się o to z panem Kadamem. On uważał, że powinniśmy powiedzieć ci prawdę, ale ja nie byłam pewny, czy wtedy poszłabyś ze mną. Pomyślałem, że jeśli spędzisz ze mną trochę więcej czasu, nauczysz się mi ufać i będę mógł wyjawić ci, kim jestem na swój własny sposób. O to właśnie klóciliśmy się, kiedy zobaczyłaś nas przy ciężarówce.

— A więc to byłeś ty! Powinieneś był powiedzieć mi prawdę. Pan Kadam miał rację. Uniknęlibyśmy całej tej przeprawy przez dzicz i przyjechalibyśmy tutaj samochodem.

Ren westchnął.

— Nie. By spotkać się z szamanem, i tak musielibyśmy przejść przez dżunglę.

Założyłam ramiona na piersi i mruknęłam:

— I tak powinieneś był mi powiedzieć.

Ren wykręcił w palcach tasiemkę od fartucha.

— Wiesz, spanie pod gołym niebem nie jest wcale takie złe. Można patrzeć na gwiazdy, a chłodny podmuch owiewa ci futro po gorącym dniu. Trawa słodko pachnie i — spojrzał mi w oczy — tak samo słodko pachną twoje włosy.

Zaczerwieniłam się i burknęłam:

— Świetnie, przynajmniej jednemu z nas się podobało.

Ren uśmiechnął się, zadowolony z siebie, i powiedział:

— Rzeczywiście, podobało mi się.

Przez chwilę wyobraziłam sobie go jako mężczyznę, jak przytula się do mnie w lesie, opiera głowę na moich kolanach, a ja głaszczę go po włosach, po czym postanowiłam skupić się na kwestiach istotnych w tej chwili.

— Słuchaj, Ren, zmieniasz temat. Nie podoba mi się to, jak mnie wmanipulowałeś w przybycie tutaj. Pan Kadam powinien był powiedzieć mi wszystko w cyrku.

Młodzieniec potrząsnął głową.

— Nie sądziliśmy, że uwierzysz w jego historię. Pan Kadam wymyślił podróż do rezerwatu tygrysów, żeby sprowadzić cię do Indii. Pomyśleliśmy, że gdy już tu będziesz, zmienię się w człowieka i wszystko ci wyjaśnię.

— Pewnie masz rację — przyznałam. — Gdybyś wykonał ten numer w Stanach, chyba bym tu nie przyjechała.

— Czemu właściwie się zgodziłaś?

— Chciałam spędzić więcej czasu... z tobą. No wiesz, z tygrysem. Tęskniłabym za nim. To znaczy za tobą. — Zaczerwieniłam się.

Ren uśmiechnął się z ukosa.

— Ja też bym za tobą tęsknił.

Wykręciłam w dłoniach brzeg bluzy. Ren najwyraźniej źle odczytał moje myśli, bo powiedział:

— Kelsey. Naprawdę cię przepraszam za to oszustwo. Gdyby było jakiegokolwiek inne rozwiązanie...

Podniosłam wzrok. Młodzieniec spuścił głowę w sposób, który przypominał mi mojego tygrysa. Frustracja i dyskomfort, które przy nim dotąd czułam, zniknęły. Instykt podpowiedział mi, że powinienam mu uwierzyć i pomóc. Silna emocjonalna więź, która łączyła mnie ze zwierzęciem, była jeszcze mocniejsza w obecności Rena-człowieka. Było mi go żal.

Cichym, łagodnym głosem spytałam:

— Kiedy zmienisz się z powrotem w tygrysa?

— Wkrótce.

— Czy to boli?

— Nie tak bardzo jak kiedyś.

— Czy rozumiesz mnie, kiedy jesteś tygrysem? Mogę do ciebie mówić?

— Tak, wciąż będę cię rozumiał.

Wzięłam głęboki oddech.

— Dobrze. Zostanę tu z tobą do powrotu szamana. Ale mam jeszcze do ciebie bardzo dużo pytań.

— Wiem. Postaram się na nie odpowiedzieć najlepiej, jak umiem ale musisz poczekać do jutra, kiedy znów będę mógł z tobą porozmawiać. Możemy spędzić tu noc. Szaman powinien wrócić o zmierzchu

— Ren?

— Słucham.

— Dżungla mnie przeraża i cała ta sytuacja też.

Puścił tasiemkę fartucha i spojrzał mi w oczy.

— Wiem.

— Ren?

— Tak?

— Nie... zostawiaj mnie, dobrze?

Jego twarz złagodniała i przybrała czuły wyraz. Uśmiechnął się szczerze.

— *Asambhawa*, na pewno cię nie zostawię.

Odwzajemniłam uśmiech, ale w tym momencie na twarz Rena padł cień. Zacisnął pięści i zęby. Ujrzałam, jak całe jego ciało przebiegają dreszcze, krzesło przewróciło się do przodu, a on upadł na czworaka. Wstałam, żeby mu pomóc, ale wtedy ze zdumieniem ujrzałam, jak jego ciało przybiera postać tygrysa, którą tak dobrze znałam. Tygrys Ren otrząsnął się, a potem podszedł i otarł się łbem o moją wyciągniętą dłoń.

PRZYJACIEL



Siedziałam na brzegu łóżka i zastanawiałam się nad słowami Rena. Spoglądając teraz na tygrysa, z nadzieją pomyślałam, że być może tylko sobie to wszystko wyobraziłam. Może dżungla wywołała u mnie halucynacje? Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Czy pod tygrysim futrem naprawdę kryje się człowiek?

Ren rozciągnął się na podłodze i oparł leb na łapach. Przez dłuższą chwilę przyglądał mi się swoimi pięknymi błękitnymi oczami, a ja od razu zrozumiałam, że wszystko wydarzyło się naprawdę.

Ren powiedział, że szaman nie wróci przed zmierzchem, od którego wciąż dzieliło nas kilka godzin. Łóżko wyglądało zachęcająco. Miło byłoby się zdrzemnąć, ale byłam brudna. Postanowiłam, że najpierw wezmę kąpiel, i poszłam zbadać stan wanny, którą napełniano się staromodnym sposobem — wodą z wiadra. Rozpoczęłam uciążliwą czynność pompowania wody do wiaderka i wlewania jej do wanny. W telewizji wyglądało to prościej niż w rzeczywistości. Już po trzech wiadrach myślałam, że zaraz odpadną mi ręce, ignorowałam jednak ból, wiedząc, jak dobrze zrobi mi kąpiel. Zmęczenie w ramionach przekonało mnie, że wanna wypełniona do połowy zdecydowanie wystarczy.

Dwoma kopnięciami pozbyłam się tenisówek i zaczęłam rozpiąć bluzę. Nagle uświadomiłam sobie, że mam widownię. Zamknęłam polity bluzę i odwróciłam się. Ren obserwował mnie uważnie.

— Ale z ciebie dżentelmen. Specjalnie siedzisz cicho jak mysz pod miotłą. Nic z tego, mój panie. Lepiej wyjdź na zewnątrz i po-

czekaj, aż się wykąpię. — Machnęłam ręką. — Idź... popilnuj okolicy albo coś.

Otworzyłam drzwi, a Ren powoli wywłókl się na dwór. Rozebrałam się szybko, weszłam do wanny z letnią wodą i zaczęłam szorować brudną skórę znalezionym u szamana szalwiowo-cytrynowym mydłem domowej roboty.

Wyplukalałam włosy, na chwilę odchyliłam się swobodnie w wannie i pograżyłam się w rozmyślaniach. W co ja się wpakowałam? Czemu pan Kadam o niczym mi nie powiedział? Czego oni ode mnie oczekują? Jak długo mam tkwić w tej indyjskiej dżungli?

Milion pytań kłębił mi się w głowie, przeszkadzając jasno myśleć. Stwierdziłam, że na razie i tak do niczego nie dojdę, wyszłam z wanny, wytarłam się, ubrałam i otworzyłam drzwi Renowi, który leżał na zewnątrz, opierając się o nie grzbietem.

— Możesz już wrócić.

Ren wszedł do środka, a ja usiadłam po turecku na łóżku i zaczęłam rozczesywać splecione włosy.

— Cóż, Ren, z pewnością powiem panu Kadamowi, co o tym wszystkim myślę, kiedy już się stąd wydostaniemy. Ty zresztą też nie czuj się jeszcze rozgrzeszony. Mam do ciebie tysiąc pytań, więc lepiej się przygotuj. — Zaplotłam warkocz i związałam go zieloną wstążką. Podłożyłam ramiona pod głowę, umościłam się na poduszce i wbiłam wzrok w bambusowy sufit. Ren położył leb na materacu obok mojej głowy i spojrzał na mnie z przepraszającym wyrazem pyska.

Roześmiałam się i pogłaskałam go po łbie, z początku z zakłopotaniem, ale gdy przysunął się bliżej, szybko pokonałam nieśmiałość.

— Już dobrze, Ren. Tak naprawdę się nie gniewam. Po prostu chciałabym, żebyś bardziej mi ufal.

Polizal mnie po ręce, a potem położył się na podłodze, a ja obróciłam się na bok i patrzyłam na niego.

Musiałam przysnąć, ponieważ kiedy otworzyłam oczy, w chatce było ciemno, nie licząc delikatnego światła latarenki w kuchni. Przy stole siedział stary człowiek.

Wyprostowałam się i potarłam oczy, zdziwiona, że tak długo spałam. Szaman pochyłał się nad rozłożonymi na stole liśćmi nieznanymi mi roślin. Kiedy wstałam, przywołał mnie gestem dłoni.

— Halo, panienska. Długo spała. Bardzo zmęczona. Bardzo, bardzo zmęczona.

Podeszłam do stołu, a za mną podążył Ren, który ziewnął, wyprężył grzbiet i zaczął się przeciągać, łapa za łapą, aż w końcu usiadł u mych stóp.

— Głodna? Jedz. Dobre jedzenie, hmm? — Szaman mlasnął głosem. — Bardzo dobre. — Wstał i nałożył do miski aromatyczne, pachnące ziołami duszone warzywa z bulgoczącego garnuszka na piecyku opalonym drewnem. Dodał kromkę ciepłego pieczywa i wrócił do stołu. Przysunął miseczkę w moją stronę, z satysfakcją pokiwał głową, usiadł i znów zabrał się do obrywania liści.

Potrawa pachniała niebiańsko, zwłaszcza po półtora dnia żywienia się batonami energetycznymi.

Szaman mlasnął językiem.

— Jak masz na imię?

— Kelsey — wymamrotałam z pełną buzią.

— Kal-si. Dobre imię. Mocne.

— Bardzo dziękuję za jedzenie. Jest pyszne!

Szaman odmruknął coś w odpowiedzi i lekceważąco machnął dłonią.

Spytałam:

— A jak pan ma na imię?

— Moje imię, ee, trudne. Mów mi Phet.

Phet był drobny, brązowy i pomarszczony, a jego głowę okalał wianuszek sztywnych, siwych włosów. Światło lampki odbijało się od lśniącej lysiny. Owinięty był w szarzieloną szatę, spod której wystawały gole nogi z sękatymi kolanami i stopy obute w sandały. Na bark niedbale zarzucił sarong. Nie mogłam się nadziwić, jak taka licha szatka w ogóle trzyma się na jego wychudłej sylwetce.

— Phet, przepraszam, że wtargnęłam tak do twojego domu. Ren mnie tu przyprowadził. Bo widzisz...

— Ach, Ren, tygrys. Tak, Phet wie, czemu tu są. Anik mówi, ty i Ren przybyć, więc ja dziś poszedł nad jezioro Suki... przygotować się.

Zjadłam jeszcze trochę duszonych warzyw, a Phet przyniósł mi kubek wody.

— Masz na myśli pana Kadama? Mówił ci, że się zjawimy?

— Tak, tak, Kadam mówić Phet. — Szaman odsunął od siebie roślinki, robiąc miejsce w rogu stołu, i wziął do ręki małą klatkę, w której siedział nieznanym mi piękny maleńki czerwony ptaszek. — Dużo ptaków nad jeziorem Suki, ale ten wielce niezwykły.

Pochylił się, zaklaskał językiem na ptaszka i pomachał palcem tuż przed prętami klatki. Zaczął coś nucić, a potem przemówił wesołym tonem w swoim ojczystym języku.

— Phet czekać na niego cały dzień — oznajmil. — Ptak śpiewa pię-ę-kną pieśń.

— Zaśpiewa dla nas?

— Kto to wie? Czasem nigdy nie śpiewa. Tylko dla specjalnej osoby. Kal-si specjalna?

Wybuchnął donośnym śmiechem, jakby opowiedział właśnie pyszny dowcip.

— Phet, jak on się nazywa?

— To pisklę Durgi.

Skończyłam jeść i odstawiłam miskę.

— Kim jest Durga?

Phet wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Aa. Durga piękna bogini, a Phet — tu wskazał na siebie — unizony sługa. Ptak śpiewa dla Durga i jedna specjalna kobieta. — Wypowiedziawszy te słowa, znów zajął się roślinami.

— A więc jesteś kapłanem Durgi?

— Kapłan naucza innych. Phet działa sam. Sam służy.

— Lubisz być sam?

— Samemu lepiej myśli, słyszy, widzi. Z ludźmi za dużo hałas.

Słuszna uwaga. Ja też lubię być sama. Problem w tym, że jeśli jest się zawsze samemu, człowiek staje się samotny.

— Hmm. Twój ptak jest przepiękny.

Phet pokiwał głową i dalej pracował w milczeniu.

— Mogę ci pomóc z tymi liśćmi? — spytałam.

Starzec uśmiechnął się szeroko, ujawniając brak kilku zębów. Jego oczy prawie zniknęły w głębokich, brązowych zmarszczkach.

— Chce mi pomagać? Tak, Kal-si. Patrz na Phet. Rób to samo. Próbuje.

Wyciągnął w górę roślinę i przejechał palcami po lodydze, ogolając ją z liści. Wręczył mi gałązkę porośniętą drobnymi listkami, przypominającą rozmaryn. Oberwałam pachnące zielone listki i ułożyłam je na stole. Przez chwilę pracowaliśmy zgodnie. Najwyraźniej Phet żył ze zbierania ziół. Pokazał mi rozmaite zebrane przez siebie rośliny, zdradził ich nazwy i powiedział, do czego się ich używa. Miał również zbiór suszonych ziół, zawieszonych pod sufitem, które opisał mi jedno po drugim. Niektóre z nich znalazłam, o innych słyszałam po raz pierwszy w życiu.

Najbardziej zainteresowały mnie arjuna, zmielona kora drzewa, wykorzystywana w medycynie na poprawę krążenia oraz trawienia; kurkuma, również dobra na krążenie, a także wspierająca układ oddechowy; a także liście nim, poprawiające trawienie — nie dopytywałam w jaki sposób.

Poza tym Phet pokazał mi wąkrotkę, słodko-gorzko pachnącą roślinę, która według niego zapewniała długie życie i mnóstwo energii, liście brahmi, dobre na myślenie, i śatawari, pomagające w kobiecych przypadłościach.

Szaman wszedł na stołeczek, zdjął kilka wysuszonych roślin i zastąpił je świeżymi. Następnie wydobyl skądś moździerz i tłuczek. Pokazał, jak ucierać ziola, i powierzył mi to zadanie.

Otworzył słoik z twardymi, złocistymi kroplami żywicy w środku. Powąchałam zawartość i wykrzyknęłam:

— Pamiętam ten zapach z dżungli! To ta kleista maź, która kapie z drzew, prawda?

— Bardzo dobrze, Kal-si. Nazywa się olibanum. Pochodzi z drzewa *Boswellia*, ale ty może znasz tę żywicę pod nazwą kadzidło.

— Kadzidło? Zawsze zastanawiałam się, z czego się je robi.

Phet wyjął zaschnięty płatek i podał mi go.

— Masz, Kal-si. Spróbuj.

— Mam to z j e ś ć? Myślałam, że to coś w rodzaju perfum...

— Weź, Kal-si, spróbuj. — Położył płatek na języku. Zrobiłam to samo.

Żywica mocno pachniała, była słodka i ciepła. Konsystencją przypominała gumę. Phet przeżuł substancję swoimi kilkoma zębami, a potem się uśmiechnął.

— Dobre, Kal-si? A teraz głęboki oddech.

— Oddech?

Phet zrobił głęboki wdech, a ja poszłam w jego ślady. Klepnął mnie w plecy tak mocno, że gdyby gumowata substancja nie przykleiła mi się do zębów, z pewnością bym ją wypluła.

— Widzisz? Dobre dla żołądek, dobre dla oddech, żadnych zmarwień. — Wręczył mi słoiczek z olibanum. — Weź, weź.

Podziękowałam mu, wsadziłam słoik do plecaka i wróciłam do moździerza.

Phet spytał:

— Kal-si, ty jechać z daleka, tak?

— Och, tak, z bardzo daleka. — Opowiedziałam mu, jak poznałam Rena w Oregonie, o naszej podróży do Indii z panem Kadamem,

o tym, jak straciłam ciężarówkę, o przeprawie przez dżunglę i o tym, jak w końcu odnaleźliśmy jego chatę.

Phet słuchał uważnie, kiwając głową.

— A twój tygrys nie jest zwykły kot, czy ja mam racja?

Spojrzałam na Rena.

— Owszem, zgadza się.

— Chcesz pomóc tygrysu?

— Tak, chcę mu pomóc. Jestem zła, że mnie oszukał, ale rozumiem, dlaczego to zrobił. — Spuściłam głowę i wzruszyłam ramionami. — Chcę tylko, żeby był wolny. — W tym momencie czerwony ptaszek rozpoczął przepiękny trel.

Phet zamknął oczy i słuchał, z czystym zachwytem wypisanym na twarzy, nucąc cicho. Gdy ptaszek umilkł, starzec otworzył oczy i spojrzał na mnie z radosnym uśmiechem.

— Kal-si! Ty bardzo specjalna! We mnie szczęśliwość! Phet usłyszał pieśń Durgi! — Ochoczo zerwał się na nogi i z zapalem począł uprzętać ziola i słoiki. — Teraz odpocząć. Jutro ważny wschód słońca. Phet musi modlić w ciemności, a tobie trzeba spać. Jutro czas w drogę. To trudne, ciężkie. O świcie Phet pomoże z tygrysem. Wyjawi sekret Durgi. Teraz spać.

— Ale ja dopiero się przespałam, nie jestem jeszcze senna. Czy mogę zostać z tobą i zadać ci jeszcze trochę pytań?

— Nie. Teraz Phet modlić. Trzeba dziękować Durga za nieczekana laska. Tobie trzeba długi sen. Phet zrobić napar, pomóc Kal-si spać.

Włożył do kubka kilka listków i zalał je gorącą wodą. Po minucie wręczył mi kubek i pokazał na migi, że mam wypić. Napar pachniał jak herbata miętowa z lekką nutą korzenną przypominającą goździki. Sączyłam płyn, delektując się jego smakiem. Phet wygonił mnie do łóżka i posłał Rena razem ze mną. Zaslonił lampkę, żeby nie razila, zarzucił na ramię jakiś tobolek, uśmiechnął się do mnie i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Położyłam się na łóżku. Myślałam, że nie mam szans na zaśnięcie, ale już wkrótce zapadłam w głęboki niebyt, spokojny, bez snów.



Następnego ranka Phet obudził mnie wcześniej głośnym klaskaniem w dłoń.

— Halo, Kal-si i nieszczęsny Ren. Phet modlił, kiedy spali. Dzięki temu Durga robi cud. Budzimy! Wstać i rozmawiamy.

— Dobrze, pospieszę się. — Zaciągnęłam zaslonę i ubrałam się.

W kuchni Phet smażył jajka i zdążył już położyć duży talerz przed Renem. Umyłam ręce ziołowym mydłem i usiadłam przy stole. Rozpuściłam warkocz i przeczesałam palcami pofalowane włosy.

Ren przestał jeść, przelknął jajka i uważnie mnie obserwował.

— Ren, przestań się gapić! Jedz jajka. Na pewno jesteś strasznie głodny.

Związałam włosy w kucyk, a Ren wreszcie zajął się jedzeniem. Phet przyniósł talerz i dla mnie. Była na nim porcyjka dziwnej salatkii z ogródka oraz smakowicie wyglądający omelet. Następnie Phet usiadł i rozpoczął rozmowę.

— Kal-si, ja teraz w łaskach. Durga zawołać do mnie. Pomoże wam. Wiele, wiele lat Anik Kadam szukał lekarstwo dla Ren. Mówiłem mu, Durga lubić tygrysy, ale nikt mu nie może pomóc. Pytał mnie: co robić? Tamtej nocy Phet przyśnić dwa tygrysy, jeden błądy jak księżyc, drugi czarny jak noc. Durga szeptać w moje ucho. Mówi, tylko specjalna dziewczyna może złamać kłótnię. Phet wie ta dziewczyna wybranka Durgi. Ona walczyć dla tygrys. Mówię Anika: szukaj specjalnej dziewczyny Durgi. Daję wskazówki: jest sama, brązowe włosy, ciemne oczy. Będzie poświęcać tygrysu, a jej mowa potężna jak melodia bogini. Pomóc tygrysu znowu być wolny. Mówię Anika: znajdź ulubienica Durgi i do mnie przyprowadź.

Położył brązowe, sękaty dłonie na stole i nachylił się w moją stronę.

— Kal-si. Phet widzi ty specjalna wybranka.

— Jak to? O co ci chodzi?

— Ty silna, piękna wojowniczką jak Durga.

— Ja? Piękna i silna wojowniczką? Chyba coś ci się pomyliło.

Ren wydał z siebie niski, gardłowy pomruk, a Phet zaklaskał językiem.

— Nie. Pisklę Durgi śpiewa dla ciebie. To ty właściwa dziewczyna. Nie odrzucaj przeznaczenie jak chwast! To cenny kwiat. Cierpliwość. Czekaj, aż rozkwitnie.

— No dobrze, Phet, postaram się. Co mam robić?. Jak mogę złamać zaklęcie?

— Durga pomóc ci w jaskini Kanheri. Używasz klucza dla otwarcia komnaty.

— Jakiego klucza? — spytałam.

— Klucz to Wielka Pieczęć Imperium Mudżulain. Tygrys wie. Znajdź podziemne miejsce w jaskini. Pieczęć to klucz. Durga poprowadzi cię do odpowiedzi. Uwolni tygrys.

Nagle zaczęłam się trząść. Tego było dla mnie zbyt wiele. Tajemnicze wiadomości w jaskini, specjalne łaski hinduskiej bogini i niebezpieczna przygoda w dżungli w towarzystwie tygrysa? Za dużo wrażeń naraz. Poczulałam się przytłoczona. W myślach krzyczałam wciąż: to niemożliwe! Niemożliwe! Jak wpadłam w tę dziwną pułapkę? Ach, tak, sama się zgodziłam.

Phet spoglądał na mnie z zaciekawieniem. Położył swoją dłoń na mojej. Jego ciepły, delikatny dotyk natychmiast mnie uspokoił.

— Kal-si, miej wiarę w siebie. Ty silna kobieta. Tygrys ciebie chronić.

Popatrzyłam na Rena, który siedział na bambusowej podłodze i obserwował mnie z zatroskanym wyrazem pyska.

— Tak, wiem, że będzie mnie pilnował. I naprawdę chcę mu pomóc złamać klątwę. Tylko że to wszystko jest dość... przerażające.

Phet ścisnął mnie za rękę, a Ren położył mi łapę na kolanie. Przełknęłam strach, starając się pomyśleć o czymś innym.

— A więc dokąd teraz idziemy? Do jaskini?

— Tygrys wie, gdzie iść. Idź za tygrys. Szukaj pieczęć. Trzeba szybko ruszać. Zanim pójdziesz, Kal-si, Phet podaruje ci modlitwę i znak bogini.

Szaman wziął do ręki małą kupkę liści, które oberwaliśmy ze szlęgo wieczoru. Pomachał nimi dookoła mojej głowy i ramion, nucąc coś po cichu. Potem wziął jeden mały listek i dotknął nim moich oczu, nosa, ust i czoła. Potem zrobił to samo z Renem.

Następnie wstał i przyniósł niewielki słoiczek pełen brązowego płynu. Wziął cienką gałązkę, którą wcześniej ogoliliśmy z liści, i lekko zanurzył ją w słoiku. Ujął moją prawą dłoń i zaczął rysować na niej jakieś geometryczne wzorki. Brązowy płyn miał ostry zapach, a twórczość Pheta przypominała mi rysunki wykonywane henną.

Kiedy skończył, pokręciłam ręką, podziwiając misterny malunek. Brązowe wzorki pokrywały wierzch mojej prawej dłoni, a także jej spód i opuszki palców.

— Po co to? — spytałam.

— To potężny symbol. Zostanie dużo dni.

Phet zebrał wszystkie gałązki i liście i wrzucił je do starego pieca z kutego żelaza, a potem stał nad nim przez chwilę, wdychając dym. W końcu spojrzał na mnie i się uklonił.

— Kal-si, teraz czas odejść. — Ren ruszył w stronę drzwi. Odkłoniłam się Phetowi i szybko go uściskałam.

- Dziękuję za wszystko, co dla nas zrobiliście. Jestem naprawdę wdzięczna za twoją gościnność i życzliwość. — Phet uśmiechnął się przyjaźnie i ścisnął moją dłoń. Chwyciłam torbę i plecak, pochyliwszy się, przeszłam przez drzwi i podążyłam za Renem.

Phet z uśmiechem stanął w niskich drzwiach chatki i pomachał nam na pożegnanie.

10

BEZPIECZNA PRYZYSTAŃ



— To co, Ren? Wygląda na to, że wracamy do dżungli?

Tygrys nie odwrócił się i nie zareagował na moją uwagę, lecz powoli posuwał się do przodu. Powłokłam się za nim, rozmyślając o wszystkich pytaniach, które mu zadam, gdy znów zmieni się w człowieka.

Po kilku godzinach marszu natrafiliśmy na niewielkie jezioro. Domyśliłam się, że to jezioro Suki, o którym mówił Phet. Rzeczywiście było tu mnóstwo ptaków. Kaczki, gęsi, zimorodki, żurawie i brodziec penetrowały powierzchnię wody i piaszczyste brzegi w poszukiwaniu jedzenia. Zauważyłam nawet kilka dużych drapieżników — orłów, a może jastrzębi, krążących ponad koronami drzew.

Nasze przybycie spłoszyło stadko czapli, które gorączkowo podrywały się do lotu i wylądowały po drugiej stronie jeziora. Wokół nas przemykały w powietrzu niezliczone ilości małych ptaszków: zielonych, żółtych, szarych, błękitnych i czarnych z czerwonymi brzuszka-mi, jednak nigdzie nie dostrzegłam pisklęcia Durgi. Na ocienionych przez drzewa partiach jeziora w kępach lilii wodnych odpoczywały żaby. Obserwowały nas okrągłymi żółtymi oczami, a gdy je mijaliśmy, z pluskiem wskakiwały do wody. Jeszcze więcej żab pływało wśród zarośli tuż przy brzegu.

Przemówiłam do Rena, chociaż właściwie mówiłam do siebie:

— Myślisz, że są tu jakieś aligatory albo krokodyle? Wiem, że jedno albo drugie żyją w Ameryce, ale nigdy nie potrafiłam zapamiętać, które.

Ren zaczął iść obok mnie i nie wiedziałam, czy chce mi w ten sposób dać do zrozumienia, że owszem, są tu niebezpieczne gady, czy po prostu pragnie dotrzymać mi towarzystwa. Na wszelki wypadek pozwoliłam, by szedł między mną a brzegiem jeziora.

Powietrze było gorące, a drzewa aż uginały się pod ciężarem lejącego się z nieba wilgotnego żaru. Na niebie nie dostrzegłam choćby jednej chmurki, która mogłaby zapewnić cień. Strasznie się pocilałam. Ren starał się stąpać w cieniu, by uczynić dla nas przeprawę odrobinę bardziej znośną, ale i tak czułam się fatalnie. Mimo że tygrys szedł powolnym, miarowym krokiem, bym z łatwością mogła za nim nadążyć, ja i tak czułam, jak robią mi się pęcherze na piętach. Wyciągnęłam z plecaka krem z filtrem i wtarłam go w twarz oraz ramiona. Kompas pokazywał, że posuwamy się na północ. Gdy Ren przystanął, by napić się ze strumyka, odkryłam, że Phet spakował dla nas lunch. Były to kulki białego, kleistego ryżu z mięsem, warzywami i przyprawami, zawinięte w duży zielony liść. Potrawa była nieco zbyt ostra jak na mój gust, na szczęście łagodny smak ryżu równoważył pikantność przypraw. Znalazłam w plecaku jeszcze dwie porcje i rzuciłam je Renowi, który popisywał się, wyskakując w powietrze i łapiąc je w locie. Oczywiście polykał je w całości.

Po jakichś czterech godzinach przeprawy wyszliśmy w końcu z dżungli na wąską drogę. Cieszyłam się, że idę po gładkim asfalcie — przynajmniej do momentu, gdy zaczął parzyć mnie w stopy. Mogłabym przysiąc, że rozgrzana, czarna smoła roztapia gumowe podeszwy moich butów.

Ren zaczął węszyć w powietrzu, po czym skręcił w prawo i przez mniej więcej osiemset metrów wędrowaliśmy wzdłuż drogi, aż natknęliśmy się na nowiutkiego jeepa w kolorze metalicznej zieleni. Auto miało przyciemniane szyby i solidny czarny dach. Ren zatrzymał się i przysiadł.

Zdyszana, napiłam się wody, a potem zapytałam:

— Co? Co mam teraz zrobić?

Ren wpatrywał się we mnie beznamiętnie.

— Chodzi o ten samochód? Chcesz, żebym do niego wsiadła? W porządku, mam tylko nadzieję, że właściciel nie będzie na mnie zły.

Otworzywszy drzwi, znalazłam na siedzeniu kierowcy liścik od pana Kadama.

*Panno Kelsey,
proszę mi wybaczyć. Chciałem powiedzieć Pani prawdę.
Oto mapa ze wskazówkami, jak dotrzeć do domu Rena. Będę tam
na Panią czekał.
Klucz jest w schowku. Proszę nie zapomnieć, żeby jechać lewą stro-
ną drogi.
Podróż potrwa mniej więcej półtorej godziny. Mam nadzieję, że
jest Pani cała i zdrowa.*

*Oddany przyjaciel
Anik Kadam*

Wzięłam mapę do ręki i rozłożyłam ją na miejscu pasażera. Otworzyłam tylne drzwi, wrzuciłam torby na siedzenie i wyciągnęłam z plecaka butelkę wody na drogę. Ren wskoczył do auta i rozciągnął się z tyłu.

Usiadłam za kierownicą i otworzyłam schowek. Znalazłam w nim mały pęk kluczy. Na największym napisane było „jeep”.

Zapaliłam silnik i uśmiechnęłam się z wdzięcznością, gdy owiał mnie chłodny podmuch powietrza z wentylatora.

Gdy wjechałam na wąską, pustą drogę, z nawigatora GPS zaświerkał do mnie cienki głosik: „Za pięćdziesiąt kilometrów skreć w lewo”.

Trzymając się lewej strony drogi i mocno ściskając kierownicę, spojrzalam na swoją dłoń. Choć byłam spocona i wciąż ocierałam ręką mokrą twarz, rysunek Pheta wciąż tam był, trwałe jak tatuaż. Włączyłam radio, znalazłam stację z muzyką i słuchałam jej, podczas gdy Ren drzemał z tyłu.

Wskazówki pana Kadama, razem z GPS-em, znacznie ułatwiały mi podróż. Na wybranej przez niego trasie prawie nie było ruchu, i całe szczęście, ponieważ za każdym razem, gdy mijal mnie jakiś samochód, nerwowo zaciskałam palce na kierownicy. Dopiero co nauczyłam się jeździć po prawej stronie drogi i przestawienie się na nowe zasady nie było dla mnie łatwe. Na kursach dla przyszłych kierowców z pewnością nie uczono jazdy po „złej” stronie jezdni.

Po godzinie skręciłam według wskazówek w pełną drogę. Nigdzie nie było tablicy z nazwą trasy, jednak GPS potwierdził, że jadę dobrze, zagłębiłam się więc w dżunglę. Wyglądało na to, że jesteśmy w kompletnej dżungli, ale droga była zadbane i jechało nam się gładko.

Zachodziło słońce i niebo robiło się coraz ciemniejsze, gdy nagle droga wyprowadziła nas na brukowany, jasno oświetlony podjazd,

okalający wysoką, migotliwą fontannę, otoczoną kwiatowymi rabatami, a za nią moim oczom ukazał się najwspanialszy dom, jaki w życiu widziałam. Wyglądał jak jedna z widywanych przeze mnie w telewizji, wartych miliony dolarów posiadłości, wybudowanych gdzieś w tropikach lub na przykład u wybrzeży Grecji. Wyobraziłam sobie, że idealną lokalizacją dla takiej willi byłby szczyt wzgórza na jakiejś wyspie na Morzu Śródziemnym.

Zatrzymałam samochód, otworzyłam drzwi i z zachwytem spojrzalam na bajkową siedzibę.

— Ren, twój dom jest niesamowity! — zakrzyknęłam. — Nie mogę uwierzyć, że należy do ciebie!

Chwyciłam bagaże i powoli ruszyłam kamiennym chodnikiem. Podziwiając garaż na cztery samochody, zastanawiałam się, jakiego rodzaju pojazdy znajdują się w środku. Dom otaczały przepiękne egzotyczne rośliny, dzięki którym teren przypominał rajski ogród. Rozpoznałam kwiaty plumerii, strelicję królewską, zwaną rajskim ptakiem, ozdobny bambus, palmy królewskie, wielkie paprocie i bananowce o gęstych liściach, ale roślin było dużo więcej. Z boku domu znajdował się podświetlony basen w kształcie podkowy oraz jacuzzi, a woda z basenu tryskała w górę lśniącą fontanną, która co raz to zmieniała kształt i kolor.

Dwupiętrowy dom pomalowany był na kremowo. Pierwsze piętro otaczała zadaszona weranda z kutą balustradą, podparta kremowymi kolumnami. Na najwyższym piętrze znajdowały się wysokie, półokrągłe balkony, zaś parter zdobiły lśniące weneckie okna.

Gdy podeszliśmy do wejścia z drzewa tekowego i marmuru, przekręciłam galkę i odkryłam, że drzwi są otwarte. Na zewnątrz było ciepło i kolorowo, zaś wewnątrz dom urządzony był w chłodniejszych, spokojniejszych barwach, pięknie i ze smakiem.

To z pewnością lepsze niż spanie na ziemi w dżungli.

Wkroczyliśmy do szerokiego, efektownego westybulu ze sklepionym sufitem, elegancką marmurową posadzką, zakończonych szerokimi, lukowatymi schodami z ozdobną żelazną balustradą. Na suficie wisiał olśniewający żyrandol. Z wielkich weneckich okien rozciągał się widok na dżunglę.

Ściągnęłam adidasy, z żalem myśląc o tym, jak bardzo są brudne, po czym przeszłam z westybulu do biblioteki. Na podłodze leżał przepiękny dywan, a na nim ustawione były brązowe skórzane fotele, otomany i wygodne sofy. W rogu stał olbrzymi globus, a ściany zastawiono półkami książek. Obok jednej z nich zauważyłam nawet

składaną drabinkę. W pokoju znajdowało się również masywne biurko, a przy nim stało krzesło obite skórą. Panujący na blacie idealny porządek natychmiast przywiódł mi na myśl pana Kadama.

Jedną ze ścian zajmował rzeźbiony kamienny kominek. Nie obrażałam sobie, by w Indiach korzystano z kominków, ale i tak był piękną ozdobą wnętrza. Złoty wazon pełen pawich piór pasował do turkusowych, zielonych i fioletowych akcentów na poduszkach i dywanie. Uznałam, że to najpiękniejsza biblioteka na świecie.

Nagle usłyszałam głos pana Kadama:

— Panno Kelsey! Czy to pani?

Miałam ochotę pokazać jemu i Renowi, jak bardzo jestem na nich zła, ale w tym momencie zrozumiałam, że nie mogę się doczekać, aż go zobaczę.

— Tak, to ja, proszę pana.

Znalazłam go w przestrzennej kuchni, pełnej profesjonalnego sprzętu z nierdzewnej stali, godnego najlepszych kucharzy. Pomieszczenie miało marmurową posadzkę, granitowe blaty i podwójną kuchenkę, na której pan Kadam pieczolowicie przygotowywał posiłek.

— Panno Kelsey! — Podbiegl do mnie. — Tak się cieszę, że jest pani cała i zdrowa. Mam nadzieję, że mi pani wybaczy.

— Cóż, nie jestem szczególnie zachwycona wszystkim, co się stało, ale — uśmiechnęłam się do niego, a potem spojrzałam na tygrysa — jego winię bardziej niż pana. Przyznał się, że chciał pan powiedzieć mi prawdę.

Pan Kadam skrzywił się przeproszająco i pokiwał głową.

— Proszę o wybaczenie w imieniu nas obu. W żadnym wypadku nie chcieliśmy pani zdenerwować. Zapraszam, przygotowałem coś do zjedzenia.

Pospieszył z powrotem do kuchni i otworzył drzwi do pomieszczenia pełnego pachnących świeżych i suszonych przypraw, w którym zniknął na kilka minut. Gdy w końcu się z niego wyłonił, rozłożył wybrane przyprawy na blacie i otworzył kolejne drzwi, za którymi znajdowała się przestronna spiżarnia. Zerknęłam do środka i ujrzałam półki pełne eleganckich naczyń i pucharów oraz piękną kolekcję sreber. Pan Kadam zdjął z półki dwa talerze z najdelikatniejszej porcelany oraz dwa pucharki i ustawił je na stole. Zamknęłam za nim drzwi do spiżarni.

— Proszę pana, coś nie daje mi spokoju.

— Tylko jedna sprawa? — rzucił żartobliwie.

Roześmiałam się.

— Na razie jedna. Zastanawiałam się, czy naprawdę poprosił pan pana Davisa, żeby pojechał z panem i zajął się Renem? Co byście zrobili, gdyby on się zgodził, a ja nie?

— Owszem, prosiłem go, dla zachowania pozorów, ale jednocześnie zasugerowałem delikatnie panu Maurizio, że w jego interesie leży przekonanie pana Davisa, by nie jechał z nami. Zaproponowałem mu wyższą cenę za tygrysa pod warunkiem, że będzie nalegał, by pan Davis został w cyrku. Jeśli zaś chodzi o to, co bym zrobił, gdyby pani odmówiła, miałem zamiar podbijać swoją ofertę aż do skutku.

— A gdybym nadal się nie zgadzała? Porwałby mnie pan?

Pan Kadam roześmiał się.

— Nie. Gdyby odrzucała pani kolejne oferty, następnym krokiem byłoby wyznanie prawdy z nadzieją, że mi pani uwierzy.

— Uff, co za ulga.

— Dopiero gdyby to się powiodło, porwałbym panią. — Roześmiał się, ubawiony własnym dowcipem.

— To nie było zbyt śmieszne, proszę pana.

— Nie mogłem się powstrzymać. Przepraszam, panno Kelsey.

Poprowadził mnie do kącika jadalnego, gdzie usiedliśmy przy okrągłym stoliku obok wykuszowego okna, wychodzącego na podświetlony basen. Ren ułożył się u moich stóp.

Pan Kadam chciał usłyszeć o wszystkim, co mi się przytrafiło od naszego ostatniego spotkania. Opowiedziałam mu o ciężarówce. Okazało się, że zapłacił kierowcy, żeby mnie porzucił. Potem rozmawialiśmy o dżungli i Phecie.

Pan Kadam zadal mi mnóstwo pytań o moje rozmowy z szamanem. Szczególnie zainteresował go rysunek na mojej dłoni. Obracał ją w rękach, uważnie przypatrując się symbolom po obu stronach.

— A więc rzeczywiście jest pani wybranką Durgi — stwierdził i z uśmiechem odchylił się na krześle.

— Skąd pan wiedział, że jestem właściwą osobą? Skąd pan wiedział, że to właśnie ja mogę złamać zaklęcie?

— Tak naprawdę nie byliśmy tego pewni aż do pani spotkania z Phetem, który potwierdził nasze przypuszczenia. Kiedy Ren był w niewoli, nie mógł zmieniać postaci. Dopiero pani wymówiła słowa, które go wyzwoliły. Pozwoliły mu zmienić się w człowieka i skontaktować ze mną. Mieliśmy nadzieję, że jest pani tą, której nam potrzeba, tą, której szukaliśmy. Ulubienicą Durgi.

— Kim jest Durga, proszę pana?

Pan Kadam przyniósł z sąsiedniego pokoju małą złotą statuetkę i delikatnie ustawił ją na stole. Przedstawiała przepiękną hinduską boginię o ośmiu ramionach. Bogini celowała z łuku — i siedziała na tygrysie.

Dotknęłam jednego z misternie wyrzeźbionych ramion i poprosiłam:

— Opowie mi pan o niej?

— Oczywiście, panno Kelsey W sanskrycie Durga oznacza „niepokonana”. Jest wielką wojowniczką, uważaną za matkę wielu innych hinduskich bóstw. Władza różnymi rodzajami broni, a na wojnę jeździ na tygrysie o imieniu Damon. Jest bardzo piękna. Wedle opisów ma długie, kręcone włosy i jasną skórę, która promienieje szczególnym blaskiem podczas walki. Durga nosi błękitne szaty barwy morza oraz rzeźbione złote ozdoby, cenne klejnoty i lśniące czarne perły.

Obróciłam figurkę.

— A jaką nosi broń?

— W różnych częściach Indii istnieją różne opisy. Według każdego z nich Durga posługuje się trochę innym zestawem broni. Ta figurka trzyma trójzab, luk i strzały, miecz oraz *gada*, rodzaj maczugi z kulką na końcu. Poza tym ma przy sobie *kamandal* albo konchę, *ćakram*, węża i tarczę, a ubrana jest w zbroję. Widziałem inne portrety Durgi ze sznurem, dzwonkiem i kwiatem lotosu. Durga nie tylko dysponuje wieloma rodzajami broni, posługuje się również piorunem i grzmotem.

Wzięłam statuetkę do ręki i obejrzałam ją pod różnymi kątami. Osiem ramion wyglądało straszliwie. Muszę zapamiętać, by w przypadku potyczki z Durgą uciekać, gdzie pieprz rośnie.

Tymczasem pan Kadam mówił dalej:

— Bogini Durga zrodziła się z rzeki, by dopomóc ludzkości w potrzebie. Walczyła z demonem Mahiszasurą, pół-człowiekiem, pół-bawolem, który terroryzował ziemię i niebiosa, i nikt nie potrafił go zabić. Durga przybrała więc postać bogini-wojowniczką, by go pokonać. Nazywa się ją również Jasną Panią ze względu na jej urodę.

Odstawiwszy figurkę na stół, odezwałam się niepewnie:

— Proszę pana, nie chciałabym być niegrzeczna i mam nadzieję, że się pan nie obrazi, ale tak naprawdę nie wierzę w te wszystkie historie. Owszem, są fascynujące, ale zdają się zbyt dziwne, by mogły być prawdziwe. Czuję się, jakbym utkwiała nagle w jakiś hinduskim micie z odcinka *Strefy mroku*.

Pan Kadam uśmiechnął się.

— Ach, panno Kelsey, proszę się nie martwić. Nie zamierzam się obrażać. Podczas moich podróży i badań mających mi umożliwić pomoc Renowi i jego bratu Kishanowi musiałem otworzyć się na nowe idee i wierzenia, których wcześniej i ja nie brałbym poważnie. O tym, co jest prawdziwe, a co nie, każdy musi zdecydować we własnym sercu i serce każdemu podpowie. A teraz pokażę pani pokój. Na pewno jest pani zmęczona podróżą.

Poprowadził mnie na górę, do dużej sypialni utrzymanej w barwach śliwki, bieli i złota. Białe róże i gardenie w okrągłym wazonie wypełniały pokój swym delikatnym zapachem. Pod ścianą stało wielkie łóżko z baldachimem, zarzucone górą śliwkowych poduszek. Podłogę pokrywał puszysty biały dywan. Drzwi z ciętego szkła wychodziły na największą werandę, jaką kiedykolwiek widziałam, z widokiem na basen i fontannę.

— Jak tu pięknie! Dziękuję.

Pan Kadam skinął głową i zostawił mnie samą, cicho zamykając za sobą drzwi.

Ściągnęłam skarpetki i rozkoszowałam się chodzeniem boso po miękkim dywanie.

Rzeźbione szklane drzwi prowadziły do olśniewającej łazienki, większej niż całe piętro domu Mike'a i Sary. Były tam biała marmurowa głęboka wanna i duża kabina prysznicowa, pełniąca również funkcję sauny. Na podgrzewanym drążku wisiały miękkie fioletowe ręczniki, a szklane butelki zawierały mydło i płyn do kąpieli pachnące lawendą i brzoskwinią.

Obok łazienki znajdowała się garderoba z wyścielanymi białymi siedzeniami oraz półkami i szufladami. Jedną ze ścian zajmował rząd wieszaków, na których wisiały nowiutkie stroje, wciąż zapakowane w folię.

Szafki i szuflady również były pełne ubrań. Jedną ze ścian w całości zajmowały półki z butami, ale większość z nich była pusta, z wyjątkiem jednej, na której stało pudełko, czekające aż ktoś je otworzy.

Gdy już wzięłam cudownie odprężający prysznic oraz zaplotłam włosy, rozpakowałam swoje kilka ubrań i rozwiesiłam je w garderobie. Na lśniącej tacy leżącej na marmurowej umywalce ułożyłam przybory do makijażu, szczotkę do włosów i wstążki, a potem zwinęłam kabelek podróżnego żelazka i schowałam je do szuflady. Ubrana w piżamę, podbiegłam do łóżka, przysiadłam w nogach i właśnie

wyciągałam z torby tomik wierszy, gdy usłyszałam delikatne stukanie w drzwi werandy. Spojrzałam w tamtą stronę i serce zaczęło walić mi z całej siły. Na werandzie stał mężczyzna. Ujrzałam błysk błękitnych oczu — to był Ren pod postacią indyjskiego księcia.

Gdy wyszłam na zewnątrz, zauważyłam, że ma wilgotne włosy, a jego zapach przywodził mi na myśl leśny wodospad. Był taki przystojny, że bardziej niż zwykle odczułam własną przeciętną urodę. Podeszłam do niego, a serce zaczęło mi bić jeszcze szybciej.

Ren zmierzył mnie wzrokiem i zmarszczył brwi.

— Czemu nie masz na sobie ubrań, które ci kupilem? Tych z garderoby?

— Och. To znaczy, że są dla innie? — spytałam, zakłopotana. Aż mnie zatkało z wrażenia. — Ja nie... Ale... Niby czemu... Jak... W każdym razie dziękuję. I dziękuję za to, że mogę skorzystać z tego pięknego pokoju.

Jego uśmiech niemal zwałił mnie z nóg. Księżę ujął w palce pasmo moich włosów, które rozwiewał wietrzyk, schował mi je za ucho i spytał:

— Podobały ci się kwiaty?

Wpatrywałam się w niego oniemiała. W końcu zamrugalam i wydusiłam z siebie piskliwe „tak”. Ren pokiwał głową, zadowolony, i wskazał na rozłożone na werandzie fotele. Skinęłam głową i aż się zachłysnęłam, gdy poprowadził mnie do jednego z siedzisk. Upewniwszy się, że jest mi wygodnie, usiadł naprzeciwko mnie. Przez cały czas gapiłam się na niego, niezdolna do wypowiedzenia choćby jednej sensownej uwagi, więc to on odezwał się pierwszy.

— Kelsey, wiem, że masz do mnie mnóstwo pytań. Od czego zaczniemy?

Jego lśniące błękitne oczy robiły na mnie hipnotyzujące wrażenie. W końcu otrząsnęłam się z transu i wymamrotałam pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

— Nie wyglądasz jak pozostali Indusi. Wyglądasz... Twoje oczy... są inne i... — jąkałam się odrobinę. Czemu nie potrafię wziąć się w garść?

Nawet jeśli moje słowa brzmiały idiotycznie, Ren chyba tego nie zauważył.

— Mój ojciec był Indusem, ale matka pochodziła z Dalekiego Wschodu. Była księżniczką z innego kraju, oddaną za żonę mojemu ojcu. Poza tym mam ponad trzysta lat.

— Ponad trzysta lat! To znaczy, że urodziłeś się...

— Urodziłem się w 1657 roku.

— No tak — odparłam, zbита z tropu. Najwyraźniej szalenie podobają mi się starsi mężczyźni. — W takim razie czemu wyglądasz tak młodo?

— Nie wiem. Kiedy rzucono na mnie klątwę, miałem dwadzieścia jeden lat. Od tamtego czasu się nie starzeję.

Nagle przyszło mi do głowy jakieś milion pytań naraz. Poczulałam przemożną potrzebę rozwiązania tej zagadki.

— A pan Kadam? Ile ma lat? I jaką rolę odgrywa w tym wszystkim jego szef? Czy on wie o tobie?

Ren roześmiał się.

— Kelsey. Ja jestem szefem pana Kadama.

— Ty? To ty jesteś jego bogatym chlebodawcą?

— W pewnym sensie, choć nie określamy naszej relacji w ten sposób. Wiek pana Kadama to nieco bardziej skomplikowana sprawa. Jest ode mnie trochę starszy. Ryl kiedyś rycerzem, a także zaufanym doradcą wojskowym mego ojca. Gdy padłem ofiarą klątwy, pobiegłem wprost do niego i przez te dwadzieścia kilka minut, na które przybrałem ludzką postać, zdołałem opowiedzieć mu, co się stało. Szybko wszystko zorganizował, ukrył moich rodziców oraz majątek i od tamtego czasu aż do dziś jest moim opiekunem i obrońcą.

— Ale jak to możliwe, że wciąż żyje? Przecież powinien był umrzeć dawno temu.

Ren zawahał się.

— Przed starzeniem się chroni go amulet Damona. Nosi go na szyi i nigdy nie zdejmuje.

Nagle przypomniałam sobie, jak w samolocie mignął mi talizman pana Kadama. Przejęta, usiadłam na samym brzeżku fotela.

— Damon? Czy nie tak ma na imię tygrys Durgi?

— Owszem, imię tygrysa Durgi to również nazwa amuletu. Nie wiem zbyt wiele o związku między nimi ani o pochodzeniu talizmanu. Wiem jedynie, że wiele lat temu został rozbity na kilka części. Niektórzy mówią, że są cztery i że reprezentują cztery żywioły, cztery wiatry, lub nawet cztery strony świata. Inni twierdzą, że części jest pięć albo więcej. Mój ojciec dał mi swój kawałek, zaś matka podała swój Kishanowi.

— Człowiek, który rzucił na mnie klątwę tygrysa, chciał zdobyć nasze fragmenty amuletu. To dlatego oszukał Kishana. Nikt nie wie na pewno, jaki rodzaj mocy zyskalby amulet, gdyby zebrać razem wszystkie jego części. Ale ów człowiek pozbawiony był litości

i skrupulów i nic by go nie powstrzymało przed przekonaniem się o tym.

Ren ciągnął:

— Pan Kadam nosi teraz mój fragment amuletu. Wierzymy, że zawarta w nim moc chroniła go i utrzymywała przy życiu przez cały ten czas. Wprawdzie starzeje się, ale na szczęście bardzo wolno. Jest zaufanym przyjacielem, który wiele poświęcił, by nieść pomoc mojej rodzinie przez te wszystkie lata. Mam u niego dług nie do spłacenia. Nie wiem, jak bym przeżył te wszystkie lata bez niego. — Ren spojrzal na basen i wyszeptal: — Pan Kadam opiekował się moimi rodzicami aż do ich śmierci i chronił ich wtedy, kiedy ja nie mogłem tego robić.

Nachyliłam się i położyłam dłoń na jego dłoni. Rozumiałam jego smutek, gdy myślał o rodzicach. Jego ból i samotność wypełniały mnie i splatały się z moimi. Ren odwrócił dłoń spodem do góry i bezwiednie zaczął głaskać kciukiem moje palce, ze wzrokiem wbitym w dół, zajęty własnymi myślami.

W innej sytuacji byłabym zakłopotana lub skrępowana, trzymając się za rękę z facetem, którego dopiero co poznałam. Ale tym razem po prostu poczułam się spokojna. Strata Rena była odbiciem mojej straty, a jego dotyk mnie odprężał. Spojrzałam na jego przystojną twarz, zastanawiając się, czy czuje to samo. Rozumiałam ból osamotnienia. Szkolni psychologowie mówili mi, że niewystarczająco długo oplakiwałam śmierć rodziców i przez to nie potrafię nawiązywać więzi z innymi. Zawsze unikałam głębszych relacji. A teraz uświadomiłam sobie, że w pewnym sensie oboje jesteśmy samotni, przez co ogarnęło mnie wielkie współczucie dla Rena. Nie potrafiłam sobie wyobrazić trzystu lat bez kontaktów z ludźmi, pozbawiona kogokolwiek, kto spojrzalby mi w oczy i wiedzialby, kim jestem. Więc nawet gdyby jego dotyk wprawiał mnie w zakłopotanie, nie mogłabym mu odmówić tej chwili kontaktu z drugim człowiekiem.

Ren uśmiechnął się do mnie ciepło i leniwie, pocałował koniuszki moich palców i powiedział:

— Chodź, Kelsey. Musisz się przespać, a mój czas dobiega końca.

Pociągnął mnie w górę, tak że znalazłam się bardzo blisko niego. Prawie przestałam oddychać. Trzymał mnie za rękę, a ja poczułam lekkie drżenie w opuszkach palców. Ren poprowadził mnie do drzwi, szybko się pożegnał, sklonił głowę i zniknął.

Następnego ranka postanowiłam zbadać zasób swojej odzieży, który dzięki Renowi znacznie się powiększył. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że moje nowe stroje to głównie dżinsy i zwykle bluzki, współczesne, praktyczne ubrania amerykańskiej nastolatki. Jedyna różnica polegała na tym, że wszystkie były w mocnych, żywych kolorach rodem z Indii.

Otworzyłam jedną z foliowych toreb w szafie i zachwycona ujrzałam w niej błękitną jedwabną suknię w indyjskim stylu. Zarówno górną część, jak i spódnicę miała wyszywaną drobnymi srebrzystymi perełkami w kształcie lezek. Suknia była tak piękna, że natychmiast ją przymierzyłam.

Spódnica gładko prześliznęła mi się przez głowę i wzdłuż ramion, by zatrzymać się wokół talii. Wąska na górze, opadała do podłogi wirującymi, ciężkimi faldami — ciężkimi z powodu setek pereł naszytych gęsto u dołu. Króciutkie trójkątne rękawki również były wyhaftowane perełkami. Dopasowana górna część sukni kończyła się tuż nad pępkiem, odsłaniając pięć centymetrów gołego brzucha. Na co dzień nie nosiłabym takiego stroju, ale ta sukienka była olśniewająca. Okręciłam się przed lustrem. Czulałam się jak księżniczka.

Postanowiłam, że tak piękna kreacja wymaga makijażu i specjalnej fryzury. Wyciągnęłam rzadko używaną puderniczkę, dodałam nieco różu, ciemny cień do powiek i obrysowałam oczy błękitną kredką. Na koniec pomalowałam rzęsy tuszem, a usta delikatnym różowym błyszczkiem. Rozpuściłam warkocz, zapleciony poprzedniego wieczoru, i przeczesalam palcami włosy, układając je tak, by spływały po plecach miękkimi lokami.

Do sukienki dołączona była przezroczysta błękitna chusta. Nie bardzo wiedziałam, co z nią zrobić, owinęłam ją więc wokół ramion. Nie miałam zamiaru nosić sukni w ciągu dnia, ale gdy już ją założyłam, nie mogłam się zmusić do tego, by ją zdjąć.

Boso zeszałam na dół i udałam się na śniadanie. Pan Kadam czekał na mnie w kuchni. Nucił, zaczytany w indyjskiej gazecie. Nawet nie podniósł wzroku.

— Dzień dobry, panno Kelsey. Śniadanie czeka na panią na blacie.

Starając się zwrócić jego uwagę, wzięłam swój talerz oraz szklanekę soku z papai, starannie ułożyłam faldy sukni, po czym usiadłam naprzeciwko niego z dramatycznym westchnieniem.

— Dzień dobry panu.

Pan Kadam spojrzał na mnie, uśmiechnął się i odłożył gazetę.

— Panno Kelsey! Wygląda pani czarująco!

— Dziękuję. — Zaczerwieniłam się. — Czy pan wybrał tę sukienkę? Jest prześliczna!

Pan Kadam uśmiechnął się do mnie, a oczy mu zaślnily.

— Tak. Nazywa się śarara. Ren chciał, żeby miała pani więcej strojów, kupiłem ją więc, będąc w Mumbaju. Poprosił, żebym poszukał czegoś wyjątkowego. Jego jedyne instrukcje brzmiały: „piękne” i „błękitne”. Chciałbym, by ten wybór był wyłącznie moją zasługą, ale musiałem poprosić o pomoc Nilimę.

— Nilimę? Stewardesę? Czy ona jest pańską... To znaczy... Czy wy... — zamilkłam, zakłopotana.

Pana Kadama ubawiło moje zawstydzenie.

— Nilima i ja jesteśmy blisko związani, jak słusznie pani odgadła, ale nie jest to relacja, o jakiej pani myśli. Nilima to moja pra-pra-pra-prawnuczka.

Szczęka opadła mi na te słowa.

— Słucham?

— Jest moją wnuczką z kilkoma „pra” z przodu.

— Ren mówił, że jest pan od niego trochę starszy, nie wspomniał jednali, że ma pan rodzinę.

Pan Kadam złożył gazetę i napił się soku.

— Dawno temu byłem żonaty. Mieliśmy kilkoro dzieci. Nasze dzieci również miały dzieci i tak dalej. Ze wszystkich moich potomków tylko Nilima zna naszą tajemnicę. Dla reszty jestem dalekim, bogatym wujkiem, który wiecznie podróżuje w interesach.

— A co z pana żoną?

Pan Kadam spowaźniał i zamyślił się na chwilę.

— Było nam bardzo trudno. Kochałem ją całym sercem. Czas mijal, ona się starzała, a ja nie. Nie przewidziałem konsekwencji działania amuletu. Moja żona o wszystkim wiedziała i twierdziła, że jej to nie przeszkadza.

Pan Kadam dotknął amuletu pod koszulą. Zauważywszy, że przyglądam się z zaciekawieniem, pociągnął za cienki srebrny łańcuszek i pokazał mi trójkątny zielony kamień. Na górze widać było błądy zarys głowy tygrysa, otoczonej kołem, wokół którego wyrzeźbione były tajemnicze znaki. Pan Kadam powiedział, że jest w stanie odszyfrować tylko część jednego słowa. Ze smutkiem potarł amulet.

— Moja droga żona zestarzała się i zachorowała. Kiedy umierała, zdjąłem amulet i błagałem, żeby go włożyła. Odmówiła, wcisnęła mi go do ręki i kazała przysiąc, że nie zdejmę go do chwili, kiedy wypełnię swoją misję.

Lza spłynęła mi po policzku.

— Nie mógł jej pan zmusić, żeby go nosiła, albo zaproponować, że będziecie się wymieniać?

Mój rozmówca ze smutkiem pokręcił głową.

— Nie. Pragnęła żyć zgodnie z naturą. Nasze dzieci miały mężów i żony, były szczęśliwe, a ona poczuła, że nadszedł jej czas. Była spokojna, ponieważ wiedziała, że jestem na miejscu i zadbam o naszą rodzinę. — Pan Kadam uśmiechnął się smutno. — Zostałem przy niej do jej śmierci, a potem czuwałem nad dziećmi i wnukami. Ale z biegiem lat coraz trudniej było mi patrzeć, jak cierpią i umierają. Poza tym im więcej osób znalazły tajemnicę Bena, w tym większym byłby niebezpieczeństwie, odszedłem więc. Od czasu do czasu powracam, by sprawdzić, co u moich potomków ale... to dla mnie trudne.

— Czy jeszcze kiedyś się pan ożenił?

— Nie. Od czasu do czasu zatrudniam u siebie któregoś z prawników i są dla mnie wspaniali. Także Ben, zanim go złapano, był mi dobrym towarzyszem. Od czasów mojej żony nie szukałem nowej miłości. Nie sądzę, by moje serce zniosło kolejne pożeganie.

— Och, proszę pana, tak mi przykro. Ben miał rację. Wiele pan dla niego poświęcił.

Pan Kadam uśmiechnął się.

— Proszę mnie nie żalować, panno Kelsey. Teraz powinniśmy się cieszyć, ponieważ pojawiła się pani w naszym życiu. A pani obecność ogromnie mnie raduje. — Ujął moją dłoń, poklepał ją i puścił do mnie oko. Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować, więc po prostu się uśmiechnęłam. Pan Kadam puścił moją rękę, wstał i zabrał się do mycia talerzy. Właśnie ruszyłam, by mu pomóc, gdy Ben wszedł do kuchni leniwym krokiem, ziewając tak szeroko, jak tylko tygrysy potrafią. Odwróciłam się i nieco niezręcznie pogłaskałam go po łbie.

— Dzień dobry, Ben! — powiedziałam wesolo i okręciłam się, by pokazać mu swój strój. — Bardzo ci dziękuję za sukienkę! Jest piękna, prawda? Nilima świetnie się spisala.

Ren usiadł gwałtownie na podłodze i przez chwilę patrzył, jak obracam się to w lewo, to w prawo, po czym wstał i wyszedł.

— Co go dziś ugryzło? — spytałam.

Pan Kadam obrócił się w moją stronę, wycierając ręce w ścierkę.

— Hmm?

— Ren właśnie wyszedł.

— Z tygrysami nigdy nic nie wiadomo. Może jest głodny. Panno Kelsey, proszę mi wybaczyć na chwilę. — Uśmiechnął się do mnie i podążył za Renem.



Jakiś czas później oboje usadowiliśmy się w przepięknej bibliotece w kolorze pawich piór, w której znajdowała się niezwykła kolekcja książek pana Kadama. Z jednej ze lśniących mahoniowych półek zdjęłam tom dotyczący Indii, pelen starych map.

— Czy pokaże mi pan, gdzie jest jaskinia Kanheri? Phet powiedział, że to właśnie tam musimy pojechać, żeby dowiedzieć się, jak wyciągnąć Rena z tego balaganu.

Pan Kadam otworzył książkę, którą mu podałam, i wskazał na mapie Mumbaj.

— Jaskinia znajduje się w północnej części miasta, w Parku Narodowym Boriwali, który nazywa się teraz Park Narodowy Gandhiego. Tworzą ją wiekowe bazaltowe skały, na których wyryte są starożytne inskrypcje. Byłem tam już wcześniej, ale nigdy nie odnalazłem żadnego podziemnego przejścia. Archeolodzy od wielu lat badają to miejsce, nikt jednak nie natrafił tam na przepowiednię Durgi.

— A co z pieczęcią, o której mówił Phet? Co to takiego?

— Przechowywałem pieczęć przez te wszystkie lata w sejfie bankowym, razem z resztą rodowych pamiątek Rena. Muszę po nią pojechać. Przywiozę ją pani wieczorem. Tymczasem myślę, że powinna pani zadzwonić do opiekunów i powiadomić ich, że wszystko w porządku. Może im pani powiedzieć, że zostaje pani w Indiach do końca lata jako moja asystentka.

Pokiwałam głową. Wiedziałam, że powinienam zadzwonić. W końcu mogli pomyśleć, że zjadł mnie tygrys.

— Muszę również kupić w mieście parę rzeczy, które zabierze pani ze sobą w podróż. Proszę się rozgościć i odpocząć. Lunch i kolacja czekają w lodówce. Jeśli zechce pani popływać, proszę użyć kremu z filtrem. Trzymamy go w szafce przy basenie, obok ręczników.

Wróciłam na górę i na toaletce w sypialni znalazłam swój telefon. Miło, że mi go oddał po całej tej przygodzie w dżungli. Usiadłam na złotym aksamitnym fotelu, zadzwoniłam do Mike'a i Sary i długo rozmawiałam z nimi o tutejszym ruchu ulicznym, jedzeniu i mieszkańcach Indii. Gdy zapytali o tygrysi rezerwat, zrobiłam unik, oznajmiając, że tygrys ma świetną opiekę. Pan Kadam miał

rację. Najprostszym wyjaśnieniem mojego przedłużonego pobytu tutaj było oświadczenie, że mój nowy znajomy zaproponował mi stanowisko stażystki do końca lata.

Rozłączyłam się. Zrobiłam pranie, a potem, z braku innego zajęcia, zwiedziłam wszystkie zakątki domu. Piwnica zamieniona była w siłownię, w pełni wyposażoną, lecz nie w nowoczesny sprzęt do ćwiczeń. Podłogę pokrywała gruba czarna mata. Choć była to piwnica, do środka wpadało słońce, gdyż połowa pomieszczenia znajdowała się pod wzgórzem, druga zaś była otwarta na dzienne światło i miała wielkie okna od podłogi do sufitu. Przesuwane szklane drzwi wychodziły na dużą werandę, która prowadziła w dżunglę. Tylna ściana była gładka. Przy drzwiach znajdował się rząd przycisków. Nacisnęłam jeden z nich i część panelu odsunęła się, ukazując kolekcję starożytnych broni, między innymi topory, dzidy i różnej długości noże zawieszane w specjalnych przegrodach. Jeszcze raz nacisnęłam guzik i ściana się zamknęła. Przycisnęłam następny, który otworzył kolejną skrytkę, tym razem z mieczami. Podeszłam bliżej, by im się przyjrzeć. Było ich wiele różnych rodzajów, od cienkich rapierów do masywnych palaszy. Jeden z mieczy tkwił w specjalnej szklanej gablocie. Wyglądał jak broń samuraja, którą widziałam kiedyś w jakimś filmie.

Wróciłam na parter, gdzie znalazłam supernowoczesny zestaw kina domowego oraz wygodne rozkładane fotele.

Tuż obok kuchni znajdowała się elegancka salka bankietowa z marmurową posadzką, pięknymi gzymsami i migotliwym żyrandolem. Zaś obok barwnej biblioteki odkryłam pokój muzyczny z lśniącym czarnym fortepianem i wielkim zestawem stereo oraz setkami płyt kompaktowych. Większość z nich wyglądała na albumy z muzyką indyjską, ale znalazłam również kilku amerykańskich wykonawców, w tym Elvisa Presleya. Na ścianie wisiała bardzo stara gitara o dziwnym kształcie, a na środku pokoju stała czarna skórzana półokrągła kanapa.

Sypialnia pana Kadama również znajdowała się na parterze i stylem przypominała kolorową bibliotekę, pełną książek i lśniących drewnianych mebli. Był w niej słoneczny kącik do czytania, a na ścianach wisiało kilka pięknych obrazów. Na samej górze natrafiłam na przytulne poddasze, gdzie stało kilka niedużych półek z książkami i dwa wygodne fotele. Prowadziły nań szerokie schody. Były tam również duża sypialnia, łazienka i schowek. Na moim piętrze znalazłam poza moją jeszcze trzy sypialnie. Jedna była

urządzona po „dziewczyńsku”, w odcieniach jasnego różu. Pomyślałam, że to pokój Nilimy, w którym śpi, kiedy przyjeżdża z wizytą. Drugi pokój wyglądał na przeznaczony dla gości, ale utrzymany był w ciemniejszych barwach. W obu znajdowały się oddzielne łazienki.

Gdy weszłam do ostatniej sypialni, zauważyłam szklane drzwi, wiodące na znaną mi już werandę. Ten pokój w porównaniu z pozostałymi urządzone był z prostotą. Mebli ze lśniącego mahoniu nie zdobiły ornamenty ani bibeloty. Ściany były gładkie, a komody puste.

Czy to tu śpi Ren?

W rogu pomieszczenia dostrzegłam biurko. Podeszłam bliżej i ujrzałam grube arkusze kremowego papieru, kalamarz oraz staromodne wieczne pióro. Na kartce leżącej na wierzchu widniała notatka sporządzona pięknym charakterem pisma.

*Kelsey Durga Wallabb
Bliumi-ke-niče gupha
Radżakija Mudżulain Mohar
Sandesa Durga*

Zielona wstążka do włosów, podejrzanie przypominająca moją, leżała obok kalamarza. Zajrzałam do szafy, ale nic w niej nie znalazłam — żadnych ubrań, żadnych pudel, nic.

Wróciłam na parter i spędziłam resztę popołudnia, zgłębiając indyjską kulturę, religię oraz mitologię. Z kolacją zaczęłam do chwili, gdy zaczęło burczeć mi w brzuchu, w nadziei na towarzystwo. Jednak pan Kadam wciąż jeszcze nie wrócił z banku, a Ren zniknął gdzieś bez śladu.

Po kolacji poszłam na górę. Ren stał na werandzie, wpatrzony w zachodzące słońce. Podeszłam do niego nieśmiało i stanęłam z tyłu.

- Witaj, Ren.

Odwrócił się i bez skrępowania zaczął mi się przyglądać. Powoli przesunął wzrokiem po moim ciele. Im dłużej patrzył, tym szerzej się uśmiechał. W końcu z powrotem przesunął wzrok na moją twarz, która zdążyła przybrać kolor buraka. Westchnął i uklonił mi się nisko.

— *Sundari*. Tkwiłem tu i myślałem, że nie może być nic piękniejszego niż ten zachód słońca, myliłem się jednak. Twoja skóra i włosy, lśniące w promieniach słońca, to widok niemal... nie do opisania.

Spróbowałam zmienić temat.

— Co znaczy słowo *sundari*?

— *Sundari* znaczy „piękna”.

Znów się zarumieniłam, co go rozbawiło. Wziął mnie za rękę, włożył ją sobie pod ramię i poprowadził mnie do wiklinowych foteli. W tym momencie słońce schowało się za koronami drzew, jeszcze przez kilka chwil rozświetlając niebo pomarańczowym blaskiem.

Usiedliśmy. Ren usadowił się tym razem obok mnie i dalej trzymał mnie za rękę.

Nieśmiało zaczęłam:

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, że zwiedziłam dziś dom. Twój pokój również.

— Ależ skąd. Jestem pewien, że mój pokój był z wszystkich najmniej interesujący.

— Właściwie to zaciekawiły mnie zapiski, które znalazłam. Czy to ty je zrobiłeś?

— Zapiski? Ach, tak. Nagryzmoiliem parę zdań, żeby zapamiętać, co powiedział Phet. Napisałem tylko: szukaj przepowiedni Durgi, jaskinia Kanheri, Kelsey jest wybranką Durgi i takie tam.

— Och. Zauważyłam też... wstążkę. Czy jest moja?

— Owszem, jeśli chcesz, zwrócę ci ją.

— Ale po co ci ona?

Ren wzruszył ramionami, nagle zakłopotany.

— Chciałem mieć pamiątkę, coś, co pochodzi od dziewczyny, która uratowała mi życie.

— Pamiątkę? Jak biała chusteczka, którą piękna niewiasta rzuciła rycerzowi w lśniącej zbroi?

Ren uśmiechnął się.

— Właśnie tak.

— Szkoda, że nie poczekałeś, aż Cathleen trochę dorośnie. Już niedługo będzie bardzo ładną dziewczyną — rzuciłam drwiąco.

Ren zmarszczył brwi.

— Cathleen z cyrku? — Pokręcił głową. — To ty jesteś tą jedyną, Kelsey. I gdybym miał możliwość wyboru kobiety, która mnie ocali, również wybrałbym ciebie.

— Dlaczego?

— Z wielu powodów. Polubiłem cię. Jesteś interesująca. Lubię słuchać twojego głosu. Poczulem, że pod tygrysią skórą dostrzegłaś człowieka. Kiedy do mnie przemówiłaś, uświadomiłem sobie, że twoje słowa są dokładnie tym, czego potrzebowałem. Jesteś inteligentna. Lubisz poezję. No i jesteś bardzo ładna.

Roześmiałam się na to stwierdzenie. Ja — ładna? Z pewnością nie mówi poważnie. Byłam przeciętna pod tak wieloma względami. W przeciwieństwie do rówieśniczek nigdy specjalnie nie interesowałam się makijażem, fryzurami czy modnymi, lecz niewygodnymi strojami. Miałam bladą cerę i ciemnobrązowe, prawie czarne oczy. Zdecydowanie moją największą zaletą był uśmiech, za który moi rodzice słono płacili, gdy przez trzy lata nosiłam metalowy aparat na zęby.

Mimo to jego słowa mi pochlebily.

— No dobra, książę z bajki, możesz zachować swoją pamiątkę. — Zawahałam się, po czym dodałam miękko: — Wiesz, noszę te wstążki na cześć mojej mamy. Kiedy byłam mała, dużo rozmawialiśmy, podczas gdy ona mnie czesała i wplatała mi je we włosy.

Ren uśmiechnął się.

— W takim razie teraz twoja wstążka będzie dla mnie jeszcze więcej znaczyć.

Po chwili, gdy oboje opanowaliśmy wzruszenie, zaczął mówić dalej:

— Posłuchaj, Kelsey, jutro pojedziemy do jaskini. Za dnia jest tam pełno turystów, co oznacza, że z szukaniem przepowiedni Durgi będziemy musieli zaczekać do wieczora. Wkradniemy się do parku od strony dżungli i spory kawałek drogi trzeba będzie przejść na piechotę, załóż więc nowe traperki, które dla ciebie kupilem. Są w pudełku w garderobie.

— Świetnie. Nie ma to jak wypróbować nowe buty podczas przeprawy przez upalną dżunglę — zadrwiłam.

— Myślę, że nie będzie tak źle, a nawet nowe traperki sprawdzą się lepiej niż twoje adidas.

— Tak się składa, że lubię swoje adidas i mam zamiar wziąć je ze sobą na wypadek, gdybym przez twój prezent nabawiła się pęcherzy.

Ren wyciągnął do przodu długie nogi i skrzyżował przed sobą bosc stopy.

— Pan Kadam spakował rzeczy, które mogą nam się przydać. Upewnij się, czy zostawił w plecaku miejsce na twoje adidas. Rędziesz musiała zawieźć nas do Mumbaju i do parku. Wiem, że nie lubisz tutejszego ruchu drogowego, i przykro mi, że cię tym obarczam.

— „Nie lubię” to mało powiedziane — wymamrotałam. — Ludzie tutaj nie mają pojęcia, jak powinno się jeździć. To jakieś szaleństwo.

— Możemy pojechać bocznymi drogami, na których jest najmniej ruchu, a poza tym chcemy dotrzeć zaledwie do przedmieść, nie do

centrum Mumbaju. Nie powinno być tak źle. Jesteś dobrym kierowcą.

— Ha, łatwo ci mówić. Będziesz sobie spał z tyłu przez całą drogę.

Ren dotknął palcami mojego policzka i delikatnie obrócił moją twarz do swojej.

— *Radźkumari*, chcę ci podziękować. Za to, że zostałaś z nami i że mi pomagasz. Nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne.

— Proszę bardzo — mruknęłam. — A *radźkumari* znaczy...

Ren błysnął zębami w uśmiechu i zgrabnie zmienił temat:

— Chciałabyś dowiedzieć się czegoś o pieczęci?

Zauważyłam, że zrobił unik, ale nie protestowałam.

— Jasne. Co to takiego?

— Prostokątny rzeźbiony kamień, gruby na jakieś trzy palce. Władca zawsze nosił go publicznie, jako symbol królewskich obowiązków. Na Pieczęci Imperium Mudżulain są wyryte cztery słowa: *Wiweka*, *Dźagarana*, *Wiru* i *Anukampa*, które w luźnym tłumaczeniu znaczą: „mądrość”, „czujność”, „odwaga” oraz „współczucie”. Będziesz musiała wziąć pieczęć ze sobą do jaskini. Phet powiedział, że to klucz, który otworzy przejście.

Wstałam, podeszłam do balustrady i popatrzyłam na rozbłyskające gwiazdy.

— Nie potrafię sobie wyobrazić twojego dawnego życia. Jest ciekawiejsze od tego, które znam.

— Masz rację, Kelsey.

— Mów mi Kells.

Uśmiechnął się i podszedł do mnie.

— Masz rację, Kells. Muszę się wiele od ciebie nauczyć. Ale być może i ja mógłbym cię nauczyć paru rzeczy. Na przykład ta chusta, *dupatta*... Mogę?

Ren zdjął z moich ramion szal i wyciągnął go przed siebie.

— Jest kilka różnych sposobów noszenia chusty. Można ułożyć ją na ramionach, tak jak ty to zrobiłaś, albo jeden koniec owinąć wokół przedramienia, co jest ostatnio najbardziej popularne. O, tak.

Ren owinął się chustą i obrócił, by pokazać mi najnowszy styl, a ja nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

— A skąd ty znasz najnowszą modę?

— Wiem o wielu rzeczach. Zdziwiłabyś się. — Zdjął szal i założył go w jeszcze inny sposób.

— Można go również narzucić na włosy, zwłaszcza gdy rozmawiasz ze starszymi i chcesz w ten sposób okazać im szacunek.

Skloniłam mu się, zachichotałam i powiedziałam:

— Dziękuję, że okazała mi pani należny szacunek, *madame*. Ślicznie pani w jedwabiu.

Ren parsknął śmiechem, po czym pokazał mi jeszcze kilka sposobów noszenia szala, jeden śmieszniejszy od drugiego. Gdy mówił poczułam, że coś mnie do niego przyciąga. Jest taki... atrakcyjny, czarujący, magnetyczny, fascynujący... zniewalający. Przyjemnie się na niego patrzyło, ale nawet gdyby był brzydki, i tak mogłabym rozmawiać z nim godzinami.

Nagle dostrzegłam dreszcz przeszywający jego lewe ramię. Księżę uciekł i zrobił krok w moją stronę.

— Jednak mój ulubiony styl to ten, który wybrałaś na początku, luźno narzucając chustę na ramiona. W ten sposób mogę się cieszyć widokiem twoich włosów splywających falami w dół.

Otulił mi ramiona przezrystą tkaniną i pociągnął za nią, delikatnie przysuwając mnie do siebie. Podniósł dłoń i owinął sobie wokół palca kosmyk moich włosów.

— Świat nie przypomina dziś tego, który znałem. Tak wiele rzeczy się zmieniło. — Puścił szal, ale wciąż trzymał w palcach pasmo moich włosów. — Ale niektóre zmieniły się na lepsze. — Puścił kosmyk, przesunął palcem po moim policzku i delikatnie popchnął mnie w stronę drzwi do pokoju.

— Dobranoc, Kelsey. Jutro czeka nas trudny dzień.

JASKINIA KANHERI



Gdy obudziłam się następnego ranka, na mojej toalecie leżała Pieczęć Imperium Mudżulain — piękny kremowy kamień poprzecinany pomarańczowymi smugami, zawieszony na miękkiej wstążce. Wzięłam go do ręki, był ciężki. Gdy przyjrzałam się uważnie, zauważyłam wyryte na powierzchni słowa, które przetłumaczył mi wczoraj Ren: mądrość, czujność, odwaga i współczucie. Na dole widniał kwiat lotosu. Misterny rysunek musiał być dziełem osoby niezwykle utalentowanej.

Jeśli rzeczywiście pozostawał tak wierny tym słowom, jak twierdzi jego syn, ojciec Rena musiał być dobrym władcą.

Przez chwilę wyobrażałam sobie starszą wersję Rena na królewskim tronie. Oczyma duszy z łatwością ujrzałam go w roli przywódcy. Miał w sobie coś, co sprawiało, że mu ufałam i chciałam za nim iść. Uśmiechnęłam się z przekąsem. Niejedna kobieta skoczyłaby za nim z klifu.

Pan Kadam służył swemu księciu od ponad trzystu lat. To niewzwykle, że Ren był w stanie wzbudzić taką lojalność.

Odłożyłam na bok rozmyślenia i z podziwem spojrzałam na wielowiekową pieczęć. Otworzyłam plecak przygotowany przez pana Kadama i znalazłam w nim dwa aparaty fotograficzne, cyfrowy i jednorazowy, a także zapalki, kilka narzędzi do kopania, latarki, scyzoryk, pałeczki fluorescencyjne, papier, kawałek węgla rysunkowego, jedzenie, wodę, mapy i parę innych rzeczy. Kilka przedmiotów znajdowało się w plastikowych nieprzemakalnych torebkach.

Skloniłam mu się, zachichotałam i powiedziałam:

— Dziękuję, że okazała mi pani należny szacunek, *madame*. Ślicznie pani w jedwabiu.

Ren parsknął śmiechem, po czym pokazał mi jeszcze kilka sposobów noszenia szala, jeden śmieszniejszy od drugiego. Gdy mówił poczułam, że coś mnie do niego przyciąga. Jest taki... atrakcyjny czarujący, magnetyczny, fascynujący... zniewalający. Przyjemnie się na niego patrzyło, ale nawet gdyby był brzydki, i tak mogłabym rozmawiać z nim godzinami.

Nagle dostrzegłam dreszcz przeszywający jego lewe ramię. Księżę ucichł i zrobił krok w moją stronę.

— Jednak mój ulubiony styl to ten, który wybrałaś na początku luźno narzucając chustę na ramiona. W ten sposób mogę się cieszyć widokiem twoich włosów spływających falami w dół.

Otulił mi ramiona przejrzystą tkaniną i pociągnął za nią, delikatnie przysuwając mnie do siebie. Podniósł dłoń i owinał sobie wokół palca kosmyk moich włosów.

— Świat nie przypomina dziś tego, który znałem. Tak wiele rzeczy się zmieniło. — Puścił szal, ale wciąż trzymał w palcach pasmo moich włosów. — Ale niektóre zmieniły się na lepsze. — Puścił kosmyk, przesunął palcem po moim policzku i delikatnie popchnął mnie w stronę drzwi do pokoju.

— Dobranoc, Kelsey. Jutro czeka nas trudny dzień.

JASKINIA KANHERI



Gdy obudziłam się następnego ranka, na mojej toalecie leżała Pieczęć Imperium Mudżulain — piękny kremowy kamień poprzeciny pomarańczowymi smugami, zawieszony na miękkiej wstążce. Wzięłam go do ręki, był ciężki, Gdy przyjrzałam się uważnie, zauważyłam wyryte na powierzchni słowa, które przetłumaczył mi wczoraj Ren: mądrość, czujność, odwaga i współczucie. Na dole widniał kwiat lotosu. Misterny rysunek musiał być dziełem osoby niezwykle utalentowanej.

Jeśli rzeczywiście pozostawał tak wierny tym słowom, jak twierdzi jego syn, ojciec Rena musiał być dobrym władcą.

Przez chwilę wyobrażałam sobie starszą wersję Rena na królewskim tronie. Oczyma duszy z łatwością ujrzałam go w roli przywódcy. Miał w sobie coś, co sprawiało, że mu ufałam i chciałam za nim iść. Uśmiechnęłam się z przekąsem. Niejedna kobieta skoczyłaby za nim z klifu.

Pan Kadam służył swemu księciu od ponad trzystu lat. To niezwykle, że Ren był w stanie wzbudzić taką lojalność.

Odłożyłam na bok rozmyślenia i z podziwem spojrzałam na wielowiekową pieczęć. Otworzyłam plecak przygotowany przez pana Kadama i znalazłam w nim dwa aparaty fotograficzne, cyfrowy i jednorazowy, a także zapalki, kilka narzędzi do kopania, latarki, szczyrzyk, pałeczki fluorescencyjne, papier, kawałek węgla rysunkowego, jedzenie, wodę, mapy i parę innych rzeczy. Kilka przedmiotów znajdowało się w plastikowych nieprzemakalnych torebkach.

Sprawdziłam wagę plecaka. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że jest znośna.

Otworzyłam garderobę i z westchnieniem przesunęłam palcami po mojej pięknej błękitnej sukni. Włożyłam džinsy i koszulkę, zasznurowałam nowe traperki, a adidas schowałam do plecaka.

Na dole pan Kadam kroił mango na śniadanie.

— Dzień dobry, panno Kelsey — przywitał się i wskazał na moją szyję. — Widzę, że znalazła pani pieczęć.

— Owszem. Jest bardzo ładna, ale dosyć ciężka. — Nalożyłam sobie na talerz kilka plasterów mango i nalalam do kubka gorącego kakao. — Przechowywał ją pan przez te wszystkie lata?

— Tak. Jest dla mnie bardzo cenna. Tak naprawdę pieczęć wykonano w Chinach, nie w Indiach. Została podarowana w prezencie dziadkowi Rena. Tak stare pieczęcie są dosyć rzadkie. Jest zrobiona z kamienia *shoushan*, który, wbrew powszechnemu przekonaniu, nie jest odmianą jadeitu. Chińczycy wierzyli, że kamienie *shoushan* to barwne jaja feniksów, które można znaleźć wysoko na skalnych graniach. Ci, którzy ryzykowali życie, by je zdobyć, zyskiwali chwałę i bogactwo. Tylko najzamożniejsi posiadali przedmioty wyrzeźbione z tego mineralu. Otrzymanie czegoś takiego w prezencie było dla dziadka Rena wielkim zaszczytem. To bezcenna rodowa pamiątka. Dla pani zaś dobrą wiadomością będzie to, że wedle powszechnego mniemania kamień *shoushan* przynosi szczęście. Może stać się pani pomocny podczas podróży, i to na wiele sposobów.

— Wygląda na to, że rodzina Rena była naprawdę wyjątkowa.

— Rzeczywiście, panno Kelsey.

Usiedliśmy właśnie do śniadania, składającego się z jogurtu i plasterów mango, gdy Ren wszedł po cichu do kuchni i położył mi leb na kolanach. Podrapałam go za uszami.

— Miło, że do nas dołączyłeś. Pewnie nie możesz się doczekać wyjazdu, co? To z pewnością ekscytujące, być tak blisko złamania zaklęcia.

Ren wpatrywał się we mnie z przejęciem, zupełnie jakby się niecierpliwił, ale ja nie chciałam się spieszyć. Oblaskawiłam go poczęstunkiem z kawałków mango. Przez moment cieszył się smakolikiem, zlizując sok z moich palców.

Roześmiałam się.

— Przestań! Łaskoczesz mnie! — Tygrys nie zwracał uwagi na moje protesty i zaczął lizać mnie po ramieniu, aż do rękawa koszulki. — Faj, Ren, to paskudne! No dobrze, już dobrze. Jedziemy.

Umyłam ręce, po raz ostatni rzuciłam okiem na dom i ruszyłam w stronę garażu. Pan Kadam czekał już z Renem na zewnątrz. Wziął mój plecak, położył go na miejscu pasażera i otworzył przede mną drzwi. Wskoczyłam do jeepa.

— Proszę na siebie uważać, panno Kelsey — ostrzegł. — Ren będzie nad panią czuwał, ale przed wami wiele niebezpieczeństw. Niektóre przewidzieliśmy, jestem jednak pewien, że staniecie przed wieloma, o których nie mam pojęcia. Proszę zachować ostrożność.

— Dobrze, proszę pana. Mam nadzieję, że niedługo będziemy z powrotem.

Zasunęłam okno i wyjechałam z garażu. GPS znów się odezwał, instruując mnie, dokąd mam jechać. Po raz kolejny poczułam ogromne uznanie dla pana Kadama. Bez niego Ren i ja nie dalibyśmy sobie rady.

Podróż przebiegła bez przygód. Przez pierwszą godzinę ruch na drodze był bardzo mały. Zaczął wzrastać, gdy zbliżyliśmy się do Mumbaju, jednak do tego momentu niemal zdołałam się przyzwyczaić do jazdy po drugiej stronie jezdni. Po mniej więcej czterech godzinach zatrzymałam się na końcu niewyafaltowanej drogi, która wiodła do parku.

— Tutaj powinniśmy wejść w las. Według mapy dojdziecie do jaskini Kanheri zajmie nam dwie i pół godziny. — Spojrzałam na zegarek. — To znaczy, że mamy jakieś dwie dodatkowe godziny, ponieważ nie możemy wejść do jaskini, póki się nie ściemni i nie znikną turyści.

Ren wyskoczył z samochodu i poszedł za mną w stronę ocienionego miejsca wśród drzew. Położył się na trawie, a ja usiadłam obok niego. Na początku używałam jego ciała jak oparcia kanapy, a potem stopniowo rozluźniałam się, aż w końcu położyłam głowę na jego grzbiecie jak na poduszce.

Zapatrzona w korony drzew zaczęłam opowiadać Renowi o swoim dzieciństwie i rodzicach, o wizytach u babci i wspólnych wakacjach.

— Mama była pielęgniarką na oddziale geriatrycznym, ale potem postanowiła zostać w domu i zająć się mną — wyjaśniłam, z przyjemnością wracając myślami do tamtych czasów. — Robiła najlepsze na świecie ciasteczka z czekoladą i masłem orzechowym. Moja mama wierzyła, że okazywanie miłości polega na pieczeniu domowych ciasteczek. Prawdopodobnie dlatego byłam dość pulchnym dzieckiem. Tato był zwykłym facetem, który lubił urządzać grilla w ogrodzie za domem. Uczył matematyki w szkole, pewnie dlatego i ja lubię

matematykę. Wszyscy uwielbialiśmy czytać i mieliśmy przytulną domową bibliotekę. Najbardziej kochałam książki Dr. Seussa. Do dziś w jakiś sposób wyczuwam obecność rodziców, kiedy biorę do ręki książkę. Gdy byliśmy w podróży, rodzice lubili zatrzymywać się w małych pensjonatach, gdzie dostawałam pokój tylko dla siebie. Zjeździliśmy praktycznie cały stan, zwiedzaliśmy sady jabłkowe i stare kopalnie, miasteczka w bawarskim stylu, w których na śniadanie jadło się niemieckie naleśniki, oglądaliśmy ocean i góry. Myślałam, że szybko zakochałbyś się w Oregonie. Nie zwiedziłam całego świata tak jak ty, ale nie mogę sobie wyobrazić piękniejszego miejsca niż mój rodzinny stan.

Później opowiedziałam mu o szkole i swoim marzeniu, by studiować na uniwersytecie, choć było mnie stać najwyżej na dwuletni państwowy college. Opowiedziałam mu nawet o wypadku rodziców, o tym, jak samotna się czułam, gdy ich zabrakło, i jak to było mieszkać z rodziną zastępczą.

Ren machał ogonem, wiedziałam więc, że nie śpi i słucha, co mnie zaskoczyło, ponieważ myślałam, że się po prostu zdrzemnie, znudzony moim trajkotaniem. W końcu mnie samą ogarnęła senność, ucichłam i przysnęłam w upale, aż poczułam, jak Ren zaczął się wiercić, a potem usiadł. Przeciągnęłam się.

— Pewnie czas ruszać? No dobrze, prowadź.

Szliśmy przez dżunglę kilka godzin. Ryło tam więcej przestrzeni niż w rezerwacie Jawal. Drzewa rosły mniej gęsto. Wzgórza porośnięte były pięknymi fioletowymi kwiatami. Jednak gdy się do nich zbliżyliśmy, zauważyłam, że powoli więdną w upale. Odgadłam, że zapewne rozkwitły na chwilę podczas monsunowych deszczów i wkrótce przekwitną.

Mijaliśmy drzewa tekowe i bambusy, wokół rosły jednak rozmaite gatunki roślin, których nie znalazłam. Co jakiś czas drogę przebiegały nam zwierzęta. Widziałam króliki, jelenie i jeżozwierze, a w koronach drzew uwijały się setki ptaków w przeróżnych kolorach.

Gdy mijaliśmy szczególnie gęstą kępę drzew, usłyszałam dziwne, pełne niepokoju chrząkanie i ujrzałam grupę rebusów, huśtających się wysoko na gałęziach. Wyglądały przyjaźnie i nieszkodliwie, lecz im głębiej wchodziliśmy w dżunglę, tym straszliwsze stworzenia pojawiały się na naszej drodze. W pewnym momencie musiałam obejść dookoła wielkiego pytona, który zwisał z gałęzi drzewa, wpatrując się w nas czarnymi, nieruchomymi ślepiami. Ogromne jaszczurki z rozwidłonymi językami z sykiem przełykały po ścieżce.

Wielkie, tłuste owady fruwały wokół, bzyząc leniwie i jak pijane obijając się o napotkane przeszkody. Wszystko to było piękne, ale i lekko przerażające, cieszyłam się więc, że mam tygrysa przy boku. Co jakiś czas Ren zbaczal ze ścieżki i omijał ją w sposób, który sygnalizował mi, że unika pewnych miejsc lub — pomyślałam z drżeniem — pewnych stworzeń.

Po mniej więcej dwóch godzinach marszu dotarliśmy na skraj dżungli przy jaskini Kanheri. Las przeredził się i przeszedł w pozbawione drzew wzgórze. Kamienne stopnie wiodły w górę, w stronę wejścia do jaskini, ale wciąż byliśmy na tyle daleko, że cel zaledwie majaczył przed nami.

Ruszyłam w stronę stopni, ale Ren zastąpił mi drogę i lekko popchnął z powrotem w stronę linii drzew.

— Chcesz jeszcze poczekać? Dobrze, poczekamy.

Usiedliśmy w cieniu kępy krzaków i poczekaliśmy godzinę. Lekko zniecierpliwiona, patrzyłam na turystów wylaniających się z jaskini, którzy powoli schodzili po kamiennych stopniach w stronę parkingu. Słyszałam, jak rozmawiają, kiedy wsiadali do aut i odjeżdżali.

— Szkoda, że nie mogliśmy przyjechać tu samochodem — stwierdziłam z nutą zazdrości w głosie. — Z pewnością zaoszczędzilibyśmy sobie kłopotu. Tyle że ludzie nie rozumieliby, czemu chodzi za mną tygrys. Poza tym strażnicy parkowi z pewnością mieliby na nas oko.

W końcu zaszło słońce i ostatni turyści zniknęli. Ren ostrożnie wyszedł spod osłony drzew i zaczął węszyć. Zadowolony, ruszył w stronę kamiennych stopni wyciosanych w skalistym zboczu. Długa wspinaczka sprawiła, że gdy dotarliśmy na górę, ledwo mogłam złapać oddech.

Wkroczywszy do jaskini, natrafiliśmy na niską, otwartą kamienną budowlę, wewnątrz której znajdowały się identyczne pomieszczenia. Po lewej stronie każdego z nich był kamienny blok wielkości niedużego łóżka, zaś w tylnej ścianie wykuto półki. Tabliczka informacyjna głosiła, iż w trzecim wieku naszej ery jaskinia była częścią buddyjskiej osady.

To dziwne, że szukamy hinduskiej przepowiedni w dawnej buddyjskiej osadzie, pomyślałam, idąc dalej. Ale z drugiej strony, ostatnio przytrafia mi się wiele dziwnych rzeczy.

Gdy weszliśmy w głąb jaskini, zauważyłam długie kamienne rowy połączone lukami, które rozchodziły się od usytuowanej centralnie kamiennej studni. Okazało się, że są to dawne akwedukty, rozprowadzające niegdyś wodę po okolicy.

Gdy dotarliśmy do głównej pieczary, przesunęłam dłońmi po głębokich żłobieniach misternie wyrzeźbionych w ścianie, składających się na starożytne symbole. Pozostałości sufitu, w niektórych miejscach wciąż podpierane przez kamienne kolumny, rzuciły mroczne cienie. Na każdym z filarów wyrzeźbiona była jakaś postać. Raz po raz zerkalam na nie nerwowo, w obawie, że zrujnowany sufit zwali nam się na głowy.

Ujrzelśmy zięjące czarne przejście, wiodące dalej w głąb wzgórze. Po przekroczeniu go weszliśmy do dużej sali o piaszczystej podłodze. Przystanąłam na chwilę, nieprzyzwyczajona do ciemności. Światła wpadało tu tylko tyle, że można było dostrzec przejście, nie dochodziło już jednak do dalszych korytarzy i znikало szybko wraz z ostatnimi promieniami słońca.

Wyjęłam z plecaka latarkę i spytałam:

— Co teraz?

Ren wkroczył w pierwszy z brzegu mroczny korytarz i zniknął w ciemnościach. Poszłam za nim i już za chwilę znaleźliśmy się w niedużej, niskiej salce, pełnej kamiennych półek. Przyszło mi na myśl, że mogła to kiedyś być biblioteka. Ruszyłam z nadzieją, że ujrzę gdzieś wielką tablicę z napisem „Przepowiednia Durgi”, gdy nagle poczułam czyjąś dłoń na ramieniu. Podskoczyłam.

— Nie rób tak! Mógłbyś najpierw mnie uprzedzić!

— Wybacz, Kells. Musimy sprawdzić każdą salę w poszukiwaniu symbolu, który wyglądałby tali jak pieczęć. Ty poszukaj wysoko, a ja sprawdzę nisko.

Szybko ścisnął mnie za ramię i z powrotem zmienił się w tygrysa.

Zadrzałam. Chyba nigdy się nie przyzwyczaję do tego widoku.

Nic nie znaleźliśmy, przechodziliśmy więc do kolejnych sal. W czwartym z kolei pomieszczeniu szukaliśmy uważnie, ponieważ było pełne wrytych w ścianach znaków. Spędziliśmy tam co najmniej godzinę. W piątej sali również nam się nie powiodło.

Szósta komnata była pusta, bez choćby jednej półki w ścianie, za to w siódmej wreszcie znaleźliśmy pasujący symbol. Przejście prowadziło do sali znacznie mniejszej niż pozostałe, za to długiej i wąskiej. W ścianie wykute było kilka półek, podobnych do tych w poprzednich pomieszczeniach. Pod jedną z nich Ren znalazł to, czego szukaliśmy.

Wydał z siebie cichy pomruk i wetknął nos pod skalny gzyms.

— Co to? — spytałam i pochyliłam się.

Pod półką znajdował się rysunek, który dokładnie pasował do tego na pieczęci.

— Chyba rzeczywiście o to chodziło, trzymaj kciuki, to znaczy pazury.

Zdjęłam pieczęć z szyi i przycisnęłam ją do obrazka na ścianie. Poczekalam chwilę i nic. Spróbowałam przekreślić pieczęć i tym razem usłyszałam mechaniczny szum z drugiej strony ściany. Przekreśliwszy kamień o trzysta sześćdziesiąt stopni, poczułam opór i usłyszałam cichy pneumatyczny syk. Z krawędzi ściany wzniósł się pył, ujawniając, że to wcale nie ściana, lecz drzewi.

Rozległo się głębokie, stłumione dudnienie i drzwi powoli się odsunęły. Z powrotem powiesiłam pieczęć na szyi i skierowałam słabe światło latarki przed siebie. Jedyne, co ujrzałam, to kolejne ściany. Ren lekko mnie popchnął i weszłam pierwsza. Trzymałam się tak blisko niego, jak to było możliwe, i kilka razy niemal potknęłam się o jego łapy.

Poświeciłam na ścianę i dostrzegłam pochodnię w metalowym uchwycie. Wyciągnęłam z plecaka zapalki i ze zdumieniem stwierdziłam, że pochodnia zapłonęła niemal od razu. Jej płomień rozjaśnił korytarz znacznie lepiej niż moja marna latarka.

Staliśmy u szczytu krętych schodów. Ostrożnie zerknęłam w ciemną przepaść ponad ich krawędzią. Chwyciłam pochodnię i zaczęłam schodzić. Usłyszałam z tyłu cichy szcęk. Drzwi zamknęły się, uniemożliwiając nam odwrót.

— Świetnie — wymamrotałam. — Wygląda na to, że o to, jak się stąd wydostać, będziemy się martwić później.

Ren spojrzał tylko na **mnie** i potarł łbem o moją nogę. Pogłaskałam go po karku i ruszyliśmy w dół. Ren siedł po wewnętrznej stronie schodów, dzięki czemu mogłam trzymać się ściany. Zazwyczaj nie mam lęku wysokości, ale tajemne przejście plus wąskie schody, ciemna przepaść i brak balustrady nieźle mnie przestraszyły. Rylam wdzięczna, że Ren wybrał bardziej niebezpieczną stronę.

Powoli schodziliśmy dalej. Rozbolała mnie ręka, więc przelożyłam ciężką pochodnię do drugiej, uważając, by nie nakapać na Rena gorącą oliwą.

W końcu dotarliśmy na dół. W powietrzu unosił się kurz. Ujrzelśmy kolejny ciemny korytarz. Ruszyliśmy przed siebie i już wkrótce stanęliśmy przed rozwidleniem dróg. Jęknęłam.

— Świetnie. Labirynt. Którędy teraz?

Ren wszedł w pierwszy korytarz i zaczął węszyć. W drugim uniósł leb i zrobił to samo. Wycofał się z powrotem do pierwszego i ruszył przed siebie. Ja również powąchałam powietrze, tylko po to, żeby sprawdzić, czy potrafię wyczuć to co on, ale jedyne, co poczułam, to ostry, niezdrowy odór, przypominający woń siarki, który wypełniał korytarz i zdawał się przybierać na sile za każdym kolejnym zakrętem.

Posuwaliśmy się naprzód w ciemnościach, raz po raz skręcając w podziemnym labiryncie. Pochodnia rzuciła na ściany migotliwe światło, w którym upiorne cienie tańczyły w złowieszczych kręgach. Maszerując tym przypominającym grobowiec labiryntem, co chwila natrafialiśmy na kolejne rozstaje dróg. Ren musiał przystawać i węszyć w każdym przejściu, po czym wybierał to, które jego zdaniem prowadziło nas we właściwym kierunku.

Wkrótce po tym, jak minęliśmy jeden z takich rozstajów, korytarzem zatrząsł przerażający metaliczny stukot i żelazna brama, zaopatrzona u dołu w ostre kolce, opadła z głośnym trzaskiem tuż za mną. Obróciłam się szybko i wrzasnęłam ze strachu. Nie dość, że znajdowaliśmy się w ciemnym starożytnym labiryncie, to jeszcze, jak się okazało, był on pełen pułapek.

Ren zajął pozycję obok mnie i trzymał się tak blisko, że mogłam położyć mu rękę na karku. Zatopiłam palce w jego futrze i mocno je zacisnęłam, by dodać sobie odwagi. Trzy zakręty później usłyszałam cichy szum dochodzący z jednego z korytarzy przed nami. Im dalej szliśmy, tym szum robił się głośniejszy. Gdy skręciliśmy po raz kolejny, Ren przystanął i spojrzał prosto przed siebie. Sierść mu się zjeżyła i zachrzęściła mi w palcach. Uniosłam pochodnię, by sprawdzić, czemu się zatrzymał. To, co zobaczyłam, sprawiło, że mocno się go złapałam, a moje ciało przeszedł głęboki dreszcz.

Korytarz przed nami się ruszał. Ogromne czarne chrząszcze, wielkie jak piłki baseballowe, laziły leniwie jeden po drugim, zapelniając każdą możliwą powierzchnię

— Ren, jesteś pewien, że musimy iść właśnie tędy? Ten drugi korytarz wygląda trochę lepiej...

Ren zrobił krok w kierunku przejścia. Niechętnie podążyłam za nim. Chrząszcze miały lśniące czarne pancerze, po sześć włochatych odnóży, rozedrgane czulki, a z przodu spiczaste żuwaczki, szczękające jak ostre nożyce. Niektóre rozkładały twarde czarne skrzydła i z ciężkim bzyczeniem przelatwały ze ściany na ścianę. Inne tkwiły przyczepione kolczastymi odnóżami do sufitu.

Spojrzałam na Rena i głośno przelknęłam ślinę, gdy ruszył do przodu, zdeterminowany, by przejść przez korytarz. Odwzajemnił moje spojrzenie.

— No dobrze, Ren. Zrobię to. Ale wiedz, że naprawdę, n a p r a w d ę się boję. Mam zamiar biec przez całą drogę, więc nie spodziewaj się, że na ciebie zaczekam.

Cofnęłam się o kilka kroków, mocniej ścisnęłam w dłoni pochodnię i puściłam się sprintem. Mrużąc powieki, biegłam z zaciśniętymi ustami i głośnym gardłowym krzykiem. Przemknęłam przez korytarz tak szybko, jak się tylko dało, i kilka razy niemal straciłam równowagę, pośliznąwszy się na kilku chrząszczach naraz. Przez głowę przemknęła mi okropna wizja upadku twarzą prosto w stado robali. Postanowiłam uważniej stawiać stopy. Czulałam się, jakbym biegła po wielkiej płachcie ochronnej folii z pęcherzykami powietrza. Rozgniatane chrząszcze pękały jak saszetki z keczupem, tryskając na wszystkie strony oślizłą zieloną mazią. To, oczywiście, zakłócało spokój pozostałych robali, które wzbijały się w powietrze i klębiły wokół mnie, obsiadając moje ubranie i włosy. Odganiałam je z twarzy wolną ręką, a one kludy mnie ostrymi żuwaczkami.

Gdy w końcu dotarłam na drugą stronę korytarza, zaczęłam otrząsać się histerycznie, by pozbyć się ewentualnych pasażerów na gapę. Musiałam chwycić palcami kilka chrząszczy, które nie chciały się odczepić, w tym jednego, który laził mi po włosach. Potem zaczęłam ocierać buty o ścianę, by zeskrobać z nich szczątki robali, i rozejrzałam się w poszukiwaniu Rena.

Biegł szybko przez ruszający się, bzycający korytarz, aż w końcu jednym długim susem znalazł się przy mnie, otrząsając się gwałtownie. Kilka chrząszczy wciąż siedziało mu na futrze i musiałam zepchnąć je trzonkiem pochodni. Jeden z robali uszczypnął go w ucho tak, że zaczęło krwawić. Na szczęście dla mnie żaden nie ugryzł mnie aż tak mocno.

— Coś mi się wydaje, że ubranie pomaga w takiej sytuacji. Wbijają się w materiał zamiast w skórę. Biedny tygrysie. Masz na łapach pełno rozgniecionych robali. Faj! Ja przynajmniej mogłam biec w butach.

Ren wytrzymał po kolei wszystkie cztery łapy, a ja pomogłam mu wydłubać resztki martwych chrząszczy spomiędzy palców. Otrząsnąwszy się po raz ostatni, przyspieszyłam kroku, by oddalić się od robactwa tak szybko, jak się tylko dało.

Jakieś dziesięć zakrętów później nastąpiłam na kamień, który zapadł się w ziemię. Zamarłszy w bezruchu, czekałam na atak kolejnej pulapki. Ściany się zatrzęsły i nagle z obu stron zaczęły się wylaniać ostre metalowe kolce. Jęknęłam. Sytuację pogarszał jeszcze śliski czarny olej, który wyciekał z kamiennych rurek i powoli zalewał podłoże.

Ren przybrał ludzką postać.

— Kelsey, na kopcach jest trucizna. Czuję ją. Trzymaj się środka korytarza. Wystarczy nam miejsca, żeby przejść, ale nie pozwól, żeby te szpikulce choćby cię zadrapały.

— A co jeśli się pośliznę?

— Trzymaj się mocno mojego futra. Użyj pazurów jak kotwic i będziemy szli powoli. Tym razem nie możesz się spieszyć.

Wypowiedziawszy te słowa, zmienił się z powrotem w tygrysa. Poprawiłam plecak i mocno złapałam Rena za kark. Ren ostrożnie zrobił krok na zalane olejem podłoże, najpierw na próbę wysuwając do przodu jedną łapę. Łapa lekko się obsunęła, wyciągnął więc pazury. Zaparł się i zrobił kolejny krok, wbijając w ziemię pazury drugiej łapy, po czym musiał mocno szarpnąć pierwszą, żeby przesunąć ją do przodu.

Był to żmudny i mozolny proces. Zabójcze kolce rozmieszczone były nieregularnie, przez co nie mogłam nawet pomóc sobie rytmicznym krokiem. Musiałam koncentrować na nich całą uwagę. Jeden sterczał tuż przy mojej lydce, inny przy szyi, kolejne przy głowie i brzuchu. Zaczęłam je liczyć, ale po pięćdziesiątym zrezygnowałam.

Od napinania mięśni i sztywnego chodu cała się trzęsłam. Wystarczyłaby sekunda nieuwagi — jeden fałszywy krok i byłabym martwa.

Cieszyłam się, że Ren się nie spieszy, ponieważ ledwo starczyło miejsca na to, byśmy szli obok siebie. Między każdym z nas a ścianą było jakieś dwa i pół centymetra. Każdy krok stawiałam ostrożnie. Pot ściekał mi po twarzy. Mniej więcej w połowie drogi nagle wrzasnęłam. Musiałam postawić stopę w wyjątkowo śliskim miejscu, ponieważ obsunęła mi się noga. Kolano się zgięło, a ja się zachwiałam. Kolec wystawał na wysokości mojej klatki piersiowej, na szczęście w ostatniej chwili obróciłam się i szpikuliec wbil się w plecak zamiast w moje ramię. Ren znieruchomiał i cierpliwie zaczął, aż się wyprostuje.

Zdyszana i drżąca powoli wróciłam do poprzedniej pozycji. To, że nie nadziałam się na kolec, było prawdziwym cudem. Ren jęknął cicho. Poglaskalam go po grzbiecie.

— Wszystko w porządku — zapewniłam go.

Miałam szczęście, wielkie szczęście. Dalej posuwaliśmy się jeszcze wolniej, aż w końcu dotarliśmy do końca korytarza. Osunęłam się na ziemię i pomasaowałam zdrętwiały kark.

— Po tych kolecach robale nie wydają się już takie złe. Wolalabym chyba jeszcze raz mieć z nimi do czynienia.

Ren polizal mnie w rękę, a ja pogłaskałam go po głowie.

Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy dalej. Kilka kolejnych korytarzy przebyliśmy bez przygód. Właśnie zaczęłam rozluźniać się i tracić czujność, gdy znów rozległ się hałas i kolejna krata spadła z sufitu tuż za nami. Druga zaczęła opadać z przodu. Puściliśmy się biegiem, ale nie zdążyliśmy. Ren zdążyłby, ale nie chciał zostawić mnie z tyłu.

W ruchach nad naszymi głowami rozległ się głośny szum i sufit zaczął się rozsuwać. Chwilę później zwałił nas z nóg strumień wody, który zgasił pochodnię i szybko zaczął wypełniać korytarz. Gdy zdołałam się wreszcie podnieść, woda sięgała mi już do kolan. Gwałtownie odpięłam suwak w plecaku i zaczęłam macać na oślep. Wyciągnęłam długą fluorescencyjną paleczkę, potrząsnęłam nią tak, że płyn w środku zaczął świecić, zmieniając barwę futra Rena z białej w żółtą.

— Co robimy? Umiesz pływać? Ciebie zaleje najpierw!

Ren zmienił się w człowieka.

— Tygrysy potrafią pływać. Jako tygrys mogę wstrzymywać oddech dłużej niż jako człowiek.

Woda sięgała nam już do pasa. Ren szybko pociągnął mnie w stronę drzwi przed nami. Gdy do nich dotarliśmy, nie miałam już gruntu pod nogami. Ren zanurkował w poszukiwaniu jakiegokolwiek drogi ucieczki.

W końcu wynurzył głowę i zawołał:

— Na drzwiach jest kolejny znak pasujący do pieczęci! Spróbuj ją tam włożyć i przekręcić jak ostatnim razem!

Pokiwałam głową i wzięłam głęboki wdech. Zanurkowałam i zaczęłam macać drzwi w poszukiwaniu znaku. W końcu go znalazłam, ale kończyło mi się powietrze. Kopiać mocno, gdyż ciężki bagaż i pieczęć na szyi ciągnęły mnie w dół, usiłowałam się wynurzyć. Ren sięgnął ręką, złapał za plecak i mocnym szarpnięciem wyciągnął mnie na powierzchnię.

Byliśmy coraz bliżej sufitu. W każdej chwili groziło nam utonięcie. Wzięłam kilka głębokich oddechów.

— Dasz radę, Kells. Spróbuj jeszcze raz.

Znów zaczerpnęłam powietrza i zerwałam pieczęć z szyi. Ren puścił mój plecak i zanurkowałam. Przycisnęłam pieczęć do wglębenia i spróbowałam przekreślić to w jedną, to w drugą stronę. Nic z tego.

Ren zmienił się w tygrysa i już płynął w moim kierunku. Przeciłnął łapami wodę, a jej ruch nadawał mu wygląd jakiegoś straszliwego, białego, pręgowanego morskiego potwora z ostrymi, wyszczerzonymi zębami. Znów zaczynało brakować mi powietrza, wiedziałam jednak, że woda sięgnęła sufitu i nie mamy już wyjścia.

Spanikowałam i po głowie zaczęły mi krążyć najgorsze myśli. To tutaj umrę. Nigdy nikt nie znajdzie mojego ciała. Nikt nie urządzi mi pogrzebu. Ciekawe, jak się czuje tonąca osoba? To nie potrwa długo. Minutę albo dwie. Mój napuchnięty trup już zawsze będzie dryfował obok ciała Rena. Może te wstrętne robale dostaną się tu i zaczną mnie zjadać? Z jakiegoś powodu ta myśl przerażała mnie bardziej niż wizja śmierci. Ren może na dłużej wstrzymać oddech. Będzie patrzył, jak umieram. Ciekawe, jak się będzie czuł? Będzie żałował? Poczuje się winny?

Z całych sił walczyłam z desperackim odruchem popłynięcia w stronę powierzchni. Powierzchni już nie było. Nie było też powietrza. Bezsilna i przerażona, wałęnałem pięścią w pieczęć i poczułam jakiś delikatny ruch. Uderzyłam jeszcze raz, mocniej, i poczułam wzburzenie wody. Drzwi wreszcie zaczęły się podnosić, a pieczęć wypadła z zagłębienia.

Rozpaczliwie szarpnęłam ręką i udało mi się schwycić wstążkę pomiędzy dwa palce, gdy woda zaczęła wylewać się przez drzwi, porywając nas ze sobą.

Strumień wyrzucił nas w kolejny korytarz i zniknął w odpływach, pozostawiając mokre i błotniste podłoże. Zachłysnęłam się i zaczęłam kasłać, gwałtownie łapiąc powietrze. Nawet pozbawiona tchu, zdołałam się roześmiać.

— Ren — zachichotałam, dławiąc się. — Wyglądasz jak... zmokłe kocię!

Ren najwyraźniej nie dostrzegł nic zabawnego w tej sytuacji. Prychnął, podszedł do mnie i otrzepał się jak pies, chlapiąc na wszystkie strony wodą i błotem. Futro sterczało mu jak mokre szpice.

— Hej! Wielkie dzięki! — fuknęłam. — Zresztą nie szkodzi, nadal uważam, że to zabawne.

Wyjęłam ubranie, zawiesiłam pieczęć na szyi i postanowiłam sprawdzić, czy woda nie dostała się do plecaka. Wyrzuciłam przesiąk-

niętą zawartość na ziemię. Przedmioty wypadły wprost w błotnistą kalużę, która bryznęła na moje mokre ciuchy. Poza przemoczonym jedzeniem, wszystko inne, również aparaty fotograficzne, wyglądało na nienaruszone dzięki zmysłowi przewidywania pana Kadama.

— Wprawdzie nie mamy co jeść, ale poza tym wszystko w porządku.

Niechętnie wyprostowałam się i włożyłam plecak. Było mi niewygodnie i mokro, więc przez następne dziesięć minut narzekałam wciąż pod nosem. Woda chlupała mi w butach, a przemoczone ciuchy obcierały ciało.

— Przynajmniej obmyło nas z robali i oleju — wymamrotałam.

Gdy światło fluorescencyjnej paleczki zgasło, wyciągnęłam latarkę i potrząsnęłam nią. Coś w niej zachlupotało, ale działała. Po kilku kolejnych zakrętach w lewo i prawo wkroczyliśmy w długi korytarz, dłuższy niż którykolwiek z poprzednich. Mniej więcej w połowie Ren zatrzymał się, a potem skoczył i gwałtownie zaczął popychać mnie do tyłu.

— Świetnie! Co tym razem? Skorpiony?

W tym momencie tunelem wstrząsnął głośny łomot. Piaszczysta ziemia, na której stałam, nagle zaczęła się zapadać. Zaczęłam gramolić się do tyłu, a tymczasem podłoże dalej załamywało się i osypywało w głęboką wyrwę. Nagle trzęsienie ziemi ustalo, podczołgałam się więc do krawędzi i spojrzałam w dół. Świecenie latarką w ciemną otchłań nie pomogło. Nie potrafiłam dojrzeć, jak głęboka jest dziura.

Bezsilna, krzyknęłam w głąb wylomu:

— Cudownie! Wydaje wam się, że jestem Indianą Jonesem? Muszę was rozczarować, nie mam pejcza w plecaku!

Jęknęłam i odwróciłam się do Rena. Wskazując na drugą stronę otchłani, powiedziałam:

— Zapewne właśnie w tym kierunku powinniśmy się udać, mam rację?

Ren pochylił leb i spojrzał w głębinę. Potem przeszedł się tam i z powrotem wzdłuż krawędzi, szukając przejścia, które prowadziłyby na drugą stronę. Usiadłam, opierając się o ścianę, i wyciągnęłam z plecaka butelkę wody. Napiłam się i zamknęłam oczy. Naraz poczułam na dłoni ciepły dotyk.

— Wszystko w porządku?

— Jeśli chodzi ci o to, czy jestem ranna, to nie, nie jestem. Nie jestem również niestety pewna własnego zdrowia psychicznego.

Ren zmarszczył brwi.

— Musimy jakoś przedostać się przez tę otchłań.

— Spróbuj, masz moje błogosławieństwo. — Machnęłam na niego ręką i dalej pilam wodę.

Ren podszedł do krawędzi i spojrzal na drugą stronę, oceniając odległość. Zmienił się z powrotem w tygrysa, zrobił kilka kroków w stronę, z której przyszliśmy, obrócił się i pędem ruszył w kierunku przepaści.

— Ren, nie! — wrzasnęłam.

Skoczył, bez trudu przeleciał nad wyrwą i wylądował lekko na przednich łapach. Potem podreptał o parę kroków dalej i dał susa w drugą stronę. Wylądował u moich stóp i znów przybrał ludzką postać.

— Mam pomysł, Kells.

— Och, koniecznie muszę to usłyszeć. Mam tylko nadzieję, że nie planujesz zaangażowania mnie w swój plan. Aa. Niech zgadnę. Już wiem. Chcesz przywiązać sobie linę do ogona, przeskoczyć, odwiązać ją, a następnie poprosić mnie, bym przeciągnęła się po niej na drugą stronę, zgadza się?

Ren przekrzywił głowę, jakby poważnie się nad tym zastanawiał, a potem zaprzeczył.

— Nie, nie masz na to wystarczająco dużo siły. Poza tym nie mamy liny ani niczego, do czego moglibyśmy ją przymocować.

— Racja. W takim razie jaki jest plan?

Trzymając mnie za ręce, wyjaśnił:

— Moja propozycja jest o wiele prostsza. Ufasz mi?

Zrobiło mi się niedobrze.

— Ufam. Tylko... — Spojrzałam w jego zatroskane błękitne oczy i westchnęłam. — No dobrze, co mam zrobić?

— Widziałas, że jako tygrys spokojnie przeskoczyłem na drugą stronę, prawda? Chciałbym więc, żebyś stanęła nad samą krawędzią i zaczęła na mnie. Pobiegnę do końca tunelu, nabiorę prędkości i skoczę jako tygrys. Chciałbym, żebyś w tym samym momencie również skoczyła i złapała mnie za szyję. W powietrzu zmienię się w człowieka, złapię cię i razem wylądujemy po drugiej stronie.

Prychnęłam głośno i roześmiałam się.

— Żartujesz, prawda?

Mój sceptycyzm nie zrobił na nim wrażenia.

— Będziemy musieli dobrze się zgrać w czasie, a ty musisz skoczyć dokładnie w tym samym kierunku, bo w przeciwnym razie uderzę w ciebie z całej siły i spadniemy oboje.

— Mówisz poważnie? Naprawdę chcesz, żebym to zrobiła?

— Owszem, mówię poważnie. Chodź. Stań tutaj, a ja zrobię kilka prób.

— Nie możemy po prostu znaleźć innego korytarza albo coś w tym stylu?

— Nie ma innego korytarza. To jest właściwa droga.

Niechętnie stanęłam nieopodal krawędzi. Obserwując rytm jego biegu i skoków, zaczęłam pojmować, czego ode mnie oczekuje. Nie minęło wiele czasu — a wręcz minęło go zdecydowanie zbyt mało — gdy Ren z powrotem stanął przede mną.

— Nie wierzę, że mnie do tego namówiłeś. Jesteś pewien? — spytałam.

— Tak. Jestem pewien. Gotowa?

— Nie! Daj mi chwilę, napiszę chociaż w myślach testament.

— Kells, wszystko będzie dobrze.

— Na pewno. No dobrze, pozwól, że wszystkiemu dobrze się przyjrzę. Chcę być w stanie spisać każdą minutę tego doświadczenia w pamiętniku. Oczywiście prawdopodobnie nigdy do tego nie dojdzie, ponieważ i tak za chwilę zginę.

Ren położył mi dłoń na policzku, spojrzał mi w oczy i z żarem powiedział:

— Kelsey, zaufaj mi. Nie pozwolę, żebyś spadła.

Pokiwałam głową, zacięsniałam szelki plecaka i nerwowo podeszłam do krawędzi otchłani. Ren zmienił się w tygrysa i pobiegł do końca tunelu. Przyczaił się, po czym pędem ruszył przed siebie. Ogromne zwierzę gnało prosto na mnie i wszystkie instynkty nakazywały mi ucieczkę, tak szybko, jak się tylko da. Strach przed ziejącym w ziemi wylotem za moimi plecami okazał się pestką w porównaniu z wizją stratowania mnie przez stworzenie tych rozmiarów.

Już miałam zacisnąć powieki z przerażenia, ale wzięłam się w garść i dosłownie w ostatniej chwili przebiegłam dwa kroki, po czym rzuciłam się w otchłań. Dokładnie w tym samym momencie Ren dał ogromnego susa, a ja wyciągnęłam ramiona i chwyciłam go za szyję.

Rozpaczliwie zaciskałam palce na jego futrze, mając wrażenie, że spadam, aż poczułam ramiona obejmujące mnie w pasie. Ren mocno przyciągnął mnie do muskularnego torsu i przekreślił się w powietrzu tak, że znalazł się pode mną. Grzmotnęliśmy glucho o ziemię po drugiej stronie przepaści, tak mocno, że aż zaparło mi

dech, po czym przez chwilę, obijając się o podłoże, pojechaliśmy na plecach Rena do przodu.

Wciągnęłam głęboki haust powietrza w poobijane płuca. Gdy już odzyskałam oddech, przyjrzałam się plecom Rena. Miał brudną, podartą koszulę, a podrapane ciało w kilku miejscach krwawiło. Wyciągnęłam z torby mokrą koszulkę i oczyściłam jego rany, wydlubując ziarenka żwiru, które powbijały mu się w skórę.

Gdy skończyłam, objęłam go w pasie w żarliwym uścisku. On otoczył mnie ramionami i przyciągnął mocno do siebie. Cicho, lecz stanowczo wyszeptałam wprost w jego pierś:

— Dziękuję ci. Ale nigdy, przenigdy więcej tego nie rób!

Roześmiał się.

— Jeśli to ma się tak kończyć, z pewnością kiedyś to powtórzę.

— Tylko spróbuj!

Puścił mnie niechętnie, a ja zaczęłam mamrotać pod nosem, narzekając na tygrysy, facetów i chrząszcze. Ren wydawał się szalenie zadowolony z tego, że przetrwał śmiertelnie niebezpieczną przygodę. Niemal słyszałam, jak nuci pod nosem: udało mi się, wygrałem, jestem mężczyzną i tak dalej, i tak dalej. Uśmiechnęłam się drwiąco. Faceci! Nieważne, z którego stulecia pochodzą, wszyscy są tacy sami.

Sprawdziłam, czy nadal mam wszystko, czego potrzebuję, i znów wyciągnęłam latarkę. Ren zmienił się w tygrysa i zajął pozycję z przodu.

Przebyliśmy kilka kolejnych korytarzy, aż natrafiliśmy na pozbawione klamki drzwi, pokryte tajemniczymi symbolami. Po prawej stronie, mniej więcej na dwóch trzecich wysokości, widniał ślad dłoni pokryty znakami podobnymi do tych na mojej ręce. Spojrzałam na swoją dłoń i obróciłam ją. Symbole na drzwiach były lustrzanym odbiciem tych wyrysowanych przez szamana.

— Pasują do malunków Pheta!

Położyłam rękę na zimnych kamiennych drzwiach, dopasowałam do obrazków i poczułam ciepłe mrowienie. Cofnęłam dłoń i spojrzałam na jej wewnętrzną stronę. Symbole jarzyły się jasnoczerwonym światłem, ale, co dziwne, nie czułam bólu. Przybliżyłam rękę do drzwi. Ciepło się wzmogło.

Gdy przysuwałam rękę, pomiędzy moją dłonią a drzwiami zaczęły tryskać iskry. Wyglądało to jak miniaturowa burza z piorunami. Położyłam rękę na kamiennej powierzchni i poczułam ruch.

Drzwi otwarły się do wewnątrz, jak gdyby ciągnięte przez niewidzialne dłonie. Weszliśmy do dużej groty, rozjaśnionej stłumionym

światłem bijącym od fosforyzujących porostów na kamiennych ścianach. W centrum znajdował się wysoki prostokątny monolit, a przed nim stał nieduży kamienny słupek. Gdy otarłam słupek z kurzu, moim oczom ukazała się para odcisków dłoni — prawy i lewy. Prawy wyglądał tak samo jak ten napotkany wcześniej na drzwiach, a na lewym widniały identyczne znaki jak na wierzchu mojej prawej dłoni.

Spróbowałam przyłożyć obie dłonie do słupka, ale nic się nie wydarzyło. Położyłam prawą dłoń wierzchem do przodu na lewym odcisku. Symbole znów rozjarzyły się czerwienią. Obróciłam dłoń i przycisnęłam ją spodem do prawego odcisku i tym razem poczułam coś więcej niż ciepłe mrowienie. Coś zaiskrzyło, trzasnęło i ciepło z mojej dłoni zaczęło przepływać w głąb kamienia.

U wierzchołka monolitu usłyszałam głębokie dudnienie, a potem coś w rodzaju głośnego, mokrego młażnięcia. Złocisty płyn zaczął wydobywać się z kamiennej bryły, spływać po jej czterech bokach i gromadzić się w misie u dołu. Roztwór najwyraźniej reagował z czymś na powierzchni kamienia. Z monolitu z sykiem zaczęła wydobywać się para, a płyn pienił się, bulgotał i musował.

W końcu syk ucichł, para rozplynęła się w powietrzu, a ja wydałam stłumiony okrzyk. Na wszystkich czterech bokach monolitu pojawiły się symbole, których wcześniej z pewnością tam nie było.

— To chyba to, Ren. Przepowiednia Durgi!

Wyciągnęłam z plecaka aparat cyfrowy i zaczęłam fotografować monolit. Potem dodatkowo zrobiłam jeszcze kilka zdjęć jednorazówką. Następnie chwyciłam papier i za pomocą kawałka węgla zrobiłam odbitki odcisków dłoni z kamiennego słupka oraz drzwi. Musiałam wszystko udokumentować, żeby pan Kadam mógł później odszyfrować tajemnicze znaki.

Chodziłam wokół monolitu, starając się odgadnąć znaczenie niektórych symboli, gdy usłyszałam krótki skowyt Rena. Zobaczyłam, jak podnosi łapę, a potem ostrożnie stawia ją z powrotem na ziemi. Złocisty kwas wylewał się z misy wąskimi strumykami i płynął po kamiennej posadzce, wypełniając zagłębienia. Spojrzałam w dół i ujrzałam własne sznurowadło, parujące z sykiem w niedużej złotej kałuży.

Oboje zeskoczyliśmy z kamiennej posadzki wokół monolitu na ziemię, gdy labiryntem wstrząsnął kolejny grzmot. Z wysokiego sufitu zaczęły spadać kawałki skały, rozbijając się o kamienną podłogę.

Ren popchnął mnie w stronę ściany, gdzie skuliłam się i zakryłam ramionami głowę. Wstrząsy były coraz mocniejsze i nagle z ogłuszającym trzaskiem, monolit pękł na dwie części. Z łomotem upadł na podłogę i rozleciał się na spore bryły. Złocisty kwas wykipiał z rozbitej misy i zaczął rozprzestrzeniać się po posadzce, powoli niszcząc kamienne podłoże i wszystko, co napotkał na swej drodze.

Kwas powoli zbliżał się do nas i wydawało się, że nie ma już ucieczki. Ren wstał i zaczął węszyć, po czym oddalił się ode mnie o kilka kroków. Stał na tylnych łapach, oparł się pazurami o ścianę i zaczął drapać z furią.

Zbliżywszy się, dostrzegłam, że wydrapał dziurę w ścianie — po drugiej stronie widać było gwiazdy! Pomogłam mu kopać i odrzucałam kawałki skały, aż otwór był na tyle duży, że Ren mógł przezeń wyskoczyć. Gdy znalazł się po drugiej stronie, rzuciłam mu plecak i sama zaczęłam przeciskać się przez dziurę, aż wypadłam na zewnątrz i przeturlałam się kawałek po ziemi.

W tym momencie ogromny głaz z głośnym hukiem opadł z sufitu pieczary, zatykając otwór. Wstrząsy były coraz wolniejsze, aż w końcu ustaly. Ciemna dżungla, w której się znaleźliśmy, pogrążyła się w ciszy, a wypełniający powietrze lekki, drobny pył osiadł na naszych twarzach i ubraniach.

PRZEPOWIEDNIA DURGI



Wstałam powoli, otrzepałam ręce z kurzu i odnalazłam latarkę. Poczulałam dłoń Rena na ramieniu. Obrócił mnie dookoła i obejrzał ze wszystkich stron.

— Kelsey, wszystko w porządku? Nic ci się nie stało?

— Nie, nic mi nie jest. Skończyliśmy już? Jaskinia Kanheri była super i w ogóle, ale chciałabym już iść do domu.

— Tak — zgodził się Ren. — Wracajmy do samochodu. Trzymaj się blisko mnie. Zwierzęta, które spały, gdy szliśmy do jaskini, teraz zbudziły się i wyszły na polowanie. Musimy uważać. — Ścisnął mnie za ramię, zmienił się z powrotem w tygrysa i ruszył w stronę drzew.

Wyglądało na to, że jesteśmy po drugiej stronie jaskini, jakieś osiemset metrów od niej, u stóp stromego wzgórza. Ren poprowadził mnie wokół niego, do kamiennych stopni, spod których wyruszyliśmy wiele godzin temu.

Właściwie lepiej szło mi się przez dżunglę w ciemnościach, ponieważ nie widziałam wszystkich tych strasznych stworzeń, które z pewnością nas obserwowały. Po mniej więcej półtorej godzinie przestałam się nimi przejmować. Byłam okropnie zmęczona. Powieki ciążyły mi i z trudnością utrzymywałam nogi w ruchu.

Ziewając chyba już setny raz, znów spytałam:

— Daleko jeszcze?

Ren w odpowiedzi wydal z siebie cichy pomruk, a potem gwałtownie przystanął, opuścił leb i zaczął wpatrywać się w ciemność.

Zmienił się w człowieka i szepnął, ze wzrokiem wbitym w gęstwinę:

— Coś nas ściga. Na mój sygnał biegnij w tamtą stronę i nie zatrzymuj się... biegnij!

Wskazał w lewo i pod postacią tygrysa dał susa w dżunglę. Wkrótce usłyszałam przeraźliwy, zatrważający ryk, który wstrząsnął koronami drzew. Mimo zmęczenia wielkim wysiłkiem woli puściłam się pędem. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem ani dokąd biegnę, ale starałam się trzymać kierunku, który wskazał Ren.

Pędziłam tali przez mniej więcej piętnaście minut, aż w końcu zwolniłam. Ciężko dysząc, zatrzymałam się i zaczęłam nasłuchiwać.

Usłyszałam odgłosy walki kotów, wielkich kotów. Dochodziły z odległości ponad półtora kilometra, ale były bardzo głośne. Inne zwierzęta ucichły. Najwyraźniej one też słuchały.

Ciężkie pomruki i ryki odbijały się echem pośród drzew. Brzmiało to wręcz, jakby walczyło więcej niż dwoje zwierząt, i zaczęłam martwić się o Rena. Ruszyłam przed siebie i szłam jeszcze przez piętnaście minut, uważnie nasłuchując i usiłując wyodrębnić dźwięki wydawane przez Rena spośród pozostałych. Nagle zapadła śmiertelna cisza.

Odpędził je? Jest bezpieczny? Może powinnam wrócić i mu pomóc?

Nad moją głową nietoperze przefruwały z furkotem w świetle księżycy, a ja szybko ruszyłam z powrotem. Po jakichś czterystu metrach drogi w kierunku, który — miałam nadzieję — był właściwy, usłyszałam trzask oraz szelest gałęzi w zaroślach i ujrzałam parę żółtych ślepi wpatrujących się we mnie z ciemności.

- Ren? To ty?

Z krzaków wylonil się jakiś kształt i przyczaił się, wciąż mnie obserwując. To nie był Ren.

Czarna pantera śmiało patrzyła mi w oczy, oceniając najwyraźniej moje możliwości obrony. Nie poruszyłam się. Byłam pewna, że przy najmniejszym drgnięciu zwierz skoczyłby natychmiast. Stałam maksymalnie wyprostowana, z nadzieją, że wyglądam na coś zbyt dużego, by można to zjeść.

Przez minutę obserwowałyśmy się nawzajem. Nagle pantera skoczyła. W jednej chwili wymachiwała ogonem, nisko przyczajona, a już w następnej leciała wprost na mnie, wyciągając przed siebie ostre pazury, lśniące w świetle księżycy.

Stałam jak skamieniała i patrzyłam na zakrzywione pazury i wyszczerzone zęby coraz bardziej przybliżające się do mojej twarzy

i szyi. Wrzasnęłam, zasloniłam głowę i czekałam, aż kły i pazury rozerwą mi gardło.

Usłyszałam ryk i poczułam nagły podmuch powietrza na twarzy, a potem... nic. Otworzyłam oczy i obróciłam się w poszukiwaniu pantery.

Co się stało?

Pomiędzy drzewami przetoczyła się skłębiona płatanina czerni i bieli. Ren przybył mi na ratunek! Zaatakował panterę w powietrzu i odepchnął ją ode mnie. Pantera warczała na Rena, przez chwilę obchodząc go dookoła, ale on w odpowiedzi ryknął i wałnął ją uzbrojoną w pazury łapą po pysku. Pantera, nie chcąc mierzyć się z dwa razy większym przeciwnikiem, warknęła i zniknęła w dżungli.

Biały kształt w czarne pręgi, kulejąc, wyłonił się z ciemnych zarośli. Cały grzbiet Rena pokrywały krwawe zadrapania. Prawą łapę miał uszkodzoną, może nawet złamaną. Tylko na krótką chwilę zmienił się w człowieka i upadł, dysząc, u moich stóp. Wyciągnął do mnie rękę.

— Nic ci nie jest? — spytał.

Kucnęłam przy nim i mocno objęłam go za szyję. Poczułam ulgę, że oboje przeżyliśmy.

— Wszystko w porządku. Dziękuję, że mnie uratowałeś. Tak się cieszę, że jesteś już bezpieczny. Możesz chodzić?

Ren pokiwał głową, uśmiechnął się do mnie słabo i z powrotem zmienił się w tygrysa. Polizal się po łapie, pociągnął nosem i ruszył do przodu.

— No dobrze. W takim razie chodźmy. Jestem tuż za tobą.

Po godzinie marszu dotarliśmy do jeepa. Zbyt zmęczeni, by zrobić cokolwiek innego, wypiliśmy po kilka litrów wody, a potem rozłożyłam tylne siedzenie i oboje wdrapaliśmy się do środka. Zapadłam w głęboki sen, obejmując Rena ramieniem.



Niestety zbyt szybko weszło słońce i samochód zaczął się nagrzewać. Obudziłam się cała spocona. Całe moje ciało było obolale i brudne. Ren również był wyczerpany i nadal senny, ale jego zadrapania nie wyglądały najgorzej. Właściwie ze zdumieniem stwierdziłam, że prawie się zagoiły. Język miałam sztywny i pokryty nalotem, a na dodatek męczył mnie potworny ból głowy.

Usiadłam z jękiem.

— Ech, czuję się strasznie, a nie musiałam przecież walczyć z pante-
rą. Jedyne, o czym marzę, to prysznic i miękkie łóżko. Jedźmy do domu.

Sięgnęłam do plecaka, sprawdziłam, czy mam aparaty i sporządzone węglem odbitki, po czym zabezpieczyłam wszystko i wyjechałam jeepem na drogę, włączając się w poranny ruch.

Gdy dojechalśmy na miejsce, pan Kadam wybiegł nam na spotkanie i natychmiast zasypał mnie gradem pytań. Wręczyłam mu plecak i nieprzytomna jak zombie powlokłam się do domu, mamrocząc:

— Pod prysznic i spać.

Weszłam na górę, ściągnęłam brudne ubranie i wlałam pod prysznic. Niemal zasnęłam pod strumieniem letniej wody, która bębniła mi po plecach, masując bolące miejsca i obmywając mnie z zaschniętego potu i błota. Resztkami sił zmusiłam się do wypłukania włosów, a potem z trudem wywleklam się z kabiny i wytarłam do sucha. Włożyłam piżamę i padłam do łóżka.

Mniej więcej dwanaście godzin później obudziłam się i, ujrawszy obok łóżka tacę z przykryciem, stwierdziłam, że umieram z głodu. Pan Kadam przeszedł samego siebie. Sterta puszystych naleśników leżała obok półmiska z plasterkami banana, truskawkami i jagodami. Poza tym na tacy dostrzegłam syrop truskawkowy, miseczkę jogurtu i kubek gorącej czekolady. Rzuciłam się na jedzenie. Pochłonęłam przepyszne naleśniki co do jednego, a potem wzięłam czekoladę i wyszłam na werandę. Zanotowałam w myślach, że muszę podziękować panu Kadamowi za to, jaki jest cudowny.

Był środek nocy i na zewnątrz panował chłód, usadowiłam się więc na przytulnym leżaku, otuliłam pledem babci i powoli sączyłam czekoladę. Delikatny wietrzyk rozwiewał mi włosy, które zasłoniły twarz, a gdy je odgarnęłam, ze zgrozą uświadomiłam sobie, że ze zmęczenia zapomniałam rozczesać je po kąpieli. Odnalazłam w pokoju szczotkę i wróciłam na wygodny fotel.

Moje włosy zazwyczaj nie dawały się łatwo rozczesać, nawet na mokro. To, że pozwoliłam, by nierozczesane wyschły, było fatalną pomyłką. Miałam teraz mnóstwo kołtunów, z którymi męczyłam się bezskutecznie, kiedy drzwi po drugiej stronie werandy otworzyły się i wyszedł z nich Ren. Pisnęłam przestraszona i schowałam się za włosami. Świetnie, Kells.

Wciąż był boso, ale miał na sobie spodnie khaki i błękitną jak niebo koszulę, która idealnie pasowała do barwy jego oczu. Efekt był magnetyczny. Ja zaś byłam ubrana we flanelową piżamę, a na głowie miałam jedną wielką strzechę.

Ren usiadł naprzeciwko mnie i powiedział:

— Dobry wieczór, Kelsey. Dobrze spałaś?

— Tak. A ty?

Rzucił mi zniewalający śnieżnobiały uśmiech i lekko skinął głową.

— Kiepsko ci idzie, co? — spytał, z rozbawieniem obserwując, jak usiłuję rozplatać uparte kołtuny.

— Nie. Wszystko pod kontrolą. — Pragnęłam odwrócić jego uwagę od moich włosów, spytałam więc: — Jak twoje plecy i... chyba ręka, prawda?

Uśmiechnął się.

— W najlepszym porządku. Dziękuję ci za troskę.

— Ren, czemu nie jesteś ubrany na biało? Nigdy nie widziałam cię w innym kolorze. Czy to dlatego, że twoja biała koszula się podarła?

— Nie — odparł. — Po prostu chciałem się inaczej ubrać. Kiedy zmieniam się w tygrysa, a potem z powrotem w człowieka, zawsze jestem w białym stroju. Gdybym to teraz zrobił, rzeczy, które mam na sobie, zostałyby zastąpione przez tamte stare, białe.

— A czy twój biały strój pozostałby podarty i poplamiony krwią?

— Nie. Rylby znów czysty i w całości.

— Ha. To masz szczęście. Byłoby dość niezręcznie, gdybyś za każdym razem kończył nago. — Ugryzłam się w język, gdy tylko wypowiedziałam te słowa, po czym oblalam się rumieńcem. Świetnie, Kells. Po prostu znakomicie. Spróbowałam zatuszować swą werbalną gafę, zakrywając twarz włosami i energicznie tarmosząc je szczotką.

Ren uśmiechnął się.

— Rzeczywiście. Mam szczęście.

Szarpnęłam kołtun i skrzywiłam się.

— To rodzi kolejne pytanie... — zaczęłam. Ren wstał i odebrał mi szczotkę. — Co... co ty robisz? — spytałam, jękając się.

— Spokojnie. Jesteś zbyt nerwowa.

Nie masz pojęcia.

Ren stanął za mną, podniósł pasmo włosów i zaczął rozczesywać je delikatnie. Na początku byłam spięta, ale dotyk jego dłoni w moich włosach był tak ciepły i kojący, że wkrótce się rozluźniłam, zamknęłam oczy i odchyliłam głowę.

Po minucie czesania Ren odgarnął mi kosmyk z karku, nachylił się nad moim uchem i wyszeptal:

— O co chciałaś mnie zapytać?

Aż podskoczyłam.

— Co? — wymamrotałam, zakłopotana.

— Chciałaś zadać mi jakieś pytanie.

— Ach, tak. Chodziło mi o to, że... to bardzo mile.

Naprawdę powiedziałam to na głos? Najwyraźniej tak.

Ren roześmiał się cicho.

— To nie pytanie. Czy chciałaś dowiedzieć się czegoś o moich przemianach?

— Och, tak. Już pamiętam. Możesz zmieniać się kilka razy dziennie, prawda? Jest jakiś limit?

— Nie. Żadnego limitu pod warunkiem, że nie pozostanę człowiekiem dłużej niż dwadzieścia cztery minuty na dobę. — Ren zabrał się do rozczesywania kolejnego pasma. — Jeszcze jakieś pytania?

— Tak... o tamten labirynt. Szedłeś za zapachem, ale ja czułam tylko wstrętny siarczany odór. Czy to właśnie była ta woń?

— Nie. Podążałem za zapachem lotosu. To ulubiony kwiat Durgi, ten sam, który widnieje na Pieczęci Imperium. Domyśliłem się, że wyznacza właściwą trasę.

Ren skończył rozczesywać mi włosy, odłożył szczotkę i zaczął delikatnie masować mi ramiona. Znów się spięłam, ale jego dłonie były takie ciepłe, a masaż tak przyjemny, że po chwili usiadłam wygodnie i powoli poczułam, że się rozpływam.

Z krainy absolutnej błogości wymruczałam głęboko:

— Zapach lotosu? Ale jak go wyczuleś przez te inne paskudne fetory?

Ren dotknął mojego nosa opuszką palca.

— Dzięki tygrysiemu węchowi wyczuwam wiele rzeczy. — Ostatni raz ścisnął mnie za ramię i dodał: — No, Kelsey. Ubierz się. Czekam nas dużo pracy.

Obszedł fotel, stanął przede mną i wyciągnął dłoń. Dotknęłam jej i poczułam mrowiące elektryczne iskierki. Ren uśmiechnął się i ucałował mnie w koniuszki palców.

Wstrząśnięta, zapytałam:

— Też to poczuleś?

Indyjski książę mrugnął do mnie.

— Zdecydowanie.

Coś w sposobie, w jaki to powiedział, sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać, czy aby na pewno mamy to samo na myśli.



Ubrałam się i zesłam do biblioteki, gdzie zastałam pana Kadam, pochylonego nad dużym stołem, zawalonym książkami. Tygrys siedział obok niego na szerokim pufie.

Przystawiłam sobie krzesło i odsunęłam na bok dużą stertę książek, żeby zobaczyć, nad czym pracuje mój przyjaciel.

Pan Kadam przetarł zmęczone, czerwone oczy.

— Czy pracuje pan, odkąd wróciliśmy?

— Tak. To jest pasjonujące! Przetłumaczyłem już napis z wykonanych przez panią węglem odbitek, a teraz siedzę nad fotografiami symboli z monolitu. — Odnalazł na stole kartkę i przysunął mi ją, bym mogła odczytać przekład.

दून्धना नवदुर्गा पारितोषिकं

Dhundhana nawadurga Paritoszika

Szukaj Nagrody Durgi

चत्वारि भेन्ता पञ्च बलिदानं देना

Čatwari bhenta pańca balidana dena

Cztery dary, pięć ofiar

एक रूपान्तरं

Eka Rupantara

Jedna przemiana

पशु भवति (मानुषः) मानुष्य

Paśu phabana manuszja

Bestia staje się śmiertelna

— Naprawdę się pan uwinął! — stwierdziłam z podziwem. — Jak pan myśli, o co chodzi z tymi „czterema darami" i „pięcioma ofiarami"?

— Nie jestem pewien — odparł pan Kadam. — Ale prawdopodobnie znaczy to, że wasza wyprawa jeszcze się nie skończyła. Być może stoją przed wami kolejne zadania, które musicie wykonać, zanim złamiemy zaklęcie. Skończyłem tłumaczyć jeden z boków monolitu i okazało się, że musicie udać się w inne miejsce, by zdobyć

przedmiot, którzy złożycie Durdze w podarunku. Będziecie musieli odnaleźć cztery dary. Domyślam się, że każdy z nich jest wspomniany na jednym z boków monolitu. Obawiam się, że uczyniliście zaledwie pierwszy krok w swojej podróży

— No dobrze, w takim razie co jest napisane na pierwszym boku?

Pan Kadam podał mi kawałek papieru, pokryty jego starannym, wyraźnym pismem.

*Szukaj ochrony w świątyni,
Tam uzyskasz łaskę bogini.
Na zachód leży Kiszkinda,
Gdzie małpy rządzą ziemią —
Ich król ma na imię Hanuman —
Tam znajdziesz drzewo w kamieniu.
W górę czyha cierni rząd,
W dole zaś zguba się skrzy.
Skus się, a stony prąd
Porwie wybranka ci.
Na drodze staną strażnicy —
Widma upiorne i blade.
Uciekaj, bo ci zgotują
W rozkładzie gnijącym zagładę.
Ale dokona się cud,
Gdy wężę znajdą złoty skarb,
Co zaspokoi w Indiach głód.
Inaczej zguba czeka lud.*

— Proszę pana, kto to jest Hanuman?

— Sprawdziłem to — odparł pan Kadam. — Hanuman to małpi bóg. Mówi się, że panuje w Kiszkindzie, państwie zwanym też Królestwem Malp. Nie ma zgody co do tego, gdzie leży Kiszkinda, obecnie jednak większość znawców tematu uważa, że ruiny Hampi najprawdopodobniej znajdują się w starożytnej Kiszkindzie albo bardzo blisko niej.

Wyciągnął z jednej ze stert książkę pełną szczegółowych map, odnalazł w indeksie Hampi i wertował strony, aż doszedł do właściwej. Ruiny znajdowały się w dolnej części Indii, na południowym zachodzie.

— Czy to znaczy, że musimy tam jechać, poradzić sobie z bogiem-malpą i znaleźć „drzewo w kamieniu”?

— Wydaje mi się, że powinniście szukać zakazanego owocu.

— Takiego jak ten z opowieści o Adamie i Ewie?

Pan Kadam zastanowił się przez chwilę.

— Nie sądzę. Owoce często w przeróżnych mitologiach pełni funkcję nagrody, a także symbolizuje życie. Ludzie muszą jeść i dlatego jesteśmy zależni od owoców, które żywią nasze ciało. Owoce, a także plony, bywają czczone w różnych kulturach i na rozmaite sposoby.

— Tak! — zawołałam. — Amerykanie celebryją plony w Dzień Dziękczynienia, przygotowując róg obfitości. Czy w Indiach krążą jakieś legendy na temat słynnych owoców?

— Nie jestem pewien, panno Kelsey. Granat odgrywa ważną rolę w wielu indyjskich obrzędach, podobnie jak u Persów oraz Rzymian. Będę musiał bardziej się w to wglębić. Tak bez przygotowania nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

Pan Kadam uśmiechnął się i z powrotem wetknął nos w swoje tłumaczenia. Wzięłam ze stołu kilka książek o Indiach i usiadłam z poduszką w wygodnym fotelu. Ren zeskoczył z pufa i zwinął się w kłębek obok moich stóp, a właściwie na nich, grzejąc je przyjemnie, podczas gdy pan Kadam kontynuował pracę przy swoim biurku.

Przypomniały mi się godziny spędzane w bibliotece rodziców. Czulałam się swobodnie, siedząc, zrelaksowana, z dwójką nowych znajomych, nawet pomimo tego, że byli pod wpływem nadnaturalnych zjawisk. Wyciągnęłam rękę i podrapałam Rena za uchem. Zamruczał, zadowolony, ale nie otworzył oczu. Potem uśmiechnęłam się do pana Kadama, choć tego nie widział. Czulałam się szczęśliwa, jakby tutaj właśnie było moje miejsce. Odnalazłam w książce rozdział o Hanumanie i zaczęłam czytać.

„Hanuman to hinduskie bóstwo, uosobienie poświęcenia i wielkiej siły fizycznej. Służył swemu panu Ramie, wyprawiając się do Lanki w poszukiwaniu żony Ramy, Sity”.

Uff... za dużo imion.

„Odkrył, że Sita została porwana przez króla Lanki o imieniu Ravana. Rama i Ravana stoczyli wielką bitwę. Wtedy właśnie zachorował brat Ramy. Hanuman wyruszył w Himalaje, by znaleźć lekarstwo dla brata Ramy, nie potrafił jednak rozpoznać odpowiedniego zioła, wrócił więc z całą górą”.

Ciekawe, jak ją przeniósł. Mam nadzieję, że my nie będziemy musieli robić nic podobnego.

„Hanuman jest nieśmiertelny i niepokonany. Ma postać pół-człowieka, pół-malpy i jest szybszy oraz silniejszy od wszystkich innych

małp. Hanuman, syn boga wiatru, do dziś czczony jest przez wielu wyznawców hinduizmu, którzy śpiewają pieśni na jego cześć i co roku obchodzą jego urodziny".

— Silny małpolud, przynosi góry, śpiewają mu pieśni. Zapamiętam — wymamrotałam sennie.

Była ciepła noc i mimo że dopiero niedawno zbudziłam się z długiego snu, ogarnęło mnie znużenie. Odłożyłam książkę i, z Renem u stóp, zdrzemnęłam się na chwilę.



Przez większość następnego dnia chodziłam po domu najciszej, jak się dało, starając się nie zbudzić pana Kadama, który nie spał przecież całą noc.

Po południu pan Kadam odwiedził mnie na werandzie. Z uśmiechem usiadł naprzeciwko mnie.

— Jak sobie pani radzi, panno Kelsey? Odpowiedzialność musi pani ciążyć, zwłaszcza teraz, gdy już wiemy, że musicie odbyć kolejne podróże.

— Dziękuję za troskę, ale wszystko w porządku. Parę rozgniecionych robali jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Pan Kadam uśmiechnął się, ale za chwilę znowu spoważniał.

— Jeśli kiedykolwiek poczuje pani, że posuwamy się za daleko... ja... po prostu nie chcę narażać pani na niebezpieczeństwo. Stała się pani dla mnie bardzo ważną osobą.

— Naprawdę, niech pan się nie martwi. W końcu podobno urodziłam się właśnie po to, żeby wam pomóc, prawda? Poza tym Ren mnie potrzebuje. Jeśli mu nie pomogę, już na zawsze utkwę w ciele tygrysa.

Pan Kadam uśmiechnął się i poglaskał mnie po dłoni.

— Jest pani niezwykle odważną młodą damą. Od bardzo, bardzo dawna nie spotkałem tak szlachetnej osoby. Mam nadzieję, że Ren dostrzeże, jakim jest szczęściarzem.

Zaczerwieniłam się i przeniosłam wzrok w stronę basenu.

Pan Kadam mówił dalej.

— Dotąd udało mi się ustalić, że musimy teraz odbyć podróż do Hampi. To zdecydowanie zbyt daleko, byście mogli pojechać sami. Będę wam więc towarzyszył. Wyruszamy jutro o świcie. Chciałbym, żeby pani dziś już tylko odpoczywała. Mamy jeszcze przed sobą kilka godzin dnia. Proszę się zrelaksować. Popływać. Zrobić coś dla własnej przyjemności.

Gdy pan Kadam wyszedł, zastanowiłam się nad jego propozycją. Rzeczywiście, miło byłoby popływać.

Włożyłam kostium kąpielowy, starannie wysmarowałam się kremem z filtrem i zanurkowałam w chłodnej wodzie basenu.

Przepląnąłam kilka długości, a potem położyłam się na plecach i spoglądałam na wierzchołki palm, które górowały nad basenem, gdy ja leniwie dryfowałam w ich cieniu. Słońce wisiało tuż nad drzewami, ale powietrze było wciąż ciepłe i przyjemne. Usłyszałam jakiś odgłos z boku basenu i ujrzałam Rena, który leżał przy krawędzi, przypatrując się, jak pływam.

Zanurkowałam, podpłynęłam blisko i wynurzyłam się na powierzchnię.

— Hej, Ren! — Ze śmiechem ochlapałam go wodą.

Biały tygrys prychnął.

— No, dalej. Nie chcesz się bawić, co? W porządku, niech ci będzie.

Przepląnąłam jeszcze kilka długości, aż w końcu postanowiłam, że lepiej wyjdę już z wody — moje palce były pomarszczone jak suszone śliwki. Owinęłam się ręcznikiem i wróciłam do pokoju, żeby wziąć prysznic. Gdy wylonilam się z łazienki, Ren wylegiwał się na dywaniku. Na mojej poduszce leżała srebrzystoblękitna róża.

— To dla mnie?

Ren wydal z siebie tygrysi odgłos, który najwyraźniej oznaczał „tak”.

Przycisnęłam kwiat do nosa i głęboko wciągnęłam słodki zapach. Ułożyłam się na brzuchu i spojrzałam na tygrysa leżącego obok łóżka.

— Dziękuję, Ren. Jest piękna! — Pocałowałam go w czubek kudłatego łba, podrapałam za uszami i roześmiałam się, gdy zauważyłam, jak nastawia się z zadowoleniem. — Poczytać ci *Romea i Julię*?

Tygrys uniósł łapę i położył mi ją na nodze.

— Domyślam, się, że to oznacza „tak”. No dobrze, zobaczmy. Aha, Akt II, Scena III. Wchodzi ojciec Laurenty, a potem Romeo.

Skończyłam właśnie czytać scenę, w której Romeo zabija Tybalta, gdy usłyszałam głos Rena:

— Romeo był głupcem — stwierdził, nagle przybrawszy ludzką postać. — Popelnil wielki błąd, nie ogłaszając ich małżeństwa. Powinien był powiedzieć obu rodzinom. Utrzymywanie tego w sekrecie go zniszczyło. Takie tajemnice mogą doprowadzić do upadku każdego. Często mają bardziej niszczycielską moc niż miecz. — Wypowiedziawszy te słowa, umilkł i popadł w zadumę.

— Mam czytać dalej? — spytałam cicho.

Ren otrząsnął się z chwilowej melancholii i uśmiechnął się.

— Tak, proszę.

Zmieniłam pozycję, usiadłam, opierając się o wezłowie, z poduszką na podolku. Ren zmienił się w tygrysa i wskoczył na łóżko. Rozciągnął się na boku, w nogach ogromnego materaca.

Znów zaczęłam czytać. Za każdym razem, gdy dochodziłam do fragmentu, który mu się nie podobał, Ren wymachiwał ogonem z rozdrażnieniem.

— Przestań wreszcie! Łaskoczesz mnie w stopy!

Moje słowa zachęciły go tylko, by robić to częściej. Gdy doszłam do końca dramatu, zamknęłam książkę i zerknęłam na Rena, żeby sprawdzić, czy nie śpi. Nie spał, co więcej, znów miał ludzką postać. Nadal leżał na boku w nogach łóżka, podpierając ręką głowę.

— No i co o tym sądzisz? — spytałam. — Zaskoczyło cię zakończenie?

Ren zastanowił się przez chwilę.

— Tak i nie. Romeo przez cały czas podejmował złe decyzje. Bardziej martwił się o siebie niż o swoją żonę. Nie zasługiwał na nią.

— Naprawdę zakończenie tak bardzo ci przeszkadza? Większość ludzi skupia się na romantycznej części historii i tragedii polegającej na tym, że Romeo i Julia nie mogli być razem. Przykro mi, że ci się nie podobało.

Zamyślona twarz Rena rozjaśniła się.

— Wprost przeciwnie, bardzo mi się podobało. Nie miałem nikogo, z kim mógłbym rozmawiać o sztukach i poezji od... właściwie to od czasu, kiedy umarli moi rodzice. Kiedyś nawet sam pisałem wiersze.

— Mnie też brakuje kogoś, z kim mogłabym porozmawiać — przyznałam cicho.

Przystojną twarz Rena rozjaśnił pelen ciepła uśmiech, a ja nagle z całych sił skoncentrowałam się na jakiejś nitce na rękawie. Książkę zeskokczył z łóżka, ujął mnie za rękę i nisko się uklonił.

— Być może następnym razem przeczytam ci niektóre z moich wierszy. — Obrócił moją dłoń i na jej wewnętrznej stronie złożył delikatny, długi pocałunek. Oczy zamigotały mu wesoło. — Dobranoc, Kelsey.

Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi, a ja podciągnęłam pled pod samą brodę. Wciąż czułam delikatne mrowienie w miejscu, które pocałował. Jeszcze raz powąchałam różę, uśmiechnęłam się i wetknęłam ją do bukietu stojącego na toalecie.

Wierząc się pod pledem, westchnęłam z rozmarzeniem i zapadłam w sen.

13

WODOSPAD



Gdy obudziłam się następnego ranka, znalazłam przy drzwiach do połowy pełny plecak z liścikiem od pana Kadama. Na karteczce było napisane, żebym spakowała zapas ubrań na trzy, cztery dni, włącznie z kostiumem kąpielowym.

Kostium, który rozwiesiłam na noc, był już suchy. Wrzuciłam go do torby, dołożyłam ręcznik, na wierzchu ułożyłam resztę rzeczy i zesłam z plecakiem na dół.

Pan Kadam i Ren siedzieli już w jeepie. Pan Kadam wręczył mi batonik muesli i butelkę soku. Ruszył, gdy tylko zapięłam pas.

— Skąd ten pośpiech? — spytałam.

— Ren chce pojechać okrężną drogą i zrobić przystanek w pewnym miejscu. Plan jest taki, że zostawię was tam, wrócę po kilku dniach i pojedziemy dalej, do Hampi.

— Co to za miejsce?

— Ren wolałby sam to pani wyjaśnić.

— Hmm.

Z miny pana Kadama wywnioskowałam, że choćbym nie wiem jak naciskała, nie zdradzi mi żadnych szczegółów. Postanowiłam powstrzymać ciekawość tego, co się wydarzy, i w zamian za to skupić się na przeszłości.

— Skoro czeka nas długa droga, może opowie mi pan coś więcej o sobie? Jak wyglądało pańskie życie za młodu?

— No dobrze. Pomyślmy. Urodziłem się dwadzieścia dwa lata wcześniej niż Ren, w czerwcu 1635, jako jedyne dziecko wojskowego

z kasty Kszatrija. Naturalną kolejną rzeczą wyszkolono mnie więc na rycerza.

— Czym jest kasta Kszatrija?

— W Indiach istnieje podział na cztery kasty albo warny, podobne do klas społecznych. Bramini to nauczyciele, kapłani i naukowcy kszatrijowie to władcy i obrońcy, wajsjowie byli rolnikami i handlarzami, śudrowie zaś rzemieślnikami i służącymi. Każda z kast również miała swoją hierarchię.

Przedstawiciele różnych kast nie przestawali ze sobą na żadnym etapie życia. Egzystowali wyłącznie w ramach własnej grupy. Chociaż oficjalnie system kastowy został zniesiony jakieś pięćdziesiąt lat temu, to nadal jest praktykowany w wielu częściach kraju.

— Czy pańska żona pochodziła z tej samej kasty co pan?

— Łatwiej mi było w ten sposób zachować rolę emerytowanego żołnierza będącego w łaskach króla, odpowiedź więc brzmi: tak.

— Ale czy wasze małżeństwo było zaaranżowane? To znaczy... Kochał ją pan, prawda?

— Jej rodzice zaaranżowali nasz związek, ale byliśmy razem szczęśliwi przez cały czas, jaki został nam dany.

Przez chwilę wpatrywałam się w drogę, a potem zerknęłam na Rena, który drzemal z tyłu.

— Proszę pana, czy nie męczę pana tymi wszystkimi pytaniami? Proszę nie czuć się zobligowanym do odpowiedzi, zwłaszcza jeśli są zbyt osobiste lub bolesne.

— Nie mam nic przeciwko pytaniom, panno Kelsey. Lubię z panią rozmawiać. — Uśmiechnął się do mnie i zmienił pas.

— To dobrze. Proszę mi w takim razie opowiedzieć coś o pańskiej karierze wojskowej. Musiał pan brać udział w naprawdę ciekawych bitwach.

Pan Kadam pokiwał głową.

— Zacząłem szkolenie w bardzo młodym wieku. Miałem chyba około czterech lat. Nie chodziliśmy do szkoły. Jako przyszli wojskowi całe dzieciństwo poświęciliśmy na naukę, jak być dobrym wojownikiem, zaś jedyne, co studiowaliśmy, to sztuka wojenna. W tamtych czasach w Indiach było mnóstwo, może nawet około setki osobnych królestw, ale ja miałem to szczęście, że żyłem w jednym z najpotężniejszych, pod rządami dobrego władcy.

— Jakiego rodzaju broni używaliście?

— Nauczono mnie władać różnymi typami broni, ale w pierwszej kolejności musiałem opanować sztukę walki wręcz. Czy oglądała pani kiedyś kino sztuk walki?

— Jeśli chodzi panu o filmy z Jetem Li i Jackie Chanem, to tak. Pan Kadam pokiwał głową.

— Wojownicy biegli w walce wręcz byli w moich czasach bardzo cenieni. Jako młodzieniec szybko awansowałem dzięki umiejętnościom w tej dziedzinie. Na treningach nikt nie był w stanie mnie pokonać. No, prawie nikt. Renowi zdarzyło się to kilka razy.

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem.

— Proszę pana! Czyżby był pan mistrzem karate?

— Coś w tym stylu — uśmiechnął się mój rozmówca. — Nigdy nie dorównałem największym mistrzom, którzy nas szkolili, ale zdołałem się nauczyć wystarczająco dużo. Lubię trenować sztuki walki, ale najlepiej władam mieczem.

— Zawsze chciałam trenować karate.

— W tamtych czasach nie nazywaliśmy tego karate. Sztuka walki, w której szkolili nas na wypadek bitwy, była mniej ekscytująca wizualnie. Chodziło głównie o to, by pokonać przeciwnika tak szybko, jak się da, co często oznaczało zabicie go lub znokautowanie na wystarczająco długi czas, by zdążyć uciec. Nie było w tym takiej struktury i wyrafinowania, jakie widzi się dzisiaj.

— Jasne. Żaden *Karate Kid I*, przechodzimy od razu do *Karate Kid II*. Walka na śmierć i życie. A więc i pan, i Ren byliście szkoleni w sztukach walki.

Pan Kadam uśmiechnął się.

— Owszem. Ren był bardzo pojętym uczniem. Jako przyszły król, studiował nauki ścisłe, rzemiosło, sztuki piękne i filozofię, a także wiele innych dziedzin wiedzy składających się na tak zwane sześćdziesiąt cztery sztuki wyzwolone. Był również wyszkolony w różnych rodzajach walki, włącznie z walką wręcz. Matka Rena również była w niej biegła. Uczono ją na Dalekim Wschodzie. Dla królowej było bardzo ważne, aby jej dzieci potrafiły się bronić. Sprowadzono więc ekspertów i już wkrótce nasze królestwo słynęło z mistrzów sztuk walki.

Przez chwilę zatonąłam w wizji walczącego Rena. Piękny wojownik bez koszuli. Brązowa skóra. Napięte mięśnie. Potrząsnęłam głową, strofując się w myślach. Wracaj do rzeczywistości, dziewczyno!

Odchrząknęłam.

— Hmm, co pan mówił?

— Rydwany... — Pan Kadam nie zorientował się nawet, że przez moment nie uważałam. — Większość rycerzy należała do piechoty i ja również tam zaczynałam. Nauczono mnie władania mieczem, dzidą i maczugą, zanim przeszliśmy do rydwanów. W wieku dwudziestu pięciu lat dowodziłem królewską armią. W wieku trzydziestu pięciu uczyłem już innych, w tym Rena, i zostałem powołany na specjalnego militarnego doradcę króla oraz głównego stratega, zwłaszcza w przypadku bitew z udziałem słoni.

— Trudno mi wyobrazić sobie słonie na wojnie. Są takie łagodne — zauważyłam.

— Słonie budziły grozę — wyjaśnił pan Kadam. — Ryły ciężko uzbrojone i nosiły na plecach specjalną klatkę, chroniącą siedzących w środku luczników. Czasem mocowaliśmy im do ciosów długie sztylety umoczone w truciźnie, które były niezwykle skuteczne w bezpośrednich starciach. Proszę sobie wyobrazić naprzeciwko siebie armię dwudziestu tysięcy uzbrojonych słoni. Nie sądzę, by teraz było ich tyle w całych Indiach.

Niemal czułam ziemię trzęsącą się pod nogami tysięcy gotowych do walki słoni, pędzących wprost na oddział wojska.

— Jakie to straszne, że musiał pan uczestniczyć w zniszczeniu i rozlewie krwi, pomyśleć, że było to całe pańskie życie. Wojna to coś okropnego.

Pan Kadam wzruszył ramionami.

— W tamtych czasach wojny były inne niż teraz. Postępowaliśmy zgodnie z kodeksem wojownika, podobnym do kodeksu rycerskiego w Europie. Mieliśmy cztery zasady. Po pierwsze: trzeba walczyć z kimś podobnie uzbrojonym. Nie zaatakowalibyśmy kogoś, kto nie dysponował podobną ilością środków do obrony. Ta zasada przypominała koncepcję niestosowania broni wobec kogoś, kto nie jest uzbrojony.

Pan Kadam uniósł w górę drugi palec.

— Po drugie: jeśli twój przeciwnik nie jest już w stanie walczyć, kończycie potyczkę. Jeśli rozbroiłes przeciwnika i jest teraz bezsilny trzeba przestać walczyć. W żadnym wypadku się go nie dobją.

Zasada numer trzy: żołnierze nie zabijają kobiet, dzieci, osób starszych ani chorych, nie krzywdzimy również tych, którzy się poddali.

1 po czwarte: nie niszczymy ogrodów, świątyń ani innych miejsc kultu.

— Całkiem dobrze brzmią te zasady — stwierdziłam.

— Nasz władca przestrzegał Kszatrijadharmy, zwanej inaczej Prawem Królów, co oznaczało, że prowadziliśmy jedynie wojny uważane za sprawiedliwe lub słuszne, a także mające poparcie ludności.

Na chwilę oboje pograżyliśmy się w milczeniu. Mój rozmówca wydawał się zatopiony we wspomnieniach, a ja starałam się zrozumieć czasy, w których żył.

Gdy pan Kadam po raz kolejny gładko zmienił pas, ogarnął mnie podziw dla swobody, z jaką poruszał się po zatłoczonej drodze, pozostając jednocześnie w cichym zamyśleniu. Wokół nas było pełno samochodów, a kierowcy przemykali obok z przerażającą prędkością, jednak nie robiło to na nim najmniejszego wrażenia.

Po jakimś czasie pan Kadam zwrócił się do mnie i powiedział:

— Panno Kelsey, zasmuciłem panią. Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem.

— Smuci mnie tylko to, że tyle było w pana życiu wojen. Tak wiele innych rzeczy musiało pana ominąć.

Pan Kadam spojrzał na mnie z uśmiechem.

— Proszę się nie smuć. Musi pani pamiętać, że to wszystko było zaledwie częścią mojego życia. Dane mi było widzieć i doświadczyć więcej niż komukolwiek innemu. Patrzyłem, jak świat zmienia się stulecie po stuleciu. Byłem świadkiem wielu okropieństw, ale i wielu cudownych chwil. Poza tym proszę mieć na względzie, że choć byłem wojskowym, nasze królestwo nie tkwiło wiecznie w stanie wojny. Kraj był wielki i cieszył się poważaniem. Choć szkolono nas w sztuce bitewnej, zaledwie kilka razy musieliśmy naprawdę walczyć.

— Czasami zapominam, jak długo już żyjecie, pan i Ren. To znaczy... Nie chodzi mi o to, że jesteście starzy ani nic takiego...

Pan Kadam zachichotał.

— Oczywiście, że nie.

Pokiwałam głową i sięgnęłam po książkę, żeby dowiedzieć się więcej na temat Hanumana.

Z wielkim zainteresowaniem czytałam historie o malpim bogu. Zatonęłam w nich tak głęboko, że zdziwiłam się, kiedy pan Kadam zahamował.

Zjedliśmy szybki lunch, podczas którego pan Kadam zachęcał mnie do skosztowania różnych rodzajów curry. Odkryłam, że nie jestem fanką tej potrawy, a pan Kadam śmiał się w kulak, gdy krzywiłam się, próbując ostrzejszych odmian. Za to pieczywo nan bardzo mi smakowało.

Gdy wróciliśmy do samochodu, sięgnęłam po kartkę z przepowiednią Durgi i zaczęłam czytać. Węże. To nie brzmi zbyt dobrze. Ciekawe, jakim rodzajem ochrony czy łaski obdarzy nas Durga.

— Proszę pana, czy w pobliżu ruin Hampi jest świątynia Durgi?

— Znakomite pytanie, panno Kelsey. Mnie również przyszło ono do głowy. Tak, świątynie ku czci Durgi znajdują się niemal w każdym mieście w Indiach. To bardzo popularna bogini. Znalazłem na mapie świątynię niedaleko Hampi, którą odwiedzimy. Mam nadzieję, że odnajdziemy tam kolejny fragment układanki.

— Hmm.

Powróciłam do studiowania przepowiedni. Królestwo Hanumana. To ruiny Hampi, inaczej Kiszkinda. A drzewo w kamieniu? Może to właśnie na nim rośnie magiczny owoc? Rząd cierni czyhający w górze? Ryć może chodzi o cierniste krzewy lub winorośle?

— Czy wie pan, o co może chodzić z tą „zgubą”, która „skrzy się w dole”?

— Nie. Niestety, panno Kelsey. Nic mi nie przychodzi do głowy. Zastanawiałem się również nad wersem: „Na drodze staną strażnicy / Widma upiorne i blade”. Nie znalazłem żadnych informacji na ten temat, myślę więc, że będziemy musieli wziąć to dosłownie. Być może jakiegoś rodzaju duchy będą próbowały was powstrzymać.

Przelknęłam ślinę.

— A co z... węzami?

— W Indiach żyje wiele gatunków niebezpiecznych węży: kobra, pyton, węże wodne, żmije, kobra królewska. Są nawet takie, które latają.

To nie brzmiało dobrze.

— Jak to: „latają”?

— Technicznie rzecz biorąc, nie latają, wykonują tylko loty ślizgowe z drzewa na drzewo, podobnie jak niektóre rodzaje wiewiórek.

Osunęłam się na siedzeniu i zmarszczyłam brwi.

— Cóż za nadzwyczajna różnorodność jadowitych gadów panuje w tym kraju.

Pan Kadam roześmiał się.

— Rzeczywiście. Zdążyłem nauczyć się z tym żyć. Ale w naszym przypadku wygląda na to, że wąż, albo węże, mogą okazać się pomocne.

Ponownie przeczytałam końcowy fragment przepowiedni: „Ale dokona się cud, / Gdy węże znajdą złoty skarb, / Co zaspokoi w Indiach głód. / Inaczej zguba czeka lud”.

— Myśli pan, że w jakiś sposób możemy mieć wpływ na los całego kraju?

— Nie jestem pewien. Mam nadzieję, że nie. Pomimo setek lat badań, bardzo mało wiem o tej klątwie i o amulecie Damona. Amulet ma wielką moc, ale nie udało mi się jeszcze dojść do tego, jak mógłby wpłynąć na całe Indie.

Zaczęła mnie boleć głowa, oparłam ją więc o siedzenie i zamknęłam oczy. Ani się spostrzegłam, gdy pan Kadam obudził mnie delikatnym szturchnięciem.

— Jesteśmy na miejscu, panno Kelsey.

Przetarłam zaspane powieki.

— Na miejscu?

— To właśnie tutaj Ren chciał zrobić przystanek.

— Proszę pana, jesteśmy przecież w samym środku dżungli.

— Wiem. Proszę się nie bać. Jest pani bezpieczna. Ren będzie panią chronił.

— Czemu te słowa zawsze poprzedzają wyprawę w głąb dżungli w towarzystwie tygrysa?

Pan Kadam roześmiał się lekko, chwycił mój plecak, wysiadł, a potem otworzył przede mną drzwi.

Wyszłam z samochodu i spojrzałam na niego.

— Znów będę musiała spać w dżungli, prawda? Na pewno nie mogę pojechać z panem, a Ren niech radzi sobie sam?

— Przykro mi, panno Kelsey, ale będzie pani potrzebował. Chodzi o coś, czego nie może zrobić bez pani pomocy, a być może i z nią okaże się to niemożliwe.

Jęknęłam.

— Świetnie. A pan, oczywiście, nie może mi zdradzić, co to takiego.

— To nie moje zadanie. Ren sam musi opowiedzieć pani tę historię.

— Okej — wymamrotałam. — Kiedy będzie pan mógł po nas przyjechać?

— Pojadę do miasta załatwić kilka sprawunków. Spotkamy się tutaj za trzy albo cztery dni. Być może będę musiał na was poczekać. Możliwe, że przez pierwsze kilka nocy Ren nie znajdzie tego, czego szuka.

Westchnęłam i rzuciłam tygrysowi gniewne spojrzenie.

— Wspaniale. Znowu dżungla. No dobra, ruszajmy. Ren, prowadź, proszę.

Pan Kadam wręczył mi opakowanie spreju na owady z filtrem przeciwsłonecznym, włożył kilka rzeczy do plecaka i pomógł mi zarzucić go na ramiona. Westchnęłam głęboko, patrząc, jak odjeżdża, po czym odwróciłam się i ruszyłam za Renem.

— Hej, Ren. Jak to się dzieje, że zawsze muszę iść za tobą do dżungli? Może następnym razem wybierzemy się raczej do jakiegoś milego spa albo na plażę? Co ty na to?

Ren pociągnął nosem i szedł dalej.

— W porządku, ale będziesz mi winien przysługę.

Maszerowaliśmy przez resztę popołudnia.



W pewnym momencie usłyszałam stłumione dudnienie, nie potrafiłam jednak zorientować się, co to takiego. Im dalej szliśmy, tym było głośniejsze. Przez zagajnik wyszliśmy na niedużą polanę.

W końcu ujrzałam źródło dźwięku — przepiękny wodospad. Po szarych kamieniach, ułożonych jak schody w dół wysokiego wzgórza, spływała spieniona woda i zbierała się u stóp wodospadu w turkusową sadzawkę, której brzegi były pokryte drzewami oraz niskimi krzewami, a wokół rosły czerwone kwiatki. Ryl to przesliczny widok.

Gdy podeszłam do jednego z krzaków, zauważyłam jakiś ruch. Zrobiłam następny krok i nagle w powietrze wzbily się setki motyli. Rozróżniłam dwa rodzaje: brązowe w kremowe paski i brązowoczarne w błękitne paski i kropki. Roześmiałam się i zaczęłam kręcić się w kółko wśród chmury motyli. Kilka z nich usiadło mi na rękach i na koszulce.

Wspięłam się na skałę, z której rozciągał się widok na wodospad, i przyjrzałam się motylowi, który usadowił się na moim palcu. Gdy odleciał, stałam tam jeszcze przez chwilę w milczeniu, obserwując kaskadę. Nagle usłyszałam głos za plecami.

— Pięknie tu, prawda? To moje ulubione miejsce na całym świecie.

— Rzeczywiście, nigdy nie widziałam niczego podobnego.

Ren podszedł do mnie i wziął na palec motyla, który siedział mi na ramieniu.

— Te motyle zwane są krukami, a tamte to niebieskie tygrysy. Tygrysy mają mocniejsze ubarwienie i łatwiej je dostrzec, trzymają się więc z krukami dla kamuflażu.

— Jak to?

— Kruki są niejadalne. Więcej, są trujące, więc inne motyle próbują się do nich upodobnić, żeby oszukać drapieżniki.

Ren wziął mnie za rękę i poprowadził w dół.

— Rozbijemy tu obozowisko. Usiądź. Mam ci coś do powiedzenia. Znalazłam płaską powierzchnię i zdjęłam plecak. Wyciągnęłam z niego butelkę wody i oparłam się o skalę.

— No dobrze. Mów.

Ren zaczął chodzić w tę i we w tę. W końcu powiedział:

— Jesteśmy tutaj, ponieważ chcę odnaleźć mojego brata.

Zakrztusiłam się wodą.

— Brata? Myślałam, że on nie żyje. Nigdy o nim nie wspominałeś, powiedziałaś tylko, że na niego też rzucono klątwę. Czy to znaczy, że twój brat żyje i jest gdzieś tutaj?

— Szczerze mówiąc, nie wiem, czy żyje. Zakładałam, że tak, ponieważ żyję i ja. Pan Kadam przypuszcza, że mój brat mieszka gdzieś tutaj, w tej dżungli.

Odwrócił się i spojrzał na wodospad, a potem usiadł obok mnie, wyciągnął przed siebie długie nogi i wziął mnie za rękę. Mówiąc, bawił się moimi palcami.

— Wierzę, że on wciąż żyje. Po prostu to czuję. Mam udać się na poszukiwania, zataczając coraz szersze kręgi. W końcu jeden z nas natrafi na zapach drugiego. Jeśli mój brat się nie pojawi albo go nie wywęszę w ciągu kilku dni, wrócimy, znajdziemy pana Kadama i ruszymy dalej.

— A co ja mam robić?

— Zaczekać tu na mnie. Mam nadzieję, że jeśli brat nie będzie chciał mnie słuchać, to może ty zdołasz go przekonać. Poza tym liczę na to, że...

— Ze co?

Ren potrząsnął głową.

— To w tej chwili nieważne. — Z roztargnieniem ścisnął moją dłoń i skoczył na równe nogi. — Pomogę ci rozbić namiot.

Ren poszedł szukać drewna na opał, a ja rozwinęłam dwuosobowy namiot, przypięty do plecaka.

Dzięki, panie Kadam! Otworzyłam pokrowiec i rozłożyłam namiot na kawałku równego podłoża. Po kilku minutach Ren podszedł, żeby mi pomóc. Zdążył już rozpaścić ognisko, obok którego leżał pokazny stosik drewna.

— Szybko ci poszło — wymamrotałam z zazdrością, rozciągając płachtę namiotu na metalowych pałkach.

Ren zerknął na mnie z naprzeciwka i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Dużo się nauczyłem o życiu pod gołym niebem.

— No tak.

Ren parsknął śmiechem.

— Kells, znasz się na wielu rzeczach, o których ja nie mam pojęcia. Wygląda na to, że jedną z nich jest rozbijanie namiotu.

Uśmiechnęłam się.

— Rozciągnij materiał i przymocuj do tamtego haczyka.

Poradziliśmy sobie szybko. Ren otrzepał ręce z ziemi.

— Czterysta lat temu nie mieliśmy takich namiotów. Nasze wyglądały podobnie, ale były znacznie mniej skomplikowane. Używaliśmy po prostu drewnianych żerdzi. — Podszedł do mnie, pociągnął mnie za warkocz i spontanicznie pocałował w czoło. — Nie gaś ogniska. Odstraszy dzikie zwierzęta. Okrążę kilka razy okolicę i wrócę, zanim się ściemni.

Wypowiedziawszy te słowa, zmienił się w tygrysa i zniknął w dżungli. Pociągnęłam się za warkocz i przez chwilę, uśmiechając się, myślałam o moim indyjskim księciu.

Czekając, aż wróci, postanowiłam przeszukać plecak, by przekonać się, co pan Kadam przygotował dla nas na kolację. Ach, po raz kolejny przeszedł samego siebie — liofilizowany kurczak z ryżem, a na deser pudding czekoladowy.

Nalałam wody z butelki do rondelka i postawiłam go na kamieniu, który ułożyłam w palenisku. Gdy woda zaczęła bulgotać, chwyciłam rondel przez koszulkę i wlałam wodę do torebki z kolacją. Poczekalam kilka minut i już mogłam cieszyć się posiłkiem, który okazał się zupełnie niezły. Z pewnością był smaczniejszy niż indyk z tofu, którego Sara serwowała nam w Dzień Dziękczynienia.

Niebo zaczęło ciemnieć. Postanowiłam, że będę się czuć bezpieczniej w namiocie, wgramoliłam się więc do środka i zwinęłam babciny pled, zastępując nim poduszkę.

Ren wrócił niedługo później. Usłyszałam, jak dorzuca drewna do ognia.

— Na razie ani śladu — powiedział, po czym zmienił się z powrotem w tygrysa i ułożył przy wejściu do namiotu. Odpięłam suwak i spytałam, czy mogłabym znów wykorzystać go jako poduszkę. Przynuszył się, a ja podpełzłam bliżej, ułożyłam głowę na jego miękkim futrze i owinęłam się pledem. Tygrys zaczął mruczeć głęboko i rytmicznie. Szybko zapadłam w sen.

Gdy się obudziłam, Rena nie było. Wrócił w porze lunchu, akurat gdy rozczesywałam włosy.

— Proszę, Kells. Coś ci przyniosłem — uśmiechnął się skromnie, wyciągając w moją stronę trzy owoce mango.

— Dzięki. Mogę spytać, skąd je wzięłeś?

— Od małp.

Zamarłam ze szczotką w powietrzu.

— Od małp? Tak to: „od małp”?

— Cóż, małpy nie lubią tygrysów, ponieważ tygrysy jedzą małpy. Kiedy więc w pobliżu pojawia się tygrys, małpy wskakują na drzewa i ciskają w tygrysa owocami lub odchodami. Na szczęście dla mnie dzisiaj rzuciły owoce.

Przelknęłam ślinę.

— Czy... zjadłeś kiedyś małpę?

Ren uśmiechnął się.

— Każdy tygrys musi jeść.

Wygrzebałam z plecaka gumkę i zaczęłam zaplatać warkocz.

— Faj, to ohydne.

Ren roześmiał się.

— Tak naprawdę nie jadłem nigdy małpy, Kells. Tylko się z tobą drażnię. Małpy smakują paskudnie, jak piłki do tenisa o konsystencji mięsa, a pachną jak niemyte stopy. — Zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Za to kawałek soczystego jelenia... niebo w gębie. — Zaczął mlaskać ostentacyjnie.

— Chyba nie mam ochoty słuchać opowieści o twoich polowaniach.

— Naprawdę? Polowanie to całkiem przyjemne zajęcie.

Nagle Ren znieruchomiał. Potem niemal niedostrzegalnie obniżył ciało i przyczaił się, balansując na przednich częściach stóp. Położył rękę na trawie przed sobą i zaczął podkraść się do mnie jak do tropionej zwierzyny. Wpatrywał mi się prosto w oczy, co sprawiało, że nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca. Gotował się do skoku. Rozciągnął usta w szerokim uśmiechu, ukazującym lśniące białe zęby. Wyglądał... jak dzikie zwierzę.

Przemówił aksamitnym, hipnotyzującym głosem:

— Kiedy tropisz zdobyc, musisz ukryć się i znieruchomieć na długi czas. Jeśli nie wytrzymasz, zdobyc ci umknie. — W mgnieniu oka zmniejszył odległość między nami. Choć bacznie go obserwowałam, byłam zdumiona tym, jak szybko się porusza. Krew zaczęła dziko pulsować mi w szyi, do której zbliżały się teraz jego wargi, zupełnie jakby miał zamiar wgryźć mi się w szyję.

Odgarnął mi włosy i przeniósł wargi w okolice mego ucha, szepcząc:

— A wtedy... odejdziesz głodny. — Jego słowa były stłumione. Ciepły oddech laskotał mnie w ucho i wywoływał gęsią skórę.

Lekko obróciłam głowę i spojrzałam na niego. Jego oczy się zmieniły. Miały głębszy odcień błękitu niż zazwyczaj i uważnie wpatrywały się w moją twarz. Wciąż trzymał mi rękę we włosach. Przeniósł wzrok na moje usta. Nagle poczułam, jak to jest być jeleniem.

Czułam się nieswojo. Zamrugalam i z trudem przelknęłam ślinę. Ren znów popatrzył mi w oczy. Musiał wyczuć mój niepokój, ponieważ zmienił mu się wyraz twarzy. Odsunął rękę i się rozluźnił.

— Przepraszam, że cię przestraszyłem, Kelsey. To się nie powtórzy.

Zrobił krok do tyłu, a ja odzyskałam oddech. Drżącym głosem powiedziałam:

— To okropne, nie chcę więcej słuchać o polowaniu, zwłaszcza kiedy tkwię z tobą w lesie, zgoda?

Ren roześmiał się.

— Kelsey, wszyscy mamy w sobie zwierzęce cechy. Uwielbiałem polowania nawet wtedy, gdy byłem człowiekiem.

Zadrżałam.

— W porządku. Po prostu zachowaj swoje zwierzęce cechy dla siebie.

Znów nachylił się w moją stronę i pociągnął mnie za kosmyk włosów.

— No, Kells, wydaje mi się, że lubisz niektóre moje zwierzęce cechy. — Z jego klatki piersiowej poczułam się dobywać głęboki dźwięk i uświadomiłam sobie, że... mruczy!

— Przestań! — prychnęłam.

On tylko się roześmiał, podszedł do plecaka i sięgnął po przyniesione przez siebie owoce.

— To w końcu chcesz to mango czy nie? Umyję je dla ciebie.

— Cóż, biorąc pod uwagę, że niosłeś je w pysku z tak daleka specjalnie dla mnie... i biorąc pod uwagę źródło pochodzenia rzeczowego owocu... raczej nie.

Ren natychmiast się zgarbił i nachmurzył, dodałam więc pośpiesznie:

— Ale myślę, że mogłabym zjeść trochę ze środka.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

— Nie są liofilizowane.

— Dobrze. Spróbuję.

Ren umył owoce, obral je nożem wyciągniętym z plecaka i pokroił na kawalki. Usiedliśmy obok siebie i zajadaliśmy ze smakiem. Mango było pyszne i soczyste, nie miałam jednak zamiaru dać mu satysfakcji i okazać, jak bardzo mi smakuje.

— Ren? — Oblizalam palce z soku i sięgnęłam po kolejny kawalek.
-T a k ?

— Czy można bezpiecznie pływać w wodospadzie?

— Jasne. Powinno być bezpiecznie. To miejsce było dla mnie kiedyś bardzo wyjątkowe. Często przychodziłem tu, by uciec od presji pałacowego życia, pobyc chwilę samemu i pomyśleć. — Spojrzał na mnie. — Właściwie to jesteś pierwszą osobą, której je pokazałem, oczywiście nie licząc mojej rodziny i pana Kadama.

Popatrzyłam na piękny wodospad i zaczęłam mówić cichym głosem:

— W Oregonie jest mnóstwo wodospadów. Urządzaliśmy sobie nad nimi rodzinne pikniki. Myślę, że odwiedziliśmy większość wodospadów w naszym stanie. Pamiętam, jak staliśmy z tatą tuż przy jednym z nich, a unosząca się wokół wodna mgielka sprawiała, że byliśmy coraz bardziej mokrzy.

— Czy tamte wodospady były podobne do tego?

Uśmiechnęłam się.

— Nie. Ten jest wyjątkowy. Właściwie to najbardziej lubiłam wodospady w zimie.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

— To piękny widok. Woda spływająca po urwistych skalach zamarza. Gładkie kamienie pokrywa śliska lodowa skorupa, a zimne strumienie wody zmieniają się w szpiczaste sopele, które pęcznieją, rozciągają się i łamią, zwieszając się nad skalą grubymi, skręconymi powrozami. Woda spływa po nich powoli, zamarzając w kolejne lśniące warstwy lodu. W Oregonie wzgórza otaczające wodospad porośnięte są zimnozielonymi roślinami, a szczyty pokrywa czasem śnieg.

Ren zamilkł.

— Ren? — Odwróciłam się, by sprawdzić, czy mnie słucha. Okazało się, że mi się bacznie przygląda.

Powolny, leniwy uśmiech rozjaśnił jego twarz.

— Pięknie opowiadasz.

Zaczerwieniłam się i szybko odwróciłam wzrok.

Ren chrząknął znacząco.

— To wszystko brzmi cudownie, ale od samego słuchania robi mi się zimno. Tu woda nigdy nie zamarza. — Wziął mnie za rękę

i splótł swoje palce z moimi. — Kelsey, przykro mi, że twoi rodzice nie żyją.

— Mnie też. Dzięki, że pokazałeś mi swój wodospad. Moim rodzicom by się tu podobało. — Uśmiechnęłam się i skinęłam głową w stronę dżungli. — Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałabym zostać na chwilę sama i przebrać się w kostium kąpielowy.

Ren wstał i sklonił się teatralnie.

— Niech nigdy nikt nie mówi, że księżę Alagan Dhiren Rajaram odmówił prośbie pięknej damy.

Oplukał klejące się dłonie, zmienił się w tygrysa i potruchtał w głąb dżungli.

Poczekalam, aż się oddali, włożyłam kostium i dałam nura do wody. Była kryształowo czysta i szybko ochłodziła moje zgrzane, spocone ciało. Czułam się cudownie. Gdy już popływałam trochę i obejrzałam całą sadzawkę, znalazłam duży głaz tuż pod jednym ze strumieni i pozwoliłam, by woda bębniła po moim ciele lodowato zimnymi strugami. Potem przesunęłam się na nasłonecznioną część skały i wyciągnęłam nogi z wody. Odgarnąwszy mokre włosy na ramię, grzałam się w słońcu. Czułam się jak syrena, która przysiadła na kamieniu w swym zacisznym królestwie. Było spokojnie i przyjemnie. Błękitna woda, zielone drzewa i fruwające tu i ówdzie motyle przywiodły mi na myśl scenę prosto ze *Snu nocy letniej*. Wyobraziłam sobie nawet elfy, śmigające z kwiatu na kwiat.

W tym momencie Ren wybiegł szybko z dżungli i dał susa w powietrze. Przeszło dwustukilogramowe białe tygrysie cielsko z głośnym chlustem wylądowało w samym środku sadzawki, a rozchodzące się koncentrycznie fale podplynęły aż pod mój kamień.

— Hej — powiedziałam, gdy wynurzył się na powierzchnię. — Myślałam, że tygrysy nie cierpią wody. — Ren podplynął do mnie, a potem zaczął pływać w kółko, pokazując mi, że owszem, tygrysy lubią kąpiele. Przeplynał pod wodospadem w stronę mojego siedziska. Wgramolił się na skałę i wytrzepał gwałtownie, jak pies, ochlapując mnie wodą, bryzgającą na wszystkie strony.

— Hej, dopiero co wyschłam!

Zanurzyłam się z powrotem w wodzie i wypłynęłam na środek sadzawki. Ren wskoczył za mną i zaczął pływać dookoła mnie, podczas gdy ja opryskiwałam go ze śmiechem. Tygrys zanurkował i długo pozostawał pod wodą.

W końcu wynurzył się na powierzchnię, wskoczył na skałę, dał susa w powietrze i wylądował na brzuchu tuż obok mnie. Jeszcze

przez chwilę bawiliśmy się w wodzie, aż poczułam zmęczenie. Podpłynełam do samego wodospadu i stanęłam pod strugą wody z wyciągniętymi ramionami.

Nagle usłyszałam nad głową jakiś rumor. Kilka odłamków skały z głośnym pluskiem spadło tuż obok mnie. Gdy wybiegałam spod wodospadu, kamień uderzył mnie w tył głowy. Moje powieki zatrzepotały i zamknęły się, a ciało osunęło się do chłodnej wody.

DWA TYGRYSY



— Kelsey! Kelsey! Otwórz oczy!

Ktoś mocno mną potrząsał. Jedyne, czego pragnęłam, to zapaść z powrotem w spokojny, czarny niebyt, ale głos był uporczywy i pełen desperacji.

— Kelsey, posłuchaj mnie! Otwórz oczy, błagam! — Spróbowałam podnieść powieki, ale to zabolalo. Promienie słońca jeszcze bardziej pogarszały nieznośne dudnienie w mojej głowie. Co za koszmarna migrena! W końcu mój umysł zaczął się rozjaśniać. Rozpoznałam obozowisko i Rena, który klęczał obok mnie. Miał mokre, zgarnięte do tyłu włosy i wyraz niepokoju na pięknej twarzy.

— Kells, jak się czujesz? Coś ci jest?

Miałam zamiar odpowiedzieć mu jakąś naprawdę sarkastyczną ripostą, ale w tym momencie zakrztusiłam się i zaczęłam kasłać wodą. Wzięłam głęboki wdech, usłyszałam mokre trzeszczenie w płucach i zaniosłam się jeszcze większym kaszlem.

— Połóż się na boku. Dzięki temu woda szybciej wyleci. Pomogę ci.

Przyciągnął mnie do siebie tak, że leżałam na boku. Wykaslałam jeszcze trochę wody. Ren zdjął mokrą koszulę i zwinął ją. Potem lekko mnie unióś i ułożył koszulę pod moją obolalą głową. Niestety ból nie pozwalał mi w pełni docenić jego opalanej, wyrzeźbionej, muskularnej, nagiej klatki piersiowej. Cóż, najwyraźniej nic mi nie jest, skoro jestem w stanie podziwiać widoki, pomyślałam. Chociaż, o rety, musiałabym być chyba martwa, żeby nie robiły na mnie wrażenia.

Skrzywiłam się, gdy dłoń Rena dotknęła mojej głowy, wyrwywając mnie z rozmarzenia.

— Masz tu niezłego guza.

Ostrożnie pomacałam obolale miejsce. Przypomniało mi się, co się stało. Musiałam stracić przytomność, gdy uderzył mnie kamień. Ren po raz kolejny uratował mi życie.

Spojrzałam na niego. Klęczał obok mnie z desperackim wyrazem twarzy i cały się trząsł. Uświadomiłam sobie, że prawdopodobnie przybrał ludzką postać, wyciągnął mnie z wody, a potem siedział przy mnie, aż się obudziłam. Kto wie, jak długo leżałam nieprzytomna.

— Ren, na pewno cię boli. Za długo dzisiaj jesteś człowiekiem. Uparcie potrząsał głową, ale widziałam, jak zaciska zęby.

Położyłam mu dłoń na ramieniu.

— Nic mi nie będzie. To tylko guz. Nie martw się o mnie. Pan Kadam na pewno wetknął gdzieś do plecaka aspirynę. Polknę tabletkę, położę się i chwilę odpocznę. Wszystko będzie dobrze.

Ren powoli przesunął palcem po mojej skroni i policzku i delikatnie się uśmiechnął. Gdy oderwał dłoń od mojej twarzy, całe jego ramię zaczęło się trząść i zauważyłam, że ma dreszcze.

— Kells, ja...

Twarz mu zeszytywniała. Odrzucił głowę na bok, wyszczerzył zęby z wściekłością i zmienił się w tygrysa. Mruknął cicho, a potem umilkł i podszedł bliżej. Ułożył się obok mnie i obserwował mnie uważnie swoimi czujnymi błękitnymi oczyma. Poglaskalam go po grzbiecie po to, żeby go zapewnić, że nic mi nie jest, ale i dlatego, że mnie samą to uspokajało.

Wpatrywałam się w cętkowane korony drzew i w końcu udało mi się pokonać ból głowy. Wiedziałam, że w końcu będę musiała się ruszyć, ale naprawdę nie miałam na to ochoty. Tygrys mruczał cicho i ten kojący dźwięk łagodził mój ból. Westchnęłam głęboko i postanowiłam wstać. Wiedziałam, że poczuje się lepiej, jeśli się przebiorę.

Usiadłam ostrożnie, powoli, oddychając głęboko, z nadzieją, że w ten sposób uniknę mdłości, a świat przestanie wirować mi przed oczami. Na widok moich wysiłków Ren podniósł głowę.

— Dziękuję, że mnie uratowałeś — wyszeptalam i poglaskalam go po grzbiecie. Pocałowałam czubek jego kosmatego łba. — Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Otworzyłam plecak i znalazłam w nim pudeleczek z lekarstwami, wśród których była i aspiryna. Wrzuciłam do ust kilka tabletek

i popiłam wodą z butelki. Wyciągnęłam suche ubrania i zwróciłam się do Rena.

— Muszę się przebrać i byłabym wdzięczna, gdybyś na kilka minut wybrał się do dżungli.

Ren mruknął. Sprawiał wrażenie lekko rozgniewanego.

— Mówię poważnie.

Następne warknięcie było głośniejsze.

Przycisnęłam dłoń do czoła i oparłam się o najbliższe drzewo, gdyż galaretowate nogi ugięły się pode mną.

— Muszę się przebrać, a ty nie zostaniesz tu i nie będziesz na mnie patrzył.

Tygrys prychnął, wstał, otrząsnął się nawet, jakby mówił „nie”, po czym wbil we mnie pelen uporu wzrok. Twardo spojrzalam mu w oczy i wskazałam na dżunglę. W końcu odwrócił się, wszedł do namiotu i położył się na moim pledzie, tyłem do mnie, machając wystającym na zewnątrz ogonem.

Westchnęłam i skrzywiłam się, bo zbyt gwałtownie poruszyłam głową.

— Wygląda na to, że na więcej nie mam co liczyć, hmm? Uparciuch z ciebie.

Postanowiłam pójść na ten kompromis, ale przebierając się, nie spuszczałam wzroku z jego drgającego ogona.

W suchym ubraniu poczułam się odrobinę lepiej. Aspiryna zaczęła działać i lupanie w głowie nieco złagodniało, choć ból do końca nie minął. Stwierdziłam, że bardziej zależy mi na śnie niż jedzeniu, zrezygnowałam więc z kolacji, postanowiłam jednak przyrządzić sobie gorące kakao.

Ostrożnie poruszając się po obozowisku, dorzuciłam kilka pieńków do ogniska i nastawiłam wodę. Ukucnęłam i przez kilka chwil rozniecałam gałęzią ogień, po czym sięgnęłam po paczkę gorącej czekolady w proszku. Ren obserwował każdy mój ruch. Machnęłam na niego ręką.

— Naprawdę dobrze się czuję. Idź na te swoje poszukiwania.

Tygrys uparcie nie ruszał się z miejsca, machał tylko ogonem.

— Mówię poważnie. — Zatoczyłam palcem krąg. — Przejdź się dookoła. Poszukaj brata. Ja zbiorę tylko trochę drewna i pójdę spać.

Ren nadal tkwił w bezruchu i wydał z siebie dźwięk, który przypominał skomlenie psa. Roześmiałam się i pogłaskałam go po głowie.

— Wiesz co, może na to nie wyglądam, ale zazwyczaj całkiem nieźle potrafię dawać sobie radę sama.

Tygrys prychnął i usiadł obok mnie. Oparłam się o jego bark, mieszając w rondelku kakao.

Zanim zaszło słońce, zebrałam drewno na opał i wypiłam butelkę wody. Gdy wczolgałam się do namiotu, Ren podążył za mną. Wyciągnął przednie łapy, a ja ostrożnie ułożyłam na nich głowę jak na poduszce. Usłyszałam głębokie tygrysie westchnienie i Ren położył głowę obok mojej.

Gdy obudziłam się następnego ranka, moja głowa wciąż spoczywała na miękkich łapach Rena, ale leżałam na boku, wciśnięta w jego klatkę piersiową, z ramieniem zarzuconym na jego szyję, tuląc go, jakby był ogromną maskotką.

Odsunęłam się, lekko zakłopotana. Wstałam, by się rozprostować, i ostrożnie pomacałam guza na głowie. Z radością stwierdziłam, że znacznie się zmniejszył. Czułam się o wiele lepiej.

Głodna jak wilk, wyciągnęłam z plecaka kilka batoników z ziaren i paczkę owsianki. Podgrzałam tyle wody, by starczyło również na kubek gorącej czekolady. Po śniadaniu wysłałam Rena na patrol okolicy, oświadczając, że ja w tym czasie umyję głowę.

Tygrys poczekał chwilę, obserwując moje ruchy, aż zyskał pewność, że nic mi nie jest, po czym ruszył w dżunglę. Sięgnęłam po małą buteleczkę ekologicznego szamponu, który spakował dla mnie pan Kadam. Szampon pachniał truskawkami. W plecaku znalazłam nawet odżywkę.

Przebrałam się w kostium kąpielowy, szorty i adidasy, po czym zeszałam na swoje ulubione nasłonecznione miejsce na skale. Trzymając się krawędzi wodospadu, z dala od punktu, gdzie spadł mi na głowę kamień, delikatnie zmoczyłam włosy i wmasowałam w nie szampon. Lekko wychyliłam się pod migotliwą strugę wody. Chłodny strumyk przyjemnie zadziałał na moją wciąż lekko obolałą głowę.

Przesunęłam się na słońce i usiadłam, by rozczesać włosy. Kiedy skończyłam, zamknęłam oczy i zwróciłam twarz w stronę porannych promieni, które ogrzewały mnie i suszyły mi włosy. To miejsce było jak raj, nie miałam co do tego wątpliwości. Nawet mimo guza na głowie i niechęci do spania pod namiotem byłam w stanie zachwycać się pięknem otoczenia.

Nie chodzi o to, że nie lubię przyrody. Gdy dorastałam, z przyjemnością spędzałam czas z rodzicami na łonie natury. Po prostu zawsze, nacieszywszy się już tym wszystkim, lubiłam położyć się spać we własnym łóżku.

Ren wrócił około południa i dotrzymał mi towarzystwa podczas lunchu. Po raz pierwszy widziałam, jak je jako człowiek, nie licząc owoców mango. Później znalazłam w plecaku tomik poezji i spytałam, czy chciałby, żebym mu poczytała.

Zmienił się w tygrysa i, ponieważ nie usłyszałam żadnego pomruku ani innego sygnału protestu, usiadłam, oparta plecami o duży kamień. Ren podszedł i zaskoczył mnie, przybierając znów ludzką postać. Położył się na plecach i zanim zdążyłam powiedzieć choć słowo, ułożył głowę na moich udach, po czym westchnął głęboko i zamknął oczy.

Roześmiałam się i powiedziałam:

— Domyślam się, że to znaczy „tak”.

Wciąż z zamkniętymi oczami wymamrotał:

— Tak, proszę.

Zaczęłam wertować książkę.

— Aa, ten wiersz pasuje do dzisiejszej okazji. Myślę, że ci się spodoba. Należy do moich ulubionych i również jest autorstwa Szekspira, tego samego, który napisał *Romeo i Julia*.

Zaczęłam czytać, trzymając książkę w jednej ręce, a drugą W zamysleniu głaszcząc Rena po włosach:

Do czego cię przyrównać? Do dnia w pełni lata?
Piękność twoja jest bardziej i świeża, i stała.
Jeszcze w maju wiatr nieraz mrozem pąk omiata
A letnia pora nie trwa, jak obiecywała.
Niebios złociste oko to nazbyt świat pali
Swoim żarem, to kryje blask za sine chmury;
Nic, co piękne, pełnego piękna nie ocali,
Odzierane zeń trafem lub prawem natury:
Lecz twoje wieczne lato nie wie, co jesienie,
Nie straci barwy, którą jest twoja uroda,
Ani jej Śmierć nie wciągnie w zapomnienia cienie,
Gdy w rymie, nad śmierć trwalszym, przetrwa wiecznie młoda.
Póki tchu w piersiach ludzi, póki w oczach wzroku —
Wiersz żyw będzie i tobie nie da zginąć w mroku¹.

1 W. Szekspir, *Sonet XVIII*, [w:] tegoż, *Sonet*, przeł. S. Barańczak, Po znań-Warszawa 1996, s. 45 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

- To było... znakomite — wyszeptał Ren. — Podoba mi się ten Szekspir.

— Mnie też.

Wertowałam książkę w poszukiwaniu kolejnego wiersza, kiedy Ren powiedział:

— Kelsey, być może i ja... mógłbym się z tobą podzielić poezją z mojego kraju.

Zaskoczona, odłożyłam tomik.

— Pewnie, z chęcią posłucham indyjskiej poezji.

Ren otworzył oczy i wbił wzrok w korony drzew. Złapał mnie za rękę, splótł swoje palce z moimi i położył sobie nasze dłonie na piersi. Wiał lekki wietrzyk, który sprawiał, że liście tańczyły i obracały się w słońcu, a światło i cień przeplatały się ze sobą na przystojnej twarzy księcia.

— To będą stare indyjskie strofy. Są częścią dramatu, opowiadającego historię znaną w moim kraju, odkąd pamiętam. Napisał go Kalidasa.

Ach, niedobry, dniem i nocą
Wciąż o tobie myślę tylko,
Bo choć nie znam twego serca,
W moim sercu tli się miłość.
O wysmukła! W twojej piersi
Miłość tylko, tylko tli się -
Ale we mnie płomieniami,
Płomieniami wciąż wybucha!
W blasku słońca księżyc wędnie
Bardziej, niżli wodne lilie,
Lilie, co wieczorem kwitną.
[...]
O mieszkanko serca mego,
Oddanego tobie tylko!¹

— Ren, to bardzo piękne.

Spojrzał na mnie. Uśmiechnął się i dotknął dłonią mojego policzka. Puls mi przyspieszył i poczułam gorąco na twarzy, w miejscu, którego dotknął. Nagle dotarło do mnie, że wciąż trzymam palce w jego włosach, a drugą dłoń na jego piersi. Szybko cofnęłam obie

1 Kalidasa, *Siakuntala*, przeł. S. Schayer, Wrocław 1957, s. 63, 6g.

ręce i założyłam je na brzuchu. Ren uniósł się lekko, wspierając się na jednym ramieniu, przez co jego piękna twarz znalazła się bardzo blisko mojej. Przesunął palcami po moim podbródku i niemal niewyczuwalnym dotykiem przekrzywił moją głowę tak, że spojrzałam wprost w jego intensywnie błękitne oczy.

—Kelsey?

—Tak?—wyszeptalam.

— Czy pozwolisz mi... się pocałować?

Halo, czerwony alarm! Uczucie swobody, którym się cieszyłam w towarzystwie mojego tygrysa jeszcze kilka minut wcześniej, zniknęło. Nagle poczułam się strasznie nieswojo i nerwowo. Perspektywa zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni. Zdawałam sobie, oczywiście, sprawę z tego, że w ciele tygrysa bije serce mężczyzny, ale w jakiś sposób zepchnęłam tę świadomość w najgłębszy zakamarek mózgu.

Nagle jedyne, o czym mogłam myśleć, to to, że leży obok mnie indyjski książe. Wpatrywałam się w niego oszolomiona. Był... no cóż, szczerze mówiąc, był facetem, o którym na co dzień mogłabym tylko pomarzyć. Nigdy nie rozważałam tego, że nasza relacja mogłaby opierać się na czymś innym niż tylko przyjaźń.

Usłyszawszy od niego to pytanie, nagle musiałam przyjąć do wiadomości, że mój oswojony tygrys to tak naprawdę krzepki, prężny egzemplarz męskości. Serce dudniło mi w klatce piersiowej, a przez głowę przemykało wiele myśli naraz, z których najważniejsza była ta, że owszem, chciałabym, żeby mnie pocałował, i to bardzo.

Ale kołatały mi się w głowie również inne myśli: jest za wcześnie, ledwo się znamy i może on jest po prostu samotny. Zignorowałam je jednak. Za nic mając ostrożność, postanowiłam, że owszem, chcę, by mnie pocałował.

Ren przysunął się odrobinę bliżej. Zamknęłam oczy, wzięłam głęboki wdech i... czekałam. Kiedy otworzyłam oczy, on wciąż się we mnie wpatrywał. Naprawdę czekał na moje pozwolenie! W tamtej chwili na całym bożym świecie nie istniało nic, absolutnie nic, czego pragnęłabym bardziej niż pocałunku tego fantastycznego mężczyzny. Ale już za chwilę wszystko zepsułam. Z jakiegoś powodu zafiksowałam się na jednym słowie i zaczęłam bredzić nerwowo:

— Co masz... hmm... To znaczy... Jak to: czy ci pozwolę?

Ren spojrzał na mnie nierozumiejącym wzrokiem, co sprawiło mnie w jeszcze większą panikę.

Stwierdzenie, że nie miałam doświadczenia w całowaniu, byłoby eufemizmem. Nie tylko nigdy wcześniej nie całowałam się z chłopakiem, ale nigdy nawet nie spotkałam takiego, z którym chciałabym to robić, do czasu gdy pojawił się Ren. Więc zamiast go pocałować, czego bardzo pragnęłam, wpadłam w zakłopotanie i zaczęłam belkotliwie wymyślać argumenty przeciwko.

— Dziewczyinę trzeba zwalić z nóg, a prośba o pozwolenie jest po prostu... po prostu... niedzisiejsza. Nie jest spontaniczna. Nie ma nic wspólnego z namiętnością. Tak zachowują się stare pierniki. Więc skoro już musisz mnie pytać, odpowiedź brzmi... nie.

Ty idiotko! pomyślałam. Oświadczyłaś właśnie temu błękitnokiemu adonisowi, który w dodatku jest księciem, że uważasz go za starego piernika.

Ren patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, na tyle długą, że dojrzałam w jego oczach to, jak bardzo go zraniłam, po czym jego twarz straciła jakikolwiek wyraz. Szybko wstał, sklonił mi się oficjalnie i cicho obiecał:

— Nie będę cię więcej pytał, Kelsey. Wybacz mi zuchwałość.

Zmienił się w tygrysa i natychmiast zniknął w dżungli, pozostawiając mnie sam na sam z własną głupotą.

— Ren! Poczekaj! — zawołałam, ale było za późno.

Nie mogę uwierzyć, że tak go obraziłam! Na pewno nienawidzi mnie teraz! Jak mogłam mu to zrobić? Wiedziałam, że mówiłam to wszystko ze zdenerwowania, ale to nie była żadna wymówka. Co to znaczy? Ze już więcej nie będzie mnie pytał? Ach, tak bardzo bym chciała, żeby zapytał.

W głowie wciąż na nowo powtarzałam własne słowa. Przychodziło mi na myśl tyle rzeczy, które mogłam powiedzieć i które wywarłyby lepszy skutek. Na przykład: „myślałam, że już nigdy nie zapytasz”, albo: „właśnie miałam zapytać cię o to samo”.

Mogłam również chwycić go i pierwsza pocałować. Zdziałałoby nawet zwyczajne „tak”. Mogłabym dodać nieco dramatyzmu, mówiąc: „pocałuj mnie tak, jakby to był ostatni raz”. On w końcu na pewno nigdy nie widział *Casablanki*. Ale nie, ja musiałam bredzić jak potluczona o „pozwalaniu” i „starych piernikach”.

Ren zostawił mnie samą na resztę dnia, dzięki czemu miałam mnóstwo czasu, by zżymać się na własną bezmyślność.



Kilka godzin później siedziałam w słońcu na skale z otwartym pamiętnikiem na kolanach i długopisem w dłoni, wpatrując się w pustkę, całkowicie nieszczęśliwa, gdy usłyszałam jakiś dźwięk dochodzący z dżungli, niedaleko obozowiska.

Wydałam stłumiony okrzyk zdumienia, gdy spośród drzew wynurzył się wielki czarny kot. Okrążył namiot i przystanął, by obwąchać mój pled. Następnie podszedł do ogniska i usiadł przy nim na jakiś czas, zupełnie się go nie bojąc. Po kilku minutach truchtem oddalił się w gęstwiny, tylko po to, by już za moment wynurzyć się z drugiej strony polany. Siedziałam bez ruchu, z nadzieją, że mnie nie zauważył.

Był o wiele większy niż pantera, która zaatakowała mnie przy jaskini Kanheri. Gdy podszedł bliżej, dostrzegłam kruczoczarne paski na futrze w odrobinę jaśniejszym odcieniu. Lśniące bursztynowe oczy lustrowały teren. Nigdy nie słyszałam o czarnym tygrysie, ale bez wątplenia był to tygrys! Chyba mnie nie dojrzał, gdyż, okrążywszy kilka razy obozowisko i powęszywszy z nosem w powietrzu, zniknął w dżungli. Mimo to na wszelki wypadek jeszcze przez dłuższy czas nie ruszałam się z miejsca, by się upewnić, że na dobre sobie poszedł.

Ponieważ wokół panowała cisza, a mnie zaczęły drętwieć ręce, nogi i szyja, postanowiłam, że jest już bezpiecznie i mogę się ruszyć. Dokładnie w tym momencie spośród drzew wyłonił się jakiś mężczyzna. Bez wahania podszedł, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i powiedział:

— Proszę, proszę. Jesteśmy pełni niespodzianek, czyż nie?

Mężczyzna miał na sobie czarną koszulę i spodnie. Był bardzo przystojny, w ciemniejszym, bardziej smagłym typie niż Ben. Miał ciemną skórę, kruczoczarne włosy, dłuższe niż u Rena, ale również odgarnięte do tyłu i lekko kręcone. Jego oczy były złotomiedziane. Spróbowałam jakoś nazwać tę barwę, ale nigdy wcześniej nic takiego nie widziałam. Przypominała pirackie złoto — kolor złotych dublonów. Właściwie to „pirat” byłoby dla niego dobrym określeniem. Wyglądał jak postać z okładki romansu kostiumowego, mroczny zdobywca niewieścich serc.

Kiedy się do mnie uśmiechnął, w kącikach jego oczu ukazały się delikatne zmarszczki. Natychmiast zrozumiałam, kto przede mną stoi. Brat Rena. Obaj byli bardzo przystojni i mieli tę samą królewską postawę. Byli podobnego wzrostu, lecz podczas gdy Ren był wysoki, smukły i muskularny, ten mężczyzna wydawał się cięższy

i bardziej krzepki, szerszy w barkach. Przyszło mi do głowy, że być może bardziej wdał się w ojca, a tymczasem Ren, który miał raczej azjatyckie rysy — błękitne oczy w kształcie migdałów i zlocistobrązową skórę — zapewne przypominał swoją matkę.

Co dziwne, w ogóle się nie bałam, choć wyczułam w powietrzu nutkę niebezpieczeństwa, zupełnie, jakby tygrysia strona jego osobowości przeważała nad ludzką. Głośno oznajmiłam:

— Zanim coś powiesz, chciałabym ci uświadomić, że wiem, kim jesteś. Wiem również, czym jesteś.

Mężczyzna zrobił krok do przodu i nagle w mgnieniu oka znalazł się przy mnie. Ujął mnie pod brodę i uważnie przyjrzał się mojej twarzy.

— I kimże to lub czymże, według ciebie jestem, moja piękna?

Miał bardzo głęboki, aksamitny głos — jak gorący karmel. Jego akcent był wyraźniejszy niż u Rena, a mówił z lekkim wahaniem, jakby dawno już tego nie robił.

— Jesteś bratem Rena, tym samym, który go zdradził i ukradł mu narzeczoną.

Nieznajomy zmrugał oczy, a ja poczułam ukłucie strachu. Mężczyzna cmoknął z niezadowoleniem.

— No, no. Gdzie twoje maniery? Jeszcze nas sobie nie przedstawiono, a ty już rzucasz oskarżenia. Mam na imię Kishan. — Uniósł kosmyk moich włosów i potarł go palcami, a potem przekrzywił głowę. — Jedno muszę Renowi przyznać. Zawsze otacza się pięknymi kobietami.

Już miałam się cofnąć, gdy usłyszałam straszliwy ryk spośród drzew i ujrzałam Rena, galopującego na przelaj przez obozowisko. Z wyszczerzonymi zębami dał susa w powietrze. Jego brat szybko odepchnął mnie na bok i sam również skoczył, zmieniawszy się w czarnego tygrysa, którego widziałam wcześniej. Ren nie posiadał się z wściekłości. Ryczał tak głośno, że czułam, jak wibracje przechodzą przez moje ciało. Dwa tygrysie cielska zwarły się w powietrzu i z ciężkim hukiem walnęły o ziemię. Bestie tarzały się po trawie, szarpały sobie nawzajem grzbiety pazurami i gryzły, gdy tylko nadarzyła się ku temu sposobność.

Odczołgałam się tak daleko na bok, jak się dało, i zatrzymałam się przy wodospadzie, ukryta za krzakami. Próbowałam krzyczeć na nich, by przestali, ale hałas był tak wielki, że zagłuszał mój głos. Dwa wielkie koty stanęły naprzeciwko siebie. Przyczaiły się tuż przy ziemi, z drgającymi ogonami, gotowe do skoku. Zaczęły okrążyć ognisko.

Przez chwilę wydawały z siebie złowieszcze pomruki, a każdy z nich wpatrywał się przeciwnikowi w oczy, starając się zmusić go do odwrócenia wzroku. Postanowiłam, że to najlepszy moment, by interweniować — gdy pazury były na ziemi, nie w powietrzu. Powoli podeszłam, trzymając się bliżej strony Rena.

Zbierając się na odwagę, zaapelowałam:

— Proszę, przestańcie. Obaj. Jesteście braćmi. Nieważne, co się wydarzyło w przeszłości. Musicie porozmawiać. — Zwróciłam się do Rena. — To przecież ty chciałeś go znaleźć. Teraz masz okazję powiedzieć to, co miałeś mu do powiedzenia. — Spojrzałam na Kishana. — A ty? Ren był w niewoli przez wiele lat, a teraz pracujemy nad sposobem, żeby obu wam pomóc. Powinieneś go wysłuchać.

Ren przybrał ludzką postać i odezwał się ostro:

— Masz rację, Kelsey. Rzeczywiście przybyłem tu, żeby z nim porozmawiać, ale widzę, że nie można mu ufać. Nie ma w nim... ani krzty rozważy. Nie powinienem był tu przyjeżdżać.

- Ale Ren...

Ren zajął pozycję przede mną i gniewnie fuknął na czarnego tygrysa.

— *Wasijanta karana! Badamaśa!* Krążę po okolicy od dwóch dni! Nie miałeś prawa tu przychodzić, dobrze wiedząc, że mnie nie ma. I dla własnego dobra lepiej już nigdy nie próbuj dotknąć Kelsey!

Jego brat również zmienił się w człowieka, wzruszył ramionami i powiedział swobodnym tonem:

— Chciałem zobaczyć, czego tak zajadle bronisz. Masz rację. Śledziłem cię od dwóch dni, byłem na tyle blisko, by wiedzieć, co robisz, ale i na tyle daleko, by spotkać się z tobą na własnych warunkach. Jeśli chodzi o wysłuchanie, co masz do powiedzenia, absolutnie mnie to nie interesuje. *Murkh.* — Kishan potarł podbródek i wyszczerzył zęby w uśmiechu, natrafiwszy palcami na zadrapania po walce z Renem. Szybko przeniósł wzrok na mnie, po czym, zerkając z ukosa na brata, dodał: — Chyba że, oczywiście, chcesz rozmawiać o niej. Zawsze interesowały mnie twoje kobiety.

Ren przesunął mnie do tyłu i odpowiedział wściekłym rykiem. Wskoczył w górę, w powietrzu przybrał tygrysią postać i znów zaatakował brata. Przeturlali się przez obozowisko, szczepieni, gryząc i drapiąc, objając się o drzewa i ostre skały. Ren rzucił się na brata z pazurami, lecz zamiast w niego trafił w drzewo, pozostawiając głęboki, poszarpany ślad na grubym pniu.

Czarny tygrys zaczął umykać w dżunglę. Ren rzucił się za nim. Ich gniewne ryki odbijały się echem pośród drzew, plosząc stado ptaków, które ze skrzykiem wzbilo się w powietrze. Walka ciągnęła się co raz to w innej części dżungli. Obserwowałam ich trasę, stojąc na szczycie skały i spoglądając na trzęsące się drzewa oraz stada rozdrażnionych ptaków, wypłoszonych ze swych wygodnych gałęzi.

Ren w końcu wbiegł, zataczając się, na polanę, z Kishanem ucze-pionym pazurami grzbietu i wbijającym zęby w jego kark. Biały tygrys stanął na tylnych nogach i zrzucił z siebie brata. Potem dał susa na skałę nad sadzawką i zwrócił się przodem do niego.

Pozbierawszy się, czarny tygrys skoczył na Bena, który wybił się w powietrze, by zablokować atak. Manewr ten skończył się tym, że obaj wylądowali w wodzie.

Stałam na brzegu sadzawki, obserwując walkę. Co chwila któryś z tygrysów z głośnym szumem i chlupotem wylaniał się z wody, skakał na przeciwnika i podtapiał go. Pazury orały pyski, grzbiety i wrażliwe podbrzusza. Dwa wielkie koty tłukły się i szarpały. Żaden z nich nie mógł pokonać drugiego. Gdy już zaczęłam myśleć, że nigdy nie przestaną, walka jakby osłabła. Kishan, cały poturbowany, wygramolił się z wody, odszedł kilka kroków od brzegu i położył się na trawę. Dysząc ciężko, przez chwilę leżał bez ruchu, po czym zaczął wylizywać łapy.

Ben wylonil się z wody chwilę później. Umiejszcował się między bratem a mną i padł na ziemię u moich stóp. Jego ciało pokrywały głębokie szramy, a krew ciekła z zadrapań, wyraźnie widocznych na białym futrze. Paskudna rana biegła od jego czoła do brody, przecinając prawe oko oraz nos. Duży ślad po ugryzieniu na szyi krwawił niespiesznie.

Przeszłam nad nim i szybko pobiegłam po plecak. Przeszukałam go, aż znalazłam apteczkę, z której wyciągnęłam buteleczkę spirytusu i dużą rolkę gazy. Wrodzony instynkt opiekuńczy odsunął na bok lęk przed krwią i ranami. Wiedziałam, że oba tygrysy potrzebują mojej pomocy, zebrałam się więc na odwagę.

Najpierw podbiegłam do Bena. Wodą z butelki oczyściłam jego rany z ziemi i odłamków skał, po czym nalałam spirytusu na gazę i przycisnęłam w miejscach, które wyglądały najgorzej. Nie wydawało mi się, by jego rany były śmiertelne, wystarczyło zatrzymać krwawienie, ale kilka obrażeń sprawiało wrażenie naprawdę głębokich. Na jednym z boków skóra była tak rozorzana, że wyglądało to, jakby ciało przepuszczono przez maszynkę do mięsa.

Ren wydawał z siebie ciche pomruki, a ja zajęłam się ugryzieniem na jego szyi. Wyjęłam z apteczki duży plaster z opatrunkiem, polalałam go spirytusem i przycisnęłam do rany, by zatamować krew. Ren zareagował na szczypanie cichym ryknięciem, a ja uśmiechnęłam się do niego ze współczuciem. Zostawiłam opatrunek na miejscu i na koniec przemyłam mu pysk. Mamrocząc słowa pociechy, zajmowałam się czołem i nosem, uważając, by nie urazić oka. Rana nie wyglądała tak źle, jak mi się z początku wydawało. Być może zadziałała moja wyobraźnia.

Zrobiłam, co mogłam, ale bałam się infekcji i poważnie martwiłam się bokiem oraz okiem Rena. Przycisnęłam mu gaźę do czoła, a po policzku spłynęła mi łza.

Tygrys lizal mnie w nadgarstek, a ja pogłaskalam go po pysku i wyszeptalam:

— Ren, to okropne. Tak mi przykro. Na pewno strasznie cię boli. — Łza kapnęła na tygrysi nos. — Muszę się teraz zatroszczyć o twojego brata.

Otarłam oczy, sięgnęłam po kolejną rolkę gazy i zajęłam się czarnym tygrysem. Dużo czasu poświęciłam szczególnie paskudnej, głębokiej szramie ciągnącej się od szyi do klatki piersiowej. Rana od ugryzienia na grzbiecie była pełna ziemi i drobinek zwiru. Mocno krwawiła, dzięki czemu sama się przemywała. Przycisnęłam opatrunek, żeby zmniejszyć krwawienie, i po kilku minutach mogłam już zabrać się do dezynfekcji. Kishan pomrukiwał cicho, a grzbiet mu drgał, gdy polewalam go szczypiącym spirytusem.

Przytrzymałam na ranie kawałek gazy, a łzy dalej spływały mi po brodzie. Pociągnęłam nosem.

— Tu przydałby się szew — stwierdziłam, po czym zwracając się do obu tygrysów, dodałam z przyganą: — Zobaczycie, obaj dostaniecie infekcji i odpadną wam ogony.

Prychnięcie Kishana podejrzenie przypominało śmiech, przez co zesztyniałam i ogarnęła mnie lekka irytacja.

— Mam nadzieję, że zdajecie sobie obaj sprawę, jak bardzo nie lubię krwi. Poza tym, na przyszłość wiedzcie, że to ja będę decydować, kto może albo nie może mnie dotknąć. Nie jestem kłębkim włóczki do zabawy. Nie jestem również tą, która was podzieliła. To, co się między wami wydarzyło, należy do przeszłości i mam nadzieję, że w końcu potraficie wybaczyć sobie nawzajem.

Mój wzrok napotkał parę złotych ślepi. Wyjaśniłam:

— Ren i ja przybyliśmy tutaj, ponieważ szukamy sposobu na złamanie klątwy. Pomaga nam pan Kadam i mamy już jakieś pojęcie o tym, od czego zacząć. Poszukamy czterech darów dla Durgi, w zamian za co obaj będziecie mogli znowu stać się ludźmi. Teraz już wiesz, czemu tu jesteśmy, możemy więc wszyscy wrócić do pana Kadama i ruszyć w dalszą drogę. Myślę, że obaj powinniście zgłosić się do lekarza.

Ren wydal z siebie głęboki pomruk i zaczął lizać łapy. Czarny tygrys przewrócił się na bok, ukazując długie zadrapanie ciągnące się od szyi aż do brzucha. Oczyściłam i tę ranę. Gdy skończyłam, poszłam do plecaka i schowałam do środka buteleczkę ze spirytusem.

Otarłam oczy rękawem, odwróciłam się i aż podskoczyłam na widok Kishana stojącego za mną w ludzkiej postaci. Ren podniósł się zaniepokojony, uważnie i podejrzliwie obserwując każdy ruch brata. Machał ogonem, a z jego piersi dobywały się głębokie pomruki.

— Proszę, pozwól mi przedstawić się we właściwy sposób. Mam na imię Kishan i jestem nieszczęsnym młodszym bratem tego tutaj.

Tu zerknął na Rena — który podkradł się bliżej, by mieć go na oku — a potem znów przeniósł wzrok na mnie. Wyciągnął rękę, a kiedy podałam mu swoją, uniósł ją do ust i pocałował, po czym sklonił mi się nisko z poważną miną.

— Czy mogę spytać, jak masz na imię?

— Nazywam się Kelsey. Kelsey Hayes.

— Kelsey. Cóż, po pierwsze doceniam twój wysilek, uczyniony w naszym imieniu. Jeśli wcześniej cię przestraszyłem, proszę o wybaczenie. — Uśmiechnął się. — Od dawna nie miałem do czynienia z młodymi damami. Te dary, które masz zamiar ofiarować Durdze... Czy byłabyś uprzejma opowiedzieć mi o nich coś więcej?

Ren warknął z niezadowoleniem.

Skinęłam głową.

— Kishan. Tak masz na imię prawda?

— Nazywam się Sohan Kishan Rajaram, ale jeśli chcesz, możesz mi mówić Kishan. — Błysnął olśniewającym uśmiechem. Jego zęby wydawały się jeszcze bielsze na tle ciemnej skóry. Zaoferował mi swoje ramię.

— Kelsey, chciałbym cię prosić, byś usiadła i porozmawiała ze mną chwilę.

Kishan miał w sobie coś czarującego. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że natychmiast go polubiłam i zaufałam mu. W pewnym

sensie był podobny do brata. Tak jak Ren sprawiał, że człowiek czuł się w jego towarzystwie całkowicie swobodnie. Być może dlatego, że szkolono ich w sztuce dyplomacji. Pewnie też matka tak ich wychowała. Niezależnie od powodu, moja reakcja była pozytywna. Uśmiechnęłam się do niego.

— Bardzo chętnie — odpowiedziałam.

Kishan wsunął sobie moją rękę pod ramię i podprowadził mnie do ogniska. Ren wydał z siebie kolejny gniewny pomruk, zaś Kishan rzucił bratu w odpowiedzi uśmiezek triumfatora. Zauważyłam, że siadając, skrzywił się, zaproponowałam mu więc aspirynę.

— Nie powinniśmy przypadkiem wezwać lekarza do was obu? Naprawdę uważam, że potrzebujesz szwów, a Ren...

— Dziękuję ci, ale nie. Nie powinnaś przejmować się naszymi drobnymi bólczkami.

— Nie nazwałabym twoich obrażeń drobnymi, Kishanie.

— Klątwa sprawia, że wszelkie urazy szybko się goją. Wkrótce się o tym przekonasz. Obaj prędko wyzdrowiejemy bez niczyjej pomocy. Mimo to przyjemnie, gdy piękna kobieta opatruje twoje rany.

Ren stanął przed nami. Wyglądał jak tygrys tknięty atakiem apopleksji.

— Ren, zachowuj się — upomniałam go.

Kishan uśmiechnął się szeroko i poczekał, aż usadowię się wygodnie. Potem przysiadł obok i położył ramię na pieńku, o który opierałam się plecami.

Ren wkroczył pomiędzy nas, brutalnie odepchnął brata na bok kosmatym lbem i wcisnął się w środek. Ciężko opadł na ziemię i ułożył mi głowę na kolanach.

Kishan zmarszczył brwi, ale w tym momencie zaczęłam opowiadać mu o naszych dotychczasowych przejściach. O tym, jak poznałam Rena w cyrku i jak podstępem sklonił mnie do podróży do Indii. Opowiedziałam o Phecie, jaskini Kanheri i odnalezieniu przepowiedni. I o tym, że jesteśmy właśnie w drodze do Hampi.

Pogrążona w opowieści, głaskałam leb Rena. Biały tygrys zamknął oczy i mruczał, a potem zasnął. Mówiłam prawie przez godzinę, ledwo zauważając zmarszczone brwi i zamyślony wyraz twarzy Kishana, który bacznie nas obserwował. Nie zauważyłam nawet, kiedy zmienił się z powrotem w tygrysa.

15

POLOWANIE



Dorodny czarny tygrys wpatrywał się we mnie lśnącymi żółtymi ślepiami, zaabsorbowany moją opowieścią. Skończyłam właśnie relację z przygód w jaskini Kanheri.

Była późna noc. Dżungla, zwykle pełna rozmaitych hałasów, pograżyła się w ciszy, nie licząc trzaskającego ognia. Bawilam się miękkimi uszami Rena, który wciąż miał zamknięte oczy i cicho mruczał, a może raczej pochrapywał.

Zmieniwszy się znów w człowieka, Kishan spojrzał na mnie w zamyszeniu i powiedział:

— To wszystko brzmi bardzo... interesująco. Mam tylko nadzieję, że tobie przez ten cały czas nic się nie stało. Przewrotnie byłoby, gdybyś wróciła do domu i pozostawiła nas własnemu losowi. Wygląda na to, że to dopiero początek długiej misji, pełnej niebezpieczeństw.

— Dotychczas chronił mnie Ren, a pod opieką dwóch tygrysów już na pewno nic mi się nie stanie.

Kishan zawahał się.

— Nawet z dwoma tygrysami u boku wiele rzeczy może pójść nie tak, Kelsey. A ja... nie zamierzam z wami jechać.

— Co? Jak to? Wiemy, jak złamać zaklęcie. Nie rozumiem. Czemu nie chcesz pomóc nam... i sobie?

Kishan z zakłopotaniem zmienił nieco pozycję i wyjaśnił:

— Z dwóch powodów. Po pierwsze, nie chcę mieć już nikogo więcej na sumieniu. Wystarczającej liczbie ludzi sprawiłem w życiu ból.

Po drugie... cóż, nie wierzę po prostu, że nam się uda. Myślę, że wy dwoje i pan Kadam gonicie za duchami.

— Za duchami? Nie rozumiem.

Kishan wzruszył ramionami.

— Widzisz, Kelsey, ja się już przyzwyczaiłem do tego, że jestem tygrysem. Właściwie to całkiem niezłe życie i pogodziłem się z tym, jak wygląda. — Tu umilkł i zamyślił się.

— Czy jesteś pewien, Kishanie, że to nie ty właśnie gonisz za duchami? Zostając tutaj, w dziczy, chcesz się ukarać, mam rację?

Młodszy książę zeszywniał. Rzucił mi gniewne spojrzenie. Na jego twarzy pojawił się zimny, obojętny wyraz, a w oczach dojrzałam szok i ból. Moja obcesowość głęboko go zraniła. Zupełnie jakbym gwałtownym ruchem zerwała plaster, starannie zakrywający rany przeszłości.

Położyłam dłoń na jego dłoni i spytałam:

— Kishanie, nie chcesz mieć przyszłości? Założyć rodziny? Wiem, co się czuje, kiedy umiera ktoś, kogo kochasz. Jesteś samotny, zalamany, czujesz, że już nigdy nie będziesz pełną osobą, jakby ci, którzy odeszli, zabrali z sobą kawałek ciebie. Ale ty nie jesteś sam. Są ludzie, na których może ci zależeć i którym zależy na tobie. Ludzie, którzy dadzą ci powód, żeby żyć dalej. Pan Kadam, twój brat i ja. Ryć może znajdziesz jeszcze nawet kogoś, kogo pokochasz. Proszę, pojedź z nami do Hampi.

Kishan odwrócił wzrok i cichym głosem powiedział:

— Już dawno, dawno temu przestałem snuć marzenia, które nigdy się nie spełnią.

Mocniej ścisnęłam go za rękę.

— Kishanie, proszę cię, zastanów się jeszcze.

Odwzajemnił uścisk dłoni i uśmiechnął się.

— Przykro mi, Kelsey — Wstał i przeciągnął się. — A teraz, jeśli nadal nalegacie na tak daleką wyprawę, Ren musi zapolować.

— Zapolować? — Skuliłam się odruchowo. Z tego, co zdażyłam zauważyć, Ren nie jadł zbyt dużo.

— Być może to, co je, wystarczyłoby człowiekowi, ale dla tygrysa to zdecydowanie za mało. Ren przez większość czasu jest tygrysem, a żeby miał siły chronić cię w podróży, musi zjeść coś dużego, dzika albo bawoła.

Ciężko przelknęłam ślinę.

— Jesteś tego pewien?

— Tak. Jak na tygrysa Ren jest bardzo chudy. Musi nabrać sił. Potrzebuje białka.

Pogłaskalam Rena po grzbiecie. Rzeczywiście, czułam pod palcami jego żebra.

- W porządku, przypilnuję, żeby zapolował, zanim ruszymy z powrotem.

— To dobrze. — Kishan sklonił głowę i uśmiechnął się do mnie. Ujął moje palce na pożegnanie i nie wyglądało na to, by miał ochotę je puścić. W końcu rzucił: — Dziękuję ci, Kelsey, za interesującą pogawędkę.

Zmienił się w tygrysa i dał susa w dżungłę.

Ren nadal spał z głową na moich udach, posiedziałam więc jeszcze trochę w milczeniu. Głaskalam go po grzbiecie i patrzyłam na pozostałe po walce zadrapania. Głębokie szramy, które widziałam zaledwie godzinę temu, prawie całkiem się już zagoiły. Rana przecinająca pysk i oko zniknęła. Nie pozostała po niej nawet blizna.

Gdy nogi całkiem mi już zdrętwiały pod tygrysim ciężarem, wysliznęłam się spod jego lba i dołożyłam drew do ognia. Ren przewrócił się na bok i spał dalej. Ta walka musiała go dużo kosztować. Kishan ma rację. Ren musi zapolować, żeby zachować siły.

Ren spał dalej, a ja krzątałam się po obozowisku. Zebrałam więcej drewna na opał i zjadłam kolację.

Gdy sama poczułam się śpiąca, wzięłam pled babci, owinęłam się nim i położyłam się obok Rena. Z jego piersi dobiegł głuchy pomruk, ale tygrys nie otworzył oczu. Przysunął się tylko bliżej. Używając jego grzbietu jako poduszki, zasnęłam, patrząc na gwiazdy.

Obudziłam się przed południem, zaplątana w pled. Rozejrzałam się, ale Rena nigdzie nie było. Ognisko jednak buzowało, jakby dopiero co dorzucił do niego drewna. Przewróciłam się na brzuch, usiłując wyzwolić się z pledu, i wydałam stłumiony okrzyk, gdy ból przeszył mi plecy.

Pomasowałam obolale miejsce.

— Zbyt wiele nocy przespanych na twardej ziemi. Niedługo będziesz miała ciało staruszki — jęknęłam do siebie. W końcu dałam za wygraną i z powrotem położyłam się na brzuchu.

Usłyszałam miękkie kroki i nagle ujrzałam nos Rena tuż przed swoją twarzą.

— Och, nie przejmuj się mną. Poleżę tu sobie, aż kręgi powskakują mi z powrotem na swoje miejsca.

Ren odwrócił się i zaczął ugniatać mi plecy łapami. Zaśmiałam się z bólu, usiłując odzyskać dech w piersiach. Ren był jak bardzo, bardzo ciężki kociak, ostrzący pazury o kanapę.

— Bardzo ci dziękuję, ale jesteś za ciężki — pisałam resztką sil. - Nie mogę złapać tchu.

Masywne tygrysie łapy oderwały się od moich pleców i już za chwilę zastąpiły je silne, ciepłe dłonie. Ren zaczął masować mi okolice krzyża, a ja wróciłam myślami do nieszczęsnego incydentu z po-calunkiem. Zacerwieniłam się i zeszywniałam, przez co ból w plecach jeszcze się nasilił.

— Rozluźnij się, Kelsey. Masz strasznie ściśnięte mięśnie. Pomogę ci, tylko mi pozwól.

Staralam się nie myśleć o Renie. Zamiast tego skupiłam się na wspomnieniu jedyne go masażu w moim życiu, który otrzymałam od pewnej pani w średnim wieku. Ryło to niezwykle bolesne doświadczenie i już nigdy więcej go nie powtórzyłam. Masażystka naciskała zbyt mocno i wbijała mi łokcie w łopatki. Bałam się zaprotestować, cierpiałam więc w milczeniu. Każda minuta była torturą. Z każdym bolesnym dotykiem powtarzałam jak mantrę: „Żeby już się skończyło. Żeby już się skończyło”.

Tym razem było zupełnie inaczej. Ben był delikatny i nie naciskał zbyt mocno. Okrężnymi ruchami posuwał się w dół kręgosłupa, odnajdując skurczone mięśnie, nad którymi pracował, aż stawały się ciepłe i rozluźnione. Gdy skończył z plecami, przesunął palce w górę kręgosłupa, do kołnierzyka koszulki, i zaczął masować ramiona i szyję, co sprawiało, że moje ciało przeszywały ciepłe, mrowiące iskierki.

Jego zręczne palce zaczęły od nasady włosów i okrężnymi ruchami wędrowały w dół szyi. Potem Ren zwiększył nieco nacisk, przechodząc od szyi do ramion, po czym zaczął ugniatać mój kark, swobodnie i systematycznie rozluźniając skurczone mięśnie. Stopniowo jego dotyk stawał się bardziej delikatny, aż w końcu przeszedł w pieszczotę. Głęboko westchnęłam z rozkoszy.

Kiedy skończył, usiadłam, ostrożnie testując kręgosłup. Ren wstał, chwycił mnie pod łokcie i pomógł się podnieść.

— Lepiej się czujesz, Kelsey?

Uśmiechnęłam się do niego.

— Tak. Bardzo ci dziękuję.

Zarzuciłam mu ramiona na szyję i uściskałam go czule.

Wydawał mi się sztywny. Nie odwzajemnił uścisku. Odsunęłam się i dostrzegłam, że ma zaciśnięte usta i nie chce spojrzeć mi w oczy.

— Ren?

Odplątał moje ramiona ze swojej szyi, przytrzymał moje dłonie przed sobą i w końcu na mnie popatrzył.

— Cieszę się, że lepiej się czujesz.

Przeszedł na drugą stronę ogniska i zmienił się w tygrysa.

Niedobrze. Co to miało być? Nigdy wcześniej nie był wobec mnie taki zimny. Pewnie wciąż się gniewa o tamtą sprawę z całowaniem. A może jest zły z powodu Kishana. Nie wiem, jak to naprawić. Nie jestem dobra w gadaniu o związkach i takich tam. Co mogę powiedzieć, żeby naprawić nasze stosunki?

Zamiast rozmawiać o nas, naszej relacji albo sprawie z pocałunkiem, która najwyraźniej wciąż wisiała w powietrzu, postanowiłam zmienić temat. Odchrząknęłam.

— Ren, musisz zapolować, zanim ruszymy z powrotem. Twój brat powiedział, że musisz jeść, i zgadzam się, że powinieneś o tym pomyśleć.

Tygrys prychnął tylko i przewrócił się na bok.

— Mówię poważnie... Obiecałam mu, że to zrobisz i... Nie wróć z tobą, dopóki nie zapolujesz. Kishan powiedział, że jesteś za chudy jak na tygrysa i powinieneś zjeść dzika albo coś takiego. Poza tym sam mówiłeś, że lubisz polować.

Ren podszedł do drzewa i zaczął ocierać się o nie grzbietem.

— Coś ci śwędzi? Podrapię cię — zaproponowałam. — Przynajmniej tak mogę ci się odwdziżyć za masaż.

Biały tygrys znieruchomiał na chwilę i spojrzał na mnie, a potem opadł plecami na ziemię i zaczął się tarzać, wykręcając ciało to w jedną, to w drugą stronę i przecinając łapami powietrze.

Dotknięta tą nieelegancką odprawą, krzyknęłam:

— Wolisz tarzać się po ziemi, niż pozwolić mi się podrapać? I bardzo dobrze! Radź sobie sam, ale ja nadal nie zamierzam się stąd ruszyć, póki nie zapolujesz! — Obróciłam się na pięcie, chwyciłam plecak, wgramoliłam się do namiotu i zapięłam suwak przy wejściu.

Gdy wyrzalam na zewnątrz pół godziny później, Rena nie było. Westchnęłam i zabrałam się do uzupełniania zapasów drewna na opał. Ciągnęłam właśnie ciężki pieńek w stronę ogniska, kiedy usłyszałam głos dochodzący z lasu. Kishan obserwował mnie, oparty o drzewo. Gwizdnął.

— Kto by się spodziewał, że taka drobna osóbką ma takie muskuły?

Zignorowałam go i dociągnęłam pieńek do ogniska, po czym otrzepałam ręce, usiadłam i sięgnęłam po butelkę wody.

Kishan usadowił się obok mnie, odrobinę za blisko, i wyciągnął przed siebie długie nogi. Zaproponowałam mu wodę. Nie odmówił.

— Nie wiem, co mu powiedziałaś, Kelsey, ale cokolwiek to było, Ren poluje.

Skrzywiłam się.

— Mówił ci coś?

— Tylko żebym miał na ciebie oko pod jego nieobecność. Polowanie może zająć kilka dni.

— Naprawdę? Nie miałam pojęcia, że to tak długo trwa. — Zawałam się. — Więc... nie przeszkadza mu, że tu jesteś?

— Och, oczywiście, że przeszkadza. — Kishan rozeźmiał się cicho. — Ale woli mieć pewność, że nic ci się nie stanie.

— Cóż, zdaje mi się, że jest zły na nas oboje.

Kishan uniósł brwi z zaciekawieniem.

— Jak to?

— Hmm... Powiedzmy, że zaszło między nami nieporozumienie. Kishan nachmurzył się.

— Nie przejmuj się, Kelsey. Jestem pewien, że chodzi mu o jakąś głupotę. Mój brat lubi urządzać awantury.

Westchnęłam i ze smutkiem potrząsnęłam głową.

— Nie, to naprawdę wszystko przeze mnie. Mam trudny charakter, robię problemy i czasami ciężko ze mną wytrzymać. Ren prawdopodobnie przyzwyczaił się do towarzystwa bardziej wyrafinowanych i doświadczonych kobiet, o wiele... wiele... cóż, o wiele lepszych ode mnie.

Kishan zamrugał.

— Z tego co wiem, Ren w ogóle nie miał do czynienia z kobietami. Muszę przyznać, że coraz bardziej ciekawi mnie, o co się pokłóciliście. Ale niezależnie od tego, czy mi o tym opowiesz, czy nie, nie pozwolę, żebyś w ten sposób o sobie mówiła. Ren jest szczęściarzem, że cię ma, i lepiej niech sobie to uświadomi. — Kishan uśmiechnął się szeroko. — Oczywiście jeśli nie masz ochoty na jego dalsze towarzystwo, zawsze możesz zostać ze mną.

— Dzięki za propozycję, ale naprawdę nie chcę mieszkać w dżungli. Książę rozeźmiał się.

— Dla ciebie rozważyłbym nawet przeprowadzkę. Ty, moja piękna, jesteś nagrodą, o którą warto powalczyć.

Parsknęłam śmiechem i lekko szturchnęłam go w ramię.

— A z pana, drogi panie, jest kawał flirciarza. Jaka nagroda? Obaj chyba zbyt długo pozostajecie tygrysami. Żadna ze mnie piękność, zwłaszcza kiedy tkwię w środku dżungli. Nie wiem jeszcze nawet, co chcę studiować. Co takiego zrobiłam, że ktokolwiek ma ochotę o mnie walczyć?

Choć było to pytanie retoryczne, Kishan najwyraźniej potraktował je poważnie. Zastanowił się przez chwilę, po czym rzekł:

— Po pierwsze, nigdy nie spotkałem kobiety, która tak bardzo poświęcałaby się dla innych. Ryzykujesz własne życie dla kogoś, kogo znasz od zaledwie kilku tygodni. Jesteś pewna siebie, rzutka, inteligentna i pełna empatii. Poza tym uważam cię za czarującą i, owszem, piękną dziewczynę.

Złotooki książę przesunął palcem po moich włosach. Zaczerwieniłam się, słysząc jego słowa. Popilam wody, a potem powiedziałam cicho:

— Nie chcę, żeby Ren się na mnie gniewał.

Kishan wzruszył ramionami i opuścił rękę. Wyglądał na poirytowanego tym, że znów mówię o jego bracie.

— Tak. Nieraz doświadczałem jego złości i przekonałem się o tym, jaki potrafi być pamiętliwy.

— Kishanie, czy mogę ci zadać... osobiste pytanie?

Książę roześmiał się cicho i potarł dłonią podbródek.

— Do usług, pani.

— Chodzi o narzeczoną Rena.

Kishan spochmurniał i przez zaciśnięte zęby wymamrotał:

— Co chcesz wiedzieć?

Zawahałam się przez chwilę.

— Czy była piękna?

— Owszem. Była.

— Opowiesz mi o niej trochę?

Książę nieco się rozluźnił i wbił wzrok w gęstwinę drzew. Przeszeszał włosy palcami i się zadumał.

— Yesubai była zachwycająca. Najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek znałem — powiedział cicho. — Gdy ją ostatni raz widziałem, ubrana była w lśniącą złotą szarą z paskiem wysadzonym klejnotami, a kręcone włosy przepłotła złotym łańcuszkiem. Wyglądała jak panna młoda. Choć minęły setki lat, ja wciąż pamiętam każdy szczegół.

— A więc była ładna?

— Miała śliczną owalną twarz, pełne różowe usta, ciemne rzęsy oraz brwi i niesamowite fioletowe oczy. Była drobna, sięgała mi zaledwie do ramienia. Kiedy nie upinała włosów, często przykrywała je chustą. Ale wiem, że były gładkie i jedwabiste, czarne jak skrzydło kruka i tak długie, że opadały kaskadami aż do kolan.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie Rena z tą idealną kobietą. Ogarnęło mnie uczucie, którego dotąd nie znalazłam. Przeszyło mi serce na wylot, do samego rdzenia mojego jestestwa. Kishan mówił dalej:

— Zapraǳnęłam jej od pierwszego wejrzenia. Poczulem, że nie mógłbym być z nikim innym.

— Jak się poznaliście? — spytałam.

— Renowi i mnie nie wolno było walczyć jednocześnie, na wypadek, gdyby jeden z nas zginął i zabrakłoby następcy tronu. Gdy Ren brał udział w wojnie, ja tkwiem w domu, pobierając lekcje u Kadama, ucząc się strategii militarnej i pracując z żołnierzami.

Pewnego dnia, wracając z ćwiczeń, wybrałem drogę przez królewskie ogrody. Yesubai stała przy fontannie, z której właśnie zebrala kwiat lotosu. Ramiona miała owinięte chustą. Spytałem, jak ma na imię, a ona odwróciła się, zakryła swoją przepiękną twarz i wbiła wzrok w ziemię.

— Czy zrozumiałeś wtedy, kim jest?

— Nie. Yesubai dygnęła, przedstawiła się i uciekła do pałacu. Stwierdziłem, że to zapewne córka jednego z dygnitarzy goszczących u moich rodziców. Wróciłem do pałacu i od razu zacząłem o nią pytać. Wkrótce dowiedziałem się, że ma poślubić mego brata! Ogarnęła mnie szalenie zazdrość. Zawsze byłem na drugim miejscu. Renowi dostało się wszystko to, czego pragnąłem w życiu. Ryl ulubionym synem, lepszym politykiem, przyszłym królem, a teraz jeszcze narzeczonym dziewczyny, której pragnąłem.

On jej nawet nie znał — prychnął Kishan. — Nie miałem nawet pojęcia, że rodzice szukają dla niego żony! Miał tylko dwadzieścia jeden lat. Ja miałem dwadzieścia. Spytałem ojca, czy to ja mógłbym zostać narzeczonym Yesubai. Przekonywałem, że dla Rena można znaleźć inną księżniczkę. Zaproponowałem nawet, że sam to zrobię.

— Co powiedział twój ojciec?

— Był w owym czasie całkowicie skupiony na wojnie. Tłumaczyłem mu, że Renowi będzie wszystko jedno, ale ojciec nie chciał mnie wysłuchać. Twierdził, że umowa z ojcem Yesubai jest nie do

odwrócenia. Jej ojciec nalegał, by jego córka poślubiła następcę tronu, dzięki czemu zostałaby w przyszłości królową.

Kishan wyciągnął ramiona na pieńku, o który się opieraliśmy, i mówił dalej:

— Kilka dni później Yesubai wyjechała w karawanie, by poznać Rena, podpisać dokumenty i wziąć udział w ceremonii zaręczyn. Została z nim tylko kilka godzin, ale podróż zajęła tydzień. To był najdłuższy tydzień mojego życia. Potem Yesubai wróciła do pałacu, żeby na niego zaczekać.

Złote oczy przeszły mi na wylot.

— Przez trzy miesiące księżniczka czekała na Rena w pałacu, a ja z całych sił starałem się jej unikać. Ona jednak była samotna i pragnęła towarzystwa, kogoś, kto chodziłby z nią na spacer, zgodziłem się więc niechętnie, myśląc, że uda mi się utrzymać uczucia na wodzy.

Powtarzałem sobie, że niedługo będzie moją siostrą, nie ma więc nic złego w tym, że ją lubię, ale im lepiej ją poznawałem, tym mocniej się zakochiwałem i tym większa ogarniała mnie gorycz. Pewnego wieczoru, gdy spacerowaliśmy po ogrodzie, Yesubai przyznała, że to ze mną wolałaby być zaręczona.

Nie posiadałem się z radości! Natychmiast chciałem ją objąć, ale mnie powstrzymała. Bardzo skrupulatnie przestrzegała zasad. Zadbala nawet o przywoitkę, która dyskretnie podążała za nami podczas wspólnych spacerów. Błagała, bym poczekał, i obiecywała, że wymyśli sposób, żebyśmy mogli być razem. Byłem szczęśliwy jak wariat i gotów na wszystko, aby tylko uczynić ją moją narzeczoną.

Wzięłam Kishana za rękę. Ścisnął moją dłoń i opowiadał dalej:

— Powiedziała, że starała się odsunąć swoje uczucia na bok dla dobra rodziny, dla dobra królestwa, ale nie potrafiła nic poradzić na to, że mnie kocha. Mnie, nie Rena. Po raz pierwszy w życiu ktoś wybrał właśnie mnie, nie jego. Byliśmy oboje bardzo młodzi i zakochani. Gdy zaczęła się zbliżać data powrotu Rena, Yesubai ogarnęła desperacja. Nalegała, bym porozmawiał z jej ojcem. Było to oczywiście absolutnie nie na miejscu, ale ja, chory z miłości, zgodziłem się, zdecydowany zrobić wszystko, by ją uszczęśliwić.

— Co powiedział jej ojciec?

— Zgodził się oddać mi ją za żonę, jeśli tylko przystanę na pewne warunki.

Przerwałam mu:

— To wtedy postanowiliście zastawić na Rena pułapkę, prawda?

Kishan skrzywił się.

— Tak. W mojej głowie Ren był przeszkodą, którą muszę pokonać, by zdobyć Yesubai. Naraziłem go na niebezpieczeństwo po to, żeby ją mieć. Jedyne, co mam na swoją obronę, to to, że powiedziano mi, iż żołnierze odprowadzą go do pałacu jej ojca, gdzie zmienimy warunki umowy między królestwami. Oczywiście nic nie poszło zgodnie z planem.

— Co się stało z Yesubai? — zapytałam.

— To był wypadek — odparł Kishan cicho. — Uderzona, upadła i złamała kark. Umarła w moich ramionach.

Ścisnęłam jego dłoń.

— Tak mi przykro, Kishanie.

Bardzo chciałam znać odpowiedź na jedno pytanie i choć nie byłam pewna, czy mogę je zadać, postanowiłam spróbować:

— Kishanie, pytałam kiedyś pana Kadama, czy Ren kochał Yesubai, a on nie udzielił mi jednoznacznej odpowiedzi.

Kishan roześmiał się gorzko.

— Ren kochał swoje wyobrażenie o niej. Była piękna, godna pożądania, byłaby z niej wspaniała towarzyszka życia i królowa. Ale mój brat tak naprawdę jej nie znalazł. W listach nalegał, by nazywać ją Rai, ona zaś miała mówić do niego Ren. A ona nie cierpiała zdrobnień. Uważała, że używają ich tylko ludzie z niższych kast. Właściwie to ani on jej nie znalazł, ani ona jego.

Na początku poczułam ulgę, ale potem przypomniałam sobie, jak Kishan opisywał Yesubai. To, że niezbyt dobrze zna się dziewczynę, nie znaczy wcale, że nie można jej pragnąć czy pożądać. Bardzo możliwe, że Ren wciąż nosił w sercu uczucie do utraconej narzeczonej.

Ramię Kishana przeszył ledwo dostrzegalny dreszcz i wiedziałam, że jego czas jako człowieka właśnie się kończy.

— Dziękuję, że dotrzymałeś mi towarzystwa, Kishanie. Mam więcej pytań. Szkoda, że nie możemy porozmawiać dłużej.

— Zostanę tu do powrotu Rena. Ryć może jutro znów pogawędzimy.

— Bardzo bym chciała.

Nieszczęsny książę zmienił się w czarnego tygrysa, ułożył w wygodnym miejscu i zapadł w drzemkę. Postanowiłam zająć się pamiętnikiem.

Myśl o śmierci Yesubai sprawiała, że czułam się okropnie. Otworzyłam pamiętnik na pustej stronie, ale zamiast pisać, narysowałam dwa tygrysy, pomiędzy którymi stała piękna długowłosa dziewczyna.

Szkicując linię łączącą dziewczynę i tygrysy, westchnęłam. Trudno dojść do ładu z własnymi uczuciami na papierze, jeśli nie uporządkowało się ich najpierw w głowie.

Ren nie wracał. Kishan przespał całe popołudnie. Mijałam go kilka razy, szurając głośno, ale się nie obudził.

— Ładny z ciebie obrońca — wymamrotałam. — Mogłabym zniknąć w dżungli, a ty byś się nie zorientował.

Wielki czarny tygrys sapnął cicho, prawdopodobnie dając mi do zrozumienia, że owszem, widzi, co się dzieje, nawet przez sen. Przez resztę popołudnia czytałam w ciszy i tęskniłam za Renem. Nawet gdy był tygrysem, zawsze wyczuwałam, że mnie słucha i byłby gotów mi odpowiedzieć.

Po kolacji pogłaskałam Kishana po głowie i udałam się do namiotu, żeby się trochę przespać. Gdy położyłam głowę na ramieniu, od razu dostrzegłam pustą przestrzeń w miejscu, gdzie zawsze spał Ren.

Następne cztery dni upłynęły w tym samym rytmie. Kishan trzymał się w pobliżu, kilka razy dziennie wychodził na obchód okolicy, po czym wracał i towarzyszył mi podczas lunchu. Po posiłku zmieniał się w człowieka i pozwalał, bym zasypywała go pytaniami o życie w pałacu i kulturę jego kraju.

Piątego dnia rano coś się zmieniło. Kishan przybrał ludzką postać, gdy tylko wyloniłam się z namiotu.

— Kelsey, martwię się o Rena. Długo go nie ma i nie wyczuwam nigdzie jego zapachu. Podejrzewam, że nie szczęści mu się na polowaniu. Nie polował, odkąd go uwięziono, czyli od ponad trzystu lat.

— Myślisz, że coś mu się stało?

— To możliwe, ale pamiętaj, że obaj szybko wracamy do zdrowia. Nie ma tu wielu stworzeń, które mogą zaatakować tygrysa, są jednak klusownicy i sidła. Chyba powinienem go poszukać.

— Myślisz, że łatwo będzie go znaleźć?

— Jeśli ma choć trochę oleju w głowie, trzyma się rzeki. Większość stad zbiera się nad wodą. A skoro mowa o jedzeniu, zauważyłem, że zaczyna brakować ci zapasów. Zeszłej nocy, gdy spałaś, spotkałem się z panem Kadamem. Rozbił namiot przy drodze. Przyniosłem ci od niego paczki z jedzeniem. — Wskazał na plecak leżący obok namiotu.

— Musiałeś nieść go w pysku przez całą drogę. Dziękuję.
Kishan uśmiechnął się szeroko.
— Bardzo proszę, moja piękna.
Roześmiałam się.
— Na pewno wolaleś dźwigać w zębach plecak przez dobrych kilka kilometrów, niż żeby Ren zatopił swoje zęby w twoim boku za to, że pozwoliłeś mi umrzeć z głodu, co?
Kishan zmarszczył brwi.
— Zrobilem to dla ciebie, Kelsey. Nie dla niego.
Położyłam mu dłoń na ramieniu.
— W każdym razie dziękuję ci.
Kishan złapał moją rękę.
— *Apke lije*. Dla ciebie wszystko.
— Powiedziałeś panu Kadamowi, że zostaniemy tu trochę dłużej?
— Tak. Wszystko mu wyjaśniłem. Nie martw się o niego. Rozbil sobie przyjemne obozowisko przy drodze i poczeka tak długo, jak będzie trzeba. A teraz chciałbym, żebyś spakowała kilka butelek z wodą i trochę jedzenia. Zabieram cię ze sobą. Zostawiłbym cię tu, ale Ren twierdzi, że kiedy zostajesz sarna, wpadasz w kłopoty. — Dotknął mojego nosa. — Czy to prawda, *bilauta* Trudno mi sobie wyobrazić tak sympatyczną młodą damę jak ty, pakującą się w kłopoty.
— W nic się nie pakuję. Kłopoty same mnie odnajdują.
Książę roześmiał się.
— To oczywiste.
— Pomimo tego, co wy, tygrysy, sobie myślicie, potrafię się o siebie zatroszczyć — odparłam, lekko naburmuszona.
Kishan ścisnął mnie za ramię.
— Być może my, tygrysy, lubimy się tobą opiekować.
Wkrótce wyruszyliśmy szlakiem prowadzącym w górę wodospadu. Wspinaliśmy się powoli, ale w równym tempie, i gdy zbliżaliśmy się do wierzchołka, nogi zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa. Kishan pozwolił mi odpocząć, gdy dotarliśmy na szczyt. Siedziałam, podziwiając widok na dżunglę i nasze maleńkie obozowisko pośród kilku niewiele większej polanki.
Szliśmy dalej wzdłuż rzeki, aż dotarliśmy do powalonego drzewa, przecinającego koryto. Miało oberwane gałęzie, a pędzący nurt pozbawił je kory, przez co pień był gładki, ale i niebezpieczny. Woda płynęła wartko, od czasu do czasu oblewając prowizoryczny most.
Kishan wskoczył na pień i ruszył przed siebie. Drzewo uginało się pod jego ciężarem, ale sprawiało wrażenie wystarczająco stabilnego.

Tygrys wyładował miękko po drugiej stronie i obrócił się, by popatrzyć, jak przechodzę.

Jakimś cudem zebrałam się na odwagę i ruszyłam, równo stawiając stopy. Było to jak chodzenie po śliskiej linie.

— Kishan! — krzyknęłam nerwowo. — Nie przyszło ci do głowy, że przejście po tym pniu może być łatwiejsze dla tygrysa zaopatrzonego w pazury niż dla dziewczyny w adidasach i z ciężkim plecakiem? Mam nadzieję, że jesteś gotowy na kąpiel, jeśli wpadnę do rzeki!

Gdy w końcu znalazłam się bezpiecznie po drugiej stronie, głęboko odetchnęłam z ulgą. Ruszyliśmy dalej i po mniej więcej pięciu kilometrach drogi Kishan wreszcie wywęszył zapach Rena. Po kolejnych dwóch godzinach marszu udało mi się odpocząć, podczas gdy czarny tygrys wyruszył na poszukiwanie brata.

Kishan wrócił pół godziny później, by zdać mi relację:

— Na polanie jakieś osiemset metrów stąd pasie się duże stado antylop. Ren tropi je bez powodzenia od trzech dni. Antylopy są niezwykle szybkie. Tygrysy zazwyczaj biorą za cel młode lub ranne osobniki, ale to stado składa się z samych dorosłych.

Są czujne i spięte, ponieważ wiedzą, że Ren jest na ich tropie. Stado trzyma się razem, przez co trudno jest zaatakować pojedynczą antylopę. Poza tym Ren poluje już od kilku dobrych dni, jest więc bardzo zmęczony. Zaprowadzę cię w bezpieczne miejsce, z którego nie wyczują twój zapach. Będiesz mogła tam odpocząć, a ja w tym czasie pomogę Renowi.

Zgodziłam się i z powrotem zarzuciłam plecak na ramiona. Kishan przez kępę drzew poprowadził mnie na kolejne wysokie wzgórce. Po drodze kilka razy przystawał, wystawiał nos do wiatru i węszył. Po mniej więcej dwustumetrowej wspinaczce znalazł dla mnie miejsce na obozowisko, po czym ruszył na pomoc Renowi.

Już po krótkim czasie zaczęłam się strasznie nudzić. Z miejsca, w którym siedziałam, nie byłam w stanie zbyt wiele zobaczyć. Zdążyłam już wypić całą butelkę wody i zaczęłam się niecierpliwić, postanowiłam więc przejść się, by zwiedzić nieco okolicę. Staralam się zapamiętywać kształty otaczających mnie skał i używałam kompasu, by mieć pewność, że się nie zgubię.

W pewnej chwili dostrzegłam wystającą skałę o płaskim wierzchołku, ocienionym dużym drzewem. Wspięłam się na nią. Widok mnie zachwycił. Usiadłam po turecku i spojrzałam na rzekę, leniwie wijącą się w dole. Oparłam się plecami o pień drzewa i z przyjemnością wystawiłam twarz do wiatru.

Po mniej więcej dwudziestu minutach moją uwagę przykulo jakiś poruszenie. Spomiędzy drzew pode mną wylonilo się duże zwierzę, a za nim kilka innych. Na początku myślałam, że patrzę na jelenie, ale potem uświadomiłam sobie, że to zapewne antylopy, o których mówił Kishan. Zaciekawilo mnie, czy należą do stada tropionego przez braci. Stworzenia miały ciemne grzbiety i białe nogi, brody, a także obwódki wokół dużych brązowych oczu. Głowy samców zdobne były w długie, kręte rogi, sterczące prosto jak anteny telewizyjne. Największe samce szczyliły się większym porożem o szczególnie gęstych skrętach. Zwierzęta miały różne odcienie sierści, od beżowego do ciemnobrązowego. Pily wodę z rzeki, machając białymi ogonami, podczas gdy największe samce trzymały straż. Samice miały około półtora metra wysokości, a samce, jeśli liczyć rogi, były o pół metra wyższe. Im dłużej patrzyłam na ich imponujące poroże, tym bardziej martwiłam się o Rena.

Nic dziwnego, że tak trudno było mu schwytać choćby jedną sztukę.

Po chwili stado wyraźnie się uspokoiło, niektóre antylopy zaczęły nawet skubać trawę. Przebiegłam wzrokiem gęstwinę w poszukiwaniu Rena, jednak nigdzie go nie dojrzałam. Długo obserwowałam stado. Antylopy były przepiękne.

Atak nastąpił szybko. Stado rzuciło się przed siebie. Kishan wyglądał jak rozpędzona czarna smuga. Wybrał dużego samca, który biegł szybko, oddalając się od stada, co, jak stwierdziłam, było ze strony antylopy albo fatalną pomyłką, albo aktem wielkiej odwagi, mającym na celu odwiedzenie drapieżnika od stada.

Kishan zagonił samca w stronę kępy drzew, wskoczył mu na grzbiet, zatopił pazury w jego bokach i wgryzł się w kręgosłup. W tym momencie spomiędzy drzew wyskoczył Ren, zaszedł zwierzę z boku i chwycił zębami za przednią nogę. Jakimś cudem antylopie udało się wykręcić z łap Kishana, który spadł na ziemię. Czarny tygrys zaczął okrążać ofiarę, w oczekiwaniu na okazję do skoku. Antylopa skierowała swe potężne rogi w stronę Rena, który robił krok to w jedną, to w drugą stronę. Zwierzę nie traciło go z oczu, cały czas zasłaniając się porożem. Jego uszy drgały, nasłuchując ruchów Kishana, który podkrađał się z tyłu.

Kishan skoczył i zamachnął się pazurami na zad antylopy. Siła uderzenia powaliła zwierzę na ziemię. Ren natychmiast wykorzystał okazję, dal susa i wgryzł się w szyję ofiary. Antylopa wyla się

i wykręcała, starając się zerwać na nogi, ale tygrysy zyskały już nad nią przewagę.

Kilka razy myślałam, że zwierzęciu uda się zbiec. Antylopa rzucała się jak szalona i w końcu udało jej się odbiec o kilka kroków. Dysząc, obserwowała, jak tygrysy powoli wstają i zbliżają się do niej. Nieszczęsne zwierzę zadrżało z wyczerpania i kuśtykając oddaliło się nieco, zupełnie jakby czekało na kolejny atak. Tygrysy niespiesznie powalily je z powrotem na ziemię.

Sądziłam, że wszystko pójdzie prędko, ale polowanie ciągnęło się dłużej, niż przypuszczałam. Zupełnie jakby Ren i Kishan chcieli najpierw zamęczyć zwierzę, zapraszając je do śmiertelnego *danse macabre*. W ruchach tygrysów również widać było zmęczenie. Wyglądało na to, że całą swą energię zużyły w pościgu. Samo zabójstwo przebiegało niemal ospale.

Antylopa walczyła dzielnie. Kopała i obu braci kilka razy dosięgła jej twarde kopyta. Tygrysy powoli wbijały zęby coraz głębiej, aż w końcu zwierzę znieruchomiało.

Gdy wszystko się skończyło, Ren i Kishan legli na ziemi, dysząc z wyczerpania. Kishan pierwszy zabrał się do jedzenia. Staralam się nie patrzeć, nie chciałam tego oglądać, ale nie mogłam się powstrzymać. To był straszny, ale i fascynujący widok.

Kishan przytrzymał antylopę pazurami i głęboko zatopił kły w jej ciele. Potężnymi zębiskami wyrwał ociekający krwią kawał parującego mięsa. Ren poszedł w jego ślady. Była to makabryczna, przerażająca scena. Zrobiło mi się niedobrze. Dreszcze chodziły mi po plecach, a jednak nie potrafiłam odwrócić wzroku.

Gdy już bracia się posilili, zaczęli poruszać się powoli, jakby byli senni lub odurzeni. Przyszło mi na myśl, że muszą czuć się podobnie jak ja po zjedzeniu wielkiej porcji indyka w Dzień Dziękczynienia. Leżeli blisko ofiary, od czasu do czasu wstając, by polizać co soczystsze kawałki. Czarna chmura ogromnych much z głośnym bzycczeniem unosiła się nad świeżą padliną.

Gdy rój otoczył braci, wyobraziłam sobie muchy obsiadające martwe zwierzę, a obok zakrwawione tygrysie pyski. Wtedy właśnie nie wytrzymałam i odwróciłam wzrok.

Podniosłam plecak i ześliznęłam się po stromej skale, pokonując cały dystans w zaledwie kilka minut. Postanowiłam wrócić do obozowiska nad wodospadem, bardziej przerażona tym, że będę musiała stanąć oko w oko z tygrysami, niż tym, że mogłabym się zgubić. Nie

byłam pewna, czy po tym, co właśnie zobaczyłam, będę w stanie spojrzeć braciom w twarz.

Ponieważ słońce miało zejść już za parę godzin, przyspieszyłam kroku. Wkrótce dotarłam do zwalonego pnia i przeszłam przez rzekę, zanim zapadł zmierzch. Ostatnie kilka kilometrów przebyłam wolniej. Zapadał zmrok, a na niebie zbierały się deszczowe chmury. Poczułam na twarzy krople i wkrótce ścieżka była już śliska i mokra ale prawdziwa ulewa rozpętała się dopiero, gdy dotarłam do obozowiska. Zastanawiałam się, czy deszcz pada teraz na tygrysy. Przyszło mi do głowy, że to pewnie dobrze, bo woda zmyje krew z ich pysków i odstraszy muchy.

W tamtej chwili brzydziła mnie sama myśl o jedzeniu. Wgramoliłam się do namiotu i zaczęłam śpiewać piosenki z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, by nie myśleć o przerażających scenach, których byłam świadkiem, i z nadzieją, że melodie zapamiętane z dzieciństwa pozwolą mi zasnąć. Niestety, pomysł ten obrócił się przeciwko mnie, gdyż tej nocy śniłam o Tchórzliwym Lwie, rozrywającym Dorożkę na krwawe strzępy.

SEN KELSEY



Sen o Dorotce i Toto wkrótce zastąpiły inne koszmary. Samotna i zagubiona, nie mogłam znaleźć Rena, a coś złego ścigało mnie w ciemności. Musiałam uciekać. Jakieś straszliwe, niezbrane palce ciągnęły mnie za włosy i ubranie, usiłując ściągnąć mnie ze ścieżki. Wiedziałam, że jeśli im się uda, schwytają mnie i zniszczą.

Skręciłam za róg i znalazłam się w wielkiej sali. Ujrzałam mężczyznę o ciemnej karnacji i złowieszczym wejrzeniu, odzianego w zdobne fioletowe szaty. Stał nad drugim mężczyzną, przywiązanym do wielkiego stołu. Z ciemnego kąta widziałam, jak lotr unosi w górę ostry, zakrzywiony nóż, powtarzając cicho zaklęcia w języku, którego nie rozumiałam. Wiedziałam, że muszę ocalić więźnia. Rzuciłam się na nikczemnika i pociągnęłam go za ramię, usiłując wyrwać mu sztylet z dłoni. Moja ręka zapłonęła czerwienią, trzasnęły iskry.

— Nie, Kelsey! Przestań!

Spojrzałam na ołtarz i wydałam stłumiony okrzyk. Mężczyzną na stole był Ren! Miał poranione, zakrwawione ciało i ręce związane nad głową.

— Kells... uciekaj stąd! Ratuj się! Robię to, żeby cię nie znalazł!

— Nie! Nie pozwolę ci! Ren, zmień się w tygrysa. Uciekaj!

Książę gorączkowo potrząsnął głową i głośno powiedział:

— Durgo! Przyjmuję swój los! Uczyni to, teraz!

— O co chodzi? Co Durga ma zrobić? — spytałam.

Mężczyzna z nożem zaczął wykrzykiwać zaklęcia i pomimo moich słabych wysiłków, by go powstrzymać, uniósł ostrze i zatopił je w sercu Rena.

Wrzasnęłam. Nasze tętna były w jednym chorym rytmie. Z każdym uderzeniem siły Rena malały. Uszkodzone serce biło coraz wolniej i wolniej, aż zamarło i stanęło.

Po twarzy płynęły mi łzy. Czułam straszliwy, ostry ból. Patrzyłam, jak krew Rena kapie ze stołu i zbiera się w kałużę na kafkach posadzki. Upadłam na kolana, dławiąc się rozpaczą i bólem.

Śmierć Rena była nie do zniesienia. Jeśli on był martwy, umarłam i ja. Tonęłam w żalu, nie mogłam oddychać, zabrakło mi woli życia. Nie miałam motywacji, żadnego głosu, który nakazałby mi się nie poddawać, walczyć, pokonać cierpienie. Nic nie było w stanie sprawić, bym dalej oddychała.

Sala zniknęła i znów otoczył mnie całun ciemności. Sen się zmienił. Miałam na sobie złotą suknię i bogato zdobioną biżuterię. Siedziałam na pięknym krześle ustawionym na podwyższeniu. Spojrzałam w dół i zobaczyłam Rena stojącego przede mną. Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam rękę, ale to Kishan ją złapał i usiadł obok mnie.

Zerknęłam na niego, zdezorientowana. Uśmiechał się do Rena z wyższością. Ren gotował się z furii. Patrzył na mnie wzrokiem palającym nienawiścią i głęboką pogardą.

Próbowałam wyszarpnąć dłoń z uścisku Kishana, ale on nie chciał puścić. Zanim zdołałam się uwolnić, Ren zmienił się w tygrysa i zniknął w dżungli. Krzyknęłam za nim, ale mnie nie słyszał. Nie chciał mnie słuchać!

Wiatr targał kremowymi zasłonami, a na niebie, tuż nad drzewami szybko zbierały się burzowe chmury. W kilku miejscach uderzyły błyskawice i usłyszałam straszliwy grzmot odbijający się echem po całej okolicy. Był to bodziec, którego potrzebowałam. Wyrwałam rękę z uścisku Kishana i wybiegłam na burzę.

Deszcz zaczął z całej siły dudnić o ziemię, spowalniając moje ruchy. Szukałam Rena. Piękne złote sandały, które miałam na nogach, utknęły gdzieś w gęstym błocie. Nigdzie nie mogłam go znaleźć. Odgarnęłam z oczu ociekające wodą włosy i zawołałam:

— Ren! Ren! Gdzie jesteś!?

Piorun z głośnym hukiem powalił jedno z pobliskich drzew. Kawałki spalonego drewna wystrzelily na wszystkie strony, pień złamał się z trzaskiem, posypały się drzazgi, a drzewo runęło i przywaliło mnie swoimi gałęziami.

— Ren!

Pode mną zebrała się błotnista kałuża deszczowej wody. Ostrożnie wykręcając posiniaczone, obolale ciało, wyśliznęłam się spod konarów drzewa. Złota suknia była podarta, a moją skórę pokrywały krwawe zadrapania.

Krzyknęłam jeszcze raz:

— Ren! Wróć, błagam! Potrzebuję cię!

Trzęsłam się z zimna, ale dalej biegłam przez dżunglę, potykając się o wystające korzenie i co raz to rozgarniając szarobure, cierniste chaszczce. Rozglądałam się dookoła i wciąż krzycząc, szukałam go wśród drzew, nie ustając w rozpaczliwych błaganiach:

— Ren, proszę, nie zostawiaj mnie!

W końcu dostrzegłam białą plamę, sadzącą susami przez dżunglę, i zdwoiłam wysiłki, by ją dogonić. Moja suknia zaczepiała się o kolczaste krzewy, ale z rozpacziwą determinacją przedarłam się przez nie. Trzymałam się szlaku wytyczanego przez uderzenia błyskawic.

To nie pioruny mnie przerażały, choć kilka z nich walnęło bardzo blisko i poczułam zapach spalonego drewna. Błyskawice doprowadziły mnie do Rena. Znalazłam go leżącego na ziemi. Białe futro pokryte było rozległymi śladami oparzeń w miejscach, gdzie uderzyły w niego pioruny. Wiedziałam, że to moja wina. To ja ponosiłam odpowiedzialność za jego cierpienie.

Pogłaskałam go po głowie oraz po miękkim, jedwabistym futrze na karku i rozplakałam się.

— Ren, ja nie chciałam, jak to się mogło stać?

Ren przybrał ludzką postać i szepnął:

— Zwałpilaś we mnie, Kelsey.

Potrząsnęłam głową. Łzy ciekły mi po policzkach.

— Nieprawda! Nie zrobiłabym tego!

Nie patrzył mi w oczy.

— *Iadala*, opuściłaś mnie.

Desperacko objęłam go ramionami.

— Nie, Ren! Ja cię nigdy nie opuszczę!

— Ale opuściłaś mnie. Odeszłaś. Czy tak trudno było poczekać? Uwierzyć we mnie?

Szlochałam, zrozpaczona.

— Ale ja nie wiedziałam. Nie wiedziałam.

— Już za późno, *prijatama*. Tym razem to ja ciebie opuszczam. Zamknął oczy i umarł.

Potrząsnęłam jego bezwładnym ciałem.

— Nie, nie! Ren, wracaj! Błagam, wróć!

Moje lzy mieszały się z deszczem. Wszystko stało się zamazane. Gniewnym ruchem otarłam oczy i gdy je znów otworzyłam, ujrzałam nie tylko Rena, ale i swoich rodziców, babcię i pana Kadama. Wszyscy leżeli na ziemi, martwi. Rylam sama, a wszędzie dookoła panoszyła się śmierć.

Plakałam i wykrzykiwałam wciąż na nowo:

— Nie! To niemożliwe! Niemożliwe!

Zalala mnie fala czarnej rozpacz. Gęsta i lepka, sączyła się z samego rdzenia mego jestestwa, przez wszystkie części ciała. Czulałam się ciężka, udręczona i straszliwie samotna. Tulilałam Rena, kolysząc jego ciało, podświadomie szukając w nim jakiejś pociechy. Nic z tego.

A potem nagle uświadomiłam sobie, że nie jestem sama. To nie ja kolysalam Rena, ale ktoś kolysał mnie, mocno przyciskając mnie do siebie. Odzyskałam przytomność na tyle, by wiedzieć, że to był tylko sen, ale ból z koszmaru nadal otaczał mnie ze wszystkich stron.

Twarz miałam mokrą od prawdziwych łez, i burza też była prawdziwa. Wiatr hulał w koronach drzew, a ciężkie krople deszczu dudniły w płótno namiotu.

W pobliskie drzewo uderzył piorun, na moment rozświetlając wnętrze niewielkiego namiociku. Mignęły mi przed oczami mokre, ciemne włosy, złocista skóra i biel koszuli.

— Ren?

Poczułam jego kciuki, ocierające lzy z moich policzków.

— Cśś, Kelsey. Jestem tu. Nie opuszczę cię, *prija*. *Main jaban lam*.

Z wielką ulgą, dławiąc się szlochem, wyciągnęłam ramiona i zarzuciłam mu je na szyję. Ren wśliznął się dalej do wnętrza namiociku, by schować się przed deszczem, przyciągnął mnie do siebie i przytulił jeszcze mocniej. Poglądził mnie po włosach, szepcząc:

— Cicho już. *Main apki raksza karunga*. Jestem tu. Nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało, *prijatama*.

Szeptał mi dalej do ucha kojące słowa w swym ojczystym języku, aż poczułam, że koszmar znika. Po kilku minutach uznałam, że jestem już na tyle przytomna, by wysunąć się z objęć Rena, świadomie zdecydowałam jednak nie ruszać się z miejsca. Przyjemnie było pozostać w jego ramionach.

Sen uświadomił mi, jak bardzo tak naprawdę czulałam się samotna. Odkąd umarli rodzice, nikt nie przytulał mnie w ten sposób. Oczywiście zdarzało mi się obejmować Sarę, Mike'a i ich dzieci, nikomu

jednak nie udało się przelamać bariery, którą wokół siebie stworzyłam — ani wyzwolić we mnie tak głębokich emocji.

To w tamtej chwili zrozumiałam, że Ren mnie kocha. Poczułam, jak moje serce się otwiera. Już wcześniej wiedziałam, że Kocham Rena-tygrysa i ufam mu. To było proste. Ale teraz uświadomiłam sobie, że Ren-człowiek potrzebuje tej miłości jeszcze bardziej. On nie czuł jej od wieków — o ile czuł kiedykolwiek. Tulilam go więc mocno i nie odsunęłam się, dopóki nie zrozumiałam, że kończy mu się czas.

Wyszeptalam mu do ucha:

— Dziękuję, że tu jesteś. Cieszę się, że stałeś się częścią mojego życia. Proszę, zostań ze mną w namiocie. Nie ma powodu, żebyś spał na deszczu.

Pocałowałam go w policzek, położyłam się i okryłam pledem. Ren zmienił się w tygrysa i wyciągnął się obok. Przytulilam się do jego grzbietu i pomimo szalejącej na zewnątrz burzy zapadłam w spokojny, pozbawiony koszmarów sen.



Następnego dnia obudziłam się, przeciągnęłam i wyczołgałam z namiotu. Woda deszczowa wyparowała w słońcu, które zmieniło moką dżunglę w nasyconą parą saunę. Obozowisko zaśmiecały polamane gałęzie i oberwane liście. Przesiąknięta szarą, mętną wodą ziemia otaczała osmalone, czarne kawałki drewna — jedyne, co pozostało po naszym buzującym ognisku. Wodospad spływał szybciej niż zwykle, a w mulistej sadzawce zbierały się pozostałe po burzy przemoczzone szczątki drzew.

— Nie będzie dziś kąpeli — powitałam Rena, który wyszedł z namiotu, przybrawszy ludzką postać.

— Nie szkodzi. Ruszamy na spotkanie pana Kadama. Czas wrócić do naszej podróży — oznajmił księżę.

— Ale co z Kishanem? Nie dało się go przekonać, żeby pojechał z nami?

— Kishan postawił sprawę jasno. Chce tu zostać, a ja nie będę go błagał. Kiedy już coś postanowi, rzadko zdarza mu się zmieniać zdanie.

— Ale Ren...

— Żadnych „ale”.

Podszedł do mnie i delikatnie pociągnął za warkocz. Potem uśmiechnął się i pocałował mnie w czoło. To, co zaszło podczas na-

walnicy, zburzyło mur, który wyrósł między nami. Cieszyłam się, że znów jesteśmy przyjaciółmi.

— No już, Kells. Pakujmy się.

Zwinięcie namiotu i spakowanie plecaka zajęło tylko kilka minut. Z ulgą przyjąłam myśl o powrocie do pana Kadama i do cywilizacji, nie chciałam jednak zostawiać tak spraw z Kishanem. Nie miałam nawet okazji się z nim pożegnać.

W drodze powrotnej otarłam się o kwitnące krzewy, by zobaczyć, jak stado motyli wzbija się w powietrze. Było ich mniej niż za pierwszym razem. Siedziały na przemokniętych krzakach i powoli poruszały skrzydełkami, susząc je na słońcu. Ren czekał cierpliwie, aż nasycę się ich widokiem. Westchnęłam i ruszyliśmy w stronę drogi, przy której rozbił namiot pan Kadam. Wprawdzie nadal nie-nawidziałam leśnych wypraw i spania pod namiotem, ale to miejsce stało się dla mnie wyjątkowe.

Mój tygrys jak zwykle prowadził, ja zaś wlokłam się za nim, starając się unikać błotnistych odcisków jego łap i stąpać po suchej ziemi. Dla zabicia czasu opowiedziałam Renowi o moich rozmowach z Kishanem, dotyczących życia w pałacu, a także o tym, jak czarny tygrys przyniósł mi w pysku torbę pełną jedzenia.

Pewnych rzeczy jednak mu nie powtórzyłam, a zwłaszcza tego, co Kishan opowiedział mi o Yesubai. Przede wszystkim nie chciałam, by Ren o niej myślał, a poza tym czułam, że bracia powinni omówić ten temat między sobą. Zamiast tego zaczęłam więc niewinną paplaninę o tym, jak z nudów zaczęłam przyglądać się polowaniu.

Ni z tego, ni z owego Ren zmienił się w człowieka, chwycił mnie za ramię i wybuchnął:

— Co widziałaś?!

Zmieszana, powtórzyłam:

— Widziałam... polowanie. Myślałam, że o tym wiesz. Kishan nic ci nie mówił?

— Nie, nie mówił! — odparł Ren, zgrzytając zębami.

Obeszłam go i stanęłam na kamieniach.

— Och. Cóż, to nieważne. Nic mi się nie stało. Wróciłam bez przeszkód.

Ren złapał mnie za łokieć, obrócił i postawił przed sobą.

— Kelsey, czy chcesz mi powiedzieć, że nie tylko patrzyłaś na polowanie, ale jeszcze sama wróciłaś do obozowiska? — rzucił, nie posiadając się z wściekłości.

— Tak... — pisnęłam słabo.

— Niech no tylko spotkam Kishana. Zabiję go. — Machając mi palcem przed twarzą, dodał: — Mogłaś zginąć albo... albo zostać zjedzona! Nie potrafię ci nawet wymienić wszystkich niebezpiecznych stworzeń, które cychają w dżungli. Nigdy, przenigdy więcej nie spuszcze cię z oka!

Chwył mnie za rękę i pociągnął za sobą. Czulałam napięcie bijące z jego ciała.

— Ren, nic nie rozumiem. Czy ty i Kishan nie rozmawialiście po naszym... ee... obiedzie?

— Nie — warknął książę. — Rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę. Ja wróciłem prosto do obozowiska. Kishan został przy... jedzeniu trochę dłużej. Najwyraźniej nie złapałem twojego zapachu z powodu deszczu.

— W takim razie być może Kishan wciąż mnie szuka. Chyba powinniśmy wrócić.

— Nie. Będzie miał za swoje. — Ren zaśmiał się złośliwie. — Jeśli nie złapie naszych zapachów, może minąć wiele dni, zanim się domyśli, że ruszyliśmy z powrotem.

— Ren, naprawdę powinieneś wrócić i powiedzieć mu, że wyjeżdżamy. Pomógł ci w polowaniu. Jesteś mu to winien.

— Kelsey, nie zwracamy. Kishan jest dorosły, potrafi zatroszczyć się o siebie. Poza tym świetnie sobie radziłem bez niego.

— Nieprawda. Widziałam polowanie, pamiętasz? Pomógł ci powalić tamtą antylopę. Kishan mówił mi, że nie polowałeś od trzystu lat. To dlatego za tobą poszedł. Wiedział, że potrzebujesz pomocy.

Ren zmarszczył czoło, ale nic nie odpowiedział.

Przystanęłam i położyłam mu rękę na ramieniu.

— To, że czasem potrzebujemy pomocy, nie znaczy, że jesteśmy słabi.

Książę prychnął, pokazując w ten sposób, co o tym myśli. Westknął sobie moją dłoń pod ramię i znów ruszył przed siebie.

— Ren, co właściwie się z tobą stało trzysta lat temu?

Książę milczał, nachmurzony. Szturchnęłam go lekko łokciem i uśmiechnęłam się krzepiąco. Powoli z jego przystojnej twarzy zniknęła marsowy wyraz, a napięcie opuściło barki. Westchnął, przeczesal włosy dłonią i wyjaśnił:

— Czarnemu tygrysowi jest dużo łatwiej polować niż białemu. Trudno mi stopić się z dżunglą. Gdy bywałem bardzo głodny i sfrustrowany nieudanym polowaniem na dziką zwierzynę, zdarzało mi się wyprawić do wsi i porwać kozę czy owcę. Byłem ostrożny, ale

wnet rozniosła się wieść o białym tygrysie i skrzyknęli się okoliczni rolnicy oraz myśliwi, pragnący dreszczu emocji, towarzyszącego schwytności egzotycznego zwierzęcia.

Pozostawiali na mnie w całej dżungli pułapki, które zabiły wiele niewinnych stworzeń. Gdy tylko którąś znalazłem, niszczyłem ją. Pewnego dnia, natrafiwszy na jedną z nich, popełniłem głupi błąd. Dwie pułapki zastawione były obok siebie, ale ja skupiłem się na tej oczywistej, czyli zwykłym kawałku mięsa zawieszonym nad zakamuflowanym dołem w ziemi.

Przyglądałem się dziurze, myśląc, jak dobrać się do mięsa, gdy nagle potknąłem się o ukryty drut. Z drzewa spadł na mnie deszcz szpikulców i strzał. Uskoczyłem przed zdzią, ale w tym momencie ziemia obsunęła mi się pod nogami i wpadłem do dołu.

— Czy trafiła cię któraś ze strzał? — spytałam rozemocjonowana.

— Tak. Kilka mnie drasnęło, ale rany szybko się zagoiły. Na szczęście w dole nie powbijano bambusowych pali, ale był dobrze wykopany i na tyle głęboki, że nie mogłem się wy dostać.

— Co ci zrobili?

— Myśliwi znaleźli mnie po kilku dniach. Sprzedali mnie właścicielowi menażerii. Gdy okazało się, że nie ułatwiam mu życia, sprzedał mnie innemu kolekcjonerowi, ten jeszcze innemu i tak dalej. W końcu wylądowałem w rosyjskim cyrku i od tamtej pory wędrowałem z rąk do rąk. Gdy tylko ludzie zaczynali coś podejrzewać w związku z moim wiekiem albo próbowali mnie skrzywdzić, zaczynałem im sprawiać tyle problemów, że szybko chcieli się mnie pozbyć.

Od jego strasznej opowieści krajało mi się serce. Odsunęłam się, by obejść zagradzający drogę pień, a gdy znów stanęłam u jego boku, splótł palce z moimi i szedł dalej.

— Czemu pan Kadam nie wykupił cię po prostu i nie zabrał do domu? — spytałam ze współczuciem.

— Nie mógł. Zawsze coś stawało mu na drodze. Za każdym razem, gdy próbował odkupić mnie od cyrku, właściciele odmawiali, niezależnie od ceny. Wysyłał podstawionych ludzi, lecz to nie działało. Zatrudnił nawet złodziei, którzy mieli mnie wykraść, ale złapano ich. To klątwa sterowała biegiem wydarzeń, nie my. Im mocniej pan Kadam starał się interweniować, tym bardziej pogarszała się moja sytuacja. W końcu odkryliśmy, że jest szansa wysłać potencjalnych kupców, którzy naprawdę byli mną zainteresowani. Pan Kadam mógł wpłynąć na tych dobrych ludzi, ale jedynie pod warunkiem, że nie będzie mnie chciał dla siebie.

Mój przyjaciel dopilnował, żebym na tyle często zmieniał właścicieli, by nikt nie zorientował się, ile mam lat. Od czasu do czasu mnie odwiedzał, by ci, u których się znalazłem, wiedzieli, jak się z nim skontaktować, ale naprawdę nie był w stanie zrobić nic więcej. Nigdy jednak nie zaniechał prób złamania zaklęcia. Poświęcił cały swój czas badaniom nad możliwymi rozwiązaniami. Jego wizyty były dla mnie wszystkim i myślę, że gdyby nie on, zatraciłbym swoje człowieczeństwo.

Ren trzepnął komara, który usiadł mu na karku, i mówił dalej:

— Gdy uwięziono mnie po raz pierwszy, zdawało mi się, że ucieczka będzie łatwa. Miałem zamiar poczekać, aż się ściemni, i pociągnąć zasuwę w drzwiach klatki. Okazało się jednak, że odkąd mnie schwytano, na stałe utkwilem w ciele tygrysa. Nie mogłem znów stać się człowiekiem... do chwili, gdy ty się zjawiłaś.

Odgarnął sterczący mi na drodze konar. Spytałam:

— Jak to było, tyle lat mieszkać w cyrku?

Potknęłam się o kamień. Ren mnie podtrzymał. Gdy znów stałam solidnie na nogach, puścił mnie niechętnie i znów wyciągnął rękę.

— Przeważnie było nudno. Czasami właściciele bywali okrutni, bili mnie i dźgali metalowymi prętami. Miałem jednak szczęście, bo rany szybko się goiły, a poza tym byłem na tyle inteligentny, żeby wykonywać sztuczki, których inne tygrysy odmawiały. W naturze tygrysa nie leży skakanie przez płonącą obręcz ani otwieranie paszczy, by człowiek mógł wsadzić w nią głowę. Tygrysy nie cierpią ognia, trzeba więc sprawić, by tresera bały się bardziej niż płomieni.

— To brzmi okropnie!

— W tamtych czasach cyrki takie były. Zwierzęta trzymano w zbyt małych klatkach. Rozdzielano rodziny i sprzedawano młode. Jedzenie było wstrętne, klatki brudne, a zwierzęta bito. Przewożono je z miasta do miasta i zostawiano na dworze, w miejscach i klimatach, do których nie przywykły. Dlatego nie żyły zbyt długo.

Ren ciągnął w zamyśleniu:

— Teraz jednak robi się badania i czyni wysiłki, by przedłużyć życie cyrkowych zwierząt i poprawiać jego jakość. Mimo to niewola pozostaje niewolą, niezależnie od tego, jak ładne jest więzienie.

— Żywot w klatce sprawił, że głęboko przemyślałem swoje stosunki z innymi zwierzętami, zwłaszcza słoniami i końmi. Mój ojciec posiadał tysiące słoni, które tresowano w walce i dźwiganiu ciężarów. Miałem też kiedyś ulubionego rumaka, którego kochałem

ujeżdżać. Siedząc w klatce, dzień po dniu zastanawiałem się, czy czuł się podobnie jak ja. Wyobrażałem sobie, jak stał w zagrodzie, znudzony, czekając godzinami, aż przyjdę i wypuszczę go na świeże powietrze.

Ren ścisnął mnie za rękę i znów zmienił się w tygrysa. Zamyśliłam się. Jak ciężko musiało mu być w klatce przez te wszystkie stulecia! Na myśl o tym przeszedł mnie dreszcz.

Po kolejnej godzinie marszu odezwałam się:

— Ren? Jednej rzeczy nie rozumiem. Gdzie był Kishan przez cały ten czas? Czemu nie pomógł ci wydostać się na wolność?

Ren przeskoczył przez zwałony pień drzewa, przybrał w powietrzu ludzką postać i po cichu wylądował na dwóch nogach. Wyciągnęłam do niego rękę, by pomógł mi przeprosić się na drugą stronę, ale on zignorował to, przechylił się nad pniakiem i objął mnie w tali. Zanim zdążyłam zaprotestować, podniósł mnie, jak gdybym była lekka niczym poduszka z pierzem. Zanim mnie puścił, przycisnął mnie do piersi, aż z wrażenia całkiem przestałam oddychać.

Spojrzał mi w oczy. Uśmiech powoli rozjaśnił jego twarz. Postawił mnie na ziemi i wyciągnął rękę. Ujęłam jego ciepłą dłoń moją własną, drżącą lekko, i ruszyliśmy dalej.

— W owych czasach Kishan i ja unikaliśmy się nawzajem, jak się tylko dało. Nie wiedział, co mi się przytrafiło, dopóki pan Kadam go nie odnalazł. Wtedy jednak było już za późno. Kadam zdążył podjąć wiele nieudanych prób uwolnienia mnie, przekonał więc Kishana, by ten pozostał w ukryciu, podczas gdy on myślał, co robić dalej. Tak jak mówiłem, przez wiele lat usiłował mnie wykupić lub wykraść. Nic nie działało, póki ty się nie zjawiałaś. Z jakiegoś powodu, gdy zamarzyłaś o tym, bym odzyskał wolność, udało mi się przybrać ludzką postać i zadzwonić do niego. — Ren roześmiał się. - Gdy znów stałem się człowiekiem, po raz pierwszy od wieków, poprosiłem Matta, by w moim imieniu zadzwonił na koszt rozmówcy. Powiedziałem mu, że mnie napadnięto i muszę skontaktować się ze swoim szefem. Pomógł mi skorzystać z telefonu, a pan Kadam natychmiast przyleciał do Stanów.

Ren znów zmienił się w tygrysa. Szliśmy dalej. Kroczył tuż przy mnie, tak że mogłam trzymać mu rękę na karku.

Po kilku godzinach marszu, Ren zatrzymał się raptownie i zaczął węszyć. Usiadł i wbił wzrok w gęstwinię. Nastawiłam uszu. Coś poruszało się w zaroślach. Najpierw wylonil się z nich czarny nos, a za nim reszta czarnego tygrysa.

Uśmiechnęłam się radośnie.

— Kishan! Zmieniłeś zdanie. Jedziesz z nami? Tak się cieszę!

Kishan podszedł i wyciągnął łapę, która za chwilę zmieniła się w ludzką dłoń.

— Witaj, Kelsey. Nie, nie zmieniłem zdania. Ale cieszę się, że jesteś bezpieczna.

Młodszy książę rzucił bratu niechętnie spojrzenie. Ten nie tracił czasu i w ciągu sekundy również przybrał ludzką postać. Mocno szturchnął Kishana w ramię i krzyknął:

— Czemu mi nie powiedziałeś, że ona tam była? Widziała polowanie, a ty ją zostawiłeś, samą i bezbronną!

Kishan odpowiedział bratu pchnięciem w klatkę piersiową.

— Odszedłeś, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. Jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie, to szukałem jej przez całą noc. Za to wy spakowaliście się i ruszyliście, nic mi nie mówiąc.

Stanęłam między nimi.

— Proszę, uspokójcie się, obaj. Ren, zgodziłam się z Kishanem, że najlepiej dla mnie będzie, jeśli pójdę z nim. Bardzo uważnie się mną opiekował. To ja postanowiłam obejrzeć polowanie i ja samotnie wyruszyłam z powrotem do obozowiska. Więc jeśli masz się na kogoś gniewać, gniewaj się na mnie.

Zwróciłam się do Kishana.

— Przykro mi, że musiałeś szukać mnie w czasie burzy. Nie sądziłam, że zaczniesz padać ani że deszcz zmyje moje ślady. Przepraszam.

Kishan uśmiechnął się szeroko i pocałował mnie w rękę. Ren warknął złowieszczo.

— Przeprasiny przyjęte. I jak ci się podobało?

— Masz na myśli ulewę czy polowanie?

— Oczywiście, że polowanie.

— Hmm, było...

— Miała koszmary — fuknął Ren.

Skrzywiłam się i pokiwałam głową.

— Cóż, przynajmniej mój brat się najadł. Mogło minąć wiele tygodni, zanim złapałby coś samodzielnie.

— Świetnie sobie radziłem bez ciebie!

Kishan uśmiechnął się złośliwie.

— Przeciwnie, beze mnie nie schwytałbyś kulawego zółwia.

Usłyszałam odgłos uderzenia, zanim je zobaczyłam. Był to jeden z tych ciężkich ciosów, od których dzwonią zęby, o jakich sądziłam dotąd, że zdarzają się tylko w filmach. To Ben jednym zwin-

nym ruchem przestawił mnie na bok, po czym rąbnął brata prosto w szczękę.

Kishan zrobił krok w tył, masując podbródek, ale już za chwilę wyprostował się i z uśmiechem rzucił Renowi w twarz:

— Spróbuj jeszcze raz, braciszku.

Ren zmarszczył brwi i nie odpowiedział. Wziął mnie tylko za rękę i ruszył szybko, ciągnąc mnie za sobą przez dżunglę. Musiałam prawie biec, by dotrzymać mu kroku.

Czarny tygrys minął nas pędem i jednym susem zagroził nam ścieżkę. Kishan znów zmienił się w człowieka i rzekł:

— Poczekajcie. Mam coś do powiedzenia Kelsey.

Ren spochmurniał, ale położyłam mu dłoń na piersi i zanim zdążył się odezwać, powiedziałam:

— Ren, proszę.

Przenosił wzrok to na mnie, to na brata, ale twarz mu złagodniała. Puścił moją rękę, lekko musnął mnie w policzek i odszedł kilka kroków. Kishan zbliżył się.

— Kelsey, chcę ci to dać — powiedział. Zdjął łańcuszek, ukryty pod czarną koszulą. Zawiesił mi go na szyi i dodał: — Pewnie już wiesz, że ten amulet będzie cię chronił tak samo, jak amulet Rena chroni Kadama.

Dotknęłam łańcuszka i pociągnęłam za pęknięty talizman, by przyjrzeć mu się bliżej.

— Kishanie, jesteś pewien, że chcesz, bym to nosiła?

Książę uśmiechnął się zawadiacko.

— Moja piękna, twój entuzjazm jest zaraźliwy. Mężczyzna nie może przebywać w pobliżu, nie troszcząc się o twą sprawę. I choć mam zamiar pozostać w dżungli, niech to będzie mój mały wkład w twoje wysiłki. — Wyrzekłszy te słowa, spoważniał. — Kelsey, chcę, żebyś była bezpieczna. Jedyne, co wiemy na pewno, to to, że amulet ma potężną moc i może obdarzyć noszącego go długim życiem. Nie znaczy to jednak, że nie możesz doznać krzywdy lub zginąć, uważaj więc na siebie.

Ujął mnie pod brodę, a ja spojrzałam w jego lśniące oczy.

— Za nic nie chciałbym, by coś ci się stało, *bilauta*.

— Będę ostrożna. Dzięki, Kishanie.

Kishan spojrzał na Bena, który lekko skinął głową, a potem znów przeniósł wzrok na mnie. Uśmiechnął się i powiedział:

— Będę za tobą tęsknił, Kelsey. Mam nadzieję, że wkrótce znów mnie odwiedzisz.

Uściskałam go szybko i nastawiłam policzek do pocałunku. W ostatniej chwili Kishan zmienił pozycję i cmoknął mnie prosto w usta.

— Ty szczywany obwiesiu! — roześmiałam się, zaskoczona, i lekko szturchnęłam go w ramię. Kishan zaśmiał się tylko i puścił do mnie oko.

Ren zacisnął pięści, a na jego przystojnej twarzy pojawił się grymas irytacji, ale Kishan zignorował brata i już za chwilę zniknął w dżungli. Jego śmiech odbijał się echem pośród drzew i wkrótce zmienił się w szorstki pomruk czarnego tygrysa.

Ren podszedł do mnie, ujął w dłoń amulet i w zamyśleniu potarł go palcami. Położyłam mu rękę na ramieniu, zmartwiona, że wciąż gniewa się o Kishana. Ale on pociągnął mnie za warkocz, uśmiechnął się i złożył mi na czole ciepły pocałunek.

Zmieniwszy się z powrotem w białego tygrysa, prowadził mnie dżunglą przez kolejne pół godziny, aż w końcu z radością ujrzałam, że dotarliśmy do szosy.

Poczekaliśmy, aż przejadą samochody, i przebiegliśmy na drugą stronę, by zanurzyć się w zielonych zaroślach. Po krótkiej chwili podążania za węchem Rena natrafiliśmy na wojskowy namiot, a ja puściłam się biegiem, by uściskać człowieka, który się zeń wyłonił.

— Panie Kadam! Nawet pan nie wie, jaka to ulga pana widzieć!

POCZĄTEK



— Panno Kelsey! — powital mnie ciepło pan Kadam. — Cieszę się, że panią widzę! Mam nadzieję, że chłopcy się o panią troszczyli.

Ren prychnął i ułożył się w ocienionym miejscu.

— Owszem. Wszystko w porządku.

Pan Kadam poprowadził mnie do pieńka przy ognisku.

— Proszę usiąść i chwilę odpocząć, a ja w tym czasie zwinę obozowisko.

Pogryzałam herbatnika i patrzyłam, jak się krząta, składając namiot i pakując książki. Ryl tak dobrze zorganizowany, jak się spodziewałam. Z tyłu jeepa przechowywał książki i papiery. Ognisko bukowało wesoło, a obok leżała duża sterta drewna na opał. Namiot przypominał lokum dla generała, który zechciał spędzić noc pod gołym niebem. Wyglądał na kosztowny, ciężki i znacznie bardziej skomplikowany niż mój. Obok stało nawet eleganckie składane biurko, zavalone papierami, przyciśniętymi gładkimi, czystymi kamieniami z rzeki.

Wstałam i z zaciekawieniem spojrzalam na papiery.

— Proszę pana, czy to tłumaczenie przepowiedni Durgi?

Usłyszałam stuknięcie, gdy pan Kadam wyciągnął z ziemi slupkę. Namiot opadł na trawę stertą ciężkiego zielonego płótna. Pan Kadam wstał i odpowiedział:

— Tak. Zacząłem pracować nad napisami z monolitu. Jestem niemal całkiem pewien, że musimy pojechać do Hampi. Mam już także lepsze pojęcie o tym, czego będziemy tam szukać.

— Hmm. — Podniosłam kartkę z notatkami, z których większość nie była po angielsku. Popijając wodę, bezwiednie dotknęłam amuletu od Kishana.

— Proszę pana, Kishan podarował mi ten kawałek amuletu, z nadzieją, że będzie mnie chronił. W jaki sposób pański chroni pana? Czy nadal może się coś panu stać?

Pan Kadam zapakował zrolowany namiot do jeepa. Przysiadł na zderzaku i odparł:

— Amulet chroni mnie od poważnych obrażeń, ale nadal mogę się skaleczyć albo upaść i zwichnąć kostkę. — W zamyśleniu potarł krótką brodę. — Chorowałem, ale nigdy poważnie. Moje rany i siniaki szybko się goją, chociaż nie tak szybko jak u Rena i Kishana. — Wziął do ręki amulet i przyjrzał mu się uważnie. — Różne fragmenty mogą mieć różne właściwości. W zasadzie nie znamy w tej chwili ich pełnej mocy. To zagadka, którą mam nadzieję kiedyś rozwiązać. Generalnie jednak nie warto ryzykować. Jeśli coś wygląda na niebezpieczne, radzę tego unikać. Gdy coś będzie panią gonić, proszę uciekać. Rozumie pani?

— Jasne.

Pan Kadam puścił amulet i wrócił do pakowania się.

— Cieszę się, że Kishan zgodził się podarować go pani.

Zdezorientowana, zapytałam:

— Naprawdę? Myślałam, że mieliśmy przekonać Kishana, żeby pojechał z nami.

Pan Kadam ze smutkiem pokręcił głową.

— Wiedzieliśmy, że mała jest na to nadzieja. Kishan dotąd obojętnie reagował na próby pozyskania go dla naszej sprawy. Przez wiele lat usiłowałem wywabić go z dżungli i przekonać, by wybrał wygodniejsze życie w domu, ale on woli zostać tutaj.

Pokiwałam głową.

— Chce się ukarać za śmierć Yesubai.

Pan Kadam spojrzął na mnie, zaskoczony.

— Rozmawiał o tym z panią?

— Tak. Opowiedział mi, co się stało po jej śmierci. Nadal się obwinia. I to nie tylko za śmierć Yesubai, ale i za to, co stało się z nim i z Renem. Bardzo mi go żal.

Pan Kadam przez chwilę dumal nad moimi słowami.

— Jest pani niezwykle spostrzegawcza i pełna empatii jak na tak młodą osobę, panno Kelsey. Cieszę się, że Kishan mógł się pani zwierzyć. Wciąż jest dla niego nadzieja.

Pomogłam panu Kadamowi pozbierać papiery i złożyć biurko oraz krzesło. Gdy skończyliśmy, lekko poklepałam Rena po łopacie, by dać mu znak, że jesteśmy gotowi do drogi. Tygrys wstał powoli, wygiął grzbiet, machnął ogonem i ziewnął szeroko, zwijając język. Potarł łbem o moją rękę i ruszył za mną do jeepa. Wskoczyłam na siedzenie pasażera, a on wyciągnął się z tyłu.

W drodze do głównej szosy pan Kadam zdawał się z przyjemnością omijać swoisty tor przeszkód, pełen wystających pniaków, chaszcz, kamieni i wybojów. Jeep miał znakomite amortyzatory, ale i tak musiałam mocno trzymać się klamki i zapierać o deskę rozdzielczą, by nie walnąć głową w dach. W końcu wyjechaliśmy na gładki asfalt i skierowaliśmy się na południowy zachód.

— Proszę mi opowiedzieć, jak minął pani tydzień w towarzystwie tygrysów — poprosił pan Kadam.

Zerknęłam na Rena, rozciągniętego z tyłu. Wyglądało na to, że drzemie, postanowiłam więc zacząć opowieść od polowania, a potem cofnęłam się do wszystkiego, co zdarzyło się wcześniej. No, może prawie wszystkiego. Nie mówiłam o sprawie z pocałunkiem. Nie dlatego, że pan Kadam by nie zrozumiał, przeciwnie, myślę, że zrozumiałby doskonale. Nie miałam jednak pewności, że Ren zapadł w sen, a nie byłam jeszcze gotowa na to, by usłyszał moje zwierzenia.

Pan Kadam najbardziej interesował się Kishanem. Był mocno zaskoczony, gdy Kishan wyłonił się z dżungli, prosząc o zapas jedzenia dla mnie. Według niego młodszy książę nie dbał o nic ani o nikogo, odkąd umarł jego rodzice.

Opowiedziałam mu o tym, jak Kishan został ze mną przez pięć dni, gdy Ren ruszył na polowanie, i że rozmawialiśmy o tym, jak poznał Yesubai. Mówiąc o niej, starałam się zniżyć głos do szeptu, żeby nie denerwować Rena. Pan Kadam nie rozumiał mojej potrzeby konspiracji, ale i tak słuchał z uwagą. Kiwał głową, gdy wspominałam o „tamnym wydarzeniu”.

Czułam, że wie coś więcej i że rozwałby kilka moich wątpliwości, wiedziałam jednali, iż nie jest typem plotkarza. Pan Kadam cechował się wielką dyskrecją, co działało zarówno na moją korzyść, jak i niekorzyść. Wziąwszy pod uwagę wszystkie aspekty sprawy, postanowiłam jednak, że to dobrze, i zapytałam o dzieciństwo Rena i Kishana.

— Ach... Obaj chłopcy byli dumą i radością rodziców. Mieli talent do wpadania w tarapaty, ale wrodzony urok osobisty sprawiał, że

zawsze udawało im się z nich wykaraskać. Dostawali wszystko, czego zapragnęli, musieli jednak najpierw na to zapracować. Deschen, ich matka, była niekonwencjonalna jak na mieszkankę Indii. Przebierała synów, by nikt ich nie poznał, i pozwalała, by bawili się z dziećmi z biednych rodzin. Chciała, by byli otwarci na wszelkie kultury i religie. Jej małżeństwo z ich ojcem, królem Rajaramem, było związkiem dwóch kultur. Król kochał żonę i dogadzał jej, nie troszcząc się o opinie innych. Chłopcy dostali to, co najlepsze z obu światów. Uczono ich wszystkiego, od polityki i sztuki wojennej, po hodowlę zwierząt i uprawę roli. Wiedzieli, jak posługiwać się tradycyjną indyjską bronią, ale mieli też najlepszych nauczycieli z całej Azji.

— Czy robili także inne rzeczy? Jak normalne nastolatki?

— O co pani pyta?

Drgnęłam nerwowo.

— Czy... chodzili na randki?

Pan Kadam uniósł brwi, zaintrygowany.

— Nie. Na pewno nie. Zanim powiedziała mi pani — tu mrugnął do mnie — o „wiadomym wydarzeniu”, nigdy nie słyszałem, by którykolwiek z nich podejmował romantyczne eskapady. Szczerze mówiąc, nie mieli na to po prostu czasu. Poza tym obaj zamierzali w przyszłości zawrzeć zaaranżowane małżeństwa.

Opuściłam lekko oparcie siedzenia i odchyliłam się do tyłu. Usiłowalam wyobrazić sobie, jak wyglądało życie braci. Musiało im być trudno, skoro nie mieli żadnego wyboru, z drugiej zaś strony w porównaniu do innych prowadzili uprzywilejowany żywot. Mimo wszystko uznałam, że wolność wyboru byłaby mi w tej sytuacji najdroższa.

Wkrótce fizyczne zmęczenie sprawiło, że zapadłam w głęboki sen. Gdy się obudziłam, pan Kadam wręczył mi kanapkę i butelkę soku.

— Proszę, musi pani coś zjeść. Zatrzymamy się na noc w hotelu, będzie więc pani wreszcie mogła wypaść się porządnie w wygodnym łóżku.

— A co z Renem?

— Przy hotelu, który wybrałem, znajduje się kawałek dżungli. Zostawimy go tam i odbierzemy w drodze powrotnej.

— A co z pułapkami na tygrysy?

Pan Kadam roześmiał się cicho.

— Opowiedział pani o tym, hę? Proszę się nie martwić, panno Kelsey. Ren nie ma zwyczaju popełniać dwa razy tego samego błędu. W tej okolicy nie ma dużych zwierząt, więc miejscowa ludność nie

musi się przed nimi bronić. Jeśli nie będzie wychylał nosa z dżungli nie powinno być problemu.

Godzinę później pan Kadam zatrzymał się w pobliżu gęstego lasu na obrzeżach niewielkiego miasteczka, wypuścił Rena z samochodu i pojechaliśmy dalej. Miasteczko pełne było kolorowo ubranych ludzi i barwnych domów. Wkrótce pan Kadam zaparkował przed hotelem.

— Nie dostałby może pięciu gwiazdek — wyjaśnił — ale ma wiele uroku.

Nad lśniąca witryną sklepu spożywczego ujrzałam wielki szyld w drewnianej ramie. Szyld był różowo-czerwony. Wypisano na nim nazwę sklepu, której nie potrafiłam przeczytać, obok zaś wymalowano staromodną butelkę coca-coli, symbol rozpoznawalny wszędzie, niezależnie od tego, w jakim alfabecie opisano etykietę.

Pan Kadam udał się do recepcji, ja zaś przeszłam się po sklepiku, z ciekawością przyglądając się towarom. Znalazłam tam amerykańskie batony i napoje gazowane, pomieszane z nietypowymi rodzajami słodyczy i lodami na patyku o egzotycznych smakach.

Pan Kadam wziął z recepcji klucze i kupił nam po lodzie i po butelce coli. Mój lód był biały, jego zaś pomarańczowy. Zerwałam opakowanie i nieufnie powąchałam smakołyk.

— Mam nadzieję, że to nie soja, curry ani nic z tych rzeczy...

Pan Kadam wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Proszę spróbować.

Tak też zrobiłam i z zaskoczeniem wyczułam smak kokosa. Może nie jest taki dobry jak moje ulubione czekoladowe, ale smakuje całkiem nieźle, pomyślałam.

Pan Kadam odgryzł kawałek swojego lodu, uśmiechnął się i powiedział:

— Mango.

Dwupoziomowy hotel, pomalowany na miętową zieleń, miał kutą żelazną bramę, betonowy taras i jasnoróżowe gzymsy. Na środku mojego pokoju na parterze stało duże łóżko. Za kolorową zasłoną kryła się nieduża szafa z kilkoma drewnianymi wieszakami. Na stole **stały** miska i dzban z wodą, a także kilka ceramicznych kubków. Zamiast elektrycznego wywietrznika, na suficie leniwie obracał się wiatrak, ledwie zdolny poruszyć ciepłe powietrze. Łazienki nie było. Wszyscy goście musieli dzielić wspólne pomieszczenie na pierwszym piętrze. Hotel nie był może szczytem luksusu, lecz bez wątplenia wygrywał w porównaniu z dżunglą.

Pan Kadam sprawdził, czy się rozgościłam, wręczył mi klucz i oświadczył, że za trzy godziny wróci, by zabrać mnie na kolację, po czym wyszedł, zostawiając mnie samą. Zaledwie zdążył przekroczyć próg, a już w pokoju pojawiła się niska Induska w luźnej pomarańczowej koszuli i białej spódnicy, żeby zabrać moje brudne rzeczy. Po bardzo krótkim czasie wróciła z naręczem wypranych ubrań, które rozwiesiła na sznurku przed drzwiami pokoju. Pranie cicho trzepotało na wietrze, a ja przysnęłam, słuchając znajomego, kojącego dźwięku.

Po krótkiej drzemce oraz naszkicowaniu kilku nowych portretów Rena-tygrysa zaplotłam warkocz i związałam go czerwoną wstążką, pasującą do czerwonej koszulki. Właśnie skończyłam zakładać adidasy, gdy pan Kadam zapukał do drzwi.

Zabrał mnie do restauracji o nazwie Kwiat Mango, którą określił jako najlepszą w miasteczku. Przeplłynęliśmy przez rzekę wodną taksówką, po czym udaliśmy się do budynku, który wyglądał jak wiejska rezydencja, otoczona bananowcami, palmami kokosowymi i drzewami mango.

Pan Kadam poprowadził mnie na tyły lokalu po kamiennej ścieżce, która wiodła do miejsca z zachwycającym widokiem na rzekę. Na szerokim tarasie stały ciężkie drewniane stoły o gładkich, wypolerowanych blatach i kamienne ławki. Ozdobne żelazne latarenki ustawione w rogu każdego ze stołów były jedynym źródłem oświetlenia. Sklepione ceglane przejście z prawej strony udekorowane było kwiatami jaśminu, które napelniały wieczorne powietrze słodkim zapachem.

— Proszę pana, jak tu cudownie!

— Rzeczywiście. Recepcjonista polecił mi to miejsce. Pomyślałem, że z przyjemnością zje pani elegancki posiłek, skoro przez tydzień żywiła się pani wojskowymi racjami.

Pozwoliłam, by pan Kadam zamówił dla mnie kolację, nie miałam bowiem pojęcia, jakie potrawy widnieją w karcie. Kelner przyniósł nam ryż basmati, opiekane warzywa, kurczaka saag, który okazał się kurczakiem w kremowym sosie szpinakowym, a także delikatną białą rybę z mangowym ćatni, pakory z warzywami, krewetki w sosie kokosowym, pieczywo nan, a do picia coś w rodzaju lemoniady ze szczyptą kminku oraz miętą, o nazwie dżal dżira. Upiłam łyk. Napój okazał się odrobinę zbyt ostry jak na mój gust, zadowolłam się więc dużą ilością wody.

Gdy rozpoczęliśmy posiłek, spytałam pana Kadama, czego nowego dowiedział się o przepowiedni.

Mój rozmówca otarł usta serwetką, popił wody i odparł:

— Jestem zdania, iż to, czego szukacie, nazywa się złotym owocem Indii. — Nachylił się nieco w moją stronę i ściszył głos. — Historia o złotym owocu to bardzo stara legenda, zapomniana przez większość współczesnych badaczy. Owoce ten miał być świętym źródłem, powierzonym pieczy Hanumana. Opowiedzieć pani o tym?

Lyknęłam wody i pokiwałam głową.

— Wedle legendy, Indie były niegdyś jedną wielką ziemią jalo-wą, niemożliwą do zamieszkania, pełną groźnych żmij, rozległych pustyń i dzikich bestii. W końcu pojawili się bogowie oraz boginie i zmienili wygląd ziemi. Stworzyli człowieka i przekazali rodzajowi ludzkiemu wyjątkowe dary, z których pierwszym był właśnie złoty owoc. Gdy ludzie go zasadzili, z ziemi wnet wyrosło potężne drzewo. Nasiona jego owoców zebrano i rozrzucano po całych Indiach, zmieniając je w żyzny kraj, zdolny wykarmić miliony.

— Ale skoro złoty owoc został zasadzony, to czy nie powinien zniknąć albo stać się korzeniem drzewa?

— Jeden z owoców z tamtego pierwszego drzewa dojrzał szybko i przybrał złoty kolor, i ten właśnie złoty owoc zabrał i ukrył Hanuman, król Kiszkindy, będący pół-człowiekiem, pół-malpą. Dopóki strzeże on owocu, dopóty ludzie w Indiach będą mieli co jeść.

— I to właśnie ten owoc mamy odnaleźć? A co jeśli Hanuman wciąż go pilnuje?

— Hanuman umieścił owoc w fortecy i postawił na straży swoje nieśmiertelne sługi. Niewiele wiem o przeszkodach, jakie staną na waszej drodze. Zgaduję, że będzie na was czekać wiele pułapek. Z drugiej strony musimy pamiętać, że jest pani wybranką Durgi, która czuwa nad panią.

W zamyśleniu potarłam dłoń. Poczulałam lekkie mrowienie. Ry-sunek Pheta wyblakł, lecz wiedziałam, że wciąż tam jest. Upiłam lyk wody.

— Naprawdę pan myśli, że coś znajdziemy? Czy naprawdę wierzy pan w to wszystko?

— Nie wiem, mam nadzieję, że to prawda i że uda nam się uwolnić tygrysy od klątwy. Staram się zachować otwarty umysł. Wiem, że istnieją sprawy, o których nie mamy pojęcia, i niewidzialne siły, które kierują naszym losem. W końcu wciąż żyję, choć nie powinienem. Ren i Kishan wpadli w pułapkę jakichś magicznych mocy, których nie rozumiem, i moim obowiązkiem jest im pomóc.

Najwyraźniej wyglądałam na strapioną, gdyż pan Kadam poklepał mnie po ręce i dodał:

— Proszę się nie martwić. Mam silne przeczucie, że nam się uda, i to przekonanie pozwala mi się skupić na naszym celu. Wierzę w panią i w Rena, i po raz pierwszy od wieków ufam, że może nam się powieść.

Pan Kadam klasnął i zatarł dłonie.

— A teraz proponuję zająć się deserem.

Zamówił dla nas kulfi, indyjskie lody ukręcone ze świeżej śmietanki i orzechów, orzeźwiający w ciepły wieczór, choć nie tak słodkie i kremowe jak amerykańskie.

Po kolacji wróciliśmy do łódki, rozmawiając o Hampi. Pan Kadam uznał, iż przed podróżą do ruin w poszukiwaniu bram Kiszkindy powinniśmy odwiedzić miejscową świątynię Durgi.

Przeprawiwszy się przez rzekę, poszliśmy spacerem do sklepiku. Na widok naszego miętowego hotelu pan Kadam zwrócił się do mnie z lekko zakłopotaną miną:

— Mam nadzieję, że wybaczy mi pani wybór tego raczej skromnego miejsca. Chciałem zatrzymać się w niewielkim miasteczku blisko dżungli, na wypadek, gdyby Ren mnie potrzebował. Tu może szybko do nas dotrzeć, a ja czuję się bezpieczniej, mając go niedaleko.

— Wszystko w porządku, proszę pana. Po tygodniu w dżungli ten hotel wydaje mi się wielkim luksusem.

Pan Kadam roześmiał się i pokiwał głową.

Przejrzeliśmy sklepowe półki. Pan Kadam kupił trochę owoców na śniadanie oraz kilka porcji ryżu, zawiniętego w liście bananowca. Wyglądało to podobnie do dania, które przygotował dla mnie Phet, jednak pan Kadam zapewnił mnie, że tym razem potrawa jest słodka, a nie ostra.

Gdy znalazłam się z powrotem w pokoju, przebrałam się w piżamę, wytrzełam poduszkę i podłożyłam ją sobie pod plecy, przykryłam nogi świeżo wypranym pledem i pomyślałam o Renie w dżungli. Ogarnęło mnie poczucie winy, że jestem tutaj, podczas gdy on siedzi tam samotnie. Tęskniłam za nim i ja również poczułam się samotna. Lubiałam mieć go blisko.

Z głębokim westchnieniem rozpuściłam warkocz, ułożyłam się wygodnie i zapadłam w lekki sen.

Okolo północy obudziło mnie ciche pukanie do drzwi. Wahalam się, czy otworzyć. Ryło późno i z pewnością osobą pukającą nie mógł być pan Kadam.

Podeszłam do drzwi, cicho położyłam na nich dłoń i zaczęłam nasłuchiwać. Znów rozległo się stłumione stukanie i usłyszałam, jak znajomy głos szepcze cicho:

— Kelsey, to ja.

Otworzyłam drzwi i wyjrzałam przez próg. Na zewnątrz stał Hen, odziany w biel, bosy i z szerokim, triumfalnym uśmiechem na twarzy. Wciągnęłam go do środka i syknęłam przez zaciśnięte zęby:

— Co ty tu robisz? To niebezpieczne, żebyś wyprawiał się do miasta! Mógł cię ktoś zobaczyć i wysłać za tobą myśliwych!

Ren wzruszył ramionami, wciąż uśmiechnięty.

— Tęskniłem za tobą.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

— Ja za tobą też.

Ren nonszalancko oparł się ramieniem o framugę.

— Czy to znaczy, że pozwolisz mi zostać? Będę spał na podłodze i wyjdę przed świtem. Nikt mnie nie zobaczy. Obiecuję.

Westchnęłam głęboko.

— No dobrze, ale obiecaj, że wyjdiesz wcześniej. Nie podoba mi się, że tak ryzykujesz.

— Daję słowo. — Ren usiadł na łóżku, wziął mnie za rękę i pociągnął na miejsce obok. — Nie lubię spać sam w ciemnej dżungli.

— Nie dziwię ci się.

Spojrzał na nasze splecione dłonie.

— Kiedy jestem z tobą, budzi się we mnie człowiek. Kiedy siedzę sam w lesie, czuję się jak zwierzę, jak bestia. — Podniósł na mnie wzrok.

Ścisnęłam Rena za rękę.

— Rozumiem. Możesz zostać. Naprawdę.

Książę uśmiechnął się szeroko.

— Trudno było cię wytropić, wiesz? Na szczęście postanowiliście zjeść kolację poza hotelem i mogłem iść za twoim zapachem aż pod same drzwi.

Coś na moim nocnym stoliku przykuło jego uwagę. Nachylił się i wziął do ręki mój otwarty pamiętnik. Rysowałam w nim portrety tygrysa — mojego tygrysa. Szkice z czasów cyrku były w porządku, ale ten ostatni był znacznie bardziej udany i pelen życia. Ren wpatrywał się przez chwilę w rysunek, podczas gdy moje policzki okrywał karmazynowy rumieniec.

Książę przesunął palcem po postaci tygrysa i wyszeptał cicho:

— Któregoś dnia podaruję ci portret prawdziwego mnie.

Ostrożnie odłożył pamiętnik, ujął moje dłonie w swoje, zwrócił się do mnie pełną emocji twarzą i powiedział:

— Nie chcę, żebyś patrząc na mnie, widziała tylko tygrysa. Chcę, żebyś dostrzegła człowieka.

Wyciągnął rękę i prawie już dotknął mojego policzka, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

— Zbyt wiele lat obnoszę tygrysi pysk. On skradł moje człowieczeństwo.

Pokiwałam głową, a książkę ścisnął moje dłonie i wyszeptał:

— Kells, ja już nie chcę nim być. Chcę być sobą. Chcę mieć swoje życie.

— Wiem — odparłam łagodnie. Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam go po policzku. — Ren, ja...

Znieruchomiałam, gdy książkę powoli zbliżył moją dłoń do swoich ust i pocałował jej wewnętrzną stronę. Poczulałam delikatny dreszczyk. Jego błękitne oczy przyglądały się mojej twarzy, desperacko czegoś w niej szukając. Chciałam go jakoś pocieszyć. Nie potrafiłam jednak znaleźć właściwych słów. Błaganie w jego wzroku coś we mnie poruszyło. Poczulałam między nami głęboką, mocną więź. Pragnęłam mu pomóc. Pragnęłam być jego przyjaciółką, a może nawet... kimś więcej. Staralam się określić jakoś swoje reakcje. To, co do niego czułam, zdawało się zbyt skomplikowane i umykało wszelkim definicjom, ale wkrótce stało się dla mnie jasne, że najsilniejszym uczuciem, które buzowało w moim sercu, była miłość.

Po śmierci rodziców zdołałam otoczyć swoje serce wysoką zaporą. Tak naprawdę nie pozwalałam sobie na to, by kogokolwiek pokochać, gdyż bałam się, że zostanie mi odebrany. Celowo unikałam poważniejszych związków. Lubiłam ludzi i miałam wielu znajomych, nie ryzykowałam jednak miłości. Do nikogo nie czułam tego, co teraz do Rena. Jego trudne położenie sprawiło, że straciłam czujność, a on delikatnie i konsekwentnie burzył moją znakomicie skonstruowaną zaporę. Fale czułości wylewały się ponad jej krawędź i przeciekały przez szczeliny. Emocje przejęły nade mną kontrolę. Bałam się otworzyć na tyle, by znów kogoś pokochać. Serce waliło mi jak szalone, byłam niemal pewna, że słyszę, jak dudni.

Wyraz twarzy Rena zmienił się. Smutek zastąpiła troska.

Co powinnam teraz zrobić? Co powiedzieć? Jak podzielić się moimi uczuciami?

Przypomniało mi się, jak oglądałyśmy z mamą filmy o miłości. Naszym ulubionym powiedzeniem było wówczas: „Zamknij się

wreszcie i ją pocałuj!". Obie niecierpliwiliśmy się, gdy bohater albo bohaterka nie chcieli zrobić tego, co nam wydawało się tak oczywiste, i kiedy tylko nadchodziła pełna napięcia, romantyczna chwila, powtarzaliśmy naszą mantrę. Teraz słyszałam w głowie pelen humoru głos mamy, radzący mi to samo: „Kells, zamknij się wreszcie i go pocałuj!".

Wzięłam się więc w garść i szybko, zanim zdążyłam się rozmyślić, nachyliłam się i pocałowałam Rena.

Książę znieruchomiał. Nie odwzajemnił pocałunku. Nie odepchnął mnie. Po prostu zamarł w bezruchu. Odsunęłam się, ujrzałam szok na jego twarzy i natychmiast pożałowałam własnej brawury. Wstałam i odeszłam kilka kroków, zawstydzona. Chciałam stworzyć między nami dystans i gorączkowo usiłowałam odbudować zapórę wokół serca. Usłyszałam, jak się poruszył. Wsunął rękę pod mój łokieć i obrócił mnie. Nie potrafiłam na niego spojrzeć, wpatrywałam się więc w jego białe stopy. Ujął mnie pod brodę i spróbował unieść moją głowę, ale ja wciąż nie chciałam spojrzeć mu w oczy.

— Kelsey. Popatrz na mnie.

Uniosłam wzrok, który powędrował od jego stóp do środkowego guzika koszuli.

— P o p a t r z n a m n i e .

Moje oczy kontynuowały swoją podróż. Wędrowały po złocisto-brązowej skórze na jego piersi i szyi, aż w końcu zatrzymały się na pięknej twarzy. Kobaltowe oczy spoglądały w moje, szukając odpowiedzi. Zbliżył się o krok. Oddech utknął mi w gardle. Ren wyciągnął rękę i powoli objął mnie w talii. Drugą ujął mnie pod brodę. Wciąż wpatrzony w moje oczy, lekko dotknął mojej twarzy i przesunął kciukiem po kości policzkowej.

Jego dotyk był delikatny, nieśmiały i ostrożny, jakby próbował pogłaskać spłoszonego gołębia. Na jego czujnej twarzy malował się zachwyty. Zadrżałam. Ren znieruchomiał na chwilę, a potem uśmiechnął się czule, pochylił głowę i musnął ustami moje usta.

Pocałował mnie miękko, z wahaniem. Właściwie był to zaledwie jakby cień pocałunku. Jego druga ręka ześliznęła się na moją talię. Nieśmiało dotknęłam jego ramion koniuszkami palców. Był ciepły i miał gładką skórę. Delikatnie przyciągnął mnie do siebie i lekko przycisnął do piersi. Chwyciłam go za ramiona. Westchnął z rozkoszą i pocałował mnie mocniej. Poczulałam, jak się rozplywam. Jakim cudem jeszcze oddycham? Otoczył mnie jego ciepły, sandałowy zapach. Gdziekolwiek mnie dotknął, czulałam delikatne, ożywcze mrowienie.

Gorączkowo ścisnęłam go za ramiona. Nie przerywając pocałunku, Ren ujął moje dłonie i położył je sobie na karku. Potem przesunął ręką po moim nagim ramieniu w dół, aż do talii, drugą zaś wsunął w moje włosy. Zanim zdążyłam się zorientować, co robi, podniósł mnie do góry i przycisnął do swojej piersi.

Nie mam pojęcia, jak długo się całowaliśmy. Nie wiedziałam, czy minęła sekunda, czy całe wieki. Moje bose stopy dyndały kilka centymetrów nad podłogą. Ren bez wysiłku podtrzymywał cały mój ciężar jednym ramieniem. Zanurzyłam palce w jego włosach i poczułam dudnienie w szerokiej piersi. Odgłos ten przypominał mi mruczenie tygrysa. A potem nie potrafiłam już jasno myśleć. Czas się zatrzymał.

Wszystkie neurony w moim mózgu wystrzeliły równocześnie, aż doszło do przeladowania. Nie miałam pojęcia, że całowanie się może dać taki efekt.

W końcu Ren niechętnie postawił mnie na ziemi. Nadal jednak mnie podtrzymywał, i całe szczęście, bo inaczej z pewnością bym upadła. Położył dłoń na moim policzku i powoli przesunął kciukiem po mojej dolnej wardze, a potem zaczął delikatnie gładzić mnie po włosach.

Zamrugalam kilka razy, żeby odzyskać ostrość widzenia.

Ren roześmiał się cicho.

— Oddychaj, Kelsey.

Na twarz wypłynął mu triumfalny, zuchwały uśmiech. Z jakiegoś powodu rozdrażniło mnie to.

— Widzę, że jesteś z siebie zadowolony.

Ren uniósł brew.

— Ależ oczywiście.

Uśmiechnęłam się do niego ironicznie.

— Cóż, nie zapytałeś mnie o pozwolenie.

— Hmm, być może da się to jeszcze naprawić. — Okrężnymi muśnięciami przesunął palcem po moim ramieniu. — Kelsey?

Obserwując jego dłoń, wymamrotałam roztargniona:

-T a k ?

Ren zbliżył się.

— Czy...

— Hmm? — Nieznacznie się poruszyłam.

— Pozwolisz mi...

Zaczął muskać nosem moją szyję, a potem ucho. Jego usta laskotały mnie, kiedy szeptał. Poczulałam, że się uśmiecha.

- Się...

Ramiona pokryła mi gęsia skórka. Zadrżałam.

—Pocalować?

Slabo pokiwałam głową. Stojąc na palcach, zarzuciłam mu ramiona na szyję, żeby wyraźnie widział, że daję mu pozwolenie. Ren całował moje ucho i policzek w boleśnie zwolnionym tempie. Zatrzymał się tuż nad moimi ustami i czekał.

Wiedziałam, o co mu chodzi. Zawahałam się zaledwie przez krótką chwilę, po czym wyszeptałam cicho:

- Tak.

Z uśmiechem zwycięzcy na ustach Ren przytulił mnie do piersi. Tym razem pocałunek był śmielszy, bardziej swawolny. Przesunęłam dłońmi po jego silnych ramionach i karku, i przycisnęłam go mocniej do siebie.

Gdy spojrzal mi w oczy, jego twarz jaśniała pełnym zachwytem uśmiechem. Podniósł mnie do góry i ze śmiechem okręcił w kółko. Gdy już całkiem zakręciło mi się w głowie, oprzytomniał i dotknął czołem mojego czoła.

Nieśmiało wyciągnęłam rękę i położyłam mu ją na twarzy, opuszkami palców muskając jego policzki i usta. Ren przycisnął twarz do mojej dłoni, tak samo, jak zrobiłby to tygrys. Roześmiałam się cicho i przesunęłam dłońmi po jego włosach, szesując mu je z czoła i ciesząc się ich jedwabistym dotykiem.

Ryłam przytłoczona. Nie spodziewałam się, że pierwszy pocałunek tak bardzo odmieni moje życie.

W ciągu kilku krótkich chwil zasady rządzące moim światem zostały napisane na nowo. Nagle stałam się zupełnie inną osobą. Bezbronna jak noworodek, martwiłam się, że jeśli pozwolę, by ten związek się pogłębiał, tym gorzej ze mną będzie, kiedy Ren odejdzie. Jak potoczą się nasze losy? Nie było sposobu, by to przewidzieć, i uświadomiłam sobie, jak bardzo kruchą i delikatną rzeczą jest ludzkie serce. Nic dziwnego, że trzymałam je zamknięte na klucz.

Ren nie zdawał sobie sprawy z moich ponurych rozmyślań, postanowiłam więc odsunąć je na bok i cieszyć się wspólną chwilą. Mój książkę postawił mnie na podłodze i całował lekko w usta, czoło, szyję. Potem zaś przytulił mnie i po prostu trzymał w ciepłych objęciach, głaszcząc moje włosy i kark, i szepcząc coś cicho w swym ojczystym języku. Po kilku chwilach westchnął, pocałował mnie w policzek i lekko popchnął w stronę łóżka.

— Prześpij się, Kelsey. Obojgu nam potrzebny jest sen.

Po raz ostatni musnął mój policzek wierzchem dłoni, zmienił się w tygrysa i położył na dywaniku. Wgramoliłam się pod pled i przechyliłam przez krawędź łóżka, by pogłaskać go po głowie.

Podłożywszy sobie drugą rękę pod policzek, wyszeptalam:

— Dobranoc, Ren.

Tygrys otarł się lbem o moją dłoń i zaczął cicho mruczeć. Potem położył głowę na łapach i zamknął oczy.

Słynna aktorka wodewilowa Mae West powiedziała kiedyś: „pocalunek to podpis mężczyzny”. Uśmiechnęłam się. Jeśli to prawda, to podpis Rena był prawdziwym Johnem Hancockiem¹ wśród pocalunków.



Gdy obudziłam się następnego ranka, Rena nie było. Ubrałam się i zapukałam do pana Kadama.

Drzwi otworzyły się. Mój przyjaciel uśmiechnął się do mnie.

— Panno Kelsey! Dobrze pani spała?

Nie wyczuwałam sarkazmu w jego głosie, domyśliłam się więc, że Ren nie wyjawil mu swoich planów nocnej eskapady.

— Tak. Spałam świetnie. Chociaż trochę za długo. Przepraszam.

Pan Kadam machnął ręką, po czym wręczył mi porcję ryżu w liściu bananowca, owoce i butelkę wody.

— Proszę się nie martwić. Zabierzemy Rena z dżungli i pojedziemy do świątyni Durgi. Nie ma pośpiechu.

Wróciłam do pokoju i usiadłam do śniadania. Bez pośpiechu zebrałam kilka osobistych rzeczy i spakowałam je do niedużej torby. Co chwilę łapałam się na tym, że tonę w marzeniach. Popatrywałam w lustro, dotykałam to ramienia, to włosów, to ust, i przypominałam sobie pocalunki Bena. Co rusz musiałam przywoływać się do porządku.

Na samym wierzchu w torbie położyłam pamiętnik. Przykryłam go złożonym pledem babci, zapięłam suwak i poszłam szukać pana Kadama.

¹ John Hancock (1757—1793) - amerykański kupiec i polityk, sygnatariusz Deklaracji Niepodległości, na której złożył swój charakterystyczny, duży, wyraźny i ozdobny podpis. Stąd w Stanach Zjednoczonych zwrot „John Hancock” jest synonimem podpisu właśnie.

Czekał na mnie w jeepie, przeglądając mapy. Uśmiechnął się najwyraźniej był w dobrym humorze, mimo że musiał czekać tak długo.

Pojechaliśmy po Rena, który wyskoczył spomiędzy drzew jak figlarne tygrysiątko. Gdy podbiegł do jeepa, wychyliłam się, by go pogłaskać, a on stanął na tylnych łapach, trącił nosem moją dłoń i polizal mnie w ramię przez otwarte okno. Potem wskoczył na tylne siedzenie, a pan Kadam wyjechał na szosę. Po jakimś czasie uważnego kierowania się mapą skręcił w niewyasyfutowaną drogę, która wiodła przez dżunglę, by w końcu zatrzymać się przed kamienną świątynią Durgi.

ŚWIĄTYNIA DURGI



Pan Kadam kazał nam zaczekać w samochodzie, a sam poszedł sprawdzić, czy w świątyni są zwiedzający. Ren wetknął głowę pomiędzy przednie fotele i dopóty szturchał mnie w ramię, dopóki się nie odwróciłam.

— Lepiej się schowaj. Ktoś może cię zobaczyć, jeśli nie będziesz ostrożniejszy — powiedziałam ze śmiechem.

Biały tygrys wydal z siebie cichy pomruk.

— Wiem. Też za tobą tęskniłam.

Po mniej więcej pięciu minutach pan Kadam wyszedł ze świątyni, a za nim para młodych Amerykanów, którzy wsiedli do samochodu i odjechali.

Wyskoczyłam z jeepa i otworzyłam Renowi drzwi. Tygrys wyszedł i zaczął ocierać się o moje nogi, jak wielki domowy kot domagający się jedzenia. Parsknęłam śmiechem.

— Ren! Przewrócisz mnie. — Położyłam mu rękę na karku. Wyglądał na zadowolonego.

Pan Kadam zachichotał i zaproponował:

— Wy idźcie do świątyni, a ja zostanę tu na straży, na wypadek gdyby zjawili się jacyś nowi goście.

Ścieżka wiodąca do świątyni wyłożona była gładkimi kamieniami koloru terakoty. Świątynia miała tę samą barwę, z sepiowymi, różowymi i perłowymi smugami. Wokół niej zasadzone były drzewa i kwiaty, pomiędzy którymi wily się ścieżki prowadzące do głównego wejścia.

Weszliśmy po niskich kamiennych schodkach. Otwarte przejście, wysokie na tyle, by zmieściła się w nim osoba średniego wzrostu, podpieraly kolumny, kunsztownie rzeźbione w wizerunki hinduskich bóstw.

Na tabliczce w kilku różnych językach widniał zakaz wchodzenia do środka w butach. Podłoga była zakurzona, zdjęłam więc również skarpetki i wetknęłam je w tenisówki.

Wewnątrz świątyni sufit sklepiony był w wysoką kopułę, na której misternie wyrzeźbiono kwiaty, słonie, małpy, słońce i igrające bóstwa. Kamienna podłoga miała kształt prostokąta, a w czterech rogach stały wysokie, zdobione kolumny. Łączyły je pokryte ornamentami luki. Rzeźbienia na kolumnach przedstawiały ludzi na różnych etapach życia i różnych zawodów, czczących Durgę. Podobizna bogini widniała na szczycie każdego z czterech filarów.

Świątynia była wykuta w skalistym wzgórzu. Trzy serie schodów prowadziły w różnych kierunkach na główny poziom. Wybrałam te po prawej stronie i wspinając się na górę, znalazłam się w zrujnowanej, zagruzowanej sali. Pomieszczenie było tak zniszczone, że nie potrafiłam odgadnąć, do czego go używano.

Drugie schody prowadziły do komnaty, w której stało coś w rodzaju kamiennego ołtarza. Na wierzchu leżał rozbity posążek, a wszystko pokrywał gęsty brunatny pył. Tego migotliwe drobinki wisiały w powietrzu jak smugi iskierki roztaczane przez elfy. Promienie światła wpadały do środka przez szczeliny w sklepieniu, kładąc się na podłodze wąskimi pasmami. Ren stąpał cicho, zaś moje kroki rozbrzmiewały echem w pustej świątyni.

Na zewnątrz panował niemilosierny żar, ale w środku było za ledwie ciepło, a w niektórych miejscach — wręcz chłodno, zupełnie jakby klimat zmieniał się z każdym krokiem. Spojrzałam na podłogę i ujrzałam ślady swoich stóp i łap Rena. Pomyślałam, że muszę je zatrzeć przed wyjściem. Inaczej ludzie dowiedzieliby się, że po świątyni grasował tygrys.

Przeszukawszy całą salę, nie znaleźliśmy nic ciekawego, wspiealiśmy się więc po schodach z lewej strony. Znalazłszy się w leżącej u ich szczytu komnacie, wydałam stłumiony okrzyk zdumienia. W ściennym zagłębieniu stał przepiękny kamienny posąg Durgi. Bogini miała na głowie wysoką tiarę, a wszystkie osiem ramion rozkładała wokół tułowia niczym pawi ogon. Trzymała w nich rozmaite rodzaje broni. Jedno z narzędzi walki uniesione było w obronnym geście. Przyjrawszy się bliżej, stwierdziłam, że jest to *gada*,

maczuga. U stóp bogini leżał zwinięty w kłębek tygrys Damon. Wielkie pazury wyrastały z ciężkiej łapy, którą zamierzał się na wrogięgo odyńca.

— Wygląda na to, że i ona ma swojego obrońcę, prawda, Ren?

Stałam bezpośrednio przed posągami, a Ren usiadł obok mnie. Gdy przyglądaliśmy się bogini, zapytałam:

— Jak myślisz, co, zdaniem pana Kadama, powinniśmy tu znaleźć? Odpowiedzi na kolejne pytania? Jak zdobędziemy błogosławieństwo Durgi?

Zaczęłam chodzić w tę i z powrotem, obserwując ściany i ostrożnie badając każdą szczelinę. Szukałam czegoś niezwykłego — choć nie miałam pewności, co właściwie mogłoby to być. Po półgodzinie miałam już umorusane ręce, pokryte pajęczynami i brązowym pyłem. Co gorsza, nic nie osiągnęłam. Wytarłam dłonie o dżinsy i usiadłam na kamiennym stopniu.

— Poddaję się. Po prostu nie wiem, czego szukać.

Ren podszedł i położył mi leb na kolanie. Poglaskalam go po miękkim futrze na grzbiecie.

— Co robimy? Szukamy dalej czy wracamy do jeepa?

Zerknęłam na stojącą obok mnie kolumnę. Widniała na niej rzeźbiona scena kultu Durgi. Dwie kobiety i jeden mężczyzna składali w ofierze owoce. Pomyślałam, że z pewnością byli rolnikami, ponieważ resztę kolumny zdobiły wyobrażenia pól uprawnych i sadów, a także zwierząt domowych i narzędzi rolniczych. Mężczyzna miał przerzucony przez ramię snop zboża. Jedna z kobiet niosła kosz owoców, a druga trzymała jakiś mały przedmiot.

Wstałam, by przyjrzeć się bliżej.

— Hej, Ren, jak myślisz, co ona ma w ręce?

Podskoczyłam. Ciepła dłoń księcia ujęła moją i lekko ją ścisnęła.

— Naprawdę powinienes mnie ostrzegać, zanim się zmienisz — zbesztalam go.

Ren roześmiał się i przesunął palcem po rzeźbieniu.

— Nie jestem pewien, co to. Wygląda trochę jak dzwonek.

Dotknęłam kolumny i wymamrotalam:

— A gdybyśmy my zrobili to samo?

— Jak to?

— Może byśmy ofiarowali coś Durdze? Na przykład owoce. A potem zadzwonili dzwonkiem?

Ren wzruszył ramionami.

— Jasne. Zawsze warto spróbować.

Wróciliśmy do jeepa i powiedziałam panu Kadamowi o naszym planie, który bardzo mu się spodobał.

— Znakomity pomysł, panno Kelsey! Nie wiem, czemu sam na niego nie wpadłem.

Z torebki z lunchem wyciągnął jabłko i banana.

— Nie pomyślałem o tym, by zabrać ze sobą dzwonek, ale w wielu starych świątyniach bywają dzwonki. Wyznawcy używali ich, gdy przybywali goście, gdy oddawali cześć bogini, dzwonili także na posiłki. Gdybyście go znaleźli, nie musielibyśmy wracać do miasta i kupować nowego.

Wzięłam owoce i powiedziałam:

— Mam nadzieję, że mój plan zadziała i dostaniemy błogosławieństwo, bo nie mam tak naprawdę zielonego pojęcia, co robię. Lepiej niech pan nie oczekuje zbyt wiele, bo może się pan rozczarować.

Pan Kadam oznajmił, że to niemożliwe, bym go rozczarowała, i wygonił nas z powrotem do świątyni.

Gdy znaleźliśmy się w środku, Ren przeszukał salę z ołtarzem, ja zaś w sąsiedniej zaczęłam przekopywać się przez gruz.

Po mniej więcej kwadransie usłyszałam:

— Kelsey, tutaj! Znalazłem!

Szybko pobiegłam do Rena, który pokazał mi wąską ściankę na końcu sali. Wykuto w niej płytkie kamienne półki. Na najwyższej, umieszczonej za wysoko dla mnie, ale w zasięgu ręki Rena, leżał mały, zardzewiały dzwonek z brązu, cały w pajęczynach i kurzu. Na górze miał metalowe kółko, żeby można go było zawiesić na haczyku.

Ren zdjął znalezione z półki i wytarł je w swoją koszulę. Po otarciu z brudu i pyłu potrząsnął nim i rozległo się ciche dzwonicie. Księżę uśmiechnął się i wyciągnął do mnie rękę. Podeszliśmy do posągu.

— Myślę, że to ty powinnaś złożyć ofiarę, Kells — powiedział, odgarniając włosy z oczu. — W końcu to ty jesteś wybranką bogini.

Skrzywiłam się.

— Być może, ale zapominasz, że jestem cudzoziemką, a ty indyjskim księciem. Z pewnością lepiej wiedziałbyś, co robisz.

Ren wzruszył ramionami.

— Nigdy nie czciłem Durgi. Nie znam całego rytuału.

— Jakich w takim razie wyznawaleś bogów?

— Brałem udział w obrzędach i świętach mojego ludu, ale nasi rodzice pragnęli, byśmy z Kishanem sami zdecydowali, w co wierzymy.

Byli bardzo tolerancyjni wobec różnych religii, ponieważ pochodzili z dwóch różnych kultur. A jak to wygląda u ciebie?

— Od śmierci rodziców nie byłam w kościele.

Ren ścisnął moją dłoń.

— Ryc może oboje musimy odnaleźć drogę do wiary. Wierzę, że istnieje coś więcej niż tylko to, co widzimy. Jakaś dobra siła we wszechświecie, która wszystkim kieruje.

— Jak to możliwe, że tkwiąc przez stulecia w ciele tygrysa, pozostałeś takim optymistą?

Ren opuszką palca strącił mi z nosa jakiś pyłek.

— Mój optymizm to stosunkowo świeży nabytek. Chodź.

Uśmiechnął się, pocałował mnie w czoło i odciągnął od kolumny.

Podeszliśmy do posągu. Ren zaczął otrząpywać z kurzu kamiennego tygrysa. Oczyszczenie figur wydało mi się dobrym początkiem. Rozłożyłam serwetkę, w którą pan Kadam zawinął owoce, i zaczęłam wycierać rzeźbę z wieloletniej warstwy pyłu oraz pajęczyn, nie zapominając o żadnym z ośmiu ramion bogini ani o postumencie, przed którym Ren znalazł lekko wydrążony kamień, podobny do miski. Uznaliśmy, że być może właśnie w nim ludzie składali ofiary.

Położyłam w misie jabłko i banana i stanęłam na wprost posągu. Ren stanął obok i wziął mnie za rękę. Zawahałam się.

— Denerwuję się. Nie wiem, co powiedzieć.

— No dobrze, ja zacznę, a potem ty rób to, co wyda ci się naturalne.

Zadzwoił trzy razy. Dźwięk dzwonka odbił się echem we wnętrzu świątyni. Ren rzekł głośno i wyraźnie:

— O Durgo, przychodzimy prosić cię o błogosławieństwo dla naszej wyprawy. Nasza wiara jest słaba i prosta. Stoi zaś przed nami skomplikowane i tajemnicze zadanie. Prosimy, otwórz nasze umysły i pomóż odnaleźć wiarę.

Spojrzał na mnie. Przelknęłam ślinę, zwilżyłam suche usta i dodałam:

— Prosimy, pomóż dwóm księżetom Indii odzyskać to, co zostało im odebrane. Daj im siłę i mądrość potrzebną, by uczynić to, co właściwe. Obaj zasługują na szansę, by żyć po swojemu.

Mocno chwyciłam Rena za rękę. Czekaliśmy.

Minęła minuta, potem kolejna. Nic się nie działo. Ren uściśnął mnie i szepnął, że musi znów przybrać postać tygrysa. Pocałowałam go w policzek. Gdy tylko się zmienił, ściany zaczęły drżeć i cała sala

się zatrzęsła. Świątynia rozbrzmiała głuchym dudnieniem i kilka razy rozbłysła białym światłem błyskawic.

Trzęsienie ziemi! Pogrzebie nas tu żywcem!

Z sufitu zaczęły spadać kamienie, a jedna z wysokich kolumn pękła. Upadłam na ziemię. Ren jednym susem znalazł się nade mną i przykrył mnie własnym ciałem, chroniąc przed lecącymi z góry skalnymi odłamkami.

Powoli trzęsienie ziemi ustalo i ucichły wszelkie odgłosy. Ren odsunął się, a ja z trudem stanęłam na nogi. Zdumiona, spojrzalam na posąg.

Fragment kamiennej ściany pękł i spadł na podłogę, rozbijając się na setki kawalków. W miejscu, gdzie się wcześniej znajdował, widniał ślad dłoni. Podeszłam bliżej, a tygrys wydal z siebie cichy pomruk. Przesunęłam palcem po wgłębieniu i spojrzalam na Rena. Zebrawszy się na odwagę, uniosłam dłoń i położyłam ją na odcisku. Poczulałam, jak kamień się nagrzewa, tak samo jak w jaskini Kanheri. Od mojej dłoni biło światło, jakby ktoś zapalił pod nią latarke. Wpatrywałam się jak urzeczona w błękitne żyłki w miejscach, gdzie moja skóra stała się przezroczysta. Rysunek Pheta odzyskał wyrazistość i rozbłysł czerwienią.

Spod moich palców wystrzelily z trzaskiem iskierki. Usłyszałam tygrysi pomruk, ale nie był to Ren, lecz Damon, tygrys Durgi!

Jego żółte oczy zalśniły. Twardy kamień zmienił się w żywe ciało, pokryte pomarańczowo-czarnym futrem. Hestia obnażyła kły i warknęła na Rena. Ren cofnął się o krok i ryknął, a futro zjeżyło mu się na karku. Nagle tygrys Durga znieruchomiał, a potem usiadł i zwrócił pysk ku swojej pani.

Oderwałam dłoń od odcisku i powoli zaczęłam się cofać, aż stanęłam za Renem. Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach i zatrzęsłam się ze strachu. Sztynny posąg zaczął oddychać, a bład, jasnoszary kamień zmienił się w żywe ciało.

Durga była przepiękną boginią o złotej skórze. Miała na sobie błękitną jedwabną szatę i gdy się poruszyła, usłyszałam szelest materiału, okrywającego jej wiotkie kształty. Każde z jej ośmiu ramion zdobne było w przeróżnego rodzaju klejnoty, które skrzyły się i błyszczaly, a ruchom bogini towarzyszyły odbłaski we wszystkich kolorach tęczy, przesuwające się po ścianach komnaty. Wstrzymałam oddech i patrzyłam, jak Durga mruga powiekami i opuszcza osiem ramion, a potem dwie pary z nich zakłada na piersi i przekrzywia głowę, patrząc na nas.

Ren podszedł bliżej i otarł się o mnie bokiem, co dodało mi nieco pewności siebie. Rylam wdzięczna za jego krzepiącą obecność. Położyłam rękę na jego grzbiecie i poczułam mięśnie, napinające się pod moim dotykiem. W każdej chwili był gotowy do skoku.

Cała nasza czwórka przez chwilę przyglądała się sobie nawzajem w milczeniu. Durga zdawała się szczególnie zainteresowana moją dłonią, którą gładziłam grzbiet Rena. W końcu przemówiła. Wyciągając jedno ze złotych ramion, przywołała nas gestem do siebie.

— Witaj w mojej świątyni, córko.

Chciałam ją zapytać, czemu mnie wybrała i czemu nazywa mnie córką. Przecież nie byłam nawet Induską. Phet również zdawał się tym nie przejmować, co nadal wprawiało mnie w zdumienie. Uznałam jednak, że lepiej zachować milczenie.

Bogini wskazała na misę u swych stóp i oznajmiła:

— Twoja ofiara została przyjęta.

Spojrzałam w dół. Owoce załśniły, zaskrzyły się i znikły. Durga przez chwilę głaskała swojego tygrysa po głowie i wydawało się, że o nas zapomniała.

Postanowiłam nie odzywać się i poczekać, co się wydarzy.

Bogini spojrzała na mnie z uśmiechem. Jej głos odbił się dźwięcznym echem po wnętrzu świątyni.

— Widzę, że i ty masz swojego tygrysa, który chroni cię w walce.

Mój głos zabrzmiał słabo i chwiejnie w porównaniu z jej głębokim, melodyjnym tonem.

— Tak. Ale Ren jest kimś więcej niż tylko tygrysem.

Bogini uśmiechnęła się, a ja oniemiałam, urzeczona jej blaskiem.

— Tak. Wiem, kim on jest, i wiem, że kochasz go prawie tak mocno jak ja mojego Damona. Prawda?

Czule potargala swojego tygrysa za ucho, a ja wymamrotałam słabe potwierdzenie.

— Przybyłaś tu po moje błogosławieństwo i je otrzymasz. Podejdź bliżej i przyjmij je.

Nadal wystraszona, zbliżyłam się odrobinę. Ren wśliznął się między boginię a mnie, przez cały czas skupiając uwagę na drugim tygrysie.

Durga uniosła wszystkie osiem ramion i gestem nakazała mi podejść bliżej.

Zrobiłam kilka kroków do przodu. Ren stanął nos w nos z Damonem. Obaj obwąchali się nawzajem głośno, marszcząc pyski, by pokazać, że nie odpowiada im tak bliski kontakt.

Bogini nie zwracała na nich uwagi. Uśmiechnęła się do mnie ciepło i oznajmiła:

— To, czego szukasz, ukryte jest w królestwie Hanumana. Mój znak pokaże ci wrota do niego. Czyha tam na ciebie wiele pułapek. Ty i twój tygrys musicie trzymać się razem. Jeśli się rozdzielicie, grozi wam wielkie niebezpieczeństwo.

Zaczęła poruszać ramionami, a ja cofnąłem się o krok. Bogini przyczepiła sobie do pasa trzymaną w jednej z dłoni konchę i zaczęła przekładać narzędzia walki z ręki do ręki, przyglądając się uważnie każdemu z nich.

Gdy dotarła do właściwego, znieruchomiała. Z uczuciem spojrziała na broń i pogładziła ją wolną ręką.

Było to *gada*. Durga wyciągnęła maczugę przed siebie, gestem nakazując mi ją wziąć. Zaciśnięłam palce na trzonku i wyjęłam broń z jej dłoni. Wyglądała na zrobioną ze złota, ale, o dziwo, nie była ciężka. Z łatwością udźwignęłam ją w jednej ręce.

Przesunęłam palcami po maczudze długości mojego ramienia. Dolna końcówka miała kształt złotej spirali. Trzon był gładki, gruby na pięć centymetrów i zakończony ciężką kulą, nieco większą od piłki baseballowej, wysadzaną maleńkimi lśniąco-kamykami. Z zachwytem uświadomiłam sobie, że to zapewne brylanty.

Podziękowałam Durdze, a ona uśmiechnęła się do mnie laskawie. Uniosła rękę i wskazała na najbliższą kolumnę, a potem zachęcająco pokiwała głową.

— Chcesz, żebym podeszła do filaru?

Bogini pokazała na *gada* w mojej dłoni, a potem znów spojrziała na kolumnę.

Wstrzymałam oddech.

— Ach. Mam to wypróbować?

Durga skinęła głową i zaczęła głaskać leb swego tygrysa. Zwróciłam się w stronę filaru i podniosłam *gada* jak kij baseballowy.

— No dobrze, ale od razu mówię, że zawsze byłam beznadziejna w sportach.

Wzięłam głęboki oddech, zamknęłam oczy i zamachnęłam się słabo. Spodziewałam się, że *gada* uderzy w kamień, odbije się i boleśnie wykręci mi ramię. Ale nie trafiłam. W każdym razie tak mi się w pierwszej chwili wydawało.

Wszystko potoczyło się jakby w zwolnionym tempie. Świątynią wstrząsnął dudniący grzmot, a fragment skały wystrzelił poziomo w powietrze jak pocisk raketowy, uderzył w ścianę, rozbrzmiewając

głośnym echem, i rozprysnął się na milion kawalków. Patrzyłam, jak chmura kurzu opada powoli na stertę kamieni. W kolumnie została zięjąca wyrwa.

Ze zdumienia szeroko otworzyłam usta. Zwróciłam się z powrotem do bogini, która uśmiechała się do mnie z dumą.

— Wygląda na to, że będę musiała bardzo z tym uważać.

Durga skinęła głową i wyjaśniła:

— Możesz użyć *gada*, kiedy zajdzie konieczność obrony, ale spodziewam się, że przez większość czasu będzie je dzierzył wojownik u twego boku.

Przez chwilę zastanawiałam się, w jaki sposób tygrys miałby posługiwać się maczugą, a potem delikatnie odłożyłam broń na kamienną podłogę. Gdy podniosłam wzrok, Durga wyciągnęła kolejne ramię, na którym siedział złoty wąż, równie żywy jak sama bogini. Wysuwał co chwilę język i syczał cicho.

— To zaś jest prezent dla ciebie — oznajmiła Durga, a ja z przerażeniem patrzyłam, jak zlocisty wąż powoli zsuwa się z jej ramienia i pelźnie w dół postumentu. Znalazłszy się na podłodze, gad zatrzymał się i unióśł górną połowę ciała. Szybko wysunął język, badając powietrze. Jego ślepia wyglądały jak maleńkie szmaragdy. Gdy rozłożył charakterystyczny kaptur, zadrżałam, uświadomiwszy sobie, że to kobra. Łuski na kapturze, zamiast brązowo-czarnych były beżowo-bursztynowo-kremowe na zlocistym tle. Kobra miała żółtawobiałe brzuch i język barwy kości słoniowej.

Podpełzła bliżej. Ren cofnął się o kilka kroków, gdy gad prześlizgiwał się między jego łapami. Byłam przerażona. Miałam sucho w ustach i zaciśnięte gardło. Czułam się tak, jakby silniejszy podmuch wiatru mógł zwalić mnie z nóg. Spojrzałam na boginię. Obserwowała całą scenę z pogodnym uśmiechem.

Wąż podpełzł do mojego buta, jeszcze raz wysunął język i owinał górną część ciała wokół mojej nogi. Okręcił mi się kilka razy wokół lydki. Czułam jego mięśnie, ciasno przywierające do mojej skóry. Gad zaczął pelznąć w górę.

Cała się trzęsłam i chwiałam jak kwiat na ciężkim deszczu. Pисnęłam płaczkliwie. Ren wydał z siebie coś pomiędzy pomrukiem a cichym skamleniem. Najwyraźniej nie wiedział, jak mi pomóc. Wąż dotarł do mojego uda. Szttywno rozłożyłam ramiona na boki. Kobra zacisnęła dolną część ciała wokół uda, górną zaś wyciągnęła w stronę mojej ręki. Z przestraczem patrzyłam, jak zbliża leb do mojego nadgarstka i szybkim ruchem owija mi się wokół ramienia, po którym

zaczęła wspinać się powoli. Czułam luski przesuujące się po mojej nagiej skórze. Były chłodne i gładkie — jak kawalki onyksu.

Uścisk węża był jak potężne imadło. Gdy gad owinął się wokół mojego ramienia, na chwilę ustalo mi krążenie, po czym krew popłynęła znów z głośnym, miarowym dudnieniem, jakby ktoś zdjął mi właśnie zbyt ciasną opaskę uciskową.

Wąż wyciągnął leb w stronę mojego barku i otarł mi się o szyję. Rozwidlony język wystrzelil do przodu i skosztował mojego sławego potu. Poczulałam drżenie dolnej wargi. Kropelki potu spływały mi po twarzy. Oddychalam ciężko. Czułam, jak głowa kobry przesuwa się wzdłuż mojej szyi, ociera o podbródek i nagle uświadomiłam sobie, że wąż z otwartym kapturem wpatruje mi się prosto w oczy swymi przypominającymi klejnoty ślepiami. W chwili, gdy już myślałam, że zemdleję, gad zsunął mi się z powrotem na ramię, owinął wokół niego jeszcze dwa razy i zamarł w bezruchu, zwrócony w stronę Durgi.

Zerknęłam na niego ostrożnie i ze zdumieniem stwierdziłam, że zmienił się w bransoletę, podobną do tych, które nosiły starożytne Egipcjanki. Szmaragdowe oczy węża nieruchomo wpatrywały się w przestrzeń.

Z wahaniem wyciągnęłam drugą rękę i dotknęłam kobry. Nadal wyczuwałam gładkie luski, teraz jednak miałam pod palcami metal, a nie żywe ciało. Zadrżałam i zwróciłam się w stronę bogini.

Wąż był stosunkowo lekki, podobnie jak *gada*. Skoro już muszę nosić na ramieniu złotego węża, dobrze przynajmniej, że mi nie ciąży, pomyślałam. Teraz, gdy nabrałam odwagi, by bliżej mu się przyrzyć, dostrzegłam, że się skurczył. Wielki gad zmienił się w niedużą bransoletkę.

Bogini przemówiła:

— Nazywa się Fanindra, Królowa Węży. Jest przewodniczką i pomoże ci odnaleźć to, czego szukasz. Poprowadzi cię na bezpieczne ścieżki i oświetli twoją drogę przez ciemność. Nie bój się jej, nie zamierza zrobić ci krzywdy.

Bogini wyciągnęła długie ramię, pogłaskała nieruchomą głowę kobry i dodała:

— Fanindra jest wrażliwa na emocje innych i pragnie być kochana taką, jaka jest. Ona i wszystkie jej dzieci mają swoją rolę w świecie, a my musimy nauczyć się akceptować to, że wszelkie stworzenia, niezależnie od tego, jak ogromną wzbudzają grozę, mają boskie pochodzenie.

Skloniłam głowę i odparłam:

— Postaram się pokonać swój strach i traktować ją z szacunkiem, na jaki zasługuje.

Bogini uśmiechnęła się i rzekła:

— O nic więcej nie proszę.

Durga zebrała swój rynsztunek i zaczęła znów przekładać go z ręki do ręki, aż wszystko powróciło na swoje miejsce. Spojrzała na mnie i Rena.

— Czy mogę udzielić wam rady, zanim odejdziecie?

— Oczywiście, pani.

— Pamiętajcie, by trzymać się razem. Jeśli się rozdzielicie, nie ufajcie swoim oczom. Idźcie za głosem serca. Ono powie wam, co jest prawdziwe, a co nie. Gdy zdobędziecie owoc, dobrze go ukryjcie, gdyż istnieją tacy, którzy będą chcieli go porwać i użyć do własnych niecnym celów.

— Ale czy nie powinniśmy przynieść owocu tobie i złożyć ci go w ofierze?

Dłoń głaszcząca tygrysa zamarła w bezruchu na jego futrze i powoli stwardniała oraz poszarzała.

— Złożyliście mi już ofiarę. Owoce, którego szukacie, ma inne przeznaczenie, które zrozumiecie, gdy przyjdzie na to czas.

— A co z resztą darów, z innymi ofiarami? — Desperacko pragnęłam dowiedzieć się więcej, chodź zdawałam sobie sprawę, że kończy mi się czas.

— Resztę ofiar możecie złożyć w moich innych świątyniach, ale zatrzymajcie dary, dopóki...

Czerwone usta znieruchomiały w pół zdania, a oczy bogini zamglily się i zmieniły z powrotem w niewidome kamienne galki. Złoto, klejnoty, barwna szata i cała postać zmartwiały w twardej posąg.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam głowy Damona, po czym otrzepałam ręce z kurzu. Ren przybliżył się, a ja w zamyśleniu przesunęłam palcami po jego kosmatym grzbiecie. Odgłos spadających kamyków wyrwał mnie z zadumy.

Uściskałam Rena, ostrożnie podniosłam *gada* i wyszliśmy ze świątyni. Tygrys stał przez chwilę przed wejściem, podczas gdy ja zacierałam jego ślady.

Gdy wędrowaliśmy ścieżką w stronę jeepa, z zaskoczeniem stwierdziłam, że słońce zdążyło znacznie przesunąć się na niebie. Spędziłam w świątyni dużo więcej czasu, niż mi się zdawało. Pan Kadam

drzemal w zaparkowanym w cieniu samochodzie z opuszczonymi szybami. Gdy podeszliśmy, usiadł gwałtownie i przetarł powieki.

— Czuł pan trzęsienie ziemi? — zapytałam.

— Trzęsienie? Skąd, tu było cicho jak w kościele. — Zachichotał, rozbawiony własnym dowcipem. — A co się stało? — Przeniósł wzrok z mojej twarzy na podarunki od Durgi. — Panno Kelsey! Mogę?

Podalam mu *gada*. Z wahaniem wyciągnął ręce i ujął maczugę. Jej ciężar nieco go przytłoczył, co sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać, czy w swym podeszłym wieku jest słabszy, niż wygląda.

Na jego twarzy odmalowały się czysty zachwyty i zainteresowanie badacza.

— Jest piękne! — zakrzyknął.

Pokiwałam głową.

— Powinien pan zobaczyć je w akcji. — Położyłam mu rękę na ramieniu. — Miał pan rację. Udało nam się dostać błogosławieństwo Durgi, nie ma co do tego wątpliwości. — Wskazałam na węza owiniętego wokół mego ramienia. — Proszę się przywitać z Fanindra.

Pan Kadam wyciągnął palce i dotknął głowy kobry. Skrzywiłam się na myśl o tym, że mogłaby ożyć, ale pozostała nieruchoma. Dary bogini zdawały się wprawiać mego przyjaciela w pełne zachwyty osłupienie.

Pociągnęłam go za rękaw.

— Jedźmy już. Wszystko panu opowiem po drodze. Poza tym umieram z głodu.

Pan Kadam roześmiał się, podniecony i rozradowany. Ostrożnie owinąwszy *gada* w koc, położył je na tylnym siedzeniu, po czym przeszedł na drugą stronę i otworzył drzwi przede mną i Renem. Wsiedliśmy, zapięłam pasy i ruszyliśmy w stronę Hampi. Durga przemówiła. Mieliśmy odnaleźć złoty owoc. Ryliśmy gotowi.

HAMPI



Po drodze do miasteczka pan Kadam z wyteżoną uwagą chłonał każdy szczegół naszej przygody w świątyni Durgi. Zasypywał mnie pytaniami o detale, o których nie pomyślałam nawet, że mogłyby być istotne. Chciał na przykład wiedzieć, co było wyrzeźbione na pozostałych trzech kolumnach, a mnie przecież nie przyszło do głowy choćby na nie spojrzeć.

Tak go zajęła moja opowieść, że pojechał wprost do hotelu, nie zatrzymawszy się wcześniej w dżungli, musieliśmy więc zawrócić. Odprowadziłam tygrysa pomiędzy drzewa. Pan Kadam z chęcią pozostał w samochodzie, uważnie przyglądając się maczudze.

Poszłam z Renem przez wysokie trawy do samej linii drzew. Pochyliłam się, uściskałam go i szepnęłam:

— Jeśli chcesz, możesz dziś znowu spać ze mną w hotelu. Uszczknę dla ciebie coś z kolacji.

Dotarliśmy na miejsce. Pan Kadam skorzystał z hotelowej kuchni, by przygotować dla nas omlet z warzywami, grzanki oraz sok z papai. Umierałam z głodu, a patrząc na jedzenie, które wynoszono z kuchni, byłam bardzo wdzięczna losowi, że pan Kadam lubi gotować. Jedna z pracownic, a może gość hotelowy, gotowała coś w wielkim garze i dochodzący z naczyńia zapach pozostawiał wiele do życzenia. Właściwie mogło to być pranie.

Pochłonęłam pelen talerz i poprosiłam pana Kadama o dokładkę, którą mogłabym wziąć do pokoju na wypadek, gdybym zgłodniała

w środku nocy. Mój przyjaciel z radością spełnił życzenie i na szczęście nie zadawał pytań.

Powierzyłam *gada* pieczy pana Kadama, ale odkryłam, że choćbym nie wiem jak się starała, nie mogę zdjąć bransolety. Pan Kadam martwił się, że ktoś może mi ją ukraść.

— Proszę mi wierzyć — odparłam. — Z chęcią bym zdjęła Fanindrę. Ale gdyby pan widział, w jaki sposób dostała się na moje ramię, też by pan wolał, żeby pozostała nieruchoma.

Szybko zdusiłam w sobie wspomnienie, pamiętając, że Fanindra jest prezentem i wyrazem boskiej łaski. Wyszeptalam do niej krótkie przeprosiny.

Gdy wróciłam do pokoju, przebrałam się w piżamę, co wcale nie okazało się takie proste. Na szczęście miałam bluzę z krótkimi rękawami. Wetknęłam jej brzeg pod bransoletę, tak, by nie zakryć Fanindra głowy. Myjąc zęby, patrzyłam na kobrę w lustrze. Lekko poklepałam ją po łbie i ze szczoteczką w ustach wymamrotałam:

— Cóż, Fanindro, mam nadzieję, że lubisz wodę, ponieważ jutro rano mam zamiar wziąć prysznic i jeśli wciąż będę cię miała na ramieniu, wykąpiesz się razem ze mną.

Wąż pozostał nieruchomy, ale jego ślepią zalśniły w lustrze słabo oświetlonej łazienki. Umyłam zęby, włączyłam wiatrak pod sufitem, postawiłam kolację Rena na toaletce i wgramoliłam się do łóżka. Ciało węża wbijało mi się w bok, przez co trudno mi było znaleźć wygodną pozycję. Już myślałam, że nigdy nie zasnę z twardą bransoletą na ramieniu, ale w końcu mi się to udało.

W środku nocy obudziło mnie ciche drapanie w drzwi. Za progiem czekał Ren.

Spragniony bliskości, zjadł szybko, a potem objął mnie i pociągnął na swoje kolana. Przycisnął policzek do mojego czoła i zaczął mówić o Durdze i *gada*. Najwyraźniej bardzo podniecały go możliwości nowej broni. Sennie pokiwałam głową i zmieniłam nieco pozycję, kładąc mu głowę na piersi.

W jego ramionach czułam się bezpieczna i z przyjemnością słuchałam ciepłego tembru jego głosu. W pewnym momencie książkę zaczął delikatnie nucić, a ja poczułam na policzku mocne bicie jego serca do rytmu melodii.

Po jakimś czasie umilkł i poruszył się, wzbudzając mój zaspany protest. Uniósł w ramionach moje bezwładne ciało i przytulił mnie. W półśnie wymamrotałam, że pójde sama, ale on nie zwrócił uwagi na moje słowa, położył mnie na łóżku i delikatnie wyprostował mi

ręce i nogi. Poczulałam, jak lekko całuje mnie w czoło, a potem okrywa pikowanym pledem. Zasnęłam.

Jakiś czas później gwałtownie otworzyłam oczy. Złota kobra zniknęła! Podskoczyłam, zapaliłam światło i zobaczyłam, że leży na nocnym stoliku. Wciąż była nieruchoma, ale tym razem opierała głowę na zwiniętym tulowiu. Przez moment przyglądałam się jej podejrzliwie, ale się nie poruszyła. Zadrżałam na myśl o żywym wężu, pelznącym po moim ciele, kiedy spałam. Ren uniósł łeb i spojrzal na mnie z troską. Poglaskalam go i wyjaśniłam, że Fanindra zmieniła miejsce. Zastanawiałam się przez chwilę, czy go nie poprosić, żeby spał między mną a wężem, ale postanowiłam, że muszę być odważna. Ułożyłam się jednak na boku i ciasno owinęłam pledem, by mieć pewność, że nic dziwnego nie będzie działo się z moimi kończynami bez mojej wiedzy. Poprosiłam również Fanindrę, żeby była tak miła i nie pelzała po mnie wtedy, gdy nie jestem tego świadoma, a najlepiej, jeśli to możliwe, żeby nie pelzała w ogóle.

Kobra nie poruszyła się ani nawet nie mrugnęła zielonym okiem.

Czy węże potrafią mrugać? Roztrzásając to ważkie zagadnienie, ułożyłam się na boku i od razu zasnęłam.



Gdy obudziłam się następnego ranka, Rena nie było, a Fanindra leżała w tym samym miejscu, uznałam więc, że to idealny moment na prysznic. Gdy wróciłam do pokoju, wycierając ręcznikiem włosy, zauważyłam, że znów zmieniła pozycję. Była skrecona jak bransoleta, gotowa zająć miejsce na moim ramieniu. Założyłam ją bez trudu. Tym razem, gdy próbowałam ją ściągnąć, zsuwała się swobodnie.

— Dzięki, Fanindro — powiedziałam. — Będzie mi o wiele łatwiej, jeśli będę mogła cię zdjąć w razie potrzeby.

Nie byłam pewna, ale zdawało mi się, że dojrzałam błysk w jej szmaragdowych ślepiach.

Kończyłam właśnie zaplatać warkocz i związywać go zieloną wstążką, pasującą do oczu Fanindry, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. W progu stał pan Kadam ze świeżo umyтыми włosami i przystrzyżoną brodą.

— Jest pani gotowa do drogi, panno Kelsey? — zapytał, biorąc moją torbę.

Wymeldowaliśmy się z hotelu i pojechaliśmy do lasu po Rena. Musieliśmy poczekać kilka minut. W końcu tygrys wyskoczył spo-

między drzew i wybiegi nam na spotkanie. Parsknęłam nerwowym śmiechem.

— Zaspaleś dzisiaj, co?

Prawdopodobnie biegł całą drogę z hotelu. Rzuciłam mu znaczące spojrzenie, z nadzieją, że rozumiał. Naprawdę powinien był wcześniej wyjść z pokoju.

Po drodze do Hampi zatrzymaliśmy się przy straganie i kupiliśmy sobie po koktajlu owocowym i porcji muesli. Wypiłam napój do połowy, drugą zaś zaproponowałam Renowi. Wetknął głowę między przednie siedzenia i wychleptał resztę koktajlu długim językiem, niby przez przypadek oblizując przy tym moje dłonie.

Roześmiałam się.

— Ren! Wielkie dzięki. Teraz będą mi się kleić ręce.

Nachylił się i zaczął mnie lizać jeszcze gorliwiej, wsuwając mi różowy język między palce.

— No dobrze, dobrze! Łaskoczesz. Dzięki, ale już wystarczy.

Pan Kadam wybuchnął śmiechem, otworzył schowek i wręczył mi paczkę nawilżanych chusteczek podróżnych.

Wycierając ręce z tygrysięj śliny, zagroziłam:

— Zobaczysz, już nigdy nie podzielę się z tobą nawet koktajlem mlecznym.

Z tylnego siedzenia rozległo się głośnie prychnięcie. Gdy chwilę później zerknęłam do tyłu, ujrzałam uosobienie tygrysięj niewinności, wiedziałam jednali, że dotarły do niego moje słowa.

Pan Kadam poinformował mnie, że zbliżamy się do Hampi, i wskazał na ogromną budowlę w oddali.

— Ten wysoki budynek w kształcie stożka to świątynia Wirupakszy — wyjaśnił. — To najbardziej charakterystyczna część Hampi, wybudowana dwa tysiące lat temu. Niedługo minimy jaskinię Sugriwa, gdzie podobno ukryte były klejnoty Sity.

— Czy te klejnoty nadal tam są?

— Nigdy ich nie odnaleziono. Między innymi dlatego Hampi tak często płądrowali poszukiwacze skarbów. — Pan Kadam zatrzymał się na poboczu i wypuścił Rena. — W ciągu dnia kręci się tu dużo turystów, więc Ren poczeka tutaj, a my przejdziemy się w poszukiwaniu wskazówek. Wrócimy po niego wczesnym wieczorem.

Zaparkowaliśmy przed bramą. Pan Kadam poprowadził mnie najpierw do największej budowli, świątyni Wirupakszy. Była wysoka na jakieś dziesięć pięter, a kształtem przypominała olbrzymi

rozek lodowy, przewrócony do góry nogami. Pan Kadam opowiedział mi co nieco o świątyni, wskazując kolejne jej elementy:

— We wszystkich bocznych budowlach znajdują się dziedzińce i ołtarze, w centralnej zaś jest główne sanktuarium w wielkiej sali podpartej filarami, od której odchodzą długie krużganki, wiodące ku środkowemu dziedzińcowi. Chodźmy, pokażę pani.

Gdy spacerowaliśmy po świątyni, pan Kadam przypomniał mi, że szukamy wrót do Kiszkindy, królestwa rządzonego przez małpy.

— Nie jestem pewien, jak wygląda, ale być może oznaczone jest kolejnym odciskiem dłoni. Przepowiednia Durgi wspomina również o węzłach.

Znowu węże, pomyślałam, krzywiąc się. Wrota do mitycznej krainy? Im głębiej brnę w całą tę przygodę, tym wszystko staje się dziwniejsze.

Ruiny tak mnie zachwyciły, że całkowicie wyleciał mi z głowy cel naszej wizyty. Wszystko było niesamowite. Zatrzymaliśmy się przy budowlu zwanym Kamiennym Rydwanem. Ryło to kamienne wyobrażenie miniaturowej świątyni na kołach. Koła rydwanu przypominały kształtem kwiaty lotosu i nawet obracały się jak prawdziwe.

Kolejna budowla, świątynia Witthali, zdobna była w przepiękne posągi tańczących kobiet. Słuchaliśmy przewodnika, który objaśniał znaczenie podpierających konstrukcję pięćdziesięciu sześciu filarów.

— Uderzone, kolumny drgają — mówił. — Wydają z siebie dźwięki, które brzmią dokładnie tali, jak poszczególne nuty. Prawdziwie zdolny muzyk byłby nawet w stanie zagrać na nich melodię.

Przez chwilę staliśmy bez ruchu, słuchając dźwięków wydobywanych przez przewodnika, który lekko postukiwał w kolumny. Czarodziejskie tony przejmowały nas głęboką wibracją, wznosiły się i powoli rozplywały w powietrzu. Dźwięk milkł na długo przed tym, nim ustaly drgania.

Następnie przystanęliśmy przed budowlą zwaną Łażnią Królowej. Pan Kadam zwrócił moją uwagę na szczegóły.

— Łażnia królowej była miejscem odpoczynku dla władcy i jego żon. Kiedyś otaczały ją pałace. Kobiety relaksowały się na balkonach, wychodzących na kamienny basen, do którego pompowano wodę akweduktem. Z boku znajdował się niewielki ogród kwiatowy, gdzie królewskie żony urządzały sobie pikniki.

— Basen był długi na piętnaście metrów i głęboki na dwa. Do wody dolewano perfumy, a po powierzchni rozsypywano płatki

kwiatów. Basen zdobiły również fontanny w kształcie lotosu. Kilka z nich wciąż stoi. Całą budowlę otaczał kanał, a strzegli jej uzbrojeni strażnicy, ażeby tylko król mógł wejść do środka i figlować z kobietami. Wszyscy inni potencjalni zalotnicy trzymanych byli na dystans.

Zmarszczyłam czoło.

— Hmm, skoro tylko król mógł wchodzić do środka, jakim cudem potrafi pan tak szczegółowo opisać to miejsce?

Mój towarzysz pogladził się po brodzie i uśmiechnął od ucha do ucha.

— Proszę pana! Chyba nie włamał się pan do królewskiego haremu? — wyszeptalam, wstrząśnięta.

Pan Kadam lekko wzruszył ramionami.

— To był dla młodego mężczyzny rodzaj inicjacji. Kilku z nas zginęło, próbując dostać się do środka. Tak się złożyło, że byłem jednym z tych śmialków, którym się udało.

Roześmiałam się.

— Cóż, muszę powiedzieć, że całkowicie zmieniłam o panu zdanie. Włamanie do haremu! Kto by pomyślał? — Zrobiłam kilka kroków do przodu, po czym nagle obróciłam się na pięcie. — Chwileczkę. Powiedział pan: inicjacja? Czyżby Ren i Kishan...?

Pan Kadam zatrzymał się i podniósł ręce do góry.

— Lepiej niech sama ich pani o to zapyta. Nie chciałbym powiedzieć czegoś, czego nie powinienem.

— Hmm. Ta kwestia stanowczo zajmie pierwsze miejsce na mojej liście pytań do Rena — mruknęłam.

Następnie obejrzelśmy Dom Zwycięstwa, Świątynię Lotosu i Mahanawami Dibba, ale nigdzie nie zauważyliśmy nic specjalnie intrygującego. Dowiedziałam się, że Pałac Szlachciców był miejscem spotkań dyplomatycznych i biesiad oficjeli. W budowlu zwaną Królewską Wagą odmierzano zaś złoto, pieniądze i zboże, a także rozdawano je biednym.

Najbardziej podobały mi się stajnie dla słoni. Długa, sklepiona budowla była w swych najlepszych czasach domem dla jedenastu słoni. Pan Kadam wyjaśnił, że zwierząt tych nie używano w bitwie, lecz do rytuałów. Było to prywatne stado króla — zwierzęta były znakomicie wytresowane i wykorzystywane do przeróżnych obrzędów. Często ubierano je w złote szaty i klejnoty, a także malowano im skórę. Nad jedenastoma komnatami wznosiło się jedenaście kolumn. Mój towarzysz wyjaśnił, że król trzymał również inne słonie,

wykorzystywane przy podrzędnych pracach oraz na budowie, ale ta prywatna gromadka miała wyjątkową rangę.

Ostatnią rzeczą, jaką obejrzelśmy, był wielki posąg Ugry Narasinhy.

Gdy spytałam pana Kadama, jakie jest jego znaczenie, nie odpowiedział. Obszedł statwę dookoła, spoglądając na nią pod różnymi kątami, pogrążony w myślach, mamrocząc coś pod nosem. Osloniłam dłonią oczy i popatrzyłam na szczyt pomnika. Starając się zwrócić uwagę pana Kadama, zapytałam:

— Kim on jest? Straszny brzydak.

Tym razem mój towarzysz odpowiedział.

— Ugra Narasinha to bóstwo, pół-człowiek, pół-lew, choć potrafi przybierać również inne formy. Miał odstraszać i robić wrażenie. Najbardziej wsławił się zabiciem potężnego władcy demonów. Co ciekawe, owego władcy nie można było zabić na ziemi ani w powietrzu, za dnia ani w nocy, w pomieszczeniu ani na zewnątrz, i nie mogło to być dokonane ani przez człowieka, ani przez zwierzę, ani żaden przedmiot, żywy czy martwy.

— Sporo tu macie nieśmiertelnych demonów, co do tego nie ma wątpliwości. Jak więc Ugra Narasinha zabił króla-demoną?

— Ach, był bardzo sprytny. Schwytal demona, usiadł na progu, położył go sobie na kolanach i rozszarpał pazurami o świcie.

— Hmm, ani noc, ani dzień to świt, ani w środku, ani na zewnątrz, czyli na progu, a bóg miał postać pół-człowieka, pół-lwa, czyli mamy z głowy kolejne wymaganie, nie był ani człowiekiem, ani zwierzęciem. Trzymał demona na kolanach, czyli ani na ziemi, ani w powietrzu... i co tam jeszcze zostało?

— Demona nie mogło zabić nic żywego ani martwego, bóg użył więc pazurów.

— Ha. To rzeczywiście całkiem sprytne.

— Jestem pod wrażeniem, panno Kelsey. Większości warunków domyśliła się pani sama. Proszę przyjrzeć się bliżej, zauważy pani, że Ugra Narasinha siedzi na zwiniętym ciele siedmiogłowej kobry. Wszystkie siedem łbów z rozpostartymi kapturami tworzy nad głową bóstwa coś w rodzaju parasola.

Skrzywiłam się.

— Aha, waż jak się patrzy. — Nieswojo zerknęłam na złotą kobrę wokół swojego ramienia. Fanindra nadal była twardą bransoletą.

Pan Kadam znowu zaczął mrużyć coś pod nosem i długo przyglądał się posagowi Ugry Narasinhy.

— Czego pan właściwie szuka?

— Fragment przepowiedni mówi, że poprowadzą nas węże. Najpierw myślałem, że chodzi tylko o Fanindrę, ale być może istotne jest, że użyto liczby mnogiej.

Zaczęliśmy poszukiwania sekretnego przejścia albo odcisku dłoni przypominającego te, które znalazłam wcześniej, nic jednak nie zauważyliśmy. Badając posąg, staraliśmy się zachowywać tali samo swobodnie jak inni turyści.

W końcu daliśmy za wygraną. Pan Kadam powiedział:

— Myślę, że powinniście wrócić tu z Renem wieczorem. Podejrzewam, że wrota do Kiszkindy mogą znajdować się gdzieś w pobliżu posągu.

Zawieźliśmy Renowi obiad. Tygrys ostrożnie zjadł mi z ręki kawałki kurczaka tanduri, a ja opowiedziałam mu o miejscach, które zwiedziliśmy. Pan Kadam poinformował nas, że ruiny zamyka się dla zwiedzających o zachodzie słońca, chyba że mają tam miejsce jakieś szczególne wydarzenia.

— Zazwyczaj Hampi pilnują strażnicy, wypatrujący poszukiwaczy skarbów. Właściwie — dodał — poszukiwacze skarbów są winni większości zniszczeń. Szukają złota i klejnotów, jednak tego rodzaju kosztowności zabrano stąd wiele lat temu. Dziś skarby Hampi to właśnie to, co oni niszczą.

Fan Kadam uznał, że będzie najlepiej, jeśli zawiezie nas na drugą stronę wzgórza, ponieważ nie ma tam dróg wiodących do Hampi ani strażników.

— Ale skoro nie ma dróg, jak się tam dostaniemy? — spytałam, obawiając się odpowiedzi.

Pan Kadam uśmiechnął się szeroko.

— Możliwość podróżowania z dala od uczęszczanych szlaków to jeden z powodów, dla których kupilem jeepa. — Zatarł ręce z ożywieniem. — Będzie ciekawie!

Jęknęłam i wymamrotałam:

— Fantastycznie. Robi mi się niedobrze na samą myśl.

— Będzie pani musiała schować *gada* do plecaka, panno Kelsey. Da pani radę?

— Jasne. Przecież nie jest właściwie ciężkie.

Pan Kadam znieruchomiał i spojrzał na mnie z zaskoczeniem.

— To nie jest ciężkie? Jest bardzo ciężkie. — Odwinął maczugę z koca i uniósł obiema rękami, mocno napinając mięśnie.

Zdziwiona, wymamrotałam:

— To dziwne. Z tego, co pamiętam, jak na swoje rozmiary było całkiem lekkie. — Podeszłam i odebrałam mu *gada*. Oboje w osłupieniu skonstatowaliśmy, że bez trudu unoszę broń jedną ręką. Pan Kadam spróbował zrobić to samo, ale po raz kolejny zachwiał się pod jej ciężarem.

— Zdaje mi się, jakby ważyło z dwadzieścia kilogramów.

Jeszcze raz ujęłam maczugę.

— Dla mnie waży może dwa, góra cztery.

— Niesamowite — zadziwił się pan Kadam.

Wstrząśnięta, stwierdziłam:

— Nie miałam pojęcia, że jest takie ciężkie.

Pan Kadam wziął *gada*, zawinął je w miękki koc i schował do mojego plecaka. Wskoczyliśmy z powrotem do jeepa i ruszyliśmy boczną drogą, która wkrótce z asfaltowej zmieniła się w piaszczystą, później żwirową, a w końcu zupełnie znikła w trawie.

Pan Kadam wypuścił nas z auta i rozbił miniaturowe obozowisko, zapewniając mnie, że Ren z pewnością odnajdzie drogę powrotną. Wręczył mi małą latarkę, kopię przepowiedni i ostrzegł:

— Proszę nie używać latarki, jeśli nie będzie to konieczne. Nocą po ruinach chodzą strażnicy. Proszę się mieć na baczności. Na szczęście Ren będzie w stanie ich wyczuć, więc wszystko powinno być w porządku. Sugerowałbym również, żeby Ren przez większość czasu pozostał w ciele tygrysa, na wypadek, gdyby później potrzebowała pani jego pomocy.

Ścisnął mnie za ramiona i uśmiechnął się.

— Powodzenia, panno Kelsey. Proszę pamiętać, że być może nie znajdziecie. Najwyżej jutro zaczniemy poszukiwania od nowa. Mamy mnóstwo czasu. Proszę się nie martwić. Nie spieszy nam się.

Ruszyłam za Renem. Bezksiężycowa noc sprawiała, że gwiazdy świeciły zdwojonym blaskiem na tle czarnego, aksamitnego nieba. Widok był piękny, a jednali żalowałam, że nie ma księżyca. Na szczęście biały zad Rena łatwo było wypatrzeć w ciemnościach. Musiałam za to bardzo uważać na liczne zapadliny. Nie był to najlepszy moment na potknięcie się i złamanie kostki. Nie miałam ochoty choćby myśleć o tym, jakiego rodzaju stworzenia wykopały te doły.

Po kilku minutach chwiejnego marszu dostrzegłam przed sobą lekko zielonkawą poświatę. Rozglądałam się przez chwilę, aż w końcu zrozumiałam, że to blask oczu Fanindry. Rozświetliła przede mną ciemne wertepy, obdarzając mnie szczególnym rodzajem noktowizji:

wszystko jawiło mi się wyraźnie, ale wyglądało dość niesamowicie, jakbym chodziła po powierzchni jakiejś dziwnej zielonej planety.

Po niemal godzinie marszu dotarliśmy na skraj ruin. Ren zwolnił kroku i zaczął węszyć. Orzeźwiający chłodny wietrzyk owiewał wzgórze. Ren uznał najwyraźniej, że droga wolna, ponieważ szybko ruszył przed siebie.

Przeszliśmy przez ruiny i prędko znaleźliśmy się przed posągiem Ugry Narasiny. Starożytne budowle, zachwycające za dnia, teraz górowały nade mną złowieszczo, rzucając czarne cienie. Piękne sklepienne przejścia i kolumny, które wcześniej podziwiałam, były jak zięjące paszcze, w każdej chwili gotowe mnie pożreć. Wiatr, jeszcze przed momentem przyjemny, hulał po kątach, ze świstem i wyciem przelatując przez drzwi, jakby starożytne duchy oznajmiały naszą obecność. Zjeżyły mi się włoski na karku, gdy wyobraziłam sobie obserwujące nas oczy i demony czające się w mglistym półmroku korytarzy.

Gdy w końcu zbliżyliśmy się do posągu, Ren natychmiast rozpoczął śledztwo, węsząc i szukając ukrytych szczelin. Po godzinie bezowocnych poszukiwań byłam gotowa dać za wygraną, wrócić do pana Kadama i przespać się trochę.

— Ren, jestem wykończona. Szkoda, że nie mamy ofiary ani dzwonka. Może wtedy posąg by ożył. Hmm?

Tygrys usiadł obok mnie, a ja przez chwilę głaskałam go po głowie. Nagle spojrzałam na posąg i coś wpadło mi do głowy.

— Dzwonek. Ciekawe, czy... — mruknęłam.

Wstałam i pobiegłam do świątyni Witthali, podtrzymywanej przez muzyczne filary. Domyśliłam się, co mam zrobić. Trzy razy lekko stuknęłam w jedną z kolumn, z nadzieją, że nie usłyszą tego strażnicy, a potem pędem wróciłam do posągu. Oczy siedmiogłowego węża lśniły czerwienią, a z boku statuy pojawił się miniaturowy wizerunek Durgi.

— To jest to! Znak Durgi! No dobrze, coś nam zaczęło wychodzić. Co dalej? Ofiara? — wymamrotałam, sfrustrowana. — Ale nie mamy nic do ofiarowania!

Paszczka pół-lwa, pół-człowieka otworzyła się i zaczęła się z niej wydobywać rzadka, szara mgła. Klęby zimnych oparów spływały w dół posągu na ziemię i rozprzestrzeniały się na wszystkie strony. Czerwone wężowe ślepia były wkrótce jedynym, co mogłam dostrzec. Dla dodania sobie odwagi trzymałam dłoń na głowie Rena.

Postanowiłam wspiąć się na posąg i poszukać jakiejś wskazówki. Ren wydał z siebie pomruk protestu, ale zignorowałam go i zaczęłam

się wspinać. Nic jednak nie znalazłam. Zeskakując z pomnika, źle oceniłam wysokość i upadłam. Ren błyskawicznie znalazł się obok ranie. Nie odniosłam żadnych obrażeń poza złamanym paznokciem, ale otaczająca mnie wirująca szara mgła wystarczająco mnie przerażała.

W tamtej chwili, wpatrując się w swój paznokieć, przypomniałam sobie opowieść pana Kadama o Ugrze Narasinsze. Coś mnie zastanowiło.

— Ren, może jeśli zrobimy to samo co Ugra, posąg wskaże nam dalszą drogę. Spróbujmy odegrać jego najslawniejszy czyn.

Tygrys otarł się o moją dłoń.

— W porządku, jest pięć warunków. Po pierwsze potrzebny nam pół-człowiek, pół-zwierzę. To ty. Stań tu, obok mnie. Możesz być Ugrą Narasinhą, a ja będę demonem. Po drugie, musimy stanąć gdzieś ani w środku, ani na zewnątrz. Poszukajmy jakichś schodów albo drzwi.

Pomacałam na oślep wokół posągu.

— Chyba tu obok są małe drzwiczki. — Wyciągnęłam rękę i poczułam dotyk kamiennej framugi. Weszliśmy w nią oboje.

— Po trzecie: ani dzień, ani noc. Zmierzch już minął. Spróbujmy użyć latarki. — Włączyłam urządzenie z nadzieją, że to wystarczy. — Dalej pazury. Masz je. Hmm, chyba musisz mnie zadrapać. Ugra Narasinhą zabił demona, ale może drapnięcie też podziała. — Skrzywiłam się lekko. — Myślę, że będziesz musiał mnie zadrapać do krwi. — Usłyszałam głęboki pomruk protestu. — Nie przejmuj się. Wystarczy małe drapnięcie. To nic takiego.

Ren mruknął cicho, uniósł łapę i położył mi ją na rękę.

Widziałam z daleka, jak poluje, widziałam go również w akcji podczas walki z Kishanem. Gdy światło latarki zaślniło na jego wyciągniętych pazurach, nie mogłam powstrzymać strachu. Zamknęłam oczy i usłyszałam, jak się poruszył, ale nic nie poczułam.

Oświetliłam nogi latarką, ale nie dostrzegłam krwi. Wiedziałam jednak, że Ren coś zrobił, ponieważ słyszałam odgłos pazurów przecinających ciało. Natychmiast domyśliłam się, co się mogło stać, i poświeciłam latarką na jego białe futro, szukając śladów rany, którą sam sobie zadał.

— Ren! Pokaż. Mocno się drapnąłeś?

Tygrys uniósł łapę i ujrzałam paskudną szramę w miejscu, gdzie pazury rozorały mu skórę. Krew ciurkiem kapłała na ziemię. Ogarnął mnie gniew.

— Wiem, że szybko wracasz do siebie, ale naprawdę... Musiałeś się tak głęboko zacinać? Przecież rozumiesz, że być może i tak potrzebna będzie moja krew. Doceniam twoje poświęcenie, ale wciąż chcę, żebyś mnie zadrapał, to ja reprezentuję króla demonów, no już... Tylko nie drap tak mocno jak siebie.

Tygrys nawet się nie ruszył, musiałam się schylić i sama podnieść jego ciężką łapę. Kiedy w końcu przyłożyłam ją sobie do ramienia, schował pazury.

— Ren. Proszę cię, współpracuj ze mną. Już i tak jest mi ciężko.

Wysunął pazury do połowy i lekko drapnął mnie w ramię, ledwo pozostawiając ślad.

— Ren! Proszę cię, zrób to. Już.

Tygrys mruknął cicho, niezadowolony, i zadrapał mnie mocniej, zostawiając na moim przedramieniu długie czerwone pręgi. Dwie z nich zaczęły lekko krwawić.

— Dzięki... — Skrzywiłam się. — Poświeciłam latarką, żeby jeszcze raz przyjrzeć się jego szramom, które już prawie zdążyły się zagoić. Zadowolona, powiedziałam.

— A teraz ostatni warunek. Demon nie może być na ziemi ani w powietrzu. Ugra posadził go sobie na kolanach, ja chyba będę musiała... usiąść ci na grzbiecie.

Niezręczna sytuacja. Mimo że Ren był dużym tygrysem i przypominałoby to dosiadanie kucyka, cały czas pamiętałam o tym, że jest człowiekiem, i nie czułam się dobrze, traktując go jak zwierzę juczne. Zdjęłam plecak i odłożyłam go, zastanawiając się, co zrobić, by uczynić sytuację nieco mniej kłopotliwą. Zebrałam się na odwagę, uznałam, że może nie będzie tali źle, jeśli usiądę bokiem, gdy nagle straciłam grunt pod nogami.

Ren przybrał ludzką postać i porwał mnie w ramiona. Przez chwilę wrywałam się, protestując, ale wystarczyło, że na mnie spojrzal wzrokiem, który mówił: nawet nie próbuj się klócić, i zamknęłam usta. Pochylił się, wziął plecak i zapytał:

— Co dalej?

— Nie wiem. To wszystko, co powiedział mi pan Kadam.

Ren poprawił moje ułożenie i jeszcze raz stanął w drzwiach, przyglądając się posagowi.

— Nie widzę żadnych zmian — mruknął.

Trzymał mnie mocno, patrząc na posąg, i muszę przyznać, że całkowicie przestało mnie obchodzić, co właściwie robimy. Zadrapanie na ramieniu, które jeszcze przed chwilą boleśnie pulsowało, w ogóle

przestało mi przeszkadzać. Cieszyłam się bliskością jego muskularnej piersi. Która dziewczyna nie chciałaby się znaleźć w ramionach tak cudownego faceta? Mój wzrok powędrował w stronę jego pięknej twarzy. Przyszło mi na myśl, że jeśli miałabym wyrzeźbić kamiennego boga, wybrałabym Rena na modela. Ten brzydal Ugra nie dorastał mu do pięć.

W końcu książę zorientował się, że na niego patrzę, i powiedział:

— Halo? Kells? Próbuje się zdjąć kłutwę, pamiętasz?

Uśmiechnęłam się głupkowato. Ren uniósł brew.

— O czym właśnie myślałaś?

— O niczym ważnym.

Książę wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Przypominam ci, że jesteś w pozycji w sam raz do laskotek.

O rany. Jego uśmiech promienieje nawet wśród mglistego dymu. Parsknęłam nerwowym śmiechem.

— Jeśli zaczniesz mnie laskotać, będę się wyrywać, a ty mnie upuścisz i zepsujesz wszystko.

Ren prychnął, nachylił się tuż nad moim uchem i wyszeptał:

— To brzmi jak całkiem ciekawe wyzwanie, *radźkumari*. Ryć może podejmiemy je później. A tak na marginesie, Kelsey, nigdy bym cię nie upuścił.

Sposób, w jaki wypowiedział moje imię, sprawił, że ręce pokryła mi gęsia skórka. Gdy spojrzałam w dół, by je rozetrzeć, zauważyłam, że zgasła nam latarka. Włączyłam ją z powrotem, ale nic się nie stało. Dałam za wygraną.

— Nic z tego. Może musimy poczekać do świtu.

Ren roześmiał się gardłowo, pocierając nosem moje ucho, i cichym głosem oznajmił:

— Coś się na pewno wydarzyło, ale nie to, co otworzy wrota do Kiszkindy.

Zaczął powoli muskać moje ucho i szyję miękkimi pocałunkami. Westchnęłam słabo i wygięłam szyję. Pocałował mnie ostatni raz i jęknął z niezadowoleniem, podnosząc głowę.

Rozczarowana tym, że przestał, spytałam:

— Co znaczy słowo *radźkumari*?

Ren roześmiał się cicho, ostrożnie postawił mnie na ziemi i odparł:

— *Radźkumari* znaczy „księżniczka”. Prześpijmy się gdzieś w pobliżu, co ty na to? Pobiegnę do pana Kadama i powiem mu, że chcemy poczekać do świtu, żeby spróbować jeszcze raz. — Poprowadził mnie

w trawiaste miejsce, ukryte przed wzrokiem strażników. Gdy usadowiłam się wygodnie, pobiegł do pana Kadama. Wcisnęłam sobie zwinięty pled pod głowę i spróbowałam zasnąć. Nie udało mi się, póki Ren nie wrócił. Z wdzięcznością przytuliłam się do tygrysięgo grzbietu i zapadłam w sen.

Obudziłam się w ramionach Rena. Niósł mnie z powrotem do drzwi nieopodal posągu. Zaspana, wymamrotałam:

— Nie musisz mnie nieść. Pójdę sama.

Książę uśmiechnął się.

— Byłaś zmęczona, nie miałem serca cię budzić. Poza tym już jesteście na miejscu.

Nadal było ciemno, ale horyzont na wschodzie właśnie zaczął się rozjaśniać. Posąg wyglądał tak samo — czerwone węzowe ślepią płonęły, a z pyska wydobywała się mgła. Przez chwilę staliśmy w przejściu. Natychmiast poczułam jakiś ruch. Fanindra nagle ożyła, urosła do normalnych rozmiarów i ześliznęła się z mojego ramienia.

Ren opuścił mnie nisko nad ziemię, żeby kobra mogła lekko zeskoczyć na piach. Podpełzła do posągu i wspięła się na szczyt, tam, gdzie znajdowały się węzowe lby.

Obserwowaliśmy, jak pełźnie po siedmiu kamiennych głowach. One również ożywały i zaczęły wyginać się w przód i w tył. Na naszych oczach kamienne węzowe zwoje, na których spoczywało bóstwo, powoli zmieniły się w pokryte łuskami ciało.

Fanindra wróciła do nas, skrzyła się, zeszywniała i skurczyła z powrotem w złotą bransoletę. Ren postawił mnie na ziemi i podszedł, żeby ją podnieść. Ostrożnie wsunął mi ją na ramię, uśmiechnął się, a potem ze zmarszczonym czołem lekko musnął palcem zadrapania na mojej skórze, pocałował je delikatnie i zmienił się w tygrysa.

Podeszliśmy do posągu. Ciało siedmiogłowego węża zaczęło się przesuwac, dźwigając posąg do góry, aż pod spodem ukazała się czarna szczelina, akurat na tyle duża, byśmy z Renem mogli przez nią przejść.

Zajrzawszy do dziury, ujrzałam długie schody, który ginęły w ciemności. Szara mgła zaczęła nagle cofać się do pyska posągu. Przelknęłam ślinę i zwróciłam latarkę w stronę kamiennych stopni. Wkroczyliśmy pomiędzy grube zwoje węża i zanurzyliśmy się w mroku.

Odnaleźliśmy wejście do Kiszkindy.

20

PRÓBY



Ostrożnie schodziliśmy po kamiennych schodach, za jedyne źródło światła mając moją małą latarkę. Gdy doszliśmy na sam dół, oczy Fanindry zaczęły lśnić, rzucając na ciemny tunel niesamowitą, zielonkawą poświatę.

Zatrzymałam się i jeszcze raz przeczytałam na głos przepowiednię Durgi.

*Szukaj ochrony w świątyni,
Tam uzyskasz łaskę bogini.
Na zachód leży Kiszkinda,
Gdzie małpy rządzą ziemią —
Ich król ma na imię Hanuman —
Tam znajdziesz drzewo w kamieniu.
W górze czyha cierni rząd,
W dole zaś zguba się skręży.
Skus się, a słony prąd
Porwie nybranka ci.
Na drodze staną strażnicy —
Widma upiorne i blade.
Uciekaj, bo ci zgotują
W rozkładzie gnijącym zagładę.
Ale dokona się cud,
Gdy węże znajdą złoty skarb,
Co zaspokoi w Indiach głód.
Inaczej zguba czeka lud.*

U dołu strony widniał dopisek pana Kadama, sporządzony jego równym pismem. Przeczytałam go na głos:

Panno Kelsey,
w Kiszkańdżie stanie Pani przed kilkoma próbami, proszę więc zachować ostrożność. Oto przestrogi Durgi, takie, jak je Pani opisała. Przede wszystkim powinna Pani trzymać się blisko Rena. Jeśli z jakiegoś powodu się rozdzielicie, grozi Wam wielkie niebezpieczeństwo. Nie ufajcie wówczas oczom. Wasze serca i dusze podpowiedzą Wam różnicę pomiędzy fantazją a rzeczywistością. Ostatnia przestroga: gdy odnajdziecie owoc, ukryjcie go dobrze.

Bhagaśalin!

Niech Wam się szczęści!

Anik Kadam

— Nie mam pojęcia, o jakich niebezpieczeństwach mowa — wymamrotalam. — Miejmy nadzieję, że ten „cierni rząd” to tylko jakieś rośliny.

Ruszyliśmy przed siebie, a ja przez cały czas paplałam o tym, jakie zwierzęta mogłyby być wyposażone w kolce.

— Pomyślmy. Stegozaury. Nie, stegozaury. Hmm, nie pamiętam. Nieważne, w każdym razie jest to rodzaj dinozaura. Są również smoki, jeżozwierze, no i nie zapominajmy o kolczastych jaszczurkach. Gdybym miała wybierać, właśnie je bym wybrała. Och! Ale co jeśli byłyby gigantyczne, z wielkimi, zięjącymi paszczami? Polknęłyby nas w całości. Może powinniśmy wyjąć *gada* z plecaka, jak myślisz?

Tak też zrobiłam. Wprawdzie marsz zapowiadał się na wystarczająco trudny i bez konieczności ciągnięcia za sobą maczugi, ale lepiej się czułam, trzymając ją w ręku.

Tunel wkrótce zmienił się w kamienistą ścieżkę, która stawała się z czasem coraz jaśniejsza. Oczy Fanindry zamglily się i zgasły, zmieniając się z powrotem w migoczące szmaragdy. Działo się coś dziwnego. Wprawdzie moja odporność na dziwaczne zdarzenia znacznie wzrosła w ciągu ostatnich kilku tygodni, ale to, co się działo, nawet mnie wydało się osobliwe.

Nie potrafiłam określić, skąd dochodziło światło. Zdawało się dobiegać z jakiegoś punktu w oddali. Podążaliśmy za światelkiem w tunelu — i to dosłownie. Czułam się, jakbym trafiła do jednego ze swoich nocnych koszmarów, w których było zawsze ni to jasno, ni

to ciemno, zło czaiło się niewidoczne, a potężne siły ściły mnie, hamując moje ruchy i krzywdząc tych, na których mi zależało.

Przetaczająca się mgła sprawiała wrażenie, jakby za nami podążała. Gdy szliśmy, przesuwiała się lekko do przodu, by zasłonić nam widok na ścieżkę. Gdy się zatrzymywaliśmy, zbierała się i krążyła wokół nas jak nieduże mgławice po orbicie. Zimny, szary dym dotykał nas lodowatymi palcami, jakby szukał pięty Achillesa.

Korytarz zaczął się zmieniać. Zamiast kroczyć po kamieniu, moje stopy zapadły się lekko w wilgotną ziemię i usłyszałam pod podszewami chrzęst krótkich, sztywnych źdźbeł. Ściany zaczął pokrywać mech, potem trawa, a wkrótce niewielkie rośliny przypominające paprocie. Zastanawiałam się, jakim cudem przetrwały w tym wilgotnym, ciemnym otoczeniu.

Ścieżka poszerzała się, aż w końcu nie mogłam już dostrzec ścian. Sufit zniknął i pojawiło się szare niebo. Nie miało głębi, ale zdawało się rozciągać bez końca. Przypominało mi ekran IMAX lub sztuczną biosferę, nie wyglądało jednak na stworzone przez człowieka. Miałam wrażenie, że znaleźliśmy się na innej planecie.

Droga zaczęła się obniżać i musiałam zacząć zwracać uwagę na to, gdzie stawiam stopy. Weszliśmy do lasu, pełnego przedziwnych roślin i drzew, które kołysały się, jakby dął w nie wiatr, choć nie czułam najmniejszego podmuchu. Drzewa i zarośla były tak gęste, że ścieżka stała się słabo widoczna, a wkrótce całkowicie zniknęła.

Ren trzymał się z przodu i przecierał szlak. Drzewa o długich gałęziach zwieszały się nad ziemią jak wierzby płaczące. Ich delikatne jak piórka wici laskotały naszą skórę. Podrapałam się w szyję i odkryłam, że jest mokra.

Pewnie się pocę. Dziwne. Nie czuję się zmęczona. Może to woda, która spłynęła z gałęzi.

Zauważyłam, że mam coś rozmazane na ręce. Zielonkawę światło nadawało cieczy brunatny odcień. Co to? Sok z drzewa? Nie! Krew!

Oderwałam pierzasty listek, by bliżej mu się przyjrzeć. Z zaskoczeniem odkryłam, że jego spodnią stronę porastają miniaturowe igielki. Wyciągnęłam palec, by go dotknąć. Igelki nabrzmiały, wznosząc się w stronę mojej dłoni.

Poruszyłam palcem w przód i w tył. Igelki podążały za nim jak za magnesem.

— Ren! Stój! Te gałęzie nas drapią. Mają pod spodem igły, które podążają za naszym ruchem. „W górze czyha cierni rząd”, pamiętasz?

Gdy tylko tygrys zatrzymał się, pierzaste gałązki powoli opuściły się z góry i owiły wokół jego szyi i ogona. Ren odskoczył i brutalnie zdarł je z drzewa.

— Uciekajmy! — krzyknęłam.

Ren zaczął gwałtownie przedzierać się przez zarośla, a ja sprintem ruszyłam za nim. Las zdawał się nie mieć końca i nic nie wskazywało na to, że drzewa kiedykolwiek się przerzedzą. Po piętnastu minutach biegu zwolniłam, wyczerpana. Nie byłam w stanie zrobić ani kroku więcej.

Dyszząc, wyrzęziłam:

— Ren, nie dam rady. Biegnij sam. Musisz znaleźć wyjście z tej gęstwiny.

Tygrys przystanął, odwrócił się i pędem znalazł się przy mnie. Gałęzie zaczęły pelznąć w dół i owijać wokół niego swoje skręcone wici. Ren ryknął i przeturlał się po trawie, a potem zaczął rozrywać gałęzie pazurami, co sprawiło, że na chwilę się cofnęły. Poczulałam, jak jedna z nich oplata mi się wokół ramienia, i wiedziałam już, że to mój koniec. Ze łzami w oczach uklęknęłam i pogłaskałam Rena po pysku.

— Idź. Proszę cię, zostaw mnie.

Ren przybrał ludzką postać i położył dłoń na mojej dłoni.

— Musimy trzymać się razem, pamiętasz? Nie zostawię cię, Kelsey. Nigdy cię nie zostawię. - Uśmiechnął się ze smutkiem.

Przelknęłam ślinę i pokiwałam głową, a on delikatnie odplątał skręconą gałąź z mojego ramienia i trzepnął kolejną, zbliżającą się do mojej szyi.

— Chodźmy.

Ren wyjął mi z ręki *gada* i uderzył nim w gałęzie, które jednak zaczęły tylko owijać swoje kolczaste zielone macki wokół maczugi, niepodatne na jej moc. Ren podszedł do jednego z pni i dzielił go brutalnie. Drzewo natychmiast skuliło się, gałęzie zwinęły się do wewnątrz i obronnie oplątały pień. Ren wyszedł naprzód i nakazał mi poczekać przy uszkodzonym drzewie. Zrobił kilka kroków przed siebie i zamachnął się maczugą. Łomotał w pnie, pozostawiając w nich ziejące, miękkie rany. Podążałam kilka metrów za nim i w ten sposób powoli poruszaliśmy się do przodu. Gałęzie zdawały się odgadywać jego zamiary i przypuszczały nań wściekle ataki, ale Ren najwyraźniej miał niespożyty zapas energii.

Krzywiłam się, patrząc, jak na każdym nagim fragmencie jego skóry pojawiają się zacięcia i zadrapania. Wkrótce jego plecy były

poranione, a koszula podarta i zakrwawiona. Wyglądał, jakby go ktoś brutalnie wychłostał dyscypliną.

W końcu dotarliśmy do końca kolczastego lasu i przystanęliśmy na polanie. Ren wyciągnął mnie poza zasięg gałęzi, opadł na ziemię i siedział tak, zgarbiony, dysząc z wyczerpania. Sięgnęłam do plecaka po wodę i podałam mu ją. Wypił całą butelkę jednym haustem.

Nachyliłam się i obejrzałam jego zakrwawione ramię. Całe ciało miał śliskie od krwi i potu. Wyciągnęłam kolejną butelkę z wodą i starą koszulkę, i zaczęłam przemywać mu rany. Przykładałam chłodny, mokry materiał do jego twarzy i pleców. W miarę moich starań, Ren rozluźniał się i uspokajał. Jego rany szybko zaczęły się goić i gdy już przeszedł mi nieco strach o niego, coś sobie uświadomiłam.

— Ren! Jesteś człowiekiem już dłużej niż dwadzieścia cztery minuty. Czy wszystko z tobą w porządku... oczywiście nie licząc skaleczeń?

Księżę potarł klatkę piersiową.

— Wszystko dobrze... Nie czuję, że muszę się zmienić.

— Może złamaliśmy zaklęcie!

Ren zastanowił się przez chwilę.

— Nie, nie sądzę. Mam przeczucie, że powinniśmy iść dalej.

— Czemu tego nie sprawdzisz? Przekonaj się, czy możesz zmienić się w tygrysa.

Ren przybrał tygrysią postać, potem z powrotem ludzką, a jego zakrwawione, podarte szaty zastąpiło czyste, białe płótno.

— Być może to tylko magia tego miejsca pozwala mi pozostawać człowiekiem.

Na mojej twarzy musiało wyraźnie odmalować się rozczarowanie. Ren roześmiał się i ucałował moje palce.

— Nie martw się, Kells. Niedługo będę już w pełni człowiekiem, na razie jednak zamierzam się cieszyć tym, co mam.

Mrugnął i uśmiechnął się szeroko, a potem przyciągnął mnie bliżej do siebie i obejrzał moje ramiona, nogi oraz szyję. Przemywał moje rany mokrą szmatką z uzdrawiającą czułością. Wiedziałam, że jego obrażenia są znacznie poważniejsze niż moje, ale on nie pozwolił się powstrzymać.

— Nie jest tak źle — oznajmił. — Masz paskudne zadrapanie na szyi, ale powinno zagoić się bez problemu. — Przyłożył na chwilę chłodny materiał do mojego karku, a potem pociągnął mnie za kołnierzyk koszulki. — Czy są jakieś, hmm, inne miejsca, którymi powinienem się zająć?

Trzepnęłam go w rękę.

— Nie, dziękuję. Inne miejsca obejrzę sobie sama.

Ren roześmiał się serdecznie i pomógł mi wstać. Założył plecak i zarzucił sobie *gada* na ramię. Podał mi rękę i ruszyliśmy dalej.

Minęliśmy jeszcze kilka koleczastych drzew, ale rosły znacznie luźniej, pomieszane z normalnymi, udawało nam się więc trzymać od nich z daleka. Ren splótł palce z moimi.

— Wiesz, bardzo miło tak z tobą iść i nie martwić się o to, ile jeszcze czasu mi zostało.

— Hmm, rzeczywiście — przytaknęłam nieśmiało.

Ren wyglądał na szczęśliwego, pomimo sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Pomyślałam o tym, jak musi być mu ciężko, kiedy codziennie ma zaledwie kilka chwil na to, by poczuć się człowiekiem, i musi korzystać z każdej chwili. To straszne miejsce było dla niego jak wspaniały prezent. Jego radosny nastrój w końcu i mnie się udzielił. Wiedziałam, że czekają nas pewnie jeszcze cięższe próby, ale z Renem u boku nie przejmowałam się tym i po prostu cieszyłam się wspólnie spędzonym czasem.

Odnaleźliśmy wyraźną ścieżkę. Powiodła nas ona w kierunku wzgórz i szerokiego tunelu, który — jak założyliśmy — biegł na ich drugą stronę. Nie było innej drogi, wkroczyliśmy więc powoli do tunelu, bacznie rozglądając się na boki. Kamienne ściany oświetlone były pochodniami, a od głównego korytarza odchodziło wiele innych. Podskoczyłam, dostrzegłszy coś w jednym z bocznych przejść.

— Ren, tam coś jest.

— Też to zauważyłem.

Wyglądało na to, że znaleźliśmy się w przepastnym labiryncie korytarzy i wszędzie w oddali zaczęły pojawiać się jakieś postacie.

Usłyszałam cichy, płaczący kobiecy głos.

— Ren? Ren? Ren? Ren?

Echo rozbrzmiewało od tunelu do tunelu.

— Tu jestem, Kells! Kells! Kells!

Ren spojrzał na mnie zaniepokojony i ścisnął moje ramię. To były nasze głosy. Puścił mnie i nastawił *gada*, gotów do ataku. Ostrożnie wystąpił naprzód i ruszył przed siebie, bardzo uważnie rozglądając się po korytarzach. Podążyłam za nim.

Usłyszałam krzyki i odgłos szybkich kroków, tygrysie pomruki i piski. Zatrzymałam się na chwilę przed jednym z tuneli.

— Kells! Pomóż mi! — W korytarzu pojawił się Ren. Walczył ze stadem małp, które atakowały go, drapiąc i gryząc. Zmienił się w ty-

grysa, wyszczerzył kły i zaczął po kolei rozszarpywać agresorów. To był straszny widok.

Przestraszona, cofnęłam się o krok. Nagle znieruchomiałam, przypomniałam sobie, jak Durga ostrzegła, żebyśmy trzymali się razem. Odwróciłam się i ujrzałam dwa tunele, których wcześniej nie było. Dwóch Renów kroczyło prosto przed siebie z wyciągniętą do przodu maczugą, po jednym w każdym z korytarzy. Z którego tunelu przyszliśmy? Który Ren był prawdziwy?

Usłyszałam z tyłu echo biegnących kroków i błyskawicznie wybrałam prawy korytarz. Pobiegłam za Renem, ale zdawało mi się, że im bardziej się zbliżam, tym bardziej Ren się oddala. Wiedziałam już, że wybrałam złą drogę. Zawołałam:

— Ren!

Nie odwrócił się. Zatrzymałam się i rozejrzałam po innych tunelach, w poszukiwaniu śladu księcia. W jednym z przejść dostrzegłam walczących Rena i Kishana, zamienionych w tygrysy. W kolejnym pan Kadam staczał pojedynek na miecze z facetem z mojego kosmaru.

Biegałam od tunelu do tunelu. W kilku z nich ujrzałam sceny z własnego życia. Babcia kiwała na mnie, bym pomogła jej sadzić kwiaty. Nauczycielka z liceum zadawała mi pytania. Zobaczyłam nawet rodziców. Wołali mnie. Wydałam z siebie stłumiony okrzyk, a w oczach zebrały mi się łzy.

Wrzasnęłam:

— Nie, nie, nie! To niemożliwe! Gdzie jest Ren?

— Kelsey? Kelsey? Gdzie jesteś?

— Ren? Tutaj! — Usłyszałam własny głos, choć nic nie powiedziałam.

Zajrzałam do kolejnego tunelu i zobaczyłam Rena, który podbiegał... do mnie. Tylko że to nie byłam ja. Przecież ja to ja. Ren podszedł blisko do nieprawdziwej Kelsey i pogłodził ją po policzku.

— Nic ci się nie stało?

— Wszystko w porządku — odparło widmo. Odwróciło głowę i spojrzało wprost na mnie, podczas gdy Ren całował je w policzek. Nagle z ostrym, ogłuszającym hałasem twarz tamtej Kelsey zmieniła się w twarz trupa. Straszliwa postać uśmiechnęła się do mnie szkaradnie, a ja zatrzęślam się ze wstrętem, patrząc na uśmiechnięte truchło pokryte chmarami robactwa.

Podbiegłam do korytarza i krzyczałam na Rena, żeby przestał, ale on mnie nie słyszał. Jakaś niewidzialna bariera stanęła mi na drodze

i nie mogłam zrobić ani kroku dalej. Trup roześmiał się drwiąco i pomachał do mnie. Cała scena zaczęła się zamazywać i już nic nie widziałam. Zrozpaczona i wściekła, zaczęłam okładać barierę pięściami, ale bez skutku. Po kilku chwilach niewidzialny mur zniknął, a ja stałam, wpatrzona w długi czarny tunel, oświetlony pochodniami, identyczny jak dziesiątki innych, które już minęłam.

Dałam za wygraną i ruszyłam dalej. Minęłam Rena, który kulil się na ziemi, zrozpaczony i zgorzkniały. Szlochając, oplakiwał to, co w życiu stracił. Mówił o błędach, które popełnił, i o tym, jak bardzo się w życiu mylił. Błagał o łaskę, ale nie potrafił znaleźć rozgrzeszenia. Czyny, które opisywał, były okropne, do cna wstrętne. Wiedziałam, że prawdziwy Ren by ich nie popełnił, nie mógłby ich sobie nawet wyobrazić. Widok tego niezgrabnego, zgarbionego ciała rozdzierał mi serce.

Ogarnęła mnie złość, lego już za wiele! Zobaczywszy zniszczonego i złamanego Rena, nagle wpadłam w furję. Ktoś się bawił naszym kosztem i to było wstrętne. Co gorsza, wiedziałam, że to samo dzieje się z Renem w którymś z tych tuneli. Kto wie, jak mnie tam przedstawiano!

Wkroczyłam w kolejny korytarz i ujrzałam wyprostowanego, dumnego Rena, odwróconego do mnie tyłem. Ostrożnie zawołałam:

— Ren! To naprawdę ty?

Odwrócił się i uśmiechnął do mnie tali pięknie, jak tylko on potrafił, a potem wyciągnął ręce.

— Kelsey! Nareszcie! Gdzie byłaś?

Z niewymowną ulgą go objęłam, a on przyciągnął mnie do siebie. Przytulił mnie i pogłaskał po plecach.

Zdezorientowana, spytałam:

— Ren? Gdzie plecak i *gadał* — Odsunęłam się i spojrzałam prosto w jego przystojną twarz.

— Już ich nie potrzebujemy. Cśś..., no już. Po prostu pobądź z mną przez chwilę.

Odskokczyłam i cofnęłam się o kilka kroków.

— Ty nie jesteś Ren.

Roześmiał się.

— Oczywiście, że jestem, Kelsey. Co mam zrobić, żeby ci to udowodnić?

— Nie. Coś jest nie tak. To nie ty!

Wybiegłam z tunelu i pędziłam dalej, aż poczułam, że za chwilę pękną mi płuca. Mijałam korytarz za korytarzem. W końcu zwolni -

łam, a potem zatrzymałam się, dysząc ciężko i rozmyślając, co robić dalej. Ren miał *gada* i plecak — nigdy by ich nie porzucił — ja zaś nie miałam nic. Nie, to nieprawda. Coś jednak miałam! Wyciągnęłam z kieszeni džinsów kartkę papieru i jeszcze raz przeczytałam przestrogi Durgi.

Pamiętajcie, by trzymać się razem. Jeśli się rozdzielicie, nie ufajcie swoim oczom. Idźcie za głosem serca. Ono powie Wam, co jest prawdziwe, a co nie.

Nie ufać oczom? Cóż, w tej chwili wydawało się to dość oczywiste. A więc serce podpowie mi różnicę. W porządku, będę podążać za głosem serca. Tylko jak to zrobić?

Postanowiłam iść po prostu dalej, zachowując ostrożność. Przy każdym kolejnym tunelu przystawałam i rozglądałam się przez chwilę, starając się intuicyjnie wyczuć, czy to ten właściwy, a wówczas znajdująca się w nim postać podwajała wysiłki. Przemawiała do mnie i kusila, bym za nią poszła, ja jednak ruszałam w dalszą drogę. W ten sposób minęłam kilka korytarzy, ale żaden z nich nie wydal mi się tym właściwym.

Dotarłam do kolejnego tunelu i przystanąłam, by przyjrzeć się rozgrywającej się wewnątrz scenie. Ujrzałam siebie samą, martwą, i klęczącego nade mną Rena. Nachylał się nad moim bezwładnym ciałem i przyglądał mu się. Usłyszałam jego cichy szept.

— Kelsey? To ty? Kelsey, proszę, odezwij się do mnie. Muszę wiedzieć, czy to naprawdę ty.

Uniósł moje ciało i czule utulił je w ramionach. Upewniłam się, że ma przy sobie *gada* i plecak. Były na miejscu, ale ja pamiętałam, że już wcześniej dałam się zwieść.

— Nie zostawiaj mnie, Kells — powiedział Ren.

Zamknęłam oczy i słuchałam jego błagalnego głosu. Serce zaczęło walić mi jak szalone, co nie zdarzało się przy poprzednich wizjach. Zrobiłam krok naprzód i znów uderzyłam w niewidzialny mur. Przemówiłam łagodnie:

— Ren? Tu jestem. Nie poddawaj się.

Podniósł głowę, jak gdyby mnie usłyszał.

— Kelsey? Słyszę twój głos, ale cię nie widzę. Gdzie jesteś?

Opuścił moje ciało — a raczej to, co wyglądało jak moje ciało — na ziemię. Martwa Kelsey zniknęła.

— Zamknij oczy i spróbuj wyczuć, gdzie jestem — powiedziałam.

Ren wstał powoli i zamknął oczy. Zrobiłam to sarno, starając się skupić nie na jego głosie, lecz na sercu. Wyobraziłam sobie, że kładę mu dłoń na piersi i czuję pod palcami mocne dudnienie. Moje ciało zdawało się poruszać niezależnie ode mnie. Zrobiłam kilka kroków do przodu. Koncentrowałam się na Renie, wspomnieniu jego śmiechu i uradowanej twarzy, i na tym, jak się czułam, kiedy byłam blisko niego, aż nagle dotknęłam dłonią jego piersi i poczułam bicie serca. Stał tuż przede mną. Powoli otworzyłam oczy.

Wyciągnął rękę, żeby dotknąć moich włosów, ale za chwilę ją cofnął.

— Tym razem to naprawdę ty, Kells?

— Na pewno nie jestem zarobaczonym trupem, jeśli o to ci chodzi. Uśmiechnął się szeroko.

— Co za ulga. Żaden zarobaczony trup nie zdobyłby się na taki sarkazm.

Odbiłam piłeczkę:

— Ale skąd ja mam wiedzieć, że to na pewno ty?

Ren przez chwilę zastanawiał się nad moim pytaniem, a potem pochylił się i mnie pocałował. Mocno przycisnął mnie do piersi, a jego usta dotknęły moich. Na początku pocałunek był ciepły i delikatny, ale już wkrótce stał się gwałtowny i zachlanny. Jego ręce przesunęły się po moich ramionach i szyi. Objęłam go w pasie i zatonęłam w pocałunku. Kiedy w końcu się odsunął, serce waliło mi jak szalone.

Gdy już odzyskałam mowę, rzuciłam zaczepnie:

— Cóż, nawet jeśli to nie jesteś naprawdę ty, zadowolę się tym, co mam.

Ren roześmiał się z ulgą.

— Kells, lepiej trzymaj mnie cały czas za rękę.

Uśmiechnęłam się wesolo.

— Nie ma sprawy.

Zachwycona tym, że znów jest przy mnie, mogłam ignorować błagalne nawolywania z bocznych korytarzy.

Na samym końcu tunelu pojawiło się światło. Poszliśmy w jego stronę. Ren mocno trzymał mnie za rękę, dopóki nie wyszliśmy z korytarza i nie oddaliliśmy się od niego na wystarczającą odległość. Przystanął obok szerokiego strumienia, który wypływał pomiędzy drzew.

Nie mieliśmy pojęcia, która jest godzina, czuliśmy jednak, że dochodzi dwunasta, postanowiliśmy więc zrobić sobie przerwę na posilek.

Pogryzając baton energetyczny, Ren powiedział:

— Wolalbym unikać drzew i trzymać się bliżej wody. Mam nadzieję, że jeśli pójdziemy jeszcze kawałek, strumień doprowadzi nas do Kiszkindy.

Pokiwałam głową, zastanawiając się, co czeka na nas za zakretem. Po krótkim odpoczynku, z nową porcją energii ruszyliśmy przed siebie, zgodnie z kierunkiem nurtu, co według Rena oznaczało, że poruszamy się w dół strumienia. Brzeg był pelen kamyków. Niektóre były ostre, a niektóre gładkie, omyte wodą.

Wzięłam do ręki szary kamień i podrzucalam go, krocząc przed siebie w zamyśleniu. Nagle waga oraz faktura kamienia zmieniły się. Otworzyłam dłoń. Okazało się, że trzymam w ręku gładki, lśniący szmaragd. Przystanąłam i popatrzyłam na kamyki pod nogami. Nadal były szarobure, ale w miejscu, gdzie znikaly pod wodą, ujrzałam migoczące klejnoty.

— Ren! Spójrz tu. Pod wodą. — Wskazałam na skrzące się w dole kamienie. Im głębiej leżały, tym były większe. — Widzisz? Tam leży rubin wielkości strusiego jaja!

Pochyliłam się właśnie, by wyjąć z wody duży diament, kiedy Ren objął mnie z tyłu i odciągnął od brzegu.

Wskazał na rzekę i wyszeptał prosto w mój policzek:

— Spójrz tam. Co widzisz?

— Nic.

— Popatrz kątem oka.

Tuż obok diamentu lśniła lekkim światłem jakaś postać. Wyglądała jak biała bezwłosa małpa. Wyciągała do mnie długie ramiona.

— Chciała cię złapać.

Natychmiast cisnęłam szmaragd do rzeki. W miejscu, w którym wpadł do wody, strumień zakotłował się, zasyczał i ucichł, a za chwilę powierzchnia znów była gładka jak jedwab. Kiedy patrzyłam wprost na klejnoty, nie dostrzegałam nic innego, ale gdy spojrzalam kątem oka, nagle wszędzie zaroilo się od wodnych małp, unoszących się tuż pod powierzchnią. Wyglądało na to, że używają ogonów jak kotwic i czepiają się nimi korzeni oraz podwodnych roślin, podobnie jak morskie koniki.

— Ciekawe, czy to mogą być *kappa* — wymamrotał Ren pod nosem.

— Co to jest *kappa*?

— To rodzaj demona rodem z Azji, o którym opowiadała mi matka. *Kappa* czają się pod wodą, czyhając na dzieci, by wysać ich krew.

— Połączenie wampira, konika morskiego i małpy? Poważnie?

Ren wzruszył ramionami.

— Wygląda na to, że są prawdziwe. Matka opowiadała mi o nich, gdy byłem mały. Mówiła, że dzieci w Chinach uczą się okazywać szacunek starszym poprzez ukłon. Rodzice powtarzają dziecku, że jeśli się nie ukloni, dopadnie je *kappa*. *Kappa* ma na czubku głowy wgłębienie pełne wody. Potrzebuje jej, by przeżyć. Jedyne sposoby ratunku, gdy któryś z nich zbliży się do ciebie, to mu się uklonąć.

— Ale po co?

— Jeśli uklonisz się *kappa*, demon się odkloni. Kiedy to zrobi, woda na czubku głowy wyleje się i pozostawi go bezbronego.

— Ale jeśli one potrafią wyjść z wody, czemu jeszcze nas nie zaatakowały?

Ren zamyślił się.

— Zwykle czyhają tylko na dzieci, a w każdym razie tak mi mówiono. Matka opowiadała mi, że jej babka wycinała imiona dzieci w owocach albo ogórkach i wrzucała je do wody przed kąpielą. *Kappa* zjadały owoce i syte nie atakowały kąpiących się dzieci.

— Czy twoja matka również tak robiła?

— Nie. Po pierwsze, królewskie dzieci kąpie się w królewskich wannach. Po drugie, moja matka nie wierzyła w tę historię. Opowiadała ją nam tylko po to, żebyśmy zrozumieli, że wszystkie ziemskie istoty należy traktować z szacunkiem.

— Chciałabym kiedyś dowiedzieć się czegoś więcej o twojej matce. Musiała być bardzo ciekawą kobietą.

— Owszem — odpowiedział Ren cicho. — Bardzo bym chciał, aby i ona mogła cię poznać. — Uważnie przyjrzał się odmętom strumienia i wskazał na przyczajonego demona. — Ten chciał cię schwytać, chociaż powinien atakować tylko dzieci. Być może *kappa* pilnują tutejszych klejnotów. Gdybyś sięgnęła po jeden z nich, prawdopodobnie wciągnęłyby cię pod wodę.

— Po co miałyby mnie wciągać? Nie mogą po prostu skoczyć i zaatakować mnie na brzegu?

— *Kappa* zazwyczaj topią swoje ofiary, zanim wysną im krew. Dla własnej ochrony siedzą w wodzie tak długo, jak się da.

Cofnęłam się i schowałam za Rena.

— Myślisz, że powinniśmy wracać między drzewa czy trzymać się strumienia?

Ren przesunął ręką po włosach i znów oparł sobie *gada* na ramieniu, w każdej chwili gotów do ataku.

— Myślę, że powinniśmy zostać pośrodku. *Kappa* na razie nie wyglądają, jakby miały zamiar ruszyć się z wody, ale myślę, że od jednych i drugich powinniśmy trzymać się z daleka.

Ruszyliśmy dalej. Minęło kilka godzin. Udawało nam się trzymać z dala zarówno od *kappa*, jak i od drzew, choć te ostatnie robiły wszystko, by nas dosięgnąć. W pewnym momencie strumień zakręcił szerokim łukiem, przez co nieco zbyt mocno zbliżyliśmy się do skraju lasu, Ren jednak trzymał *gada* w pogotowiu i kilka uderzeń w najbliższe pnie zatrzymało podpełzające gałęzie.

W końcu natknęliśmy się na ogromne drzewo na samym środku drogi. Długie, wężowe gałęzie wyciągały się niemożliwie daleko w naszą stronę, nastawiając igły. Ren przyczaił się, a potem z niezwykłą szybkością ruszył do przodu i skoczył na pień. Pierzaste gałęzie natychmiast objęły go i pochłonęły.

Usłyszałam głośnie, glucho grzmotnięcie. Drzewo zatrzęsło się i rozluźniło uścisk. Ren wyłonił się spośród gałęzi cały podrapany, ale z szerokim uśmiechem na ustach. Na jego twarzy szybko jednak wymalowała się troska, gdy zobaczył moją osłupiałą postać.

Drzewo zasłaniało nam widok. Teraz, gdy się skurczyło i zwinęło gałęzie, przed oczami stanęło mi widmowo szare królestwo Kiszkinda.

KISZKINDA



Minęliśmy wielkie kolczaste drzewo i popatrzyliśmy na starożytny gród. Właściwie bardziej niż miasta miał on rozmiary średniowiecznego zamku. Rzeka dopływała do muru i rozwidlała się, otaczając go jak fosa. Mur zbudowany był z jasnoszarego kamienia, nakrapianego płatkami miki, które nadawały mu migotliwą błękitno-fioletowo-szarą barwę.

— Wyczerpuje nam się latarka, Kelsey. Poza tym mieliśmy ciężki dzień. Może rozbijemy tutaj obóz, prześpimy się, a jutro wejdziemy do miasta?

— Czemu nie, jestem wykończona.

Ren poszedł zebrać drewno na opał. Wrócił, mamrocząc pod nosem:

— Nawet martwe gałęzie drapią.

Rzucił kilka kawałków drewna do okręgu, który ułożyłam z kamieni, i rozpalil ogień. Podalam mu butelkę z wodą. Ren sięgnął po ronderek, napelnil go i ustawił na ognisku.

Ruszył na poszukiwania większej ilości drewna, podczas gdy ja uwijałam się, organizując obozowisko, co tym razem zajęło mi o wiele mniej czasu, gdyż nie mieliśmy namiotu. Jedyne, co mogłam zrobić, to odgarnąć z ziemi kamyki i gałęzie.

Gdy woda się zagotowała, wlałam ją do naszych paczek z żywnością i poczekałam, aż liofilizowane dania staną się jadalne. Ren wrócił wkrótce, narzekając na drzewa, i usiadł obok mnie. Wręczyłam mu kolację, w której, milcząc, zaczął mieszać widelcem.

Pomiędzy kęsami gorącego makaronu zapytałam:

— Ren, czy myślisz, że te stwory, *kappa*, mogą przyjść do nas w nocy?

— Nie sądzę. Przez cały czas siedziały pod wodą i jeśli opowieści o nich są prawdziwe, boją się ognia. Dopilnuję, żeby ognisko paliło się całą noc.

— Może powinniśmy trzymać straż. Tak na wszelki wypadek.

Ren zajął makaron z lekkim uśmiechem w kąciку, ust.

— W porządku. Kto obejmie pierwszą wartę?

- Ja.

W jego oczach błysnęło rozbawienie.

— Ach, więc mamy odważną ochotniczkę?

Spojrzałam na niego ze złością.

— Wyśmiewasz się ze mnie?

Ren dramatycznym gestem położył dłoń na sercu.

— Gdzieżbym śmiał, pani! Wiem już, że jesteś odważna. Nie musisz mi nic udowadniać.

Skończył jeść, kucnął nad stertą drewna i dorzucił do ognia, który płonął wesoło. Płomienie polizwały dziwaczne kolczaste gałęzie i rozbłysły zielonkawym blaskiem, zaczęły prychać i trzaskać jak fajerkierki, a potem zmieniły kolor na czerwonopomarańczowy z dziwną zieloną poświatą.

Odłożyłam pusty pojemnik po kolacji i zapatrzyłam się w ogień. Ren usiadł obok i wziął mnie za rękę.

— Kells, doceniam to, że chcesz trzymać wartę, ale wolalbym, żebyś odpoczęła. Ta wyprawa jest dla ciebie trudniejsza niż dla mnie.

— To ty jesteś cały podrapany. Ja tylko szłam za tobą.

— Owszem, ale moje rany szybko się goją. Poza tym naprawdę nie uważam, żeby było się czym martwić. Wiesz co? Ja pierwszy stanę na warcie, a jeśli nic się nie wydarzy, oboje się prześpimy. Zgoda?

Zmarszczyłam czoło. Ren zaczął bawić się moimi palcami, obrócił moją dłoń i zaczął muskać palcem linie po jej wewnętrznej stronie. Światło ogniska migotliwie odbijało się od jego przystojnej twarzy. Moje spojrzenie powędrowało w kierunku jego ust.

— Kelsey? — Książę popatrzył mi w oczy, a ja szybko odwróciłam wzrok.

Nie byłam przyzwyczajona do jego nieustannego towarzystwa. Zazwyczaj sama podejmowałam decyzje, a on po prostu siedział za mną. No dobrze, zazwyczaj to ja szłam za nim. Ale przynajmniej

kiedy był tygrysem, nie spierał się ze mną. Ani nie rozpraszał mnie wizjami pocałunków w jego ramionach.

Uśmiechnął się, ukazując wspaniałe białe zęby, i pogłaskał mnie po wewnętrznej stronie ramienia.

— Masz tu taką miękką skórę. — Nachylił się i potarł nosem moje ucho. Krew zaczęła dudnić mi w żyłach, a umysł zaszedł mgłą. — Kells, powiedz, że zgadzasz się na mój plan.

Otrząsnęłam się i uparcie wysunęłam szczękę.

— Dobra, zgadzam się — mruknęłam. — Chociaż nie grasz *fair*.

Ren roześmiał się i odsunął nieco, by na mnie spojrzeć.

— Co dokładnie masz na myśli?

— Hm, po pierwsze nie możesz oczekiwać, żebym jasno myślała, kiedy mnie dotykasz. Po drugie zawsze wiesz, jak postawić na swoim.

— Doprawdy?

— Oczywiście, że tak. Wystarczy, że zatrzepoczesz rękami, a w twoim przypadku raczej, że się uśmiechniesz, a ja, zanim zdążę się zorientować, zgadzam się na wszystko.

— Coś podobnego — drażnił się ze mną po cichu. — Nie miałem pojęcia, że tak na ciebie działam.

Wyciągnął rękę i zwrócił moją twarz w swoją stronę. Lekko przesunął palcami po moim podbródku, pulsującej żyły na szyi i dekolcie. Serce zabiło mi szybciej, kiedy dotknął rżemyka, a potem zawieszono go na nim amuletu. Potem znów musnął moją szyję i policzek, uważnie wpatrując mi się w twarz. Z trudem przelknęłam ślinę.

Ren nachylił się i pogroził mi żartobliwie:

— Będę to musiał częściej wykorzystywać.

Wstrzymałam oddech, poczułam mrowienie na skórze i lekko zadrżałam, co jego wprawilo w jeszcze większe zadowolenie. Ostatni raz przeszedł się wokół obozowiska, a ja podciągnęłam kolana pod brodzie i się zamyśliłam.

Dotknęłam wgłębienia między obojczykami, w miejscu, gdzie spoczywał amulet. Przez chwilę myślałam o Kishanie, o tym, jak wielkie robił wrażenie na pierwszy rzut oka, podczas gdy wewnątrz był łagodny jak kocie. To Ben był niebezpieczny. Choć biały tygrys zdawał się całkiem niewinny, siedział w nim prawdziwy drapieżca, któremu w dodatku nie dało się oprzeć. Zabójczo pociągający — jak rosiczka. Kusicielski, ponętny, śmiertelnie groźny. Wszystko, co robił, uwodziło i prawdopodobnie narażało na szwank moje serce. Onieśmielał mnie o wiele bardziej niż Kishan i jego dwuznaczne, niewybredne komentarze. Obaj bracia byli zjawiskowo piękni i czarujący.

Ich staromodne rycerskie maniery rzuciłyby na kolana każdą kobietę. Ale sposób, w jaki mówili, i to, co mówili, były bezpośrednie. Nie chodziło im o prowadzenie jakiejś gry czy zwykły flirt. Mieli poważne zamiary.

Kishan pod wieloma względami dorównywał Renowi. Potrafiłam zrozumieć wybór Yesubai, ale Rena o sto procent niebezpieczniejszym czyniło moje uczucie do niego. Pokochałam tygrysa, jeszcze zanim wiedziałam, kim jest, przez co o wiele łatwiej zakochałam się w Renie-mężczyźnie. Ale przebywanie w jego towarzystwie było o wiele bardziej skomplikowane niż przestawanie z tygrysem. Wciąż musiałam sobie przypominać, że byli jak awers i rewers tej samej monety. Istniało mnóstwo powodów, by pozwolić sobie na miłość do Rena. Była między nami silna więź. Nie dało się zaprzeczyć, że mnie pociągał. Lubiałam jego towarzystwo i dźwięk jego głosu. I ufalam mu.

Istniało jednak również wiele powodów, by zachować ostrożność. Nasz związek był bardzo skomplikowany. Wszystko działo się tak szybko. Czułam, że to mnie przytłacza. Pochodziliśmy z dwóch różnych kultur. Z różnych krajów. Z różnych stuleci. Aż do teraz na co dzień byliśmy również istotami dwóch różnych gatunków.

Zakochanie się w nim byłoby jak skok do wody z wysokiego klifu: mogłoby się okazać albo najbardziej emocjonującym, co mi się kiedykolwiek przytrafiło, albo najgłupszym błędem, jaki w życiu popełniłam. Sprawiloby, że miałabym po co żyć, albo roztrzaskałoby mnie o skały i połamało na zawsze. Być może najmądrzej będzie zwolnić tempo. O wiele prościej byłoby, gdybyśmy pozostali przyjaciółmi.

Ren wrócił, podniósł puste opakowanie po jedzeniu i wcisnął je do plecaka. Usiadł naprzeciwko mnie i zapytał:

— O czym myślisz?

Wpatrywałam się w ogień nieobecny wzrokiem.

— O niczym ważnym.

Przekrzywił głowę i przyglądał mi się przez chwilę. Nie naciskał, za co byłam mu wdzięczna — kolejna cecha, którą mogłabym dopisać do listy powodów, by się z nim związać.

Ren złożył dłonie i zatarł je powolnym, mechanicznym ruchem, jakby otrząpywał je z niewidzialnego pyłu, a ja wpatrywałam się w tę scenę jak zahipnotyzowana.

— Stanę na straży pierwszy, chociaż naprawdę uważam, że to niepotrzebne. Pamiętaj, że nadal mam zmysły tygrysa. Gdyby *kappa* postanowiły wyłonić się z rzeki, usłyszę je.

— W porządku.

— Dobrze się czujesz?

Otrząsnęłam się. A niech to! Przydałby mi się zimny prysznic! Ren był jak narkotyk, a co się robi z narkotykami? Odpycha się je jak najdalej od siebie.

— Nic mi nie jest — odparłam opryskliwie, wstałam i zaczęłam grzebać w plecaku. — Daj mi znać, kiedy się odezwą twoje zmysły Spidermana.

— Co takiego?

Podparłam się pod boki.

— Potrafisz też jednym susem wskoczyć na wieżowiec?

— Nadal mam siłę tygrysa, jeśli o to ci chodzi.

— Bosko — odburknęłam. — Dodam umiejętności superbohatera do twojej listy zalet.

Ren zmarszczył czoło.

— Żaden ze mnie superbohater, Kells. Najważniejsze teraz jest to, żebyś odpoczęła. Będę czuwał przez kilka godzin. Potem, jeśli nic się nie wydarzy — dodał z szerokim uśmiechem — dołączę do ciebie.

Zamarłam i nagle ogarnęło mnie zdenerwowanie. Z pewnością nie miał na myśli tego, co mi się zdawało. Wpatrywałam się w jego twarz w poszukiwaniu wskazówki, ale nie wyglądało na to, by miał jakieś ukryte zamiary.

Wyciągnęłam z plecaka pled, ostentacyjnie przeszłam na drugą stronę ogniska i spróbowałam ułożyć się wygodnie na trawie. Wierciłam się, aż udało mi się owinąć w pled tak, żeby żaden owad nie miał do mnie dostępu. Podłożyłam sobie ramię pod głowę i wpatrzyłam się w pozbawione gwiazd czarne niebo.

Mój unik najwyraźniej nie zrobił na Renie wrażenia. Księżę usadowił się wygodnie po drugiej stronie ogniska i niemal całkowicie zniknął w ciemności.

— Ren? — mruknęłam. — Jak myślisz, gdzie jesteśmy? To nad nami to chyba nie jest niebo?

— Sądzę, że jesteśmy głęboko pod ziemią — odpowiedział cicho.

— Czuję się, jakbyśmy wkroczyli do innego świata. — Przekreśliłam się, usiłując znaleźć jakikolwiek miękki kawałek podłoża. Po półgodzinie niespokojnego przewracania się z boku na bok westchnęłam, sfrustrowana.

— Co się dzieje?

Zanim zdążyłam się powstrzymać, wymamrotałam:

— Jestem przyzwyczajona do spania na miękkiej poduszce z tygrysięgo futra, ot, co się dzieje.

Ren parsknął cicho.

— Hmm, zobaczymy, co da się zrobić.

Spanikowana, pisnęłam:

— Nie, naprawdę. Wszystko w porządku. Daj spokój.

Ignorując moje protesty, Ren podniósł mnie, owiniętą w pled, niczym w kokonie, i przeniósł na swoją stronę ogniska. Obrócił mnie na bok, twarzą do ognia, położył się za mną i wsunął mi ramię pod głowę.

— Lepiej?

— Tak i nie. Moja głowa leży wygodnie, ale reszcie ciała niestety daleko do komfortu.

— Jak to?

— Jesteś za blisko.

— Nigdy ci to nie przeszkadzało, kiedy byłem tygrysem — odparł, zaskoczony.

— Ty jako tygrys i jako człowiek to dwie zupełnie różne sprawy.

Objął mnie w talii i przyciągnął bliżej do siebie. W jego głosie rozbrzmiała irytacja i rozczarowanie.

— Ja się nie czuję kimś innym. Po prostu zamknij oczy i wyobraź sobie, że wciąż jestem tygrysem.

— To tak nie działa. — Leżałam sztywno w jego ramionach, zdenerwowana, zwłaszcza kiedy zaczął muskać nosem mój kark.

— Lubię zapach twoich włosów — szepnął. Na plecach czułam wibracje dochodzące z jego klatki piersiowej, które wprawiały w drganie całe moje ciało.

— Ren, możesz tego nie robić?

Podniósł głowę.

— Zawsze podobało ci się, kiedy mruczałem. Lepiej wtedy spałaś.

— No tak, cóż, to działa tylko, kiedy jesteś tygrysem. A tak w ogóle, to jakim cudem mruczysz, będąc człowiekiem?

Ren zamilkł na chwilę.

— Nie wiem — powiedział w końcu. — Po prostu to robię. — Wcisnął twarz w moje włosy i pogłaskał mnie po ramieniu.

— Ren, jak niby masz zamiar w tej pozycji trzymać wartę?

Jego usta musnęły mój kark.

— Potrafię usłyszeć i wyczuć *kappa*, pamiętasz?

Wierciłam się i drżałam z nerwów, niepokoju albo jeszcze czegoś innego. Nie uszło to jego uwadze. Przestał całować mój kark, uniósł głowę i spojrzał na mnie w migoczącym świetle ognia. Poważnym, spokojnym głosem powiedział:

— Kelsey, chyba wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził? Nie musisz się mnie bać.

Obróciłam się, wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego policzka. Spojrzałam w jego błękitne oczy i westchnęłam.

— Nie boję się ciebie. Ufam ci jak nikomu innemu. Po prostu nigdy wcześniej nie byłam z nikim tak blisko.

Pocałował mnie delikatnie i uśmiechnął się.

— Ta też nie — odparł i znów się położył. — A teraz odwróć się i śpij. Ostrzegam, że zamierzam trzymać cię w ramionach całą noc. Kto wie, kiedy i czy w ogóle przytrafi mi się jeszcze taka okazja. Więc spróbuj się rozluźnić i, na miłość boską, przestań się wiercić!

Znów przyciągnął mnie do swojej ciepłej klatki piersiowej. Zamknęłam oczy. Od wielu tygodni nie spałam tak dobrze jak tej nocy.



Obudziłam się przytulona do Rena i spleciona z nim nogami. Oddychałam normalnie, co było dziwne, zważywszy, że mój nos był wciśnięty w jego muskularny tors. Ochłodziło się, ale pled przykrywał nas oboje, a ciało Rena, nadzwyczaj ciepłe, grzało mnie przez całą noc.

Księżę nadal spał, wykorzystywałam więc tę rzadką okazję i przyrzalam mu się uważnie. Jego mocne ciało było rozluźnione, a twarz złagodniała mu we śnie. Miał pełne, gładkie wargi, jakby stworzone do całowania, i po raz pierwszy zauważyłam, jak długie były jego czarne rzęsy. Lśniące ciemne włosy miękko opadały na czoło i były potargane, co czyniło go jeszcze bardziej pociągającym.

A więc taki jest prawdziwy Ren. Nie wygląda na rzeczywistego. Wyglądał jak archanioł, który zstąpił na ziemię. W ciągu ostatnich czterech tygodni cały czas był przy mnie, ale ponieważ tylko na ułamek dnia przybierał ludzką postać, zdawał mi się wówczas niemal ucieleśnieniem marzeń, prawdziwym księciem z bajki.

Przesunęłam palcem po łuku jego czarnej brwi i delikatnie odgarnęłam mu z twarzy jedwabisty kosmyk ciemnych włosów. Westchnęłam i starając się go nie obudzić, spróbowałam powoli wysunąć się z jego objęć, jednak on tylko zacieśnił uścisk, unieruchamiając mnie.

Sennym głosem wymamrotał:

— Nawet o tym nie myśl. — I z powrotem przyciągnął mnie do siebie. Oparłam mu policzki na piersi i wsłuchałam się w bicie jego serca.

Po kilku minutach Ren przeciągnął się i przewrócił na bok, pociągając mnie za sobą. Pocałował mnie w czoło, zamrugał, otworzył oczy i uśmiechnął się. To było jak obserwowanie wschodu słońca. Już we śnie robił wrażenie, ale jego oszalamiający uśmiech i spojrzenie kobaltowych oczu sprawiły, że po prostu oniemiałam.

Przygryzłam wargę. W głowie rozbrzmiał mi sygnał alarmowy.

Ren zatrzepotał rzęsami, szeroko otworzył oczy i odgarnął mi za ucho niesforny kosmyk włosów.

— Dzień dobry, *radźkumari*. Dobrze spałaś?

— Ja... ty... — wyjąkałam. — Ja... spałam świetnie, dziękuję.

Zamknęłam oczy, wysliznęłam się z jego objęć i wstałam. Dużo lepiej radziłam sobie z jego obecnością, gdy nie musiałam zbyt dużo o nim myśleć ani na niego patrzeć, ani z nim rozmawiać, ani słuchać jego głosu.

Ren objął mnie od tyłu i poczułam, jak się uśmiecha, przyciskając usta do miękkiej skóry za moim uchem.

— A ja spałam dziś najlepiej od trzystu pięćdziesięciu lat.

Musnął nosem mój kark i wyobraziłam sobie, jak namawia mnie, bym skoczyła z klifu, a potem wybucha śmiechem, gdy moje ciało roztrzaskuje się o skały.

Wymamrotałam coś w rodzaju „to się ciesz” i odsunęłam się. Zaczęłam się krzątać, ignorując jego nierozumiejące spojrzenie.

Zwinęliśmy obóz i w milczeniu ruszyliśmy w stronę miasta. Ren najwyraźniej coś przemyślał, a ja robiłam wszystko, by powstrzymać nerwowe bicie serca za każdym razem, gdy zdarzyło mi się zerknąć w jego stronę.

Co się ze mną dzieje? Mamy zadanie do wykonania. Musimy odnaleźć złoty owoc, a ja zachowuję się... jak zakochana idiotka!

Byłam na siebie zła. Wciąż musiałam powtarzać sobie w duchu, że to tylko Ren, mój tygrys, a nie jakiś książę na białym koniu. Przebywanie blisko niego przez tak długi czas zmusiło mnie do stawienia czoła rzeczywistości i pierwsze, co musiałam zrobić, to uporządkować swoje uczucia. Gdy tak zśliśmy, zastanawiałam się, przygryzając wargę, nad problemem, którym była dla mnie nasza relacja.

On pewnie zakochałby się w każdej dziewczynie, której przeznaczeniem byłoby go ocalić. Poza tym niemożliwe, żeby takiemu facetowi podobał się ktoś taki jak ja. Ren jest jak superman, a mnie — musiałam to przyznać z niechęcią — daleko do Lois Lane. Kiedy klątwa zostanie zdjęta, będzie pewnie chciał umawiać się z modelkami. Co więcej, jestem pierwszą dziewczyną, jaką spotkał od ponad

trzystu lat, i choć w moim przypadku skala czasu jest inna, to i on jest pierwszym mężczyzną, do którego kiedykolwiek coś czułam. Jeśli pozwolę sobie teraz na marzenia o wspólnym życiu, w przyszłości z pewnością skończy się to rozczarowaniem.

Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, co robić. Nigdy wcześniej w nikim się nie zakochałam. Nigdy nie miałam chłopaka. Nowe uczucia napawały mnie radością, a zarazem wprawiały w przerażenie. Po raz pierwszy w życiu straciłam nad sobą kontrolę i wcale nie byłam pewna, czy mi się to podoba.

Problem polegał na tym, że im więcej czasu z nim spędzałam, tym bardziej pragnęłam z nim być. Ale musiałam spojrzeć na to trzeźwo. Wiedziałam, że te kilka krótkich wspólnych chwil, które właśnie przeżywaliśmy, wcale nie jest gwarantem szczęśliwego zakończenia.

Z własnego bolesnego doświadczenia wiedziałam, że nie ma szczęśliwych zakończeń. Teraz, gdy byliśmy coraz bliżej złamania zaklęcia, musiałam stawić czoło faktom.

Fakt numer jeden: gdy Ren odzyska wolność, będzie chciał korzystać z życia. Fakt numer dwa: jeśli uzna, że już mnie nie kocha, to będzie mój koniec. Bezpieczniej dla mnie będzie wrócić do codziennego samotnego życia w Oregonie i zapomnieć o nim. Fakt numer trzy: możliwe, że nie jestem po prostu na to wszystko gotowa.

Wprawdzie moje rozumowanie było chwilami pokrętne, ale i tak wszystkie argumenty wiodły do jednego wniosku: nie powinnam być z Renem. Pokonałam ogarniający mnie smutek i z determinacją zacisnęłam pięści. Uznałam, że aby chronić własne serce, lepiej zdusić ten związek w zarodku już teraz i oszczędzić sobie bólu oraz wstydu, towarzyszących nieuchronnemu zerwaniu.

Muszę się skupić na zadaniu, a gdy już je wykonam, każde z nas pójdzie w swoją stronę. Pomogę po prostu przyjacielowi, a potem pozwolę mu odejść i cieszyć się życiem.

1 tak, maszerując przez dziwną, mityczną krainę, układałam w głowie plan. Staralam się równocześnie wysyłać subtelne sygnały, hamujące romantyczne zapędy Rena. Kiedy brał mnie za rękę, znajdowałam jakiś pretekst, by delikatnie ją odsunąć. Gdy dotykał mojego ramienia, cofałam się. Gdy próbował mnie objąć, odtrącałam go lub przyspieszałam kroku. Nic nie mówiłam, nie próbowałam nic wyjaśniać, gdyż nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać.

Ren usiłował dowiedzieć się, co się dzieje, ale zbywałałam go tylko, więc w końcu przestał pytać. Na początku był zdezorientowany,

potem spochmurniał, aż zauważyłam, że zamyka się w sobie i ogarnia go coraz większa złość. Najwyraźniej zraniłam jego uczucia. Nie wiele było trzeba, żeby dał za wygraną, i już wkrótce wyrosła między nami niewidzialna bariera rozmiarów Wielkiego Muru Chińskiego.

Doszliśmy do rozwidlenia rzeki i odnaleźliśmy most zwodzony. Niestety był podniesiony, chociaż z jednej strony lekko zwiślał, jakby uszkodzony. Ren przeszedł się wzdłuż brzegu strumienia, uważnie wpatrując się w odmęty.

— Za dużo tu *kappa*. Raczej nie da się przepłynąć.

— A może znajdziemy jakiś pień i przerzucimy go na drugą stronę?

— Dobry pomysł — odburknął. Podszedł i odwrócił mnie bezceremonialnie.

— Co robisz? — wymamrotałam nerwowo.

— Chcę tylko wyjąć *gada* — odparł z drwiną w głosie. — Nie martw się, nie robię nic innego.

Wyjął broń z plecaka i sztywnym krokiem pomaszerował w stronę drzew.

Skrzywiłam się. Był zły. Nigdy wcześniej nie widziałam go rozgniewanego, nie licząc spotkania z Kishanem. Nie podobało mi się to, ale uznałam jego nastrój za naturalny skutek mojego planu, by wyrwać naszą kielkującą miłość z korzeniami. Nie potrafiłam nic na to poradzić.

Zerknęłam spod oka na Fanindrę, by sprawdzić, czy pochwała moja decyzję, ale jej lśniące oczy były pozbawione wyrazu.

Chwilę później rozległo się ciężkie dudnienie i jedno z pobliskich drzew skuliło się, a po kolejnym ogłuszającym trzasku runęło na ziemię. Ren zaczął walić maczugą w gałęzie. Podeszłam, by mu pomóc.

— Czy mogę coś zrobić?

Nawet się nie odwrócił.

— Nie. Mamy tylko jedno *gada*.

Choć z góry znalazłam odpowiedź, zapytałam:

— Ren, czemu się gniewasz? Masz jakiś problem? — Skrzywiłam się, bo wiedziałam, że problemem jestem ja.

Ren opuścił *gada* i odwrócił się. Bacznie przyjrzał mi się jasnymi błękitnymi oczami. Szybko przeniosłam wzrok na drgającą kolczastą gałąź. Gdy znów na niego spojrzałam, jego twarz zmieniła się w nieprzeniknioną maskę.

— Nie mam żadnego problemu, Kells. Wszystko w porządku.

Odwrócił się i dalej okładał gałęzie. Kiedy ogolocił pień, chwycił go za jeden z końców i zaczął wlec w kierunku strumienia. Pobiegłam za nim i schyliłam się, by podnieść drugi koniec.

— Zostaw — powiedział, nawet na mnie nie patrząc.

Upuścił drzewo przy strumieniu i zaczął szukać dobrego miejsca, żeby przerzucić je na drugą stronę. Właśnie miałam na nim przysiąść, kiedy zauważyłam igły. Nawet pień był pokryty grubymi, ostrymi, zdradzieckimi kolcami. Podeszłam do przedniej części pnia i ujrzałam wielkie krople krwi Rena na lśniących czarnych szpi-kulcach.

— Ren, podejdź tu, obejrzę cię — zażądałam.

— Daj spokój, Kelsey. Zagoj się.

— Ale Ren...

— Nie. A teraz się odsuń.

Podniósł pień, a ja otworzyłam usta ze zdumienia. Nie da się ukryć, że wciąż ma siłę tygrysa. Skrzywiłam się, wyobrażając sobie setki igieł wbijających mu się w tors i ramiona. Jego napięte mięśnie drgały.

Popatrzeć zawsze wolno, prawda? Nawet jeśli nie stać nas na zakup, zawsze można pooglądać wystawy...

To **było** jak obserwowanie Herkulesa w akcji. Wstrzymałam oddech z podziwem i musiałam powtarzać w duchu słowa: on nie jest dla mnie, on nie jest dla mnie, on nie jest dla mnie, żeby wytrwać w postanowieniu.

Drugi koniec pnia dotknął kamiennego muru. Ren przesunął się jeszcze o kilka kroków, aż znalazł odpowiednie miejsce i upuścił drzewo, które z głuchym odgłosem spadło na ziemię po drugiej stronie.

Kolce rozorały mu skórę na piersi głębokimi szramami i pozostawiły w strzępach przód białej koszuli. Podeszłam do niego i dotknęłam jego ramienia.

Odwrócił się i powiedział:

— A teraz zostań tutaj.

Zmieniwszy się w tygrysa, przebiegł po pniu, a potem jednym susem sięgnął szczeliny w naderwanym moście. Wspiął się do środka i zniknął. Usłyszałam metaliczny szczęk i ciężki kamienny most opadł ze świstem, z głośnieym pluśnięciem uderzył o powierzchnię wody i zapadł się w kamyki tuż przy brzegu. Przebiegłam na drugą stronę, z niepokojem zerkając na czyhające w dole *kappa*. Ren wciąż był tygrysem i nie wyglądało na to, by zechciał się zmienić.

Wkroczyłam do Kiszkindy. Domy, w większości dwu- lub trzypiętrowe, były zbudowane z twardego kamienia, gładkiego jak granit, i polyskiwały platkami miki. To był piękny widok.

W centrum stał ogromny posąg Hanumana, a każdą powierzchnię i każdy najmniejszy zakątek miasta wypełniały naturalnej wielkości kamienne małpy. Misternie zdobione rzeźby pokrywały każdy budynek, każdy dach i każdy balkon. Nawet ściany były rzeźbione w wizerunki małp. Posągi przedstawiały różne rodzaje małp, często w parach i grupkach. Właściwie jedynymi przedstawicielami małpiego świata, których tam zabrakło, były latające małpy z *Czarnoksiężnika z Oz* oraz King Kong.

Gdy minęłam znajdującą się pośrodku fontannę, poczułam ucisk na ramieniu. Fanindra ożyła. Schyliłam się, żeby mogła zśliznąć się na ziemię. Uniosła głowę i kilka razy skosztowała powietrza rozwidlonym językiem, po czym zaczęła powoli pelznąć przez starożytny gród. Ruszyliśmy za nią.

— Nie musisz pozostawać tygrysem z mojego powodu — powiedziałam.

Ren nie spuszczał oczu z kobry.

— To cud, że możesz być tu człowiekiem. Nie rób sobie tego, proszę. Tylko dlatego, że się gniewam...

Ren przybrał ludzką postać i obrócił się na pięcie, stając ze mną oko w oko.

— Owszem, gniewam się. Czemu właściwie nie miałbym pozostać tygrysem? Ty przecież dużo lepiej czujesz się z nim niż ze mną! — Jego błękitne oczy przesłonił cień niepewności i urazy.

— Rzeczywiście, lepiej się z nim czuję, ale nie dlatego że lubię go bardziej od ciebie. To zbyt skomplikowane, żeby teraz o tym dyskutować. — Odwróciłam się, by ukryć zaczerwienioną twarz.

Ren sfrustrowany przeczesał włosy palcami i z niepokojem w głosie zapytał:

— Kelsey, czemu mnie unikasz? Czy narzuciłem za duże tempo? Nie jesteś jeszcze gotowa myśleć o mnie w ten sposób, zgadza się?

— Nie. Nie o to chodzi. Po prostu — odparłam, nerwowo wykręcając dłonie — nie chcę popełnić błędu ani angażować się w coś, co zrani jedno z nas, a może oboje. A poza tym naprawdę nie sędzę, że to najlepsze miejsce, żeby o tym rozmawiać.

Mówiąc to, wpatrywałam się w jego stopy. Ren milczał przez kilka minut. Gdy zerknęłam na niego ukradkiem spod rzęs, zauważyłam, że uważnie mi się przygląda. Drgnęłam z zażenowania pod jego

spojrzeniem, lecz on nadal cierpliwie mnie obserwował. Patrzyłam na bruk, Fanindrę, własne dłonie, na wszystko, tylko nie na niego. W końcu dał za wygraną.

— W porządku.

— W porządku?

— Tak, w porządku. Podaj mi plecak, teraz ja go trochę ponoszę.

Pomógł mi zdjąć plecak i wydłużył szelki, żeby pasowały na jego szerokie barki.

Fanindra wyglądała na gotową do dalszej drogi i wkrótce podjęliśmy wędrówkę po malpim grodzie.

Mijaliśmy zacienione przejścia między budynkami, w których złote ciało węża lśniło w ciemności. Fanindra prześlizgiwała się przez szczeliny pod drzwiami, które Ren musiał wyważać siłą. Prowadziła nas osobliwym torem przeszkód, traktując go z perspektywy węża, przemykając przez miejsca, które dla nas były niedostępne. Co pewien czas znikala w jakiejś szparze w ziemi i Ren musiał węszyć, żeby ją odnaleźć. Często musieliśmy się cofać i szukać okrężnej drogi. Za każdym razem odnajdowaliśmy ją zwiniętą, czekającą cierpliwie, aż ją dogonimy.

W końcu przywiodła nas do prostokątnej kamiennej sadzawki wypełnionej zieloną wodą, pokrytą rzęsą. Sadzawka miała ponad metr wysokości, a w każdym rogu stał kamienny podest z posągami przedstawiającym małpę. Cztery małpy patrzyły w cztery różne strony świata. Przykucnięte, podparte na ramionach, z obnażonymi kłami, wyglądały, jakby syczały, gotowe do skoku. Uniesione do góry, zakrzywione ogony przypominały muskularne dźwignie. U stóp postumentów grupki kamiennych małp o złowieszczym wyglądzie, wykrzywionych pyskach i pustych czarnych oczach wyciągały długie ręce, jakby miały zamiar schwytać i rozszarpać każdego, kto ośmieliłby się zbliżyć.

Wspięliśmy się po kamiennych schodkach i spojrzeliśmy w wodę. Z ulgą dostrzegłam, że w mętnej toni nie czai się ani jeden bezwłosy małpi demon. Na krawędzi kamiennego murka dostrzegłam jakiś napis.

— Co to znaczy? — zapytałam.

— *Njudź Kapi*. Wybierz małpę.

— Hmm.

Obeszliśmy wszystkie cztery rogi sadzawki, uważnie przyglądając się posągom. Jedna z małp nastawiała uszy, druga kładła je po sobie. Każda z nich była przedstawicielem innego gatunku.

— Ren, Hanuman był pół-człowiekiem, pół-malpą, prawda? Ale jaką malpą?

— Nie mam pojęcia. Pan Kadam by wiedział. Wiem tylko, że dwa z tych posągów przedstawiają małpy nie pochodzące z Indii. Czepiaki żyją w Ameryce Południowej, a z kolei tamta to szympan, czyli malpa czlekoksztalna.

Spojrzałam na niego z szeroko otwartymi ustami.

— Skąd tyle o nich wiesz?

Ren założył ręce na piersi.

— Ach, zakładałam więc, że przynajmniej na ten temat chcesz ze mną rozmawiać? Może gdybym był malpą, a nie tygrysem, wyjaśnilabyś mi, dlaczego mnie unikasz.

— Nie unikam cię. Po prostu potrzebuję przestrzeni. To nie ma nic wspólnego z tym, jakim jesteś zwierzęciem. Chodzi o coś zupełnie innego.

— O co?

— Nieważne.

— Właśnie że ważne.

— To naprawdę nie ma znaczenia.

— Co nie ma znaczenia?

— Czy możemy wrócić do małp?! — krzyknęłam.

— Proszę bardzo! — wrzasnął Ren.

Przez minutę, sfrustrowani i wściekli, mierzyliśmy się gniewnymi spojrzzeniami. W końcu Ren powrócił do przyglądania się małpom i ich cechom charakterystycznym.

Nie potrafiłam się powstrzymać i sarkastycznym tonem rzuciłam:

— Nie miałam pojęcia, że mam do czynienia z malpim ekspertem, ale z drugiej strony pewnie nieraz pożerałeś je na obiad. To tak, jak dla mnie różnica pomiędzy, powiedzmy, wieprzowiną a kurczakiem.

Ren zmarszczył czoło.

— Przez wieki mieszkalem w ogrodach zoologicznych i cyrkach, pamiętasz? A poza tym nie jadam małp!

— Hmm. — Założyłam ramiona na piersi i spojrzałam na niego ze złością. Ren miał podobną minę, kiedy ciężkim krokiem zbliżył się do kolejnego posągu i kucnął, przyglądając mu się. Zirytowany, burknął:

— To makak, a tamten włochaty to hulman. Oba pochodzą z Indii.

— Którego wybrać? Musi chodzić o jedną z tych dwóch małp, ponieważ pozostałe żyją w innych częściach świata.

Ren zignorował moje pytanie, pewnie nadal obrażony. Badal właśnie grupki mniejszych małp u stóp postumentów, kiedy oświadczyła:

—Hulman.

— Czemu akurat on? — zapytał, wstając.

— Z pyska przypomina mi podobiznę Hanumana.

— W porządku, spróbuj.

— Ale co mam zrobić?

— Nie wiem! — zniecierpliwil się Ren. — Może powtóż ten numer z ręką.

— Nie sędę, żeby to dzialalo w ten sposob.

Ren wskazal na malpe.

— No dobrze, potrzyj jej glowe, tak jak sie robi z posagami Buddy. Musimy cos wymyslisc.

Spojrzalam gniewnie na Rena, który byl wyraźnie zniecierpliwiony, a potem podeszlam do kamiennej malpy i z wahaniem dotknęlam jej glowy. Nic. Poklepalam ja po policzkach, potarlam po brzuchu, ciągnęlam za ramiona, ogon... dalej nic. Ścisalam własnie jej barki, kiedy poczulam, że posag poruszyl się nieznacznie. Nacisnęlam jeden z barków i górna część postumentu przesunęła się, ukazując kamienną skrzynkę z dźwignią. Pociągnęlam. Na początku nic się nie wydarzyło. Potem poczulam, że moja dłoń robi się gorąca. Namalowane przez Pheta symbole wyostrzyly się, a dźwignia uniosła się, przesunęła i zaskoczyła ze zgrzytem.

Ziemią wstrząsnęło gluche dudnienie, a woda zaczęła odpływać z sadzawki. Ren chwycił mnie za ramiona i błyskawicznie odciągnął od krawędzi.

Dno sadzawki pękło na dwie części i zaczęło się rozsuwać. Woda z pluskiem wpadala do ziejacej dziury w miejscu, w którym przed chwila znajdowalo się dno.

Coś zaczęło wylaniac się z otworu. Na początku myslalam, że to tylko światlo odbija się od lśniacego mokrego kamienia, ale luna robila się coraz jaśniejsza, aż ze szczeliny wylonila się galaz, pokryta błyszczącymi złotymi liśćmi. Za nią pojawily się następane, a potem ujrzalam pień i w końcu stanęło przed nami drzewo. Migoczące liście emanowaly zółta poświata, jak gdyby galęzie przeplataly tysiące choinkowych lampek, i drzaly, jakby muskane delikatnym wietrzykiem.

Drzewo mialo jakies trzy i pol metra wysokosci i okryte bylo slodko pachnącym białym kwieciem. Długie i wąskie liście rosly na delikatnych galazkach, przechodzacych w silne konary, które

odchodziły od mocnego, grubego pnia. Drzewo, wyrastające z kamienniej oprawy umiejscowionej na solidnej kamiennej bazie, było najpiękniejszym, jakie kiedykolwiek widziałam.

Ren wziął mnie za rękę i ostrożnie poprowadził w stronę drzewa. Wyciągnął palec i dotknął jednego ze złotych liści.

— Jakie piękne! — zakrzyknęłam.

Ren zerwał biały kwiat i powąchał go.

— To mango.

Oboje z zachwytem, przyglądaliśmy się niezwyklemu zjawisku. Wyraz twarzy Rena, nie mniej oszalonego ode mnie, złagodniał. Księżę zrobił krok w moją stronę i wplótł mi kwiatek we włosy. Odwróciłam się, udając, że tego nie zauważyłam, i dotknęłam złotego liścia.

Gdy chwilę później zerknęłam na Rena ukradkiem, miał kamienną twarz, a kwiat leżał zdeptany na ziemi. Serce mi się krajało, gdy patrzyłam na piękne płatki, podarte i porzucone.

Podeszliśmy do drzewa, przyglądając mu się ze wszystkich stron.

— Tam! — zawołał Ren. — Widzisz? Na czubku! To złoty owoc!

— Gdzie?

Ren wskazał najwyższą gałąź i rzeczywiście, kołysało się na niej lekko coś złotego i kulistego.

— Mango — wymamrotał. — Oczywiście, to ma sens.

— Co masz na myśli?

— Mango to jeden z głównych indyjskich produktów eksportowych, jeden z najpopularniejszych owoców w kraju i prawdopodobnie najważniejszy z naszych naturalnych zasobów. Wynika z tego, że złoty owoc Indii to właśnie mango. Powinienem był wcześniej się tego domyślić.

Zadarłam głowę, wpatrując się w odległą gałąź.

— Jak tam dosięgniemy?

— Jak to: „jak”? Wezmę cię na barana. Musimy to zrobić razem.

Roześmiałam się.

— Ren, lepiej wymyśl coś innego. Może wykonasz swój skok supertygrysa i złapiesz go zębami albo coś takiego.

Księżę uśmiechnął się złośliwie.

— Nie. Ty — dotknął palcem mojego nosa — wejdiesz mi na barana.

— Proszę cię, przestań to powtarzać — jęknęłam.

— Chodź tutaj. Powiem ci dokładnie, co masz robić. To będzie dziecinnie proste.

Podniósł mnie i ustawił na kamiennej krawędzi sadzawki. Potem obrócił się do mnie tyłem.

—No dobra, właż.

Wyciągnął ręce. Ujęłam je z wahaniem i zarzuciłam mu nogę na ramię, przez cały czas narzekając. Już miałam ją cofnąć, ale Ren to przewidział, chwycił mnie za drugą nogę i unióśł na plecach, zanim zdążyłam zaprotestować.

Wrzasnęłam na niego, ale to nic nie dało. Trzymając mnie za ręce i bez trudu unosząc mój ciężar, podszedł do drzewa. Nie spieszył się ze zlokalizowaniem najlepszego punktu, a gdy już go znalazł, powiedział:

— Widzisz ten gruby konar tuż nad twoją głową?

—Widzę.

— Sięgnij jedną ręką i spróbuj go złapać.

Wykonałam polecenie, rzucając przy tym groźnie:

— Nie upuść mnie!

— Kelsey, nie ma absolutnie żadnej szansy na to, żebym cię upuścił — odparł zarożumiałym tonem.

Mocno chwyciłam się konara.

— Dobrze. A teraz złap go drugą ręką. Nie martw się, będę cię trzymał za nogi.

Wyciągnęłam drugą rękę i mocno chwyciłam gałąź, ale miałam spoczone dłonie i gdyby nie Ren, na pewno bym spadła.

— Hej, Ren, świetny pomysł i w ogóle, ale nadal jestem dobre pół metra od owocu. Co mam dalej robić?

Książę roześmiał się tylko i odparł:

— Poczekaj chwilę.

— Jak to: „poczekaj”?

Ren ściągnął mi tenisówki i powiedział:

— Trzymaj się gałęzi i spróbuj wstać.

Przestraszona, kurczowo chwyciłam się konara. Ren wypychał mnie coraz wyżej. Zerknęłam w dół i dostrzegłam, że podtrzymuje mnie tylko za stopy i cały ciężar mojego ciała spoczywa na jego ramionach.

— Zwariowałeś? — syknęłam. — Jestem za ciężka.

— Najwyraźniej nie, Kelsey — odparł rozbawiony. — A teraz uważaj. Nie puszczając gałęzi, spróbuj oprzeć mi stopy na ramionach, najpierw jedną, potem drugą.

Uniosłam prawą nogę i wyczułam piętą górną część jego ramienia. Ostrożnie przerzuciłam ciężar ciała na jego szeroki bark, po

chwili to samo zrobiłam z lewą nogą. Spojrzałam na owoc, który wisiał teraz na wprost mnie, lekko kołysząc się w górę i w dół.

— Dobrze, spróbuję go złapać. Trzymaj mnie.

Ren ujął mnie za łydki i lekko je ścisnął. Odepchnęłam gałąź w dół, na wysokość swojej talii, i wyciągnęłam rękę po owoc, który wisiał na długiej lodydze, wyrastającej z wierzchołka drzewa. Musnęłam mango palcami. Zakolysało się, a gdy znalazło się najbliżej mojej dłoni, chwyciłam je i lekko pociągnęłam.

Bez skutku. Pociągnęłam nieco mocniej, uważając, by nie uszkodzić złotego owocu. Co dziwne, w dotyku nie różnił się on od najzwyklejszego mango o mocnej, gładkiej skórce, mimo iż migotał lśniącem złocistym światłem. Jeszcze raz wsparłam się o gałąź i szarpnęłam mocno. Tym razem lodyżka ustąpiła.

Dokładnie w tym momencie moje ciało przeszły lodowaty dreszcz i wszystko znieruchomiało. Serce palił mi piekący żar, a wokół zapadła ciemność. Byłam sama. W oddali pojawiła się widmowa postać, która stopniowo nabierała kształtu. Poznałam ją. Pan Kadam! Trzymał się za klatkę piersiową, a kiedy odsunął rękę, ujrzałam amulet gorejący czerwonym światłem. Popatrzyłam w dół na własny amulet, od którego także bila szkarlatna luna. Wyciągnęłam ramiona do pana Kadama, ale on mnie nie słyszał, a ja nie słyszałam jego.

Naprzeciwko powoli zmaterializowała się kolejna sylwetka, również ściskająca w dłoni talizman. Postać spojrzała na pana Kadama, po czym błyskawicznie przeniosła uwagę na jego amulet.

Nieznamy był ubrany elegancko i jednocześnie. Jego bystre oczy zdradzały inteligencję, pewność siebie, determinację i coś jeszcze, coś mrocznego, jakiegoś... okrucieństwo. Próbował zrobić krok do przodu, ale niewidzialna bariera unieruchamiała nas wszystkich. Jego twarz stężała i wykrzywiła ją nienawistna furia, która, choć opanowana pospiesznie, nadal klębiła się w jego oczach jak przyczajona bestia. Rozpacz i strach ścisnęły mi żołądek, gdy obcy zwrócił się w moją stronę. Najwyraźniej czegoś ode mnie chciał.

Uważnie zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, a potem jego spojrzenie zatrzymało się na żarzącym się czerwienią amulecie. Twarz mężczyzny rozbłysła niegodziwą radością. Zwróciłam się do pana Kadama z nadzieją na ratunek, ale on zajęty był baczny obserwowaniem przybysza.

Ryłam przerażona. Zawolałam Rena, ale nawet ja nie słyszałam własnego głosu.

Nieznajomy wyciągnął coś z kieszeni i zaczął mamrotać pod nosem. Staralam się odczytać coś z ruchu jego warg, ale najwyraźniej mówił w obcym języku. Sylwetka pana Kadama zaczęła tracić ostre kontury. Znow stawał się przezroczysty. Spojrzałam na własne ramię i wydałam z siebie stłumiony okrzyk, ujrawszy, że to samo dzieje się ze mną. Zakręciło mi się w głowie. Poczulam, że zaraz zemdleję. Nie mogłam ustać na nogach i runęłam w dół... w dół... w dół...

UCIECZKA



Kiedy otworzyłam oczy, ujrzałam nad sobą twarz Rena.

— Kelsey! Wszystko w porządku? Upadłaś. Zemdlałaś? Co się stało?

— Nie, nie zemdlałam — stęknęłam. — Przynajmniej tak mi się wydaje.

Ren trzymał mnie w ramionach i tulił do siebie. Podobało mi się to, choć wiedziałam, że nie powinno.

— Złapałeś mnie?

— Mówilem, że cię nie puszczę.

— Dzięki, supermanie — wymamrotałam sarkastycznie. — A teraz, proszę, postaw mnie na ziemi.

Ren ostrożnie postawił mnie na nogach, które, jak stwierdziłam ze zgrozą, wciąż się pode mną uginały. Wyciągnął rękę, żeby mnie podtrzymać, a ja wrzasnęłam:

— Mówiłam, żebyś puścił! Nawet na chwilę nie możesz się odsunąć?

Nie miałam pojęcia, czemu na niego nakrzyczałam. Chciał tylko pomóc, ale mnie ogarnął strach. Działy się ze mną dziwne rzeczy, nad którymi nie miałam kontroli. Poza tym czułam się zawstydzona i drażliwie reagowałam na jego dotyk. Kiedy mnie dotykał, nie potrafiłam jasno myśleć. Mózg miałam zamglony jak lustro w zaparowanej łazience, więc jedyne, czego pragnęłam, to zachować dystans.

Usiadłam na kamiennym brzegu sadzawki i włożyłam tenisówki z nadzieją, że niedługo przestanie wirować mi w głowie.

Ren założył ramiona na piersi i spojrzał na mnie wąskimi jak szparki oczyma.

— Kelsey, proszę, powiedz mi, co się stało.

— Nie wiem. Miałam... chyba jakąś wizję.

— I co zobaczyłaś?

— Były tam trzy osoby: pan Kadam, jakiś straszny człowiek i ja. Wszyscy mieliśmy na sobie amulety, które świeciły na czerwono.

Ren spoważniał, prostując ramiona.

— Jak wyglądał ten straszny człowiek? — zapytał cicho.

— Sama nie wiem... jak szef mafii albo coś w tym stylu, lak ktoś, kto lubi rządzić i zabijać. Miał ciemne włosy i lśniące czarne oczy.

— Ryl Indusem?

— Nie wiem. Możliwe.

Fanindra leżała u moich stóp, skręcona w bransoletkę. Podniosłam ją, wsunęłam na ramię, a potem rozejrzałam się, wystraszona.

— Ren? Gdzie złoty owoc?

— Tutaj. — Ren podniósł mango, które leżało u stóp drzewa.

— Schowajmy go. — Sięgnęłam po plecak i wyciągnęłam z niego pled. Ostrożnie wyjęłam owoc z dłoni Rena, uważając, by jej nie dotknąć, owinęłam go w pled i wcisnęłam do plecaka. Najwyraźniej nieco zbyt ostentacyjnie unikałam kontaktu z nim, bo gdy podniosłam wzrok, patrzył na mnie gniewnie.

— Co? Już nawet nie możesz mnie dotknąć? Miło wiedzieć, że tak bardzo brzydzi cię moje towarzystwo. Szkoda, że nie przekonałem Kishana, żeby z tobą poszedł, mogłabyś wtedy w ogóle nie mieć ze mną do czynienia!

Zignorowałam go i zawiązałam sznurowadła na dwa supelki.

Ren wskazał na miasto i uśmiechnął się drwiąco.

— Gdy dostatecznie wypoczniesz, *radźkumari*, skiiń tylko paluszkim, a bez zwłoki ruszymy w drogę.

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie i dźgnęłam palcem w tors.

— Ryć może Kishan byłby mniejszym palantem. A tak przy okazji, Panie Sarkastyczny, niezbyt mi się w tej chwili podobasz.

Rozzłoszczony, zmrużył oczy.

— Zatem witaj w klubie, Kells. Ruszamy w drogę?

— Świetnie! — Odwróciłam się do niego tyłem, skróciłam szelki plecaka i odmaszerowałam, nie oglądając się za siebie. Ren zamachał rękami w rozdrażnieniu.

— Świetnie!

— Wspaniale! — odwrzasnęłam i oddaliłam się z powrotem w głąb miasta, a on ruszył za mną bez słowa, gotując się ze złości.

Gdy minęliśmy pierwszy budynek, poczuliśmy wstrząs. Odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na złote drzewo. Zapadało się z powrotem pod ziemię, a pęknięte dno sadzawki zamykało się nad nim. Z wnętrza czterech małpich posągów biło dziwne światło.

— Re, Kells? Myślę, że powinniśmy opuścić to miejsce tak szybko, jak się da.

Wydużyliśmy krok i już za chwilę puściliśmy się biegiem między budynkami. Ze wszystkich stron poczęły dobiegać syki i przenikliwe piski. Kamienne małpy zaczęły ożywać. Nad naszymi głowami zapanowało poruszenie. Drobne czarne i brązowe kształty gonily nas, przeskakując z budynku na budynek.

Piski robiły się coraz bardziej jazgotliwe, wokół zapanowała nieopisana wrzawa. W biegu krzyknęłam do Rena:

— Cudownie! Ścigają nas hordy małp! Być może zechcesz opowiedzieć mi nieco o każdym z gatunków, abym mogła docenić charakterystyczne cechy małpy, która będzie rozszarpywać mnie na strzępy!

Ren nie pozostał mi dłużny.

— Przynajmniej kiedy nękają cię małpy, ty nie masz czasu nękać mnie!

Małpy były coraz bliżej. Prawie potknęłam się o jedną z nich, gdy wyskoczyła spoza moich nóg i przecięła mi drogę. Ren dał długiego tygrysiego susa przez fontannę.

Pozer.

— Ależ Ren, nie powstrzymuj się ze względu na mnie. Bierz plecak i uciekaj stąd!

Ren zaśmiał się cierpko. Obrócił się i biegł do tyłu, nie spuszczając ze mnie wzroku.

— Ha! Nie tak łatwo będzie ci się mnie pozbyć!

Wyprzedził mnie jeszcze trochę, po czym zmienił się w tygrysa i zaczął galopować ciężko prosto na mnie. W ostatniej chwili przeskoczył ponad moim rozpędzonym ciałem i wylądował w samym środku stada małp, spowalniając w ten sposób pościg.

Nie zatrzymując się, zawołałam:

— Hej! Uważaj, gdzie skaczesz, mój panie! Prawie mi urwałeś głowę!

Przebierałam nogami tak szybko, jak tylko mogłam. Za plecami słyszałam straszliwe odgłosy. Małpy wpadły w prawdziwą wściekłość. Ren gryzł, szarpał pazurami i ryczał przeraźliwie.

Spojrzałam przez ramię. Brązowe, szare i czarne małpy obsiadły go całego, czepiając się jego futra. Mnie zaś wciąż ścigało kilkanaście z nich, włącznie z wielkim, strasznym hulmanem z postumentu nad sadzawką.

Wypadłam zza rogu i wreszcie ujrzałam most. Jedna z małp skoczyła i uczepiła się mojej nogi, przez co trudniej mi się biegło. Usiłowałam ją strząsnąć, ale bez skutku.

— Głu-pi mał-pi-szon... złaż... ze mnie! — wrzasnęłam, na co małpa ugryzła mnie w kolano.

— Auuu! — Pędziłam dalej, mocniej potrząsając nogą i za każdym krokiem silnie tupiąc o ziemię, by możliwie jak najbardziej uprzykrzyć podróż pasażerowi na gąpe. W tym momencie Fanindra ożyła, a właściwie ożyła górna część jej ciała. Kobra zasyczała i napluła na małpę, która pisnęła i natychmiast puściła moją nogę.

— Dzięki, Fanindro. — Poglaskalam ją po głowie, a ona znów zastrygła na moim ramieniu.

Dotarłam do bramy, przebiegłam przez most i zatrzymałam się po drugiej stronie. Ren zbliżał się w podskokach, usiłując strząsnąć sobie małpy z grzbietu.

Dostrzegłam, że kilka małp pędzi w moją stronę. Zaczęłam kopać je szaleńczo, zrzuciłam plecak i wyciągnęłam *gada*.

Machałam maczugą jak kijem baseballowym. Z okropnym trzaskiem trafiałam jedną z małp, która, skowycząc, czmychnęła z powrotem do miasta. Problem polegał na tym, że udawało mi się trafić średnio raz na trzy próby. Jeden z małpiszonów wskoczył mi na plecy i zaczął ciągnąć za włosy. Kolejny przywarł do mojej nogi. Dalej wywijałam maczugą i w końcu udało mi się pozbyć prawie wszystkich.

Ren zbiegł po moście z mniej więcej tuzinem małp uczepionych jego futra. Dał susa między drzewa i zaczął obijać się o pnie, najpierw jednym bokiem, potem drugim. Ocierał się grzbietem o gałęzie, aż udało mu się pozbyć intruzów.

Kolczaste drzewa ożyły, pochwyciły nieczne istoty za nogi i ogony, i wciągnęły, piszczące przeraźliwie, w gęstwinę gałęzi. Małpy były zbyt drobne, by się wyswobodzić, i już wkrótce zniknęły w ciernistych koronach.

Ja tymczasem zamachnęłam się *gada* na szarego hulmana, ten jednak zręcznie unikał ciosów. Ryl dla mnie zbyt szybki. Wydając z siebie serię szczekliwych wrzasków, wykorzystywał każdą okazję, by dosięgnąć mnie długim ramieniem, a był wystarczająco silny, żeby uderzenia naprawdę bolaly. Czulałam, jakby mnie ktoś tłukł jak mięso

na obiad. Dodatkowo maleńka małpka siedząca mi na ramieniu tak mocno ciągnęła mnie za warkocz, że aż lzy napłynęły mi do oczu.

Uwolnwszy się od oblepiających go małp, Ren podbiegł, wyplątał palce małpki z moich włosów, oderwał ją ode mnie i z całej siły rzucił w kierunku bramy do miasta. Małpka odbiła się od ziemi, poturlała kawalek, a potem wstała, zasyczała i zniknęła. Ren odebrał mi *gada* i groźnie zamierzył się nim na hulmana. Małpiszon najwyraźniej zrozumiał, że nowy przeciwnik skuteczniej posługuje się bronią, ponieważ zaskrzeczał głośno i czmychnął z powrotem do miasta.

Dysząc, usiadłam na ziemi. Małpi gród pograżył się w złowieszczej ciszy, której nie mącił ani jeden odgłos.

Ren odwrócił się i spojrzał na mnie.

— Nic ci nie jest?

Machnęłam ręką lekceważąco. Księżę kucnął, dotknął mojego policzka, uważnie zmierzył mnie wzrokiem, a potem uśmiechnął się kpiąco.

— Tak przy okazji, miałaś na ramieniu pigmejkę. Mówię to na wypadek, gdybyś była ciekawa.

— Dzięki, panie Chodzący Leksykonie Małp — odparłam, rżąc.

Ren roześmiał się i wyciągnął z plecaka dwie butelki wody, po czym wręczył mi baton energetyczny.

— A ty nie jesz?

Księżę położył dłoń na sercu i szyderczym tonem oświadczył:

— Jak to, ja? Miałbym zajadać się batonami, podczas gdy dżungla pełna jest smakowitych małp? Nie, dzięki. Nie jestem głodny.

W milczeniu pogryzałam batonik. Sprawdziłam, czy złoty owoc nie doznał uszczerbku, ale nadal tkwił bezpiecznie zawinięty w pled.

— Właściwie to udało nam się przeżyć tę wyprawę niemal bez szwanku — zauważyłam między jednym kęsem a drugim.

Ren otworzył usta z niedowierzaniem.

— Bez szwanku? Kelsey, mam pogryzione całe plecy i mnóstwo innych miejsc, o których nawet nie chcę myśleć!

— Powiedziałam: niemal.

W odpowiedzi usłyszałam zaledwie prychnięcie.

Posiliwszy się, po chwili odpoczynku ruszyliśmy z powrotem kamienistą ścieżką biegnącą między drzewami a strumieniem. Ren jeszcze mocniej okładał maczugą mijane pnie. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, gdy obserwowałam jego gniewny chód i wysiłek zesztyniałych, obolalych mięśni.

Trudna sytuacja. Brakuje mi jego przyjaźni, nie wspominając o całej reszcie.

Już prawie byłam gotowa przeprosić, gdy zauważyłam, że *kappa* wynurzyły głowy z wody i bacznie nam się przyglądały.

— Ee, Ren? Mamy towarzystwo.

To, że je dostrześliśmy, zdawało się tylko zachęcać je do działania. Powoli wychylały się z wody i obserwowały każdy nasz ruch niezgłębionymi czarnymi ślepiami. Nie mogłam oderwać od nich wzroku. Ryły straszne. Wydzielaly woń gnijącego bagna, a gdy mrugały, ich powieki rozchodziły się na boki jak u krokodyli. Miały wilgotną, bładą, niemal przezroczystą skórę, pod którą widniały pulsujące czarne żyły. Przyspieszyłam kroku. Ren wsunął się pomiędzy strumień a mnie, ostrzegawczo unosząc *gada*.

— Spróbuj im się uklonić — zasugerowałam.

Oboje zaczęliśmy skłaniać głowy, ale *kappa* nie zwracały na to uwagi i coraz bardziej wynurzały się z wody. Prostowały się i zaczęły mechanicznie posuwać się do przodu, jakby obudzone z głębokiego snu. Woda sięgała im już do piersi, a one coraz bardziej zbliżały się do brzegu. Odwróciłam się i dygnęłam nisko, ale nadal bez rezultatu.

— Nie zatrzymuj się, Kelsey. Szybciej!

Oboje puściliśmy się biegiem. Wiedziałam, że kondycja nie pozwoli mi długo utrzymać takiego tempa, nawet mimo że Ren przejął ciężki plecak. Coraz więcej demonów wylaniało się z wody. Miały długie ramiona i blony między palcami. Jeden z nich uśmiechnął się do mnie, ukazując ostre, wyszczerbione zęby. Dreszcz przeszedł mi po kręgosłupie. Przyspieszyłam tempo. Teraz widziałam już stopy tych straszliwych stworzeń i z zaskoczeniem stwierdziłam, że wyglądają jak ludzkie. Wystające kręgosłupy sprawiały, że ich plecy przypominały rybnie grzbiety, a potężne, umięśnione nogi pokryte były śluzem. Długie ogony wyginały się jak u małp, ale zakończone były przezroczystą pletwą. *Kappa* wylazły z wody, kołysząc się złowieszczo w przód i w tył i z głośnym mlaszczącym odgłosem wyciągały stopy z gęstego mulu. Trzymały wyprostowane szyje, co nadawało im pokraczny wygląd: głowy tkwiły w bezruchu, podczas gdy reszta ciała chwiała się i potykała, jak u zombie. Były niewiele niższe od nas i poruszały się coraz szybciej, niezgrabnie przesuwając błoniaste stopy. Ich nabierające prędkości ciała wyglądały niesamowicie i strasznie w zestawieniu z nieruchomymi głowami.

— Szybciej, Kelsey, szybciej!

— Już szybciej nie mogę!

Horda bezwłosych, białych malp-wampirów była coraz bliżej.

— Biegnij, Kelsey! Spróbuję je zatrzymać! — krzyknął Ren.

Popędziłam przed siebie, ale zaraz zwolniłam i odwróciłam się, żeby sprawdzić, co się dzieje. Ren przystanął i znów spróbował uklonić się demonom, które znieruchomiały i przypatrywały mu się uważnie, ale wbrew opowieściom jego matki nie odklaniały się. Skrzela po bokach ich szyj otwierały się i zamykały, a potwory rozdziawiały paszcze i szczyrzyły ostre kły. Z ich pysków spływały lepkie czarne krople i wkrótce ich nieartykułowany belkot przeszedł w zatrzważający, przenikliwy pisk. Ruszyły nawałnicą w stronę Rena i już za chwilę otoczyły go ze wszystkich stron. Ren z całą mocą zamachnął się *gada* na najbliższego demona i zatopił broń głęboko w jego klatce piersiowej. Potwór bluznął z paszczy czarną mazią i runął na mulisty brzeg strumienia. Reszta nie zwróciła uwagi na poległego towarzysza. Zacieśniały tylko krąg. Ren uderzył maczugą jeszcze kilka razy i puścił się pędem w moją stronę. Zaczął machać rękami.

— Biegnij, Kelsey! Nie zatrzymuj się!

Udało nam się uciec demonom, ale poczułam, że szybko ogarnia mnie zmęczenie. Przystanęliśmy na chwilę, żeby złapać oddech.

— Złapią nas — wyrzęziłam z trudem. — Nie mogę dalej biec. Nie mam siły.

Ren dyszał równie ciężko.

— Wiem. Ale nie możemy się poddać.

Wziął kilka dużych łyków wody, podał mi resztę, złapał mnie za rękę i poprowadził w stronę drzew.

— Chodź. Mam pomysł.

— Ren, te drzewa są okropne. Jeśli tam wrócimy, one też będą próbowały nas zabić.

— Po prostu zaufaj mi, Kells.

Gdy wkroczyliśmy pomiędzy drzewa, kolczaste gałęzie natychmiast zaczęły wyciągać się w naszą stronę. Ren pociągnął mnie za sobą i puściliśmy się pędem. Nie sądziłam, że zdołam zrobić jeszcze choćby krok, ale jakimś cudem wytrzymałam tempo. Czułam ciernie drapiące mnie po plecach i rozrywające koszulkę.

Po kilku minutach Ren zatrzymał się, rozkazał, bym się nie ruszała, i zaczął lomotać maczugą w pobliskie pnie.

Dyszając, nachylił się w moją stronę.

— Usiądź. Odpocznij trochę. Spróbuję zwabić *kappa* pomiędzy drzewa. Mam nadzieję, że zadziała tak, jak zadziało z malpami.

Zmienił się w tygrysa, zostawił mi *gada* i plecak, po czym dał susa w falującą kolczastą gęstwinię. Nasłuchiwałam uważnie szelestu drzew, które usiłowały schwytać Rena. Później zapadła martwa cisza. Jedynym dźwiękiem, jaki dobiegał do moich uszu, był mój własny nierówny oddech. Usiadłam na omszałej ziemi, tak daleko od drzew, jak się tylko dało, i czekałam.

Wyteżyłam słuch, lecz nie dobiegał do mnie nawet świergot ptaków. W końcu położyłam się i oparłam głowę o plecak. Bolało mnie całe ciało, czułam pulsowanie umęczonych mięśni i pieczenie w miejscach podrapanych przez cierniste gałązki.

Musiałam zasnąć. Po chwili jakiś dźwięk obudził mnie jednak gwałtownie. Żółtawobiały kształt skoczył na mnie z korony drzewa. Zanim zdążyłam stanąć na nogi, stwór złapał mnie za ręce i poderwał do pozycji siedzącej. Nachylił się, a czarna lepka maź kapiała z jego pyska prosto na moją twarz.

Zaczęłam dziko wymachiwać rękami, ale demon był silniejszy. Jego ciało pokrywały rany, z których spływały mętne czarne krople. Zamrugał ciemnymi ślepiami, przypominającymi oczy kosmity, przyciągnął mnie do siebie, wyszczerzył zęby i zatopił je w mojej szyi. Zacharczał i zaczął wysysać mi krew. Desperacko kopałam nogami, usiłując wyswobodzić się z jego uchwytu, wrzeszczałam i młóciłam ramionami powietrze, ale szybko opadłam z sił. Po chwili nic już nie czułam. Zupełnie jakbym opuściła swoje ciało i obserwowała tę straszłą scenę, w której brał udział ktoś inny. Nadal słyszałam potwora, ale całe moje ciało ogarnął dziwny paraliż. Moje oczy zamglily się, a umysł odplynął w błogi niebyt.

Usłyszałam trzask, a po nim straszliwy, wściekły ryk. A potem ujrzałam nad sobą wojowniczego anioła. Był wspaniały! Poczulałam lekkie szarpnięcie i nagle ktoś uniósł przytłaczający mnie ciężar. Coś z głośnym plaśnięciem wylądowało na ziemi, a piękny mężczyzna ukląkł obok mnie. Przemawiał do mnie gorączkowo, ale ja nie rozumiałam, co mówi. Chciałam jakoś odpowiedzieć, ale język miałam całkiem sztywny.

Mężczyzna delikatnie odgarnął mi włosy z twarzy i musnął chłodnymi palcami mój policzek. Jego cudownie piękne oczy zaszkliły się i lśniąca jak diament kropla spadła na moje usta. Posmakowałam słonej lzy i przymknęłam powieki.

Kiedy je otworzyłam, uśmiechał się. Ciepło bijące z tego uśmiechu otuliło mnie swoją kojącą czułością. Wojownik ostrożnie uniósł mnie w ramionach. Zasnęłam.

Gdy odzyskałam przytomność, było już ciemno, a ja leżałam przy pomarańczowozielonkawym ognisku. Ren siedział niedaleko ze wzrokiem wbitym w płomienie, zalamany, wyczerpany i zrozpaczony. Musiał usłyszeć, że się poruszyłam, bo w okamgnieniu znalazł się przy mnie, uniósł moją głowę i podał mi wodę. W tym momencie poczułam palący ból w gardle, zupełnie jakbym połknęła ognisko, przy którym leżałam. Piekący ból rozprzestrzenił się po moim ciele, aż w końcu ogarnął mnie całą. Płonęłam od środka, płacząc ze straszliwego bólu.

Ren delikatnie ułożył moją głowę z powrotem na ziemi, ujął mnie za rękę i pogladził moje palce.

— Tak mi przykro. Nie powinienem był zostawiać cię samej. To powinno przydarzyć się mnie, a nie tobie. Nie zasłużyłaś na to. — Poglaskał mnie po policzku. — Nie wiem, co robić. Nie wiem, jak to naprawić. Nie mam nawet pojęcia, ile krwi straciłaś ani czy ugryzienie jest śmiertelne. — Pocałował moje palce i wyszeptał: — Nie mogę cię stracić, Kelsey. Nie pozwolę na to.

Oczy zamglily mi się z bólu. Zaczęłam się wić. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam takiego cierpienia. Ren zwilżył mi twarz chłodną, mokną szmatką, ale nic nie było w stanie powstrzymać palącego bólu w moich żyłach. Był nie do wytrzymania. Po chwili uświadomiłam sobie, że nie tylko ja się wije.

Fanindra opuściła moje ramię i ułożyła się w spiralę obok kolana Rena. Nie winiłam jej za to, że pragnie znaleźć się jak najdalej ode mnie. Kobra uniosła głowę i rozpostarła kaptur. Szeroko otworzyła paszczę i... zaatakowała! Ukąsiła mnie w szyję, zatapiając kły głęboko w moim poszarpanym ciele, i zaczęła pompować we mnie swój własny jad. Po chwili odchyliła się, a potem ugryzła mnie jeszcze kilka razy. Jęknęłam i złapałam się za szyję, a kiedy cofnęłam rękę, jej powierzchnię pokrywała cieknąca ropa oraz złoty płyn, który wypływał ze śladów kłów. Patrzyłam, jak zlocista kropla kapie z mojego palca i z parującym sykiem spotyka się z ropą na dłoni. Poczułam, jak jad Fanindry rozprzestrzenia się po moim ciele lodowatym strumieniem, aż w końcu dotarł do serca.

Wiedziałam, że umieram. Nie winiłam Fanindry. W końcu była wężem. Pewnie nie chciała już dłużej przyglądać się, jak cierpię.

Ren znów przytknął mi do ust butelkę z wodą. Zaczęłam lykać z wdzięcznością. Fanindra znieruchomiała, zwinąwszy się w spiralę u jego boku. Ren delikatnie przemył mi rany, usuwając co do kropki wydobywającą się z nich syczącą i parującą ciecz.

Przynajmniej już nie bolało. Cokolwiek zrobiła Fanindra, podzia-
łało zniczulająco. Wiedziałam, że powinnam się pożegnać. Pragnę-
łam wyznać Renowi prawdę: że był najlepszym przyjacielem, jakie-
mu miałam w życiu, i żałuję, że tak źle go traktowałam. Pragnęłam
mu powiedzieć... że go kocham. Ale nie byłam w stanie wydobyć
z siebie dźwięku. Miałam zaciśnięte gardło, które spuchło pewnie
od jadu. Jedyne, co mogłam zrobić, to przyglądać się, jak Ren kłę-
czy obok mnie.

Nic nie szkodzi. Wystarczy, że mogę patrzeć w jego piękną twarz.
Umrę szczęśliwa.

Ogarnęło mnie przemożne zmęczenie. Powieki zbyt mocno cią-
żyły, bym mogła utrzymać je otwarte. Zamknęłam oczy w oczekiwa-
niu na nadejście śmierci. Ren odgarnął z ziemi gałązki oraz kamyki
i usiadł obok mnie. Wziął mnie w objęcia i przytulił do piersi.

Tak jest nawet lepiej. Nie mogę otworzyć oczu, żeby jeszcze raz
go ujrzeć, ale czuję wokół siebie jego ramiona. Mój wojowniczy anioł
zanieś mnie do nieba.

Przycisnął mnie mocniej i szepnął mi do ucha coś, czego nie
rozumiałam. A potem zapadła ciemność.



Ostre światło zmusiło mnie, bym z bólem uniosła powieki. Wciąż
piekło mnie w gardle, a język miałam sztywny i pokryty jakimś
osadem.

— Jestem zbyt obolała, żeby to było niebo. A więc poszłam do
piekła.

Irytująco rozradowany głos pouczył mnie:

— Nie, Kelsey. Nie poszłaś do piekła.

Spróbowałam się poruszyć, ale obite, skurczone mięśnie odmó-
wiły posłuszeństwa.

— Czuję się, jakbym przegrała walkę bokserską.

— Zrobiłaś o wiele więcej. Chodź.

Ren ukucnął przy mnie i ostrożnie pomógł mi usiąść. Obejrzał
dokładnie moją twarz, szyję i ramiona, a potem usiadł z tyłu, tak że-
bym mogła się o niego oprzeć, i uniósł do moich ust butelkę z wodą.

— Pij — rozkazał. Trzymał butelkę i powoli ją przechylał, ale nie
nadażyłam z lykaniem i część wody spłynęła mi z osłabionych ust
na brodę i dekolt.

— Dzięki, teraz mam mokry podkoszulek.

Choć siedział za mną, poczułam, że się uśmiecha.

— Być może właśnie o to mi chodziło.

Prychnęłam. Dotknęłam policzka i ramienia. Czulałam mrowienie na skórze, która równocześnie sprawiała wrażenie zdrętwiałej.

— Czuję się, jakby ktoś naszpikował mnie środkami przeciwbólowymi, które właśnie przestają działać. Daj mi już tę butelkę, dam radę unieść ją sama.

Ren oddał mi butelkę i oplótł mnie rękami w tali, mocniej przyciągając do siebie. Musnął policzkiem mój policzek i wyszeptał:

— Jak się czujesz?

— Żyję. Choć nie pogardziłabym aspiryną.

Roześmiał się cicho i wyciągnął tabletki z plecaka.

— Proszę — powiedział, wręczając mi dwie aspiryny. — Jesteśmy niedaleko wejścia do jaskini. Czekają nas jeszcze przeprawy przez las i tunele, a potem musimy się wspiąć z powrotem do Hampi.

— Jak długo byłam nieprzytomna? — spytałam cicho.

— Dwa dni.

— Dwa dni! Co się stało? Pamiętam tylko, że Fanindra ugryzła mnie i umarłam.

— Nie umarłaś. Ukąsił cię *kappa*. Znalazłem cię w ostatniej chwili. Najwyraźniej wytropił cię tam. *Kappa* to paskudne stworzy. Ciesz się, że z większością uporały się drzewa.

— Ten, który mnie znalazł, był cały podrapany i zakrwawiony, ale najwyraźniej nic sobie z tego nie robił.

— Tak, większość z tych, które **mnie** ścigały, została rozszarpana na strzępy. Nie cofały się przed niczym.

— Czy już za nami nie idą?

— Przestały mnie gonić, kiedy zbliżyliśmy się do jaskini. Chyba się jej boją.

— Nie dziwię im się. Czy... czy niosłeś mnie całą drogę? Jak poradziłeś sobie z drzewami, skoro cały czas musiałeś mnie trzymać?

Ren westchnął.

— Zrzuciłem cię na ramię i tak przebijalem się przez las. Gdy już go minęliśmy, schowałem *gada* do plecaka i przyniosłem cię tu na rękach.

Upiłam duży łyk wody i usłyszałam kolejne westchnienie Rena.

— Wiele przeżyłem przez te wszystkie lata — powiedział cicho. — Brałem udział w krwawych bitwach. Ginęli moi przyjaciele. Widziałem straszne rzeczy czynione ludziom i zwierzętom, ale nigdy się nie bałem. Przeżywałem kłopoty, zmartwienia i niepokój. Bywałem

w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ale nigdy nie doświadczyłem takiego przerażenia, które sprawia, że człowieka oblewa zimny pot, przerażenia, które zżera żywcem, rzuca na kolana i nakazuje błagać o litość. Przeciwnie, zawsze szczyliłem się tym, że podobne uczucia są mi całkowicie obce, że jestem ponad to. Zdawało mi się, że tyle w życiu widziałem i tyle przecierpiałem, że nic nie będzie w stanie mnie przerazić. — Delikatnie pocałował mnie w szyję. — Myliłem się. Kiedy cię znalazłem i zobaczyłem... to coś, co chciało cię zabić, wpadłem w furję. Zniszczyłem potwora bez chwili wahania.

— *Kappa* były przerażające.

— Ale ja nie bałem się *kappa*. Bałem się... że cię stracę. Ogarnął mnie niekontrolowany, skręcający wnętrzości, wyniszczający strach. Był nie do zniesienia. A największa udręka dopadła mnie, gdy sobie uświadomiłem, że bez ciebie nie mam ochoty dalej żyć, a równocześnie nic nie mogę z tym zrobić i już na całą wieczność skazany będę na ponurą, pełną cierpienia, samotną egzystencję.

Jego słowa przeszły mi na wyłot i wiedziałam, że gdybyśmy zamienili się miejscami, ja czułabym to samo. Wmówiłam sobie jednak, że te deklaracje są jedynie wynikiem stresu i napięcia. Wiotki pęd miłości kielkujący w moim sercu zachłannie spiął jego słowa jak krople porannej rosy. Ale ja skarciłam głupie serce, twardo postanawiając nie dać się uczuciu.

— Wszystko już dobrze. Jestem tu. Nie musisz się bać. Mogę dalej pomagać ci w złamaniu zaklęcia — odparłam, starając się opanować drżenie głosu.

Ben ścisnął mnie w pasie i wyszeptał cicho:

— Złamanie zaklęcia nie miało już dla mnie znaczenia. Myślałem, że umierasz.

Przelknęłam ślinę, starając się nadać swojemu głosowi beztroski, żartobliwy ton:

— Ale nie umarłam. Widzisz? Przeżyłam i dalej mogę się z tobą kłócić, aż pożałujesz, że wszystko nie potoczyło się inaczej.

Ren zeszytniał.

— Nigdy więcej tak nie mów, Kells.

Po chwili wahania powiedziałam:

— W każdym razie dziękuję ci. Dziękuję za uratowanie mi życia.

Ren przyciągnął mnie bliżej do siebie, a ja pozwoliłam sobie przez minutkę, tylko minutkę, wtulić się w niego i cieszyć się jego bliskością. W końcu ledwo uszłam z życiem. Coś mi się za to należy, prawda?

Minuta jednak szybko minęła, a ja wyśliznęłam się z jego objęć. Puścił mnie niechętnie. Odwróciłam się przodem do niego, z niepewnym uśmiechem. Spróbowałam wstać. Nogi miałam już chyba na tyle silne, żeby utrzymać swój ciężar.

Kiedy myślałam, że umieram, chciałam powiedzieć Renowi, że go kocham. Teraz jednak, gdy już wiedziałam, że przeżyłam, była to ostatnia rzecz na liście moich pragnień. Wróciło mocne postanowienie, by trzymać go na dystans, choć pokusa zatonięcia w jego ramionach była silna, bardzo silna. Odwróciłam się do niego plecami, wyprostowałam się i podniosłam plecak.

— Chodź, tygrysie. Ruszajmy. Czuję się zdrowa jak koń — skłamałam.

— Naprawdę uważam, że powinnaś jeszcze odpocząć, Kells.

— Nie. Wystarczy, że spałam przez dwa dni. Jestem gotowa do drogi.

— Przynajmniej coś zjedz.

— Jeśli podasz mi batonik energetyczny, zjem go po drodze.

— Ale Kells...

Nasze oczy na chwilę się spotkały.

— Chcę stąd jak najszybciej zniknąć — powiedziałam.

Zaczęłam zbierać rzeczy. Ren siedział bez ruchu i bacznie mi się przyglądał, a jego intensywne spojrzenie wypalało mi dziurę w plecach. Rzeczywiście pragnęłam jak najszybciej się stamtąd wynieść. Ale im więcej czasu z nim spędzałam, tym bardziej moje postanowienie słabło. Doszło do tego, że byłam gotowa poprosić go, by został tam ze mną już na zawsze i zamieszkał razem z *kappa* wśród kolczastych drzew. Wiedziałam, że jeśli szybko nie zmieni się w tygrysa, będę stracona na zawsze.

W końcu usłyszałam jego smutny głos:

— Jasne. Jak sobie życzysz, Kelsey.

Ren wstał, przeciągnął się i zgasił ognisko. Podeszłam do Fanindry, która przybrała formę bransolety, i popatrzyłam na nią.

— Ocaliła ci życie — wyjaśnił Ren. — Jej ukąszenie cię wyleczyło.

Dotknęłam szyi w miejscu, gdzie ugryzł mnie *kappa*. Skóra była gładka, bez śladu blizny. Kucnęłam obok węża.

— Znowu mnie uratowałaś, Fanindro. Dziękuję.

Włożyłam ją na ramię, złapałam plecak i zrobiłam kilka kroków do przodu. Obróciłam się.

— Idziesz, supermanie?

— Już.

Wkroczyliśmy do ciemnej pieczary. Ren wyciągnął do mnie rękę. Zignorowałam go i weszłam w głąb tunelu. Książę powstrzymał mnie i jeszcze raz wyciągnął dłoń, wpatrując się w nią znacząco. Westchnęłam i chwyciłam go za końce palców. Uśmiechnęłam się wymijająco, znów zbyt wyraźnie próbując ograniczyć do minimum fizyczny kontakt między nami. Ren stęknął, znicierpliwiony i rozgniewany, po czym chwycił mnie za łokieć, przyciągnął do siebie gwałtownie i objął ramieniem.

Szybko przemierzaliśmy tunele. Widma niezliczonych Renów i Kelsey jęczały i przyzywały nas do siebie jeszcze agresywniej niż za pierwszym razem. Zamknęłam oczy i pozwoliłam Renowi się poprowadzić. Gdy je otworzyłam, wydałam z siebie stłumiony okrzyk, gdyż dostrzegłam, że postacie podeszły bliżej i usiłowały dotknąć nas swoimi upiornymi dłońmi.

— Nie zmaterializują się, jeśli nie będziemy zwracać na nie uwagi — szepnął Ren.

Spieszyliśmy się tak, jak to tylko było możliwe. Złowieszcze postacie i znajome kształty nawoływały coraz głośniejszym głosem. Byli wśród nich pan Kadam, moi rodzice, Mike i Sara, a nawet pan Maurizio. Wszyscy krzyczeli, błagali, rozkazywali lub mamilili.

Udało nam się przebrnąć przez tunel o wiele szybciej niż za pierwszym razem. Gdy wyloniliśmy się na zewnątrz, Ben wciąż trzymał moją rękę w swoim ciepłym uścisku. Poruszyłam ją lekko, usiłując się wyswobodzić tak delikatnie, jak się tylko dało. Spojrzał na mnie, a potem na nasze splecione dłonie. Uniósł brew i uśmiechnął się złośliwie. Pociągnęłam mocniej, ale on tylko zacisnął palce. Doszło do tego, że musiałam mu swoją dłoń po prostu wyrwać.

A chciałam być taktowna.

Ben uśmiechnął się znacząco, a ja rzuciłam mu gniewne spojrzenie.

Znów weszliśmy w głąb kolczastego lasu. Ben śmiało ruszył między drzewa. Uderzając maczugą, powoli posuwał się do przodu i wytoczył dla mnie ścieżkę. Gałęzie bezlitośnie szarpały jego ciało i darły na strzępy koszulę. Zrzucił ją, a ja uświadomiłam sobie, że zafascynowana obserwuję poruszające się mięśnie na jego ramionach i plecach, a także krwawe zadrapania, które goiły się na moich oczach. Wkrótce był tak mokry od potu, że nie mogłam dalej na to patrzeć. Podążyłam za nim w milczeniu, ze wzrokiem wbitym we własne stopy.

Na szczęście udało nam się przebrnąć przez las bez dalszych przygód. Wspięliśmy się na skały wiodące w stronę Hampi. Weszliśmy

do tunelu. Ren kilka razy wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymywał. Byłam ciekawa, o co mu chodzi, jednak nie na tyle, by zaczynać rozmowę na ten temat. Wyciągnęłam latarkę i zaczęłam tak stawiać kroki, by wydłużyć dystans między nami, przez co skończyłam pod przeciwległą ścianą pieczary. Ren zerknął na mnie, ale pozwolił mi trzymać się na odległość. W końcu jednak tunel zwęził się na tyle, że znów szliśmy ramie w ramie. Za każdym razem, gdy na niego zerkalam, spostrzegałam, że mi się przygląda.

Gdy wreszcie doszliśmy do końca tunelu i ujrzałam kamienne stopnie wiodące na powierzchnię, Ren się zatrzymał.

— Kelsey, zanim wyjdziemy, mam do ciebie ostatnią prośbę.

— Co takiego? Może chcesz porozmawiać o tygrysim węchu albo małych ugryzieniach w różnych dziwnych miejscach?

— Nie. Chcę, żebyś mnie pocałowała.

— Co!? — wybuchłam. — Mam cię pocałować? Niby za co? Nie sądzisz, że dość się mnie nacałowałeś w czasie tej wyprawy?

— Zrób mi przyjemność, Kelsey. Co ci szkodzi. Dla mnie to w pewnym sensie koniec. Opuszczamy miejsce, w którym mogłem być człowiekiem, i teraz czeka mnie już tylko żywot tygrysa. W związku z tym owszem, marzę o jeszcze jednym pocałunku.

Zawahałam się.

— Cóż, jeśli to, co robimy, zadziała, już niedługo będziesz sobie mógł całować dziewczyny na lewo i prawo. Czemu więc zależy ci na mnie?

Sfrustrowany, przeczesał palcami włosy.

— Bo tak! Nie chcę całować żadnych dziewczyn na lewo i prawo! Chcę pocałować ciebie!

— Dobra! Jeśli to ma sprawić, że wreszcie się zamkniesz! — Nachyliłam się i cmoknęłam go w policzek. — Proszę bardzo!

— Nie. To mi nie wystarczy. W usta, moja *prema*.

Cmoknęłam go w usta.

— Wedle życzenia. Możemy już iść?

Tupiąc głośno, zrobiłam dwa kroki do przodu, ale on chwycił mnie pod łokieć i obrócił tak gwałtownie, że straciłam równowagę i wpadłam mu w ramiona. Mocno złapał mnie w tali. Nagle pyszałkowaty uśmiech zniknął z jego twarzy. Ren spoważniał.

— Jeden pocałunek. Prawdziwy. Taki, który zapamiętam.

Już miałam odpowiedzieć coś wspaniale sarkastycznego, na przykład, że nie pamiętam, bym udzielała mu pozwolenia, kiedy nagle

przycisnął usta do moich ust. Bardzo chciałam pozostać niewzruszona, ale on był niezwykle cierpliwy. Składał miękkie, powolne pocałunki w kącikach moich ust i na zaciśniętych wargach. Bardzo trudno było nie reagować. Walczyłam dzielnie, ale ciało sprzeniewierza się czasem umysłowi. Powoli i konsekwentnie Ren złamał mój opór. Kiedy poczuł, że wygrywa, tylko wzmógł wysiłki. Przycisnął mnie do siebie i zaczął delikatnie masować mi kark, muskając go nęcąco koniuszkami palców.

Poczułam, jak kielkujący we mnie załążek uczucia pęcznieje i wyciąga listki, jakby go ktoś podlał miłosnym eliksirem.

W tym momencie dałam za wygraną. Wytłumaczyłam się sama przed sobą tym, że jeśli Ren złamie mi serce, pozostanie mi przynajmniej ten pocałunek. Będę miała co wspominać jako stara panna, otoczona stadem kotów. Albo psów, bo podejrzewam, że koty będą mi się źle kojarzyć. Jęknęłam cicho. O tak. Stawiam na psy.

Otworzyłam się na pocałunek i odwzajemniłam go z entuzjazmem. Włożyłam w niego wszystkie ukrywane wcześniej emocje. Owinęłam ramiona wokół szyi Rena i wsunęłam dłonie w jego włosy. Przyciągnęłam go mocno do siebie i objęłam pełnią ciepła i uczucia, których nie ośmielilibym się wyrazić słowami.

Na chwilę znieruchomiał, osłupiał, ale szybko odzyskał wigor. Zdziwiłam sama siebie, dorównując mu entuzjazmem. Przesunęłam rękami po jego silnych ramionach i w dół klatki piersiowej. Moje zmysły ogarnęła nawałnica. Czułam się dzika. Opanowało mnie pragnienie. Złapałam się kurczowo jego koszuli, jakbym chciała jeszcze bardziej się do niego zbliżyć. Nawet pachniał cudownie. Można by pomyśleć, że po kilku dniach bycia ściganym przez różne stwory i wędrowki po tajemniczym królestwie nie powinien ładnie pachnieć. Chciałam, żeby pachniał tak źle jak ja. Nie można przecież oczekiwać, że po długim marszu przez dżunglę i ucieczce przed małpami będę świeża jak stokrotka. Rozpaczliwie pragnęłam, żeby się okazało, że i on ma jakąś wadę, jakąś słabość, że jest niedoskonały. Ale Ren pachniał przepięknie — jak wodospad, ciepły letni dzień i drzewo sandalowe.

Jak odeprzeć perfekcyjnie zaplanowany atak tak idealnego faceta? Poddalam się i pozwoliłam mu przejąć kontrolę nad moimi zmysłami.

Krew paliła mnie w żyłach, serce dudniło, pożądanie rosło. Całkowicie zatraciłam się w jego ramionach. Nagle stał się dla mnie całym światem — jego ciało, jego dusza. Nie pragnęłam niczego innego.

W końcu położył mi ręce na ramionach i delikatnie mnie odsunął. Zaskoczyło mnie, że ma na tyle siły woli, żeby przerwać pocałunek, ponieważ mnie z pewnością nie byłoby na to stać. Zamrugalam, oszołomiona. Oboje dyszeliliśmy ciężko.

— To było... kształcące — wyszeptał Ren. — Dziękuję ci, Kelsey.

Zamrugalam z niedowierzaniem. Namiętność, która przyćmiewała mój umysł, natychmiast wyparowała i zastąpiło ją inne, bardzo wyraźne uczucie: irytacja.

— Dziękuję? Co to ma znaczyć!? No po prostu... — Głośno tupiąc, ruszyłam po schodach, a po kilku stopniach odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam na niego z góry. — Nie! To ja ci dziękuję! Masz, czego chciałeś, a teraz zostaw mnie w spokoju! — Biegiem puściłam się w górę, żeby jak najszybciej zwiększyć odległość między nami.

To było kształcące? O co mu chodzi? Czyżby mnie testował? Oceniał moje umiejętności w skali od jednego do dziesięciu? Co za tupet!

Cieszyłam się, że ogarnął mnie gniew. Dzięki temu mogłam odepchnąć od siebie wszystkie inne emocje.

Ren ruszył po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

— To nie jedyne, czego chciałem, Kelsey. Możesz być tego pewna — powiedział, znalazłszy się przy mnie.

— Cóż, w ogóle mnie to już nie obchodzi!

Ren rzucił mi znaczące spojrzenie i uniósł brew, a potem zrobił krok na zewnątrz i gdy tylko jego stopa stanęła na ziemi, zmieniła się w tygrysią łapę.

— Ha! — Potknęłam się o kamień, ale szybko odzyskałam równowagę. — Dobrze ci tak! — zawołałam gniewnie i ruszyłam na oślep przez pogrążoną w ciemnościach ścieżkę.

Gdy już zorientowałam się, w którą stronę powinnam iść, gwałtownie ruszyłam przed siebie.

— Chodź, Fanindro. Poszukamy pana Kadama.

SZEŚĆ GODZIN



Był wczesny świt. Słońce wyglądało zza horyzontu. Pędem mi-
nęłam zabudowania Hampi, pozwalając, by gniew niósł mnie przez
prawie pół drogi między posągiem Ugry Narasiny a obozowiskiem
pana Kadama. Ren cicho podążał za mną. Nie słyszałam go, ale wie-
działam, że tam jest. Dotkliwie odczuwałam jego obecność. Jakby
istniała między nami jakaś niewidzialna więź. Miałam wrażenie, że
idzie obok mnie. Prawie jakby mnie dotykał.

W pewnej chwili skręciłam w złą stronę. Ren wyprzedził mnie
i próbował sklonić, bym wróciła na właściwą ścieżkę.

— Nie popisuj się — mruknęłam. — Będę szła, któredy mi się spo-
doba. — A mimo to ruszyłam za nim.

W końcu dotarłam do samochodu zaparkowanego na wzgórzu
i zobaczyłam machającego do nas pana Kadama.

Zbliżyłam się do obozowiska. Mój przyjaciel uściskał mnie i za-
krzyknął:

— Panno Kelsey! Wróciła pani. Proszę mi o wszystkim opowie-
dzieć.

Westchnęłam, zdjęłam plecak i przysiadłam na tylnym zderzaku
jeepa.

— Cóż, ostatnich kilka dni było jednymi z najgorszych w moim ży-
ciu. Małpy, *kappa*, gnijące trupy, ukąszenie węża, kolczaste drzewa..

Pan Kadam przerwał mi, podnosząc do góry rękę.

— Jak to: „kilka dni”? Przecież rozstaliśmy się wczoraj wieczorem.
Zdezorientowana, odparłam:

— Ależ nie. Nie było nas co najmniej... — policzyłam na palcach — ... co najmniej cztery albo i pięć dni.

— Proszę mi wybaczyć, panno Kelsey, ale pani i Ren wyruszyliście wczoraj wieczorem. Gdy panią przed chwilą ujrzałem, miałem zamiar powiedzieć, że powinniście się przespać i jutro spróbować jeszcze raz. Naprawdę wasza wyprawa trwała prawie tydzień?

— Hmm, z tego dwa dni przespałam. A przynajmniej tak twierdzi ten tam. — Rzuciłam Renowi gniewne spojrzenie, on jednak popatrzył na mnie wzrokiem niewiniątka i dalej przysłuchiwał się rozmowie.

Ren wydawał się uroczy, troskliwy i nieszkodliwy jak kocie. W rzeczywistości był mniej więcej tak samo niegroźny jak *kappa*. Ja, z drugiej strony, upodobniłam się do jeżozwierza. Wystawiłam kolce, żeby bronić miękkiego podbrzusza przed zainteresowaniem drapieżnika.

— Dwa dni? A niech mnie... No dobrze, jedźmy do hotelu i odpocznijmy. Jutro możemy wrócić i jeszcze raz spróbować zdobyć owoc.

— Ale proszę pana — przerwałam mu, odpinając plecak — nie musimy wracać. Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. — Wyciągnęłam z plecaka pled i odwinęłam z niego owoc.

Pan Kadam delikatnie wziął go do ręki.

— Niesamowite! — wykrzyknął.

— To mango — wyjaśniłam, uśmiechając się pod nosem. — Proszę zauważyć, że owoce mango są niezwykle istotnym elementem indyjskiej kultury oraz ważnym towarem eksportowym.

Leżący na trawie Ren prychnął i przeturlał się na bok.

— Rzeczywiście, panno Kelsey, ma pani rację. — Pan Kadam jeszcze przez chwilę podziwiał owoc, a potem ostrożnie owinął go z powrotem w pled i klasnął w dłoń.

— To szalenie ekscytujące! Zwińmy obozowisko i wracajmy do domu. Chyba że wolałaby pani wypocząć. Jeśli tak, udamy się do hotelu.

— Och, nie trzeba, możemy ruszać w drogę i dopiero wieczorem znaleźć jakiś hotel. Ile dni zajmie nam droga powrotna?

— Będziemy musieli dwa razy zatrzymać się gdzieś na noc.

Zaalarmowana, zerknęłam na Bena.

— Rozumiem. Hmm, jeśli nie ma pan nic przeciwko, to tym razem chętnie przenocowałabym w jakimś większym hotelu. Wie pan, między ludźmi. W miejscu, gdzie są windy i pokoje zamyka się na

klucz. Albo jeszcze lepiej w jakimś przyjemnym wieżowcu w dużym mieście. Jak najdalej od dżungli.

Pan Kadam parsknął śmiechem.

— Zobaczą, co da się zrobić.

Posłałam mu rozanielony uśmiech.

— Świetnie! Czy możemy już jechać? Muszę jak najszybciej wziąć prysznic. — Otworzyłam drzwi jeeпа i cicho syknęłam w stronę Rena: — W moim wygodnym, niedostępnym dla tygrysów hotelowym pokoju na piętrze.

On jednak znów spojrział na mnie niewinnie błękitnymi oczyma. Uśmiechnęłam się do niego złośliwie i wsiałam do samochodu, głośno zatrzaskując za sobą drzwi. Tygrys zaś spokojnie podreptał na tył auta, gdzie pan Kadam ładował resztę rzeczy, i wskoczył do środka, a potem, zanim zdążyłam go powstrzymać, nagle wychylił się do przodu i swoim wielkim, mokrym jęzorem poliział mnie prosto w twarz.

— Ren! — warknęłam. — To obrzydliwe!

Wytarłam tygrysią ślinę z nosa i policzka kawałkiem podkoszulka. Ren nic nie robił sobie z moich wrzasków. Leżał z tyłu z otwartym pyskiem, całkiem jakby się śmiał. Zresztą już wkrótce umilkłam, bo pan Kadam, którego jeszcze nigdy nie widziałam tak szczęśliwego, zajął miejsce za kierownicą i ruszyliśmy wyboistą ścieżką w stronę jezdnii.

Pan Kadam wyraźnie aż pękał z ochoty wypytania mnie o wszystko, ale ja wciąż gotowałam się z wściekłości, skłamałam więc, że bardzo chce mi się spać. Na poparcie tego stwierdzenia ziewnęłam szeroko, a pan Kadam natychmiast zgodził się zostawić mnie w spokoju, co wywołało u mnie wyrzuty sumienia. Naprawdę go lubiłam, a poza tym nienawidziłam kłamać. Bez trudu wytłumaczyłam się jednak sama przed sobą, winiąc w myślach Rena za moje niecodzienne zachowanie. Ułożyłam się na boku i zamknęłam oczy.

Gdy się obudziłam, pan Kadam wręczył mi napój gazowany, kanapkę i banana. Na widok tego ostatniego uniosłam brwi i natychmiast przyszło mi do głowy kilka niezłych dowcipów o małpach, którymi mogłabym zdenerwować Rena, powstrzymałam się jednak ze względu na pana Kadama. Zamiast tego wgrzyzłam się w kanapkę, a potem duszkiem wypilałam napój.

Pan Kadam roześmiał się i wręczył mi kolejną puszkę.

— Czy opowie mi pani teraz, co się wydarzyło?

— Oczywiście.

Opowieść o tunelu pod wzgórzami, kolczastym lesie, jaskini, *kappa* i Kiszkindzie zajęła mi prawie dwie godziny. Szczegółowo opisałam złote drzewo i historię o tym, jak ożyły kamienne małpy. Opowiedziałam też o ataku *kappa* i o tym, jak ugryzła mnie Fanindra. Nie wspominałam natomiast o tym, że Ren towarzyszył mi przez całą podróż jako człowiek, a wręcz znacznie umniejszałam jego rolę w całej tej przygodzie. Gdy pan Kadam pytał, jak dokonałam tego czy owego, udzielałam mu jakiejś niejasnej odpowiedzi albo stwierdzałam: „na szczęście miałam Fanindrę”, lub: „na szczęście miałam *gada*”. Mojego rozmówcę najwyraźniej zadowalały takie wyjaśnienia.

Kiedy poprosił, żebym dokładniej opowiedziała mu o ataku *kappa*, wzruszyłam tylko ramionami i powtórzyłam swoją mantrę:

— Na szczęście towarzyszyła mi Fanindra.

Nie miałam ochoty odpowiadać na żadne dziwne pytania dotyczące Rena. Wiedziałam, że kiedy zmieni się w człowieka, zapewne przedstawi panu Kadamowi swoją wersję wydarzeń, ale nie obchodziło mnie to. Opowiadałam wyłącznie o faktach, bez emocji i, co ważniejsze, bez wspomniania o Renie.

Pan Kadam poinformował mnie, że wkrótce dojedziemy do hotelu, ale najpierw musimy znaleźć dobre miejsce dla tygrysa.

— Jasne — mruknęłam i uśmiechnęłam się do przysłuchującego się nam zwierzą z odpychającą, sztuczną słodyczą.

Pan Kadam był wyraźnie zatroskany.

— Mam nadzieję, że nasz hotel nie będzie dla niego za daleko.

Krzepiąco poklepałam go po ramieniu.

— Proszę się nie martwić. On bardzo dobrze potrafi dążyć do celu. To znaczy... umie zadbać o siebie. Jestem pewna, że uzna długą, samotną noc w dżungli za niezwykle... kształcącą.

Pan Kadam spojrział na mnie nierozumiejącym wyrokiem, ale w końcu kiwnął głową i zatrzymał samochód na skraju lasu.

Ren wyskoczył na zewnątrz, podszedł do drzwi z mojej strony i wlepił we mnie lodowate spojrzenie błękitnych oczu. Odwróciłam się, żeby na niego nie patrzeć. Kiedy pan Kadam usiadł z powrotem na swoim miejscu, znowu wyjrzałam na zewnątrz, ale Ren już zniknął w dżungli. Powtórzyłam sobie w myślach, że dobrze mu tak, i rozsiadłam się z założonymi ramionami oraz stanowczym wyrazem twarzy.

Pan Kadam odezwał się cicho:

— Kelsey, nic pani nie jest? Wygląda pani na bardzo... spiętą.

— Nawet pan nie ma pojęcia — wymamrotałam pod nosem.

— Słucham?

Westchnęłam i uśmiechnęłam się słabo.

— Nie, nic. Wszystko w porządku, proszę pana, po prostu jestem zmęczona podróżą.

— Jeszcze o coś chciałbym panią zapytać. Czy podczas pobytu w Kiszkindzie miała pani jakieś dziwne sny?

— Co ma pan na myśli?

Zerknął na mnie z obawą.

— Być może śniła pani o swoim amulecie?

— Och, zupełnie zapomniałam! Kiedy zerwałam owoc z drzewa, zemdlalam i miałam wizję. Byliśmy w niej pan, ja i jakiś okropny człowiek.

Pan Kadam wyraźnie się zaniepokoił. Odchrząknął i powiedział:

— Pani wizja była prawdziwa. Tego się właśnie obawiałem. Mężczyzna, którego pani widziała, to Lokesh. Ten sam czarnoksiężnik, który rzucił klątwę na Rena i Kishana.

Otworzyłam usta, wstrząśnięta.

— To on wciąż żyje?

— Na to wygląda. Poza tym wiemy już, że jest w posiadaniu przynajmniej jednej części amuletu. Przypuszczam jednak, że prawdopodobnie posiada je wszystkie, poza naszymi dwiema.

— Ile części jest w sumie?

— Podobno pięć, ale nikt tego nie wie na pewno. Jedną miał ojciec Rena, a drugą wniosła do rodziny matka, jedyna córka potężnego wojownika. Rodzice przekazali je potem Renowi i Kishanowi.

— Ale co to wszystko ma wspólnego ze mną?

— Tak po prostu jest, panno Kelsey. Pomaga pani Renowi zdjąć klątwę. Amulet sprawia, że jest pani z nami związana, i obawiam się, że Lokesh już o tym wie. Miałem nadzieję, że coś mu się stało, że już nie żyje. Szukałem go setki lat. A teraz **wiem**, że nas widział. Martwię się, że zacznie panią ścigać, by zdobyć amulet.

— Naprawdę myśli pan, że jest taki bezlitosny?

— Nie myślę, lecz wiem. — Pan Kadam zamilkł na chwilę, po czym dodał cicho: — Być może nadszedł czas, żeby wróciła pani do domu.

— Co? — spanikowałam. Mam wrócić do domu? Do czego? Do *kogo*? Wiedziałam, że w Stanach nikt ani nic na mnie nie czeka. Przez cały ten czas w ogóle nie myślałam o tym, co się stanie, jeśli uda nam się złamać zaklęcie. Chyba wyszłam z założenia, że aby tego dokonać, będę musiała spędzić tu kilka lat.

Rozczarowana i przestraszona, spytałam:

— Naprawdę pan chce, żebym wróciła do domu?

Pan Kadam dostrzegł mój wyraz twarzy i poklepał mnie po ręce.

— Ależ skąd! Wcale nie chcę, żeby nas pani opuszczała. Proszę się nie martwić. Coś poradzimy. Na razie po prostu głośno myślę. Nie mam zamiaru w najbliższym czasie odsyłać pani do Stanów. Skoro jednali Lokesh wrócił do gry, musimy postępować z największą ostrożnością.

Uspokoiliam się, ale tylko trochę. Może pan Kadam ma rację. Może powinnam wrócić do domu? Byłoby mi łatwiej zapomnieć o Panie Superbohaterze, gdybym znalazła się po drugiej stronie świata. W końcu jest on jedynym młodym mężczyzną, z jakim prze-stawalam od wielu tygodni, nie licząc Kishana. Zdrowiej dla mnie byłoby stąd wyjechać i zacząć spotykać się z innymi chłopakami. Może wtedy okazałoby się, że ta cała więź uczuciowa pomiędzy nami wcale nie jest taka silna. Być może przez to, że żyję odizolowana od świata, umysł płata mi figle. W końcu kiedy ma się do wyboru Tarzana albo małpy, to normalne, że Tarzan prezentuje się całkiem nieźle. Po prostu muszę o nim zapomnieć. Wróć do domu, zacznę się spotykać z jakimś miłym, normalnym komputerowcem, który mnie nigdy nie zostawi, i zapomnę o Renie.

Wymieniałam tak w myślach listę powodów, żeby trzymać się z dala od niego, aż na dobre utwierdziłam się w postanowieniu, że powinnam go unikać. Jedyny problem polegał na tym, że mój buntowniczy, słaby umysł wciąż uparcie wracał do wspomnienia tego, jaka bezpieczna czułam się w ramionach Rena. I tego, co powiedział, kiedy myślał, że umieram. I do uczucia ciepłego mrowienia na moich ustach po tym, jak mnie pocałował. Nawet jeśli udawało mi się odepchnąć od siebie wizję jego pięknej twarzy — co było zadaniem godnym Herkulesa — to i tak miał mnóstwo innych cudownych cech, które sprawiały, że miałam o czym myśleć przez resztę podróży.

W końcu pan Kadam zatrzymał się przed olśniewającym pięciorozgwiazdkowym hotelem. Poczulałam się jak Kopciuszek w moich brudnych, podartych i poplamionych krwią ciuchach. Pan Kadam zdawał się w ogóle nie zwracać na to uwagi. Wielce zadowolony, wręczył portierowi kluczyki i poprowadził mnie do środka. Zatrzymałam plecak przy sobie, zaś pozostałe dwie torby zabrała do pokoju obsługa hotelowa.

Pan Kadam wypełnił niezbędne formularze i cicho powiedział coś w hindi do recepcjonistki. Potem skinął na mnie.

Gdy mijaliśmy recepcję, nachyliłam się do kobiety za ladą i spytałam:

— Tak z ciekawości, nie wpuszczacie tu zwierząt, prawda?

Recepcjonistka popatrzyła zmieszana na pana Kadama i pokreśliła głową.

— Świetnie. Chciałam się tylko upewnić. — Uśmiechnęłam się do niej. Pan Kadam z zainteresowaniem przekrzywił głowę, ale nic nie powiedział.

Pewnie myśli, że zwariowałam. Z szerokim uśmiechem poszłam za nim w stronę windy. Boy hotelowy przekręcił kluczyk nad przyciskami i drzwi windy automatycznie się zamknęły. Gdy dotarliśmy na górę, wyszliśmy wprost do luksusowego apartamentu na ostatnim piętrze. Pan Kadam przed wyjściem poinformował mnie, że będzie nocował w sypialni z lewej strony, ja mam zająć prawą, oraz że wkrótce dostarczą kolację. Kazał mi odpocząć i zostawił mnie samą.

Weszłam do mojego pięknego apartamentu i roześmiałam się beztrosko. Na samym środku prywatnej łazienki znalazłam wielkie jacuzzi. Dwoma szybkimi ruchami pozbyłam się tenisówek. Postanowiłam najpierw wziąć prysznic, a potem wymoczyć się w wannie. Cztery razy umyłam włosy, a potem nałożyłam na nie odżywkę i wyszorowałam się cała do czysta. Zatopiłam paznokcie w kostce mydła i ruszałam palcami, by usunąć uparty brud, a potem zajęłam się stopami.

Moimi biednymi, zmęczonymi, pełnymi pęcherzy, obolałymi stopami. Cóż, może pan Kadam zafunduje mi później mały pedicure.

Gdy już poczułam się całkiem czysta, owinęłam głowę ręcznikiem i otuliłam się w szlafrok. Napelniłam jacuzzi gorącą wodą, dodałam płynu do kąpieli i włączyłam hydromasaż. Powietrze w łazience wypełnił zapach gruszek i świeżych jagód, który przywiódł mi na myśl Oregon.

Leniwe wylegiwanie się w jacuzzi okazało się najcudowniejszym uczuciem na świecie. No dobrze, drugim najcudowniejszym. Jak na złość nagle wróciło do mnie wspomnienie pocałunku z Renem. Próbowałam je od siebie odepchnąć, ale uparcie wracało. Jak piosenka, która nie chce wypaść z głowy, choćbyśmy nie wiem jak się starali.

Wciąż na nowo rozpamiętywałam tamtą chwilę. Wbrew własnej woli uświadomiłam sobie, że się uśmiecham. Ech! Co się ze mną dzieje?

Otrząsnęłam się, rozgniewana, i niechętnie wylazłam z wanny. Wytarłam się do sucha, włożyłam krótkie spodenki oraz czysty podkoszulek i zaczęłam rozczesywać włosy. Rozplatanie wszystkich kol-tunów zajęło mi sporo czasu. Ta czynność mnie uspokajała. Roz-siadłam się wygodnie na wielkim łożu i rozkoszowałam się błogim uczuciem, towarzyszącym przesuwaniu szczotką po czystych, mokrych włosach.

Kiedy skończyłam, poszłam do salonu, w którym zastałam pana Kadama, czytającego gazetę.

— Witam, panno Kelsey. Odpoczęła pani?

— Tak, czuję się o wiele lepiej.

— To świetnie. Pod przykryciem czeka kolacja. Pozwoliłem sobie zamówić w pani imieniu.

Uniosłam przykrycie i zobaczyłam indyka z nadzieniem, sos żu-rawinowy i tłucone ziemniaki.

— Proszę pana! Jakim cudem skłonił pan kucharza, żeby to przy-gotował?

Pan Kadam wzruszył ramionami.

— Pomyślałem, że dla odmiany z pewnością chętnie pani zje coś z amerykańskiej kuchni. Już bardziej po amerykańsku chyba być nie może. Zamówiłem nawet szarlotkę na deser.

Usiadłam obok niego z kolacją i szklanką zimnej wody z cytry-ną — pan Kadam wiedział, że to mój ulubiony napój. Podwinęłam pod siebie nogi.

— A pan?

— Już zjadłem, jakąś godzinę temu. Proszę się mną nie przejmować. Smacznego.

Zabrałam się do jedzenia i poczułam błogą sytość, jeszcze zanim zdążyłam spróbować szarlotki. Wytarłam sos kawalkiem bulki i ode-zwalałam się:

— Proszę pana? Chciałabym panu coś powiedzieć. Mam wyrzuty sumienia, że dopiero teraz.

Odetchnęłam głęboko i oznajmiłam:

— W Kiszkindzie Ren przez cały czas był człowiekiem.

Pan Kadam odłożył gazetę.

— To bardzo ciekawe. Ale czemu nie mogła mi pani wcześniej o tym powiedzieć?

Wzruszyłam ramionami i odparłam wymijająco:

— Nie wiem. Między mną a Renem... średnio się układało przez te ostatnie kilka dni.

Pan Kadam roześmiał się.

— Teraz wszystko rozumiem. Zastanawiałem się, czemu tak dziwnie się pani zachowuje, kiedy jest w pobliżu. Ren czasami... potrafi być trudny.

— Chciał pan chyba powiedzieć: uparty. I władczy. I... — spoglądając przez okno na rozświetlone nocne miasto, dodałam pod nosem: — znalazłoby się jeszcze parę innych określeń.

Pan Kadam pochylił się w moją stronę i wziął mnie za rękę.

— Rozumiem. Proszę się nie martwić, panno Kelsey. To niezwykle, jak dużo udało się pani osiągnąć w tak krótkim czasie. Nie dość, że podjęła się pani tej wielce niebezpiecznej wyprawy, to jeszcze w towarzystwie kogoś, kogo dopiero pani poznaje, i nie wie w związku z tym, czy może mu w pełni zaufać. Nawet najlepszym przyjaciółom zdarzają się sprzeczki w tak trudnych sytuacjach. Jestem pewien, że to tylko przejściowy kryzys w waszej przyjaźni.

To nie nasza przyjaźń stanowiła problem. Mimo to słowa pana Kadama nieco mnie podniosły na duchu. Być może teraz, na spokojnie, będziemy z Renem w stanie porozmawiać o tym wszystkim rozsądnie. I może to ja powinnam zacząć. W końcu Ren przez wiele lat żył w odosobnieniu. Gdybym tylko mogła mu wyjaśnić zasady rządzące w związkach między ludźmi, być może zrozumiałby mnie i przyznał, że powinniśmy zostać tylko przyjaciółmi.

— To niebywale, że Ren przez cały czas utrzymywał ludzką postać — ciągnął pan Kadam. — Być może ma to jakiś związek z tym, że w Kiszkindzie czas się dla was zatrzymał.

— Naprawdę pan myśli, że tak było?

— Możliwe, że tam czas płynie po prostu w inny sposób. W każdym razie bez wątpienia nie było tylko przez parę godzin.

Pokiwałam głową. Nasza rozmowa i to, że wyznałam panu Kadamowi prawdę, sprawiły, że poczułam się lepiej. Postanowiłam trochę poczytać, a potem wyspać się porządnie na miękkiej poduszce. Mój rozmówca uznał, że to znakomity plan, i poprosił, żebym przygotowała rzeczy do prania.

Wróciłam do sypialni i wrzuciłam do worka brudne ciuchy oraz tenisówki. Dorzuciłam również mój zmięty, wybrudzony pled. ostrożnie owinąwszy uprzednio złoty owoc mango w czystą ściereczkę.

Wystawiłam worek z praniem za drzwi i wskoczyłam do łóżka, rozkoszując się miękką pościelą. Ułożyłam głowę na puchowej poduszce i zapadłam w głęboki, spokojny sen.

Następnego ranka obudziłam się z uśmiechem na ustach i przeciągnęłam najmocniej, jak tylko mogłam, a i tak nie dosięgłam nogami końca wielkiego łóżka. Rozczesałam włosy i związałam je w luźny kucyk.

Pan Kadam siadał właśnie do śniadania, złożonego ze smażonych ziemniaczków, grzanek i hiszpańskiego omletu. Dołączyłam do niego i popijając sok pomarańczowy, gawędziliśmy o tym, jak miło będzie wrócić do domu.

Wyprane rzeczy czekały na nas, uprasowane i złożone w równe kostki. Ubrałam się, a resztę schowałam do torby. Na końcu wzięłam do ręki pled, który pachniał cytrynowym płynem do płukania, i przyjrzałam mu się dokładnie, żeby sprawdzić, czy się nie zniszczył. Był już stary i zużyty, ale wciąż trzymał się w jednym kawałku. Teraz już takich nie robią, babciu, pomyślałam z wdzięcznością.

Złożyłam pled i zapakowałam go na wierzch plecaka, obok zaś wcisnęłam pionowo *gada*. Poprzedniego wieczoru miałam zamiar je wyczyścić, ale z zaskoczeniem stwierdziłam, że jest lśniąca i bez skazy, tak jakby w ogóle nikt go nie używał. Potem ostrożnie ułożyłam na pledzie Fanindrę i umieściłam złote mango pomiędzy jej splotami. Zapięłam plecak, zostawiając małą szparkę, żeby Fanindra miała czym oddychać. Właściwie nie byłam pewna, czy w ogóle oddycha, ale na wszelki wypadek wołałam jej to umożliwić.

Wkrótce ruszyliśmy w dalszą drogę. Byłam zadowolona i pełna energii do czasu, gdy zatrzymaliśmy się na poboczu i ujrzałam jego. Nie był tygrysem. Ren czekał na nas, jak zwykle ubrany na biało i uśmiechnięty od ucha do ucha. Pan Kadam wysiadł z jeepa i uściskali się. Słyszałam ich głosy, ale nie rozumiałam, co mówią. Zauważyłam tylko, że pan Kadam roześmiał się i głośno poklepał Rena po plecach. Najwyraźniej był czymś bardzo uradowany.

Ren zmienił się w tygrysa i wskoczył do samochodu. Od razu zwinął się w kłębek i zapadł w drzemkę, ja zaś robiłam wszystko, by nie zwracać na niego uwagi. Wzięłam książkę, żeby czymś się zająć w czasie czekającej nas długiej podróży. Pan Kadam oświadczył, że będziemy jechać cały dzień, a na noc jeszcze raz zatrzymamy się w hotelu.

— Nie ma problemu — odparłam. Na szczęście miałam co robić, ponieważ pan Kadam kupił dla mnie w hotelowej księgarni kilka powieści, a także przewodnik po Indiach.

Raz po raz zapadając w drzemkę pomiędzy rozdziałami, skończyłam pierwszą powieść wczesnym popołudniem, a gdy wjeżdżaliśmy

do miasta, zbliżałam się już do ostatnich stron drugiej. W samochodzie wyjątkowo panowała cisza. Pan Kadam wyglądał na radosnego, ale zachowywał swój nastrój dla siebie. Ren przespał cały dzień.

Gdy zaszło słońce, pan Kadam oświadczył, że zbliżamy się do celu i że odprowadzi mnie do pokoju, potem zaś zaprasza mnie do hotelowej restauracji na uroczystą kolację.

Gdy znalazłam się w pokoju, z rozpaczą stwierdziłam, że nie mam co na siebie włożyć, ponieważ w mojej torbie tkwiły tylko dżinsy i podkoszulki. Gdy po raz kolejny rozgrzebywałam te same trzy rzeczy na krzyż, usłyszałam pukanie do drzwi. Szybko okryłam się szlafrokiem, włożyłam kaptcie i otworzyłam. W progu stała pokojówka, która wręczyła mi zapinany na suwak foliowy pokrowiec oraz jakieś pudło. Próbowałam czegoś się od niej dowiedzieć, ale nie rozumiała angielskiego. Powtarzała tylko w kółko słowo „Kadam”.

Wzięłam rzeczy, podziękowałam i odpięłam suwak. W środku znalazłam przepiękną suknię. Dopasowana czarna aksamitna góra miała dekolt w kształcie serca i króciutkie trójkątne rękawki z delikatnego śliwkowego jedwabiu o perłowym połysku. Dół stanowiła rozkloszowana śliwkowa spódnica do kolan. Podkreślający talię pasek, z tego samego delikatnego materiału co spódnica, był zawiązany z boku i przypięty efektowną połyskliwą broszką. Sukienka była starannie wykonana i z pewnością bardzo droga. Kiedy stanęłam w świetle, spódnica zamigotała różnymi odcieniami fioleto. Nie licząc błękitnej śarary, którą zostawiłam w domu, nigdy nie miałam na sobie nic tak pięknego. Kiedy otworzyłam pudło, znalazłam w nim parę czarnych sandałków na obcasie z brylantowymi sprzączkami i spinkę do włosów w kształcie lilii. Tak wspaniały strój wymagał odpowiedniego makijażu. Poszłam więc do łazienki, umalowałam się, przypięłam spinkę tuż nad lewym uchem i przeczesałam włosy palcami. Potem włożyłam buty i tak wystrojona czekałam na pana Kadama.

Już wkrótce zapukał do drzwi i spojrzał na mnie z ojcowską dumą w oczach.

— Panno Kelsey, pięknie pani wygląda!

Określiłam się w kółko, demonstrując sukienkę.

— To mój strój jest piękny. Jeśli wyglądam dobrze, to tylko dzięki panu. Ma pan znakomity gust. Musiał się pan domyślić, że z przyjemnością dla odmiany poczuje się kobietą.

Pan Kadam skinął głową. Przez chwilę spoglądał na mnie z namysłem, ale w końcu uśmiechnął się tylko i podał mi ramię. W win-

dzie ze śmiechem opowiadałam mu o Renie, który biegł przez las z dwudziestoma małpami uczepionymi futra.

Zeszliśmy do skąpanej w świetle świec restauracji. Na stolikach przykrytych lnianymi obrusami leżały lniane serwetki. Hostessa zaprowadziła nas do miejsca przy wysokich od podłogi do sufitu oknach, za którymi rozpościerał się widok na rozświetlone nocne miasto. W tej części restauracji tylko jeden stolik był zajęty. Siedział przy nim samotny mężczyzna, odwrócony do nas plecami.

Pan Kadam uklonił się i powiedział:

— Panno Kelsey, zostawiam panią w dobrym towarzystwie. Życzę wam smacznego. — I wyszedł z restauracji.

— Zaraz, proszę poczekać. Nic nie rozumiem.

Jakie towarzystwo? O czym on mówi? Może coś mu się pomyliło?

W tym momencie usłyszałam za plecami głęboki, nazbyt znajomy głos:

— Witaj, Kells.

Zamarłam, serce mi się ścisnęło, a w brzuchu zatrzepotał milion motyli. Minęło kilka sekund. A może kilka minut?

Usłyszałam zniecierpliwione westchnienie.

— Wciąż ze mną nie rozmawiasz? Odwróć się, proszę.

Ciepła dłoń wsunęła mi się pod łokieć i delikatnie mnie obróciła. Uniosłam wzrok i wydałam z siebie cichy, stłumiony okrzyk.

Wyglądał tak, że zaparło mi dech w piersi. Miałam ochotę się rozplakać.

— Ren.

Uśmiechnął się.

— A myślałaś, że kto?

Miał na sobie elegancki czarny garnitur. Jego czarne, lśniące, świeżo przycięte włosy były odgarnięte z czoła i miękkimi falami opadały na kark, gdzie kręciły się lekko. Spod białej koszuli z rozpiętym guzikiem wyzierała złocistobrązowa skóra, podkreślająca biel zabójczego uśmiechu. Jęknęłam w duchu. Wyglądał jak... jak James Bond, Robert Pattinson i Ryan Gosling w jednym.

Uznałam, że najbezpieczniej będzie patrzeć na jego buty. Buty są przecież nudne, prawda? Całkowicie nieatrakcyjne. Ach, o wiele lepiej. Miał oczywiście ładne buty — czarne i tak wypolerowane, że aż lśniły. Niczego innego się nie spodziewałam. Uśmiechnęłam się pod nosem, stwierdziwszy, że po raz pierwszy widzę go w jakimkolwiek obuwiu.

Ren ujął mnie pod brodę i zmusił, żebym spojrzała mu w twarz. Co za bezczelność. Tym razem to on zmierzył mnie wzrokiem od

stóp do głów, bardzo, bardzo powoli. Zaczerwieniłam się, co z kolei sprawiło mnie w gniew.

Zdenerwowana i zniecierpliwiona, mknęłam:

— Skończyłeś?

— Prawie — odparł, niezrażony. Oglądał właśnie moje sandalki.

— To się pospiesz!

Powoli skierował wzrok z powrotem na moją twarz i uśmiechnął się z uznaniem.

— Kelsey, kiedy mężczyzna spędza czas z piękną kobietą, nie powinien się spieszyć.

Uniosłam brew i parsknęłam śmiechem.

— Rzeczywiście, przestawanie ze mną to jak udział w maratonie.

Ren ucałował moje palce.

— Właśnie. Mądry mężczyzna nigdy nie biegnie sprintem... na długim dystansie.

— Ren, ja mówiłam ironicznie.

Zignorował mój komentarz, włożył sobie moją dłoń pod ramię i zaprowadził mnie do pięknie oświetlonego stolika. Odsunął przede mną krzesło i poprosił, żebym usiadła.

Nie ruszałam się z miejsca, rozmyślając nad tym, czy nie puścić się pędem do najbliższego wyjścia. Głupie obcasy. Nigdy go nie przegonię.

Ren nachylił się i wyszeptal mi do ucha:

— Wiem, o czym myślisz, i tym razem nie pozwolę ci uciec. Możesz usiąść i zjeść ze mną kolację jak na normalnej randce — uśmiechnął się, zadowolony z właściwie dobranego słowa — albo — tu zamyślił się na moment — mogę wziąć cię na kolana i nakarmić siłą.

— Nie odważyłbyś się — syknęłam. — Jesteś zbyt dobrze wychowany, żeby mnie do czegokolwiek zmuszać. Więc nie blefuj, panie „Czy-mi-pozwolisz”.

— Nawet dżentelmen może się w końcu zniecierpliwzić. Tak czy siak porozmawiamy dziś jak cywilizowani ludzie. Bardzo chętnie wziąłbym cię na kolana i nakarmił, ale wybór należy do ciebie.

Wyprostował się i czekał. Bezceremonialnie opadłam na krzesło i ze zgrzytem przysunęłam je do stolika. Ren zaśmiał się cicho i zajął miejsce naprzeciwko. Poczulałam się winna ze względu na swoją piękną suknię i poprawiłam spódnicę, żeby się nie pogniotła.

Popatrzyłam na Rena gniewnym wzrokiem. W tym momencie podeszła do nas kelnerka. Szybko położyła przede mną kartę, a potem musiałam patrzeć, jak powoli nachyla się nad Renem. Stanęła

tuż obok niego i zaczęła wskazywać mu kolejne dania. Kiedy w końcu odeszła, z irytacją przewróciłam oczami.

Ren niespiesznie przeglądał kartę. Najwyraźniej świetnie się bawił. Ja nawet nie tknęłam swojego *menu*. Choć raz po raz zerkał na mnie znacząco, ja siedziałam w milczeniu, starając się unikać kontaktu wzrokowego.

Kelnerka wróciła, szybko ustaliła coś z Renem, po czym skierowała wzrok ku mnie.

Uśmiechnęłam się i słodkim jak syrop głosem powiedziałam:

— Poproszę coś szybkiego. Może być sałatka.

Ren uśmiechnął się do mnie pogodnie i niezrażony począł wymieniać niezliczone ilości dań, kelnerka zaś specjalnie zapisywała je bardzo powoli. Wciąż go przy tym dotykała. Raz po raz oboje wybuchali zgodnym śmiechem, co niesłychanie mnie drażniło.

Kiedy w końcu odeszła, Ren odchylił się na krześle i popił wody ze szklanki. Pierwsza przerwałam milczenie.

— Nie wiem, w co grasz — syknęłam cicho — ale zostały ci jeszcze jakieś dwie minuty, więc mam nadzieję, że zamówiłeś tatar, mój drogi tygrysie.

Ren uśmiechnął się łobuzersko.

— Zobaczymy, Kells. Zobaczymy.

— Świetnie. Rób sobie, co chcesz. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co się stanie, kiedy biały tygrys znacznie biegać po tym eleganckim przybytku, siejąc zamęt i panikę. Ryć może hotel straci jedną ze swoich licznych gwiazdek, kiedy okaże się, że narażają gości. Może nawet twoja nowa dziewczyna, kelnerka, ucieknie z wrzaskiem. — Uśmiechnęłam się na samą myśl.

Ren udął zaskoczonego.

— Ależ Kelsey! Czyżbyś była zazdrosna?

Parsknęłam w sposób uwłaczający godności damy.

— Nie! Oczywiście, że nie.

Ren wesoło wyszczerzył zęby. Ogarnęło mnie zakłopotanie i zaczęłam się bawić serwetką.

— Nie mogę uwierzyć, że przekonalesz pana Kadama, żeby wziął udział w tym spisku. To naprawdę zdumiewające.

Ren rozłożył swoją serwetkę i mrugnął do kelnerki, kiedy przyniosła nam koszyk z pieczywem. Kiedy odeszła, rzuciłam groźnie:

— Puszczasz do niej oko? Trzymajcie mnie!

Ren roześmiał się cicho, posmarował masłem ciepłą bułkę i położył ją na moim talerzu.

— Jedz, Kelsey — rozkazał i nachyliwszy się w moją stronę, dodał: — Chyba, że masz jednak ochotę sprawdzić, jak wygląda świat widziany z moich kolan.

Z wściekłością zaczęłam rwać bułkę palcami i dopiero po przeknieniu kilku kawalców dotarło do mnie, jaka jest pyszna — delikatna i lekka, ze startą skórką pomarańczową dodaną do ciasta. Chętnie sięgnęłabym po następną, ale nie chciałam dać mu satysfakcji.

Kelnerka szybko wróciła w towarzystwie dwóch pomocników, którzy zaczęli ustawiać na stoliku danie za daniem. Wyglądało na to, że Ren zamówił prawie wszystko, co było w karcie. Na stoliku nie został nawet centymetr wolnego miejsca. Ren zaczął napelniać najpierw mój, a potem swój talerz aromatycznymi potrawami, a kiedy skończył, spojrzal na mnie z uniesioną brwią.

Nachyliłam się w jego stronę i szepnęłam gniewnie:

— Nie mam zamiaru siadać ci na kolanach, więc lepiej nie rób sobie nadziei.

Ren czekał cierpliwie, aż zacznę jeść. Spróbowałam ryby w orzechach makadamu i rzuciłam:

— No, no. Czas mija. Zegar tyka. Pewnie się denerwujesz, co? Przecież możesz się zmienić w każdej chwili.

Ren skosztował jagnięciny z curry i szafranowego ryżu, nie zdradzając najmniejszych oznak niepokoju.

Przyglądałam mu się uważnie pełne dwie minuty, a potem złożyłam serwetkę.

— No dobra, poddaję się. Skąd to zadowolenie z siebie? Powiesz mi wreszcie, co się dzieje?

Ren starannie otarł usta i popił wody ze szklanki.

— Kłątwa została zdjęta, *prema*, ot, co się dzieje.

Otworzyłam usta ze zdumienia.

— Co? Skoro tak się stało, to czemu przez ostatnie dwa dni byłeś tygrysem?

— Cóż, dokładnie rzecz biorąc, została zdjęta tylko częściowo.

— Częściowo? Jak to?

— Na kilka godzin w ciągu dnia. A dokładnie sześć.

Przypomniałam sobie przepowiednię oraz to, że monolit miał cztery boki, a cztery razy sześć to...

— Dwadzieścia cztery.

Ren zamilkł na chwilę.

— Dwadzieścia cztery?

— Sześć godzin. Zgadza się. Mamy do zdobycia cztery dary dla Durgi, wykonaliśmy jedno zadanie, co oznacza sześć godzin.

Ren uśmiechnął się.

— Czyli będę mógł ci częściej widywać, przynajmniej do czasu, kiedy wykonamy wszystkie zadania.

Parsknęłam.

— Nie spodziewaj się zbyt wiele, Tarzanie. Być może resztę wykonasz beze mnie. Skoro jesteś teraz człowiekiem przez sporą część dnia, jestem pewna, że ty i Kishan poradzicie sobie sami.

Książę przekrzywił głowę i spojrzal na mnie zmrużonymi oczami.

— Chyba nie doceniasz swojej roli, Kelsey. Czy myślisz, że nawet gdybym ci już nie potrzebował do zdjęcia klątwy, po prostu pozwolę ci odejść? Zniknąć z mojego życia bez oglądania się za siebie?

Zamilkłam i zaczęłam nerwowo grzebać w talerzu. W końcu miałam zamiar zrobić dokładnie to, co powiedział.

Coś się zmieniło. Nieszczęsny, zagubiony Ren, który spowodował u mnie poczucie winy za to, że go odrzuciłam w Kiszkindzie, zniknął. Człowiek, który siedział teraz przede mną, był niezwykle pewny siebie, niemal arogancki.

Obserwowałam, jak je. Skończył i od razu wziął dokładkę, pochłaniając przynajmniej połowę każdego z dań, które stały na stole.

Kiedy na mnie spojrzal, spuściłam oczy i dalej dziobałam widelcem jedzenie. Ren wyglądał jak kot, który pożarł kanarka, albo jak uczeń, który znał wszystkie odpowiedzi, zanim jeszcze nauczyciel ogłosił sprawdzian. Był obrzydliwie zadowolony z siebie i czułam, że nie wynika to tylko z owych dodatkowych sześciu godzin.

Sprawiał wrażenie, jakby znał moje najskrytsze myśli i uczucia. Jego pewność siebie ogromnie mnie deprymowała. Poczułam się zapędzona w kozi róg.

— Odpowiedź na to pytanie brzmi: nie pozwolę ci zniknąć. Twoje miejsce jest przy mnie. W związku z tym chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

— O tym, gdzie jest moje miejsce, zdecyduję sama. Nawet jeśli wysłucham, co masz mi do powiedzenia, niekoniecznie muszę się z tobą zgodzić.

— W porządku. — Ren odstawił na bok pusty talerz. — Są pewne nierozwiązane kwestie, którymi musimy się zająć.

— Jeśli chodzi ci o pozostałe zadania, to dobrze o tym wiem.

— Chodzi mi o coś innego. Chodzi mi o nas.

— Jak to: „o nas”? — Schowałam ręce pod stół i wytarłam serwetką spocone dłonie.

— Wydaje mi się, że nie powiedzieliśmy sobie kilku rzeczy. Najwyższy czas je wyjaśnić.

— Ja nic przed tobą nie ukrywam, jeśli o to ci chodzi.

— Owszem, ukrywasz.

— Nieprawda.

— A więc nie masz zamiaru przyznać się do tego, co między nami zaszło?

— To ty powiedzialesz.

— Ja tylko usiłuję przekonać upartą dziewczynę, żeby przyznała, że coś do mnie czuje.

— Nic podobnego. Gdyby tak było, pierwszy byś się o tym dowiedział.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem ci obojętny?

— Nie to miałam na myśli.

— A więc co?

— Nic! — krzyknęłam.

Ren uśmiechnął się i zmrużył oczy. Pomyślałam, że jeśli dalej będzie mnie tak przesłuchiwał, w końcu przyłapie mnie na kłamstwie. Nie potrafiłam klamać.

Ren odchylił się na krześle.

— No dobrze. Tym razem ci odpuszczę, ale jeszcze wrócimy do tej rozmowy. Nie wiem, czy wiesz, że tygrys, kiedy coś postanowi, zawsze uparcie dąży do celu. Nie będziesz mogła wiecznie mnie unikać.

— Nie rób sobie nadziei — odparłam swobodnym tonem. — Nawet superbohater ma słabe strony. — Pod stołem wykręciłam w palcach serwetkę. Ren nie spuszczał ze mnie badawczego wzroku, który sprawił, że poczułam się całkiem bezbronna, zupełnie jakby w jakiś sposób udało mu się zajrzeć wprost w moje serce.

Kiedy kelnerka wróciła do naszego stolika, Ren z uśmiechem wysłuchał kolejnych propozycji z *menu*. Tym razem było ich mniej, zapewne chodziło o desery. Dziewczyna nachylała się nad nim, a ja z niecierpliwością i rozdrażnieniem postukiwałam butem w podłogę. Znów roześmiali się oboje.

Ren mówił coś cicho, wskazując na mnie, a ona popatrzyła w moją stronę, zachichotała i szybko zebrała talerze. Książę wyciągnął portfel i wręczył jej kartę kredytową. Kelnerka położyła mu dłoń na ramieniu i o coś jeszcze zapytała, a ja, zanim zdołałam się powstrzymać.

kopnęłam go pod stołem. Nawet nie drgnął. Wziął mnie tylko za rękę i w roztargnieniu potarł ją kciukiem, odpowiadając na pytanie dziewczyny, zupełnie jakby odebrał mój brutalny gest jako pieszczotę.

Kiedy kelnerka odeszła, zmrużyłam oczy i spytałam:

— Skąd masz tę kartę i co powiedziałeś o mnie kelnerce?

— Kartę dostałem od pana Kadama, a powiedziałem, że deser będzie... później.

Roześmiałam się z niedowierzaniem.

— Chyba chodziło ci o to, że zjesz go sam, ponieważ ja skończyłam już kolację.

Ren nachylił się nad stolikiem i odparł:

— Kto mówił coś o jedzeniu, Kelsey?

Chyba sobie żartuje? A jednak wyglądał na kogoś, kto mówi całkiem poważnie. Świetnie! Żołądek znów skręcił mi się ze zdenerwowania.

— Przestań mi się tak przyglądać!

— Jak?

— Jakbym była antylopą.

Ren parsknął śmiechem.

— Ach, cóż to by był za cudowny pościg i jaka soczysta zdobycz.

— Przestań!

— Czyżbym wprawiał cię w zakłopotanie?

— Akurat.

Wstałam gwałtownie i w czasie, gdy on podpisywał paragon, ruszyłam w stronę wyjścia. Błyskawicznie znalazł się przy mnie.

— Przecież już powiedziałem, że nie pozwolę ci uciec. A teraz zachowuj się przyzwoicie i pozwól odprowadzić się do pokoju. Przy najmniej tyle możesz zrobić, skoro nie chcesz ze mną rozmawiać.

Wziął mnie pod łokieć i powiodł przez restaurację. Czulałam się bardzo niezręcznie, a myśl o tym, że gdy staniemy przed drzwiami mojego pokoju, znów zechce mnie pocałować, sprawiała, że przechodził mnie dreszcz. Musiałam się od niego uwolnić, dla własnego dobra. Każda kolejna minuta z nim sprawiała, że pragnęłam go jeszcze bardziej. Ponieważ złośliwe komentarze nie podziały, musiałam podbić stawkę. Najwyraźniej nie wystarczyło sprawić, żeby mnie zniechęcił. Musiał mnie zniechęcić. Ludzie nieraz powtarzali mi, że jestem typem popadającym ze skrajności w skrajność. Uznałam więc, że muszę odepchnąć go tak daleko, żeby nie miał szans wrócić, ale on tylko złapał mnie mocniej.

— Nie popisuj się, supermanie — warknęłam.

— Przepraszam, zabolalo cię?

— Nie, ale nie życzę sobie, żebyś mną sterował jak marionetką. Ren przesunął palcami po moim przedramieniu i ujął mnie za rękę.

— Bądź grzeczna, a odwzajemnię ci się tym samym.

— Proszę bardzo.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Ś w i e t n i e.

— Ś w i e t n i e — syknęłam.

Weszliśmy do windy. Ren nacisnął guzik.

— Mój pokój jest na tym samym piętrze — wyjaśnił.

Zmarszczyłam czoło i uśmiechnęłam się odrobinę złośliwie.

— A, hmm, jak to właściwie będzie rano, mój drogi tygrysie? Nie powinieneś przysparzać panu Kadamowi problemów, w tym hotelu nie przyjmują zwierząt.

Ren odprowadził mnie pod drzwi i odbił pileczkę.

— Czyżbyś się o mnie martwiła, Kells? — spytał sarkastycznym tonem. — Bez obaw, poradzę sobie.

— Domyślam się, że nie ma sensu pytać, skąd wiedziałeś, które drzwi są moje? Ma się ten tygrysi węż, co?

Ren spojrzął na mnie w sposób, który sprawił, że moje wnętrzności zmieniły się w galaretkę. Obróciłam się na pięcie, ale przez cały czas zdawałam sobie sprawę z tego, że mi się przygląda i na coś czeka. Włożyłam klucz do zamka. Ren przysunął się bliżej. Ręka mi zadrżała i nie mogłam sobie poradzić z przekręceniem kluczyka. Ujął moją dłoń i delikatnie obrócił mnie do siebie. Położył ręce po obu stronach mojej głowy i przybliżył się, przygważdżając mnie do drzwi. Zadrżałam jak bezbronny króliczek, który dostał się w pazury wilka. Wilk zbliżył się jeszcze bardziej. Nachylił się i zaczął pocierać nosem mój policzek. Problem tkwił w tym, że chciałam, żeby mnie pozałł.

Nagle zatonęłam w gęstej mgle, która otaczała mnie za każdym razem, kiedy czułam jego dotyk. Tak się kończą prośby o pozwolenie... i upieranie się przy swoim. Byłam całkowicie bezbronna.

Ren wyszeptał ciepło wprost w moje ucho:

— Już zawsze będę wiedział, gdzie jesteś, Kelsey. Pachniesz jak brzoskwinie z bitą śmietaną.

Zadrżałam. Chciałam go odepchnąć, ale chwyciłam go tylko za koszulę na piersi i kurczowo ścisnęłam ją w dłoniach. Ren zaczął całować moje ucho, policzek, a potem szyję. Przyciągnęłam go do siebie i zwróciłam twarz w jego stronę, żeby mógł pocałować mnie

naprawdę. On jednak uśmiechnął się tylko, nie skorzystał z zaproszenia i zaczął muskać ustami moje drugie ucho, a potem lekko mnie w nie ugryzł. Jego pocałunki powędrowały w stronę mojego obojczyka, a potem ramienia. W końcu podniósł głowę, a jego usta znalazły się jakieś dwa centymetry od moich. Jedyna myśl, jaka zrodziła się w mojej głowie, to... chcę więcej. Z uśmiechem, od którego zamarło mi serce, cofnął się niechętnie i delikatnie przesunął palcami po moich włosach.

— A tak przy okazji, zapomniałem powiedzieć, że pięknie dziś wyglądasz. — Znow się uśmiechnął, a potem odwrócił się i odszedł.

Nogi i ręce drżały mi jak po trzęsieniu ziemi. Przekręciłam klucz dygoczącą dłońią. Gwałtownym ruchem otworzyłam drzwi do ciemnego pokoju i weszłam do środka. Zamknęłam drzwi, a potem oparłam się o nie i pozwoliłam, by pochłonęła mnie ciemność.

POŻEGNANIA

Następnego ranka spakowałam się szybko, usiadłam w fotelu i nerwowo postukując stopą o podłogę, czekałam na pana Kadama. Zeszłego wieczoru przekonałam się, że muszę coś zrobić z Renem. Sama jego obecność działała na mnie obezwładniająco. Wiedziałam, że jeśli spędzę z nim jeszcze choćby chwilę, przekona mnie, żebym z nim została, a na to w żadnym wypadku nie mogłam sobie pozwolić. Ten związek by mnie zniszczył. Och, jestem pewna, że na początku byłoby wspaniale. Naprawdę, naprawdę wspaniale, ale to by nie trwało długo. Ren przypominał Adonisa, a mnie daleko było do Heleny Trojańskiej. Z pewnością by nam się nie udało. Musiałam spojrzeć na wszystko trzeźwo i na nowo odzyskać kontrolę nad swoim życiem. Postanowiłam porozmawiać z nim poważnie, gdy tylko wrócimy do domu. A potem, jeśli nadal nie da za wygraną, wrócić do Stanów, tak jak sugerował pan Kadam. Może fizyczna odległość pomoże mi o nim zapomnieć. Może Ren musi po prostu spędzić trochę czasu z dala ode mnie, żeby zrozumieć, że nasz związek byłby pomyłką. Powziąwszy takie postanowienie, spróbowałam przygotować się psychicznie na kolejne spotkanie.

Zniedcierpliwiona, już miałam zadzwonić do pokoju pana Kadama, kiedy wreszcie zapukał do moich drzwi. Był sam.

— Gotowa, panno Kelsey? Bardzo przepraszam, że zjawiam się tak późno.

— Nic nie szkodzi. Nasz piękny książę pewnie się guzdrał, co?

— Nie, nie, to moja wina. Byłem zajęty... papierami.

— Rozumiem, nic nie szkodzi. Proszę się nie przejmować. A co to za papiery?

Pan Kadam uśmiechnął się.

— Ach, nic ważnego.

Przytrzymał przede mną drzwi i wyszliśmy na pusty korytarz. Dotarliśmy do windy, a ja właśnie zaczęłam nieco się rozluźniać, kiedy usłyszałam odgłos zamykanych drzwi. Ren wyszedł na korytarz i ruszył w naszą stronę. Najwyraźniej kupił sobie nowe ubrania. Oczywiście wyglądał cudownie. Cofnęłam się o krok i robiłam wszystko, żeby uniknąć jego wzroku.

Ren miał na sobie nowiutką parę supermodnych, celowo poprzecieranych granatowych dżinsów i świeżą, elegancką błękitną koszulę w cieniutkie białe paseczki, która idealnie pasowała do koloru jego oczu. Koszula miała podwinięte rękawy i rozpięte górne guziki. Była znakomicie dopasowana i podkreślała muskularny tors. Ren wyglądał wspaniale i niezwykle męsko, a ja, choć tego nie chciałam, aż zachłysnęłam się z wrażenia.

Wygląda jak model na wybiegu. A ja muszę go odrzucić! Świat jest niesprawiedliwy. Przecież on wygląda jak Ryan Gosling w drodze na randkę. Dziewczyna, która byłaby w stanie mu odmówić, powinna wygrać konkurs na idiotkę stulecia.

Szybko stworzyłam w głowie listę powodów, dla których nie mogę z nim być, i jeszcze kilka razy powtórzyłam w duchu: on nie jest dla mnie. Na szczęście paradoksalnie ten olśniewający widok tylko utwierdził mnie w moim przekonaniu, ponieważ to, jak niewymownie Ren był piękny, dowodziło jedynie faktu, że zupełnie do siebie nie pasujemy.

Gdy czekaliśmy na windę, potrząsnęłam głową i wymamrotałam do siebie:

— Coś podobnego. Facet przez trzysta pięćdziesiąt lat żyje jako tygrys, a kiedy znów staje się człowiekiem, nagle nabiera zamiłowania do luksusu i uwielbienia dla mody. Nieprawdopodobne.

— Coś pani mówiła, panno Kelsey?

— Nie, nic.

Ren uniósł brew i uśmiechnął się pod nosem.

Pewnie mnie słyszał. Cholerny tygrysi słuch.

Drzwi windy otworzyły się i weszłam do środka z nadzieją, że pan Kadam zajmie miejsce między nami, ale on najwyraźniej nie odgadł mojego skrytego życzenia i stanął obok przycisków. Ren niebezpiecznie się przybliżył. Powoli zmierzył mnie wzrokiem od stóp

do głów i uśmiechnął się znacząco. Przez całą drogę na dół w windzie panowało milczenie.

Kiedy drzwi się otworzyły, Ren przytrzymał mnie, odebrał mi plecak i zarzucił go sobie na ramię, pozostawiając mnie z pustymi rękami. Potem ruszył do przodu i szedł obok pana Kadama, ja zaś powoli powlokłam się za nimi, utrzymując ostrożny dystans i podejrziwie przypatrując się jego wysokiej sylwetce.

W samochodzie pan Kadam gałdł za nas troje. Ryl niesamowicie podekscytowany faktem, że Ren znów jest człowiekiem. Musiała to być dla niego wielka ulga. Przecież w pewnym sensie i na nim ciążyła klątwa. Nie mógł sobie pozwolić na własne życie. Poświęcanie całego czasu i uwagi na służbę braciom stało się jego jedynym życiowym celem. Był niewolnikiem dwóch tygrysów w takim samym stopniu, w jakim oni byli niewolnikami klątwy.

W tym momencie przyszło mi do głowy, że i nade mną wisi niebezpieczeństwo stania się niewolnicą Bena. Ha! Pewnie nie byłoby to takie złe. Ta myśl sprawiła, że przewróciłam oczami. Brzydzą się sama sobą. Jestem cholernym słabeuszem! Niedobrze mi się robiło na myśl o tym, że wystarczy jedno skinienie i poszłabym za nim. Niezależna i buntownicza część mojej natury nagle rozbłysła gniewem.

Dosyć tego! Koniec! Kiedy wrócimy do domu, wszystko mu wygarnę, i mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi.

O tym mniej więcej rozmyślałam przez całą podróż. Zdarzało mi się zatonać w marzeniach, ale gdy tylko się na tym złapałam, karcilałam się w duchu i powtarzałam uparcie swoją mantrę. Próbowałam zająć się książką, ale skończyło się na tym, że czytałam w kółko ten sam akapit. W końcu poddałam się i zapadłam w drzemkę.

Dotarliśmy na miejsce późnym wieczorem. Wystarczyło jedno spojrzenie na pięknie oświetlony dom Bena, żeby wyrwało mi się głębokie westchnienie. Czulałam się tam jak w domu i wiedziałam, że trudno mi będzie opuścić to miejsce, a miałam nieprzyjemne przeczucie, że nastąpi to bardzo szybko.

Wprawdzie drzemałam w samochodzie, po przyjeździe postanowiłam jednak, że powinnam spróbować się przespać. Zmusiłam się do tego, żeby przestać się zadrećczać myślami o Renie, umyłam zęby i przebrałam się w piżamę. Ostrożnie wyjęłam Fanindrę z plecaka. Położyłam na nocnym stoliku małą poduszczkę i starając się, żeby kobra było wygodnie, ułożyłam na niej jej twarde, skrócone sploty, pyskiem w stronę okna wychodzącego na basen. Przypuszczałam,

że gdybym była wężem zamienionym w bransoletę, właśnie taki widok najbardziej by mi odpowiadał.

Następnie wyjęłam z plecaka *gada* i złoty owoc. Zawinęłam dar dla Durgi w miękką szmatkę, a maczugę schowałam do szuflady w komodzie.

Spojrzawszy na owoc, uświadomiłam sobie, że jestem głodna. Miałam ochotę na nocną przekąskę, ale nie chciało mi się już schodzić na dół. Włożyłam zaczarowane mango do szuflady. Muszę poprosić pana Kadama, żeby schował owoc i *gada* tam, gdzie trzyma pieczęć, gdziekolwiek to jest. Musimy mieć pewność, że oba przedmioty będą bezpieczne.

Wgramoliwszy się do łóżka, ujrzałam obok Fanindry talerzyk, na którym leżały krakersy z serem i plasterki jabłka. Nie zauważyłam go wcześniej.

Hm, najwyraźniej pan Kadam przyniósł go, kiedy byłam pod prysznicem.

Wdzięczna za jego troskliwość, zjadłam to, co na mnie czekało, a potem zgasiłam światło. Sen jednak nie nadchodził. Myśli nie dawały mi spokoju. Bałam się, że następnego dnia będę musiała stanąć z Renem twarzą w twarz i nie dam rady powiedzieć tego, co powinnam. W końcu około czwartej nad ranem udało mi się zasnąć. Spałam do dwunastej.

Nie wyszłam z sypialni aż do popołudnia. Wiedziałam, że odsuwam w ten sposób od siebie konieczność rozmowy z Renem, ale nie obchodziło mnie to. Długo stałam pod prysznicem, a potem powoli się ubierałam. Gdy w końcu zebrałam się na odwagę, żeby zejść na dół, burczało mi w brzuchu, a żołądek boleśnie ścisnął się z głodu.

Przekradłam się po schodach. Usłyszałam tylko, że ktoś krząta się po kuchni, i z ulgą stwierdziłam, że to na pewno pan Kadam. Jednak gdy przekroczyłam próg, z przerażeniem ujrzałam Rena. Ryl sam i usiłował przyrządzić kanapkę. Przeróżne składniki były porzucane po całej kuchni. Na blacie leżały wszystkie warzywa z lodówki i prawie cała zawartość spiżarni. Ren zaś stał pomiędzy tym wszystkim, pogrążony w głębokiej zadumie, rozważając, czy do kanapki z indykiem i bakłażanem użyć keczupu, czy może sosu chili. Miał na sobie fartuch pana Kadama, cały wymazany musztardą. Wprawdzie nie miałam zamiaru ujawniać swojej obecności, ale nie mogłam się powstrzymać i zachichotałam. Ren uśmiechnął się, ale wciąż koncentrował uwagę na kanapce.

— Słyszałem, jak wstałaś. Nie spieszyłaś się z zejściem na dół. Pomyślałem, że pewnie jesteś głodna, więc postanowiłem zrobić ci kanapkę.

Roześmiałam się cierpko.

— Yh, chyba nie poczęstujesz mnie tym, co tam trzymasz? Ewentualnie mogę zjeść kanapkę z masłem orzechowym.

— W porządku. Hmm, tylko który z tych słoików to masło orzechowe? — Wskazał na ustawione na blacie składniki. Zauważyłam, że posegregował pojemniki. Te z etykietami po angielsku odstawił na bok, całą resztę zaś zatrzymał pod ręką.

Zdziwiona, podeszłam bliżej.

— Ty nie umiesz czytać po angielsku, zgadza się?

Ren zmarszczył czoło.

— Nie zgadza się. Czytam w piętnastu językach, a mówię w trzydziestu, a mimo to nie potrafię stwierdzić, co jest w tych pojemnikach.

Uśmiechnęłam się drwiąco.

— A nie wystarczy, że je powąchasz, Tygrysi Nosie?

Ren spojrzał na mnie, wyszczerzył zęby w uśmiechu, odstawił obie butelki, podszedł i pocałował mnie prosto w usta.

— No widzisz? To właśnie dlatego cię potrzebuję. Moja dziewczyna musi być bystra.

Wypowiedziawszy te słowa, powrócił do przerwanej czynności. Zaczął otwierać butelki oraz słoiki i po kolei każdy wąchać.

— Ren! — warknęłam. — Ja nie jestem twoją dziewczyną!

Ale on tylko się uśmiechnął, zlokalizował wreszcie masło orzechowe, po czym przyrządził najgrubiej posmarowaną kanapkę, jaką w życiu widziałam.

Już po pierwszym kęsie zakleilo mnie na amen.

— Leeen, meho, pohe!

Księżę roześmiał się.

— Słucham?

— Meho, meho! — Pokazałam na migi, o co mi chodzi.

— Ach, mleko! Dobrze, poczekaj chwilkę.

Musiał otworzyć każdą po kolei szafkę w kuchni, żeby odnaleźć kubki. Były oczywiście w ostatniej, która przyszła mu do głowy. Nalał do środka spienionego mleka, a ja połowę wypilam duszkiem, żeby wypłukać usta z klejącej substancji. Otworzyłam kanapkę i wybrałam kromkę, na której było mniej masła, złożyłam ją na pół i tak zjadłam.

Ren usiadł naprzeciwko z własną, największą i najdziwaczniej wyglądającą kanapką, jaką w życiu widziałam, i zaczął jeść.

Na ten widok zamrugalam z niedowierzaniem i parsknęłam śmiechem.

— Toż to prawdziwy dagwood.

— Co to jest dagwood?

— Gigantyczna kanapka, nazwana na cześć postaci z komiksu.

Ren prychnął i wziął kolejny wielki kęs. Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli zacznę mówić teraz, kiedy nie może mi przerwać.

— Hm, Ren? Jest coś ważnego, o czym musimy porozmawiać. Czy możemy umówić się o zachodzie słońca na werandzie?

Księżę znieruchomiał, z kanapką w połowie drogi do ust.

— Sekretne *rendez-vous*? Na werandzie? O zachodzie słońca? — Uniósł brew. — Kelsey, czyżbyś próbowała mnie uwieść?

— Co to, to nie — wymamrotałam oschle.

Roześmiał się.

— Jestem do twojej dyspozycji. Ale bądź dla mnie łaskawą, o jasna pani. W końcu jestem nowy w tym świecie.

— Nie jestem żadną jasną panią! — zawołałam, rozdrażniona.

Ren zignorował to i znów rzucił się na swój dziwny lunch. Pochłonął również drugą, odrzuconą przeze mnie połówkę kanapki z masłem orzechowym.

— Hej! To całkiem niezłe! — rzucił.

Wstałam od stołu i zaczęłam sprzątać zabalaganioną kuchnię. Kiedy Ren skończył jeść, ruszył mi na pomoc. Pracowaliśmy zgodnie, niemal jakbyśmy potrafili odgadywać nawzajem swoje myśli, i już wkrótce w całej kuchni nie było choćby plamki. Ren zdjął fartuch i wrzucił go do kosza na brudne rzeczy. Wkładałam właśnie szklanki do szafki, kiedy podszedł do mnie i objął w tali od tyłu, przyciągając do siebie.

Powąchał moje włosy, pocałował w szyję i miękko wymruczał wprost w moje w ucho:

— Mmm, zdecydowanie brzoskwinie i śmietanka, ale z korzenną nutą. Pójdę się teraz trochę przespać, żeby zachować cały swój czas na dzisiejszy wieczór.

Skrzywiłam się. Pewnie oczekuje, że będziemy się migdalić, a tymczasem ja mam zamiar z nim zerwać. Chce spędzić trochę czasu ze swoją dziewczyną, a ja planuję mu wyjaśnić, czemu nie powinniśmy być razem. Chociaż właściwie oficjalnie nie byliśmy przecież parą, myślałam o tym jako o zerwaniu. Czemu to wszystko musi być takie trudne?

Ren zakolysał mnie i szepnął:

— Jak srebrny dźwięk ma nocą głos kochanki! I jest że słodsza muzyka na świecie?¹.

Odwrociłam się twarzą do niego, osłupiała.

— Jakim cudem to pamiętasz? To z *Romea i Julii!*

Książę wzruszył ramionami.

— Uważałem, kiedy mi czytałaś. Podobało mi się. — Pocałował mnie w szyję. — Do zobaczenia wieczorem, *iadala*. — I zniknął, zostawiając mnie samą.

Przez resztę popołudnia nie mogłam się na niczym skupić przez dłużej niż kilka minut. Ćwiczyłam przed lustrem to, co mogłabym mu powiedzieć, ale wszystko brzmiało dość tandetnie: „to nie twoja wina, tylko moja”; „przecież na mnie świat się nie kończy”; „zbyt się od siebie różnimy”; „nie jestem dla ciebie stworzona”; „kocham innego”. A niech to, przez chwilę rozważałam nawet zdanie: „mam uczulenie na koty”.

Ale wiedziałam, że żadna z tych wymówek nie poskutkuje w przypadku Rena. Postanowiłam, że najlepiej będzie nie owijać w bawełnę i powiedzieć mu prawdę. W końcu taka już jestem — stawiam czoła problemom, jakoś sobie radzę z ciężkimi chwilami i idę do przodu.

Pana Kadama nie było cały dzień. Jeep również zniknął. Miałam nadzieję na jego towarzystwo, które być może pozwoliłoby mi choć na chwilę zapomnieć o problemach, ale wyglądało na to, że zaginął w akcji.

Zachód słońca przyszedł nazbyt szybko. Nerwowo wspięłam się po schodach na górę. Weszłam do łazienki, rozpuściłam warkocz i rozczesalam włosy, aż spłynęły mi po plecach luźnymi falami. Pomalowałam usta i oczy, a potem zaczęłam szukać w szafie czegoś elegantszego niż zwykły T-shirt. Najwyraźniej ktoś uzupełnił moją garderobę o kilka sztuk odzieży od najlepszych projektantów. Wybrałam ciemnofioletową bawełnianą bluzeczkę w kratkę z czarnymi jedwabnymi wstawkami i wąskie czarne spodnie nad kostkę. Zapewne byłoby mu łatwiej, gdybym wyglądała tak mało wyjściowo, jak to tylko możliwe, ale nie chciałam, żeby mnie zapamiętał jako zaniedbaną chłopczycę. Mam w końcu swoją kobiecą dumę. I w głębi serca chcę, żeby było mu żal. Chociaż troszeczkę.

¹ William Szekspir, *Romeo i Julia*, akt II, scena II, przeł. J. Paszkowski, Warszawa 2001, s. 62.

Zadowolona z wyglądu, poklepałam Fanindrę po głowie, prosząc, by życzyła mi szczęścia, rozsunęłam szklane drzwi i wyszłam na zewnątrz. Ciepłe powietrze wypełniał zapach jaśminu i drzew z dżungli. Patrzyłam, jak słońce znika za horyzontem na tle różowo-pomarańczowego nieba. Na dole zapaliły się światła wokół basenu i fontanny. Przysiadłam na przykrytej poduszkami szerokiej wiklinowej huśtawce i zaczęłam się lekko kołysać, rozkoszując się dotykiem ciepłego, słodko pachnącego wietrzyku na mojej skórze.

Westchnęłam i powiedziałam na głos:

— Jedyne, czego mi teraz brak, to napój tropikalny z anansem, wisienkami i parasolką. — Usłyszałam na stoliku obok cichutki syk i ujrzałam szklankę pełną zimnego, pomarańczowoczerwonego napoju z wisienkami i parasolką! Podniosłam ją, żeby sprawdzić, czy jest prawdziwa. Była. Ostrożnie upiłam łyżeczek. Napój miał idealny smak.

Dziwne. Przecież nie ma tu nikogo oprócz mnie.

W tym momencie na werandzie pojawił się Ren i zapomniałam o wszystkim innym. Książę szedł bosy, a ubrany był w zieloną jak morze jedwabną koszulę i czarne spodnie z cienkim paskiem. Miał wilgotne, zaczesane do tyłu włosy. Usiadł obok i objął mnie ramieniem. Fantastycznie pachniał znaną mi już mieszanką jaśminu i drzewa sandalowego. Tak musi pachnieć w niebie.

Ren oparł się stopą o stół i powoli kołysał huśtawką. Przez kilka minut siedzieliśmy po prostu razem, ciesząc się wietrzykiem i zachodem słońca. Było miło. Może jednak moglibyśmy zostać przyjaciółmi? Miałam taką nadzieję. Lubiłam jego bliskość.

Ren wziął mnie za rękę, splótł moje palce ze swoimi i przez chwilę się nimi bawił, a potem podniósł moją dłoń do ust i zaczął je powoli całować, jeden po drugim.

— O czym chciałaś rozmawiać, Kelsey?

— Ee... — No właśnie, u licha, o co mi chodziło? Za żadne skarby świata nie potrafiłam sobie przypomnieć. Ach, tak. Otrząsnęłam się i zebrałam w sobie.

— Ren, czy mógłbyś usiąść po drugiej stronie, żebyś mogła cię widzieć? To będzie odrobinę mniej rozpraszające.

Roześmiał się.

— W porządku, Kells. Jak sobie życzysz.

Usiadł naprzeciwko, nachylił się i położył sobie moją stopę na kolanach.

Lekko szarpnęłam nogą.

— Co robisz?

— Spokojnie. Jesteś strasznie spięta. — Zaczął masować mi stopę. Już otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale on tylko na mnie spojrział, i zamilkłam.

Wygiął moją stopę w jedną stronę, potem w drugą.

— Masz mnóstwo pęcherzy. Jeśli masz tak często przeprawić się przez dżungle, musimy ci kupić lepsze buty.

— W twoich traperkach też mi się zrobiły pęcherze. Nieważne jakie noszę buty, skoro przez ostatnie dwa tygodnie wędrowałam więcej niż przez całe swoje dotychczasowe życie. Moje stopy nie są do tego przyzwyczajone.

Ren zmarszczył czoło i delikatnie przebiegł palcem po moim podbiciu. Przez całą nogę przeszła mi ciepła, mrowiąca fala. Potem wziął moją stopę w dłoń i zaczął masować ją ostrożnie, omijając obolale miejsca. Chciałam zaprotestować, ale było mi tak dobrze... Poza tym uznałam, że być może umili nam to trudną rozmowę.

Zerknęłam na niego i dostrzegłam, że przygląda mi się uważnie. Co ja sobie myślałam? Zdawało mi się, że jeśli usiądzie naprzeciwko, będzie mi łatwiej. Co za głupota! Teraz muszę patrzeć prosto w oczy mojego wojowniczego archaniola i jeszcze starać się zachować równowagę psychiczną. Na chwilę zamknęłam oczy. No dalej, Kells. Skup się. Skup się. Dasz radę!

— No dobrze, Ren, naprawdę jest coś, o czym powinniśmy porozmawiać.

— W porządku. Słucham.

Odetchnęłam głęboko.

— Ja... nie potrafię odwzajemnić twoich uczuć.

Roześmiał się.

— O czym ty mówisz?

— Chodzi mi o to, że...

Ren przechylił się w moją stronę i powiedział niskim, poważnym głosem:

— Kelsey, ja przecież wiem, że odwzajemniasz moje uczucia. Nie musisz już udawać, że jest inaczej.

Kiedy zdążył się domyślić? Może wtedy, kiedy go całowałaś jak skończona idiotka, Kells. Miałam nadzieję, że uda mi się go oszukać, ale on przejrzał mnie na wylot. Postanowiłam udawać głupią.

Machnęłam ręką.

— No dobrze! Owszem, przyznaje, że mi się podobasz. — Komu by się nie podobał? — Ale to się nie uda — dokończyłam.

No i proszę, powiedziałam to. Ren wyglądał na zdezorientowanego.

— Czemu nie?

— Bo za bardzo mi się podobasz.

— Nic nie rozumiem. Jakim cudem to, że cię pociągam, jest problemem? To chyba dobrze?

— Dla normalnych ludzi to by było dobrze — odparłam.

— Czyli uważasz, że nie jestem normalny?

— Nie. Wyjaśnię to w ten sposób: człowiek, który umiera z głodu, ucieszy się, kiedy mu zaproponują rzodkiewkę, prawda? Więcej, gdyby nie miał nic innego, rzodkiewka wydałaby mu się prawdziwą ucztą. Ale gdyby ktoś postawił przed nim suto zastawiony stół, rzodkiewka poszłaby w odstawkę.

Ben przez chwilę zastanawiał się w milczeniu.

— Nic nie rozumiem. O co ci chodzi?

— Chodzi mi o to, że... jestem rzodkiewką.

— A ja czym? Tym stołem?

— Nie... — wyjaśniłam zniecierpliwiona. — Ty jesteś tym człowiekiem. No a ja... Wcale nie chcę być rzodkiewką. Kto by chciał, prawda? Ale myślę na tyle trzeźwo, żeby wiedzieć, czym jestem, i na pewno nie jestem suto zastawionym stołem. To znaczy... Na miłość boską, mógłbyś przecież się żywić czekoladowymi ekierkami!

— Ale nie rzodkiewkami.

— Nie.

— A co... — Ben zamyślił się na chwilę — a co jeśli lubię rzodkiewki?

— Nie lubisz. Po prostu nie znasz nic lepszego. Aha, no i jeszcze... przepraszam, że byłam dla ciebie taka niemila. Zazwyczaj mi się to nie zdarza. Nie wiem, skąd się we mnie wzięło tyle sarkazmu. — Ren uniósł brew. — No dobrze. Mam swoją cyniczną, okropną stronę, którą zwykle ukrywam. Ale kiedy jestem pod dużą presją albo naprawdę zdesperowana, ona wylazi na wierzch.

Książę odłożył moją stopę, sięgnął po drugą i zaczął masować ją kciukami. Nie odezwał się, więc mówiłam dalej:

— Bycie wredną i oziębłą wydało mi się jedynym sposobem, żeby cię trzymać na dystans. To było coś w rodzaju reakcji obronnej.

— A więc przyznajesz, że chciałaś mnie odepchnąć.

— Oczywiście.

— A to dlatego, że jesteś rzodkiewką.

Zniecierpliwiona, rzuciłam:

— Tak! Teraz, kiedy z powrotem jesteś człowiekiem, możesz sobie znaleźć kogoś, kto lepiej do ciebie pasuje. To wszystko nie twoja

wina. To znaczy... tak długo byłeś tygrysem, że zapomniałeś, jakimi prawami rządzi się świat ludzi.

— Rozumiem. W takim razie oświeć mnie, Kelsey.

Słyszałam w jego głosie nutę frustracji, ale niezrażona tłumaczyłam dalej:

— Chodzi mi o to, że mógłbyś się teraz spotykać z supermodelką albo aktorką. Nie słuchałeś, co mówiłam?

— O tak, żebyś wiedziała! — krzyknął rozgniewany. — Chodzi ci o to, że powinienem być zarozumiałym, bogatym, płytkim liberynym, który nie dba o nic poza pieniędzmi, władzą i polepszeniem swojego statusu. Że powinienem się umawiać z bezmyślnymi, płochymi, pretensjonalnymi, głupimi kobietami, które bardziej obchodziłyby moje koneksje niż ja sam. A także: że nie jestem wystarczająco inteligentny ani rozsądny, żeby wiedzieć, kogo i czego chcę w życiu! Zgadza się?

— Tak... — pisnęłam słabo.

— Naprawdę tak uważasz?

Skrzywiłam się.

— Tak.

Ren nachylił się w moją stronę.

— Cóż, Kelsey, jesteś w błędzie. Zarówno co do mnie, jak i co do siebie. — Gotował się z wściekłości. Czulałam się coraz bardziej niezręcznie. — Wiem, czego chcę. Ze wszystkiego sobie zdaję sprawę. Przez stulecia obserwowałem ludzi z perspektywy klatki i to dało mi wystarczająco dużo czasu, by ustalić własne priorytety. Od pierwszej chwili kiedy cię ujrzałem, kiedy usłyszałem twój głos, wiedziałem, że jesteś inna niż wszyscy. Ze jesteś wyjątkowa. Kiedy włożyłaś dłoń między pręty i po raz pierwszy mnie dotknęłaś, poczułem się tak żywy jak nigdy dotąd.

— A może to wszystko jest częścią kłątwy? Pomyślałeś o tym? Może to wcale nie są twoje prawdziwe uczucia? Może wyczułeś, że jestem zdolna ci pomóc, i źle zinterpretowałaś swoje emocje?

— Naprawdę wątpię. Nigdy do nikogo nie czulem tego, co czuję do ciebie, nawet przed kłątwą.

Rozmowa nie przebiegała tak, jak to sobie zaplanowałam. Poczułam rozpaczliwą potrzebę ucieczki, zanim powiem coś, co zepsuje moje plany. Ren był moją mroczną stroną, zakazanym owocem, moją osobistą Dalilą — ostateczną pokusą. Pytanie brzmiało... czy potrafię mu się oprzeć?

Przyjacielsko klepnęłam go w kolano i wyciągnęłam asa z rękawa.

— Wyjeżdżam.

— Co takiego!?

— Wracam do Oregonu. Pan Kadam uważa, że tak będzie dla mnie bezpieczniej, w końcu Lokesh nas szuka i zamierza zabić. Poza tym muszę dać ci czas, żebyś przemyślał... pewne sprawy.

— Jeśli ty wyjeżdżasz, to ja jadę z tobą!

— Wtedy mój wyjazd straciłby sens, nie sądzisz?

Ren odgarnął włosy do tyłu, westchnął głęboko, wziął mnie za rękę i bacznie spojrzał mi w oczy.

— Kells, kiedy wreszcie zaakceptujesz fakt, że jesteśmy dla siebie stworzeni?

Poczułam, że robi mi się niedobrze, zupełnie jakbym musiała kopnąć wiernego szczeniaczka, który chciał tylko być kochany. Popatrzyłam na basen. Po chwili Ren zmarszczył brwi, odchylił się na krześle i groźnym tonem powiedział:

— Nie pozwolę ci wyjechać.

Tak naprawdę rozpaczliwie pragnęłam wziąć go za rękę i błagać o wybaczenie, ale zamiast tego wyprostowałam się i położyłam dłonie na kolanach.

— Ren, proszę cię. Musisz mnie wypuścić. Ja muszę... Obawiam się, że... Posłuchaj, nie mogę być tutaj, blisko ciebie, kiedy zmienisz zdanie.

— Nie zmienię zdania.

— Istnieje duża szansa, że jednak zmienisz.

— Właśnie że nie! — warknęła, rozgniewana.

— Trudno, ja nie mogę ryzykować, moje serce by tego nie wytrzymało. I nie chcę stawiać cię w niezręcznej sytuacji. Przykro mi, Ren, naprawdę. Uwierz mi, że chcę być dalej twoją przyjaciółką, ale zrozumieć, jeśli mi tego odmówisz. Oczywiście wrócę, kiedy przyjdzie na to czas, i pomogę ci odnaleźć pozostałe trzy dary, nie zostawię cię ani Kishana w potrzebie. Po prostu nie mogę tu zostać i pozwolić, żebyś umawiał się ze mną z litości, dlatego, że jestem ci potrzebna, żeby zdjąć klątwę.

— Umawiać się z litości! Z tobą! Kelsey, ty chyba żartujesz!

— Przeciwnie, mówię najzupełniej poważnie. Poproszę pana Kadama, żeby w ciągu najbliższych kilku dni załatwił mi bilet powrotny do Stanów.

Ren nic nie odpowiedział. Siedział tylko w milczeniu i choć wiedziałam, że gotuje się z wściekłości, czułam, że kiedy pożyje trochę w prawdziwym świecie, doceni mój gest.

Odwróciłam wzrok i powiedziałam:

— Jestem bardzo zmęczona. Chciałabym już pójść spać. — Wstałam i ruszyłam w stronę pokoju. Zanim zasunęłam za sobą drzwi, dodałam: — Czy mogę cię jeszcze o coś poprosić.

Ren siedział nieruchomo, z zaciśniętymi ustami, założonymi ramionami i napiętym, gniewnym wyrazem twarzy.

Westchnęłam. Był piękny nawet, kiedy się wściekał.

Nie odezwał się, więc ciągnęłam:

— Byłoby mi o wiele łatwiej, gdybym cię nie widywała. To znaczy... jako człowieka. Postaram się unikać większości miejsc w domu. W końcu należy do ciebie. Zostanę w swoim pokoju. Gdybyś zobaczył pana Kadama, powtórz mu, proszę, że chcę z nim mówić. — Ren nadal milczał. — No to... do widzenia. Dbaj o siebie.

Z trudem odwróciłam od niego wzrok, zamknęłam drzwi i zaciągnęłam zasłony.

Dbaj o siebie? Co za żaloszny tekst na pożegnanie. Łzy napłynęły mi do oczu i wszystko stało się rozmazane. Byłam dumna, że udało mi się przebrnąć przez tę rozmowę, nie okazując wzruszenia. Teraz jednali czułam się, jakby przejechał po mnie walec drogowy.

Nie mogłam oddychać. Poszłam do łazienki i odkręciłam wodę, żeby zagłuszyć wszelkie odgłosy. Zamknęłam drzwi i wybuchnęłam płaczem. Moim ciałem wstrząsnął wykręcający wnętrzości histeryczny szloch. Ciekło mi z oczu, nosa i ust. Pozwoliłam, żeby ogarnęła mnie rozpaczliwa pustka.

Osunęłam się na podłogę, coraz niżej, aż skończyłam rozciągnięta na posadzce, z policzkiem przyciśniętym do chłodnego marmuru. Pozwoliłam, żeby emocje przejęły nade mną kontrolę, aż poczułam się pusta, jakby opuścili mnie wszystkie siły. Moje ciało było bezwładne, a potargane włosy przykleiły się do mokrej twarzy.

Po długim czasie wstałam, zakręciłam teraz już zimną wodę, obmyłam twarz i powleklam się do łóżka. Znow wróciły myśli o Renie, a po twarzy cicho zaczęły płynąć mi łzy. Przyszło mi nawet do głowy, żeby położyć sobie na poduszce Fanindrę i przytulić się do niej — oto jak bardzo pragnęłam, by ktoś mnie pocieszył. W końcu zasnęłam z płaczem, mając nadzieję, że jutro poczuje się lepiej.



Następnego dnia znów spałam do późna. Gdy wstałam, byłam głodna i czułam się wyzuta z wszelkich emocji. Nie chciałam ryzykować zejścia do kuchni, bo mogłabym wpaść na Rena. Usiadłam na łóżku, podciągnęłam kolana pod brodę i zaczęłam zastanawiać się, co robić.

Postanowiłam zrobić zapisek w pamiętniku. Kiedy przelałam swoje myśli i emocje na papier, poczułam się odrobinę lepiej. Zaburczało mi w brzuchu.

Mam straszną ochotę na naleśniki z jagodami pana Kadama, pomyślałam.

W tym momencie dostrzegłam coś kątem oka. Gdy się obróciłam, ujrzałam na stoliku tacę ze śniadaniem. Podeszłam, żeby przyjrzeć jej się bliżej. Naleśniki z jagodami!

Szczęka opadła mi ze zdumienia. To niemożliwe. Nagle przypomniałam sobie musujący napój, którego skosztowałam zeszłego wieczoru. Pojawił się, kiedy zapragnęłam czegoś do picia. Postanowiłam zrobić eksperyment.

— Napiliabym się czekoladowego mleka — powiedziałam głośno i natychmiast wyrosła przede mną wysoka szklanka. Tym razem postanowiłam tylko o czymś pomyśleć.

Chcę mieć nowe buty.

Nic.

— Chcę mieć nowe buty — powtórzyłam, tym razem na głos.

Dalej nic.

Może to działa tylko w przypadku jedzenia i picia, pomyślałam. Poproszę o koktajl truskawkowy.

Na stoliku pojawiła się szklanka, pełna gęstego mlecznego napoju, z bitą śmietaną i plasterkami truskawek.

Skąd to się bierze? Czyżby to była sprawka złotej maczugi? Fanindry? Durgi? Owocu? Owocu! To złoty owoc Indii! Pan Kadam mówił, że zaspokoi głód mieszkańców. Złoty owoc wyczarowuje jedzenie!

Wyjęłam z szuflady zaczarowane mango i powiedziałam:

— Poproszę... o rzodkiewkę.

Owoc zalśnił i błysnął niczym złoty diament i w mojej drugiej dłoni pojawiła się rzodkiewka. Przyjrzałam jej się uważnie, a potem wyrzuciłam do kosza.

— I co? Nawet ja nie chcę rzodkiewki — mruknęłam ironicznie.

Pobieglam do drzwi, pragnąc podzielić się moim odkryciem z Renem. Naciśnęłam klamkę, ale w tym momencie się zawahałam. Nie chciałam unieważniać wszystkiego, co powiedziałam wczoraj

wieczorem. Wprawdzie kiedy mówiłam, że chcę być jego przyjaciółką, było to szczere, ale, jak na ironię, to właśnie ja w tej chwili nie mogłam traktować go jak przyjaciela. Potrzebowałam czasu, żeby uporządkować swoje uczucia.

Postanowiłam poczekać na powrót pana Kadama. Dopiero wtedy powiem Renowi o owocu.

Zabrałam się do jedzenia i rozkoszowałam się smakiem naleśników — tym bardziej wyjątkowym, że były magiczne. Potem ubrałam się i sięgnęłam po książkę. Po chwili usłyszałam pukanie do drzwi.

— Panno Kelsey, mogę wejść? — rozległ się głos pana Kadama.

— Proszę. Drzwi są otwarte.

Mój przyjaciel wszedł do środka i usiadł w fotelu.

— Proszę się nie ruszać z miejsca. Chcę panu coś pokazać! — Zerwałam się i pobiegłam w stronę komody, wyjęłam złoty owoc, odwinęłam go ze szmatki i ostrożnie położyłam na stole. — Jest pan głodny?

Pan Kadam roześmiał się.

— Nie. Właśnie jadłem.

— Nie szkodzi, proszę zażyczyć sobie czegoś do jedzenia.

— Ale po co?

— Niech pan po prostu spróbuje.

— No dobrze. — Oczy pana Kadama zamigotały. — Życzę sobie miski gulaszu mojej matki.

Mango zaśniono, a na stole pojawiła się biała miseczka, z której wydobywał się intensywny aromat jagnięciny oraz ziół.

— Co to?

— Niech pan jeszcze o coś poprosi. To znaczy... mam na myśli jedzenie.

— Życzę sobie jogurtu z mango.

Owoc znów zaskrzył się i na stole wyrósł kubeczek jogurtu.

— Dalej pan nie rozumie? To owoc! On karmi Indie!

Pan Kadam ostrożnie wziął mango do ręki.

— Co za niebywale odkrycie! Czy mówiła już pani o tym Renowi? Zaczzerwieniłam się, zawstydzona.

— Nie, jeszcze nie. Może to pan mu powie?

Pan Kadam skinął głową i obrócił owoc w dłoniach, przyglądając mu się ze wszystkich stron.

— Proszę pana... Jest jeszcze coś, o czym chciałam z panem porozmawiać.

Mój przyjaciel ostrożnie odłożył owoc i spojrzal na mnie z uwaga.

— Oczywiście, panno Kelsey. O co chodzi?

Odetchnęłam głośno.

— Myślę, że już czas... żebym wróciła do domu.

Pan Kadam odchylił się na krzesło, złożył razem koniuszki palców i przez chwilę przyglądał mi się z namysłem.

— A skąd ten pomysł?

— Sam pan mówił, chodzi o Lokesha i inne... sprawy.

— Inne sprawy?

— Tak.

— Na przykład?

— Na przykład... to, że nie chcę w nieskończoność nadwierać waszej gościnności.

— Bzdura — zachnął się. — Jest pani członkiem rodziny. Mamy wobec pani dług nie do spłacenia. To tak samo pani dom jak nasz.

Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością.

— Dziękuję panu. Tylko że jest jeszcze... Ren.

— Ren? Jeśli pani chce, może mi pani o tym opowiedzieć.

Usiadłam na brzeżku kanapy i już miałam odrzec, że nie chcę o tym rozmawiać, gdy nagle coś we mnie pękło i wszystko mu opowiedziałam.

Zanim zdążyłam się zorientować, płakałam, a on siedział obok i głaskał mnie po dłoni jak prawdziwy dziadek.

Nic nie powiedział, tylko pozwolił, żebym wyrzuciła z siebie strach, ból i te nowe, nieznane uczucia. Kiedy skończyłam, poklepał mnie po plecach, a mnie złapał atak czkawki. Wręczył mi swoją elegancką chusteczkę, żebym otarła mokre policzki, a potem uśmiechnął się i poprosił złoty owoc o filiżankę herbaty rumiankowej.

Zachwyt malujący się na jego twarzy, kiedy wręczał mi gorący napój, sprawił, że roześmiałam się przez łzy. Wydmuchałam nos i uspokoiłam się nieco. Nagle ogarnęło mnie przerażenie na myśl o tym, że wszystko mu wyznałam. Co on sobie o mnie pomyśli? Do tej okropnej konstatacji za chwilę dołączyła druga: czy opowie o wszystkim Renowi?

Zupełnie jakby czytał w moich myślach, pan Kadam powiedział:

— Panno Kelsey, chyba nie żałuje pani, że mi o tym powiedziała?

— Błagam, błagam, niech pan nic nie mówi Renowi.

— Proszę się nie martwić, nie zawiodę pani zaufania. — Zachichotał. — Musi pani wiedzieć, moja droga, że jestem mistrzem w dotrzymywaniu tajemnic. Uszy do góry, życie często wydaje się beznadziejne i zbyt skomplikowane, by cokolwiek mogło dobrze się skończyć. Mam tylko nadzieję, że będę w stanie zapewnić pani nieco spokoju i równowagi, które wcześniej to pani mnie podarowała.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu i w zamyśleniu zaczął gładzić krótką siwą brodę.

— Być może rzeczywiście nadszedł czas, żeby wróciła pani do Oregonu. To prawda, Ren potrzebuje czasu, żeby się na nowo nauczyć być człowiekiem, choć w jego przypadku chodzi o coś nieco innego, niż się pani zdaje. Poza tym muszę przeprowadzić szczegółowe badania, zanim udamy się na poszukiwanie drugiego daru Durgi.

Po chwili milczenia dodał:

— Oczywiście zorganizuję pani podróż. Tylko proszę nie zapominać, że to jest również pani dom. W każdej chwili może pani do mnie zadzwonić, a ja natychmiast sprowadzę panią z powrotem. Mam nadzieję, że nie poczyna mi pani tego za zbytnią zuchwałość, ale traktuję panią jak własną córkę. — Roześmiał się. — Choć właściwie powinienem raczej powiedzieć: wnuczkę.

Uśmiechnęłam się do niego drżąc, a potem rzuciłam mu się na szyję i znów zaczęłam lkać, tym razem prosto w jego ramię.

— Dziękuję, tak bardzo panu dziękuję. Pan też jest dla mnie jak rodzina. Będę strasznie tęskniła.

Pan Kadam uściskał mnie.

— Ja za panią też. A teraz dość już tych lez, proszę iść popływać i trochę się przewietrzyć, a ja tymczasem wszystko załatwię.

Otarłam oczy.

— Dobry pomysł. Chyba tak właśnie zrobię.

Pan Kadam ścisnął mnie za rękę i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Postanowiłam skorzystać z jego rady, przebrałam się w kostium kąpielowy i ruszyłam w kierunku basenu. Przepląnąłam kilka okrażeń, starając się włożyć energię w coś innego niż tylko emocje. Kiedy zgłodniałam, zażyczyłam sobie w duchu kanapkę z kurczakiem, która natychmiast pojawiła się obok basenu.

To z pewnością bardzo przydatne. Nie muszę nawet być w tym samym pomieszczeniu co owoc! Ciekawe, jaki ma zasięg.

Zjadłam kanapkę i wylegiwałam się na ręczniku, aż zrobiło mi się gorąco. Wtedy z powrotem wskoczyłam do basenu i przez chwilę dryfowałam leniwie na plecach, żeby się trochę ochłodzić.

Nagle jakiś wysoki mężczyzna stanął nade mną, zasłaniając mi słońce. Nawet kiedy przysłoniłam oczy dłonią, nie potrafiłam dojrzeć rysów jego twarzy, ale i tak wiedziałam, kto to. Zmarszczyłam brwi.

— Ren! Nawet na chwilę nie możesz zostawić mnie w spokoju? Nie chcę z tobą teraz rozmawiać.

Mężczyzna cofnął się, a ja spojrzałam na niego przymrużonymi oczyma.

— Nie chcesz mnie widzieć? A przyjechałem z tak daleka — odparł z przyganą w głosie. — Ktoś powinien cię nauczyć dobrych manier, moja panno.

Wydalam z siebie stłumiony okrzyk.

— Kishan?

Książę wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— A któżby inny, *bilauta*?

Pisnęłam wyskoczyłam z basenu i popędziłam w jego stronę. Kishan rozłożył ramiona i już za chwilę tonęliśmy w wielkim, mokrym uścisku.

— Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś! Tak się cieszę!

Książę zmierzył mnie spojrzeniem złotych oczu, tak różnym od spojrzenia jego brata, i powiedział:

— Gdybym wiedział, że czeka mnie takie powitanie, już dawno bym przyjechał.

Roześmiałam się.

— Przestań się ze mną drażnić! Jak tu dotarłeś? Czy i ty dostałeś swoje sześć godzin? Musisz mi o wszystkim opowiedzieć!

Kishan ze śmiechem podniósł rękę.

— Poczekaj chwilę. Po pierwsze, o jakim drażnieniu się mowa? A po drugie, proponuję, żebyś się przebrała, a potem usiadła i ucięła sobie ze mną długą pogawędkę.

— Dobrze. — Uśmiechnęłam się, ale już po chwili mina mi zrzędła. — Ale czy możemy się spotkać tutaj, przy basenie?

Kishan przekrzywił głowę, zmieszany, ale uśmiechnął się.

— Jasne, jeśli tego chcesz. Poczekam tutaj na ciebie.

— W porządku. Nigdzie się nie ruszaj, zaraz wracam!

Pobiegłam do pokoju, wzięłam szybki prysznic, ubrałam się i uczesałam. Zamówiłam również u złotego owocu dwa piwa korzenne z lodami.

Kiedy pojawiłam się znów nad basenem, zobaczyłam, że Kishan przesunął w cień dwa leżaki i wylegiwał się leniwie, z rękami pod głową i zamkniętymi oczami. Miał na sobie czarny T-shirt i dżinsy. Był boso. Ułożyłam się na drugim leżaku i wręczyłam mu szklankę.

— A co to takiego?

— Piwo korzenne z lodami. Spróbuj.

Książę upił lyczek i zakaszłał. Roześmiałam się.

— Czyżby bąbelki poszły ci nosem?

— Na to wygląda. Ale to jest całkiem niezłe. Bardzo słodkie. Przymina mi ciebie. Czy to napój z twojego kraju?

— Owszem.

— Jeśli mam odpowiedzieć na twoje pytania przed zapadnięciem zmroku, lepiej zacznijmy od razu. — Popił ze szklanki i ciągnął: — Po pierwsze, zapytałaś mnie, czy odzyskałem sześć godzin w ludzkim ciele. Odpowiedź brzmi: tak. Wiesz, to bardzo dziwne. Tyle lat byłem zadowolony ze swojego tygrysięgo życia, ale odkąd odwiedziście mnie z Dhirenem, zacząłem się źle czuć w swoim czarnym futrze. Po raz pierwszy od bardzo dawna zapragnąłem korzystać z życia, nie jako zwierzę, ale jako ja, człowiek.

— Rozumiem. Jak się domyśliłeś, że masz teraz sześć godzin w ludzkiej formie, i jak się tu dostałeś?

— Codziennie zmieniałem się w człowieka, zacząłem też wyprawać się do okolicznych wiosek, żeby poobserwować mieszkańców i podpatrzeć, co też ma do zaoferowania współczesny świat. — Tu westchnął smutno. — Wszystko bardzo się zmieniło, odkąd po raz ostatni należałem do świata ludzi.

Pokiwałam głową, a on mówił dalej.

— Pewnego dnia, jakiś tydzień temu, zmieniłem się w człowieka i patrzyłem na dzieci bawiące się na placu. Wiedziałem, że zaraz skończy mi się czas, wycofałem się więc do dżungli i czekałem na drgawki, towarzyszące zmianie. Nie nadeszły.

Czekałem godzinę, dwie, i dalej nic. Wiedziałem, że coś się musiało wydarzyć. Chodziłem po dżungli i czekałem, aż w końcu nadeszła zmiana. Powtarzałem eksperyment przez dwa następne dni i czas był zawsze talu sam.

To wtedy się domyśliłem, że tobie i Benowi przynajmniej częściowo się udało. Później wróciłem do wioski jako człowiek i poprosiłem mieszkańców, żeby pomogli mi zadzwonić do pana Kadama. Ktoś w końcu się domyślił, jak się z nim skontaktować, i pan Kadam przyjechał po mnie.

— A więc to dlatego nie było go przez kilka dni.

Kishan zmierzył mnie wzrokiem z góry do dołu, a potem wygodnie odchylił się w fotelu i z upodobaniem szączył swój napój. Uniósł szklanke.

— Muszę przyznać, że nie miałem pojęcia, co mnie omija.

Uśmiechnął się i wyciągnął do przodu długie nogi, krzyżując je w kostkach.

— Cieszę się, że tu jesteś — powiedziałam. — To twój dom i tu jest twoje miejsce.

Kishan zapatrzył się w przestrzeń poważnym wzrokiem.

— Może i tak. Strasznie długo nie czułem w sobie choćby iskierki człowieczeństwa. Moją duszę spowijał mrok. Ale ty, moja miła — nachylił się i ucałował mnie w dłoń — wydobyłaś mnie z powrotem na światło.

Lekko dotknęłam jego ramienia.

— Tęskniłeś za Yesubai, to wszystko. Nie wierzę, żebyś miał mroczną duszę albo żebyś utracił swoje człowieczeństwo. Po prostu złamane serce długo się goi.

Oczy mu zalśniły.

— Być może masz rację. A teraz opowiedz mi o swoich przygodach! Wiem już co nieco od pana Kadama, ale chcę usłyszeć szczegóły.

Opowiedziałam mu o arsenale Durgi. Bardzo zainteresowało go *gada*. Śmiał się, kiedy opisywałam mu malpy obsiadające Rena, a potem patrzył na mnie z przerażeniem, kiedy relacjonowałam, jak prawie zjadł mnie *kappa*. Łatwo mi się z nim rozmawiało. Słuchał uważnie, a w moim brzuchu nie trzepotał ani jeden motylek.

Skończyłam opowiadać i zapatrzyłam się w taflę wody, a tymczasem Kishan bacznie przyglądał się mojej twarzy.

— Jest jeszcze coś, co mnie ciekawi, Kelsey.

Uśmiechnęłam się.

— Jasne, co chcesz wiedzieć?

— Co się właściwie dzieje między tobą a Renem?

Poczułam, jakby na klatce piersiowej zacisnęło mi się imadło, ale starałam się tego nie okazać.

— Co masz na myśli?

— **Czy wy** dwoje jesteście dla siebie czymś więcej niż towarzyszami podróży? Czy jesteście razem?

— Nie — odparłam natychmiast. — Zdecydowanie nie.

Kishan uśmiechnął się od ucha do ucha.

— To świetnie! — Chwycił mnie za rękę i ucałował ją. - To znaczy, że możesz się ze mną umówić. Zresztą żadna dziewczyna przy zdrowych zmysłach nie chciałaby być z Renem. Jest taki... nadęty. Zimny.

Przez chwilę przyglądałam mu się z otwartymi ustami, a potem poczułam, że gniew przeważa nad zdumieniem.

— Po pierwsze, nie zamierzam być z żadnym z was. Po drugie, dziewczyna, która odrzuciłaby Rena, musiałaby być wariatką. Nie jest ani nadęty, ani zimny. Jest troskliwy, ciepły, oszalamiająco przy stojny, godny zaufania, lojalny, uroczy i czarujący.

Kishan uniósł brew i przez moment przyglądał mi się z namysłem. Lekko skuliłam się pod jego spojrzeniem, wiedząc, że odezwałam się zbyt szybko i powiedziałam za dużo.

W końcu książe powiedział z wahaniem:

— Rozumiem... Być może masz rację. Dhiren, którego znałem, z pewnością zmienił się przez te kilkaset lat. A jednak, choć uparcie się zarzekasz, że nie chcesz być z żadnym z nas, chciałbym cię dziś zaprosić na uroczystą kolację. Skoro to nie może być... jakie jest właściwe słowo?

— Randka.

— Skoro to nie może być randka, proponuję przyjacielskie spotkanie.

Skrzywiłam się.

Kishan nie dawał za wygraną.

— Z pewnością nie zostawisz mnie samego mojego pierwszego wieczoru z powrotem w prawdziwym świecie? — Uśmiechnął się.

Chciałam, żebyśmy byli przyjaciółmi, ale nie byłam pewna, co mu odpowiedzieć. Przez chwilę zastanawiałam się nawet, co by na to powiedział Ren i co by to oznaczało dla naszej relacji.

— A dokąd właściwie chcesz pójść? — spytałam.

— Pan Kadam mówił, że w pobliskim miasteczku jest restauracja z parkietem do tańca. Pomyślałem, że moglibyśmy coś zjeść, a potem nauczysz mnie tańczyć.

Parsknęłam nerwowym śmiechem.

— To moja pierwsza wizyta w Indiach. Nic nie wiem o tutejszych tańcach ani o muzyce.

Ta nowina wprawiła Kishana w jeszcze większy zachwyt.

— To fantastycznie! Zatem będziemy uczyli się razem. Nie przyjmuję odmowy. — Szybko wstał i pomknął w stronę domu.

— Kishanie, poczekaj! - zawołałam za nim. - Nawet nie wiem, w co się ubrać!

— Spytaj Kadama! — odrzyknął. — On wie wszystko!

Zniknął w domu, a ja pogrążyłam się w ponurych rozmyśleniach.

Ostatnie, czego chciałam, to starać się utrzymać dobry nastrój, podczas gdy czułam się kompletnie wyczerpana i wyciuta z wszelkich emocji. Cieszyłam się jednak, że Kishan wrócił i że ma taki świetny humor. W końcu uznałam, że choć wcale nie mam ochoty świętować, nie chcę gasić w Kishanie jego na nowo odnalezionego apetytu na życie. Pochyliłam się, żeby sprzątnąć puste szklanki, i ze zdumieniem stwierdziłam, że zniknęły.

Genialna sprawa. Złoty owoc nie tylko nas karmi, ale i zmywa naczynia!

Ruszyłam w stronę domu, gdy nagle coś się zmieniło. Ramiona pokryła mi gęsia skórka. Rozejrzałam się, ale nic nie zobaczyłam ani nie usłyszałam. A potem poczułam, jak całe moje ciało przeszywa elektryczna fala. Coś sprawiło, że moje oczy powędrowały w górę. Ren stał na werandzie, oparty o kolumnę, z założonymi na piersi ramionami, i mi się przyglądał. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa. Poczułam, jak zmienia się atmosfera między nami — stała się gęsta, ciężka, niemal namacalna, jak powietrze tuż przed burzą. Czulałam, jak ogarnia mnie jej moc, czulałam ją na skórze.

Parne, duszne napięcie, wywołane pojawieniem się Rena napierało na mnie, jakby chciało mnie wessać w próżniowy lej. Poczułam, że muszę mu się wyrwać. Zamknęłam oczy i ruszyłam przed siebie, nie zatrzymując się.

Dowlokłam się do pokoju, mimo okropnego uczucia jakby ktoś mi coś w środku rozerwał, i wciąż czulałam na sobie jego wzrok, który wypalał mi rozżarzoną dziurę między łopatkami.

Resztę popołudnia spędziłam w sypialni. Pan Kadam złożył mi wizytę, żeby wyrazić swoją radość z faktu, że spędzę uroczysty wiecór z Kishanem. Uznał, że rzeczywiście jest okazja do świętowania i że powinniśmy wybrać się wszyscy razem.

— A więc pan i Ren chcecie się do nas przyłączyć?

— Nie widzę przeciwwskazań. Zapytam, czy ma ochotę.

— Proszę pana, a może lepiej, żebyście poszli w trójkę i urządzili sobie męski wiecór? Będę wam tylko przeszkadzać.

— Bzdury, panno Kelsey. Wszyscy mamy co świętować, a ja dopilnuję, żeby Ren zachowywał się, jak należy.

Już wychodził, kiedy zawołałam:

— Proszę poczekać! Nie wiem, w co się ubrać.

— Jak pani sobie życzy. Strój może być współczesny lub bardziej tradycyjny. Może błękitna śarara?

— Nie będę w niej głupio wyglądać?

— Nie. Tutaj wiele kobiet nosi je na uroczyste okazje. Będzie w sam raz.

Kiedy zobaczył, że spuściłam nos na kwintę, dodał:

— Jeśli nie ma pani ochoty jej zakładać, proszę się ubrać normalnie. Będzie dobrze, cokolwiek pani wybierze.

Wyszedł, a ja jęknęłam głośno. Perspektywa robienia dobrej miny do złej gry w towarzystwie Kishana była już wystarczająco przygnębiająca, a teraz jeszcze będzie tam Ren, co oznacza wciągnięcie w emocjonalny wir.

Ogarnęło mnie zdenerwowanie. Chciałam się ubrać normalnie, ale wiedziałam, że chłopcy wystroją się pewnie w garnitury od Armaniego albo coś w tym guście, i nie chciałam stanąć obok nich w dżinsach i adidasach, zdecydowałam się więc na śararę.

Wyciągnęłam ciężką suknię z szafy, przebiegłam dłonią po koraliowym hafcie i westchnęłam. Ryla taka piękna. Potem spędziłam trochę czasu nad fryzurą i makijażem. Mocniej niż zwykle pomalowałam oczy, użyłam nawet szarofioletowego cienia do powiek. Rozprostowałam też włosy. Kiedy je wygładzałam, wykonując długie, powolne ruchy prostownicą, poczułam, że ta czynność mnie rozluźnia i ma bardzo terapeutyczne działanie.

Kiedy skończyłam, złotobrzowe włosy opadały mi na plecy gładką i lśniąca zasłoną. Ostrożnie włożyłam przez głowę błękitną górę sukni, a potem ułożyłam na biodrach ciężką spódnice, starannie układając jej migotliwe warstwy. Podobał mi się jej ciężar. Przesunęłam palcami po misternym hafcie z perełek i nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

Właśnie utyskiwałam w duchu na to, że złoty owoc nie urnie wyczarować obuwia, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. W progu stał pan Kadam.

— Gotowa, panno Kelsey?

— Niezupełnie. Nie mam butów.

— Ach, być może znajdziemy coś w szafie Nilimy.

Poszłam za nim do sypialni Nilimy. Otworzył szafę i wyciągnął z niej parę złotych sandałków. Były odrobinę za duże, ale kiedy zapięłam je ciasno, okazały się całkiem znośne. Pan Kadam podał mi ramię.

— Proszę chwilę poczekać. Zapomniałam o czymś. — Pobiegłam z powrotem do pokoju, chwyciłam szal zwany *dupatta* i owinięłam nim ramiona.

Pan Kadam uśmiechnął się i znów pokazał gestem, że mam go wziąć pod ramię. Wyszliśmy na podjazd przed domem, gdzie spodziewałam się ujrzeć jeepa, ale zamiast niego moim oczom ukazał się lśniący platynowy rolls-royce phantom. Pan Kadam otworzył przede mną drzwi, a ja wsiadłam i osunęłam się na luksusowe, szare skórzane siedzenie.

— Czyj to samochód? — spytałam, przesuwając dłonią po wypolerowanej desce rozdzielczej.

— Och, ten? Mój. — Pan Kadam wyraźnie pękał z dumy i miłości do swego pojazdu. — Większość samochodów w Indiach to małe, ekonomiczne modele. Właściwie tylko około jednego procenta społeczeństwa posiada własny samochód. Gdyby pani porównała auta indyjskie z amerykańskimi...

Zanim przekręcił kluczyk, uraczył mnie jeszcze kilkoma faktami z dziedziny motoryzacji, a ja słuchałam go z uśmiechem i wyteżoną uwagą.

Kiedy w końcu zapalił, silnik nie ryknął, lecz zaczął cicho mruzczyć. No proszę.

— Kishan już schodzi a Ren... postanowił zostać w domu.

— Rozumiem.

Powinnam się cieszyć, ale z zaskoczeniem odkryłam, że jestem rozczarowana. Wiedziałam, że nie powinniśmy spędzać razem czasu, dopóki nam nie przejdzie to... zauroczenie. Ren prawdopodobnie chciał w ten sposób pokazać, że szanuje moją wolę, a mimo to jakaś część mnie pragnęła go zobaczyć przynajmniej ten jeden, ostatni raz.

Przelknęłam rozczarowanie i uśmiechnęłam się do pana Kadama.

— Nie szkodzi. 1 bez niego możemy się dobrze bawić.

Z domu wybiegł Kishan. Miał na sobie bordowy sweter z dekoltem w serek i starannie wyprasowane spodnie w kolorze khaki. Obciął włosy, które, ułożone w lekko zmierzwione fale, nadawały mu nieco nonszalancki wygląd hollywoodzkiego amanta. Cienki sweter podkreślał masywną sylwetkę. Księżę wyglądał niezwykle atrakcyjnie.

Otworzył drzwi i wskoczył na tylne siedzenie.

— Wybaczcie, że to tak długo trwało.

Wychylił się pomiędzy naszymi fotelami.

— Hej, Kelsey, tęskniłaś... — Gwizdnał. — Kelsey! Wyglądasz cudownie! Będę musiał odganiać facetów kijem!

Zaczerwieniłam się.

— Daj spokój, nie będziesz miał nawet okazji, żeby się do mnie zbliżyć, bo natychmiast otoczy cię tłum kobiet.

Kishan uśmiechnął się od ucha do ucha i odchylił do tyłu.

— Cieszę się, że Ren zrezygnował. Będzie cię więcej dla mnie.

— Hmm. — Odwróciłam się do przodu i zapięłam pas.

Zatrzymaliśmy się przed przyjemną restauracją, ze wszystkich stron otoczoną gankiem. Kishan wybiegł z auta i pospieszył otworzyć przede mną drzwi. Wyciągnął do mnie ramię i uśmiechnął się rozbijająco. Roześmiałam się i wzięłam go pod łokieć, twarzo postanowiwszy niczym się nie przejmować i miło spędzić wieczór.

Usadzono nas przy stoliku z tyłu sali. Kiedy przyszła kelnerka, zamówiłam wiśniową colę dla siebie i Kishana. Księżę z radością pozwalał również, żebym sugerowała mu wybór dań.

Miło było razem oglądać *menu*. Kishan pytał o moje ulubione potrawy i radził się, co wybrać. Przetłumaczył mi opisy dań z karty, a ja mówiłam mu, co o nich sędzę. Pan Kadam zamówił ziołową herbatę i przysłuchiwał się naszej rozmowie. Kiedy już złożyliśmy zamówienia, zaczęliśmy się przypatrywać wirującym po parkiecie parom.

Grała spokojna, niezbyt głośna muzyka, jakiś klasyczny przebój, ale w innym języku. Zamilkłam i pozwoliłam, żeby ogarnęła mnie melancholia. Kiedy przyniesiono kolację, Kishan rzucił się na nią z wielkim apetytem, a gdy dałam za wygraną i przestałam zmuszać się do jedzenia, skończył również moją porcję. Wyglądał na zafascynowanego wszystkim dookoła — ludźmi, językiem, muzyką, a zwłaszcza potrawami. Zadawał panu Kadamowi tysiące pytań, takich jak: „jak się płaci?”, „skąd się bierze pieniądze?”, „ile mam dać kelnerce?”.

Słuchałam go z uśmiechem, ale myślami byłam gdzie indziej. Kiedy sprzątnięto już nasze talerze, rozsiedliśmy się wygodnie i obserwowaliśmy otaczających nas ludzi, sącząc napoje.

Pan Kadam odchrząknął.

— Panno Kelsey, czy mogę panią prosić?

Wstał i wyciągnął rękę. Uśmiechał się do mnie, a oczy mu lśniły. Spojrzałam na niego, uśmiechnęłam się smutno i pomyślałam o tym, jak bardzo będę tęsknić za tym dobrym człowiekiem.

— Oczywiście, proszę pana.

Poklepał mnie po ręce i poprowadził na parkiet. Był bardzo dobrym tancerzem, podczas gdy ja z chłopakami tańczyłam dotąd tylko kilka razy na szkolnych zabawach, co polegało głównie na obracaniu się w kółko do końca piosenki. Tamte tańce nigdy nie wydawały mi się interesujące, ale taniec z panem Kadamem był zupełnie inny. Mój partner zrećźnie prowadził mnie wokół parkietu i obracał tali, że furkotała mi spódnica. Śmiałam się i cieszyłam spędzonym wspólnie czasem. Pan Kadam okręcał mnie i za każdym razem szybko i zgrabnie przyciągał z powrotem do siebie. Jego umiejętności sprawiły, że i ja poczułam się jak niezgorsza tancerka.

Kiedy skończyła się piosenka, wróciliśmy do stolika. Pan Kadam udawał zdyszanego staruszka, ale tak naprawdę to ja miałam trudności ze złapaniem tchu. Kishan niecierpliwie postukiwał stopą o podłogę, a gdy tylko wróciliśmy, natychmiast się zerwał, chwycił mnie za rękę i poprowadził z powrotem na parkiet.

Tym razem muzyka była szybsza. Kishan okazał się pojętym obserwatorem i zrećźnie kopiował ruchy pozostałych tancerzy. Miał wycucie rytmu, ale za bardzo starał się wyglądać naturalnie. Mimo to dobrze się bawiliśmy, a ja śmiałam się przez cały czas. Szybka piosenka skończyła się i rozbrzmiał nastrojowy miłosny szlagier. Ruszyłam w stronę stolika, ale Kishan złapał mnie za rękę i powiedział:

— Zaczekaj, Kelsey. Chcę tego spróbować.

Przez kilka sekund przyglądał się parze obok nas, a potem ułożył sobie moje ręce na karku i objął mnie w talii. Jeszcze przez chwilę obserwował inne pary, a potem spojrzał na mnie z zawadiackim uśmiechem.

— Zdecydowanie widzę zalety tego rodzaju tańca. — Przyciągnął mnie mocniej do siebie i mruknął: — Tali, to bardzo mile.

Westchnęłam i zamyśliłam się na chwilę. Nagle przez moje ciało przeszedł jakiś głęboki, wibrujący dźwięk. Dudnienie. Nie. Cichy pomruk. Spojrzałam na Kishana, zastanawiając się, czy też to usłyszał, ale on wpatrywał się w coś ponad moją głowę.

Cichy, ale stanowczy głos za moimi plecami powiedział:

— Ten taniec należy do mnie.

To był Ren. Wyczuwałam jego obecność. Ogarnęło mnie jego ciepło i zadrzałam cała jak wiosenny listek na wietrze.

Kishan zmrużył oczy i odparł:

— Ten taniec należy do tego, kogo wybierze dama.

Spojrzał na mnie. Nie chciałam urządzać scen, więc pokiwałam głową i zdjęłam ręce z jego karku. Kishan rzucił bratu gniewne spojrzenie i rozszoszczony zszedł z parkietu.

Ren stanął przede mną, delikatnie ujął moje dłonie w swoje i położył je sobie na karku, przez co jego twarz znalazła się tuż przy mojej, wywołując ból w moim sercu. Potem rozmyślnym ruchem przesunął rękami po moich ramionach i bokach, aż w końcu objął mnie w tali. Okrężnymi ruchami głaskał moją nagą skórę w okolicy krzyża, ścisnął mnie w pasie i przyciągnął do siebie.

Prowadził z wdziękiem tanecznego eksperta. Nic nie mówił, a w każdym razie nie używał słów, ale i tak wysyłał mi mnóstwo sygnałów. Przycisnął czoło do mojego czoła, a potem nachylił się i muskał nosem moje ucho. Przytulił twarz do moich włosów, a potem podniósł rękę i poglaskał je. Jego palce wędrowały po moim nagim ramieniu i tali.

Kiedy piosenka się skończyła, oboje potrzebowaliśmy chwili, żeby odzyskać zmysły i przypomnieć sobie, gdzie jesteśmy. Ren musnął palcem moją dolną wargę, a potem sięgnął po moją dłoń, zdjął ją sobie z karku i powiódł mnie na ganek.

Myślałam, że się tam zatrzyma, ale on poprowadził mnie po schodkach w stronę ocienionego drzewami skwerku z kamiennymi ławkami. Jego skóra lśniła w świetle księżyca. Miał na sobie ciemne spodnie i białą koszulę, która skojarzyła mi się z białym futrem tygrysa.

Przystanęliśmy pod drzewem. Staralam się jak najmniej poruszać i milczałam, żeby nie powiedzieć czegoś, czego potem pożałuję.

Ren wziął mnie pod brodę i przechylił moją twarz, tali żeby móc spojrzeć mi prosto w oczy.

— Kelsey, muszę ci coś powiedzieć. Proszę, wysłuchaj mnie i nie przerywaj, dopóki nie skończę.

Z wahaniem skinęłam głową.

— Po pierwsze chcę, żebyś wiedziała, że dotarło do mnie wszystko, co powiedziałaś wczoraj wieczorem, i że poważnie się nad tym zastanawiałem. - Odgarnął mi za ucho kosmyk włosów i przesunął palcami po moim policzku i ustach. Uśmiechnął się do mnie słodko,

a ja poczułam, jak kielkująca we mnie miłość zwraca się w stronę tego uśmiechu jak roślina w stronę ożywczycych promieni słońca. — Kelsey. — Przeczesał dłonią włosy, a jego uśmiech nieco się wykrzywił. — Prawda jest taka że... zakochałem się w tobie, i to już jakiś czas temu.

Zaparło mi dech w piersiach.

Ren wziął mnie za rękę i bawił się moimi palcami.

— Nie chcę, żebyś wyjeżdżała. — Zaczął całować moje palce, wpatrując mi się prosto w oczy. Byłam jak zahipnotyzowana. Potem wyjął coś z kieszeni. — Mam coś dla ciebie. — Był to złoty łańcuszek z podzwaniającymi wisiorami. — To bransoletka na kostkę. Bardzo popularna w tych stronach. Kupiłem ją, żebyśmy już nigdy nie musieli szukać dzwonka.

Kucnął, przebiegł dłonią po mojej lydce i zapiął bransoletkę na kostce. Zachwiałam się i z wrażenia prawie upadłam. Ren musnął palcami złote dzwoneczki, a potem wstał. Położył mi ręce na ramionach i przyciągnął mnie do siebie.

— Kells... proszę. — Pocałował mnie w skroń, potem w czoło i w policzek, a pomiędzy pocałunkami błagał cicho: — Proszę... Proszę... Proszę... Powiedz, że ze mną zostaniesz. — Jego wargi delikatnie otarły się o moje. — Potrzebuję cię — powiedział, a potem z całej siły przycisnął usta do moich ust.

Czułam, że tracę rezon. Tak bardzo go pragnęłam i potrzebowałam. Już prawie dałam za wygraną. Prawie mu powiedziałam, że nie ma na świecie nic, czego bardziej bym chciała niż z nim zostać. Ze nie wiem, czy potrafię żyć z dala od niego. Ze jest mi najdroższy na świecie. Ze oddałabym wszystko, żeby móc z nim być. Ale w tym momencie on przyciągnął mnie do siebie i wyszeptal mi do ucha:

— Błagam, nie zostawiaj mnie, *prija*. Nie wiem, czy przeżyję bez ciebie.

Moje oczy wypełniły się łzami, które spłynęły po policzkach. Dotknęłam jego twarzy.

— Nie rozumiesz, Ren? To właśnie dlatego muszę odejść. Musisz się przekonać, że potrafisz żyć beze mnie. Że w życiu liczą się też inne rzeczy. Musisz zobaczyć świat, który się przed tobą otworzył, i zrozumieć, że masz wybór. Nie chcę być twoją klatką.

Mogłabym cię uwięzić i samolubnie trzymać dla siebie, żeby zaspokoić swoje pragnienia. Ale niezależnie od tego, czy ty byś tego chciał, czy nie, to by było niedobre rozwiązanie. Pomogłam ci

odzyskać wolność. Wolność robienia tych wszystkich rzeczy, które omijały cię przez tyle lat. — Przesunęłam dłoń z jego policzka na szyję. — Miałabym ci założyć obrozę? Sprawić, byś spędził resztę życia przykuty do mnie poczuciem obowiązku? — Potrzęsnęłam głową. Już nie powstrzymywałam łez. — Przykro mi, Ren, ale nie mogę ci tego zrobić. Nie mogę, bo... też cię kocham.

Pocałowałam go szybko, ostatni raz. Potem zebrałam spódnice i pobiegłam z powrotem do restauracji. Pan Kadam i Kishan zobaczyli, jak wchodzę, spojrzeli na moją twarz i błyskawicznie wstali ze swoich miejsc. Na szczęście obaj milczeli przez całą drogę do domu, podczas gdy ja płakałam cicho, ocierając mokre policzki wierzchem dłoni. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Kishan ścisnął mnie za ramię, wysiadł z samochodu i zniknął w drzwiach wejściowych. Westchnęłam i powiedziałam panu Kadamowi, że chciałabym wylecieć jutro rano. Milcząco pokiwał głową, a ja wysiadłam i pobiegłam do swojego pokoju. Zamknęłam za sobą drzwi i rzuciłam się na łóżko, po czym pograżyłam się w rozpaczliwym szlochu. W końcu zapadłam w sen.



Następnego ranka wstałam wcześniej, umyłam twarz i zaplotłam warkocz, związując go czerwoną wstążką. Włożyłam dzinsy, koszulkę oraz tenisówki i spakowałam swoje rzeczy do dużej torby. Wyciągnęłam rękę, by dotknąć błękitnej sukni, ale stwierdziłam, że łączy się z nią za dużo wspomnień i lepiej będzie, jeśli zostawię ją w szafie. Napisalam liścik do pana Kadama, w którym poinformowałam go, gdzie są *gada* i owoc, oraz poprosiłam, żeby ukrył je w rodzinnym sejfie, a także by подарował śararę Nilimie.

Postanowiłam zabrać ze sobą Fanindrę. Właściwie była już moja przyjaciółką. Ostrożnie ułożyłam ją na złożonym pledzie, a potem sięgnęłam po delikatną złotą bransoletkę, którą dostałam od Rena. Gdy przesunęłam po niej palcem, zadźwięczały maleńkie dzwoneczki. Zamierzałam zostawić ją na komodzie, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie. Może i był to samolubny gest, ale chciałam mieć po nim jakąś pamiątkę. Wrzuciłam bransoletkę do torby i zapięłam suwak.

W domu panował spokój. Cicho zeszedłam po schodach. W kółkowej jak pawie pióra bibliotece czekał na mnie pan Kadam. Wziął moją torbę i poprowadził mnie do samochodu. Otworzył przede mną

drzwi. Wśliznęłam się na siedzenie i zapięłam pas. Pan Kadam zapalił silnik i powoli okrążył kamienny podjazd. Odwróciłam się, żeby po raz ostatni spojrzeć na miejsce, które stało się moim domem. Jechaliśmy leśną drogą, a ja wciąż oglądałam się na dom, aż drzewa zasłoniły mi widok.

Właśnie wtedy dżunglą wstrząsnął ogłuszający, przejmujący ryk. Odwróciłam się i wbiłam wzrok w rozciągającą się przed nami pustą drogę.

EPILOG

CIEŃ



Nieskazitelnie ubrany mężczyzna stał w oknie swojego luksusowego biura na ostatnim piętrze wieżowca. Spoglądał na lśniące w dole światła miasta i zaciskał pięści. Jak odnaleźć jedną niepozorną osobę w mieście liczącym miliony ludzi, a tym bardziej — w świecie liczącym miliardy?

Żył w najgęściej zaludnionym mieście na świecie, ale podczas gdy kolejne pokolenia przyływały i odpływały jak fale rozbijające się o brzeg, on trwał, samotny jak skała, niewzruszony i wiecznie czujny, ledwo zauważając tych, którzy go otaczali.

Po wielu stuleciach poszukiwań pozostałe fragmenty amuletu Damona nagle wypłynęły na powierzchnię, a wraz z nimi — ta dziewczyna. Takiej fali energii nie czuł od bardzo, bardzo dawna.

Cichy sygnał obwieścił wejście jego asystenta. Mężczyzna wkroczył do biura i uklonił się, po czym wymówił zaledwie dwa słowa, słowa, na które jego pracodawca czekał, odkąd przytrafiła mu się tamta wizja i zobaczył swojego dawnego wroga i tamtą tajemniczą dziewczynę.

Słowa te brzmiały:

— Znaleźliśmy ją.

O AUTORCE

Colleen Houck postanowiła napisać *Klątwę tygrysa* po przeczytaniu sagi *Zmierzch*. Ponieważ nie znalazła dla niej wydawcy, opublikowała ją za własne pieniądze. I wtedy wydarzyło się coś niezwykle go. Powieść szturmem zdobyła listy bestsellerów, setki tysięcy fanów, a wydawcy z całego świata i producenci filmowi zaczęli walczyć o prawa do książki.